

DO
ZAKOCHANIA
JEDEN
UROK

LUDKA SKRZYDLEWSKA



LUDKA SKRZYDLEWSKA

DO
ZAKOCHANIA[★]
JEDEN
UROK





1. Jak zrazić do siebie rodzinę

Rzeczą powszechnie znaną jest fakt, że równonoc jesienna stanowi jeden z najważniejszych punktów w kalendarzu każdej prawdziwej czarownicy.

Rzeczą równie powszechnie znaną mojej rodzinie jest fakt, że stwierdzenie „prawdziwa czarownica” w żadnym wypadku do mnie nie pasuje.

– Równonoc jesienna! – marudziła ciotka Ava, gdy jak zwykle bez pytania wmaszerowała do mojego mieszkania i zagnieździła się w kuchni. W dodatku o siódmej trzydzieści rano, gdy właśnie w pośpiechu zbierałam się do pracy, wciąż rozczochrana i w dwóch różnych skarpetkach. – Powinnaś przyjść na nasz sabat. Wszystkie czarownice McKenzie na nim będą! Nawet ciotka Agnes przyjeżdża z Londynu. Rok temu byłaś usprawiedliwiona, bo wciąż załatwiałaś coś na uczelni, ale teraz? Jeśli nie przyjdiesz, obrazisz całą naszą rodzinę!

– Jestem już umówiona, ciociu – zaprotestowałam, wychodząc z sypialni z żakietem w ręce. Uklękałam, żeby poszukać porzucanych po salonie butów, a wtedy ciotka Ava machnęła ręką i najpierw jeden, a potem także drugi but przesunęły się ku mnie po podłodze prosto spod kanapy. – Dzięki, sama bym je znalazła.

– A potem spóźniła się do pracy – sarknęła. – Nie rozumiem, dlaczego jak normalny człowiek nie użyjesz magii wtedy, kiedy chcesz.

– Bo wtedy nie byłabym normalnym człowiekiem – wymamrotałam, wkładając buty.

– Normalność jest przereklamowana – oznajmiła ciotka z pewnością siebie, która pewnie oburzyłaby jej całkiem normalnego męża, wujka Johna. – A wracając do sabatu i twojej wieczornej randki, czyżbyś wreszcie znalazła jakiegoś porządnego faceta?

– W Inverness nie ma porządných facetów – odparłam, rzucając się na poszukiwania torebki. Zanim zdążyłam ją zlokalizować, podfrunęła do mnie ze stojącej pod oknem komody. Czasami miałam wrażenie, że ciotka Ava potrafi czytać w myślach. – Umówiłam się z przyjaciółką.

– Z tą dziewczuchą od Barnesów? – prychnęła ciotka z lekceważeniem. – Ile razy mam ci powtarzać, że to nie jest dla ciebie odpowiednie towarzystwo, Margo? To tylko zwykły człowiek.

– A ty jesteś wkurzającą snobką, ciociu. – To nie była obelga, tylko fakt, a ciocia doskonale o tym wiedziała. – Przyjaźnię się z Charlie od dzieciństwa i nie zamierzam zrywać z nią kontaktu tylko dlatego, że coś się wam nie podoba.

Ciotka zmarszczyła swoje idealnie umalowane brwi i spojrzała na mnie z niesmakiem. Nic dziwnego, w porównaniu do niej prezentowałam się jak wyciągnięta kotu z gardła. Ciotka Ava, która ledwie co przekroczyła czterdziestkę, ale absolutnie nie było tego po niej widać, zawsze wyglądała idealnie. Dopasowany szary kostium, czarne szpilki, ułożone kasztanowe włosy, będące wizytówką niemalże całej mojej rodziny, perfekcyjny makijaż. We wszystkim pomagała jej magia. Nie wyobrażałam sobie, żebym mogła zebrać w tak doskonały kok swoje niesforne kosmyki inaczej niż za pomocą magii.

Ale jej sylwetka – zawsze wyprostowana niczym struna, szczupła i strzelista – była już wyłącznie zasługą genów i żelaznej dyscypliny treningowej, którą ciocia nadaremnie próbowała narzucić też mnie. Nie miałam jednak jej determinacji i silnej woli. Właściwie odziedziczyłam po niej tylko ośli upór.

– Przyjaciółka – powtórzyła ciocia, nadal z tym samym niesmakiem wykrzywiającym jej idealnie

umalowane usta. – Tym bardziej powinna zrozumieć, że akurat ten dzień jest dla nas niezwykle ważny. Nie możecie przełożyć tego spotkania?

– Tak, Charlie jest moją przyjaciółką i wie o mnie bardzo dużo. Także to, że wcale nie mam ochoty przekładać spotkania z nią, żeby iść na sabat. Ta wymówka jest tylko dla rodziny, żeby nikt nie poczuł się urażony. Tobie, ciociu, mogę powiedzieć prawdę. Po prostu nie zamierzam tam iść.

Stojąc przed lustrem, przyglądałam włosy. Potem wyjęłam z torebki błyszczący, pomalowałam lekko usta i na tym zakończyły się moje zabiegi upiększające. Po co miałabym robić coś innego, skoro rzęsy mam naturalnie długie i ciemne, a cerę tak piegowatą, że i tak nie ukryłyby tego żaden podkład ani puder?

– Więc co, mnie możesz urazić?

– Robiłam to tyle razy, że obie już dawno się do tego przyzwyczaiłyśmy. A teraz przepraszam cię, ale muszę iść do pracy.

– Do pracy? A gdzie śniadanie? Herbata? – oburzyła się ciotka. – Śniadanie to najważniejszy posiłek dnia.

– Zjem coś w pracy – odparłam, ale kiedy mijałam bar, przy którym siedziała, na blacie zniecka wylądował talerz z kanapkami i dwa kubki z aromatycznie pachnącą herbatą.

– Nie ma takiej potrzeby. – Ciotka uśmiechnęła się promiennie. – Już zrobiłam ci kanapki.

Pokręciłam z niedowierzaniem głową, ale posłusznie rzuciłam torbę na podłogę i zajęłam stołek obok cioci, żeby zjeść śniadanie.

Ciocia często wpadała do mnie rano, chyba głównie po to, żeby pokazać mi, o ile prostsze byłoby moje życie, gdybym zdecydowała się na co dzień używać magii tak jak ona czy reszta mojej rodziny. Nic dziwnego, w końcu od lat byłam im solą w oku. Córka klanu McKenzie, z którego wywodziły się najpotężniejsze czarownice w całej Szkocji, odmawia używania magii! Skandal.

Chwyciłam kanapkę, szybko jednak straciłam apetyt, gdy ciotka zaczęła swój kolejny wywód. Słyszałam go już chyba dziesiąty raz, więc nie skupiałam się na jej słowach aż tak bardzo, jak pewnie powinnam.

– Pamiętasz jeszcze, po kim dostałaś swoje imię?

Pamiętałam. Aż za dobrze.

– Po legendarnej założycielce naszego rodu, Margo McKenzie! Pierwszej czarownicy na terenie Zjednoczonego Królestwa. Twój rodzice mieli wobec ciebie tak wielkie oczekiwania, że nie wahali się nadać ci tego imienia, zwłaszcza że ułożenie gwiazd podczas twoich narodzin było takie samo, jak wtedy, gdy Margo McKenzie zginęła!

Tak, to z pewnością była doskonała wróżba dla mnie.

– Ty tymczasem zupełnie nie dorastasz do oczekiwań, jakie wszyscy wobec ciebie mieliśmy – kontynuowała ciotka obrażonym tonem, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że słuchałam jej jednym uchem. – Twój rodzice byliby bardzo rozczarowani, gdyby to widzieli.

Na szczęście ojciec zdążył zginąć, zanim to stało się jasne, a matka nabawiła się od tego choroby psychicznej i żadne z nich nie musiało się za mnie wstydić. Co za ulga.

– Nikt nigdy nie zapytał mnie, czy chcę, żeby stawiano wobec mnie takie oczekiwania – odpowiedziałam. – Nie potrafię działać pod presją. Jestem bibliotekarką, a nie legendarną założycielką klanu czarownic, o której nie wiadomo nawet, czy na pewno istniała. I nie chcę się z nią mierzyć, bo i tak nie mam szans wyjść z tego zwycięsko. Wolę już pójść w drugą stronę i rozczarować was tak bardzo, jak tylko się da.

Poparzyłam się herbatą, którą właśnie próbowałam przelknąć, chociaż byłam pewna, że jeszcze chwilę wcześniej wcale nie była taka gorąca. Ciotka Ava opanowała do perfekcji dyskretne rzucanie zaklęć.

– Nie ma wątpliwości co do tego, czy Margo McKenzie istniała – stwierdziła stanowczo. – Ty natomiast mogłaś przynajmniej nie przynieść nam wstydu i stać się porządną czarownicą, gdybyś nie odmówiła szkolenia. Jeszcze będziesz miała z tego powodu problemy, zobaczysz.

Zacisnęłam mocno wargi, żeby nie wspomnieć przypadkiem o problemach, które już się pojawiały. Ciotka niekoniecznie musiała wiedzieć, że nie panuję nad swoją magią, że ta czasami wymyka

mi się spod kontroli po prostu dlatego, że jej nie używam i mam jej za dużo. To by tylko utwierdziło ciotkę w przekonaniu, że ma rację.

– To naprawdę bardzo fascynująca rozmowa, ciociu, ale nie mam teraz na to czasu. – Odstawiłam kubek na blat i wepchnęłam do ust ostatni kęs kanapki. – O ósmej muszę być w pracy. Mamy mnóstwo roboty, przyjechała nowa dostawa książek i trzeba je wszystkie skatalogować, odpowiednio opisać i poumieszczać we właściwych działach.

Ciocia zmarszczyła nos z niesmakiem.

– Gdybyś używała czarów...

– Możesz nakarmić kota, zanim wyjdiesz, proszę? – przerwałam jej, ponieważ się przypominając sobie o śpiącym na kaloryferze futrzaku. Przynajmniej w tym przypominałam prawdziwą czarownicę. Miałam kota. Czarnego. – I zamknij za sobą drzwi na klucz. Pa!

– Jakby ktokolwiek kiedykolwiek zdecydował się okraść którąkolwiek siedzibę McKenziech – mamrotała za mną ciotka. – Przecież wszyscy wiedzą, że chroni cię rodzina...

Nie słuchałam więcej; zatrzasnęłam za sobą drzwi i wybiegłam na ulicę, gdzie mżył drobny deszcz. Nienawidziłam takiej pogody. Spod mojego domu na Argyle Street szło się raptem piętnaście minut do biblioteki w Inverness, gdzie pracowałam od roku. Rodzina niespecjalnie pogodziła się z faktem, że po skończeniu studiów nie wróciłam do domu rodzinnego, tylko przeprowadziłam się tutaj. Zgodnie przyrównywali mój dwupokojowy domek do kurnika. Rzeczywiście był nieduży, parterowy, z dachem pokrytym starą dachówką i z mikroskopijnym trawnikiem oddzielonym od chodnika niewysokim murkiem i żelazną furtką. Lubiłam go jednak i nie zwracałam uwagi na pretensje rodziny.

Droga do biblioteki wiodła przez Ardconnel Street, nad którą z obydwu stron pochylały się stare, kilkupiętrowe kamienice, a potem Academy Street z licznymi sklepami i butikami. Moje miejsce pracy mieściło się na skwerze przy zajezdni autobusowej, mimo deszczu jednak wolałam otworzyć nad głową parasolkę, opatulić się szczelniej ramoneską i iść pieszo. Lubiłam Inverness. Choć na ulicach panował spory ruch, nadal czuło się tu klimat dawnych czasów.

Biblioteka miejska odznaczała się od innych budynków fasadą opartą na sześciu kolumnach. W środku zawsze było chłodno, a po pomieszczeniach niesło się echo.

Przez hol przeszłam do głównej sali bibliotecznej z wysokim sufitem i dalej, do czytelnii. Tam za kontuarem siedział już znudzony Eddie.

Charlie rzeczywiście była moją przyjaciółką od dzieciństwa, ale pod względem charakterów przez lata trochę się rozeszłyśmy – ona stała się dużo bardziej imprezowa, ja byłam typowym molem książkowym. Eddie zaś kojarzył wszystkie moje literackie nawiązania, potrafił rozmawiać ze mną godzinami o książkach i fascynował się każdą nowo wydaną pozycją sci-fi i fantasy. O rok ode mnie młodszy, wysoki, chudy jak tyczka, o pociągłej twarzy z jasną, woskową cerą i niebieskimi oczami, przypadł mi do gustu już mojego pierwszego dnia w pracy rok wcześniej. Na szczęście z wzajemnością.

– Cześć, ruda więdźmo – przywitał się ze mną jak zawsze. – Ładna dzisiaj pogoda, co? W sam raz na sabat.

Przewróciłam oczami, zdejmując kurtkę i rzucając ją na blat przed nim. Eddie z westchnieniem odwiesił ją na wieszak.

– Przestań, proszę – jęknęłam. – Od wszystkich dookoła wciąż słyszę o tym cholernym sabacie. Jak jeszcze raz ktoś o tym wspomni, zacznę rzucać zaklęciami.

– Przykro mi, ale nie umiesz. – Zaśmiał się. – Czyli humor dopisuje?

– A co u ciebie? – Przeszłam za kontuar i chwyciłam wózek z książkami, których poprzedniego dnia nikomu nie chciało się rozwieźć na miejsce. – Co słychać?

– Matka powiedziała mi, że muszę się wyprowadzić.

– Serio? – Eddie jako jedynek był oczkiem w głowie mamusi, zwłaszcza że jego ojciec zmarł jakiś czas wcześniej. Kolejna rzecz, która nas łączyła. – Wydawało mi się, że nigdy nie wypuści cię z domu.

– Ja też tak myślałam – westchnął. – To chyba dlatego, że przedstawiłam jej Sophie. Obraziła się śmiertelnie i oznajmiła, że skoro jestem już taki dorosły, zarabiam na siebie i w ogóle, to powinienem się wyprowadzić.

– Poproś Sophie, może przenocuje cię w sklepie. Albo u siebie. – Sophie, dziewczyna Eddiego, prowadziła miejscową księgarnię z komiksami. – Kiedy ma nastąpić wyprowadzka?

– Jak najszybciej. Serio, zamiast się śmiać, lepiej zaproponowałambyś mi gościnę.

Zaśmiałam się. Jasne, Eddie w moim dwupokojowym domku z kotem. Chyba musiałby spać w łazience.

– Masz dziewczynę, Eddie, ją zapytaj – powtórzyłam, pchając wózek.

Eddie zrobił nieszczęśliwą minę.

– Ale Sophie mieszka z rodzicami...

Najwyraźniej przeznaczenie skazało tych kochanków na porażkę. Dobrze, że ja nie miałam takich problemów. W końcu wszyscy faceci, którzy mieli dość oleju w głowie, żeby mogli się nimi zainteresować, bali się wszystkich kobiet z rodziny McKenziech.

Rozdzwoniła się moja komórka, wyjęłam ją więc z tylnej kieszeni dzinsów, żeby spojrzeć na wyświetlacz. Skrzywiłam się. Rodzina nie odpuszczała.

– Dzień dobry, ciociu – odebrałam. Oddalając się z wózkiem, słyszałam jeszcze chichot Eddiego. Wiedział, co przeżywałam. Nieraz opowiadałam mu o mojej nieco toksycznej rodzinie. – Co słychać?

– Cześć, Margo. – Ciocia Georgia była chyba tą najbardziej rozsądną spośród wszystkich. A może uważałam tak dlatego, że dzieliła nas najmniejsza różnica wieku, bo ciocia miała ledwie trzydzieści pięć lat. Nie byłoby nic dziwnego w tym, gdybym mówiła jej po imieniu. – Dzwonię, żeby cię ostrzec, że wkrótce przeżyjesz pewnie zmasowany atak. Ava opowiedziała już wszystkim, że nie chcesz przyjść na sabat. Wiesz, że to będzie pierwszy sabat Skye? Obydwie z ciotką Imogen są obrażone.

Świetnie, ciotce Avie jak zwykle można było zaufać.

Ale w sumie co za różnica, czy się wygadała. Moja rodzina i tak zawsze wiedziała, co się u mnie działo. Zasluga ciotki Elsie, naszego rodzinnego medium.

– Pomarudzą trochę i dadzą sobie spokój – odpowiedziałam. – Nie wybieram się na żaden sabat i nie zamierzam zmienić zdania. Będę pić wino, oglądać *Pięćdziesiąt twarzy Greya*, jeść popcorn i rozmawiać z Charlie o facetach.

– Wszystko jestem w stanie zrozumieć, Margo, naprawdę – odparła ciotka Georgia z niesmakiem – ale *Pięćdziesiąt twarzy Greya*? Poważnie?

– To właśnie oglądają normalni ludzie – wyjaśniłam z uporem. – A ja jestem normalnym człowiekiem. Całkowicie normalnym.

– Masz rude włosy i niebieskie oczy, już to nie jest normalne – zaprotestowała. – Wiesz, że u ludzi to jedno z najrzadszych połączeń genetycznych?

– Do czego zmierzasz?

– Nie ma czegoś takiego jak normalny człowiek – wyjaśniła. – Każdy z nas jest inny, w jakiś sposób wyjątkowy. Jeden pięknie maluje, drugi jest wirtuozem jakiegoś instrumentu muzycznego, a trzeci włada magią. Mówiąc, że chcesz być normalna, wcale nie masz tego na myśli. Chcesz po prostu, żeby nikt się ciebie nie bał przez to, że nie potrafiłby cię kontrolować. Jak ci to idzie, co?

– Szło mi świetnie, dopóki nie wróciłam do Inverness – mruknęłam.

– Więc po co wróciłaś?

Wszyscy chyba się nad tym zastanawiali. Byłam pierwszą studentką na obu kierunkach – filologia i bibliotekoznawstwo – i spędziłam cztery lata w Oxfordzie. Raczej nikt się nie spodziewał, że wrócę do Inverness. Rodzina postawiła na mnie krzyżyk. Znajac moją niechęć do magii, sądzili, że ucieknę od niej jak najdalej.

Nie potrafili zrozumieć jednego – ja po prostu czułam, że tu jest moje miejsce. Dobrze mi było w moim mieście i lubiłam wracać do domu rodzinnego, wokół którego rozciągały się wrzosowiska.

Tęskniłam też za rodziną, jakkolwiek denerwująca bywała. Tęskniłam za stanowczością ciotki Avy, za zdrowym rozsądkiem ciotki Georgii, za surowością ciotki Imogen, nieco zwariowanym sposobem bycia ciotki Elsie i za ciepłem ciotki Lauren. Tęskniłam też za moimi na wskroś współczesnymi kuzynkami i babcią, osobą, która praktycznie mnie wychowała, kiedy zabrakło moich rodziców. Ponieważ byłam niejako niczyja, byłam wszystkich. Wszyscy oni kochali mnie jak własną córkę, a ja nie potrafiłam tak po prostu odwrócić się od tego plecami.

Nawet jeśli w rezultacie wszyscy mężczyźni mnie o głupi sabat, lekcje rzucania zaklęć i znalezienie sobie porządnego faceta, co w okolicach Inverness, gdzie niemalże wszyscy bali się kobiet z rodziny McKenziech, było praktycznie niemożliwe. Serio, prawie wszystkie moje ciotki znalazły mężów gdzieś na wyjazdach.

– Ciociu, przepraszam, ale nie mam teraz za bardzo czasu – odpowiedziałam w końcu. – Jestem w pracy.

– Jasne, dziecino – westchnęła, a potem dodała: – Chwilkę, ciocia Elsie chce ci coś przekazać.

Oho, to zapewne znaczyło, że miała kolejną bardzo niejasną wizję. Uwielbiałam wizje cioci Elsie, bo zazwyczaj nie wiadomo było, co ani dlaczego ma za ich pomocą do przekazania.

– Elsie mówi, żebyś... nie szła na sabat? – dokończyła ciocia Georgia ze zdziwieniem. Na moment głosy stały się przytłumione, co zapewne oznaczało, że zasłoniła głośnik ręką i coś omawiała, a potem znowu usłyszałam wyraźnie jej głos: – Tak, najwyraźniej Elsie uważa, że jednak nie powinnaś iść. No, skoro Elsie tak mówi, to chyba rodzina da ci spokój.

Wcale mnie to nie uspokoiło.

– Zaraz, zaraz – powiedziałam, zatrzymując się na środku czytelnicy. – Dlaczego tak mówi? Powinam się bać? Stanie mi się coś złego? Albo wam?

Czekałam przez chwilę, podczas gdy ciocia Georgia znowu coś konsultowała. A potem ku mojej uldze odpowiedziała:

– Elsie nie sądzi, żeby chodziło o coś złego. Po prostu nie chce, żebyś szła na sabat.

– To przynajmniej znaczy, że przestaniecie się mnie czepiać – mruknęłam.

Ciocia Georgia zaśmiała się do słuchawki.

– No wiesz! To nie czepianie się, to zwykła rodzinna troska!

Zwykła rodzinna troska. Czasami dusiłam się od tego nadmiaru miłości i zaczynałam się zastanawiać, czy przeprowadzka do Londynu aby na pewno nie byłaby lepszym wyjściem.

– W takim razie przekaż, proszę, reszcie rodziny, że nie muszą się o mnie martwić – poprosiłam. – Trzeba słuchać cioci Elsie. Upewnij się też, bardzo proszę, że ciocia Imogen zrozumiała to wystarczająco dokładnie.

Najbardziej obawiałam się konfrontacji z ciotką Imogen. Najstarsza z moich ciotek była też najstraszniejsza, straszniejsza nawet od babci. Z babcią sobie radziłam, bo miała do mnie słabość, ciotka Imogen natomiast nigdy mnie nie lubiła. I zawsze porównywała mnie ze swoją idealną starszą córką, Willow, która będąc w moim wieku, rozkręcała już własną firmę, a wcześniej skończyła z wyróżnieniem dwa fakultety, i to nie jakieś bezużyteczne badziewie jak ja, tylko porządne zarządzanie i marketing oraz księgowość.

Równocześnie była na tyle dobra w czarach, że ciotka Ava, która ją szkoliła, po dwóch latach stwierdziła, że nauczyła ją już wszystkiego. Willow prawdopodobnie była cyborgiem, ale nigdy nie udało mi się tego udowodnić.

Mając w domu taki chodzący ideał, ciotce Imogen trudno było uwierzyć, że ktoś może nie być tak samo pojętny, co bardziej niż na mnie odbijało się na jej drugiej, młodszej córce, Skye. Skye, ledwie osiemnastoletnia, nigdy nie była wzorową uczennicą ani córką, co niejednokrotnie powodowało konflikty między nią a ciotką.

Kiedy wreszcie skończyłyśmy rozmawiać, wyciszyłam telefon i wzięłam się do pracy, obiecując sobie, że więcej nie dam się rozproszyć.

Rozłożyłam książki i udałam się na zaplecze, gdzie w niewielkiej zakurzonej klitce przez kolejne godziny katalogowałam nową dostawę. Chociaż siedziałam sama kupę czasu w ciemnym i ciasnym pomieszczeniu, nie przeszkadzało mi to. Lubiłam to zajęcie.

Dopiero około południa od pracy oderwał mnie sygnał SMS-a. Pisała Charlie.

Piątek aktualny czy rodzinka

jednak zaciąga cię na spęd czarownic?

Przewróciłam oczami. Jak zawsze bezpośrednio.

To się nazywa sabat, odpisałam.

I oczywiście, że piątek aktualny. Odpuścili.

Nie wierzę! Postawiłaś się im?!

Nie rozumiałam, dlaczego Charlie uważa to za takie nieoczekiwane. W końcu nieraz stawiałam się rodzinie. Na przykład odmawiając szkolenia. Albo idąc na studia, jakie ja chciałam skończyć, a nie na jakich widziały mnie babcia i ciotki. Odpisałam:

Oczywiście.

Przynieś wino, ja skombinuję coś do jedzenia.

Kolejny SMS od Charlie rozbawił mnie jeszcze bardziej.

Margo będzie gotować?! Nie mogę tego przegapić!

To chyba nie była drwina. W końcu lubiłam i umiałam gotować – normalnie, bez użycia magii, chyba jako jedyna z całej mojej rodziny.

W takim razie jesteście umówione

– wystukałam, po czym wróciłam do pracy.

Wtedy jeszcze nie miałam żadnych złych przeczuć.



2. Jak poderwać kogoś na kota

Piątek był moim dniem wolnym od pracy. W zasadzie wcale nie chciałam go brać, ale moja szefowa, Beatrice, uznała, że na pewno będę chciała przygotować się na równonoc jesienną. Nie protestowałam.

Przedpołudnie postanowiłam wykorzystać na wizytę u weterynarza, żeby zaszczepić Chandlera. Zapakowałam go do transportera i – jak zwykle pieszo, chociaż nadal mocno padało – udałam się do gabinetu. Na szczęście znajdował się niedaleko, ledwie parę ulic od mojego domu. Był to niewielki, wciśnięty między dwa sklepy odzieżowe punkt składający się zaledwie z poczekalni i jednego pomieszczenia. Zielony szyld głosił, że w tym miejscu przyjmuje doktor weterynarii Ross Shepard.

Zdjęłam z głowy kaptur bordowej kurtki przeciwdeszczowej i wkroczyłam do środka, niosąc przed sobą syczący transporter.

W poczekalni było zupełnie pusto; przechylony przez kontuar doktor Shepard rozmawiał wesoło ze swoją recepcjonistką, Eleanor.

– Margo! – zawołała na mój widok, uśmiechając się do mnie szeroko. – Mam nadzieję, że Chandlerowi nic się nie stało?

Odpowiedziałam uśmiechem i ze stęknieniem postawiłam transporter na blacie. Skurczybyk ważył kilkanaście funtów.

– Przyniosłam go tylko na okresowe szczepienia – odparłam, po czym przeniosłam wzrok na weterynarza. – Dzień dobry.

Zaczęłam się trochę denerwować. Doktor Shepard się wyprostował, włożył ręce do kieszeni białego kitla i posłał mi wesołe spojrzenie niebieskich oczu. Miałam wrażenie, że moje serce na moment przestało bić.

– Dzień dobry, panno McKenzie – odpowiedział, po czym zrobił zachęcający gest ręką. – Zapraszam do środka. Akurat nie mam żadnych pacjentów.

Kiedy sięgnęłam po transporter, ubiegł mnie i sam go podniósł, za co podziękowałam nerwowym uśmiechem. Podchwyciłam niedowierzające spojrzenie Eleanor, która kręciła głową z dezaprobatą (uważała, że dawno powinniśmy zacząć mówić sobie po imieniu), ale zignorowałam ją i poszłam do gabinetu.

Problem w tym, że Ross Shepard miał dziewczynę. A szkoda, bo naprawdę mi się podobał. Jako jeden z niewielu facetów w Inverness zachowywał się wobec mnie przyjaźnie. Miał miły uśmiech, regularne rysy, niebieskie oczy, nieco rozczochrane, jasnobrązowe włosy, był wysoki i szczupły – krótko mówiąc, naprawdę przystojny.

Niestety miał jedną wadę. Zazdrosną dziewczynę, która często wpadała do jego gabinetu, gdy pracował.

– Dobrze, zobaczymy naszego małego pacjenta.

Weterynarz założył rękawiczki, otworzył transporter i nie bez problemów wyjął wciąż syczącego Chandlera. Kiedy kot go zadrapał, rzuciłam się do przodu.

– Może ja...

– Spokojnie, dam sobie radę. – Ross uśmiechnął się lekko. – Co by ze mnie był za weterynarz, gdybym nie dał? Szczepimy na wściekliznę?

Potwierdziłam mruknięciem.

Lekarz zaczął uspokajająco głaskać Chandlera, na co ten zareagował głośnym mrużeniem. To nie było w jego stylu, zazwyczaj bał się obcych.

– Potrzyj go pani teraz? Przygotuję szczepionkę.

Posłusznie przejęłam zwierzątko i zaczęłam wodzić wzrokiem za weterynarzem. Krzątał się, zaglądając po drodze do komputera, gdzie miał wszystkie informacje dotyczące mojego pupila.

– W zasadzie to nigdy nie pytałem... Dlaczego Chandler? Czyżby wielbicielek kryminalistów?

– Tak, właściwie to tak – przyznałam. – Lubię Raymonda Chandlera. No wie pan, *Kłopoty to moja specjalność*...

– Nie wygląda pani na kogoś, komu pasowałby ten tytuł. – Zaśmiał się, wracając do mnie już z pełną strzykawką i środkiem dezynfekującym. – Na czarownicę zresztą też nie. Raczej wygląda pani... całkiem normalnie. A tak poza tym, jestem Ross.

Serce mi podskoczyło, gdy wyciągnął do mnie dłoń w jednorazowej rękawiczce. Chwyliłam mocno Chandlera lewą ręką, a drugą podałam... Rossowi.

– Margo – powiedziałam nieco zachrypniętym głosem.

– Już dawno miałem ochotę to zrobić – przyznał z zadowoleniem, zabierając się za szczepienie. Ani się obejrzelismy, a już było po krzyku. – Masz bardzo ładne imię.

– Dziękuję – bąknęłam, próbując zmusić Chandlera, żeby wrócił do transportera. – Dostałam je po założycielce naszego rodu. Podobno to była wielka czarownica. Zupełnie nie jak ja. – Te ostatnie słowa dodałam ze względu na niego. Wolalabym, żeby widział we mnie kobietę, a nie czarownicę.

– Tak, słyszałem opowieści o Margo McKenzie – przyznał. – Zawsze mnie fascynowały. Może kiedyś opowiedziałabyś mi o tym coś więcej?

Serce znowu mi podskoczyło. Spokój, głupie serce!

– Nie widzę problemu – odpowiedziałam beztrąsko. – Może przy okazji kolejnej wizyty z Chandlerem.

– Chociaż bardzo lubię Chandlera, myślałem raczej o czymś po pracy – sprostował, a ja zagapiłam się na niego przez moment, przez co straciłam czujność i dałam się chlasnąć Chandlerowi po dłoni pazurem. – Może jakaś wspólna kolacja? Przychodzisz tu prawie od roku, a ja prawie nic o tobie nie wiem.

– Każdego swojego klienta zapraszasz na kolację? – zapytałam lekko.

Ross zaśmiał się i pokręcił głową.

– Nie, nie każdego. Tylko tych ładnych i czarujących.

Z wahaniem spojrzałam na niego spod rzęs. Przecież on ma dziewczynę!

– A twoja dziewczyna nie będzie o to zła? – drażyłam, starając się brzmieć tak, jakby mnie to wcale nie obchodziło. – Nie chciałabym mieć problemów, gdyby pomyślała sobie za dużo czy coś...

– Nie musisz się tym przejmować. To, co myśli Dana, to już tylko jej sprawa – odpowiedział Ross ze smutnym grymasem. – Rozstaliśmy się jakiś miesiąc temu. Dziwne, że nic nie słyszałaś, myślałem, że Eleanor ci o tym wspomni.

Nie, Eleanor nic nie wspominała, może dlatego, że przez ostatni miesiąc się nie widziałyśmy. Właściwie prawie z nikim się nie spotykałam. Ale nie powiedziałam tego Rossowi, żeby nie uznał mnie za nietowarzystką.

– Jakoś się nie złożyło – bąknęłam. – Bardzo mi przykro. Chyba długo ze sobą byliście?

– Za długo. – Zaśmiał się. – Od studiów. Dana... powiedzmy, że oczekiwała od życia czegoś innego niż ja. Ale nie mówmy już o tym, proszę. To co z tą kolacją? Dasz się zaprosić?

Przez moment wpatrywałam się w niego bez słowa. Miałam do tego faceta słabość, odkąd chodziłam do niego z Chandlerem. Nigdy wcześniej nie dawał mi do zrozumienia, że mógłby być mną zainteresowany. A teraz co, rozstał się z Daną i od razu szuka nowej dziewczyny?

– Jasne – odpowiedziałam w końcu. A co mi szkodzi! – Masz jakąś wizytówkę?

Podał mi dwie – jedną schowałam do portfela, a na drugiej nabazgrałam swój numer, zanim mu ją oddałam.

Ross spojrzał na nią z zadowoleniem.

– Zadzwoń – obiecał.

– Trzymam cię za słowo.

Uciekłam z gabinetu, zanim zdążyłam powiedzieć coś głupszego. Zatrzymałam się dopiero przy recepcji. Położyłam na kontuarze transporter z Chandlerem i zwróciłam się do Eleanor, żeby zapłacić za wizytę.

– Nie kasuj tej pani – usłyszałyśmy nagle głos Rossa, który wychylił się za mną z gabinetu. Poczulałam rumieniec wypelzający mi na policzki. – Przynajmniej będziesz miała u mnie dług, Margo.

Kiedy wyszedł, Eleanor z ekscytacją zaczęła pytać o przebieg naszej rozmowy.

– Przecież widziałam, że przez ostatnie miesiące robiłaś do niego maślane oczy – szepnęła konspiracyjnie. – Musisz kuć żelazo, póki gorące, skoro rozstał się z Daną. Umówiliście się, co?

Z zażenowaniem pokręciłam głową.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Czyli tak! – pisnęła radośnie. – No i dobrze, wolę ciebie od tych wszystkich głupich lasek, co tu przychodzą. Z tobą nigdy nie można się nudzić.

– Dlatego, że jestem czarownicą? – prychnęłam.

– Twoja rodzina już o to zadba – przyznała. – Pewnie każdy facet, który się z tobą zwiąże, będzie miał z nimi ciężko, ale Ross sam ma dużą rodzinę, więc nie będzie mu to przeszkadzało.

– Uważaj, bo zaraz wybierzesz mi datę ślubu. – Roześmiałam się. – To nic takiego. Dałam mu tylko swój numer. Nawet się jeszcze nie umówiliśmy.

– „Jeszcze” jest tutaj słowem kluczowym. – Eleanor do mnie mrugnęła. – A teraz zmykaj, nie chcesz się chyba spóźnić na sabat?

– Nie idę na żaden sabat, Eleanor – westchnęłam, chwytając transporter z Chandlerem. – Myślałam, że to oczywiste.

– Niby tak, ale cały czas mam nadzieję, że namówię cię na używanie zaklęć. Byłoby ekstra! Chciałabym to kiedyś zobaczyć.

Pożegnałam się i wyszłam na zewnątrz, po drodze naciągając na głowę kaptur. Eleanor była chyba najbardziej ciekawskim stworzeniem, jakie znałam.

Kiedy dotarłam do domu, zauważyłam, że drzwi są otwarte. Nie zmartwiło mnie to, westchnęłam tylko z irytacją. Nikt z mojej rodziny nigdy nie dostał drugiego kompletu kluczy, a jednak wszyscy i tak wchodzili do środka, gdy chcieli, zwłaszcza ciotki.

– Cześć! – wykrzyknęłam w przestrzeń, niepewna, kogo zastanę w środku. Zaraz jednak do mojego nosa doleciał przyjemny zapach, chyba jakiegoś mięsnego sosu, i już nie musiałam dłużej zgadywać. – Ciociu Lauren? To ty?

– Oczywiście, że ja, kochanie. – Ciotka wyjrzała z kuchni i uśmiechnęła się ciepło. – Skąd wiedziałaś? Użyłaś magii?

Roześmiałam się, bo w jej głosie usłyszałam nadzieję. Pokręciłam głową, po czym postawiłam transporter na podłodze i wypuściłam Chandlera. Syczał z niezadowoleniem, ale nie ruszył się ani o krok, żeby wyjść. Zostawiłam go więc w spokoju, zdjęłam przemoczone buty i kurtkę, po czym dołączyłam do cioci w kuchni.

– Nie, ciociu. Po prostu ty jedyna gotujesz, kiedy do mnie przychodzisz – wyjaśniłam, przytulając ją.

Ciocia Lauren była po czterdziestce. Podobnie jak ja miała niebieskie oczy, a włosy trochę jaśniejsze od reszty rodziny, w ładnym, miodowym odcieniu. Spinała je w nieporządny kok na czubku głowy. Mniej więcej mojego wzrostu, o luźnym stylu ubierania się i pulchnej twarzy, zupełnie nie przypominała swojej starszej siostry, ciotki Imogen. Już prędzej kuzynkę, ciotkę Elsie.

Ciotka Imogen, ciotka Lauren i moja matka były siostrami, córkami mojej babci, Caitlin McKenzie. Z kolei ciotka Ava, ciotka Elsie i ciotka Georgia były córkami młodszej siostry babci. Ciotka Lauren nigdy nie wyszła za męża i nie miała własnych dzieci, przez co traktowała mnie jak córkę. Miała najmiłsze usposobienie ze wszystkich moich ciotek, a w dodatku zawsze stała za mną murem. W rodzinie niestety niespecjalnie respektowano jej zdanie.

Ciotka Lauren zajęła się tym, co wychodziło jej najlepiej – gotowaniem. Jak nikt znała się na

przyrządzaniu wywarów i eliksirów, ale lubiła też przygotowywanie jedzenia. Uważała, że jestem niedożywiona, i chyba dlatego gotowała za każdym razem, gdy do mnie wpadała.

– Byłaś u tego przystojnego weterynarza? – Chyba cała rodzina wiedziała o moim idiotycznym zauroczeniu Rossem. Tak to już jest, jak ma się wokół siebie czarownice. – Na twoim miejscu bardziej martwiłabym się o Chandlera i chodziłabym do niego częściej.

Chciałam zajrzeć do garnków, ale dała mi po łapach.

– Jeszcze niegotowe – wyjaśniła, z uśmiechem grożąc mi palcem. – Zjemy razem, kiedy przyjdzie Charlie. Dawno jej nie widziałam i chcę zapytać, co u niej. Nie będziesz miała nic przeciwko?

Machnęła ręką i gaz sam włączył się pod garnkiem z wodą.

Pokręciłam głową.

– Oczywiście, że nie, ciociu. – W przeciwieństwie do ciotki Avy albo mojej babci ciotka Lauren bardzo lubiła Charlie. – A jeśli chodzi o weterynarza, chodzę do niego dokładnie tak często, jak potrzebuje tego Chandler. Wiesz, że nie lubi podróżować w transporterze i zawsze się denerwuje.

– Rany, czyli bardziej przejmujesz się samopoczuciem kota niż przystojnym weterynarzem? – zdziwiła się. – Jak ty zamierzasz kiedykolwiek kogoś sobie znaleźć, Margo? Nie bierz ze mnie przykładu, samotne życie z twoimi ciotkami może przyprawić o chorobę psychiczną.

O tak, wierzyłam w to.

– Ross ma dziewczynę, wiesz...

– Już nie. – Uśmiechnęła się figlarnie. – Słyszałam, że rozstali się jakiś czas temu. Nie mów, że jeszcze o tym nie wiesz. Jeśli nie on, to ta jego recepcjonistka już na pewno cię poinformowała.

Rany. Ciotki ciągle miały nadzieję na wyswatanie mnie z kimś z okolicy, żebym już na zawsze została w Inverness.

W rodzinie McKenziach mężczyźni byli raczej tłem. Wszystkie ciotki miały spokojnych, cichych mężów, którym nie przeszkadzała kobieca dominacja. Prawdę mówiąc, ja miałam nadzieję na kogoś innego – i może dlatego wciąż byłam sama.

– Więc Ross pasuje do waszego obrazu mojego męża? – zapytałam nieco drwiąco, wyjmując z szafki talerze, a z szuflady sztucce. – Spokojny, bezpieczny, sympatyczny, wystarczająco zakorzeniony w okolicy?

– No wiesz! – prychnęła ciotka Lauren. – Zależy mi na twoim szczęściu, a to ty wodzisz za nim rozmarzonym wzrokiem, nie ja, prawda? Myślisz, że jest w naszej rodzinie ktoś, kto tego nie zauważył? Założę się, że nawet on o tym wie!

Miałam nadzieję, że nie.

– Po to tu przyszłaś? Żeby rozmawiać o moich planach matrymonialnych? – zapytałam nieco zbyt napastliwie. – Przepraszam, oczywiście cieszę się, że jesteś, i dziękuję, że dla mnie gotujesz, po prostu...

– Tak, rozumiem – przerwała mi. – Właściwie to chciałam porozmawiać o czymś innym. Słyszałam, że Elsie powiedziała ci, że nie powinnaś iść na sabat.

Wzruszyłam ramionami.

– Właściwie to ciocia Georgia mi o tym powiedziała. Nie słyszałam tego bezpośrednio.

– Trochę mnie to zmartwiło – przyznała, wrzucając makaron do gotującej się wody. – Elsie zawsze widzi przyszłość w specyficzny sposób. Tym razem jednak... Nie spodobało mi się to, co usłyszałam.

Zmarszczyłam brwi. Wizje ciotki Elsie bywały różne. Kiedyś zadzwoniła do mnie z informacją, że martwi się o mnie i że widziała przy mnie jakiś ponury cień. Tego samego dnia miałam wypadek samochodowy, w którym złamałam kręgosłup, i przez trzy miesiące dochodziłam do siebie, zanim się zrosł. Innym razem zakazała cioci Georgii wsiadać do samolotu, którym miała lecieć do Londynu, do ciotki Agnes, jedynej córki trzeciej siostry babci, a potem się okazało, że samolot rozbił się zaraz po starcie i chociaż większość osób uratowano, zginęły dwie siedzące w tym samym rzędzie, w którym znajdowało się miejsce cioci.

Informacja, że nie powinnam wybierać się na sabat, była więc dla mnie dosyć oczywista i brzmiała jak jedna z tych, które otrzymywaliśmy od ciotki w przeszłości. Tym bardziej nie rozumiałam,

co miała na myśli ciocia Lauren.

– Dlaczego? – zapytałam. – Jej słowa brzmiały dosyć standardowo.

– Bo nie słyszałaś tego na żywo... – odpowiedziała ciocia z wahaniem. Spojrzałam na nią ponagląco, bo coraz mniej mi się to podobało. Kobiety z rodu McKenzie nie miały przed sobą tajemnic. Co więc takiego powiedziała ciotka Elsie, czego nie mogłam usłyszeć? – Nieważne, to pewnie nic takiego, ale chciałam cię zapytać, jakie masz plany na ten wieczór.

Odpuściłam. Nie musiały mnie interesować wszystkie wizje cioci, prawda?

– Nic ciekawego. Przychodzi Charlie, wypijemy jakieś wino i coś obejrzymy. To wszystko.

– Na pewno? – dociekała. – Nie będziecie nigdzie wychodzić?

– Na pewno! – Zaśmiałam się. – Możecie spokojnie iść na swój sabat. Niczego wam nie popsuję.

Podejrzewałam, że o to chodziło z tą wizją: gdybym poszła na sabat, pewnie bym coś pokomplikowała.

– Dobrze, trzymam cię za słowo. – Słowa ciotki utwierdziły mnie w tym przekonaniu. – Nie mówmy już o tym. Umówiłaś się w końcu z tym weterynarzem? Jesteś słodka i on na pewno już dawno to dostrzegł. A skoro wreszcie rozstał się z tą swoją głupią dziewczyną, dlaczego nie miałby zaprosić cię na randkę?

Pozwoliłam na zmianę tematu, nawet jeśli niekoniecznie chciałam rozmawiać o Rossie i o tym, że obiecał zadzwonić. Przynajmniej dopóki faktycznie się nie umówimy. Potem mogłam biegać z okrzykiem zwycięstwa na ustach, na razie wołałam je zasznurować.

Razem skończyłyśmy przygotowywać obiad, po czym wysłałam SMS do Charlie, żeby się pospieszyła, jeśli chce zjeść gorący obiad.

Pojawiła się na moim progu jakieś piętnaście minut później, w dłoni dzierżąc butelkę czerwonego wina. Teleportowała się czy jak?

Uścisnęła mnie, a potem równie wylewnie przywitała się z ciotką. Charlie taka już była – lubiła wszystkich, niezależnie od tego, czy inni lubili ją.

Znałam ją jeszcze ze szkoły. Kiedy inne dzieci dokuczały mi, nazywając mnie dziwadłem, Charlie zawsze wstawiała się za mną. W tamtych czasach była chłopczycą, gotową powalić każdego na ziemię i chodzącą wyłącznie w wytartych na kolanach spodniach.

Obecnie spodnie zamieniła na krótkie, obcisłe spódnice i sukienki. Malowała się nawet nieco zbyt mocno, jakby chciała zakryć w ten sposób oblicze chłopczycy z dzieciństwa. Ciemne, niemalże czarne proste włosy sięgały jej za pas. Ładnie komponowały się z nimi niebieskie oczy Charlie i jej jasna porcelanowa cera. Była nieco wyższa ode mnie i znacznie szczuplejsza.

W przeciwieństwie do mnie Charlie nigdy nie poszła na studia. Zamiast tego została w Inverness, zatrudniła się w jednym z tutejszych barów i zaręczyła z jego właścicielem, Nickiem.

– Zamierzam cię dzisiaj upić – oznajmiła, nie przejmując się obecnością cioci. – I nie chcę słyszeć, że jesteś śpiąca albo zmęczona. Miałaś wolny dzień, to najlepszy moment, żeby zaszaleć!

Wspominałam już? Charlie uwielbiała szaleć. Nie to co ja.



3. Jak wymyślić zaklęcie

– Mam dla ciebie jedno słowo, Margo. Ross.

Kiedy już zjadłyśmy obiad i ciotka Lauren się pożegnała, otworzyłyśmy wino. Na te słowa Charlie wręcz musiałam się napić. Serio, czy była na świecie osoba, która NIE zamierzała mnie pytać o Rossa?

– Widziałam się wcześniej z Eleanor w sklepie – dodała, wzruszając ramionami. – Wspominała coś o twojej dzisiejszej wizycie w jego gabinecie. Dlaczego nie wiedziałam, że rozstał się z tą okropną Daną?

Charlie hołdowała nie tylko dewizie „Przyjaciół mojego przyjaciela jest moim przyjacielem”, ale też „Wróg mojego przyjaciela jest moim wrogiem”. Nie żebym uważała byłą dziewczynę Rossa za swojego wroga, ale mimo wszystko jej nie lubiłam. Była irytująca, pyskata i wiecznie niezadowolona, a poza tym... no właśnie, była dziewczyną Rossa.

Wzięłam duży łyk wina i rozejrzałam się po pokoju, próbując grać na czas. Kiedy mój wzrok padł na kominek w kącie salonu, przypomniałam sobie, że przecież miałam w nim napalić. Nawet zgromadziłam w środku drewno.

Zanim zdążyłam zrobić w jego kierunku choćby jeden ruch, poczułam dziwne, ciepłe mrowienie w rękach; w następnej chwili błysnęło i w kominku zapłonął ogień.

Charlie drgnęła gwałtownie i zakrztusiła się winem.

– Rany, Margo, nie rób tak nigdy więcej! – krzyknęła, kiedy już przestała kaszleć. – Chcesz mnie zabić? Jeśli nie chciałaś odpowiadać, wystarczyło normalnie powiedzieć i zmienić temat!

Spojrzałam na swoje ręce, ale mrowienie zdążyło już zniknąć. Cholera. To przestawało być zabawne. Nie robiłam nic, żeby ogień się zapalił. Charlie mogła myśleć, że działałam celowo, żeby ją rozproszyć, ale ja zdawałam sobie sprawę, że aby rzucić zaklęcie, trzeba je wymruczeć albo chociaż wykonać odpowiedni ruch ręką.

To musi być kwestia nieużywania magii, przemknęło mi przez głowę. Na pewno mogłam nad tym zapanować, musiałam tylko bardziej się pilnować.

Zacisnęłam dłonie w pięści i odwróciłam się do Charlie z przeproszającym uśmiechem.

– Wybacz, po prostu nie chciało mi się wstawać – skłamałam. – Nie mam nic przeciwko rozmowie o Rossie. Zwłaszcza że większość już na pewno przekazała ci Eleanor.

– Tylko tyle, że poprosił o twój numer. – Charlie upiła jeszcze jeden łyk wina, po czym odstawiła kieliszek na stół i przysunęła się do mnie na sofie. – Więc czekam na update. Zadzwoił do ciebie? Zaprosił cię wreszcie na tę kolację?

Wzruszyłam obojętnie ramionami i też odłożyłam kieliszek.

– Nie, w ogóle się od tego czasu nie odezwał.

– Nie? – Charlie była wyraźnie rozczarowana. – Myślałam, że skoro już zerwał z Daną, to teraz na pewno...

– Charlie, daj sobie na wstrzymanie, to ledwie parę godzin! – Zaśmiałam się. – Poza tym nie mam zbyt dużych oczekiwań. Faceci zawsze prędzej czy później ode mnie uciekają. Jak na początku nie odstraszy ich fakt, że jestem czarownicą, to potem dobija ich moja rodzina.

– Bo to nie faceci, tylko kretyni – prychnęła. – Ale Ross? Wydaje się fajny. Może jednak coś

z tego będzie, jeśli tylko na to pozwolisz?

– Może. Ale wiesz, to nie tak, że mam jakiś problem z facetami. To raczej oni mają problem ze mną. Nie potrafię ani nie chcę ukrywać tego, kim jestem i skąd pochodzę.

– No właśnie, i jeśli facet nie potrafi cię zaakceptować taką, jaka jesteś, to znaczy, że na ciebie nie zasługuje – odpowiedziała Charlie stanowczo. – To tak jak ze mną i z Nickiem. Może i chciałby, żebym poszła na studia i coś zrobiła ze swoim życiem, ale ani nie będzie tego ode mnie wymagał, ani mnie nie rzuci, jeśli postanowię tego nie robić. Kocha mnie i w pełni akceptuje. Ty też zasługujesz na kogoś takiego.

– Myślę, że łatwiej zaakceptować dziewczynę bez studiów niż czarownicę z pięcioma wścibskimi ciotkami na głowie. – Zaśmiałam się. – Ale wiem, co masz na myśli.

– Nie przejmuj się, znajdziesz w końcu kogoś odpowiedniego. Jestem tego pewna.

Dobra. Wystarczy o mnie.

– To co, włączamy jakiś film? – spróbowałam zmienić temat.

– Za chwilę – obiecała. – Najpierw, skoro już mówimy o twoich niepowodzeniach z facetami, powiedz mi, kogo ty właściwie szukasz. Może masz za duże oczekiwania? Naczytałaś się tych swoich książek i myślisz, że za rogiem czeka na ciebie pan Darcy. – Machnęła ręką w stronę mojego regału z książkami. – No, dalej, Margo. Jaki powinien być twój idealny facet?

Dopiłyśmy wino z kieliszków, a ja rozlałam resztę. Butelka skończyła się szybciej, niż zakładałam.

– Rozmowa o idealnym facecie nie ma sensu – zaprotestowałam. – Ktoś taki nie istnieje. Trzeba zadowolić się tym, co się ma, zamiast szukać ideału, bo inaczej będzie się skazanym na samotność. Może powinnam zrobić tak jak moje ciotki. Większość z nich znalazła sobie spokojnego, cichego faceta, któremu odpowiada silniejsza żona.

– Aha. I byłabyś szczęśliwa z kimś takim? – Charlie posłała mi powątpiewające spojrzenie.

– Pewnie nie. Ale co mi pozostaje? Jeśli Ross do mnie zadzwoni, pójdę z nim na randkę i zobaczymy, co się stanie. Pewnie po prostu muszę dać sobie spokój z konceptem wielkiej romantycznej miłości.

W milczeniu dopiłyśmy wino, a potem poszłam po drugą butelkę. Trochę szumiało mi w głowie, bo zazwyczaj piłam dużo mniej – i dużo wolniej.

– No dobrze, ale mimo wszystko chcę usłyszeć o tym idealnym facecie – powiedziała Charlie, kiedy otworzyłam butelkę.

Przewróciłam oczami.

– Ale jakie to ma znaczenie, Charlie?

– Po prostu. Może powinnaś rzucić jakieś zaklęcie, żeby ktoś taki pojawił się pod twoimi drzwiami?

Zaśmiałam się. To było tak nedorzeczne, że aż zabawne. Przez całe życie unikałam czarów jak ognia, a ona mi mówiła, żebym WYCZAROWAŁA sobie faceta? Poważnie?

– Ale wiesz, że nie możesz tak po prostu wyczarować sobie faceta? – prychnęłam z rozbawieniem. – Nie ma takiego zaklęcia. Inaczej każda moja ciotka już dawno by go użyła. Poza tym pamiętasz, że nie korzystam z magii?

– Jasne, a to przed chwilą? – Wskazała głową płonący w kominku ogień. – Jestem pewna, że wiedziałabyś, jak to zrobić. Albo możesz mi po prostu powiedzieć.

Nie chodziło tylko o to, że nie chciałam czarować. Ja nie umiałam czarować. Kiedyś, gdy miałam jakieś dziesięć lat, ciotka Ava próbowała pokazać mi parę zaklęć, a ciotka Lauren chciała nauczyć mnie warzyć najprostsze eliksiry. Moja matka była w tym wszystkim świetna, więc spodziewano się, że ja też będę. Okazało się jednak, że nie potrafię spamiętać najprostszych zaklęć, a moje eliksiry nadają się wyłącznie do wylania. Ciotki były rozczarowane.

Ale Charlie nie wiedziała, że nie umiem korzystać z magii. Głupio mi się było przed nią przyznać, że jestem w tym beznadziejna.

– Dobra, zróbmy to – powiedziała z psotnym uśmiechem. – Wyczarujmy mi faceta, Charlie!

Uśmiechnęła się tak pięknie, że pogratulowałam sobie tej decyzji. A co tam, mogłam przez jeden

wieczór poudawać, że potrafię czarować, i zabawić przyjaciółkę. To przecież nawet nie miało być prawdziwe zaklęcie. Wymyślę coś głupiego, Charlie i tak się nie pozna.

Poderwałyśmy się zgodnie z kanapy; chwyciłam do ręki swój kieliszek i rozejrzałam się dookoła.

– Potrzebuję czegoś, na czym będę mogła rozpałcić ogień – powiedziałam pierwsze, co przyszło mi do głowy. – Mam w kuchni miskę, którą i tak zamierzałam wyrzucić. Przyniesiesz? Ja znajdę zioła, których będziemy potrzebować.

Brzmiałam wiarygodnie. Charlie skinęła głową i poleciała po miskę. Upiłam spory łyk wina i raz jeszcze rozejrzałam się po pokoju. Co właściwie mogłam wziąć, żeby nadać tej farsie pozory prawdziwości? Chyba musiałam wybrać coś z przypraw.

Przeszłam do aneksu kuchennego otwartego na salon i wysypałam na talerzyki po trochu wszystkiego, co przyszło mi do głowy lub nawinęło się pod rękę. Rozciąłam torebki z ziołami do zaparzania, by wysypać pokruszone listki mięty, rumianku i szaławii, w przyprawach znalazłam tymianek, bazylię i majeranek. Na parapecie w doniczkach rosły też estragon, kolendra i lawenda, więc i je dodałam do mojej naprędce przygotowanej mieszanki.

– Świece, Charlie – rzuciłam, kiedy zauważyłam, że moja przyjaciółka skombinowała już miskę, zapalki i coś do podpalenia. – Potrzebujemy też świec. Przynajmniej pięciu. Są na najniższej półce po lewej stronie w szafie w przedpokoju. Przyniesiesz?

Z przyprawami przeszłam do salonu. Charlie bez trudu znalazła świeczki – chociaż to nawet nie były świeczki, raczej nieduże, okrągłe podgrzewacze, które często wkładałam do podstawki od dzbanka na herbatę. Z braku laku musiały wystarczyć.

Nawet przez moment się nie zastanowiłam, czy to, co robię, aby na pewno jest mądre. To przecież tylko zabawa, powtarzałam sobie w myślach. Nie zamierzałam naprawdę czarować, chciałam tylko wrzucić parę ziół do ognia i powiedzieć przy tym coś głupiego. Nie mogło od tego stać się nic złego.

– Połóż miskę na podłodze i rozpał ogień – poleciłam przyjaciółce, ustawiając wokół świeczki i zapalając je zapalką. Potem wstałam i poszłam zgasić lampy. Teraz jedyne światło w salonie pochodziło od kominka, pięciu świeczek rozłożonych wokół miski i powoli rozpalającego się ognia wewnątrz niej. – Wejdz do kręgu i usiądź przy misce.

Z pierwszego talerzyka z ziołami zdjęłam nóż i położyłam go na podłodze, a potem posłałam siedzącej po drugiej stronie miski Charlie pokrzepiający uśmiech. W drgającym świetle świec wyglądała na bladą, a wyraz twarzy miała niepewny.

– Nie bój się, to całkowicie bezpieczne – zapewniłam ją i nawet w to wierzyłam. To przecież nie mogło w żaden sposób zadziałać. – Ale jeśli chcesz, możemy w każdej chwili przerwać.

– Nie ma mowy! – odpowiedziała z podekscytowaniem. – Chcę to zobaczyć. Nigdy wcześniej nie widziałam, żebyś rzucała zaklęcie! Takie prawdziwe zaklęcie, a nie jakieś tam głupie zapalenie ognia w kominku!

No proszę, to teraz zapalenie ognia w kominku jest według niej głupie. Wystarczyło, żebym zgasiła światło, zapaliła świeczki i przyniosła z kuchni zwykłe zioła. Niezła lekcja na przyszłość, Margo!

Odsunęłam od siebie te myśli i skupiłam się na czekającym mnie zadaniu. Charlie powinna uwierzyć, że to wszystko na poważnie, jeśli nie chciałam, żeby się obraziła, że sobie z niej żartuję. A więc musiałam brzmieć wiarygodnie.

Nigdy wcześniej nie udawałam na potrzeby jakiejś widowni, że czaruję. Sięgnęłam po kieliszek wina stojący obok miski i upiłam spory łyk. To chyba za sprawą alkoholu nagle zmieniłam zdanie, ale tak bardzo podobał mi się entuzjazm Charlie. Nie mogła się doczekać, co stanie się za moment.

Westchnęłam, zamknęłam oczy i pozostałam przez chwilę w takiej pozycji, żeby oczyścić umysł. Nagle poczułam w sobie dziwną energię – jakby coś ciepłego wlało się prosto do mojej klatki piersiowej i wypełniło ją całą – lecz zignorowałam ją, uznając, że to tylko wymysł mojej wyobraźni. Gdy ponownie otworzyłam oczy, spojrzałam prosto w ogień, a od strony Charlie dobiegło mnie przeciągłe westchnienie.

– Od teraz nie wolno ci się odzywać – powiedziałam, nie odrywając wzroku od ognia. – Powiem ci, kiedy będzie po wszystkim. Jasne?

Kątem oka dostrzegłam, że pokiwała głową. Przysunęłam do siebie pierwszy talerzyk, na oślep, ten, który się akurat trafił.

– Ja, Margo McKenzie, wzywam do siebie mężczyznę – powiedziałam pierwsze, co przyszło mi do głowy. Słowa praktycznie płynęły same, kiedy na oślep sięgnęłam po pierwszy rodzaj ziół. – Mężczyznę, który jest mi przeznaczony. Mężczyznę idealnego, o jakim marzę. Mężczyznę o silnym, nieustępliwym charakterze. – Pierwsza mieszanka ziół wyładowała w ogniu, który zachował się nieco dziwnie: podniósł się nagle, a potem znowu przygasł. – Wysokiego, przystojnego, o oczach niebieskich jak bezchmurne niebo i włosach czarnych jak bezgwiazdna noc. – Wrzuciłam kolejne zioła do ognia, to chyba była mięta. Przestałam już zwracać uwagę na zachowanie płomieni. – Silnego fizycznie, zarabiającego na życie pracą własnych rąk. – Z każdą wymienioną cechą wrzucałam do ognia kolejne zioła. – Ze znamieniem w kształcie półksiężyca na lewym ramieniu. Inteligentnego i czytanego, znającego wszystkie moje ulubione powieści. Z poczuciem humoru, takiego, który będzie w stanie mnie rozbawić i przy którym nie będę się nudzić. Szczerego i prawdomównego, któremu będę mogła zaufać. Wiernego, który będzie kochał tylko mnie. – Gdy ostatnie zioła wyładowały w ogniu, chwyciłam do ręki nóż i pochyliłam się nad płomieniem, wystawiając lewą dłoń. Powoli nacięłam skórę na jej wierzchu i pozwoliłam, by kropla mojej krwi skapnęła w dół. – Wzywam mężczyznę, który spełni wszystkie moje marzenia, sprawi, że będę szczęśliwa, i zawsze będzie przy mnie.

Ogień zamigotał po moich ostatnich słowach, a potem stało się coś dziwnego: zamroczyło mnie na moment, aż przed oczami zrobiło mi się ciemno, a równocześnie poczułam na twarzy powiew zimnego, mocnego wiatru. Kiedy zamrugałam i odzyskałam wzrok, stwierdziłam, że wiatr jakimś cudem zgasił cały ogień płonący w pokoju, włącznie z tym w kominku. Kompletna ciemność i cisza, jakie potem zapanowały, na moment sprawiły, że zamarłam. Słyszałam jedynie bicie swojego serca, szybki oddech Charlie i deszcz bębniący po dachu domu.

Na oślep wymacałam komórkę w tylnej kieszeni džinsów i włączyłam latarkę. Twarz Charlie w tym świetle wydawała się jeszcze bardziej blada, gdy przyjaciółka wpatrywała się we mnie z szeroko otwartymi oczami.

Uśmiechnęłam się do niej pokrzepiająco i zapewniłam:

– W porządku. Już po wszystkim. Możesz się odezwać.

Charlie zerwała się z podłogi i potykając się o coś po drodze, pognęła do włącznika na ścianie. Zmrużyłam oczy, gdy salon zalało sztuczne światło żarówek.

– Masz chusteczkę jednorazową? – zapytałam. – Muszę opatrzeć to rozcięcie... – Mój głos zamarł, gdy spojrzałam na wierzch lewej dłoni. Na skórze nie miałam ani śladu po rozcięciu.

Zaraz, moment. Może tylko mi się wydawało, że krew kapnęła do ognia? Może nie nacięłam wystarczająco głęboko?

Rzuciłam się do noża i ponownie zamarłam. Na srebrze ostrza wyraźnie odznaczała się czerwień mojej krwi. Coś tu było bardzo nie w porządku. Przecież to miała być tylko zabawa. A jednak jakimś cudem ogień zgasł, gdy skończyłam mówić, a moja dłoń sama się zagoiła. Co tu było grane?

– To było niesamowite! – wykrzyknęła gdzieś za mną Charlie. – Po prostu niesamowite! Żałuj, że nie widziałaś swoich oczu, gdy wpatrywałaś się w ogień!

Zmusiłam się, by pozostać na miejscu, wbijając wzrok w popiół na dnie osmalonej miski. Wolałam, żeby Charlie nie widziała w tamtym momencie wyrazu mojej twarzy.

– Co się stało z moimi oczami? – zapytałam, chociaż bardzo nie chciałam tego usłyszeć.

– Nie mów, że o tym nie wiedziałaś? Błysnęły na czerwono, zupełnie jak ogień! Serio, to było super! Zrobimy jeszcze coś takiego?!

Nóż z brzękiem upadł na jeden z pustych talerzyków. Charlie musiało się wydawać. Wpatrywałam się w ogień, więc pewnie zobaczyła po prostu jakiś odblask, odbicie płomieni. To wszystko. Jakim niby cudem oczy miałyby mi błysnąć na czerwono? To było niedorzeczne.

– Czary mnie wyczerpują – skłamałam. – Może kiedyś, na pewno nie dzisiaj. Naprawdę miałam czerwone oczy?

– Naprawdę! – przytaknęła, co wzbudziło we mnie jeszcze większy niepokój. Nikt nie powinien się bawić magią. Problem w tym, że ja nie zamierzałam bawić się magią, chciałam bawić się *w magię*. – No i wreszcie wiem coś na temat twojego ideału! Tylko po co to zdanie o znamieniu? Przecież to nie jest nic superfajnego.

Ale to nie mogła być prawdziwa magia, prawda? To na pewno nie było żadne istniejące zaklęcie, skoro sama je wymyśliłam, korzystając z tego, co akurat miałam pod ręką. Nie mogło być prawdziwe. Każda moja ciotka by to potwierdziła.

– Muszę go jakoś rozpoznać, prawda? – odpowiedziałam w roztargnieniu, zbierając talerzyki z podłogi. – Potrzebowałam czegoś bardziej charakterystycznego niż czarne włosy i niebieskie oczy. Kiedy zobaczę znamię na ramieniu, będę wiedziała, że to on.

W zasadzie sama nie wiedziałam, po co dodałam to zdanie o znamieniu. Przecież nie spodziewałam się faktycznie spotkać faceta, o którym mówiłam. Jedyne moje nadzieje związane z mężczyznami w najbliższym czasie obejmowały potencjalną randkę z Rossem. Jednak kiedy zaczęłam mówić, słowa same ze mnie ulatywały. Dopiero po fakcie zrozumiałam, dlaczego coś powiedziałam. To też było dziwne.

W zasadzie wszystko w tym było dziwne. To był bardzo głupi pomysł, doszłam wreszcie do wniosku. Nigdy nie powinnam była zgodzić się na tak idiotyczne zabawy w magię.

– No tak – przyznała radośnie Charlie. Ja tymczasem pozbierałam wszystkie rzeczy z podłogi i przeszłam do kuchni, żeby włożyć je do zlewu. – Kończ wino, bo leję następną kolejkę, a ja posprzątam świece. Ale, Margo, to naprawdę było niesamowite! Dziwię się, że nie chcesz tego robić na co dzień. Magia zawsze tak wygląda?

Powoli pokręciłam głową, wracając po swój kieliszek. Absolutnie nie podzielałam entuzjazmu mojej przyjaciółki.

– Zazwyczaj wygląda tak jak wtedy, gdy rozpałam w kominku. – To też nie była do końca prawda, ale tego akurat Charlie nie musiała wiedzieć. – Nie jest to tak efektowne i tak bardzo na pokaz. Wszystko zależy od rodzaju zaklęcia, jego mocy i tego, co chce się osiągnąć.

– Więc sprowadzenie idealnego faceta to trudna sprawa? – Charlie posłała mi psotne spojrzenie, kiedy chwyciłam kieliszek w drżące dłonie i wychyliłam do dna jego zawartość. Chyba na przyszłość powinnam bardziej uważać z alkoholem. Widziałam po nim rzeczy, które nie istniały. – No wiesz, cała ta szopka z ziołami i tak dalej?

– A jak myślisz? Chodzi o wyczarowanie człowieka. To coś bardzo trudnego i nie wiem, czy się uda... – Zamyśliłam się. – Raczej nie. Nikt nigdy wcześniej niczego takiego nie zrobił.

– Ale wiedziałas jak.

– Teoretycznie – skłamałam. – Istnieje wiele starych zaklęć, których dziś już się nie używa.

– Ale twoja rodzina ma jakieś, no wiesz... księgi z zaklęciami? Coś takiego?

Usiadłam na sofie i postawiłam kieliszek na stoliku. Charlie posprzątała świece i wróciła do mnie, a potem znowu nalala nam wina.

Czemu o to pytała? Nigdy wcześniej nie naciskała, jeśli chodziło o magię.

– Z tego, co wiem, ciocia Georgia podjęła się heroicznego wysiłku utrwalenia wszystkiego na dysku komputerowym. – Zaśmiałam się. – To syzyfowa praca, mamy tego ogromne ilości. Całą tę wiedzę, którą nasze przodkinie zgromadziły przez wieki. Choćby studiowało się ją całe życie, trudno nauczyć się wszystkiego.

– Co to właściwie znaczy, „zgromadziły”? – drążyła, przez co czułam się coraz bardziej niekomfortowo. – No wiesz, zdobywały po drodze jakieś nowe informacje czy jak?

– To też – przytaknęłam. – Ale zdarzają się w rodzinie czarownice, które same mogą tworzyć zaklęcia. To bardzo długotrwały i skomplikowany proces. I trzeba zdobyć naprawdę dużą wiedzę. Ale jest to możliwe. Chociaż też bardzo łatwo coś może pójść nie tak.

Gardło mi się ścisnęło i zrobiło mi się niedobrze na myśl o ostatniej osobie, u której coś „poszło nie tak”. To był dla mnie wystarczający powód, by odciąć się od magii.

– Zdarzyło się kiedyś, że coś poszło nie tak? – zapytała Charlie poważnie.

Pokiwałam niechętnie głową.

– Tak, zdarzyło się, kiedy byłam mała. I proszę, nie pytaj mnie o nic więcej. Nie chcę o tym rozmawiać.

Charlie nie naciskała, a ja nie byłam gotowa powiedzieć jej prawdy.

W końcu moja matka była jedną z tych osób, które potrafiły wymyślać zaklęcia. Była w tym

świetna. Aż do tego dnia, kiedy nadmiar jej pewności siebie i rozpacz, którą czuła, zwyczajnie ją pogrążyły.

Na szczęście nie groziło mi, że podzielę jej los. Nie z moimi marnymi umiejętnościami magicznymi.



4. Jak wyrzucić złe pierwsze wrażenie

– Gdybym wiedziała, że mam się na dzisiaj ubrać wieczorowo, rzuciłabym w kąt dzinsy, Willow. – Podniosłam brew, gdy moja kuzynka weszła do salonu. Willow zawsze prezentowała się nienagannie, ale tym razem chyba jednak przesadziła.

Rodzinna kolacja miała miejsce we wtorek, jak co tydzień, w domu babci za miastem, w którym spędziłam całe swoje dzieciństwo. Obecnie nadal mieszkała w nim część rodziny – babcia, naturalnie, a poza tym ciotka Imogen z córkami, Willow i Skye, a także ciotka Lauren. Na rodzinnej kolacji obecna była również reszta moich ciotek – ciotka Ava, ciotka Elsie oraz ciotka Georgia. Ciotce Avie towarzyszył mąż, wujek John, jedyny rodzynek w towarzystwie. Ciotka Lauren nigdy nie wyszła za mąż, podobnie ciotka Elsie, a ciotka Georgia miała od paru lat narzeczonego, którego nad wyraz trzeźwo trzymała z dala od rodziny.

Willow jako jedyna odstrzeliła się na tę kolację jak na święto lasu. Miała na sobie obcisłą czerwoną sukienkę, która ledwie zakrywała jej uda, a do tego czarne szpilki i krótki żakiet w tym samym kolorze. Jasne, moja kuzynka lubiła takie ciuchy, ale zakładała je zazwyczaj wtedy, gdy szła na jakąś imprezę na mieście.

Willow w ogóle zawsze wyglądała idealnie, w czym mocno pomagała jej magia. Na każdym kroku próbowała ze mną współzawodniczyć i pokazywać, że jest ode mnie lepsza. Była wyższa ode mnie i bardzo zgrabna, miała magicznie farbowane włosy na piękny ciemny blond, bursztynowe oczy, a regularne rysy podkreślała umiejętnie makijażem. Zawsze czułam się przy niej jak brzydkie kaczątko.

Jej młodsza siostra, Skye, zupełnie nie przypominała Willow. Ona też farbowała włosy, ale na czarno. To był jej ulubiony kolor. Dziś miała na sobie czarne dzinsy i czarną bluzę z nazwą jakiegoś heavymetalowego zespołu, oczy jak zwykle podkreśliła czarną kredką, a usta szminką. Lubiłam Skye, bo chociaż obie z siostrą były szczerze i bezpośrednie, ona nie była przy tym tak złośliwa jak Willow.

– Rzucenie dzinsów w kąt w niczym by ci nie pomogło, kochanie – oświeciła mnie Willow. – Przebranie wieśniaczki w sukienkę nie wystarczy, żeby stała się księżniczką. A co do mojego stroju, cóż... Zaprosiłam na kolację dodatkowego gościa. Wspominałam o tym mamie.

Sądząc po minie ciotki Imogen, pierwsze o tym słyszała.

Podniosłam brwi. Zazwyczaj na nasze rodzinne kolacje nie zapraszano nikogo z zewnątrz... No, chyba że Willow zamierzała tego kogoś poślubić.

– Absolutnie, nic nie wspominałaś – zaprotestowała ciotka Imogen, jak zawsze sztywna, poważna i niezadowolona. – Kto w ogóle ci powiedział, że możesz zaprosić kogoś nieznanego na rodzinną kolację?

– Uwierzcie mi, będziecie chciały go poznać. – Willow uśmiechnęła się z ekscytacją. – Ja poznałam go wczoraj, przypadkiem. To nasz nowy sąsiad. Wprowadził się do tej rudery po Marshallach na wrzosowisku.

Serce niemalże mi stanęło, gdy to powiedziała. Nie. To nie mogło być możliwe!

– Zaraz. Chcesz powiedzieć, że ktoś kupił dom Marshallów? – zapytałam pospiesznie. Willow posłała mi pełne wyższości spojrzenie.

– Tak, Margo, właśnie o tym mówię, nie rób takiej zawiedzionej miny! Nasz sąsiad podobno chce wyremontować dom i w nim zamieszkać. Czyż to nie wspaniałe?

– Jest z rodziną? – podjęła temat ciotka Ava, w jednej chwili poważniejąc.

Ze zmarszczonymi brwiami powiodłam wzrokiem po wszystkich obecnych w salonie, by stwierdzić, że zachowują się nieco dziwnie. Nawet ciocia Georgia spoważniała na te wieści. O co w tym chodziło?

Willow potrząsnęła głową.

– No właśnie nie, i to jest najlepsze! Facet jest sam, przyjechał z Londynu, ma najwyżej trzydzieści parę lat i jest obłędnie przystojny! – wykrzyknęła. – To oczywiście, że musiałam go zaprosić. Bardzo proszę, zróbcie na nim dobre wrażenie, bo to może być mój przyszły mąż. Skoro stać go, żeby z dnia na dzień kupić ruderę gdzieś w Szkocji, to znaczy, że musi mieć forsy jak lodu. Chcę się go trzymać.

– Jak to się w ogóle stało, że udało mu się kupić ten dom? – odezwała się milcząca dotąd babcia.

Obie z Willow równocześnie na nią spojrzaliśmy – i obie byłyśmy zdziwione. Mnie chyba mniej obchodziło, co miała na myśli, bo moją głowę za bardzo zaprzętało coś innego.

Kupił dom Marshallów. Wprost w to nie wierzyłam.

Dom Marshallów stał na wrzosowisku niedaleko mojego domu rodzinnego, a były to praktycznie jedyne dwa domy w okolicy, przy drodze z Inverness do Culloden. Podczas gdy dom mojej rodziny był zawsze doskonale zadbane i odnowiony – w końcu jej członkowie mieli do dyspozycji magię – dom Marshallów przeistoczył się w ruderę już dawno temu, bo przez lata stał pusty.

Gdy byłam młodsza, fantazjowałam o tym domu. Podobała mi się jego smutna, ale dumna, obdrapana fasada i bryła – z dwiema nadbudówkami, piętrowa, o czterospadowym dachu. Było mi smutno, gdy patrzyłam w puste okna, w których nigdy nie paliło się światło. Pewnie także dlatego, że gdy byłam całkiem mała, mama myślała podobnie i zawsze zwracała na to moją uwagę, kiedy wieczorem wychodziłyśmy na zewnątrz. Fantazjowałam, że kiedyś go kupię, wyremontuję i będę mieszkać w tym postawionym pośród wrzosowisk budynku, który skradł moje serce.

A teraz się okazało, że kupił go jakiś palant z Londynu? Anglik? Co za tupet, naprawdę! Willow może sobie za niego wychodzić, na pewno będą do siebie pasować, pomyślałam ze zdenerwowaniem. Jak to się w ogóle mogło stać?!

– Ten człowiek nie powinien był kupować tego domu – powiedziała babcia, a ja wyjątkowo się z nią zgodziłam. – Porozmawiam z nim, gdy przyjdzie.

– Ale... dlaczego? – zająknęła się Willow.

– Potem do tego wrócimy – zaordynowała babcia. – Na razie skupmy się na kolacji. Willow, każ w takim razie dostawić dodatkowe nakrycie.

Babcia miała już siedemdziesiąt pięć lat, a jednak nadal świetnie się trzymała. Jej energii życiowej czas nie był w stanie ukraść. Długie siwe włosy gładko zaczesywała do góry, a oczy miała brązowe jak większość McKenziech. Niewysoka i szczupła, zawsze bardzo dbała o porządną ubiór. Budziła respekt i szacunek u wszystkich członków mojej rodziny.

Willow się zawahała, jakby chciała kontynuować temat, ale ostatecznie wyszła, by wykonać polecenie.

– Co z tym zrobimy? – zapytała poważnie ciocia Ava.

Babcia kątem oka zerknęła na mnie i na Skye.

– Potem o tym porozmawiamy – powtórzyła i już byłam pewna, że coś przed nami ukrywają. Coraz mniej mi się to podobało. Chodziło przecież o dom Marshallów, mój wymarzony dom! – Na razie zajmijmy się kolacją.

Spoglądałam po wszystkich ciotkach po kolei, ale unikały mojego wzroku. A potem spojrzalam na bladą twarz ciotki Elsie i zdziwiło mnie, gdy ta najpierw się do mnie uśmiechnęła, a potem mrugnęła.

Serio. Jakbyśmy były jakimiś pieprzonymi spiskowcami i jako jedyne wiedziały, o co tu chodziło.

Wstaliśmy w końcu, żeby przejść do głównej jadalni, gdzie przy stole na dwanaście osób miała być serwowana kolacja. Mój dom rodzinny w ogóle był trochę snobistyczny. Nie znałam innego miejsca, w którym rodzina zbiera się przed kolacją w salonie na aperitif jak w ubiegłym stuleciu. Poza tym zarówno gotowaniem, jak i podawaniem do stołu zajmowała się gospodyni babci.

Zanim zdążyliśmy jednak ruszyć się z miejsca, w domu rozległ się gong, czyli babcina wersja dzwonnka do drzwi. Willow wybiegła z jadalni, wołając, że otworzy, a cała reszta mojej rodziny zatrzymała się w salonie.

Ciotki nigdy nie czekały na żadnego człowieka, zwłaszcza na faceta. Uważały, że to inni powinni czekać na nie. Tu działo się coś dziwnego.

Po chwili Willow wprowadziła swojego gościa do salonu, trzymając go pod ramię i promieniejąc radością. Naprawdę, Willow niewiele potrzebowała, żeby sobie poprawić humor, wystarczył przystojny samotny facet i już była szczęśliwa.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że to będzie taka duża, rodzinna kolacja – odezwał się mężczyzna z zakłopotanym uśmiechem. – Willow nic nie mówiła, spodziewałem się tylko kilku domowników. Jeśli przeszkadzam...

– Ależ skąd, oczywiście, że nie. – Babcia wyszła przed szereg i przywitała się z gościem. – Słyszeliśmy od Willow, że wprowadził się pan do domu naprzeciwko. Wszyscy jesteśmy bardzo ciekawi naszego nowego sąsiada. Nazywam się Caitlin McKenzie. Zapraszamy na kolację.

– Theodore Thorne. – Facet podał babci rękę i uśmiechnął się promiennie. – Będzie mi bardzo miło, bo na razie nie znam nikogo w okolicy.

Skye dźgnęła mnie łokciem między żebra, wrywając mnie tym samym z chwilowej katatonii, w którą wpadłam, gdy tylko go zobaczyłam. To musiał być przypadek, prawda? Nawet fakt, że miałam niejasne wrażenie, jakbym kiedyś już go gdzieś widziała, był nieistotny wobec znacznie poważniejszej kwestii – jego wyglądu.

Theodore Thorne był wysoki, na tyle wysoki, że nawet Willow w butach na obcasie była od niego znacznie niższa, i naprawdę dobrze zbudowany, przynajmniej na tyle, na ile mogłam to zobaczyć przez materiał ciemnej koszuli wpuszczonej w granatowe, przecierane dżinsy. Miał nieco za długie, czarne, rozczochrane włosy, i najbardziej błękitne oczy, jakie w życiu widziałam. Uśmiechał się tak łobuzersko, że moje serce szalało na ten widok. Przystawałam dziwić się Willow, że tak cieszyła się na jego wizytę.

Poza tym...

Tak bardzo chciałam zedrzeć z niego koszulę, żeby zobaczyć, czy przypadkiem nie ma znamienia na lewym ramieniu.

To jakaś bzdura, powiedziałam sobie w myślach, samą siebie próbując przekonać. To nie było prawdziwe. A przyjazd tego faceta to zwykły przypadek. Nie było takiej opcji, żeby znalazł się w Inverness przeze mnie. Pomijając już wszystko inne, na pewno nie był ideałem. Mój ideał nie sprzątnąłby mi sprzed nosa domu, który od zawsze chciałam kupić i wyremontować. Tak nie zachowywał się ideał, tylko bezczelny uzurpator.

Bezczelny uzurpator, wciąż z tym samym pięknym uśmiechem na ustach, przywitał się z resztą mojej rodziny, przy czym Willow nie odstępowała go na krok. Na samym końcu wreszcie dotarł do mnie. Zobaczyłam błysk w jego niebieskich oczach, gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, i serce zabiło mi szybciej, aż zapomniałam wyciągnąć do niego rękę. Jeśli chciałam z siebie zrobić kretynekę, byłam na dobrej drodze.

– Moja kuzynka, Margo. – Willow skrzywiła się złośliwie, przedstawiając mnie. – Której czasami zdarza się zapomnieć języka w gębie.

Zwłaszcza gdy stoi przede mną facet wyglądający jak ucieleśnienie wszystkich moich fantazji. To nie dzieje się naprawdę, Margo, szepnął mi znowu jakiś głosik w głowie. Umarłaś i poszłaś do piekła, w którym twój idealny facet daje się poderwać twojej kuzynce.

– Bardzo mi miło. – Zadrżałam, słysząc jego głęboki, gładki jak aksamit głos. Kiedy nadal nie robiłam w jego stronę żadnego ruchu, przechylił się do mnie i sam chwycił moją rękę, żeby ścisnąć ją delikatnie. – Proszę mi mówić Theo.

– M-Margo – wyjąkałam.

Willow prychnęła, chwyciła nowego sąsiada za ramię i odciągnęła w stronę przejścia do jadalni.

– Elokwentna jak zwykle – rzuciła do mnie przez ramię, uśmiechając się słodko. – A teraz chodźmy coś zjeść!

Zajęliśmy miejsca przy stole i zaczęliśmy posiłek. Kiedy tylko podano zupę, Willow zaczęła

mówić i miałam wrażenie, że usta nie zamknęły się jej do samego końca obiadu. Wpatrywałam się w udręce w swój talerz, próbując przełknąć cokolwiek. Na szczęście nikt przy stole nie zwracał na mnie uwagi.

Dowiedziałam się, że Theo jest architektem, na co odetchnęłam z ulgą. Powiedziałam przecież, że mój idealny mężczyzna powinien paruć się pracą fizyczną, chociaż szczerze – nie miałam pojęcia, skąd mi się to wzięło. Co jednak oznaczało, że przyjazd Theo do Inverness był przypadkowy.

Więc dlaczego, do cholery, nie potrafiłam się uspokoić i odprężyć podczas tej głupiej kolacji?

Może dlatego, że gdy Theo grzecznie odpowiadał na pytania, a także wtedy, gdy słuchał, co chwila zerkał na mnie z zainteresowaniem. Byłam bliska udławienia się kolacją za każdym razem, gdy czułam na sobie jego spojrzenie. Modliłam się, żeby ten wieczór wreszcie dobiegł końca i żebym mogła wrócić do siebie.

W połowie posiłku rozdzwoniła się moja pozostawiona gdzieś na stole komórka. Ciotka Georgia chwyciła ją pierwsza, spojrzała na wyświetlacz i posłała mi zaciekawione spojrzenie.

– Dzwoni jakiś Ross – poinformowała.

Poderwałam się od stołu tak gwałtownie, że moje krzesło o mało nie poleciało na podłogę. Zrzuciłam widelec, który z brzdękiem upadł na posadzkę. Jeśli wcześniej nie zwracałam na siebie uwagi, w tamtej chwili wszyscy się mną zainteresowali.

Ruszyłam wzdłuż stołu, żeby zabrać ciotce komórkę, bo obawiałam się, że odbierze za mnie, a równocześnie usłyszałam za sobą niedowierzający głos Willow:

– Ross? Ross Shepard? Poderwałeś Rossa, Margo? Nie wiedziałam, że jesteś taka szybka, przecież on ledwie co rozstał się z Daną! A może to przez ciebie, co?

Poczułam rumieniec wypełzający mi na policzki, ale nie odpowiedziałam; zamiast tego wyszarpnęłam ciotce komórkę z ręki i mamrocząc przeprosiny, wybiegłam do salonu.

Świetnie, po prostu świetnie. Miał cztery dni, żeby się odezwać, ale musiał zadzwonić akurat wtedy, kiedy z całą rodziną siedziałam przy kolacji!

– Tak, słucham – odebrałam.

– Cześć, Margo, z tej strony Ross Shepard. – Wiedziałałam, w końcu nieopatrznie przepisałam numer jego telefonu z wizytówki, którą mi dał. Gdyby nie to, nie spowodowałabym takiego poruszenia przy stole. – Przepraszam, że dopiero teraz dzwonię, ale miałem zwariowany weekend. Zastanawiałem się, czy miałabyś czas w najbliższy piątek, żeby wybrać się ze mną na kolację.

– Cześć. Nie ma problemu, i tak byłam zajęta. – Gdyby niebo rozstępowało się przy każdym moim kłamstwie, już dawno waliłyby we mnie pioruny. W sobotę ganiałam się po domu z Chandlerem, zrobiłam zaległe pranie, a potem trzeci raz czytałam *Śmierć na Nilu*. W niedzielę z kolei posprzątałam, ugotowałam obiady na cały tydzień i oglądałam powtórki *Britain's Next Top Model*. Byłam tak zarobiona, że po prostu nie wiedziałam, w co włożyć ręce. – Jasne, chętnie się wybiorę. Akurat w piątek mam wolny wieczór.

Jak praktycznie każdy wieczór, którego nie spędzałam w bibliotece, ale Ross niekoniecznie musiał o tym wiedzieć.

– To świetnie! – Brzmiał na zadowolonego. – Przyjadę po ciebie koło szóstej, dobrze? Czy adres, który mam przy karcie Chandlera, jest aktualny?

Zaśmiałam się.

– Tak, jest, ale równie dobrze mogłam ci go podać – zauważyłam z rozbawieniem. – Albo wysłać SMS-em, jeśli nie masz jak zapisać.

– Znajdę go – obiecał. – A jeśli nie, to będę miał pretekst, żeby przed piątkiem jeszcze raz do ciebie zadzwonić. Do zobaczenia. Aha, Margo? Ubierz się ładnie.

Jeszcze przez chwilę po zakończeniu rozmowy zastanawiałam się, co rozumiał przez „ładnie”. Ross widział mnie zawsze w byle jakich ciuchach, bo Chandler miał zwyczaj wymiotować z nerwów i wolałam nie brudzić swoich lepszych ubrań. Tak naprawdę nie miał więc pojęcia, jak ubieram się na co dzień. Wyobrażał mnie sobie w sukienkach? Może powinnam pożyczyć jakiś ciuch od Willow?

Chyba jednak nie, w końcu Willow całkiem nieźle dogadywała się z Daną, była dziewczyną Rossa, przypominałam sobie nagle. W szkole były wręcz przyjaciółkami. Nic dziwnego, że oskarżyła

mnie o odbijanie chłopaków.

Miałam właśnie wrócić do stołu, gdy usłyszałam przed sobą kroki i z jadalni wyłonił się Theo. Zatrzymałam się, kurczowo zaciskając palce na swojej komórce i wpatrując się w jego przystojną twarz.

– Właśnie wychodzę – oświadczył, stając tuż przede mną. – Twoja rodzina chciała mnie odprowadzić, ale poprosiłem, żeby sobie nie przeszkadzali. Willow była chyba zawiedziona.

– Z pewnością – potwierdziłam. – Już wychodzisz? Odstraszyliśmy cię, tak?

– Skądże, mnie nie da się tak łatwo odstraszyć – zaprotestował z uśmiechem. – Ale dostałem informację, że przyjechały moje materiały budowlane i ekipa na mnie czeka. Muszę się nimi zająć, póki jeszcze nie uciekli.

Pokiwałam głową. Pragnęłam na niego nakrzyczeć za to, że kupił MÓJ dom, ale nie miałam już pięciu lat i musiałam zachowywać się dojrzałe.

– Naprawdę chcesz wyremontować dom Marshallów i tu zamieszkać? – wyrwało mi się, zanim zdążyłam się ugryźć w język.

Theo spojrział na mnie z zamyśleniem i przytaknął.

– Tak, właśnie tak.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakbym rozbawiła go tym pytaniem.

– Może kiedyś ci o tym opowiem, Margo.

Poczułam dziwną sensację żołądkową, słysząc, jak wypowiedział moje imię tym swoim miękkim, głębokim głosem. Stojąc tak blisko, musiałam zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Wstrzymałam oddech, ale nawet nie drgnęłam, kiedy wyciągnął rękę i odsunął mi z twarzy pasmo kasztanowych, lekko kręconych włosów.

– Słyszałem, że chciałaś kiedyś kupić ten dom. Willow mi o tym wspominała – dodał. No jasne, że wspominała. – Przykro mi, że cię ubiegłem. Może chciałabyś go kiedyś obejrzeć od środka? Przed remontem albo jak już go skończę, jak wolisz?

Otwarłam usta, ale znowu nie wiedziałam, co powiedzieć. Było więcej niż pewne, że prędzej czy później ten facet uzna mnie za kretynkę.

– To znaczy jak ekipa skończy remont, tak? – doprecyzowałam.

– Nie... to znaczy tak, ale pracuję z nimi. – Zaśmiał się. – Lubię pomagać przy remontach i pracować fizycznie. Zamierzam sam zrobić część mebli, chętnie bawię się drewnem. Powinnaś kiedyś zobaczyć moje fotele bujane.

Fotele bujane? Miałam wrażenie, że serce na moment mi się zatrzymało. A potem przyspieszyło gwałtownie, przyprowadzając niemal o atak paniki.

– Może... kiedyś – bąknęłam, odsuwając się o krok. Theo zmarszczył brwi, ale nie skomentował mojego zachowania. – Przepraszam, muszę... muszę wracać do mojej rodziny.

– Oczywiście, przepraszam, nie będę cię zatrzymywał. – Uśmiech zniknął z jego twarzy, aż zrobiło mi się głupio. – Do zobaczenia, Margo. Na pewno wkrótce znowu się spotkamy.

To brzmiało jak cholerna obietnica.

Odwróciłam się na pięcie i uciekłam do jadalni, nie oglądając się za siebie. Przez całą drogę czułam na karku jego wzrok.



5. Jak zachować zdrowy rozsądek

– No i w czym właściwie jest problem, Margo?

Nerwowo wyłamałam palce, opierając się łokciami o kontuar w czytelnicy. Było wcześniej i po sali plątało się raptem parę osób, co sprzyjało rozmowie, zwłaszcza że Charlie akurat była przed pracą. Ściszyła nieco głos, a ja przesunęłam w jej stronę książki, które zamówiła.

– Jak to w czym? – wyszeptałam z irytacją. – Ten facet... Coś jest z nim nie tak. Bardzo nie tak.

– Nie tak? – prychnęła. – Sama go sobie wymyśliłaś. A teraz przyszedł do ciebie, twój idealny mężczyzna! Przecież to naprawdę super! Gdybym już nie miała swojego, poprosiłabym, żebyś też mi takiego wyczarowała! Czego jeszcze chcesz? Dlaczego właściwie od niego uciekłaś, skoro wyraźnie cię rwał? O co ci chodzi, Margo?

– Nic nie rozumiesz. – Ukryłam twarz w dłoniach. – To nie jest możliwe. To nie jest on.

– Serio? – Sceptyczny ton głosu Charlie wyprowadzał mnie z równowagi. – Jest przystojnym wysokim brunetem? Jest. Pracuje manualnie? Pracuje. Jest inteligentny? Zakładam, że tak, skoro dorobił się na pracy architekta.

– Nie wiesz tego – wtrąciłam.

Machnęła ręką.

– Nie czepiaj się szczegółów! Jest dobrze wychowany? Jest, skoro nie narzekał nawet na twoją rodzinę. Teraz jedyne, co musisz zrobić, to zderzyć z niego koszulę. Przy okazji sprawdzisz, czy ma to znamie, o którym mówiłaś.

Westchnęłam i wpatrzyłam się w salę, w której panował przyjemny półmrok rozświetlany jedynie przez lampki włączone przy nielicznych stanowiskach. W czytelnicy zawsze było trochę ciemno, bo jedyne okna znajdowały się wysoko pod sufitem. Założyłam ramiona na piersi i oparłam się o stołek ukryty dla mnie za kontuarem.

– To nie może być on – powtórzyłam niechętnie. – Nie słyszałaś, jak mówiłam, że kupił dom Marshallów? Ja chciałam ten dom. Praktycznie mi go zabrał! I to miałby być mój ideał? Chyba zwariowałaś.

– Ty to jednak jesteś kretynka – prychnęła. – A co, przepraszam, powiedziałaś na sam koniec? Żeby spełniał wszystkie twoje życzenia? Chciałaś mieć dom Marshallów, więc go kupił. Naprawdę tego nie widzisz? Świadomie czy nie, zrobił to dla ciebie. Wszystko się zgadza!

No tak, faktycznie mówiłam coś takiego. Przygryzłam wargę. Nie, to było niemożliwe. To po prostu nie mogło się dzieć!

– Chyba go do siebie zniechęciłam – odparłam. – Praktycznie go spławiłam, a wcześniej zachowywałam się jak idiotka. Byłam tak zaskoczona, że nie potrafiłam wydusić z siebie ani słowa.

– I to twoje jedyne zmartwienie? Ty zawsze w towarzystwie facetów zachowujesz się jak kretynka, a oni chyba uważają, że to słodkie. Nic takiego na pewno się nie stało, pewnie po prostu uznał cię za niedostępną. I po co w ogóle coś takiego zrobiłaś? Wyczarowałaś go dla siebie, pamiętasz jeszcze, Margo?

Okej, to był chyba odpowiedni moment, żeby wyznaczyć jej prawdę.

– Muszę ci się do czegoś przyznać, Charlie – powiedziałam. – To, co wtedy zrobiłam u mnie w domu, to była szopka. Nie istnieje zaklęcie, którym możesz sobie wyczarować idealnego faceta.

Charlie na moment zamarła, wyraźnie zaskoczona.

– Jak to?

– Tak to. – Wzruszyłam ramionami. – Po prostu nie ma takiego zaklęcia. Zrobiłam to, żebyś się dobrze bawiła. Wzięłam pierwsze lepsze zioła z kuchni, jakąś miętę, kolendrę, szalwię, takie tam, i wrzuciłam to do ognia, gadając jakieś bzdury. To nawet nie było zaklęcie. To nigdy nie mogło się udać.

Przyjaciółka przez moment przyglądała mi się w milczeniu, a potem zadrżała i objęła się ramionami, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

– Weź mnie nie strasz. On przecież się pojawił, tak? Jest tutaj, kupił tę twoją ukochaną rudę i zamierza ją wyremontować. To on.

– To nie może być on – zaprotestowałam stanowczo. – To nawet nie było żadne zaklęcie, Charlie.

– I co, ten numer z oczami i wiatrem też zrobiłaś specjalnie dla mnie? – zapytała, na co rozłożyłam bezradnie ręce. – Może po prostu, no wiesz... Jesteś jak ci, którzy wymyślają zaklęcia? Mówiłaś, że to jest możliwe. Że można wymyślić zaklęcie, które wcześniej nie istniało.

– Nigdy tego nie umiałam. – Pokręciłam głową, coraz bardziej zafrasowana. Miałam poczucie, że powinnam porozmawiać o tym z moją rodziną, a biorąc pod uwagę, jak poważnie oni wszyscy traktują magię, to nie mogło skończyć się dobrze. Gdyby się dowiedzieli, że po alkoholu bawiłam się w taki sposób, chyba by mnie wydziedziczyli. Albo rzucili na mnie jakąś paskudną klątwę. – Poza tym to nie jest takie proste, że mówisz i robisz byle co. To wymaga pracy, czasu i skupienia. Na pewno nie pijanej czarownicy, która nigdy nie nauczyła się porządnie czarować. To moja mama była w tym dobra, nie ja. Ja nie... Nie wiem, co się wtedy stało. Ale to nie jest możliwe, żeby to był ten facet.

– Ale skoro już tu jest – odparła, starannie dobierając słowa – to dlaczego po prostu się z nim nie umówisz? Póki lepiej go nie poznasz, nie dowiesz się, czy to faktycznie on. Może ma jakieś okropne wady, których na pierwszy rzut oka wcale nie widać?

Zawahałam się.

– Nie chcę tak. Nie w taki sposób, rozumiesz? Zażyczyłam sobie, żeby mnie kochał. To była tylko głupia zabawa. Nie chcę, żeby faktycznie mój idealny facet kochał mnie tylko dlatego, że tak go wyczarowałam. Chcę, żeby mnie kochał dla mnie, rozumiesz?

Charlie ze smutkiem pokiwała głową.

– Niestety, rozumiem, Margo. Obie jesteśmy nieuleczalnymi romantyczkami. Ale cały czas twierdzisz, że to nie może być on. A skoro go nie wyczarowałaś, nie zakocha się w tobie tylko dlatego, że tego chciałaś. Może jednak warto spróbować?

A co, gdyby faktycznie miał znamię w kształcie półksiężyca na lewym ramieniu? Czy wtedy nadal byłabym taka pewna, że go nie wyczarowałam?

To nie jest możliwe, McKenzie, powtórzyłam sobie stanowczo. To niemożliwe, żeby on istniał tylko dlatego, że rzuciłam jakieś idiotyczne zaklęcie! Charlie miała rację – powinnam się do niego zbliżyć i o wszystko go wypytać. Skąd się wziął, jaką ma rodzinę, coś, co sprawiłoby, że stałby się dla mnie bardziej prawdziwy.

Nawet jeśli się tego bałam. A jeśli się do niego zbliżę i okaże się, że jakimś cudem jednak go wyczarowałam?

Dotknął cię, przypomniał mi znowu natarczywy głosik w głowie. Czulaś jego szorstką skórę na swojej. On jest tak samo prawdziwy jak ty czy Charlie. Poza tym nie można zmusić nikogo do miłości, przecież wiesz.

Mama umiała tworzyć zaklęcia. Była w tym bardzo dobra. A potem przesadziła i to naprawdę źle się skończyło. Nie chciałam iść w jej ślady. Nie chciałam go wyczarować. Chciałam, żeby był normalnym człowiekiem i miał wady jak każdy normalny człowiek. Małe, irytujące wady, które czyniłyby go prawdziwym.

– Masz rację – odpowiedziałam po chwili namysłu. – Spróbuję z nim pogadać. Znajdę w nim wady i udowodnię, że nie mogłam go wyczarować. Rozumiesz? To miał być facet idealny. Nie arogant, nie bałaganiarz, nie głupek i na pewno nie ktoś, kto nie lubi zwierząt. Jeśli znajdę cokolwiek, będę wiedziała na pewno, że jest prawdziwy.

– No, teraz mówisz rozsądnie! – krzyknęła Charlie, aż kilka osób podniosło głowy znad biur

i musiałam przyłożyć palec do ust. – Przepraszam – dodała dużo ciszej. – Sugeruję zacząć od razu, dzisiaj po pracy. Idź do niego i powiedz, że chcesz zobaczyć dom, tak jak ci zaproponował. Jeśli będziesz mieć szczęście...

– Umówiłam się na randkę z Rossem – weszłam jej w słowo.

Czemu czułam się źle, jakbym kręciła z dwoma facetami, skoro de facto z żadnym nic mnie nie łączyło?

– Spójrz na to jak na eksperyment – poradziła Charlie. – Cieszę się, że w końcu umówiłaś się z Rossem, naprawdę, ale sama musisz przyznać, że wycucie czasu ma okropne. Więc idź na randkę, a przystojnego architekta z Londynu potraktuj jak projekt. Podejdź do tego na zimno.

Wątpiłam, czy Ross by to zrozumiał.

– A co do Rossa – podjęła z psotnym uśmiechem. – Co zamierzasz? I czy dowiem się, gdzie cię zabiera? Na twoim miejscu włożyłam seksowną koronkową bieliznę i...

Przechyliłam się nad kontuarem i walnęłam ją mocno w ramię, zanim zdążyła dokończyć zdanie. Jęknęła z bólu i zaczęła rozmasowywać rękę, patrząc na mnie z wyrzutem, ale przynajmniej się zamknęła.

Ponad jej ramieniem spojrzałam na mężczyznę, który właśnie wszedł do czytelní. Stał na chwilę w progu i rozejrzał się dookoła, a potem dostrzegł mnie i się uśmiechnął. Serce znowu podeszło mi do gardła.

Tego dnia nadal padało i było to widać po jego włosach, wilgotnych od deszczu. Przeczesał je palcami i ruszył w naszą stronę, spokojnie, pewnie, nieco nonszalancko. Ruchy miał wyważone i oszczędne, dłonie zatknięte w kieszeniach czarnych dżinsów. Oprócz nich miał na sobie granatowy sweter z golfem, który kolorystycznie idealnie do niego pasował.

Spojrzenie niebieskich oczu uwięziło moje i przez chwilę nie mogłam przestać idiotycznie się na niego gapić. W końcu wróciła mi przytomność umysłu i na chwilę zalała mnie panika. Co on tutaj robił?! Wiedział, że pracuję w bibliotece, i przyszedł specjalnie czy to był przypadek? Ale po co miałby chcieć do mnie przychodzić? W ogóle się nie znaliśmy, to tylko na mnie robił takie wrażenie, że miałam ochotę zemdleć na jego widok!

Charlie w końcu zauważyła, że coś się dzieje. Odwróciła się i pisnęła na widok mężczyzny, który po chwili stanął przy kontuarze obok niej. Gapiła się tak idiotycznie, że musiałam ponownie walnąć ją w ramię. Jęknęła i spojrzała na mnie z pretensją.

– Willow wspominała, że pracujesz w bibliotece – wyjaśnił, a ja uznałam, że powinnam zakneblować Willow. Potem odwrócił się do mojej przyjaciółki. – My się chyba nie znamy. Jestem Theo Thorne.

Charlie ujęła jego rękę, wpatrując się w niego bez słowa. Musiałam odezwać się za nią:

– To Charlie Barnes, moja przyjaciółka. – Popchnęłam ją lekko, próbując zmusić do powrotu do rzeczywistości.

– Theo, tak? Nie przesadziłaś trochę, Margo? – zapytała mnie, na co zgromiłam ją wzrokiem. – Co na to powie Ross, jak sądzisz? Biedny, będzie miał kompleksy.

– Charlie – syknęłam, przeciągając palcem po gardle w geście imitującym cięcie. Przyjaciółka zrobiła głupią minę, milknąc w jednej chwili, a ja zwróciłam się do Theo: – Mogę ci w czymś pomóc?

– Mam nadzieję. – Theo oparł przedramiona na kontuarze i pochylił się w moją stronę. – Szukam dokumentów dotyczących domu Marshallów. Czegokolwiek, co można na ten temat znaleźć. Historia, poprzedni właściciele, wzmianki w prasie, wszystko.

Podniosłam brwi.

– Nie sprawdziłeś historii domu, zanim go kupiłeś? – zdziwiłam się.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Prawdę mówiąc, decyzja o zakupie domu była dosyć... spontaniczna – przyznał z rozbawieniem. – Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Zobaczyłem zdjęcia i po prostu poczułem, że muszę go kupić. Teraz jednak chciałbym dowiedzieć się o domu czegoś więcej. Kto wcześniej tam mieszkał? Dlaczego pozwolił, by dom popadł w taką ruinę? Cokolwiek masz, przyjmę wszystko.

Przeszłam do komputera i otworzyłam katalog, a potem przeszukałam go po adresie parceli

i zwyczajowej nazwie, pod którą dom był znany w Inverness. Przygryzłam wargę.

– Trochę tego jest – przyznałam. – Głównie stare numery gazet z naszego archiwum. Jesteśmy w trakcie digitalizowania materiałów, ale to żmudny proces i nie zawsze jest na to czas. Mogę to przygotować, ale trochę mi zejdzie. Musiałabym poszperać w archiwum za tymi numerami, których nie znajdę w komputerze.

– Potrzebujesz pomocy? – Szeroki uśmiech Theo sprawił, że moje serce fiknęło koziołka.

– Skąd, to moja praca. – Zignorowałam pełne niedowierzania prychnięcie Charlie. – Może być na jutro? Przy okazji założę ci kartę biblioteczną, skoro zamierzasz tu zostać na stałe.

– Jasne, byłoby super. O której mam wpaść? – zapytał Theo, a kiedy zastanawiałam się, na którą będę w stanie przygotować mu potrzebne dokumenty, dodał: – Może po prostu powiesz, o której kończysz pracę, i wtedy się spotkamy? Dasz mi wszystko, co znajdziesz, a ja w ramach podziękowania kupię ci coś do jedzenia i oprowadzę po domu Marshallów. Co ty na to, Margo?

Na moment zapomniałam języka w gębie. Podniosłam na niego wzrok, zupełnie ignorując niecierpliwe posykiwania mojej przyjaciółki.

– Przepraszam. Jutro po pracy jestem już umówiona – skłamałam.

Charlie prychnęła z niedowierzaniem.

– To jutro masz tę randkę z Rossem?

Theo zmarszczył brwi i zerknął na nią krótko, zanim wrócił spojrzeniem do mnie. Marzyłam, żeby schować się pod kontuar, ale nogi nie bardzo chciały mnie słuchać i się zgiać.

Tymczasem Theo zapytał:

– Masz chłopaka, Margo?

– Spotykam się z kimś – wyjąkałam, mając wrażenie, że jego spojrzenie prześwietla mnie na wylot jak rentgen, demaskując wszystkie moje kłamstwa.

Charlie znowu prychnęła.

– Nieprawda...

A potem jęknęła, gdy po raz kolejny dostała ode mnie z pięści. Theo przez chwilę spoglądał to na mnie, to na nią, jakby próbując odgadnąć, o co w tym wszystkim chodzi, aż w końcu się poddał i odpowiedział:

– Dobrze, w takim razie wpadnę jutro koło czwartej po południu. Może być?

Odetchnęłam z ulgą.

– Kończę wcześniej, ale zostawię Eddiemu wszystko, co znajdę, będziesz mógł to u niego odebrać – poinstruowałam go gładko.

Theo skinął głową i zawahał się, jakby nie był pewny, czy to już czas, żeby odejść. Starłam się go ignorować, udając, że robię coś na komputerze. Skończona kretyńka, wyzwałam się w myślach. Mogłaś jutro być w domu Marshallów! Zjeść obiad z Theo Thorne'em! Która normalna kobieta odrzuciłaby taką propozycję?!

Wniosek był tylko jeden: nie mogłam być normalna.

– To w takim razie... do zobaczenia – powiedział w końcu, po czym odwrócił się do mojej przyjaciółki i posłał jej szeroki uśmiech. – Miło było cię poznać, Charlie.

Odpowiedziała mu tym samym i poczekała, aż wyjdzie, podobnie jak ja gapiąc się na jego tyłek, zanim trzepnęła mnie po głowie. Jęknęłam i rozmasowałam obolałe miejsce.

– Za co to?

– Za to, że jesteś idiotką! – No dobra, należało mi się. – Dlaczego, na Boga, zaczęłaś mu wciskać jakieś głodne kawałki o tym, że jesteś jutro zajęta?! Znajac cię, będziesz pół wieczoru myć włosy, a drugie pół karmić tego głupiego kota, w międzyczasie poczytując po raz kolejny Elizabeth Gaskell. Co ci odbiło?!

Skrzywiłam się. Gdybym tylko wiedziała, co mi odbiło, chętnie bym jej powiedziała. Z jakiegoś powodu tak się denerwowałam przy Theo, że musiałam go od siebie odepchnąć.

– Nie jestem w jego typie – odpowiedziałam niepewnie.

Charlie tym razem siebie walnęła w czoło. Tak mocno, że aż syknęła.

– Zwariowałaś już całkiem? Od tej samotności porobiło ci się coś w głowie? A może tak dawno

nie miałaś faceta, że zapomniałaś, jak to wygląda, kiedy ktoś cię podrywa? Bo oświecę cię, to właśnie było to. Podryw. Facet przejął całą inicjatywę, wystarczyło, że powiedziałaś krótkie „tak”! Chyba nie można z siebie zrobić idiotki podczas wypowiedzenia jednego prostego słowa, co?

– Daj spokój, Charlie – westchnęłam. – Nie o to mi chodzi. Gdyby Theo Thorne był prawdziwy, nie chciałby mnie podrywać. On mnie w ogóle nie zna, a nie wyglądam tak, żeby ktokolwiek, zwłaszcza taki facet, oszalał na moim punkcie od pierwszego wejrzenia. Więc albo chodzi mu o coś innego, albo...

– Albo co? Jednak go wyczarowałaś? – prychnęła. – Przecież mówiłaś, że to niemożliwe.

– Wiem! Problem w tym, że fakty przeczą wszystkiemu, co wiem na temat magii.

– A w sumie wiesz niedużo. Rozumiem, że pytanie ciotek nie wchodzi w grę? – Gdy spojrzałam na nią jak na idiotkę, Charlie uniosła rękę. – Jasne. Zabawa magią i tak dalej. Ale może jest jakiś inny powód, dla którego on się tobą interesuje. A jeśli jednak chciałby cię po prostu poznać? Nie dowiesz się, póki się z nim nie umówisz. Poza tym ten facet remontuje dom naprzeciwko domu twojej babci, siłą rzeczy będziesz musiała go widywać.

Okej, Charlie miała rację, w tej sytuacji trzeba zachować zimną krew. Problem w tym, że lubiłam panikować z byle powodu.

– Powinłam się czegoś o nim dowiedzieć – zdecydowałam. – Na początek może niekoniecznie od niego. Może Willow coś mi o nim powie. Albo mogłabym pogadać z agentem nieruchomości, który sprzedał mu dom. Na pewno wie na temat Theo coś więcej.

Charlie się roześmiała, a ja dopiero po chwili zrozumiałam dlaczego.

– To oczywiście może być trudne, biorąc pod uwagę, że tym agentem nieruchomości na dziewięćdziesiąt procent była Dana – dodałam z irytacją. – A jeśli Dana dowiedziała się już, na przykład od Willow, że umówiłam się z jej byłym facetem, może nie być szczególnie chętna do współpracy.

– No może – przyznała Charlie z rozbawieniem. – Dziewczyno, daj sobie na wstrzymanie i po prostu się z nim umów. Przecież to nie żaden potwór, nie odgryzie ci głowy! To fajny, przystojny facet. Spędzanie czasu w jego towarzystwie powinno być czystą przyjemnością.

Zawahałam się, nie wiedząc, jak wyjaśnić swoje wątpliwości. Charlie jednak oczywiście była szybsza.

– Boisz się – skonstatowała.

Zapowietrzyłam się na moment.

– Wcale nie!

– Przyznaj, że się boisz – powtórzyła dużo pewniejszym tonem. – Boisz się swojego idealnego faceta, co? Opisać go było prosto, ale już zmierzyć się z nim niekoniecznie? Co, łatwiej czytać o mężczyznach w tych wszystkich głupich powieściach?

– Przestań – syknęłam, odwracając się, by odebrać od jakiegoś młodego chłopaka książki. – Przecież to nie tak, że nie spotykałam się wcześniej z facetami. Z jednym nawet mieszkałam na studiach, pamiętasz?

– Pamiętam – przytaknęła z rozbawieniem. – Z Connorem, który niemal dostał zawału, gdy twoja ciotka go nastraszyła. Zwiewał tak szybko, że pogubił po drodze skarpetki.

Skrzywiłam się, ale niestety Charlie ponownie miała rację. Ciotce Georgii wydawało się, że zrobiła mi przysługę, odstrasżając faceta, który nie był gotów trwać przy mnie mimo wszystko. Ja twierdziłam, że żaden nie byłby w stanie tego przelknąć, zwłaszcza gdy ktoś celowo używał na nim magii, żeby go wystraszyć.

– No dobrze, może Connor nie był ideałem – przyznałam niechętnie. – Ale to nie zmienia faktu, że nie boję się facetów, Charlie. Theo nie jest pierwszy i nie ostatni.

– Ale pierwszy taki. – Charlie najwyraźniej nie zamierzała dać za wygraną. – Te pantofle, z którymi dotąd się umawiałaś, w ogóle się nie liczą. Po prostu przyznaj, że się boisz. Obiecuję, nie będę się więcej śmiała.

– Okej, dobrze? – Podniosłam dłonie w geście kapitulacji. – Tak, boję się. Ale nie jego, tylko siebie. Boję się, że kompletnie się przy nim wygłupię albo źle odczytam sygnały, albo coś... Poza tym kręci się wokół niego Willow. Przy Willow ja...

– Co ty? – przerwała mi Charlie. – Proszę cię, Margo, bijesz ją na głowę. Jeżeli Theo jest

cokolwiek wart, natychmiast to zauważy. I jestem pewna, że się nie wygłupisz. Już ci mówiłam, że faceci uważają twoje zachowanie za słodkie. Okej, rozumiem, jest Ross, ale to dopiero pierwsza randka. Nie jesteście razem. Nie robisz nic złego.

Westchnęłam.

– Ale sama wspomniałaś o naszej randce. Myślisz, że Theo...

– Jeśli zależy mu na spotkaniu z tobą, żaden Ross go nie odstraszy – odpowiedziała zdecydowanie. – Dwa razy dałaś mu kosza, nie? Niech wie, że musi się postarać. Dobrze, że udajesz niedostępną.

Udajesz? Przepraszam, co ona insynuowała?

– Wiem, że natychmiast rozłożyłabyś nogi, gdyby tylko okoliczności były inne – zarechotała, rozwiewając moje wątpliwości. – Co, może nie mam racji?

Otwarłam usta, żeby zaprotestować, ale ostatecznie zrezygnowałam. I tak poznałaby się na moich kłamstwach.

– Pamiętaj, że ciągle jesteś w bibliotece – odparłam, czym wywołałam jej chichot. – I bądź ciszej!



6. Jak skutecznie unikać tematu

– Wstawaj, Margo! Chcesz się spóźnić do pracy? Już wpół do ósmej!

Jęknęłam, przykrywając głowę poduszką. Zaraz, przecież mieszkałam sama. No, z kotem, ale jeszcze do wczoraj Chandler nie nauczył się mówić. I byłam absolutnie pewna, że nawet gdyby się nauczył, nie miałby takiego irytującego, kobiecego głosu. Zawsze wyobrażałam go sobie raczej mówiącego głosem Nicka Bakaya. Ktoś twierdził, że czarownice nie mają poczucia humoru?

– Ciociu?! – Momentalnie wybudzona, usiadłam na łóżku, próbując wyplątać się z prześcieradła i odgarniając rozczochrane włosy z twarzy. Chandler z pełnym niezadowolenia miauknięciem zeskoczył z łóżka i uciekł pod nie. – Co ty tu robisz?! Tyle razy was prosiłam, żebyście nie wchodziły bez zaproszenia!

Ciocia Georgia uśmiechnęła się do mnie szeroko, po czym slalomem wyminęła kosz z czystą bielizną, której nie chciało mi się schować do komody poprzedniego dnia, i zabawki Chandlera, by podejść do okna i odsłonić rolety. Zdziwiłam się na widok słońca, które wyjrzało na mnie z zewnątrz. Co to, już nie padało? Dziwne, przestało zaledwie po dwóch tygodniach? To było tak niepodobne do Inverness.

Z całej rodziny to właśnie ciocię Georgię przypominałam najbardziej. Miała długie, spięte w nieporządną kucyk kasztanowe włosy, oczy w ładnym kolorze whisky, piegi na nosie i trójkątną, nieco kocią, podobną do mojej twarz. Ale ciocia była wyższa ode mnie o dobre pół głowy i szczuplejsza.

Zamrugałam, żeby odpędzić spod powiek resztki snu. Byłam przekonana, że coś mi się śniło, ale po przebudzeniu kompletnie tego nie pamiętałam. Jak zwykle.

– Pukałam, ale spałaś tak twardo, że nie słyszałaś. Dlatego sama się wpuściłam. – Wzruszyła ramionami, a potem od niechcenia machnęła ręką i poczułam nagle, jak wszystkie włosy na głowie mi się rozprostowały. Wstrzymałam oddech, gdy ułożyły się ponownie, na pewno idealnie. – No, tak o wiele lepiej. Gdybyś tylko używała magii, mogłabyś przyszykować się do wyjścia w ciągu pięciu minut i nie spóźnić się do pracy. Uparłaś się, żeby utrzymywać się sama, więc bądź konsekwentna.

– A nie jestem? Bo nie używam magii? – Podniosłam brew. Gdybym dostawała pensa za każdym razem, gdy słyszę „Gdybyś tylko używała magii...”, już dawno mogłabym zrezygnować z pracy w bibliotece, bo byłabym pieprzoną milionerką. – Właśnie dlatego JESTEM konsekwentna. Powiedziałam sobie, że nie będę tego robić, i nie robię.

Pomijając kilka drobnych wypadków, w tym rozpalenie ognia w kominku, i jeden wielki fakał w postaci wyczarowania sobie faceta idealnego. Świetny bilans, McKenzie.

Wyrzebałam się z pościeli i uklękałam przy łóżku, próbując zmusić Chandlera do wyjścia. Niestety, zabunkrował się głęboko i istniało prawdopodobieństwo, że nie zobaczę go ponownie przed Bożym Narodzeniem.

Ciotka tymczasem podeszła do szafy i bezceremonialnie zaczęła przeglądać moje rzeczy. Przewróciłam oczami i podniosłam się, zostawiając kota w spokoju. Wyjdzie, jak zgłodnieje.

– Włóż to – poleciła ciotka, wyciągając moje najbardziej obciste jasnoniebieskie dzinsy i ciemnozieloną koszulę. – I pospiesz się. Podwiozę cię do pracy.

– Ciocia Elsie powiedziała ci, że się dzisiaj spóźnię? – mruknęłam.

Pokręciła głową, biorąc moje słowa całkiem na poważnie.

– Chciałam z tobą pogadać przed pracą. Przed spóźnieniem uratowałam cię zupełnym przypadkiem.

Machnęłam na nią ręką i zamknęłam się w łazience, gdzie kontrolnie zerknęłam w lustro. Wow, moje włosy były lepiej ułożone i gładziej niż kiedykolwiek. Gdybym była bardziej próżna, może faktycznie rozważyłabym ponowne włączenie magii do swojego codziennego życia.

Kiedy w końcu weszłam do salonu, już czysta i przebrana, ciotka Georgia myszkowała po aneksie kuchennym. Nie próbowała jednak robić mi śniadania jak kiedyś ciotka Ava. Po prostu zaglądała do szafek i przechadzała się niespiesznie dookoła.

Zmarszczyłam brwi.

– Ciociu? O czym chciałaś porozmawiać? – zapytałam.

Wyminęła mnie bez słowa i przeszła do salonu. Na moment zatrzymała się na środku, na miękkim kolorowym dywaniku, który rzuciłam na jasnoszare panele, i wpatrzyła się w wygaszony kominek.

Zachowywała się dziwnie.

Tyle nawet ja potrafiłam stwierdzić.

– Zapewne zauważyłaś, jak wszystkie zareagowałyśmy ostatnio na wiadomość o kupnie domu Marshallów – powiedziała, odwracając się do mnie. – Widziałaś się od tego czasu z Theo Thorne’em?

Skinęłam głową. Nie widziałam powodu, żeby kłamać.

– Przyszedł wczoraj do biblioteki. Szukał informacji na temat domu – wyjaśniłam. Ciotka przygryzła wargę.

– Dlaczego?

– Nie pytałam. – Wzruszyłam ramionami. – A czy to ważne dlaczego? Pewnie chce wiedzieć, co wcześniej się z nim działo, czemu tyle czasu stoi pusty. To chyba normalne.

– Nie, normalne byłoby, gdyby dowiedział się tego przed zakupem.

Więc też zauważyła. Nic dziwnego, moje ciotki mogły mieć sporo wad, ale na pewno nie były głupie.

– O to musiałabyś zapytać jego. – Odwróciłam się w końcu i sięgnęłam po swoją torbę. – Coś jeszcze chciałaś wiedzieć?

– Nie, raczej chciałam cię o coś prosić. – Poszła za mną, gdy zaczęłam szukać kurtki i butów. – Trzymaj się z daleka od tego mężczyzny.

Wow. Wiele spodziewałam się po ciotce, ale na pewno nie tego!

Rzuciłam jej zaskoczone spojrzenie.

– Serio, ciociu? Mam ci przypomnieć, ile mam lat?

– Mówię poważnie, Margo. – Ciotka podeszła bliżej i oparła pięści na biodrach, przyglądając mi się, gdy się ubierałam. – Słyszałam, jak rozmawialiście w salonie, zanim wyszedł. Również to, że proponował ci oprowadzenie po domu Marshallów. Nie wolno ci tego zrobić, Margo. Proszę, potraktuj moje słowa serio.

– Ale niby dlaczego? – prychnęłam. – Co takiego strasznego jest w Theo Thornie, że mam się od niego trzymać z daleka?

– To... – Ciotka zawahała się i już wiedziałam, że nie usłyszę od niej prawdy. – Elsie coś widziała. Nie podała nam szczegółów, ale była bardzo poważna i dosyć przestraszona. Powinnaś jej posłuchać, kochanie.

– Wysłały cię specjalnie? – Sprawdziłam, czy Chandler ma pełną miskę, a potem ruszyłam do drzwi. – Wiedzą, że z tobą najlepiej się dogaduję i najprędzej cię posłucham, bo uważam, że jesteś najbardziej racjonalna z nich wszystkich. Dlatego to ciebie wysłały, tak?

Gdy zerknęłam przez ramię, stwierdziłam, że ciotka skrzywiła się nieznacznie. Miałam rację. Skoro ciotki i babcia – bo na pewno wszystkie były w to zamieszane – robiły takie sztuczki, musiało chodzić o coś ważnego. Od dziecka powtarzały mi, że liczy się szczerłość i zaufanie, więc dlaczego teraz coś przede mną ukrywały? To nie było w porządku.

– To nie ma znaczenia, Margo – odpowiedziała w końcu. Wyszłyśmy na zewnątrz, a ja zmrużyłam oczy, gdy poraziło mnie jaskrawe słońce. Naprawdę zrobił się ładny, ciepły, jesienny dzień. – Wiesz, że wszyscy się o ciebie troszczymy i chcemy dla ciebie jak najlepiej. Uwierz mi, z tej znajomości

nie wyniknie nic dobrego.

– To samo zamierzasz powiedzieć Willow?

Pokiwała głową.

– Tak, Willow usłyszysz od nas to samo, gdy tylko z nią porozmawiamy.

Podejrzewałam, że na niewiele się to zda. Willow jeszcze mniej robiła sobie ze słów naszej rodziny niż ja.

Oparłam się o furtkę, za którą stał zaparkowany niewielki samochód ciotki Georgii. Wpatrzyłam się w nią z namysłem.

Jeszcze dzień wcześniej Charlie próbowała mnie przekonać, żeby dać szansę Theo. Ale moja rodzina nie kazałaby mi trzymać się od niego z daleka bez powodu. I tak miałam wątpliwości co do spotkania z Theo, więc decyzja w gruncie rzeczy była prosta.

– Dobrze. – Skinęłam głową. – Wierzę, że nie prosiłabyś o to bez powodu. Więc w porządku, będę trzymała się od niego z daleka.

Widziałam, że ciotci wyraźnie ulżyło. Coraz mniej mi się to podobało.

Bo czy to znaczyło, że Theo był w jakimś niebezpieczeństwie? A jeśli tak, to czy mogłam go tak po prostu zostawić?

– Słuszna decyzja, Margo, naprawdę – zapewniła. – Wsiadaj, podwiozę cię do pracy.

Kiedy już znalazłam się w przytulnym wnętrzu jej niewielkiego samochodu i ciotcia Georgia ruszyła przed siebie, zapytała:

– Byłaś ostatnio u swojej mamy?

Zesztywniałam na to pytanie, a potem spojrzałam przez boczną szybę po to tylko, by nie zobaczyć wyrazu mojej twarzy.

– Nie, ostatnio nie – odpowiedziałam powoli. – Jakiś miesiąc temu. Czemu pytasz?

Kątem oka zobaczyłam, że ciotcia rzuciła mi szybkie spojrzenie, zanim wróciła do śledzenia jezdni. Jej kurczowo zaciśnięte na kierownicy dłonie napawały mnie niepokojem. Ciotcia jeździła już od ładnych paru lat, ale ciągle nie czuła się pewnie za kółkiem.

– Na pewno nie byłaś u niej w tym tygodniu? – drażyła. – I z jakiegoś powodu nie chcesz nam o tym powiedzieć?

– Niby z jakiego? – prychnęłam. – Prędzej skłamałabym, że byłam. Nie, nie odwiedzałam jej w tym tygodniu. Ostatnio gdzieś na początku września.

Ciotcia w zamyśleniu pokiwała głową.

– Powinnaś ją chyba odwiedzić, nie sądzisz?

Sądziłam. Wiedziałam, że za rzadko widuję się z mamą. Jednak odwiedziny u niej nie były dla mnie dobre – ja po każdej takiej wizycie czułam się gorzej, a ona bez zmian, bo i tak nie było z nią żadnego kontaktu. Gdyby chodziło tylko o patrzeć na nią w takim stanie, pewnie bym się nie wahała, ale miałam za dużo wspomnień, do których wołałam nie wracać, a które budziły się do życia za każdym razem, gdy widziałam jej twarz. Jej włosy. Jej mimowolny uśmiech.

Czym prędzej odgoniłam od siebie te myśli i obiecałam:

– Wkrótce ją odwiedzę.

Kolejne szybkie spojrzenie ciotci sprawiło, że poczułam wyrzuty sumienia.

– To dobrze. Wiesz, cokolwiek byś o niej myślała... Mimo wszystko jest twoją matką. Zawsze cię kochała i nadal kocha.

W uszach miałam swój własny pisk, wydany tamtego dnia, kiedy mama próbowała stworzyć zakłęcie. Wciąż czułam na skórze oplatające mnie niewidzialne ręce, ich zimny, nieprzyjemny dotyk; wciąż widziałam pod powiekami drgające bezwładnie na podłodze ciało mamy, jej wywrócone oczy, z białkami na wierzchu.

Żadna z nich nie miała pojęcia, że to widziałam. Gdybym im powiedziała, musiałabym też wyjaśnić, jakie zakłęcie mama próbowała stworzyć. Nawet ja czułam, że nie powinna była, dlatego wołałam milczeć. Nie pogrążyć jej.

To chyba był wystarczający przejaw miłości. Przez siedemnaście lat nie powiedziałam nikomu o najgorszej chwili w moim życiu, żeby chronić mamę.

Ciocia Georgia nie miała pojęcia, o czym mówi. Jasne, mama mnie kochała. Problem w tym, że był ktoś, kogo kochała znacznie bardziej. To dla niego, nie dla mnie, zaryzykowała wszystko. I wszystko przegrała.

– Margo? W porządku? – Jak zza ściany dobiegł mnie zaniepokojony głos cioci. Kiedy wreszcie wróciłam do rzeczywistości, stwierdziłam, że ciocia zdążyła już zaparkować na Farraline Park, pod samą biblioteką. – Przez chwilę chyba byłaś bardzo daleko, co?

– Tak, przepraszam... – Posłałam jej zakłopotany uśmiech. – Dzięki za rozmowę, ciociu, ale muszę już lecieć, jeśli nie chcę się spóźnić. Pogadamy później, dobrze?

– Przyjdiesz na kolację jutro? – zawołała za mną, gdy już wyskoczyłam z auta.

Pochyliłam się do niej i pokręciłam głową.

– Nie mogę, jestem już umówiona.

– To ta twoja stała wymówka czy faktycznie umówiłaś się z kimś innym niż swoją własną biblioteczką? – Podniosła brwi, na co prychnęłam. Serio, nie czytałam aż tyle i nie byłam aż tak nudnym człowiekiem! – Naprawdę masz randkę, coś takiego! Z Rossem? To ten weterynarz, tak?

Dziwne, że Willow jeszcze nie zdążyła im powiedzieć, jak poderwałam zajętego faceta. To byłoby bardzo w jej stylu.

– Tak, wszystko się zgadza – potwierdziłam niechętnie. – Tylko błagam, nie mów ciotkom, bo przysięgam, jeśli przekonają ciocię Elsie, żeby wywróżyła, gdzie Ross mnie zabierze, a potem przyjdziecie tam wszystkie i zrobicie obciach, to własnoręcznie was zamorduję. I postaram się, żeby to trwało możliwie długo i było możliwie bolesne. Jasne?

Ciocia Georgia z rozbawieniem pokiwała głową.

– Właściwie to chciałam ci tylko życzyć dobrej zabawy...

– Aha, jasne.

Trzasnęłam drzwiczkami jej vauxhalla tak mocno, że na pewno zadźwięczały jej zęby. Potem odwróciłam się bez słowa i pomaszerowałam w stronę wejścia do biblioteki.

Tego dnia miałam dyżur na sali, co najbardziej lubiłam. Odnosiłam książki na miejsce, dbałam o czystość czytelni, a przy okazji mogłam odwiedzić wszystkie swoje ulubione zakamarki. To jednak zamierzałam zrobić później, żeby schować się przed Beatrice, która – byłam tego absolutnie pewna – przyjdzie w połowie dnia i spróbuje mnie odciągnąć do katalogowania albo jakiegoś równie nudnego zajęcia. Wystarczyło mi, że musiałam poświęcić przerwę lunchową, żeby znaleźć potrzebne Theo dokumenty.

Musiałam tylko przypilnować, żeby ktoś inny mu je przekazał, skoro ja sama obiecałam ciotce, że nawet się do niego nie zbliżę.

Powoli rozwoziłam książki z wózecka, po drodze witając się z odwiedzającymi. Większość ludzi przychodziła do czytelni regularnie i znałam ich już z widzenia. Do południa zazwyczaj było tu pustawo, dzięki czemu miałam święty spokój. Praca wprost stworzona dla mnie.

Z częścią książek weszłam na antresolę, gdzie niektóre półki sięgały sufitu. Przeszłam między regałami, wdychając zapach starych książek, i zaczęłam porządkować woluminy. W końcu został mi tylko jeden. Do odłożenia na samej górze, na najwyższym regale, pod samym sufitem, jakieś cztery stopy ponad zasięgiem moich ramion.

Wpatrzyłam się w regał z irytacją, a potem rozejrzałam za drabinką, której jednak nigdzie nie dostrzegłam. Mogła być wszędzie, a znając życie, nie tam, gdzie postanowiłabym jej szukać. Westchnęłam i przymierzyłam się do regału, ale jakoś nie urosłam znieca o trzy stopy, nawet kiedy podskoczyłam.

Po prostu świetnie. Zanim znajdę tę pieprzoną drabinkę, minie moja przerwa lunchowa. Może powinnam po prostu odłożyć tę książkę byle gdzie, ale to nie było w moim stylu.

Wpatrywałam się w książkę uporczywie, zastanawiając się, co robić. Nagle podskoczyłam, gdy wyfrnęła mi z ręki i sama poleciała na odpowiednią półkę. To nie była jakaś powolna lewitacja, tylko szybki jak mgnienie oka lot! Zadarłam głowę, by stwierdzić, że znalazła się dokładnie na swoim miejscu. Cholera jasna.

Zerkałam idiotycznie na swoje dłonie, ale oczywiście nie było w nich niczego niezwykłego.

Problem tkwił w tym, przed czym ostrzegała mnie ciotka Georgia. Coś było ze mną nie tak.

Chciałam mieć rozpalony ogień i ogień sam się rozpałił. Chciałam mieć odłożoną książkę i ta sama się odłożyła. Wyraźnie przestawałam panować nad swoją magią, co... no, trochę mnie martwiło. Póki to były drobne kwestie, nie działo się nic złego. Gorzej, gdyby proces postępował. A tego właśnie obawiała się ciotka Georgia.

Ale cóż... Moje ciotki też nie były nieomyłne, prawda? Może więc tym razem ciocia przesadzała. Może wcale nie miało być tak źle.

Rozejrzałam się ponownie, ale na szczęście na antresoli było pusto i nikt nie zauważył mojego małego wyskoku. Niby mnóstwo ludzi dookoła wiedziało, że jestem czarownicą – czasami miałam wrażenie, że całe Inverness zdaje sobie sprawę z tego, kim jest rodzina McKenzie – ale jednak na co dzień udawałam normalną, więc mogłoby to niektórych zdziwić.

W przerwie lunchowej udałam się do archiwum i zaczęłam wyszukiwać stare numery gazet, starając się wyrzucić z pamięci mały incydent z magią. Nasze archiwum składało się z dwóch części – tej nowoczesnej, pełnej komputerów i dobrze oświetlonej, oraz tej ciemnej i zagraconej, w której znajdowały się dokumenty nieprzeformatowane jeszcze do wersji elektronicznej. Dzięki katalogowi wiedziałam z grubsza, czego gdzie szukać, zakładałam więc, że nie zajmie mi to dużo czasu.

Nie zakładałam tylko, że sama wciągnę się w informacje, które znalazłam.

Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad historią domu Marshallów. Nigdy nawet nie weszłam do środka, bo był zamknięty na cztery spusty, a jakoś nie miałam inklinacji do włamań. Dopiero dzięki Theo dowiadywałam się pewnych rzeczy.

Na przykład tego, że odkąd dom został wybudowany gdzieś w osiemnastym wieku, dwukrotnie trawiły go płomienie, a raz omal się nie zawalił, gdy ciężarówka wjechała do środka prosto przez okna w salonie. Ostatni właściciele wyprowadzili się z niego bardzo szybko, niecały rok po jego wyremontowaniu wkrótce po wypadku z ciężarówką.

Wszystkie informacje składały się w dosyć nieprzyjemną całość. Wyglądało na to, że z tym domem było coś nie tak. To oczywiście mógł być zbieg okoliczności, ale ja nie wierzyłam w takie przypadki. Odchyliłam się na krzesło i przygryzłam kciuk, wpatrując się w artykuł o samobójstwie ojca, który zostawił żonę z trójką dzieci. Nie zabił się wprawdzie w tym domu, ale mieszkał tam ponad rok, a potem znaleziono go w motelu niedaleko Inverness. W wannie. Z podciętymi żyłami. Żona z dziećmi wyprowadziła się do Glasgow jeszcze tego samego roku.

Jakim cudem nic o tym nie wiedziałam? Przez lata podobała mi się fasada domu i jego położenie, ale nie miałam pojęcia, że stało się w nim coś złego. Nikt nigdy o tym nie mówił. Dom Marshallów nie wydawał się owiany złą sławą czy coś.

Ściągnęłam wszystkie potrzebne wiadomości na pendrive, a potem znalazłam resztę w niezdigitalizowanej części archiwum. Po drodze zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie przesadzam. Dom miał kupę lat, chyba nic dziwnego, że wśród jego lokatorów zdarzały się zgony? O tych, którym nie stało się nic złego, nie pisano przecież w gazetach.

Kiedy wróciłam do czytelnicy, Eddie właśnie sadowił się na swoim miejscu za kontuarem. Przesunęłam w jego stronę pendrive i dokumenty, które mogliśmy udostępnić Theo na miejscu.

– Cześć – przywitałam się. – Muszę dzisiaj wyjść chwilę wcześniej, ale przyjdzie tu taki facet. Dasz mu to? Założyłam mu już kartę biblioteczną.

– Jaki facet? – Eddie zmarszczył brwi.

Wzruszyłam ramionami.

– Nowy sąsiad mojej babci. Kupił dom Marshallów i chciał dowiedzieć się na jego temat czegoś więcej.

– I co, aż tyle znalazłaś? – zdziwił się, spoglądając na stare wydania gazet. – Trochę dużo jak na jeden dom.

Czyli Eddie też nic nie słyszał o dziwnych wypadkach lokatorów tego miejsca.

– To stary dom, to i owo zdążyło się w nim wydarzyć – odparłam, spoglądając na zegarek. – Nie wiem, o której tu będzie, ale gdyby o mnie pytał, przekaż mu, proszę, że poszłam już do domu.

– Czemu miałby o ciebie pytać? – zaciekawił się. – To coś nowego, Margo. Uciekasz przed nim

czy jak?

– Nie uciekam, po prostu muszę wyjść wcześniej – zaprotestowałam stanowczo.

Eddie machnął ręką.

– Tak czy inaczej Beatrice cię szukała. Podobno miałaś się zająć katalogowaniem książek z tej nowej dostawy – przypomniał sobie.

Przewróciłam oczami.

– Wiedziałam, że to będzie udany dzień. Powiedz jej, że siedzę w archiwum i jutro się tym zajmę, dobrze?

– Czy ja ci wyglądam na posłańca?

– Dzięki! – krzyknęłam, po czym uciekłam między regały.

Miałam do sprawdzenia kilka zakamarków, w których mogłam się chwilowo ukryć przed swoją szefową. I przed Theo Thorne'em.

Westchnęłam na tę ostatnią myśl.

Moja rodzina czasami bardzo utrudniała mi życie.



7. Jak zepsuć sobie randkę

Raz jeszcze okręciłam się wokół własnej osi i krytycznie spojrzałam na siebie w lustrze. Wyglądałam w porządku. Nie odstrzelona za bardzo, nie jakbym próbowała udawać kogoś innego, tylko jak ładna, elegancka ja.

Frustrowało mnie jednak, że nie cieszyłam się na to wyjście tak, jak powinnam. Chociaż wzdychałam do Rossa przez ostatnie pół roku, teraz, kiedy wreszcie szłam z nim na randkę, myślałam o innym.

Ale obiecałam cioci, że będę trzymać się z daleka od Theo!

Tylko jak mogłam to zrobić, jeśli z domem Marshallów było coś nie tak? A co, jeśli moje ciotki o tym wiedziały i właśnie dlatego nie chciały, żebym się zbliżała do jego nowego właściciela? Jeśli po prostu nie chciały, żebym wchodziła do tego domu?

Kiedy jako dziecko mówiłam ciotkom, że w przyszłości kupię ten dom, żadna nie wyrażała entuzjazmu. Nie próbowały mnie przekonywać, że to głupi pomysł, ale też nie zachęcały. Może więc naprawdę wiedziały coś, o czym ja nie miałam pojęcia? I stąd wzięły się te idiotyczne zakazy?

Ale jeśli tak, to czy Theo mógł mieć z tego powodu jakieś kłopoty?

Nie chciałam, żeby coś mu groziło. Czy to oznaczało, że powinnam mu jakoś pomóc?

Zastanawiałam się nad tym aż do przyścia Rossa, co było wkurzające. Przecież powinnam ekscytować się randką, prawda? A nie roztrząsać, czy nowemu sąsiadowi babci, który mógł nawet nie być prawdziwy, coś groziło!

Kiedy w końcu usłyszałam dzwonek u drzwi, zerknęłam na zegarek. Punkt siódma. Ross był staromodnie punktualny. Podobało mi się to.

– Dobry wieczór. Pięknie wyglądasz, Margo – powiedział z uśmiechem, kiedy tylko otworzyłam.

Jasnobrązowe włosy miał porządnie uczesane i był starannie ogolony. Odruchowo odpowiedziałam uśmiechem i odsunęłam się, żeby wpuścić go do środka. Miał na sobie jesienny płaszcz, ciemne garniturowe spodnie i czyste skórzane półbuty.

W swojej granatowej spódnicy do kolan i wpuszczonej w nią również granatowej szerokiej bluzce ze złotą lamówką poczułam się nagle niedostatecznie elegancka. Sądząc jednak po spojrzeniu Rossa, on tak nie uważał.

– Dziękuję – odpowiedziałam lekko. – Napijesz się czegoś?

– Wody, jeśli mogę. – Odebrałam od niego płaszcz i rzuciłam go na sofę w salonie, po czym przeszłam do kuchni i wyciągnęłam z lodówki butelkę wody. – Pozwolisz, że się rozejrzę?

– Oczywiście. – Dobrze, że posprzątałam, zanim przyszedł. – Nie krępuj się. Ale dużo do oglądania tu nie ma.

– Jest bardzo przytulnie – odpowiedział, po czym wszedł głębiej do salonu. Włączona w nim była jedynie wysoka stojąca lampa ze staromodnym abażurem, więc panował przyjemny półmrok. Ross rozejrzał się po salonie, a potem podszedł do mojego regału z książkami. – Widzę tu nie tylko kryminały.

Chwyciłam wodę i ruszyłam w jego stronę. Nie zdążyłam się jednak odezwać, bo w następnej chwili dobiegło mnie wściekłe syczenie od strony sofy. Zatrzymałam się w pół kroku i zagapiłam na Chandlera, który bardzo głośno manifestował swoje niezadowolenie. Oparty tyłkiem o sofę, z zadartym do góry ogonem i zjeżoną sierścią, syczał na Rossa, jakby widział w nim najgorszego wroga.

Podniosłam brwi i prychnęłam:

– Chandler, ty idioto. Przecież znasz Rossa. Leczy cię, od kiedy byłeś kociakiem. Pamiętasz?

– Ale wtedy nie wchodziłem na jego teren. – Ross, nic sobie nie robiąc z dezaprobaty mojego kota, minął go, podszedł do mnie i wyjął mi z dłoni szklankę z wodą, dotykając przy tym przelotnie mojej skóry. – Przyzwyczaj się. Dziękuję za wodę.

Przyzwyczaj się. To jedno krótkie zdanie sprawiło, że serce zaczęło mi bić szybciej. Czy on właśnie zasugerował, że zamierza przychodzić tu częściej, czy nadinterpretowałam jego słowa?

Ross wypił wodę, a potem, zamiast oddać mi szklankę, przeszedł do kuchni i włożył ją do zmywarki, jakby czuł się tu jak u siebie. Podchwycił moje rozbawione spojrzenie.

– Przepraszam – westchnął. – Rządzą się, prawda?

Syknęłam na Chandlera, który nadal wydawał z siebie dziwne dźwięki, na co obraził się i uciekł do sypialni.

– To nic takiego. – Zaśmiałam się. – Idziemy?

Już po chwili szliśmy do jego zaparkowanego na ulicy auta. Zajmowało sporo miejsca, bo było duże: półciężarówka z paką zamiast bagażnika.

Na moje zdziwione spojrzenie Ross roześmiał się ze skrępowaniem.

– Kiedyś myślałem, że to będzie dobre auto dla wiejskiego weterynarza – przyznał się. – Nie myślałem wtedy jeszcze, że zostanę w Inverness.

Zacząłam go wypytywać o plany, jakie miał po studiach, i dlaczego ostatecznie wylądował w rodzinnym mieście, a nie na wsi. Na beztrudnej rozmowie upłynęła nam cała droga do restauracji i dzięki temu po raz pierwszy w obecności Rossa udało mi się rozluźnić.

Droga zresztą nie trwała długo; przejechaliśmy rozświetloną latarniami Bridge Street, gdzie jak zwykle panował duży ruch, a potem przez most nad River Ness na drugą stronę rzeki, na Ness Walk. Restauracja, do której zabrał mnie Ross, znajdowała się zaraz na rogu między dwiema ulicami, na parterze kilkupiętrowej kamienicy z jasnej cegły. Wnętrze było przytulne, zastawione niewielkimi stolikami i łozami z kanapami obitymi ciemną skórą. Do jednej z nich zabrała nas kelnerka i od razu przyjęła zamówienie na drinki.

– Byłaś kiedyś w Rocpool? – zapytał Ross.

Przestałam rozglądać się dookoła i spojrzałam na niego.

– Nie, nie miałam okazji. A ty?

– Raz czy dwa – odpowiedział. – To jedna z lepszych knajp w Inverness. Serwują bardzo dobre jedzenie.

Wkrótce wróciła kelnerka z moim białym winem i bezalkoholowym piwem dla Rossa; zamówiliśmy też jedzenie i kiedy w końcu zostaliśmy sami, Ross poprosił, żebym opowiedziała coś o sobie. Ponieważ to on mówił praktycznie przez całą drogę do restauracji, wydało mi się to sprawiedliwe.

Dookoła nas robiło się tłoczno; wszystkie stoliki były zajęte, w pomieszczeniu unosił się gwar wielu głosów. Mimo to czułam się dobrze i kameralnie w towarzystwie Rossa, bo nikt poza nim nie zwracał na mnie uwagi. A on patrzył na mnie błyszczącymi oczami i wydawało się, że chłonie każde moje nudne słowo. Nigdy wcześniej nie sądziłam, że ktoś może być aż tak zainteresowany tym, co mówię.

– Wiem, że twoja rodzina używa magii – odezwał się, kiedy skończyłam opowiadać o pracy w bibliotece. Upiłam łyk wina i skinęłam głową. – W Inverness krążą o nich różne opowieści. Ale o tobie nie.

– Ja... staram się ograniczać magię – zająknęłam się. – Moje ciotki nie mają tego problemu.

– Dlaczego? – zainteresował się. – Jeśli nie chcesz, nie musisz odpowiadać, ale bardzo mnie to interesuje. Przecież to daje ogromne możliwości. Możesz dzięki niej bardzo ułatwić sobie życie, a jednak ją odrzucasz. Dlaczego?

Otworzyłam usta, nie bardzo wiedząc, jak mu to wyjaśnić. Dla ludzi z zewnątrz magia była zabawką, miłym gadżetem, który ułatwia życie. Dla czarownic stanowiła coś więcej. Magia była w takim samym stopniu błogosławieństwem co przekleństwem. I uzależniała tak samo mocno i szybko jak inne używki.

– To nie tak, że ją odrzucam...

– Margo, no proszę! – Gdyby nie fakt, że rozpoznałam ten rozbawiony kobiecy głos, bardzo ucieszyłabym się, że ktoś przerwał moje nieskładne tłumaczenia. Niechętnie podniosłam głowę, by tuż przy naszym stoliku zobaczyć Willow. Jesienna szminka w kolorze śliwki przyciągała spojrzenia do jej pełnych, ładnie wykrojonych ust, które wykrzywiła w uśmiechu. – Słyszałam o randce z Rossem, ale nie miałam pojęcia, że to tutaj i dzisiaj! Co za zbieg okoliczności!

Aha, jasne, zbieg okoliczności.

Willow wyglądała tak, jakby celowo chciała obniżyć samoocenę jakiejś innej kobiecie. Krótka sukienka wspaniale podkreślała jej wąską talię i odsłaniała długie nogi, a dzięki upiętym włosom jej łabędzia szyja, wokół której świecił skromny sznur pereł, była doskonale wyeksponowana. Willow z pewnością wiedziała, jak dzięki ubiorowi podkreślić swoje atuty.

W następnej chwili zrobiło mi się niedobrze, gdy zobaczyłam, z kim przyszła do Rocpool. Obok niej, z rękami w kieszeniach czarnych dżinsów, stanął Theo.

Willow chyba niespecjalnie się przejęła zakazem zbliżania do nowego sąsiada.

W porównaniu do Rossa Theo wyglądał bardzo nieporządnie – w dżinsach i motocyklowce, pod którą miał czarną koszulę, a w dodatku nieogolony – był jednak rozluźniony, więc pewnie mu to nie przeszkadzało. Ten dwudniowy zarost dodawał mu jakiegoś szorstkiego, męskiego uroku, a gdy uśmiechnął się do mnie, moje serce fiknęło koziołka.

– Och, przepraszam, wy się przecież nie znacie – dodała radośnie Willow i przedstawiła Theo Rossowi jako swojego „przyjaciela”. – Możemy się dosiąść? Zrobimy sobie podwójną randkę!

Nie mogłam w to uwierzyć! Jeszcze dwa dni wcześniej Theo mnie podrywał, a teraz był na randce z moją kuzynką? Z tą wydrą, która nie miała ludzkich uczuć? Co za palant.

Spojrzałam na niego raz jeszcze i zmarszczyłam brwi. Było wokół niego coś nieuchwytnego, coś dziwnego, coś, czego nie potrafiłam złapać wzrokiem. Coś, co bardzo mi się nie podobało.

Zamyślona nie zdążyłam zaprotestować, a Rossowi widocznie było głupio, bo już po chwili Willow siadała na miejscu obok mnie, Theo zostawiając to naprzeciwko, obok Rossa. Zazgrzytałam zębami, ale nie powiedziałam ani słowa. Czy Willow robiła to specjalnie? Przyszła akurat do tej restauracji, żeby zepsuć mi randkę? O co jej chodziło?!

– Lubię tę knajpę – odezwała się Willow. – Przychodzę tu często z Daną. Ty chyba też, co nie, Ross?

Zrobiło mi się niedobrze i nie byłam w stanie spojrzeć na Rossa. Zanim ten zdążył coś odpowiedzieć, Willow dodała beztrasko:

– Zresztą widziałam was razem w weekend. W sobotę, tutaj nieopodal, w Glenalbyn. – To była nazwa baru znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Wpatrując się w swój talerz, zastanawiałam się, ile lat więzienia by mi groziło, gdybym zabiła Willow. To byłoby działanie w afekcie, prawda? – Byliście tam razem, prawda?

Dopiero wtedy odważyłam się spojrzeć na Rossa. Był zmieszany i otwierał usta jak ryba. Chyba nie wiedział, jak zareagować. Świetnie. Czyżbym umawiała się z zajęтым facetem? I czemu Willow nie mogła tego powiedzieć normalnie, tylko tak, żebym poczuła się przy tym jak najgorzej?

No dobra, na pewno zrobiła to celowo.

– Dostałeś materiały, które dla ciebie przyszykowałam? – odezwałam się do Theo, pospiesznie zmieniając temat.

– Tak, bardzo dziękuję. – Uśmiechnął się łobuzersko. – Dom ma bogatą historię, prawda?

– Theo kupił dom Marshallów, ten naprzeciwko mojego domu rodzinnego – wyjaśniłam Rossowi. – Będzie go remontował i poprosił mnie, żebym znalazła w bibliotece coś na temat jego historii.

– To ten sam dom, który kiedyś chciała kupić Margo – wtrąciła Willow. – Ale powiedziałam Theo, żeby się z tego powodu nie martwił, bo i tak na pewno nigdy nie byłoby cię na to stać, prawda?

Czy to zostałyby bardzo źle odebrane, gdybym wyszarpała ją za włosy z tej knajpy?

– Wiedzieliście, że ten dom to jedyny w okolicy, w który wjechała ciężarówka? – Zaśmiał się Theo. – Serio, ciężarówka. Zjechała z drogi i wbiła się prosto w salon pełen domowników. Na szczęście nikomu nic się nie stało, ale dom nadawał się tylko do remontu. W tym miejscu zdarzały się różne dziwne

rzeczy.

– To chyba normalne, biorąc pod uwagę, ile ma lat – odezwałam się niepewnie. – Ostatecznie tych wzmianek w gazetach nie było aż tak dużo.

– Niby tak, ale mimo wszystko cieszę się, że nie czytałem ich nocą – odparł z rozbawieniem. – I że nie jestem przesądny.

Ja też nie byłam przesądna. Po prostu byłam czarownicą i wiedziałam, że jeśli coś wydaje się podejrzanym, to zapewne nie bez powodu.

Chwyciłam swój kieliszek z winem i pospiesznie upiłam łyk. Kątem oka dostrzegłam, jak Willow wykonuje lekki ruch ręką, i nagle szkło wypadło mi z ręki, jakby wyszarpięte, po czym upadło prosto na moje kolana. Wino zalało moją ulubioną spódnicę.

– O rany, Margo, tak mi przykro! – zawołała z żalem Willow. – To musi być straszne być taką niezdara, nie?

Przesunęła się, żeby zrobić mi miejsce, gdy wymamrotałam, że pójde do toalety. Jeśli chciała mnie sprowokować do jakiejś magicznej riposty, to nie mogło się jej udać. Prawie całkiem nad sobą panowałam.

Lawirowałam między stolikami, aż w końcu dotarłam do damskiej toalety. Zamknęłam się w niej, po czym z rozpaczą spojrzałam w lustro. Moja ulubiona granatowa spódnica była zrujnowana. Odkręciłam wodę, chwyciłam kilka ręczników jednorazowych i przejechałam nimi po materiale, ale byłam przekonana, że i tak zostanie mi plama. A na razie miałam mokrą spódnicę.

Oparłam się ciężko o marmurowy blat i zamknęłam oczy, żeby się uspokoić. Taka już była Willow. Wydawało się jej, że powinna ze mną konkurować. Jakby moja obecność prowokowała ją do takich akcji. A ponieważ jej poczucie moralności nie było zbyt silne, zazwyczaj odgrywała się na różne, niekoniecznie właściwe sposoby. Nie zamierzałam jej na to odpowiadać, bo to tylko sprowokowałyby otwartą wojnę. A wojna z Willow była ostatnią rzeczą, jakiej chciałam.

Biorąc pod uwagę charakter mojej kuzynki, mogłabym ją przegrać z kretesem.

Z drugiej strony ciężko było nadstawiać drugi policzek, kiedy robiła takie rzeczy. Akurat to, co tego wieczora zaserwowała mi za pomocą magii, było drugorzędne. Gorsze było wbicie na moją randkę, przyrowadzenie ze sobą Theo i przypomnienie nam byłej dziewczyny Rossa. To wszystko bardzo skutecznie zepsuło mi wieczór.

I wtedy nagle poczułam ciepło w okolicach nóg. Kiedy ponownie otworzyłam oczy, na spódnicy nie było już żadnej plamy. Przyjrzałam się materiałowi dokładnie, marszcząc brwi, podeszłam nawet bliżej do lustra, żeby się upewnić. Znowu użyłam magii, zupełnie tego nie kontrolując i nie zdając sobie z tego sprawy, nie wypowiadając nawet jednego słowa. Wystarczyło, że pomyślałam o mojej mokrej spódnicy. Nie widziałam, żeby którakolwiek z ciotek zrobiła kiedyś coś podobnego.

Przygryzłam wargę, próbując się uspokoić. To dalej były jedynie drobne sztuczki, to nic nie znaczyło. Nie mogło. Inaczej miałabym poważnie przechłapanie u ciotek.

A jednak zaczęłam się zastanawiać. Czy gdybym świadomie chciała rzucić zaklęcie bez żadnych towarzyszących temu bodźców – ruchu ręką, słowa, czegokolwiek – udałoby mi się? Czy może był to proces niezależny ode mnie, którego faktycznie nie potrafiłam kontrolować?

Cóż, nie dowiem się, jeśli nie sprawdzę.

Miałam nawet pomysł, jak to zrobić.

Kiedy wyszłam z łazienki, Willow wstawała właśnie od stolika. Zaczekała na Theo, zerknęła na mnie i uśmiechnęła się drwiąco. Podchwyciłam jej spojrzenie i wtedy to pomyślałam.

Złam obcas. Złam ten cholerny obcas.

Po sali rozniósł się krzyk, gdy Willow podczas kolejnego kroku straciła równowagę i poleciała przed siebie, na jej szczęście prosto w objęcia wstającego właśnie Theo. Oboje stracili równowagę i Theo opadł z powrotem na kanapę, ciągnąc za sobą moją kuzynkę.

Przyglądałam się tej scenie z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony szalała we mnie dzika satysfakcja, że wyszło – i że aż tak ładnie. Z drugiej trochę się siebie obawiałam. Kto mógł wiedzieć, co jeszcze we mnie drzemie, jeśli bez wysiłku robiłam takie rzeczy?

Willow wymamrotała coś gniewnie i zaczęła podnosić się na nogi, ja tymczasem dotarłam do

stolika i uśmiechnęłam się ze współczuciem.

– Złamałaś obcas, kochanie? Tak mi przykro. To musi być straszne być taką niezdara, nie?

Rzuciła mi spojrzenie, pod którym natychmiast padłabym trupem, gdybym tylko miała choć odrobinę przyzwoitości.

– To twoja wina, tak? Wiesz, ile kosztowały te buty?! – wykrzyknęła, chwając się na jednej nodze.

Parsknęłam śmiechem.

– Zwariowałaś? Niby jak miałabym coś takiego zrobić?

– Tak samo jak to? – Wskazała moją całkowicie suchą i czystą spódnicę. – Myślałam, że nie używasz swoich... umiejętności, Margo.

– A ja myślałam, że używasz swojego mózgu, Willow – odpowiedziałam. – Patrzyłaś na mnie, gdy to się stało. Czy powiedziałam cokolwiek? Jak niby, twoim zdaniem, miałabym to zrobić?

Willow nie odpowiedziała, zamiast tego płaczącym głosem oznajmiła, że chce wracać do domu. Wobec takiego żądania Theo zaproponował, że ją odwiezie. A potem, ku mojemu zdziwieniu, pochylił się i delikatnie pocałował mnie w policzek.

Niemalże udławiłam się własnym sercem, gdy najpierw jego szorstka od zarostu skóra dotknęła mojej, a potem przelotnie poczułam na niej jego gorące wargi. Jego korzenno-cytrusowy zapach zawrócił mi w głowie. Stałam bez ruchu, gdy odsunął się powoli, spojrzał mi w oczy, a potem cofnął się o krok.

– Do zobaczenia, Margo – rzucił, podając ramię Willow, po czym odwrócił się do mojego towarzysza. – Miło było poznać, Ross.

Nie podobało mi się spojrzenie, które mu posłał.

Odetchnęłam z ulgą, że nie zwrócił uwagi na naszą dziwną wymianę zdań z kuzynką; ostatnim, czego potrzebowałam, były jego pytania o magię. Za bardzo chyba skupił się na podtrzymywaniu idącej w jednym bucie Willow. Może ją też zaprosi na zwiedzanie domu.

Zmarszczyłam brwi, przyglądając mu się, a w podbrzuszu zakotłował mi się niepokój. Rzeczywiście coś było z nim nie tak.

A właściwie z jego cieniem.

To oczywiście mogła być gra świateł, ale... miałam dziwne wrażenie, że cień Theo jest jakiś zniekształcony, jakby za wysoki, za duży.

Cholera.

Musiało mi się wydawać, prawda? To nie byłoby normalne.

– Wszystko w porządku, Margo? – Łagodny głos Rossa przywrócił mnie do rzeczywistości.

Z trudem oderwałam wzrok od Theo, który właśnie otwierał drzwi wyjściowe przed Willow, i spojrzałam na swojego towarzysza.

– Tak, jasne – odparłam z roztargnieniem. Wyrzucając z głowy cień Theo, z powrotem usiadłam naprzeciwko Rossa. – Przepraszam za to. Willow lubi... rywalizować.

– Zauważyłem. Nic się nie stało. – Wzruszył ramionami. – Margo, jeśli chodzi o Danę...

– Nie musisz mi się tłumaczyć, Ross.

– Ale chcę – uparł się. – Rzeczywiście spotkałem się z nią w sobotę, ale nie okłamałem cię, mówiąc, że się rozstaliśmy. Oddawałem tylko jej rzeczy. Nic już między nami nie ma.

Zmusiłam się do bladego uśmiechu.

– To dobrze. Wierzę ci.

– Dziękuję. – Westchnął z wyraźną ulgą. – Mogę cię o coś zapytać? Naprawdę złamałaś obcas Willow za pomocą zaklęcia?

Roześmiałam się.

– Oczywiście – przyznałam bez oporu. – Nie zamierzam dać się upokarzać. Nigdy. Zapamiętaj to sobie, Ross.

Nie wyglądał na specjalnie przestraszonego, gdy to powiedziałam, chociaż byłam pewna, że ostrzeżenie do niego dotarło. I dobrze.

Musiałam o siebie walczyć, bo nikt inny nie zamierzał robić tego za mnie.



8. Jak złamać obietnicę

Następnego dnia, nadaremnie namawiając Chandlera do wyjścia spod łóżka za pomocą puszek sardynek, próbowałam ustalić, czy uznać ostatni wieczór za porażkę, czy jednak za sukces.

Jasne, Willow skutecznie zwarzyła mi humor i zepsuła randkę. Ale nie odstraszyła Rossa, który, żegnając się ze mną pod drzwiami mojego domu, dał mi do zrozumienia, że chciałby to powtórzyć. Może niekoniecznie z asystą mojej kuzynki i jej sąsiada, ale jednak.

A ja przez pół nocy zastanawiałam się, czy chcę kolejnej randki.

Mój telefon zadzwonił w chwili, gdy zdążyłam już posprzątać cały dom, ugotować obiady do wtorku i usiąść na sofie z książką w ręce. Uśmiechnęłam się, gdy na wyświetlaczu zobaczyłam imię przyjaciółki.

– Masz tylko jedno usprawiedliwienie, McKenzie – oświadczyła Charlie. – Przez całą noc uprawiałaś nieziemski seks, obudziłaś się dopiero w południe, nie zdążyłaś wypić kawy i dlatego nie zadzwoniłaś.

Parsknęłam śmiechem, a potem odpowiedziałam:

– Nie obudziłam się w południe i nie uprawiałam w nocy nieziemskiego seksu.

Charlie westchnęła z rezygnacją.

– To może chociaż dziki?

– Dzikiego tym bardziej nie – zaprzeczyłam. – Czy twoje życie intymne jest tak nudne, że zamierzasz zaglądać mi pod kołdrę?

– Usnęłabym przy pierwszym spojrzeniu, więc nie – prychnęła. – Ale skoro jesteś już na nogach, to możesz się ze mną spotkać na mieście. Teraz.

– Teraz? – jęknęłam. – Mam tyle roboty...

– Jak cię znam, właśnie siedzisz na kanapie i czytasz *Małe kobietki* – przerwała mi, na co otworzyłam usta w zdumieniu. Brała lekcje u ciotki Elsie czy jak? – Proszę cię, jesteś moją totalnie przewidywalną przyjaciółką i znam cię na wylot. Rusz tyłek z kanapy i wyłaź z domu. Widzimy się za pół godziny na starym mieście.

Rozłączyła się, zanim zdążyłam zapytać, gdzie dokładnie. Moja przyjaciółka bywała naprawdę irytująca.

Oczywiście znalazłam ją bez trudu, bo w pierwszej kolejności ruszyłam do miejsca, gdzie zazwyczaj przesiadywałyśmy na plotach. Pogoda była na tyle ładna, że musiałam włożyć okulary przeciwsłoneczne, gdy szłam do centrum pieszo. Do High Street, na której mieściła się nasza ulubiona kawiarnia, miałam niecałe dziesięć minut drogi spacerem.

W So Coco o tej porze powoli robiło się tłoczno, ale i tak bez problemu dojrzałam Charlie siedzącą nad cappuccino przy jednym ze stolików pod oknem, z widokiem na ulicę. Na mój widok rozpromieniła się.

– No jesteś nareszcie! To teraz opowiadaj, dlaczego nie przespałaś się z Rossem!

Dwie kobiety ze stolika obok obejrzały się na nas, więc spiorunowałam ją wzrokiem, a im rzuciłam przeproszający uśmiech. Powiesiłam ramoneskę na oparciu krzesła i poszłam zamówić sobie latte.

– Chyba oszalałaś, jeśli myślałaś, że prześpię się z nim na pierwszej randce – zaczęłam, gdy

usiadłam już naprzeciwko przyjaciółki.

– Ale to Ross, Margo! – Charlie zrobiła wielkie oczy. – Ile czasu straciłaś, wzdychając do niego?

– Nie straciłam czasu – zaprotestowałam z namysłem. – Przygotowywałam się.

– Czekałaś, aż w końcu sam cię zaprosi – wytknęła.

Przewróciłam oczami.

– A co, miałam mu zaproponować trójkącik z jego dziewczyną? Weź się opanuj.

– Nie odwracaj kota ogonem – mruknęła. – Dobrze, skoro nie było seksu, to na pewno było cokolwiek. Pierwsza baza choćby. Pocałował cię chociaż?

Przygryzłam wargę.

– Prawdę mówiąc, był bardzo grzeczny. Willow chyba zanadto zwarzyła nastrój.

Ostatnimi słowami zaskoczyłam Charlie.

– Ale... zaraz... jak to... co tam robiła Willow?!

– Dobre pytanie. Pojawiła się nagle. Zgadnij z kim. Dobra, powiem ci. Z Theo. Dosiedli się do nas, a Willow jak zwykle usiłowała robić mi na złość.

Wolałam nie wspominać Charlie, jak bardzo mojej kuzynce udało się mi dopiec. Zarówno uwagami o Rossie i Danie, jak i tym, że przyszła z Theo. Charlie nigdy nie lubiła Willow i kiedyś mogła w końcu nie wytrzymać i coś jej zrobić. Gdyby posunęła się do przemocy fizycznej, Willow odpowiedziałaby magią, a to źle by się skończyło.

– Czekał. Serio? – zdziwiła się. – Willow przyszła z Theo? A co on, przepraszam bardzo, z nią robił?

– A skąd ja, przepraszam bardzo, mam to wiedzieć? – prychnęłam. – Może nie podrywa tylko mnie. Może Willow też mu się podoba...

– Jeśli Willow serio mu się podoba, to powinnaś go natychmiast skreślić ze swojej listy.

– Właściwie już to zrobiłam – westchnęłam. – Ciotki mi kazały.

Opowiedziałam jej o słowach ciotki Georgii i o informacjach, jakie znalazłam na temat domu Marshallów. Nie wspomniałam jedynie o cieniu Theo, bo nie byłam pewna, jak to ubrać w słowa. Poza tym w restauracji tamtego wieczoru światło było przytłumione i mogło mi się tylko zdawać.

Prawda?

Charlie potraktowała moje słowa dość sceptycznie.

– Wątpię, żeby cię okłamywały – przyznała z namysłem. – Ale może, no wiesz, one trochę przesadzają? Może nie dzieje się nic złego, może to tylko...

– Co? – weszłam jej w słowo. – Co „tylko”? Charlie, naprawdę się boję, że Theo może coś grozić, a ciotki próbują mnie od tego odciągnąć, żebym i ja nie wpłatała się w coś głupiego. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś mu się stało.

– Dlaczego?

Jej uważne spojrzenie mnie wkurzało. Jakby próbowała przeświecić mnie na wylot.

– W jakiś sposób czuję się za to odpowiedzialna – odparłam z namysłem. – Jakby to była moja wina, że Theo być może znalazł się w niebezpieczeństwie. Ja wiem, że on niekoniecznie przyjechał tu przeze mnie, ale tak właśnie się czuję. Jakbym miała z tym coś wspólnego i jakbym była temu winna.

– Silne poczucie odpowiedzialności albo syndrom niedopchania – skomentowała Charlie.

Wkurzyłam się, a potem roześmiałam i przechyliłam przez stolik, żeby klepnąć ją w przedramię. Uchyliła się w ostatniej chwili.

– To nie ma nic wspólnego z tym, jak się czuję w towarzystwie Theo.

– Ta, jasne. – Charlie z udawanym żalem pokiwała głową. – To dlatego odpaliłaś wczoraj Rossa? Zobaczyłaś Theo w knajpie i uznałaś, że jednak wolałabyś jego?

– Nie wolałabym. – Zmarszczyłam brwi, przypominając sobie, jak pocałował mnie w policzek. – Ross jest... jest fajnym facetem. Na pewno znowu się z nim umówię.

– Fajnym facetem? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Fajnym facetem?! Brzmi, jakbyś szukała przyjaciela geja, a nie gorącego kochanka.

– Może dlatego, że nie szukam gorącego kochanka – wymamrotałam, ale Charlie kompletnie mnie zignorowała.

– Myślę, że w tym właśnie tkwi problem, Margo. Szukasz bezpiecznej opcji. Boisz się zbliżyć do Theo, bo on nie wygląda na faceta, którym mogłabyś komenderować. Rozsądek podpowiada ci, żeby znaleźć kandydata na męża ze zdolnością kredytową, ciepłym uśmiechem i kiwającego głową na wszystko, co powiesz, ułożyć sobie życie i mieć święty spokój. A to nie ty przypadkiem mówiłaś, że nie chcesz za męża pantofla z rodzaju tych, jakie mają twoje ciotki?

– Ross nie jest pantoflem – zaprotestowałam, ale Charlie znowu nie zwróciła na mnie uwagi. Chyba wpadła w jakiś amok.

– Z Theo jest dużo więcej niewiadomych i tego właśnie się boisz. Czy będzie cię chciał, czy wszystko z nim w porządku, czy przypadkiem go sobie nie wyczarowałaś – wyliczała bezlitośnie. – Łatwiej na wszelki wypadek się do niego nie zbliżać i mieć święty spokój. Ale i tak cię do niego ciągnie, dlatego się o niego martwisz.

– Martwię się, bo jestem istotą ludzką – wtrąciłam znowu.

Charlie machnęła na mnie ręką.

– Jestem pewna, że gdyby to był ktoś inny, dałabyś sobie spokój.

– Nawet gdyby był w niebezpieczeństwie przeze mnie? – Podniosłam brwi.

Moja przyjaciółka uśmiechnęła się paskudnie.

– A jest? Jakies nowości w odkrywaniu, czy Pan Idealny faktycznie jest taki idealny?

– Nie miałam okazji – mruknęłam. – Ale prowadzi się z Willow, to chyba automatycznie powinno rozwiązać wszelkie moje wątpliwości. Mój idealny facet nigdy nie umawiałby się z Willow.

– A może umówił się z nią, bo wie, że to twoja kuzynka?

Prychnęłam. Jasne, zaraz zaczniesz mi wmawiać, że wszystko, co Theo robił w Inverness, działało się z uwagi na mnie. Przecież on w ogóle mnie nie zna. Dobra, mogłam mu się podobać, ale bez przesady.

Gdyby chciał, przyszedłby do mnie normalnie, do biblioteki, przemknęło mi przez głowę. Jeszcze raz, tak jak wtedy, gdy poprosił o informacje na temat domu Marshallów. Wiedział przecież, gdzie mnie znaleźć. Rocpool musiało być przypadkiem.

– Tak czy inaczej uważam, że wszystko niepotrzebnie komplikujesz – dodała Charlie. – Rób, co chcesz, umawiaj się z Rossem, tylko się zastanów, czy naprawdę właśnie na tym ci zależy. Jeśli zamierzasz olać Theo, rób to konsekwentnie i nie dawaj mu żadnej nadziei. A jeśli zamierzasz olać swoje ciotki i jednak dać mu szansę... Cóż, trzymam za ciebie kciuki.

Jak ona mnie czasem wkurzała.

Mimo wszystko coś było w jej słowach, bo godzinę później znalazłam się pod domem Marshallów.

Właściwie sama nie wiedziałam, po co tam pojechałam. Po wyjściu z kawiarni i pożegnaniu się z Charlie poszłam na autobus i wysiadłam na tym samym przystanku, na którym zazwyczaj wysiadałam, jadąc do domu babci, Cradlehall Park, nie zastanawiając się nad tym za bardzo. Nie skręciłam jednak w prawo, gdzie za wysokim żywopłotem przycupnęła rodzinna siedziba McKenziech, ale w lewo, gdzie w pewnej odległości od drogi, głęboko za pasem trawnika, stał zniszczony dom Marshallów.

Już z daleka widziałam, że prace remontowe idą pełną parą. Na kilkuspadowym dachu stało paru robotników, którzy wymieniali zniszczone dachówki. Kiedy podeszłam bliżej wydeptaną dróżką i spojrzałam w górę, dwóch z nich gwizdnęło na mnie i pomachało mi. Odruchowo odpowiedziałam uśmiechem, a potem rozejrzałam się dookoła.

Nie wyczuwałam niczego złego. Ot, zwykły zniszczony dom, z powybijanymi oknami, obdrapaną elewacją i dziurawym dachem. Dwupiętrowy i dwuskrzydłowy, duży, za duży dla samotnego architekta z Londynu. Mimo wszystko jednak miałam wątpliwości.

Nie powinnaś wchodzić do środka, przemknęło mi przez głowę. To może nie być bezpieczne i ten facet nie jest tego wart.

Zawahałam się. Na podjeździe widziałam tylko busik, którym zapewne przyjechała ekipa remontowa, a za nim zaparkowany motocykl, więc miałam wątpliwości, czy Theo w ogóle jest w domu. W następnej chwili jednak obdrapane drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich obiekt moich rozmyślań.

– Cześć – powiedział. – Tak mi się wydawało, że cię widziałem. Przyszłaś do mnie?

To było sensowne pytanie, biorąc pod uwagę, że stoję na środku podjazdu jak ostatnia kretyńka, nie robiąc kroku w żadną stronę. Uśmiechnęłam się słabo i ruszyłam w końcu ku schodkom prowadzącym na werandę.

– Właściwie to tak – odezwałam się. – Zastanawiałam się, czy propozycja pokazania domu jest nadal aktualna.

Theo uśmiechnął się szeroko, nieco łobuzersko, przez co na moment straciłam oddech. Następnie przeczesał dłonią czarne włosy i odsunął się, robiąc mi przejście.

– Jasne. Zapraszam.

Ostatnia sekunda zawahania i w końcu weszłam do środka, w myślach wyzywając się od idiotek. Nie byłam jednak pewna, czy samokrytyka to pokłosie tego, że mój strach jest irracjonalny, czy tego, że nie trzymam się od niego z daleka, wbrew obietnicy danej cioci.

Stałam tuż za drzwiami, rozglądając się dookoła. Znalazłam się w sporych rozmiarów holu, wysokim na dwa piętra, z szerokimi schodami. Tapety na ścianach były w połowie zeżarte, a w połowie kompletnie wyblakłe; farba na drewnianych, częściowo połamanych balustradach łuszczyła się. Na podłodze leżały śmieci, przez co prawie nie było widać marmurowej posadzki. W powietrzu unosił się zapach kurzu i starości.

Z kontemplacji wyrwał mnie trzask zamykanych drzwi; dopiero wtedy odwróciłam się do Theo. Miał na sobie granatowy sweter i granatowe džinsy, na co o mało nie parsknęłam śmiechem – w końcu sama pod ramoneską miałam granatowy sweter, a na nogach obcisłe granatowe džinsy.

Dalej był nieogolony i zaczęłam się zastanawiać, czy to warunki w tym domu zmuszają go do zapuszczenia zarostu. Jak można żyć w takiej ruinie?

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedział. – Myślałem, że wczoraj pogrzebałem wszystkie swoje szanse. Przepraszam, że zepsuliśmy ci randkę. Willow chciała mnie oprowadzić po mieście i zgodziłem się, bo nie miałem co robić, a potrzebowałem trochę odpocząć od remontu. Gdy zobaczyła was przez szybę restauracji, zaproponowała, żebyśmy weszli. Jak twoja kuzynka wpadnie na jakiś pomysł, trudno ją od niego odwieść.

Nie podobało mi się, że mówił o niej tak, jakby ją dobrze znał. I dlaczego właściwie zgodził się z nią wyjść?

A dlaczego nie? – odezwał się głos w mojej głowie. Ty nie byłaś do końca chętna, żeby gdziekolwiek z nim iść. To tylko facet, nie anioł ani pustelnik!

– Nic się nie stało – zapewniłam go. – To co, oprowadzisz mnie?

– Jasne. – Jego dłoń wylądowała na moich plecach, gdy skierował mnie ku schodom. – Na górze jest dziesięć pokoi, po pięć na każde skrzydło. Jest jeszcze drugie piętro, ale dostać się tam można tylko boczną klatką schodową, bo kiedyś to były pomieszczenia dla służby.

– A na dole? – zapytałam.

Pod delikatnym naciskiem jego ręki skręciłam w lewo, minęliśmy schody i wkrótce znaleźliśmy się w szerokim przejściu do kolejnego pomieszczenia.

– Tutaj jest coś w rodzaju biblioteki – poinformował, pozwalając mi zajrzeć do środka. – Z niej przechodzi się do jadalni, przypuszczam więc, że kiedyś pełniła rolę pomieszczenia, w którym goście zbierali się przed podaniem posiłku.

Biblioteka wyglądała imponująco. Wysoka, cała w drewnie, z kominkiem pod jedną ze ścian i wysokimi, w większości wytłuczonymi oknami pod drugą. Nie było w niej żadnych mebli.

– Z drugiej strony jest główny salon – kontynuował Theo, prowadząc mnie dalej. – A pod schodami przejście do kuchni. Chcesz je zobaczyć?

Gdy pokiwałam głową, pokierował mnie w tamtą stronę. W części kuchennej, przeznaczonej niegdyś dla służby, pomieszczenia były niższe i ciaśniejsze, ale też poniszczone. Wyczuwałam jakiś nieprzyjemny zapach, jakby pleśni, gdy zśliśmy korytarzem w stronę kuchni i spiżarni. Theo potwierdził moje podejrzenia, informując mnie, że podczas remontu będą musieli ocieplić fundamenty.

– Przez lata tym domem nikt się nie zajmował – powiedział, gdy weszliśmy w końcu do kuchni. – Nic dziwnego, że jest w takim stanie. I tak mógłby wyglądać dużo gorzej.

Skinęłam głową, weszłam głębiej i wreszcie uwolniłam się od dotyku jego ręki. Kuchnia też

wyglądała na zniszczoną. Staromodne sprzęty nadal stały pod ścianą, pokryte grubą warstwą kurzu.

– Spróbuję uratować coś ze starej zabudowy – wyjaśnił Theo. – Będzie piękna, jeśli uda się ją odnowić. Lubię pracę z drewnem, więc to nie powinien być problem.

Zerknęłam na niego przez ramię. Stał w odległości kilku kroków ode mnie i przyglądał mi się nieodgadnionym wzrokiem.

– Ten weterynarz, z którym byłaś wczoraj na randce – podjął. – Długo się spotykacie?

Otworzyłam usta, żeby mu nakłamać, ale zaraz zmieniłam zdanie.

– Nie. To była nasza pierwsza randka – odpowiedziałam.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Czyli w zasadzie nie jesteście razem?

– Tak... – zająknęłam się. – To znaczy, nie, nie jesteśmy. To znaczy... Nie wiem, może na kolejnej randce...

– A więc będą kolejne randki? – Zrobił krok w moją stronę, a ja zmusiłam się, żeby pozostać w miejscu, chociaż miałam ochotę o tyle samo się cofnąć, gdy na jego usta wypełzł piękny, uwodzicielski uśmiech. – Randkowałeś kiedyś z więcej niż jednym facetem naraz, Margo?

Zadrżałam, gdy usłyszałam z jego ust swoje imię. Prawie się udusiłam, bo na moment zapomniałam, jak się oddycha. Myśl, McKenzie, myśl!

– Nie – odparłam stanowczo. – Uważam, że to nie byłoby do końca w porządku.

– Nawet jeśli wszyscy zainteresowani byliby o tym fakcie poinformowani i się na to zgodzili? Przecież to nie tak, że kogoś zdradzasz, skoro nie jesteś w związku.

Rany, jego logika była wprost porażająca!

Pomyślałam, że gdybym się z nim umówiła, miałabym okazję sprawdzić, ile z tego, co sobie wyczarowałam, jest prawdziwe. I trwałoby to krócej niż podczas przypadkowych spotkań. Ale to nie byłoby wobec niego w porządku. Jak miałabym mu to wyjaśnić?

Eee, wiesz, jesteś aż za bardzo w moim typie, bo cię wyczarowałam i tak naprawdę nie istniejesz, więc jednak zostanę z Rossem.

Jasne, na pewno świetnie zareagowałby na takie słowa.

– Ja...

Nie bardzo wiedziałam, jak skończyć to zdanie, ale na szczęście przerwało mi głucho dudnienie dobiegające od głównego holu.

Theo podniósł głowę, nasłuchując przez chwilę, po czym zaklął szpetnie.

– Ktoś dobija się do drzwi – powiedział z niezadowolaniem. – Przepraszam, muszę otworzyć. Zaczekasz na mnie?

Gdy wyszedł, oparłam się ciężko o jakiś mebel, nie przejmując się warstwą kurzu. Nie miałam pojęcia, co by ode mnie usłyszał, gdyby nam nie przerwano. Na pewno coś głupiego!

W następnej chwili dobiegły mnie podniesione głosy. Zakląłam, gdy dotarło do mnie, kto dobijał się do drzwi. Odepchnęłam się od szafki i ruszyłam w stronę holu.

Zatrzymałam się w pół kroku w ciemnym, nieprzyjemnie pachnącym korytarzu, bo wydało mi się, że coś usłyszałam. Odwróciłam się i wbiłam wzrok w ciemność, w to miejsce, gdzie korytarz się oddalał, prowadząc do spiżarni i tylnego wyjścia dla służby.

Coś usłyszałam. Coś innego niż podniesione głosy z holu.

Coś jakby... szept wypowiedający moje imię?

Strach ścisnął mnie za gardło i czym prędzej się odwróciłam, by pospiesznie ruszyć w stronę głównego holu. Musiało ci się wydawać, przemknęło mi przez głowę, kiedy wreszcie dotarłam do drzwi. Kto niby miałby do ciebie szeptać?

– Ciociu! – zawołałam.

Theo stał w drzwiach, a ciotka Georgia opierała się o futrynę, krzycząc na niego. Nie próbowała jednak wejść do środka.

Kiedy podeszłam bliżej, dostrzegłam stojącą za nią ciotkę Imogen. Super, jeśli chciały mi narobić obciachu, wyszło im po prostu doskonale.

– Jesteś nareszcie. – Na mój widok z twarzy ciotki Georgii ustąpiło napięcie i odmalowała się na

niej wyraźna ulga. Zmarszczyłam brwi. – Wychodzimy, Margo.

– Co? – wymknęło mi się.

Stanowcze spojrzenie ciotki nie pozostawiało wątpliwości, że mówi poważnie. Gdy podeszłam o krok, przechyliła się nad progiem i chwyciła mnie za ramię, po czym siłą wyciągnęła na zewnątrz.

Krzyknęłam, a wtedy Theo się oburzył:

– Hej, nie przesadza pani? Co pani robi?!

Ruszył za mną, ale kiedy tylko przeszedł próg domu, ciotka Georgia machnęła ręką, mamrocząc pod nosem, i coś popchnęło Theo, aż potknął się o próg i oszołomiony wylądował na tyłku na podłodze w głównym holu. Szarpnęłam się do przodu, jednak stalowe ramię ciotki zacisnęło się na mnie tak mocno, że nie dałam rady się wyswobodzić.

– Trzymaj się od niej z daleka, młody człowieku, jasne? – rzuciła, grożąc palcem. Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Przecież była od niego starsza najwyżej pięć lat! – Masz się więcej do niej nie zbliżać. Margo, idziemy!

– Ale...

Kolejne zakłęcie, tym razem ciotki Imogen, skutecznie zamknęło mi usta i poczułam, że nie jestem w stanie zaprotestować.

Kiedy wlekły mnie przez podjazd na drugą stronę ulicy, do naszego domu, mogłam myśleć tylko o jednym.

Po takiej akcji Theo z pewnością nie będzie chciał mieć ze mną do czynienia.



9. Jak grać na dwa fronty

– Czy ty całkiem oszalałaś, Margo?! Miałaś się nie zbliżać do tego człowieka! Poprosiłam cię o to, a ty się zgodziłaś!

Wybuch ciotki Georgii był pierwszym, co przywitało mnie w domu rodzinnym, gdy już zaciągnęła mnie tam z pomocą ciotki Imogen. Wprawdzie szalała tylko ciotka Georgia, ciotka Imogen okazywała raczej chłodną dezaprobatę (szkoda, że nie jestem donosicielką, bo powiedziałabym jej, że jej własna córka nie zachowywała się lepiej), ale nie zmieniało to faktu, że wszystkie były mocno niezadowolone, także babcia, która wkrótce dołączyła do nas w salonie.

Po chwili się zorientowałam, że znowu jestem w stanie mówić. Świetnie. Pewnie chciały, żebym się tłumaczyła. Absolutnie nie zamierzałam.

– Ale jakoś nikt nie kwapił się wspomnieć, że on może być w niebezpieczeństwie, nie? – rzuciłam ze złością.

Byłam wkurzona, bo wyciągnęły mnie z domu Theo, jakbym miała dwanaście lat. Czulałam się jak skarcony dzieciak, który przeszkrobał coś złego.

Strzelałam, ale po minach ciotek, które wymieniły znaczące spojrzenia, domyśliłam się, że trafiłam.

– Dzwonimy po Awę? – zaproponowała niepewnie ciotka Georgia.

Ciotka Imogen pokręciła głową, siadając sztywno na kanapie.

– Nie ma takiej potrzeby. Same możemy jej to wyjaśnić.

Czy one naprawdę musiały się zachowywać tak, jakby mnie tu nie było?

– Więc wyjaśnijcie, proszę! Dlaczego chociaż raz nie możecie zachować się jak normalna rodzina?!

– Bo nią nie jesteśmy. – Babcia zajęła miejsce w swoim fotelu i wskazała mi, żebym też usiadła. Chciałam wprawdzie dalej awanturować się na stojąco, ale tym razem postanowiłam się poddać i z westchnieniem opadłam na sofę. – Nie rozumiem, dlaczego właściwie jesteś taka zła. To chyba my mamy prawo czuć się zawiedzione, że złamałaś dane słowo?

Przewróciłam oczami.

– Na przykład dlatego, że nie powiedziałyście mi całej prawdy – powiedziałam nieco spokojniej. Na babcię nie można było krzyczeć. – On jest w niebezpieczeństwie, prawda? I właśnie dlatego kazałyście mi trzymać się od niego z daleka, żeby i mnie coś nie zaczęło grozić. Jak mogę się tym nie przejmować? Poza tym wyciągnęłyście mnie stamtąd jak jakąś gówniarę i urządziłyście niezłą scenę. Co to ma w ogóle wszystko znaczyć?

Ciotki i babcia znowu wymieniły spojrzenia. W końcu ciotka Georgia się ugięła – westchnęła i wrzuciła ramionami.

– No dobra, co miałam zrobić? – zapytała z irytacją. – Skye zapytała, gdzie jest Margo. Nie wiedziałam, o co jej chodzi, dopóki nie wyjaśniła, że widziała ją na ulicy. Domyśliłam się, dokąd poszła. Nie mogłam jej tam zostawić. A Imogen była ze mną i się nawet nie wtrąciła!

– Nie można walczyć z wiatrakami, kochanie – oświadczyła ciotka Imogen spokojnie.

Ciocia Georgia prychnęła z niedowierzaniem.

– Teraz to ja jestem ta zła, tak?! Dobra, przepraszam, spanikowałam. Ale podtrzymuję swoje

słowa. Jeśli ten facet jeszcze kiedyś się do ciebie zbliży, Margo, rzucę na niego takie zaklęcie, że przy tobie nigdy mu nie stanie.

– Georgia! – wykrzyknęły zgodnie zgorznione ciotka Imogen i babcia.

No dobra, rozumiałam, że jedynie się o mnie troszczyły. Ale dlaczego?!

– Niby w czym zawinił Theo, że chciałybyś rzucać takie zaklęcie, ciociu? – zapytałam.

Ciocia Georgia wyraźnie się zawahała. Ciotka Imogen wykrzywiła się do niej złośliwie.

– No popatrz, dziesięć lat od ciebie młodsza, a mądrzejsza...

– Cicho – ofuknęła ją ciotka Georgia. – On w niczym nie zawinił, Margo. Ale nie możemy ryzykować, że coś ci się stanie. Dlatego chcę trzymać cię od niego z daleka. Po prostu będzie lepiej, jeśli nie będziesz się w to wtrącać.

– Ale w co? – zapytałam z irytacją. – Dlaczego mi tego normalnie nie powiecie i nie pozwolicie samej zdecydować? Może wolałabym pomóc zamiast uciekać?

– Pomóc? Nie – zaprotestowała babcia. – Ty akurat nie możesz pomóc, Margo.

– Dlaczego nie? – zaperzyłam się.

– Bo nigdy nie chciałaś się uczyć magii – wyjaśniła ciotka Imogen. – Jesteś całkowicie bezbronna, jeśli chodzi o takie rzeczy.

– O jakie rzeczy? – To krążenie wokół tematu coraz bardziej mnie denerwowało. – Co jest nie tak z tym domem?

– Skąd w ogóle wiesz, że chodzi o dom? – zainteresowała się babcia.

Przewróciłam oczami, bo miałam dość tłumaczenia się, no ale trudno.

– Theo był u mnie w bibliotece, prosił, żebym znalazła jakieś dokumenty dotyczące historii domu. W archiwum było trochę nagłówków ze starych gazet. Wydało mi się podejrzanym, że w tym domu wydarzyło się aż tyle. A potem wy zaczęłyście mnie ostrzegać... Po prostu dodałam dwa do dwóch. To nie było specjalnie trudne.

Znowu porozumiały się między sobą spojrzeniami. Miałam wrażenie, że tym razem są ze mnie zadowolone.

– No dobrze, bystra jesteś, mimo wszystko zasługujesz, żeby znać prawdę – zdecydowała w końcu babcia.

Podniosłam brwi.

– „Mimo wszystko”?

– No cóż, sama odmówiłaś szkolenia w zakresie magii, więc to oczywiste, że nie wtajemniczamy cię we wszystko, co nas dotyczy. – Babcia wzruszyła ramionami. Dla mnie to wcale nie było oczywiste, nigdy wcześniej nie pomyślałam, że wyłączają mnie z pewnych rodzinnych spraw. Zrobiło mi się dziwnie przykro z tego powodu. – Ale dobrze, niech ci będzie. Widzisz, przez lata pilnowaliśmy, żeby domu Marshallów nikt nie kupił, bo ciąży na nim klątwa.

Przez moment milczałam, czekając na drugą część wypowiedzi, która miałaby jakoś wyjaśnić tę pierwszą. Ciocie tymczasem zgodnie zamilkły, wpatrując się we mnie i czekając na reakcję.

– Klątwa? Serio?

– Widzi ciocia? Mówiłam, że jak się jej nie zmusi do praktykowania magii, to zrobi się z niej zwykły sceptyk – prychnęła ciotka Georgia do babci. A potem zwróciła się do mnie: – Klątwy są jak najbardziej prawdziwe, kochanie. Niektóre są całkiem niegroźne, wiesz, możesz rzucić klątwę na rywalkę, żeby dostała pryszczki albo coś...

– Naprawdę?

Ciocia chyba usłyszała zainteresowanie w moim głosie, bo dodała pospiesznie:

– ...a inne mogą być bardzo nieprzyjemne. Jak ta, którą rzucono na dom Marshallów.

Ciocia Imogen i babcia z powagą pokiwały głowami. Naprawdę coraz bardziej mnie denerwowały.

– No dobrze, więc dowiem się na ten temat czegoś więcej? Czy zamierzacie strzelać informacjami po trochu, aż w końcu zejść na zawał?

– Ja nie wiem, kto ją wychowywał – prychnęła ciotka Imogen, na co babcia rozłożyła bezradnie ramiona. – No przecież ty, mamó, nie umywasz teraz rąk. Powinnaś jej była wpoić nieco więcej pokory

i dobrego wychowania.

– Zachowywałabym się dobrze, gdybyście nie mówiły o mnie tak, jakby mnie tu nie było – odpowiedziałam z irytacją. – I jakbyście normalnie wszystko wyjaśniły, zamiast rzucać jakimiś tajemniczymi uwagami.

Nie spodziewałam się takiego zachowania, zwłaszcza po ciotce Georgii, którą zazwyczaj uważałam za najnormalniejszą z moich ciotek.

– Dobrze, ja to wytłumaczę, bo na mnie nie będzie krzyżować. – Tą jedną uwagą babcia zamknęła mi usta. Miała rację. – Posłuchaj, moje dziecko. Klątwa została rzucona na dom Marshallów już w momencie jego budowy. Nie znamy szczegółów, ale zrobiła to pewna bardzo silna czarownica, której właściciele domu ogromnie się narazili. Według tej klątwy dom miał nigdy nie ustać za długo nienaruszony, a jego mieszkańcy mieli nigdy nie zaznać szczęścia. Sama wiesz, jak to się skończyło. Pożary, samobójstwa i dziwne wypadki. Wszystko przez tę jedną klątwę rzuconą dawno temu, w osiemnastym wieku.

Powoli przyswajałam informacje. Cała ta sprawa bardzo mi się nie podobała.

– A co się stało z czarownicą?

– Ona też nie skończyła dobrze – odpowiedziała babcia niechętnie. – Nie znamy szczegółów, ale nie była lubiana w okolicy. Zwłaszcza przez naszą rodzinę. Psuła nam opinię i sprawiała, że ludzie wrzucali nas z nią do jednego worka. Kiedyś przydarzył jej się bardzo niefortunny wypadek i zginęła.

– Zaraz... Ktoś z naszej rodziny maczał w tym palce? – zapytałam z niedowierzaniem.

Babcia pokręciła głową.

– Nie ma na to żadnych dowodów.

– No dobrze, ale co z tą klątwą? Czemu nie została zdjęta z domu?

– Bo nie da się jej zdjąć – wtrąciła ciotka Imogen. – Jeden z pożarów został nawet wywołany specjalnie, żeby zniszczyć budynek. Ale potem ktoś wpadł na pomysł odbudowania go od fundamentów, które się zachowały, i jak się okazało, klątwa przetrwała. Jest naprawdę bardzo mocna i nie potrafimy jej usunąć.

– Ale... co w takim razie z Theo? – Serce zabiło mi mocniej na myśl, w jakim niebezpieczeństwie się znajduje. – Odbudowuje dom, który i tak nie przetrwa. Prędzej czy później z budynkiem znowu coś się stanie. A on sam? Jemu też może przydarzyć się coś złego!

– Pracujemy nad tym – odpowiedziała babcia spokojnie, jakby zupełnie jej to nie ruszało. – Dlatego właśnie byliśmy zaniepokojone, kiedy Willow powiedziała, że ktoś kupił ten dom. Bardzo tego pilnujemy i nie powinno być do tego dojść bez naszej wiedzy. Ale nie bój się, nie pozwolimy, żeby mu się coś stało.

– A co dokładnie zamierzacie zrobić?

– Tego nie musisz wiedzieć – wykręciła się babcia. – Zrezygnowałaś z magii, Margo, więc nie oczekuj od nas, że będziemy z tobą o niej rozmawiać. Postaramy się jednak, żeby był bezpieczny. Jeśli będziemy musiały go odstraszyć, żeby wyjechał, to też tak zrobimy.

Odczułam nagły niepokój na myśl o powrocie Theo do Londynu. Ale może tak byłoby lepiej, jeśli tutaj miałby go spotkać podobny wypadek co poprzednich właścicieli.

– Czyli nie pozwolicie, żeby spotkało go coś złego? – upewniłam się.

Wszystkie trzy zgodnie i poważnie pokiwały głowami.

– Nie bój się, poradzimy sobie – obiecała ciotka Georgia.

– No dobrze, ale... dlaczego w takim razie mam się od niego trzymać z daleka?

– Klątwy tego typu to bardzo nieprzewidywalna magia – wyjaśniła ciotka Imogen, ostrożnie dobierając słowa. – Nie wiemy, jak się zachowa w zetknięciu z inną magią. Lub z inną czarownicą. Dlatego żadna z nas nie zdecydowała się na wejście do domu. I dlatego, kiedy cię stamtąd wyciągnęliśmy, twoja ciotka rzuciła zaklęcie dopiero wtedy, gdy wszyscy znaleźliśmy się za progiem. Nie chcemy niepotrzebnego kontaktu.

Ale... przysięgłabym, że słyszałam w tym domu czyjś szept wypowiadający moje imię. Co to było? Nie mogłam przecież spytać ciotek. Wpadłyby w szal.

– Czyli... jakikolwiek kontakt z klątwą może być dla mnie niebezpieczny? – zapytałam

z niepokojem. – Nawet jeśli nie używam magii? Nawet spotkanie z Theo? Cokolwiek?

– Teoretycznie poza tym domem powinnaś być bezpieczna – odpowiedziała ciocia Georgia, a ciocia Imogen i babcia zgromiły ją wzrokiem. – No co? Przecież mówię prawdę! Nie musicie straszyć jej jeszcze bardziej, niż to konieczne. Wolałybyśmy jednak, żebyś nie podejmowała niepotrzebnego ryzyka. Nic cię nie łączy z tym mężczyzną, prawda?

Gwałtownie potrząsnęłam głową.

– Ale nie pozwolicie, żeby coś go spotkało?

– Oczywiście, kochanie. – Ciocia Georgia ścisnęła moją dłoń. – Nie musisz się o to martwić, naprawdę.

To było pocieszające. Ale tylko trochę.

– Nie stało się nic... dziwnego, kiedy weszłaś do tego domu, prawda? – podjęła ostrożnie ciotka Imogen. – Nic niepokojącego?

– Na przykład co?

– Trudno powiedzieć – odpowiedziała babcia. – Cokolwiek, co wydało ci się podejrzane.

Pokręciłam głową w obawie, że głos by mnie zawiódł, gdybym spróbowała kłamać. Ciotki i babcia wyraźnie odetchnęły z ulgą.

– To dobrze – podsumowała ciotka Georgia. – Tylko pamiętaj, proszę, żeby nigdy więcej tam nie wchodzić. Naprawdę nie wiemy, co mogłoby się stać. Żadna czarownica nie odważyła się wejść do środka.

Jeszcze bardziej pocieszające.

– Po prostu... Pomóżcie mi, dobrze? – poprosiłam, podnosząc się z sofy. Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem i spokojnie o tym wszystkim pomyśleć. – Pójdę już. Dzięki, że mi to wyjaśniłyście.

– Poczekaj, odwiozę cię – zaproponowała ciotka Georgia, też się podnosząc. – I tak będę wracać do miasta...

– Nie, naprawdę nie trzeba – przerwałam jej pospiesznie. – Pojadę autobusem, to mi dobrze zrobi.

Założyłam torbę na ramię, pożegnałam się i poszłam do wyjścia. Ciotka Georgia deptała mi po piętach, chyba zmartwiona moją reakcją. Próbowала ją przekonać, że wszystko jest w porządku, ale nie bardzo chciała wierzyć.

– Nie chciałyśmy cię stawiać w takiej sytuacji, Margo, naprawdę. Wiemy, że nie używasz magii, i nie zamierzałyśmy cię w to wplątywać...

– Naprawdę w porządku, ciociu. – Zatrzymałam się już z ręką na klamce. – Nic się nie stało. Wszystko ze mną okej. To o niego powinniście się martwić, nie o mnie.

Zwłaszcza jeżeli był tam przeze mnie. Mój Pan Idealny, który miał spełniać wszystkie moje marzenia. W tym to o pięknym domu Marshallów. Dlaczego, do diabła, nie wiedziałam o klątwie wcześniej? Mogły mi przecież powiedzieć!

Kiedy w końcu opuściłam dom rodzinny i odetchnęłam świeżym, rześkim powietrzem, mętlik w mojej głowie trochę ustąpił. Spojrzałam w stronę domu Marshallów, gdzie na dachu nadal pracowało kilku ludzi, i zamyśliłam się. W końcu ruszyłam w stronę przystanku autobusowego.

Wprost nie wierzyłam w to, co się wokół mnie działo. Do niedawna miałam święty spokój i w miarę ułożone życie nieuwzględniające magii. A teraz zmagalam się z jakąś cholerną klątwą i facetem, którego prawdopodobnie sobie wyczarowałam. Brzmiało jak prawdziwy koszmar. Taki, który mógłby mi się przyśnić, gdybym tylko kiedykolwiek pamiętała swoje sny.

Z zamyślenia wyrwał mnie ryk silnika gdzieś za mną. Odwróciłam się, by zobaczyć zatrzymujący się przy krawężniku sporych rozmiarów czarny motocykl. Kierowca oparł o chodnik nogę w czarnym wysokim bucie i zdjął kask.

– Cześć. – Theo uśmiechnął się do mnie łobuzersko. – Podwieźć cię do domu?

W zdziwieniu rozdziawiłam usta. Nie wspominałam o tym w zaklęciu, a jednak Theo jeździł motocyklem. Uwielbiałam facetów na motocyklach. I oczywiście nigdy nie miałam okazji jechać taką maszyną.

Zawahałam się. Potem przypomniałam sobie jednak słowa cioci Georgii, że poza domem Marshallów nic nie powinno mi grozić. Inni lokatorzy przeżywali w domu całe lata, zanim przytrafił im

się jakiś wypadek. Było bardzo mało prawdopodobne, że coś mi z nim grozi.

Poza tym po prostu pragnęłam wsiąść na ten motocykl. Bez względu na to, co miałyby się stać.

Tak bardzo chciałam mu powiedzieć, że w jego nowym domu czai się zagrożenie, którego on nie rozumiał, ale musiałam gryźć się w język. Na pewno nie przyjąłby tego dobrze. Zwykli ludzie, nawet ci, którzy wiedzieli, że jesteśmy czarownicami, nigdy nie przyjmowali dobrze takich informacji.

– Jasne – odpowiedziałam, czując tylko niewielkie wyrzuty sumienia na myśl, że znowu łamię obietnicę daną ciotkom i babci. – Jedziesz do centrum? To nie w tę stronę.

– Prawdę mówiąc, obserwowałam dom twojej rodziny i widziałem, kiedy wychodzisz. Pojechałam za tobą. – Wzruszył ramionami, sięgnął do tyłu i z bagażnika wyjął drugi kask, po czym mi go podał. – Miałem nadzieję, że wyjaśnisz mi, o co chodziło z tą aferą przed moim domem, Margo.

Przerzuciłam przez głowę pasek swojej torby, żeby nie zgubić jej w czasie drogi, a potem nałożyłam kask. Cały czarny i błyszczący, pasował do mojej ramoneski.

– Ślicznie. Wskakuj. – Uśmiechnął się Theo, po czym ponownie założył swój kask i zrobił mi miejsce.

Już po chwili siedziałam z piersiami przytulonymi do jego pleców i udami ściśle przylegającymi do jego ud. Choćbym chciała, nie mogłam się odsunąć, tak niewiele było miejsca na siedzeniu. Theo westchnął, chwycił moje nadgarstki i pociągnął mnie do przodu, splatając mi dłonie na swoim brzuchu. Odsunęłam się nieco, gdy kaskiem uderzyłam w jego kask, cała reszta mojego ciała pozostała jednak do niego przytulona.

To było tak niesamowite uczucie, że w pierwszej chwili całkowicie straciłam oddech. Plecy i ramiona Theo były twarde i ciepłe, podobnie jego brzuch, na którym trzymałam dłonie. Czułam się zaskakująco bezpiecznie, będąc tak blisko niego.

– Trzymaj się – dobiegło mnie spod kasku i w następnej chwili ruszyliśmy.

Wstrzymałam oddech, gdy Theo z piskiem opon zawrócił na pustej drodze i przyspieszył, w pędzie mijając mój dom rodzinny. Chwyciłam go mocniej, gdy przyspieszył jeszcze bardziej, aż silnik zawył pod nami. Na szczęście Culloden Road była pusta i bez gwałtownych zakrętów, na których moglibyśmy wypaść z drogi. Minęliśmy wrzosowiska po obu jej stronach, by wjechać między pierwsze zabudowania, gdzie Theo nieznacznie zwolnił.

Czułam pęd powietrza na całym ciele – i to było wspaniałe uczucie. Szeroko otwartymi oczami obserwowałam szybko zmieniającą się wokół nas scenę, aż w końcu Theo wjechał do centrum miasta i musiał zwolnić jeszcze bardziej, lawirując między samochodami i zajeżdżając inną drogę jak każdy typowy motocyklista. Gdybym akurat jechała samochodem, pewnie bym go znienawidziła.

Wykrzyczałam mu do ucha adres. Kiedy w końcu Theo zajechał na Argyle Street i z niskim pomrukiem silnika zatrzymał motocykl przy moim domu, oderwałam się od jego pleców i poczułam, jak szybko bije mi serce. Zupełnie jakby chciał się wyrwać z piersi. W uszach ciągle słyszałam huk powietrza, a nogi miałam jak z waty, ale byłam szczęśliwa.

Zeskoczyłam z motocykla i zatoczyłam się do tyłu, prosto na swoją furtkę, czego na szczęście Theo chyba nie zauważył. Gdy odzyskałam równowagę, zdjęłam kask i potrząsnęłam głową, żeby roztrzepać przylizane włosy.

– Warto było cię w to ubrać, żeby to zobaczyć – odezwał się, też zdejmując kask. Zmarszczyłam brwi.

– Ale co?

– To. – Kiwnięciem głowy wskazał na mnie. – Zdejmujesz kask i włosy rozsypują ci się na ramiona jak w filmie. Masz piękne włosy, Margo.

Zarumieniłam się na te słowa. Nieważne, że komplement był wyświechtany, ale Theo powiedział to tak naturalnie, jakby te słowa wcale nie były obliczone na zrobienie na mnie wrażenia.

– Dzięki – mruknęłam. – I dzięki za przejażdżkę. Było niesamowicie.

– W takim razie możemy to kiedyś powtórzyć. – Postawił motocykl na nóżce, powiesił kask na kierownicy i odebrał ode mnie drugi, po czym schował go do bagażnika. – Czy teraz możesz mi wreszcie opowiedzieć, o co chodziło z twoimi ciotkami?

Przygryzłam wargę, zastanawiając się, jak zareagować. Ostatecznie postanowiłam grać na

zwłokę.

– Nie wpuszczę cię do domu, Theo.

– Nie przeszkadza mi to. – Uśmiechnął się seksownie. – Mogę rozmawiać z tobą tutaj, na ulicy.

W końcu pogoda nam sprzyja. No więc? Dlaczego twoje ciotki tak dziwnie się zachowywały?

Westchnęłam i założyłam ręce na piersi.

– Uważają, że nie jesteś dla mnie odpowiednim towarzystwem – odpowiedziałam po krótkim namyśle.

Posłał mi zaskoczone spojrzenie.

– A niby dlaczego?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Bo nie jesteś stąd? Bo jesteś z Londynu? Bo jesteś Anglikiem? A może mają jakieś inne powody, trudno powiedzieć.

– To nie wyglądało po prostu na jakieś „inne powody”. Wyglądało na bardzo poważne powody.

– No, boją się też, że ta rudera zawali mi się na głowę – prychnęłam. – Dlatego mnie stamtąd wyciągnęły. A co do reszty... naprawdę nie wiem.

– Zabroniły ci się ze mną widywać. Zamierzasz ich posłuchać?

Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem.

– Jestem dorosła, prawda, Theo? – zauważyłam. – Nie muszę pytać ciotek, z kim mogę się spotykać, a z kim nie.

– To dobrze. – Odpowiedział mi uśmiechem, od którego na moment zapomniałam języka w gębie. Czy ten facet musiał się tak ładnie uśmiechać? Robiły mu się wtedy dołeczki w policzkach i jego twarz traciła ten surowy, męski wyraz. – Cieszę się, że to powiedziałaś. Ale... Jeszcze jedno nie daje mi spokoju. Żadna z twoich ciotek mnie nie dotknęła, a jednak byłem pewien, że ktoś mnie popchnął, i to mocno. Rozumiesz coś z tego?

Pokręciłam głową, nienawidząc się za to, że go okłamuję.

– Przykro mi, ale nie. Może tylko ci się wydawało? Może po prostu potknąłeś się o próg, a może moja ciotka faktycznie cię odepchnęła, tylko tego nie zauważyłeś? Nie wiem, naprawdę.

Na szczęście Theo porzucił temat, przyznając, że rzeczywiście może czegoś nie zauważył. Odetchnęłam z ulgą. Potem jeszcze raz podziękowałam za przejażdżkę i skierowałam się do domu. Kiedy szłam chodnikiem do drzwi, cały czas czułam na sobie wzrok mojego Pana Idealnego.

Spojrzałam na niego, będąc już pod samym wejściem. Nagle wpadło mi do głowy coś głupiego.

– Książka czy film? – zapytałam.

Zamrugął zdziwiony.

– Co takiego?

– Po prostu odpowiedz. Książka czy film?

– To zależy – odparł po namyśle. – Jeśli jestem z dziewczyną czy z przyjaciółmi, to film. Ale jeśli jestem sam, to książka. Dlaczego pytasz?

Skinęłam głową. Jego odpowiedź z jednej strony mnie ucieszyła, a z drugiej zmartwiła. Bo to przecież było dokładnie to, czego wymagałam od swojego Pana Idealnego. Żeby kochał książki tak samo jak ja.

– Pamiętasz, jak pytałeś mnie o umawianie się z więcej niż jednym facetem naraz? – zapytałam, a gdy potwierdził krótkim mruknięciem, uśmiechnęłam się do niego szeroko. – Zastanowię się nad tym.

Uciekłam do domu, zatrzasnęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie, oddychając ciężko.

Dopiero po paru minutach usłyszałam dźwięk odpalanego silnika motocykla.



10. Jak zasłużyć na ostrzeżenie

– Kłątwa?!

Poprawiłam się na stołku barowym i pokiwałam głową, bezmyślnie bawiąc się postawioną przede mną butelką z piwem bezalkoholowym. Stojąca za barem i równie bezmyślnie wycierająca szklanki Charlie wyglądała na lekko zszokowaną.

– Ale jak to... kłątwa? Co to w ogóle znaczy?

– Nie wiem – westchnęłam. – Dom, który zawsze chciałam kupić, jest obciążony kłątwą, i to przez nią tyle wypadków przytrafiało się lokatorom i samemu budynkowi. A teraz, siłą rzeczy, coś może grozić Theo.

– I twoja rodzina powiedziała ci, że masz się w to nie wtrącać? – dopytała z niedowierzaniem. – Przecież jak cię znam, czujesz wyrzuty sumienia, że to ty go tu sprowadziłaś. Swoją drogą, powinnaś się w końcu przekonać, czy faktycznie tak jest.

– I na pewno to zrobię – obiecałam. – Nie odpuszczę tylko ze względu na jakąś idiotyczną kłątwę. Ale owszem, kazali mi się nie wtrącać. Nie powiedziałam im, że Theo prawdopodobnie kupił ten dom przeze mnie.

Charlie posłała mi zaskoczone spojrzenie, a potem na chwilę wróciła do pracy, by nalać dwa piwa jakiemuś klientowi, który pojawił się obok mnie. Niedzielne popołudnie w barze narzeczonego Charlie przy Union Street miało raczej spokojne, zresztą tu nigdy nie było tłumów. Wpadali raczej wtajemniczeni miejscowi.

– Nie powiedziałaś im? – zdziwiła się, kiedy obsłużyła już klientów i do mnie wróciła. – A dlaczego, przepraszam bardzo?

To było dobre pytanie. Prawdopodobnie przez to, że nie chciałam robić z siebie jeszcze większej ofiary losu, ale tego nie zamierzałam powiedzieć przyjaciółce.

– Wyobrażasz sobie, jak by się wkurzyli? – prychnęłam. – Odmawiam szkolenia, a potem sama z siebie, bez jakiegokolwiek wiedzy na ten temat, rzucam zaklęcie. I to jakie! Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś wcześniej rzucał coś podobnego, chociaż oczywiście nie jestem specjalistką w tej dziedzinie. Byłam pewna, że to w ogóle nie jest możliwe. Dalej nie wiem, czy jest, ale fakt, teraz mam nieco więcej wątpliwości.

– Ale widziałas się z nim. Jakies nowe informacje? – podjęła z zacięciem.

Roześmiałam się.

– Wiem już, że podobnie jak ja woli książki od filmów.

– Niesamowite. Jakiś biały kruk – prychnęła. – Zupełnie jak ty. To zdecydowanie twój Pan Idealny.

– Jaki Pan Idealny? – Z zaplecza wyszedł Nick i cmoknął Charlie w policzek. Uśmiechnęła się do niego z roztargnieniem i wróciła do przecierania kufli ścierką. – Cześć, Margo.

Nick był trochę starszy od Charlie i ode mnie, dobiegał trzydziestki. Bardzo szczupły i wysoki, o rudoblond, krótko ostrzyżonych włosach, był zawsze pogodny i miał beztroski uśmiech. Jego dłonie z długimi, szczupłymi palcami przywodziły na myśl raczej artystę, nie właściciela baru, i to nie było złe skojarzenie. W wolnym czasie Nick grał na gitarze i był w tym naprawdę dobry, czasami nawet występował ze swoim zespołem we własnym barze. A czasami spraszał na występy inne zespoły

i wykonawców, dzięki czemu zdążył sobie wyrobić znajomości w branży.

– Wyobraź sobie, że Margo spotkała swojego idealnego faceta – wyjaśniła bez oporów Charlie, chociaż spiorunowałam ją wzrokiem, żeby tego nie robiła. – No co? Przecież to żadna tajemnica.

– Naprawdę? – Nick uśmiechnął się kpiąco, kładąc na blacie skrzynkę z piwem butelkowym. – Czyżbyś miała nas wyprzedzić ze ślubem, Margo?

Pragnęłam zapaść się pod ziemię. Lubiłam Nicka, ale wciąż nie mogłam przyzwycząić się do myśli, że Charlie mówi mu o wszystkim.

– Jeśli nie zaczniecie planować swojego, to w końcu na pewno tak się stanie – wytknęłam mu, na co tylko uśmiechnął się bez troski. – I dajcie sobie na wstrzymanie. Poznałam jednego faceta, owszem. Nie wiem, czy cokolwiek z tego wyjdzie, rozmawialiśmy ledwie parę razy, tak że proszę, nie nasłuchujcie jeszcze dzwonów weselnych, dobrze?

Charlie się roześmiała, jakby moje słowa ją rozbawiły. O co jej chodziło? Przecież mówiłam serio.

– Margo się obawia, że facet jest tak idealny, że może nie być prawdziwy – zaśmiała się, a ja znów spiorunowałam ją wzrokiem. – A poza tym nie jest jedyny na horyzoncie. Co z Rossem, kochanie? – zwróciła się do mnie. – Planujecie następną randkę? W którym właściwie momencie twoje życie uczuciowe zrobiło się ciekawsze od mojego?

– Twoje już od dawna nie jest ciekawe – wtrącił Nick. – Masz cały czas tego samego faceta i nawet ślubu nie planujesz, to o czym tu mówić. Właśnie, a dlaczego my nie planujemy ślubu?

– Bo mamy na to mnóstwo czasu – ucięła. – Idź już.

Nick przewrócił oczami, ale posłusznie wyszedł z baru na salę, żeby poznosić puste kufle, na odchodnym życząc mi jeszcze, żebym wpadła na to, czego chcę. Narzeczony mojej przyjaciółki najwyraźniej miał o mnie niezłe zdanie.

– Ross? – podjęłam, gdy już zostaliśmy same. – Chętnie umówiłabym się ponownie z Rossem, problem w tym, że nie zadzwonił.

– Nie zadzwonił? – zdziwiła się Charlie. – Ale myślałam, że byłaś pewna...

– Bo byłam. Może jednak za bardzo go odstraszyłam.

– A może zakładał, że to ty zadzwonisz, i teraz czeka na telefon? – Uśmiechnęła się łobuzersko. – No wiesz, nowoczesne dziewczyny często nie czekają na wiadomość od faceta, tylko biorą sprawy we własne ręce...

– Jak ostatnim razem sprawdzałam, nie byłam nowoczesną dziewczyną – westchnęłam. – Jestem raczej anachroniczna.

– Czytanie książek i czekanie na księcia na białym rumaku się nie liczy.

– No cóż, nie zamierzam do niego dzwonić. Jeśli mu zależy, niech sam się odezwie.

– Myślę, że... Ups. – Charlie nagle wytrzeszczyła oczy, wpatrując się w coś za moimi plecami, a potem przeniosła na mnie niepewne spojrzenie. Musiałam się zmusić, żeby się nie odwrócić. – Myślę, że on nie zadzwoni. Przykro mi, kochanie.

Nie wytrzymałam i jednak się odwróciłam. Szybko zrozumiałam, co miała na myśli.

Ross właśnie wszedł do baru i zajął jeden ze stolików pod ścianą, z dala od innych ludzi.

Nie był sam.

Był z Daną.

Z tą samą Daną, z którą podobno rozstał się miesiąc wcześniej.

Obrzuciłam ją szybkim spojrzeniem. Dana była naprawdę ładna. Długie do pasa czarne włosy, ciemnoniebieskie oczy w oprawie długich ciemnych rzęs, jasna, porcelanowa cera, szczupła twarz o regularnych rysach. Dostyc wysoka, niemalże wzrostu Rossa, zgrabna, o długich nogach – bez problemu mogłam ją sobie wyobrazić jako przyjaciółkę Willow. Pasowały do siebie.

Przytrzymał dla niej krzesło, zanim sam usiadł, po czym pochylił się nad stolikiem, żeby coś do niej powiedzieć. Na szczęście było za głośno, żebym usłyszała co, uśmiechał się do niej jednak w taki sposób, że musiałam odwrócić wzrok. Złość zakotłowała się we mnie, zduśiłam ją jednak, obiecując sobie, że nie zrobię żadnej sceny.

Nawet jeśli wyszłam na idiotkę.

– To nic takiego – odparłam, siłąc się na opanowanie. – Byliśmy tylko na jednej randce i nikt niczego sobie nie obiecywał. Poza tym, prawdę mówiąc, sama myślę więcej o innym facecie niż o nim, więc może tak będzie lepiej.

– Mimo wszystko to... Moment. Podejdę do nich i przyjmę zamówienie, bo inaczej ten dupek przylezie do baru. – Charlie odstawiała kufle na blat i poleciała na salę, a ja wysuszyłam do reszty butelkę swojego bezalkoholowego piwa, po czym przejrzałam się w zawieszonym nad barem lustrze.

Bez grama makijażu, za to z nieco podkrążonymi oczami i rozczochranymi włosami spiętymi w byle jaki kucyk, nie mogłam się mierzyć z Daną. Byłoby to oczywiste dla każdego, kto zobaczyłby nas obok siebie.

Charlie wróciła po chwili, nerwowo przygryzając wargę. Ta sytuacja chyba dla niej też nie była zbyt komfortowa.

– Słuchaj, ja już pójde – mruknęłam, gdy nalewała do kieliszka czerwone wino. Pewnie Dana je zamówiła, to było w jej stylu przyjść do baru i pić wino. – Nie podgrzewajmy niepotrzebnie atmosfery...

– Zwariowałaś? To raczej oni powinni wyjść – prychnęła moja przyjaciółka.

Pokręciłam głową.

– Nie, serio, pójde do domu, mój kot na pewno czeka na mnie z utęsknieniem. – To były najbardziej żałosne słowa, jakie słyszałam u siebie od dłuższego czasu. – Nie chcę żadnych awantur i na pewno nie chcę być źródłem problemów w twoim barze. Zobaczymy się w tygodniu, tak?

Pomimo protestów Charlie zarzuciłam sobie torbę na ramię i zsunęłam się ze stołka, po czym skierowałam do wyjścia. W ostatniej chwili, już przy drzwiach, spojrzełam w stronę stolika, przy którym siedzieli, by stwierdzić, że Ross na mnie patrzy.

Przewróciłam oczami i go olałam, po czym wyszłam na pełną ludzi Union Street.

Był ładny niedzielny wieczór i miasto tętniło życiem. Z klubu naprzeciwko dobiegały dźwięki muzyki na żywo, jednokierunkową ulicą w wolnym tempie jechało sporo samochodów, a chodnikiem dość tłumnie szli przechodnie. Było już całkiem ciemno, ale ulicę bardzo dobrze oświetlały latarnie i neony sklepów, nadając temu miejscu uroku. Postanowiłam przespacerować się przed powrotem do domu, wybierając okrężną drogę, przez Bank Street, tuż przy rzece. Przebiegłam przez ulicę, lawirując między jadącymi wolno samochodami, a w następnej chwili usłyszałam, jak ktoś woła mnie po imieniu.

Odwróciłam się, by zobaczyć, jak przez jezdnię między samochodami biegnie ku mnie Ross. Czy on nie mógł zostawić mnie w spokoju? Nie potrzebowałam jego głupich zapewnień, że to nie była moja wina. Zawsze była. Taka już się urodziłam.

– Margo, zaczekaj! – Podbiegł do mnie. – Posłuchaj... To nie tak, jak myślisz.

Parsknęłam śmiechem. A więc zamierzał iść w te frazesy?

– Wiesz, Ross, naprawdę mnie to nie obchodzi. Byliśmy raptem na jednej randce, nie musisz się tłumaczyć.

– Margo, chciałem zadzwonić, ale...

– Ale zgubiłeś mój numer? – podpowiedziałam uprzejmie. – Miałeś dużo pracy? Serio, nie musisz się tłumaczyć, ja to naprawdę rozumiem. Byłeś z Daną tyle lat, a ja w dodatku jestem tylko dziwną czarownicą...

– Nie jesteś dziwna – przerwał mi stanowczo, zbliżając się o krok. Zatrzymał się, kiedy o tyle samo się cofnęłam, i posłał mi sfrustrowane spojrzenie. – Tak, chciałem zadzwonić. Ale w sobotę Dana przyszła do mnie z płaczem. Jej mama jest w szpitalu od zeszłego tygodnia. Nie chciałem jej zostawiać samej. Nie jesteśmy razem, przysięgam, ale nie chciałem do ciebie dzwonić, póki tego nie rozwiążę. Po prostu pomagam jej trochę się rozchmurzyć. W końcu byliśmy ze sobą tak długo, że nie chcę teraz całkiem zrywać tej znajomości...

– Ross, przestań, proszę. – Podniosłam dłonie w geście poddania. – Nie chcę tego słuchać. Nie obchodzi mnie, co robisz z Daną ani kim ona dla ciebie jest. Byliśmy na jednej randce, było fajnie, a teraz po prostu dajmy sobie spokój.

Odwróciłam się na pięcie, żeby odejść, ale Ross chwycił mnie za rękę. Wyszarpnęłam ją czym prędzej.

– Ale ja nie chcę – zaprotestował niczym małe dziecko.

– Nie możesz mieć wszystkiego, co chcesz. Jeśli chodzi o to, że jestem czarownicą, to spokojnie, nie czuję się urażona i nie zamierzam się mścić. – Czułam się urażona, ale nie zamierzałam się mścić. W końcu sama się zastanawiałam, czy nie randkować z dwoma facetami naraz, więc to, co mnie spotkało, w zasadzie mi się należało. – Nie musisz mydlić mi oczu.

– Nie próbuję mydlić ci oczu, do cholery – syknął. – Chcę kolejnych randek z tobą, Margo. Miesiącami czułem się okropnie, gdy przychodziłaś do mojego gabinetu, a ja chciałem czegoś więcej, niż tylko być profesjonalny. To było złe, powinienem być wierny Dany, a jednak nie mogłem przestać o tobie myśleć. Rozumiesz?

Jak ten facet mnie wkurzał. Nie mógł po prostu powiedzieć, że wrócił do Dany i że już nie zadzwoni? To nie byłby mój pierwszy taki przypadek. Rzucano mnie już ileś razy i zawsze jakoś się z tego podnosiłam. Ross nie byłby wyjątkiem.

Ale on musiał wszystko komplikować. Wcale nie potrzebowałam jego głupich deklaracji!

– Ross, nie mów mi takich rzeczy, proszę – jęknęłam. – Wracaj do baru, do Dany, i po prostu daj mi spokój.

– Nie. – Zrobił kolejny krok w moją stronę, ale tym razem się nie cofnął. Nie zamierzałam dalej ustępować pola. – Proszę, Margo, po prostu daj mi trochę czasu. Rozwiążę sprawy z Daną i wtedy do ciebie zadzwonię. Obiecuję, że zadzwonię.

– Wiesz co, Ross? Rób, co chcesz. – Pokręciłam głową z irytacją. – Zadzwoń, kiedy już pozbędziesz się Dany, albo nie dzwoń, naprawdę wszystko mi jedno.

– Margo...

– Nie! – krzyknęłam, kiedy zrobił kolejny krok w moją stronę, a potem zamarłam, gdy nagle odrzuciło go do tyłu o dobre kilka jardów, aż wylądował na masce jakiegoś zaparkowanego przy chodniku samochodu, budząc tym samym do życia alarm.

Na twarzy Rossa przez moment malowała się panika i oszołomienie, a potem przy akompaniamencie wycia alarmu pozbierał się i stanął chwiejnie na nogach, trzymając się za klatkę piersiową.

Przyglądałam się temu z przerażeniem.

– Jezu, Ross, przepraszam, ja nie chciałam... Nic ci nie jest?

Tym razem to ja zrobiłam krok do przodu, a on się cofnął. Spojrzałam na niego z rozpaczą, gdy wyciągnął w moją stronę rękę, jakby chciał mnie zatrzymać. Gardło mi się ścisnęło, bo, do cholery, owszem, chciałam, żeby sobie poszedł i żeby dał mi spokój, ale na pewno nie chciałam, żeby mnie znienawidził albo zaczął się mnie bać.

– Nie, nic mi nie jest – odpowiedział prawie całkiem spokojnym głosem. – Chyba faktycznie będzie lepiej, jak już pójdę.

Zacisnęłam dłoń w pięści, żeby nie zrobić czegoś głupiego. Spieprzyłam to kolejny raz. Tym razem nie potrzebowałam pomocy mojej rodziny.

– Nie myśl, że mnie przestraszyłaś – dodał Ross, w co absolutnie nie uwierzyłam. – Rozumiem, że jesteś zła. Zadzzwonię, kiedy już wszystko mi się poukłada.

Jasne. Nieraz już to wcześniej słyszałam.

Odwrociłam się na pięcie i odeszłam bez słowa, w obawie, że inaczej się przed nim rozplacę.

Oczywiście, cały czas miałam wątpliwości, jeśli chodziło o Rossa i Theo, i sama nie wiedziałam, co robić z nimi dwoma. Ale to nie znaczyło, że nie chcę iść na kolejną randkę z Rossem. I zamierzałam wprost powiedzieć mu o Theo. Zawsze byłam szczerą w takich kwestiach. Dlaczego więc on nie mógł po prostu zrobić tego samego? Zadzwoń i powiedzieć „Sorry, Margo, było fajnie, ale w zasadzie to wracam do Dany”?

Ze złością maszerowałam ulicami Inverness, przeklinając się za magię krążącą w moich żyłach. Byłoby dużo prościej, gdybym mogła po prostu powiedzieć „nie”, nie rzucając przy tym Rossem na kilka jardów. Dobrze przynajmniej, że akurat w tamtej chwili nie było na ulicy żadnych przechodniów, którzy mogliby się tym zainteresować.

Magia zdawała się nie robić dla mnie nic poza komplikowaniem życia. Ciekawe, czy gdybym uczyła się jej od małego, wyglądałoby to inaczej?

Przeszłam w zamyśleniu Bank Street, chodnikiem tuż przy balustradzie oddzielającej przechodniów od brzegu River Ness, przyglądając się oświetlonym latarniami budynkom na drugim brzegu rzeki. Za skrzyżowaniem Bank Street zmieniło się w Castle Road, gdzie po lewej stronie mogłam zobaczyć nastrojowo oświetlony zamek – rekonstrukcję z dziewiętnastego wieku.

Potem oddaliłam się od rzeki i poprzecznymi ulicami dotarłam do Argyle Street. Tam również ruch był nieduży, bo ulica, choć znajdowała się niedaleko centrum, praktycznie kilka minut drogi spacerem, była jednak położona trochę na uboczu, w spokojnym miejscu. Tym bardziej się zdziwiłam, widząc samochód zaparkowany tuż pod moim domem. Rozpoznałam w nim toyotę ciotki Imogen.

A potem, gdy podeszłam bliżej, drzwi samochodu otwały się i ze środka wysiadła Willow.

Zatrzymałam się na jej widok już pod furtką mojego domu, tak byłam zdziwiona jej przyjazdem. Willow niemalże nigdy do mnie nie zaglądała. Uważała, że mój dom to kurnik i że nie warto się zapuszczać w takie miejsca. Poza tym w obcisłej bordowej sukience i narzuconym na nią płaszczu wyglądała, jakby wybierała się na gorącą randkę.

– No, nareszcie jesteś – powiedziała z niezadowoleniem, podchodząc bliżej.

Zmarszczyłam brwi.

– Długo czekasz? Trzeba było zadzwonić.

– Dzwoniłam. Zakładam, że nie wzięłaś ze sobą komórki – odpowiedziała uprzejmie. – Jak w ogóle można nie zabrać ze sobą komórki, idąc gdziekolwiek? A gdyby coś ci się stało i musiałybyś kogoś zawiadomić? A gdyby w tym czasie ktoś do ciebie dzwonił i czegoś od ciebie chciał?

– Przyjechałaś tu, żeby mnie pouczać, w jaki sposób używać telefonu komórkowego? – zapytałam uprzejmie.

– Nie, oczywiście, że nie. – Przewróciła oczami. – Chciałam z tobą porozmawiać.

– Wejdiesz? – Kciukiem wskazałam swój dom.

Willow podążyła wzrokiem za moim gestem i skrzywiła się.

– Nie, może lepiej nie – odparła. – To nie zajmie dużo czasu.

– No dobra. Więc o co chodzi?

Willow zrobiła krok w moją stronę, po czym zatrzymała się na chodniku.

– Chcę, żebyś trzymała się z daleka od Theo – oświadczyła.

Parsknęłam śmiechem, który jednak zamarł mi na ustach na widok jej poważnej miny. Ta dziewczyna nie żartowała. Chyba było z nią coś nie tak.

– Ciotki już mi o tym mówiły. Podobno chodzi o jakąś klątwę związaną z domem Marshallów. Wspominały też, że wszystko powinno być w porządku, jeśli nie będziemy wchodzić do środka.

– Nie obchodzi mnie ten głupi dom – prychnęła ze złością. – Chodzi mi o niego. Ja pierwsza go poznałam i to ja przyprowadziłam go do domu!

– Mówisz o nim, jakby był jakimś zabłąkanym psem – wtrąciłam, na co zupełnie nie zwróciła uwagi.

– Myślałam, że od początku to jasne, że jestem nim zainteresowana. Powinnaś się wycofać. Takich rzeczy się nie robi, zwłaszcza w rodzinie, Margo! Zawracasz mu głowę i to nie jest w porządku!

Naprawdę miałam ochotę się roześmiać, ale się powstrzymałam, bo przypuszczałam, że Willow nie zareagowałaby na to zbyt dobrze. Ona tak serio? Nie robiła sobie ze mnie żartów? Czy my ciągle byliśmy w szkole średniej, czy jak?

– Żartujesz sobie, prawda? – zapytałam.

Zamrugnęła ze zdziwienia.

– Nie, dlaczego?

– Bo to, co mówisz, jest kompletnie niedorzeczne – prychnęłam. – Nie mam wpływu na to, kto podoba się Theo. Jeśli chce iść z tobą na randkę, nie zamierzam wam zabraniać. Idźcie i bawcie się dobrze! A jeśli nie chce, to nie jest moja wina.

– Oczywiście, że twoja, bo zawróciłaś mu w głowie! Jeszcze zanim go poznałaś, powiedziałam, że chcę go poderwać. Po prostu musiałaś mi wejść w paradę, żeby zrobić mi na złość, co?

Nie no, ona naprawdę była niemożliwa!

Westchnęłam z rozdrażnieniem.

– Willow, serio. Nie próbuję ci wchodzić w paradę. To on do mnie przyszedł, nie ja do niego.

– Aha, jasne. I to wcale nie ty przysłaś do jego domu, co?

– Sam mnie zaprosił – przypomniałam jej, na co się zaśmiała.

– To było kurtuazyjne zaproszenie, Margo! Dlaczego właściwie wzięłaś to na serio? Myślisz, że taki facet jak Theo naprawdę mógłby się tobą zainteresować? Daj spokój, obie dobrze wiemy, która z nas ma większe powodzenie!

– No to w czym problem? – zdziwiłam się. – Skoro jesteś pewna, że on i tak nie może się mną zainteresować, to powinnaś być całkowicie spokojna. Podrywaj go sobie, ile chcesz, ja wam nie będę przeszkadzać.

– Cały czas przeszkadzasz! – Willow wycelowała we mnie palec wskazujący, na co odruchowo się spięłam. Miałam nadzieję, że nie miotnie we mnie jakimś paskudnym zaklęciem. – Nie masz u niego szans, więc daj nam obojgu spokój, żebym mogła się z nim spotykać!

– I ja ci w tym przeszkadzam? – zapytałam z niedowierzaniem. – Dlatego się tak odstrześliłaś? Chciałaś go gdzieś zaprosić, a on ci odmówił?

– Nikt mi nie odmówił! – Po jej zdenerwowaniu poznałam, że mam rację. Wyciągnięty w moją stronę palec zaczął drgać. – Po prostu przestań się wtrącać. To nie jest twoja sprawa. Facet taki jak Theo i tak nie zainteresuje się taką miernotą jak ty. Nawet w magii jesteś do niczego, zupełnie jak twoja matka.

O, tego ostatniego nie powinna była mówić!

Oderwałam się od furtki i tym razem to ja zrobiłam krok w jej stronę, momentalnie poważniejąc.

– Nie waż się mówić choćby słowa więcej o mojej matce – warknęłam.

Willow, widocznie wyczuwając słaby punkt, zaśmiała się.

– Dlaczego? Przecież wszyscy o tym wiedzą. Była beznadziejna w tworzeniu zaklęć i dlatego teraz wegetuje jak roślinka. Szkoda, że nie masz jej umiejętności, bo może poszłabyś w jej ślady.

Zacisnęłam mocno dłonie w pięści, żeby nie zrobić czegoś, czego potem mogłabym żałować. Musiałam siłą rozewrzeć szczęki, żeby cokolwiek odpowiedzieć.

– Moja matka była lepszą czarownicą, niż ty kiedykolwiek będziesz – syknęłam. – Nie było cię tam, kiedy to się stało, i nie masz o tym pojęcia, więc nie zachowuj się, jakbyś pozjadała wszystkie rozumy. Tacy to dopiero źle kończą.

– Zaraz, czy ty mi grozisz? – Zaśmiała się z niedowierzaniem Willow. – Nie radzę, Margo. Odbyłam naprawdę dobre szkolenie. W przeciwieństwie do ciebie. Po prostu trzymaj się z daleka od Theo, bo inaczej możesz tego pożałować.

Odwróciła się na pięcie i odeszła do auta, ale gdy otworzyła drzwiczki, spojrzała na mnie raz jeszcze i dodała:

– Wiesz, to zabawne, że wspomniałam o twojej mamie akurat w kontekście Theo. W końcu była tak samo posłuszna jak ty, kiedy weszła do domu Marshallów.

Wpatrzyłam się w kuzynkę z niedowierzaniem, szukając w jej twarzy jakiegokolwiek znaku, że blefuje. Nie znalazłam jednak nic oprócz triumfującego uśmiechu.

– O czym ty mówisz? – zapytałam. – Skąd to wiesz?

– Och, widziałam ją przypadkiem raz czy dwa, gdy byłam dzieckiem – odpowiedziała beztrąsko. – Nikomu o tym nie mówiłam, ale wchodziła tam. Ale to i tak nie ma znaczenia, skoro skończyła, jak skończyła, przez swoją własną głupotę, nie? Dam ci dobrą radę, Margo. Nie powielaj błędów swojej matki.

Po tych słowach Willow wsiadła do auta i odjechała z piskiem opon, zanim odzyskałam czucie we własnym ciele. Przez moment gapiłam się za nią idiotycznie, bijąc się z myślami.

Mówiła prawdę czy blefowała?

Dopiero kiedy wreszcie wróciłam do domu, z niechęcią pomyślałam, że muszę to sprawdzić.

Najwyraźniej czekała mnie wycieczka.



11. Jak wypowiedzieć komuś wojnę

Dopiero we wtorek po południu znalazłam czas, żeby wybrać się do ośrodka, w którym przebywała moja mama.

Tak naprawdę pewnie w poniedziałek też bym mogła, ale potrzebowałam czasu, żeby oswoić się z myślą o tej podróży. Zawsze przed odwiedzinami u niej musiałam się nastawić psychicznie.

Mama miewała lepsze i gorsze dni. W te gorsze nie było z nią żadnego kontaktu. W te lepsze czasami udawało mi się z nią porozmawiać, przy czym ona głównie pytała, kim jestem, a ja usiłowałam się nie rozplakać, gdy mówiła o tacie. To była dla mnie prawdziwa tortura.

A wszystko przez jedno zakłęcie, które poszło nie tak.

Ciągle nie chciały mi wyjść z głowy słowa kuzynki. Willow mogła kierować się chęcią zranienia mnie. Tylko po co miałyby kłamać akurat w tej sprawie? Było sto innych rzeczy, którymi łatwiej mogłaby mi dopiec. Nie mogła wiedzieć, że ten tekst o mamie tak mnie poruszy.

Jeśli to była prawda, pewnie rzeczywiście nie powiedziała o tym ciotkom. Pewnie miała to gdzieś. To byłoby w stylu Willow.

Musiałam zapytać mamę, chociaż nie wiedziałam jak. Jeśli to miało coś wspólnego z tym zaklęciem, które wpędziło ją w jej obecny stan, mogło to być traumatyczne wspomnienie. Mogła nie chcieć o tym rozmawiać. Mogła kompletnie zamknąć się w sobie.

Obawiałam się każdej z tych możliwości.

To na pewno nic takiego, usiłowałam przekonać samą siebie, jadąc autobusem do domu opieki za miastem. To na pewno tylko głupie wymysły Willow. Po co w ogóle mama miałaby wchodzić do tamtego domu? Nie było żadnego racjonalnego powodu.

Musiałam jednak wiedzieć. Bo chociaż szczegóły z czasem zacierały się w mojej pamięci, z biegiem lat wypadek mamy wydawał mi się coraz bardziej podejrzany i każda informacja, która mogła rzucić na niego trochę światła, była dla mnie ważna. Nawet potencjalnie bzdurna.

Na miejsce dojechałam około szóstej po południu, w ostatniej godzinie odwiedzin. Szpital psychiatryczny, w którym przebywała mama, powoli stawał się jedynym miejscem, z jakim ją kojarzyłam. Oczywiście miałam związane z nią wspomnienia – pamiętałam, jak razem gotowałyśmy, jak uczyła mnie czarować, jak odprowadzała mnie do szkoły, pamiętałam jej zaraźliwy śmiech i sposób, w jaki patrzyła na tatę – ale miałam osiem lat, kiedy trafiła do szpitala, więc jasne, że wszystko to zostało stłumione przez klockowaty, piętrowy biało-beżowy budynek, w którym obecnie mieszkała. Miejsce z moich koszmarów.

Gdy byłam dzieckiem, nie chciałam tu przychodzić. Za każdym razem, gdy ciotki odwiedzały mamę, w domu wybuchała wielka awantura, bo odmawiałam towarzyszenia im. Jasne, że tęskniłam za mamą. Ale miałam wrażenie, że to, co siedziało bez ruchu w sali szpitalnej, wcale nią nie było. Mama była wesoła, czuła, beztraska i roześmiana. Nie obojętna, patrząca beznamiętnie w jeden punkt w pokoju.

Poza tym jako dziecko bałam się, że kiedy do niej przyjdę, znowu poczuję się tak jak wtedy, gdy to wszystko się stało.

Obecnie lepiej nad sobą panowałam, ale nadal niechętnie przyjeżdżałam w odwiedziny. Za każdym razem było mi niedobrze ze zdenerwowania, gdy wysiadałam z autobusu na Leachkin Road, w tej sielskiej okolicy, gdzie wzdłuż wąskiej drogi przycupnęły nieduże malownicze domki otoczone

niskimi murkami. Ja jednak nie zwracałam uwagi na domki, tylko na nijaką bryłę górującego nad nimi w pewnej odległości od drogi budynku.

Szpital psychiatryczny New Craigs, koszmar mojego dzieciństwa.

Pielęgniarka na recepcji przywitała mnie, zauważając, że dawno mnie nie było. Wszyscy tu mnie znali – mało który ich pacjent miał taki staż jak moja mama.

– W jakim stanie ona dzisiaj jest? – To pytanie z trudem przeszło mi przez gardło.

Pielęgniarka się uśmiechnęła.

– W całkiem dobrym – zapewniła. – Pani mama bez protestów zjadła śniadanie i wzięła poranne leki, a potem dała się wyprowadzić do świetlicy i zagrała nawet w warcaby z innym pacjentem. Teraz jest już po kolacji i z powrotem u siebie. Poproszę Mike’a, pielęgniarkę, żeby panią zaprowadził.

Podziękowałam i poczekałam przed wejściem na oddział na wspomnianego pracownika. Kiedy w końcu się pojawił, przeprowadził mnie przez korytarz i zaprosił do pokoju mamy. Zapewnił, że w razie czego będzie czekać pod drzwiami.

Większość pacjentów w szpitalu dzieliła salę z jedną albo dwiema osobami; ciocie jednak, zwalniając mnie z tego obowiązku, płaciły wystarczająco, by mama miała pojedynczy pokój. Wyglądał całkiem niezłe: ściany pomalowano na ładny, jasnoniebieski kolor, a w wychodzącym na pola za szpitalem oknie zawieszono firanki.

Mama siedziała na środku pomieszczenia w bujanym fotelu – oprócz niego wyposażenie pokoju stanowiło wąskie łóżko pod ścianą, szafka nocna i stolik z dwoma krzesłami.

Niepewnie przekroczyłam próg, wpatrując się w plecy mamy. Poruszała się lekko, wprawiając fotel w ruch, ze wzrokiem wciąż utkwionym w okno znajdujące się naprzeciwko drzwi. Byłam jeszcze bardziej ostrożna niż zwykle, chociaż nie potrafiłam sobie wytłumaczyć dlaczego.

– Cześć, mamó – powiedziałam drżącym głosem i przeszłam pod okno, żeby móc spojrzeć jej w twarz.

Mama dobiegała pięćdziesiątki i było to po niej widać. Postarzała się głównie po śmierci taty i tamtego wieczora, gdy nie wyszło jej zakłęcie. Od tamtej pory zmieniła się niewiele.

Byłam do niej podobna – miałam takie same, lekko kręcone kasztanowe włosy, tak samo jasną cerę z mnóstwem piegów i trójkątną twarz. Tylko kolor oczu odziedziczyłam po tacie – jej były bursztynowe.

Mama wciąż wpatrywała się w okno. Nawet kiedy stanęłam na wprost niej, nie wydawało mi się, żeby cokolwiek w jej wzroku się zmieniło. Jej spojrzenie było nieostre, patrzyła przed siebie bezmyślnie. Często tak robiła. Sięgnęłam po stojące przy stoliku krzesło i podsunęłam je sobie.

W uszach znowu zabrzmiał mi mój własny krzyk, gdy mama upadła bezwładnie na podłogę. Zamknęłam oczy, próbując się uspokoić. Potrzebowałam swojego zdrowego rozsądku, nie mogłam się teraz rozkleić.

– Cześć, mamó – powtórzyłam idiotycznie. Jakby za drugim razem miała mi odpowiedzieć. – To ja, Margo.

Mama uniosła głowę i jej wzrok wreszcie trochę się wyostriął. Jakby rzeczywiście spojrzała mi w twarz. Jej bursztynowe oczy prześlizgiwały się jednak po mnie bez choćby błysku rozpoznania. Równie dobrze mógłby do niej przychodzić ktoś obcy i podawać się za jej córkę.

– Przyszłam cię odwiedzić – kontynuowałam dzielnie. – Jak się czujesz?

Mama powoli pokręciła głową.

– Nie jesteś Margo – odpowiedziała powoli.

Faktycznie miała lepszy dzień. W te gorsze w ogóle się nie odzywała. Wtedy naprawdę była rośliną.

– Oczywiście, że jestem – zaprotestowałam spokojnie. – Tylko dorosłam, mamó. Tyle czasu minęło, odkąd tu jesteś.

– A gdzie jestem?

Westchnęłam ze zniechęceniem. Pogaduszki z nią nie miały sensu, zbyt wiele razy to powtarzałam. Mama mnie pamiętała, ale jako ośmioletnią dziewczynkę, nie dorosłą kobietę. Tak jakby jej pamięć odmówiła rejestrowania czegokolwiek, co stało się po tamtym wieczorze.

Zwlekanie nie miało sensu. Musiałam załatwić to, po co tu przyszłam, zamiast tchórzyc i grać na zwłokę.

– Mamo, chciałam cię o coś zapytać. – Przysunęłam się do niej i pochyliłam, opierając łokcie na kolanach, żeby zajrzeć jej w oczy. – O ten dom naprzeciwko naszego, pamiętasz? O dom Marshallów.

Nagle podniosła głowę i spojrzała na mnie niemalże całkiem przytomnie, z nagłym przestraszeniem w oczach.

– Pamiętasz dom Marshallów? – podjęłam, udając, że jej zachowanie wcale mnie nie zaniepokoiło. – Było ci go szkoda. Tego pustego domu...

– On nie jest pusty – przerwała mi dużo pewniejszym głosem. Podskoczyłam na krześle, gdy nagle chwyciła mnie za rękę, mocno, aż jej paznokcie wbiły mi się w skórę. – On nie jest pusty.

Spróbowałam się wyszarpnąć, ale trzymała mnie w kleszczowym uścisku. Tylko spokojnie, poleciłam sobie stanowczo. To twoja mama, McKenzie. Nic ci przecież nie robi.

– No właśnie, dopiero teraz ktoś go kupił – kontynuowałam, chociaż miałam niejasne wrażenie, że nie o to jej chodziło. Bo skąd niby miałyby wiedzieć, że Theo remontuje dom Marshallów? – Willow mówiła, że byłaś tam kiedyś. W środku.

Mama puściła mnie, spuściła wzrok na swoje dłonie i zaczęła mamrotać coś pod nosem, kołysząc się w przód i w tył.

Cholera.

– Mamo? – zapytałam. – Mamo, słyszysz mnie? Mówiłam o domu Marshallów...

– On nie jest pusty. – Wreszcie dotarło do mnie, co mamrocze. – On nie jest pusty. On nie jest pusty!

Ostatnie zdanie wykrzyczała, co zaalarmowało pielęgniarkę za drzwiami. Wpadł do środka i zaczął wypytywać, czy wszystko w porządku. Pokiwałam głową, choć nie wyglądało na to, żeby faktycznie tak było. Po chwili wyprowadził mnie na korytarz, a do pokoju przybiegła pielęgniarka. Jeszcze przez chwilę słyszałam z sali krzyki mamy, gdy opierałam się ciężko o ścianę, zanim pielęgniarka do mnie nie wyszła.

– Zdenerwowała się – wyjaśniła, jakbym sama tego nie wiedziała. – Musiałam jej podać środek wyciszający. To dziwne, zazwyczaj jest taka spokojna. Coś jej pani powiedziała?

Wzruszyłam ramionami.

– Nic niezwykłego. – Nienawidziłam się za to kłamstwo, ale co niby miałam jej powiedzieć? – Po prostu próbowałam z nią porozmawiać...

– Chyba byłoby lepiej, gdyby dzisiaj już pani do niej nie zaglądała – uznała. – Niech trochę odpocznie. Może po prostu ma gorszy dzień.

Kiedy kilka minut później szłam burym korytarzem do wyjścia, nerwowo rozcierając dłoń, za którą chwyciła mama, zastanawiałam się gorączkowo, co to było. Czy naprawdę jakimś cudem po piętnastu latach udało mi się do niej dotrzeć? Czy mama przez moment kontaktowała na tyle, by spróbować mnie ostrzec?

On nie jest pusty.

Wiedziała coś, byłam tego pewna. To nie były tylko przypadkowe słowa, rzucone w chwili zdenerwowania. Miała na myśli kłątwe? Dlatego uważała, że przez cały ten czas coś mieszka w domu?

Gdy wyszłam wreszcie na zewnątrz i odetchnęłam głęboko świeżym, rześkim, jesiennym powietrzem, pomyślałam, że ta wyprawa niewiele mi dała.

Chciałam się dowiedzieć, czy dom Marshallów miał coś wspólnego z obecnym stanem mamy.

Czy w ogóle tam była.

Ale i tak dostałam więcej, niż można by się spodziewać po mamie, pomyślałam ponuro, zmierzając na przystanek autobusowy. Powinnam się cieszyć, że w ogóle udało mi się nawiązać z nią kontakt.

Zamiast tego jednak czułam niepokój. Nietypowe zachowanie mojej matki nie wpłynęło na mnie dobrze.

Uspokajałam się przez całą drogę do domu, wmawiając sobie, że nie powinnam się tym przejmować. Mama od lat nie była przy zdrowych zmysłach i jej słowa mogły nic nie znaczyć.

Wmawiałam to sobie, jadąc niemalże pustym autobusem z powrotem do centrum Inverness.

Mimo to ciągle czułam na skórze dotyk jej chłodnej dłoni, który przypominał mi o wyciągających się po mnie zimnych mackach, wtedy, gdy byłam mała, a mama próbowała rzucić zaklęcie, które ją przerosło. I chociaż w autobusie było całkiem ciepło, objęłam się ramionami i zadrżałam z zimna.

Kiedy wysiadłam na przystanku niedaleko Argyle Street, miałam ochotę już tylko zawinąć się w koc na sofie w salonie, nalać sobie porządny kieliszek wina i przeczytać coś, co oderwie mnie na chwilę od wspomniania przeszłości i myślenia o matce. Na rogu zatrzymałam się, zirytowana, przypominając sobie, że poza obiadem na następny dzień nie mam nic w lodówce. Pomaszerowałam więc w stronę najbliższego supermarketu, chcąc mieć już z głowy zakupy.

W pierwszej chwili nie połączyłam faktów, gdy usłyszałam obok siebie warkot motocykla. Byłam zbyt zajęta mieszanką myśli o pustej lodówce i pustym wzroku mojej matki. Przez moment warkot towarzyszył mi, gdy szłam chodnikiem ze wzrokiem wbitym we własne buty, aż w końcu się wkurzyłam, zatrzymałam i odwróciłam, zastanawiając się, jaki palant urządza sobie wyścigi z pieszymi.

Dopiero wtedy zwymyślałam się w duchu za to, że nie ogarnęłam od razu. Oczywiście, że na motocyklu siedział Theo.

Poznałam go mimo kasku na głowie. On również się zatrzymał, nie przejmując się wymijającymi go samochodami. Obrzuciłam go pospiesznym spojrzeniem, nie chcąc, żeby pomyślał, że się gapię. Miał na sobie zwykłe czarne dzinsy i motocyklowkę, niezbyt odpowiedni ubiór na przejażdżkę na dwóch kółkach. Pewnie wiedział, że wygląda w tym seksownie.

Zaraz, o czym ja właściwie myślałam?

– Cześć. – Ściągnął kask i powiesił go na kierownicy, po czym przeczesał dłonią ciemne włosy i uśmiechnął się do mnie łobuzersko. – No proszę, co za spotkanie.

– Przypadkowe? – Uniosłam brew.

Zaśmiał się, wysyłając dreszcz wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Prawdę mówiąc, właśnie do ciebie jechałem. Miałem szczęście, że zobaczyłem cię na ulicy. Zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś pokazać mi najciekawszych miejsc w Inverness.

– Willow jeszcze tego nie zrobiła? – zapytałam cierpko.

Theo oparł się o kierownicę.

– Wolę, żebyś to była ty.

Serce podskoczyło mi do gardła. Naprawdę wolał mnie od Willow? Miałam nadzieję, że mówi szczerze, bo nie zniosłabym, gdyby próbował mnie bajerować. Ale przecież był moim idealnym facetem, nie? Mój idealny facet nie mógł przyjechać tu specjalnie po to, żeby mnie zbajerować.

– Jestem akurat trochę zajęta – odpowiedziałam, obiecując sobie, że nie poddam się tak łatwo. – Muszę iść na zakupy, bo inaczej do jutra umrę z głodu.

Theo ze śmiechem pokiwał głową, po czym, ku mojemu zdumieniu, zsiadł z motocykla.

– Rozumiem, odżywianie się to ważna rzecz. Pójdę z tobą – zaoferował. – Pomogę ci zrobić zakupy i zawiozę je do twojego domu. A potem możemy gdzieś iść, tak?

Wpatrzyłam się w niego nieufnie. Nie lubiłam, gdy faceci mną dyrygowali, ale akurat w jego przypadku mi to nie przeszkadzało.

Potem przypomniałam sobie ostatnią awanturę z Willow i jej słowa o tym, jak to zaklepała dla siebie Theo. Szybko zduśiłam w sobie wyrzuty sumienia, bo przecież to było niedorzeczne. Nie zamierzałam pozwolić Willow rządzić swoim życiem. A już zwłaszcza, gdy chodziło o Theo Thorne'a. Dla niego warto było nawet wejść na wojenną ścieżkę z moją kuzynką.

Theo spodziewał się chyba odmowy, bo był zaskoczony, kiedy po chwili odparłam:

– Dobrze, chodźmy.

Zaskoczenie ustąpiło miejsca kolejnemu szerokiemu uśmiechowi, wobec którego po prostu nie potrafiłam pozostać obojętna. Ja też się uśmiechnęłam. Co ten facet ze mną robił?

Na szczęście do supermarketu nie było daleko, bo gdy przyjrzałam się uważniej Theo, zaczęłam czuć się niepewnie. Było już po zmierzchu, latarnie świeciły na całego, witryny okolicznych sklepów też rzucały blask na chodnik, dzięki czemu wyraźnie widziałam jego cień.

Dziwny cień. Miałam wrażenie, że stał się jeszcze większy od tamtego spotkania w Rocpool.

Jakby zgęstniał. Tym razem domyślałam się już dlaczego i wcale mi się to nie podobało. Musiał oznaczać klątwę, bo co innego?

Ciotki obiecały przecież, że się tym zajmą, przypomniałam sobie.

– Wszystko w porządku? – zagadnął mnie Theo, gdy w końcu weszliśmy do supermarketu.

Rozejrzałam się dookoła i porwałam wózek na zakupy.

– Tak, pewnie, dlaczego pytasz?

– Wydajesz się jakaś nieobecna. – Przyjrzał mi się z zamyśleniem. – Jeśli to nie jest dobry moment...

– Nie, to naprawdę nie o to chodzi. – Wątpiłam, by w najbliższym czasie miał się trafić lepszy moment. – Zastanawiałam się tylko... co muszę kupić. Nie zrobiłam żadnej listy i jestem trochę pogubiona.

Boże, co za żałosne kłamstwo. Naprawdę zachowywałam się jak idiotka, gdy przychodziło do kontaktów z facetami.

Ku mojemu zdziwieniu jednak Theo, zamiast mnie wyśmiać, przysunął się do mnie i zabrał mi wózek. Potem posłał mi łobuzerski uśmiech, od którego zmiękły mi kolana.

– W takim razie pozwól, że ci z tym pomogę – odparł z rozbawieniem. – Skoro masz pustą lodówkę, to znaczy, że potrzebujesz naprawdę porządných zakupów.

Ruszył przed siebie sklepową alejką, zręcznie wymijając innych klientów i rozglądając się po półkach. Zatrzymał się przy którejś, zastanowił przez chwilę, a potem włożył do wózka jakieś dwa opakowania i popchnął wózek dalej. Z niedowierzaniem pokręciłam głową. Czy ten facet serio zamierzał zrobić za mnie zakupy spożywcze?

Ta ostatnia myśl zmusiła mnie w końcu do ruszenia się z miejsca. Dobiegłam do niego i skontrolowałam stan wózka. Po opakowaniu ryżu i kaszy, jakieś ciastka... Theo zatrzymał się właśnie przy półce z herbatą. Ten facet nie mógł być normalny.

– Nie! – zaprotestowałam gwałtownie, gdy sięgnął po waniliową. – Nie znoszę wanilii.

– Nie biorę jej dla ciebie – odpowiedział, rzucając mi kolejny uśmiech. Jakby wiedział, że rozproszy mnie tym na tyle, że nie będę więcej protestować. – No co, nie mogę lubić herbaty waniliowej? Dla ciebie wezmę zwykłą.

– A masz w tej swojej ruinie czajnik, żeby zagotować wodę?

Roześmiał się.

– Nie, dlatego będę ją pił u ciebie. To twoje zakupy, pamiętasz?

Popchnął wózek dalej, znowu zyskując nade mną kilka sekund przewagi, zanim wyrwałam się ze stanu katatonii. Serio? Czy on właśnie powiedział, że chce, żebym trzymała dla niego u siebie jego ulubioną herbatę?!

Dorwałam go ponownie przy stoisku z warzywami i owocami. Jęknęłam, gdy zobaczyłam, ile naładował do wózka.

– No co? – zdziwił się. – Powinnaś się zdrowo odżywiać.

– Nie jesteś moją matką, nie będziesz mi mówił, co mam jeść – odparłam, wyładowując z powrotem na półki przynajmniej część marchewek, pomarańczy, ogórków, pomidorów i jabłek. – Opanuj się, mieszkam sama, nie zjem tego wszystkiego! Weź lepiej paczkę szpinaku.

Theo posłusznie sięgnął po szpinak, a potem ruszył dalej. Spróbowałam skoncentrować się na zakupach, zamiast na jego obecności tuż obok mnie, chociaż było to trudne.

Wskazałam mu kilka produktów, które miał po swojej stronie, więc łatwiej było mu po nie sięgnąć, pokłóciłam się z nim na temat wyższości coca-coli nad sokiem pomarańczowym (twierdził, że cola jest niezdrowa!), a potem wytłumaczyłam, dlaczego medaliony z indyka i tuńczyk są dla Chandlera lepsze od gotowej karmy w puszkach. Chyba nie do końca zrozumiał, ale przynajmniej udawał, że to dla niego jasne.

W sumie całkiem fajnie robiło się zakupy z facetem, nigdy wcześniej tego nie praktykowałam. Theo ładował mi do koszyka zupełnie inne rzeczy, niżbym chciała, i kompletnie nie pojmował, po co mi litrowe wiaderko lodów. To było zabawne, nawet jeśli momentami się na niego irytowałam.

Nic nie mogłam poradzić, że w jego towarzystwie tak miło spędzałam czas.



12. Jak postawić się między młotem a kowadłem

Mieliśmy pewne trudności z przetransportowaniem zakupów motocyklem Theo, ale ostatecznie udało nam się dojechać do mojego domu bez zgubienia po drodze cytryn i butelki coli. Było zabawnie, nawet jeśli przez większość czasu na niego krzyczałam. Gdy w końcu dojechaliśmy na miejsce, dochodziło wpół do dziewiątej i zdążyło się zrobić zimno, jak na szkocką jesienną noc przystało.

Zsiadłam z motocykla, próbując zachować przy tym możliwie jak najwięcej godności i nie polecieć na tyłek.

– Wiem, że ostatnim razem zapowiedziałś, że nie wpuścisz mnie do domu – odezwał się Theo, gdy podał mi lżejsze siatki, a sam wziął resztę – ale może jednak zrobisz wyjątek i pozwolisz mi wnieść to do środka?

Przecież nie mogłam mu zabronić noszenia za mnie zakupów, nie? W końcu pracował na miano Pana Idealnego.

– Wchodź – zarządziłam, otwierając drzwi. – Ale ostrzegam, mam nieposprzątane.

– Bałagan mnie nie odstrasza – odpowiedział, po czym puścił do mnie oko. – Inaczej nie mieszkałbym w ruinie.

Przechodząc przez przedpokój, zajrzałam do kociej miski i ze zdziwieniem stwierdziłam, że jest pusta. Coś takiego, Chandler skończył suche żarcie? Szok! Musiał umierać z głodu.

Postawiłam torbę z zakupami na blacie w kuchni i pogrzebałam w niej, aż znalazłam puszkę z tuńczykiem. Chandlera nigdzie nie było widać ani słyszeć, ale nie zdziwiło mnie to wcale, zazwyczaj nie reagował, kiedy wracałam do domu. Widocznie dla niego to nie był powód do radości.

– Podaś mi, proszę, kocią miskę? Stoi pod ścianą w przedpokoju. – Kiedy Theo wszedł głębiej i zostawił zakupy w kuchni, głową wskazałam mu odpowiedni kierunek. Już po chwili nakładałam tuńczyka do miski Chandlera. – Kici, kici. Kocie, zobacz, jakie mam dla ciebie pyszne jedzonko!

Chandler oczywiście się nie pokazał, bo gdyby się pokazał, musiałby uznać, że to za moją namową. Westchnęłam i postawiłam miskę w jej stałym miejscu, uznając, że jak będzie chciał, sam wylezie i może zje. A może nie. Z moim kotem nigdy nie wiadomo.

Kiedy wróciłam do kuchni, ze zdziwieniem stwierdziłam, że Theo rozpakowywał zakupy. Buszował po pomieszczeniu, jakby był u siebie, zaglądał do wszystkich szafek, zapewne chcąc znaleźć odpowiednie miejsce na poszczególne produkty, i generalnie zachowywał się tak, jakby to była jego kuchnia. Stałam przy barze i przez moment bez słowa przyglądałam się jego poczynaniom, co w końcu zauważył. Odwrócił się do mnie z przepraszającym uśmiechem.

– Nie mogłem się powstrzymać.

Kiedy wyręczyłam go przy reszcie zakupów, przeszedł do salonu i zaczął go sobie oglądać. Zerkałam na niego co chwila, nie przejmując się ciszą między nami. Pochowałam resztę warzyw do lodówki, po czym wstawiłam wodę na herbatę. Nie sądziłam, żebym tego dnia miała jeszcze oprowadzać Theo po mieście. Było późno, poza tym wydawało mi się, że to był tylko pretekst, żeby się ze mną spotkać.

Nie żebym miała coś przeciwko takim pretekstom.

– Herbaty? Mogę zrobić ci tej waniliowej.

Theo odwrócił się do mnie spod regału z książkami, które właśnie oglądał. Niecierpliwie

czekałam na jakiś komentarz z jego strony.

– Myślałam, że idziemy zwiedzać Inverness.

– Jest późno, a ja, w przeciwieństwie do ciebie, muszę jutro rano wstać do pracy. – Wyjęłam z szafki dwa kubki i wrzuciłam do nich saszetki, odpowiednie dla każdego z nas. – Czy możemy się umówić, że poczęstuję cię herbatą, a po Inverness oprowadzę cię następnym razem, za dnia?

– Ale nocą miasto też wygląda ładnie – zaprotestował, podchodząc bliżej, aż oparł się o bufet od strony salonu. – Twój kot ma na imię Chandler i masz na półce całą Agathę Christie oraz mnóstwo Conan Doyle’a. Czy coś lubisz bardziej niż kryminały?

– Klasykę – odpowiedziałam. – Umberto Eco, Jules Verne, Dickens, Edgar Allan Poe, Bram Stoker, Stevenson, Mark Twain. I mnóstwo innych.

– Zapomniałaś o Mary Shelley – wytknął, co absolutnie mnie zachwyciło. – Nie można wspominać klasyki bez Mary Shelley.

– Nie można, to fakt. – Zaśmiałam się. – Ale pytałeś o moich ulubionych autorów. Mary Shelley jest daleko za Charlotte Brontë i Jane Austen. Doceniam pomysł, ale szczerze mówiąc, trochę przysypiałam podczas lektury.

– Jak można przysypiać przy *Frankensteinie*! – wykrzyknął z niedowierzaniem. – To tak samo dobra powieść grozy jak Edgar Allan Poe!

– Chodzi ci zapewne o powieść gotycką – sprostowałam. – I generalnie twórczość Poe nie jest do niej zaliczana.

Wprost nie mogłam w to uwierzyć. O dziewiątej wieczorem siedziałam w domu z niemalże obcym facetem, robiąc mu herbatę i dyskutując o literaturze. Dlaczego w ogóle wpuściłam go za próg? Przecież nigdy tego nie robiłam. Przecież spotkałam się z nim ledwie parę razy w życiu. Równocześnie jednak miałam dziwne wrażenie, które nie opuszczało mnie od naszego pierwszego spotkania.

Jakbym skądś go znała. Jakbym gdzieś go wcześniej widziała, tylko nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

To oczywiście dało się wyjaśnić zaklęciem. Był taki, jakim go sobie wyobrażałam, dlatego wydawał mi się znajomy. Ale nie zamierzałam się z tym pogodzić. Jasne, może i jeździł na motocyklu, może i pracował fizycznie, może i lubił książki jak ja, ale to jeszcze nic nie znaczyło. To mogły być same zbiegi okoliczności.

Ale jeśli moje zaklęcie nie miało z tym nic wspólnego, to dlaczego wydawał mi się znajomy?

– Muszę zapamiętać, żeby nigdy nie kłócić się z bibliotekarką na temat literatury – powiedział. – Ale podoba mi się, jak mnie pouczasz. Brakuje ci tylko okularów, byłabyś seksowną nauczycielką.

Nie wiedziałam, jak zareagować na te słowa. On tak serio?

Książki zawsze były dla mnie czymś pewnym, na czym mogłam polegać. Były poukładane, miały sens, trzymającą się kupy fabułę. W moim życiu nie zawsze tak bywało, a moim związkom – a głównie ich końcom – towarzyszyło zazwyczaj pełne frustracji „dlaczego?”. W powieściach rzadko kiedy tak było.

Chyba dlatego nie spodobało mi się, że żartował na ten temat.

Zrobiłam krok do tyłu, by odsunąć się od blatu, ale Theo chwycił mnie za rękę, przytrzymując w miejscu.

– Hej, przepraszam – rzucił, marszcząc brwi. – Chciałem cię rozluźnić, a nie spłoszyć. Nie dość jasno dałem do zrozumienia, że mi się podobaś?

Może właśnie zbyt jasno.

Odruchowo pochyliłam się w jego stronę nad blatem, ale zamarłam natychmiast, gdy tylko zdałam sobie z tego sprawę. Już nawet własne ciało mnie nie słuchało!

Theo tymczasem uśmiechnął się na ten widok, a potem wyciągnął rękę i przesunął palcami po moim policzku, by następnie wpleść je w moje włosy i popieścić mój kark. Zadrżałam pod tym delikatnym dotykiem.

– Chciałem to zrobić, odkąd pierwszy raz cię zobaczyłem – mruknął, a potem pochylił się w moją stronę i mnie pocałował.

Przez kilka sekund miałam wrażenie, że się uduszę. Dotyk jego warg na moich był tak

niespodziewany, a równocześnie tak ekscytujący i podniecający, że zupełnie straciłam od tego oddech. W mojej głowie eksplodowały fajerwerki. Theo nie bawił się w delikatne całusy, pocałował mnie od razu mocno, głęboko, kładąc mi dłoń na karku i przyciągając mnie do siebie jeszcze bliżej, aż cała oparłam się o bar. Jego gorące usta i język sprawiły, że reszta myśli wyparowała mi z głowy.

Usłyszawszy tuż obok ucha gwizd, odwróciłam na chwilę głowę, by stwierdzić, że woda na herbatę się zagotowała. Najpierw poczułam wargi Theo na szczęce i szyi, od czego dreszcz przeszedł mi wzdłuż kręgosłupa, a potem nagle zostałam pozbawiona jego dotyku. W następnej chwili poczułam jego dłonie na swojej talii – odwrócił mnie do siebie przodem i nagle znalazł się bardzo blisko, tak blisko, że mogłam poczuć jego gorący oddech na skroni, sięgnąć dłonią do rozczochranych włosów i przeczesać je palcami, a także oprzeć się o jego twardą klatkę piersiową.

Piszczący czajnik jednak ciągle nie dawał mi spokoju.

– Herbata...

– Daj spokój herbacie. – Przechylił się i wyłączył gaz, a potem jego uwaga znowu w pełni skupiła się na mnie. – Smakujesz lepiej niż najlepsza wanilia.

Znowu mnie pocałował, gwałtownie, głęboko, przechylił mnie lekko do tyłu i oparł dłonie na barze, zamykając mnie w pułapce swoich ramion. Zarzuciłam mu ręce na szyję, stając na palcach, przyciągnęłam go do siebie bliżej, aż jego korzenno-cytrusowy zapach uderzył mnie w nozdrza. Nie utrzymał zbyt długo rąk na blacie; już po chwili objął mnie w tali, mocno, zaborczo, jakby nie chciał mnie już nigdy puścić.

Znowu zabrakło mi oddechu, czego prawie nie zauważyłam, zatopiona w jego gorących ustach, języku i dotyku szorstkiego zarostu na mojej skórze. Jego druga dłoń zacisnęła się na moich włosach, szarpnęła nimi lekko, aż podniosłam głowę wyżej, dając mu dostęp do mojej szyi. Gdy pocałował miejsce, gdzie pod skórą szaleńczo bił mi puls, z trudem wciągnęłam w płuca powietrze.

Wplotłam palce we włosy Theo, czując na skórze jego zęby. Byłam pewna, że zostawi mi malinki, ale w tamtej chwili miałam to gdzieś. Liczył się tylko ten dreszcz, który przez kręgosłup wysyłał każdy jego pocałunek, każde liźnięcie języka na mojej skórze, każde delikatne ugryzienie.

Gdy pieszczotliwie przesunął dłoń po moich plecach w dół, aż dotarł do skraju koszulki i wsunął palce pod spód, dotykając nagiej skóry w okolicach krzyża, jęknęłam. Nadaremnie usiłowałam zebrać do kupy rozpieczętowane, zamienione w galaretę myśli. Gdzieś z tyłu czaszki kołatało przekonanie, że to się dzieje za szybko – zdecydowanie za szybko! – ale gorące pieszczoty Theo skutecznie je uciszały, zwłaszcza gdy ponownie pocałował mnie w usta, a jego palce zaczęły gładzić mój kręgosłup, aż dotarły do zapięcia biustonosza.

Jak przez mgłę dobiegł mnie nagle obcy dźwięk. Odruchowo odsunęłam się o cal, nasłuchując.

– Ktoś puka do drzwi... – Głos Theo był seksownie zachrypnięty. – Olej to.

Znowu się pochylił, żeby mnie pocałować, ale uciekłam mu ustami, po czym jęknęłam.

– Jeśli to ktoś z mojej rodziny, sami się wpuszczają, jak im nie otworzę – odparłam z frustracją. – Będzie lepiej, jeśli nie zastaną nas w takiej sytuacji.

Byłoby lepiej, gdyby w ogóle nie zastali nas razem w moim mieszkaniu, przemknęło mi przez głowę, ale nie powiedziałam tego na głos, gotowa zmierzyć się z konsekwencjami swoich czynów. Nie mogłam ich przecież okłamywać w nieskończoność.

Skrzywił się, ale zaraz potem odsunął się posłusznie, obdarzając mnie łobuzerskim uśmiechem.

– I tak się domyślą, co robiłaś. Wystarczy, że na ciebie spojrzą. Wyglądasz, jakby ktoś przed chwilą dał ci porządny orgazm.

Prychnęłam z niedowierzaniem i wyminęłam go.

– Szkoda, że tylko wyglądam – mruknęłam, idąc w kierunku drzwi.

Theo musiał mieć nadludzki słuch, bo po chwili odpowiedział ze swojego miejsca z kuchni:

– Jeszcze nic straconego!

Przejrzałam się w lustrze w przedpokoju, a wtedy pukanie rozległo się ponownie. Byłam rozczochrana, miałam opuchnięte usta i lekko zaczerwienioną skórę, a poza tym oczy świeciły mi się w zupełnie nieznanym mi sposób. Z frustracją sięgnęłam ręką do włosów, próbując jakoś je przygładzić, co jednak przyniosło marny efekt, biorąc pod uwagę, że i tak zazwyczaj żyły własnym życiem.

Zignorowałam to i poszłam otworzyć.

Zdrętwiałam, widząc, kto stoi na progu.

To nie był nikt z mojej rodziny.

To był Ross.

– Cześć, Margo. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem, przeczesując dłonią włosy. – Przepraszam, wiem, że jest dosyć późno, ale chciałem pogadać.

Nie miał dość po tym, jak zakończyło się nasze ostatnie spotkanie?

– To chyba nie jest najlepszy moment, Ross.

– Wiem, ale nie mogłem z tym czekać do jutra. – Oparł się o futrynę. – Posłuchaj, zachowałem się jak palant, ale chciałbym, żebyś dała mi jeszcze jedną szansę. Wszystko ci wytłumaczę. Wpuścisz mnie do środka?

– Nie – wyrwało mi się. – Jest naprawdę późno i to nie jest dobry moment na taką rozmowę. Poza tym akurat jestem trochę zajęta, więc...

– Aha. – Dopiero w tamtej chwili obrzucił mnie uważniejszym spojrzeniem i zmarszczył brwi, jakby dodał dwa do dwóch. Czy naprawdę wyglądałam tak jednoznacznie? – I nie możesz poświęcić mi nawet dziesięciu minut? Mogę zadzwonić jutro, ale jaką mam gwarancję, że w ogóle odbierzesz?

Czyli zjawiał się niezapowiedziany pod moimi drzwiami po to, żebym na pewno mu nie odmówiła i go wysłuchała? To chyba jakiś żart.

– Nie masz żadnej – odpowiedziałam wprost. – Do kogo masz pretensje, do mnie? To ty nawaliłeś, nie ja. Mam pełne prawo nie chcieć cię więcej oglądać.

– Ale tak naprawdę wcale tego nie chcesz – zaprzeczył z bezczelną pewnością siebie, za którą miałam ochotę go walnąć.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć coś ostrego, ale w tej samej chwili za sobą usłyszałam głos Theo:

– Co się tam dzieje? Pomóc ci w czymś, Margo?

Zacisnęłam szczęki, żeby nie powiedzieć czegoś głupiego. Usłyszałam kroki i po chwili Theo stanął tuż za mną. Tak blisko, że aż skóra na karku zaczęła mnie mrowić.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam, siląc się na spokojny ton. Ross tymczasem spojrzał ponad moją głowę na Theo i zmarszczył z niezadowoleniem brwi. – Może zrobisz nam tej herbaty?

– Shepard. – Theo najwyraźniej nie zamierzał ruszać się z miejsca, bo jego głęboki głos usłyszałam tuż obok ucha. – Nie za późno na wizyty?

– Mógłbym zapytać o to samo ciebie, Thorne – wycedził Ross przez zaciśnięte zęby.

Chyba był zły. Nie mogłam uwierzyć, że to spotkanie za chwilę przerodzi się w walkę kogutów, i to z winy Theo, który nie mógł spokojnie usiedzieć w kuchni.

– Tak się składa, że pomagałem Margo w zakupach – wyjaśnił z rozbawieniem.

Brew Rossa podjechała do góry.

– I z wdzięczności zaprosiła cię na herbatę?

Miałam tego serdecznie dość. Nie zamierzałam pozwalać się tak traktować – żadnemu z nich. To nie była pieprzona walka o teren i dominację. A ja nie byłam pieprzoną zdobywcą.

– Czy możecie, z łaski swojej, przestać? – zapytałam z niesmakiem, chociaż w pewnym sensie to była moja wina. Po co dawałam im obu nadzieję? – Jest naprawdę późno, a rano muszę wcześniej wstać do pracy. Ross, zadzwoń do mnie jutro, proszę. Obiecuję, że odbiorę i może nawet cię wysłucham.

– Czyli nie wpuścisz mnie do środka? – zapytał z irytacją.

Pokręciłam głową.

– Nie. Ale jeśli cię to pocieszy, Theo też niedługo wychodzi.

Ross próbował jeszcze protestować, ale pożegnałam go bardzo stanowczo i bezlitośnie. Kiedy w końcu zamknęłam za nim drzwi i odwróciłam się do Theo, stwierdziłam, że on też nie jest szczęśliwy. Świetnie, a więc zraziłam do siebie obu.

– Wychodzę? – powtórzył.

Wyminęłam go i skierowałam się do salonu, nie oglądając się za siebie.

– Tak, wychodzisz. Bardzo ci dziękuję za pomoc, Theo, i...

– I za pocałunki? – wszedł mi bezczelnie w słowo.

Odwrociłam się. Oprócz rozdrażnienia w jego niebieskich oczach dostrzegłam też rozbawienie. Dobrze, że przynajmniej on dobrze się bawił.

– Tak, za to też – potwierdziłam. – Ale teraz powinieneś już iść.

– Wyjaśnijmy sobie jedno. – Zbliżył się o krok, a ja cały czas czujnie nie spuszczałam z niego wzroku. Nie wycofałam się jednak. – Jesteś na mnie zła, bo przegoniłem potencjalną konkurencję? Widziałem, jak ten facet na ciebie patrzył. I jak patrzył na mnie. Jakby chciał mnie zamordować. Wiem, że byliście na randce. Nie zamierzam się usuwać, żeby było mu łatwiej. Podobasz mi się, od początku stawiałem sprawę jasno.

– Owszem. Pytałeś, czy randkowałam kiedyś z dwoma facetami naraz – prychnęłam. – Jak to się ma do przeganiania go ode mnie?

– Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko, a nie, że nie zamierzam zrobić wszystkiego, żebyś to mnie wybrała. Jeśli mogę go w ten sposób odstraszyć, to owszem, właśnie to postaram się zrobić – odparł z rozbawieniem, zbliżył się jeszcze o krok i wyciągnął rękę, aż dotknął palcami mojego policzka. – Nie możesz mnie za to winić, Margo. Ja tylko próbuję zdobyć to, czego chcę.

– A czego ty właściwie chcesz, Theo?

– Tego.

Dłoń głaszcząca mój policzek otoczyła mój kark, Theo przytrzymał mnie w miejscu i pochylił się, żeby mnie pocałować. Nie protestowałam, bo chociaż bym chciała, moje roztapiające się pod jego dotykiem ciało miało na ten temat inne zdanie. Kiedy tak mnie całował, kiedy czułam jego gorące wargi na swoich, byłam w stanie zgodzić się na wszystko. Coś musiało być ze mną nie tak.

– To po to, żebyś dzisiaj w nocy myślała o mnie, a nie o nim – powiedział po chwili, odsuwając się nieco. – A na jutro obiecałaś mi randkę, pamiętasz?

Pamiętałam aż za dobrze. W tamtej chwili, gdy wreszcie mnie puścił i wróciła mi odrobina rozsądku, zaczęłam się zastanawiać, czy to był dobry pomysł.

– Wpadnę po ciebie o siódmej – dodał. – A teraz dobranoc, Margo. Słodkich snów.

Wyminął mnie, nie próbując mnie więcej dotykać, a ja, totalnie skołowana, nawet go nie odprowadziłam.

Zanim zdążyłam wziąć się w garść, usłyszałam trzask drzwi wyjściowych i zostałam w mieszkaniu sama. Usiadłam ciężko na sofie.

Nieźle się wpakowałam. Chyba znalazłam się między młotem a kowadłem.

A najgorsze było to, że nawet nie mogłam mieć o to do nikogo pretensji. Sama byłam sobie winna. Usiłowałam zatrzymać przy sobie Rossa, bo wzdychałam do niego od miesiący i na pewno był prawdziwy, w przeciwieństwie do Theo. Ale ciągnęło mnie do Theo i nic nie mogłam na to poradzić. Była między nami niesamowita chemia.

Gdyby Charlie to usłyszała, wyzwałaby mnie od idiotek. I miałyby rację.

Powinłam powiedzieć Rossowi wprost, że nic z tego nie będzie, uznałam, gdy podkurczyłam nogi pod siebie i skuliłam się na sofie, próbując opanować mętlik w głowie. To nie jest w porządku wobec żadnego z nich, nawet jeśli o sobie wiedzą i się na to godzą.

Ross był, mimo wszystko, bezpiecznym wyborem. Nie groziło mi, że któregoś dnia obudzę się przy nim, by stwierdzić, że nic w nim nie jest prawdziwe, bo go wyczarowałam.

Ale ja przecież nigdy nie szukałam kogoś bezpiecznego. Nie chciałam skończyć jak moje ciotki.

Równocześnie jednak bałam się, że zainteresowanie Theo nie jest naturalne, że płynie z mojej magii. Bałam się przed nim otworzyć, bo mógłby mnie potem paskudnie zranić.

Kiedy Chandler wreszcie chwiejnym krokiem wyszedł z sypialni, rozglądając się bojaźliwie dookoła, jakby spodziewał się ujrzeć śmiertelnego wroga, doszłam do wniosku, że potrzebuję pomocy. Wzięłam opierającego się kota na ręce i odblokowałam komórkę, żeby wysłać wiadomość do jedynej osoby, która potrafiła mnie kopnąć w tyłek.

Wyglądało na to, że muszę umówić się na picie z Charlie.



13. Jak wyładować frustrację

Następnego dnia nie miałam dużo czasu przed zaplanowaną randką, do baru Charlie i Nicka pobiegłam więc zaraz po pracy, obiecując sobie, że nie pozwolę przyjaciółce pracować, póki mnie nie wysłucha, a potem wrócę do domu i przygotuję się na spotkanie z Theo.

– Jak to: pojawił się u ciebie?! – wykrzyknęła, gdy tylko zajęłam swoje stałe miejsce na stolku barowym i posłusznie wzięłam do ręki ścierkę, żeby przetrzeć kufle.

Tym razem lokal był całkiem pusty, bo tego dnia otwierali wyjątkowo późno z uwagi na jakieś mecze, które miały ciągnąć się do późnej nocy. Nick krzątał się po sali, zdejmując ze stolików krzesła i przecierając blaty.

– Tak – potwierdziłam. – Ross wpadł do mnie wczoraj wieczorem, żeby się wytłumaczyć.

– Wpuściłaś go? – zapytała podejrzliwie Charlie, porzucając na chwilę pracę i opierając się łokciami o bar.

Z westchnieniem pokręciłam głową.

– Nawet gdyby nie było u mnie wtedy Theo, i tak bym go nie wpuściła o takiej porze.

– Już nie udawaj takiej świętej... – zaczęła gderać, a zaraz potem zreflektowała się i dodała: – Zaraz, co? Theo był u ciebie?! A co on tam robił? Błagam, powiedz, że zaliczyliście chociaż pierwszą bazę!

– Charlie, uspokój się! – poleciłam jej ze śmiechem. – Takie amerykańskie, niedojrzałe porównania zupełnie do ciebie nie pasują.

– Wykręcasz się, więc coś jest na rzeczy. Opowiadaj, ale to już! Dlaczego w ogóle zaczęłaś od dupy strony? Nie masz dla mnie cienia litości...

– Nie mam, bo mnie denerwujesz – potwierdziłam. – Już dawno o wszystkim bym ci opowiedziała, gdybyś mi nie przerywała.

Zasnurowała usta na znak, że nie zamierza powiedzieć nic więcej. I dobrze.

– Theo przyjechał do mnie, zrobił ze mną zakupy, a potem wprosił się do mieszkania – wyjaśniłam spokojnie, chociaż miałam ochotę piszczeć z ekscytacji jak nastolatka. – Potem... No dobrze, całowaliśmy się, a potem przyszedł Ross i zepsuł nastrój.

Charlie wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem. Hmm, spodziewałam się nieco innej reakcji na takie rewelacje.

– Serio, McKenzie, z takim darem opowiadania zasnęłabym przy twoim streszczeniu *Pięćdziesięciu twarzy Greya* – prychnęła w końcu.

Przewróciłam oczami.

– Sugerujesz, że jest w tej książce cokolwiek ekscytującego?

– No nie, w sumie masz rację – zreflektowała się. – To co ty tam czytasz... *Dumy i uprzedzenia*. Zasnęłabym przy twojej opowieści o tym, jak pan Darcy oświadczył się Lizzie. Czy to wystarczająco dobrze pokazuje, jak beznadziejna jesteś w przekazywaniu ważnych informacji? Na litość, Margo, całowaliśmy się?! Po pierwsze, dlaczego od wejścia trujesz mi dupę pojawieniem się Rossa, zamiast w skali od jeden do dziesięciu ocenić umiejętności oralne twojego Pana Idealnego, a po drugie, dlaczego przekazujesz mi to takim tonem, jakby ktoś zrobił ci lobotomię? Powinnaś skakać z radości, a nie używać pieprzonego syntezatora mowy!

W poruszeniu chwyciła miotłę i ruszyła z nią na salę. Zeskoczyłam ze stołka i poszłam za nią, przeprasząc bezgłośnie Nicka, który tylko machnął ręką i uciekł na zaplecze.

– Nie przesadzaj, proszę – powiedziałam. – Po pierwsze, wcale nie używam syntezatora mowy, tylko chcę zachowywać się jak zrównoważona dorosła kobieta, na jaką ty w tym momencie nie wyglądasz. A po drugie, chciałam dawkować emocje.

– Chcę się ekscytować, dawkowanie mi niepotrzebne – oświadczyła Charlie. – I nadal czekam na dokładny opis pocałunku. Nie pytam, czy było gorąco, bo na pewno było, poznałam przecież Theo, ale co poza tym? Jakies macanko? Rozdarł na tobie ciuchy? Cokolwiek?

Charlie nigdy wcześniej z takim zainteresowaniem nie wypytywała o moje związki. Może dlatego, że odkąd wróciłam do Inverness po studiach, z nikim się nie spotykałam na poważnie.

– Uspokój się – poleciłam jej z rozbawieniem. – To był tylko pocałunek, nic więcej. Owszem, był niesamowity i umówiliśmy się na dzisiaj, ale to tyle. Powinnam postępować ostrożnie z Theo. Jeśli faktycznie go wyczarowałam, muszę to jakoś odkręcić. A jeśli nie, chcę wiedzieć, co robi w Inverness, bo nie wierzę, że przypadkiem zjawił się tu akurat teraz i akurat w domu obłożonym kłatwą czarownicy.

– Więc po to umówiłaś się z nim na randkę? – zapytała cierpko Charlie. – Żeby przeprowadzić śledztwo w jego sprawie? Nie uważasz, że to trochę manipulacja?

– Uważam, że mogę dzięki temu upiec dwie pieczenie na jednym ogniu – odpowiedziałam, choć w głębi duszy czułam wyrzuty sumienia. – Przecież nie mogę powiedzieć mu prawdy. Dowiem się, czy jest prawdziwy, a potem będę się zastanawiać, co zrobić z tą kłatwą. Tym bardziej że...

Umilkłam, niepewna, ile jej powiedzieć. Nie chciałam na razie wspominać o mamie, jej prawdopodobnej wizycie w domu Marshallów i dziwnym zachowaniu. To wszystko było zbyt niejasne i pozostawiało za dużo wątpliwości. Musiałam najpierw dowiedzieć się czegoś więcej, żeby stwierdzić, czy to w ogóle ma jakieś znaczenie.

Ja też tam przecież weszłam. I nic złego się nie stało, prawda?

Wprawdzie wydawało mi się, że słyszałam ten głos, ale... może to były tylko omamy słuchowe?

– Tym bardziej że co? – podjęła Charlie.

– Muszę wiedzieć, na czym stoję – podsumowałam stanowczo. – Bo na razie nie wiem nic. Czy Theo jest prawdziwy, czy przyjechał tu z jakiegoś konkretnego powodu? Jak się tego dowiem, to podejmę decyzję.

– Jaką decyzję? Czy wolisz Theo, czy Rossa? A oni przez ten czas mają grzecznie czekać, aż któregoś z nich wybierzesz?

– Żadnemu nie każę czekać – prychnęłam z irytacją, bo Charlie niepotrzebnie robiła ze mnie wyrachowaną sukę. – Mogą robić, co im się podoba, Ross nawet niespecjalnie się krępuje. Sama widziałaś go z Daną. To prawda, że wodzenie ich obu za nos nie jest w porządku, ale... Ja po prostu nie wiem, co robić, Charlie.

Charlie odłożyła miotłę i oparła się o stół, z dezaprobatą zakładając ramiona na piersi.

– Jeszcze parę tygodni temu oddałaśbyś nerkę, żeby iść na randkę z Rossem.

Przewróciłam oczami.

– Nie przesadzajmy z tą nerką. Nie okaleczyłabym się dobrowolnie dla żadnego faceta...

– Jasne, wmawiaj tak sobie dalej – przerwała mi. – Tak czy inaczej, zależało ci na tym. Czy dalej ci zależy? Czy gdybyś dzisiaj odkryła, że Theo jest przez ciebie wyczarowany i w ogóle nie jest prawdziwy albo z jakiegoś powodu nigdy nie będziecie mogli być razem, poszłabyś do Rossa? Zdecydowałabyś się z nim związać, wiedząc, że robisz to tylko dlatego, że nie możesz być z Theo?

– Dlaczego w ogóle zakładasz, że Theo musi mieć pierwszeństwo? – zdenerwowałam się. – To nie jest przesądzone.

– Musiałabyś być nienormalna, żeby nie było.

– Nie znam go wystarczająco dobrze, żeby tak powiedzieć – zaprotestowałam. – Nie mogę po paru dniach znajomości rzucić w kął wszystkiego, na co pracowałam przez ostatnich kilka miesięcy...

– Po pierwsze, ty nie pracowałaś na randkę z Rossem, już ci mówiłam, tylko biernie czekałaś, aż cię zaprosi – znowu weszła mi w słowo. – A po drugie, już wtedy w bibliotece widziałam, jaką macie chemię z Theo. A prawie się jeszcze nie znaliście!

– Teraz nie znamy się wiele lepiej – wtrąciłam, na co zupełnie nie zwróciła uwagi.

– Więc jeśli teraz, w tej chwili, powiesz mi, że nie wyskoczyłaś z butów, kiedy cię pocałował, to dam ci spokój i pozwolę dalej bezkarnie gnębić biednego Rossa.

Zasznurowałam usta, spoglądając na nią z niezadowoleniem. Dlaczego moja przyjaciółka знаła mnie lepiej niż ja siebie? To nie było w porządku.

Nie chciałam trzymać Rossa jako opcji awaryjnej. To nie było w porządku. Ale przyzwyczaiłam się do wzdychania do niego. Trudno mi było teraz odpuścić.

– Dobrze, przyznaję, że wyskoczyłam z butów – mruknęłam, na co Charlie zarechotała. Jak ona mnie czasami wkurzała. – I owszem, miałam ochotę zamordować Rossa, kiedy się pojawił, chociaż dzisiaj rozumiem, że może to i dobrze, bo kto wie, do czego by doszło, gdyby tego nie zrobił. Ale jeszcze niedawno sama mi mówiłaś, żeby umawiać się z nimi obydwojma. A teraz nagle...

– Ale widzę, że nie czujesz się z tym dobrze – weszła mi w słowo. – Poza tym wcale nie podoba mi się, co wyprawia Ross. Ma do ciebie pretensje o Theo, a sam spotyka się z Daną? Facet jest niepoważny. Za to zamiary Theo są raczej oczywiste...

– Oczywiste? – Tym razem to ja jej przerwałam. – Nie mam pojęcia, kim on naprawdę jest ani dlaczego przyjechał do Inverness. Nie wiem nawet, czy jest prawdziwy, a ty twierdzisz, że jego zamiary są oczywiste?

– Bo jesteś nadmiernie podejrzliwa – prychnęła. – Przecież on nie ma pojęcia, że ty się zastanawiasz, czy jest prawdziwy!

– Nie jestem nadmiernie podejrzliwa, po prostu chcę wiedzieć, w co się pakuję – broniłam się. – Boję się, że to się może źle skończyć.

– Aha, dlatego chcesz sobie zostawić w odwodzie Rossa.

Na chwilę zapomniałam, po co właściwie tu przyszłam, tak bardzo miałam ochotę jej przyłożyć. Ale to pewnie dlatego, że miała rację.

Zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, rozległ się sygnał mojej komórki. Na wyświetlaczu pojawiło się znajome imię.

– O wilku mowa – mruknęłam, zanim odebrałam.

Obiecałam przecież, że to zrobię, gdy zadzwoni. A w głębi duszy wiedziałam, jaką powinnam podjąć decyzję.

– Cześć – usłyszałam ciepły głos Rossa. – Masz chwilę, żeby pogadać?

– Jasne. – Zawahałam się. – Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

– Nie potrzebuję wiedzieć niczego na temat wczorajszego wieczoru – wszedł mi w słowo. – Posłuchaj, Margo, muszę ci się do czegoś przyznać. Nie bądź na mnie zła, proszę, ale... byłem dzisiaj u Theo Thorne'a. Musiałem z nim porozmawiać.

Przez chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć, taka byłam zaskoczona.

– Słucham? – zapytałam w końcu uprzejmie. – Gdzie byłeś?

– W domu Theo Thorne'a – powtórzył cierpliwie. – Ucieliśmy sobie małą pogawędkę na twój temat.

Poczułam bardzo nieprzyjemną sensację żołądkową na te słowa. Jakoś nie wyobrażałam sobie ich dwóch rozmawiających na mój temat.

– Żartujesz sobie ze mnie? – prychnęłam. – Twierdzisz, że pojechałeś do domu Theo, żeby rozmawiać z nim o mnie? Czy ty aby jesteś całkiem normalny, Ross?

Powtarzałam się, ale po prostu nie mieściło mi się to w głowie. A wkurzyłam się jeszcze bardziej, gdy na moje słowa Charlie parsknęła śmiechem.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego jesteś taka zdziwiona – odparł z niezadowoleniem. – Chcę wiedzieć, na czym stoję. Wiem, że przez Danę mogłem sprawić wrażenie, że mi na tobie nie zależy, ale musisz mi wierzyć, że to nie tak. Ona po prostu potrzebowała mojej pomocy, za długo ze sobą byliśmy, żebym mógł to zignorować. Ale chcę się umawiać z tobą i nie potrzebuję asysty tego faceta. Dany już nie ma, więc spław też Theo, żebyśmy mogli mieć święty spokój.

On miał czelność mi rozkazywać! No po prostu w to nie wierzyłam.

– A co takiego powiedział ci Theo?

– Że nie zamierza z ciebie rezygnować – odparł niechętnie. – Brzmiał tak, jakby dla niego to była jakaś chora gra. To naprawdę nie jest dla ciebie odpowiedni facet, Margo. Nie traktuje cię poważnie. Poza tym to Anglik. Z Londynu. Co ty właściwie o nim wiesz? Wiesz, co za sobą zostawił i dlaczego tu przyjechał? Kim jest? Jaką ma opinię w Londynie czy gdziekolwiek indziej?

Jasne, bo przecież o Rossie wiedziałam wszystko. No i on był miejscowy.

– Nie spodziewałam się usłyszeć od ciebie, że Theo jest w porządku i że powinnam się z nim umówić – odparłam, powstrzymując złość. – To oczywiste, że musisz go dyskredytować, i to nie dlatego, że się o mnie martwisz.

– W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki dozwolone, kochanie.

– Proszę, nie mieszajmy w to miłości. – Na te słowa Charlie znowu parsknęła śmiechem. Nie wiedziałam już, które z nich bardziej pragnęłam zabić. – To oczywiste, że nie robisz tego z miłości, tylko z jakiejś chorej potrzeby rywalizacji. O co ci właściwie chodzi, Ross? Po co zawracasz mi głowę?

– Cholera jasna. Wszystko między nami było dobrze, kiedy poszliśmy na pierwszą randkę; nie możemy po prostu do tego wrócić? Dlaczego nagle tak się zachowujesz? – W jego głosie usłyszałam frustrację i nagle zrobiło mi się głupio, że tak na niego naskoczyłam. – Czy to przez niego? Nagadał ci coś o mnie czy jak?

– Ross, Theo nic nie musiał mi mówić. Sam koncertowo to spieprzyłeś – zaprotestowałam. – Poza tym jesteś tu jedyną osobą, która próbuje kogoś dyskredytować.

– Wiem, że to tak wygląda – westchnął. – Przepraszam, jeśli tak to odebrałaś. Nie chcę, żebyś myślała o mnie w ten sposób. Ja tylko się o ciebie martwię, Margo. Czuję, że on nie ma dobrych zamiarów. Dla niego to wszystko to tylko zabawa, rozumiesz? Moim zdaniem on wyremontuje ten dom, a potem sprzeda go z zyskiem i wróci do Londynu, a ty tu zostaniesz. Po prostu... Daj mi szansę, żebym pokazał ci, że jestem lepszym wyborem, proszę.

Może i miał trochę racji. Nie znałam motywów postępowania Theo. Był zagadką o wiele większą, niż sądził Ross.

Ale to nadal nie oznaczało, że Ross musi się wtrącać w moje życie.

– Nie wiem, czy jesteś lepszym wyborem – odpowiedziałam. – Jeśli twoja była dziewczyna ma mieć do mnie pretensje, że cię odbiłam, jeśli nie jesteś pewien, że między tobą a Daną wszystko skończone, odpuść sobie.

Stojąca naprzeciwko mnie Charlie wyszczerzyła się głupio i podniosła kciuki, zapewne dopingując mnie, żebym spławiła Rossa na stałe. Serio?

– Jestem pewien – zapewnił. – Wyjaśniliśmy sobie wszystko i to już koniec. Przepraszam, jeśli cię skrzywdziłem, Margo, naprawdę nie chciałem. Obiecuję, że jeśli znowu się ze mną umówisz, wszystko ci wynagrodzę, tylko spław tego palanta, żeby nie wchodził nam więcej w drogę.

Poważnie? Nie! On nie będzie w ten sposób do mnie mówił!

Wkurzyłam się tak bardzo, że ledwie dotarł do mnie dziwny dźwięk za moimi plecami. Jakby brzęk szkła. Zignorowałam to.

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz, Ross – wycodziłam powoli, kiedy już byłam pewna, że nie wybuchnę. – Nie zamierzam rezygnować z umawiania się z Theo tylko dlatego, że coś ci się w nim nie podoba. Nie masz prawa tego ode mnie wymagać, a ja nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań, żeby się ciebie słuchać. Sama wyrobię sobie o nim opinię. Nie jestem potrzebującą ratunku dziewczyną w opałach. Potrafię sama o sobie zadbać.

– Margo, ja tylko...

– Nie skończyłam – przerwałam mu stanowczo. – Nie podoba mi się, jak mnie potraktowałeś, ale rozumiem, byliśmy tylko na jednej randce, więc dziewczyna, z którą tyle cię kiedyś łączyło, mogła być dla ciebie ważniejsza. Jednak nie interesuje mnie bycie drugą opcją, rozumiesz?

– Rozumiem – potwierdził posłusznie. – I obiecuję, że nie będziesz dla mnie drugą opcją, Margo. Skończyłem z Daną, przysięgam. Miałem nadzieję, że i ty skończysz z Theo.

– Nie. – Serce zabiło mi szybciej, kiedy wypowiedziałam to jedno słowo. – Nie mogę ci tego obiecać, Ross.

Właściwie miałam nadzieję, że po tym zapewnieniu się wycofa. Dlatego jego kolejne słowa mnie

zaskoczyły.

– Dobrze – zgodził się, a ja zmarszczyłam brwi, napotykając przestraszone spojrzenie Charlie. O co chodziło tym razem? – Nie rozmawiajmy o Theo Thornie. Umów się ze mną jeszcze raz, a pokażę ci, że jestem wart więcej niż on.

Musiałoby być ze mną coś nie tak. Miałam problem z asertywnością czy coś. Bo się zgodziłam.

Kiedy wstępnie umówiłam się z nim na piątek i wreszcie odłożyłam telefon na stolik, posłałam Charlie pytające spojrzenie.

Pokręciła głową.

– Margo, na litość boską...

– Wiem, jestem idiotką – jęknęłam. – Nie potrafiłam mu odmówić. Co jest ze mną nie tak?

Charlie wskazała palcem gdzieś za moje plecy, w stronę baru.

– Ja nie o tym – szepnęła.

Spojrzałam za siebie i zmartwiałam. Wszystkie kufle, które stały na barze, były rozbite w drobny mak. Odłamki wałały się dookoła.

Serce zabiło mi niespokojnie na ten widok. To musiało się stać wtedy, kiedy się wściekłam i usłyszałam za sobą brzęk. Ale, do diabła, w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, że zrobiłam coś podobnego!

Przeniosłam wzrok na Charlie, która wpatrywała się we mnie niepewnie. Jeszcze tego mi brakowało, żeby zrazić do siebie swoją jedyną przyjaciółkę!

– Jezu, Charlie... ja... przepraszam – wyjąkałam.

Oderwałam się od stolika i podeszłam do baru, ale Charlie chwyciła mnie za rękę.

– Zostaw. Nie podchodź bez zmiotki, jeszcze się skaleczysz. Po prostu to posprzątajmy, zanim Nick dostanie apopleksji, dobrze?

– Przepraszam – powtórzyłam, czekając, aż Charlie przyniesie nam miotły. Wyłamałam palce i cała drżałam na myśl o tym, jak bardzo nad sobą nie panuję. – Ja... nie chciałam, naprawdę. Zapłacę za wszystko...

– Daj spokój, Margo. – Szorstki ton głosu Charlie świadczył albo o tym, że jednak nie wszystko jest w porządku, albo o tym, że się o mnie martwi. Wcisnęła mi do ręki miotłę i posłała zatroskane spojrzenie. – Może jednak powinnaś porozmawiać o tym z kimś z rodziny, co? To nie wygląda dobrze.

Jak zwykle miała rację.

Chyba nie mogłam dłużej przed tym uciekać.



14. Jak nauczyć się czarować

Gdy już pomogłam Charlie posprzątać pobojuwisko w barze, zadzwoniłam do ciotki Georgii.

Jako że dzień jak na Inverness był wyjątkowo ładny, a na niebie mocno świeciło wrześnie słońce, postanowiłam spotkać się z nią w Bught Park. Miejsce to wydało mi się odpowiednie strategicznie – byliśmy tam wystarczająco blisko ludzi, by ciotka nie odważyła się na mnie otwarcie krzyknąć, a równocześnie wystarczająco daleko, by porozmawiać bez asysty osób postronnych.

Musiałam zasięgnąć czyjejs rady i najwidoczniej rzeczywiście potrzebowałam pomocy, jeśli nie chciałam stać się zagrożeniem dla siebie i dla innych. Ciocia zgodziła się na spotkanie, gdy tylko usłyszała w słuchawce mój zdenerwowany głos.

– Co się stało, Margo? – zapytała bez zbędnych wstępów, gdy tylko usiadła obok mnie na jednej z ławek przy głównej alei.

– Zrobiłam coś głupiego, ciociu – odpowiedziałam niechętnie. – Ale zanim przyznam się co, musisz mi obiecać, że nie powiesz ciotkom.

– Co takiego? – zdziwiła się. – Nie mogę. Powiedz, co się stało, a wspólnie się zastanowimy, jak sobie z tym poradzić i co powiedzieć twoim ciotkom i babci. Ale nie będę przed nimi nic ukrywać.

– W takim razie niczego ci nie powiem – zaprotestowałam stanowczo. – Przepraszam, że stawiam cię w takiej sytuacji, ale na razie jesteś jedyną osobą, z którą mogę się tym podzielić. Później ciotki też się dowiedzą.

Ciocia Georgia przez chwilę przyglądała mi się bez słowa, wyraźnie bijąc się z myślami. W końcu niechętnie kiwnęła głową.

– Dobrze, nie powiem im o niczym. Nie obiecuję jednak, że nie będę cię męczyć, żebyś sama to zrobiła, Margo.

– Dzięki za szczerą – mruknęłam. – Pamiętasz, jak kazaliście mi trzymać się z daleka od Theo?

Usłyszałam niezadowolony syk ciotki.

– Margo, proszę, nie mów mi, że zignorowałaś...

– Nie o to chodzi, ciociu – przerwałam jej. – Coś się wydarzyło. Nie chciałam wam wcześniej mówić, bo wiedziałam, że nie zareagujecie na to dobrze, ale sprawy... trochę wymknęły mi się spod kontroli. Nie wiem, co robić, i chyba potrzebuję waszej pomocy.

Zamilkłam na moment, próbując ułożyć sobie w głowie, jak jej to wszystko powiedzieć. Ciotka Georgia czekała cierpliwie. W końcu mruknęłam:

– Problem w tym, że ja go wyczarowałam.

Tym chyba wreszcie ją zdziwiłam.

– Słucham, co takiego? Co zrobiłaś?!

– Wyczarowałam go. Chyba – dodałam pospiesznie. – Sama nie wiem, to miała być tylko zabawa, nie prawdziwe czary, to się po prostu wymknęło spod kontroli!

– Nie mówisz poważnie, Margo. Albo po prostu się mylisz. – Ciotka Georgia zmarszczyła brwi i pokręciła głową. – To nie jest możliwe. Niby jak to się stało?

Poderwałam się z ławki i zaczęłam krążyć po alejce, ignorując fakt, że ciotka gapi się na mnie jak na rzadki okaz zwierzęcia w zoo. W końcu słowa popłynęły same:

– W tym problem, że nie wiem! Ja też byłam pewna, że to niemożliwe. Wypiłam z Charlie trochę wina, wyrecytowałam jakiś głupi tekst, a zaraz potem pojawił się on. Pieprzony architekt, który kupił ten

pieprzony dom! Jest dokładnie taki, jak go wyczarowałam, rozumiesz? Chociaż ja nie potrafię czarować! Ale ostatnio... ostatnio ciągle coś takiego się dzieje. A to zapaliłam ogień, a to wysuszyłam spódnice, a to złamałam obcas w bucie Willow...

– Co takiego?! – przerwała mi, ale nie zwróciłam na to uwagi.

– A potem pokłóciłam się z Rossem i odrzuciłam go na kilka jardów prosto na maskę jakiegoś cholernego samochodu! – dodałam histerycznie. – Ja... ja nad tym nie panuję, okej? Miałyście rację, muszę coś z tym zrobić, bo inaczej w końcu kogoś skrzywdzę. Wkurzyłam się dzisiaj i stłukłam wszystkie kufle w barze u Charlie. Nawet nie zauważyłam, że to zrobiłam. Powiedziała mi, że po prostu rozprysły się w drobny mak. Nawet nie wiedziałam, że mogę robić coś takiego. Przecież nigdy nie byłam dobra w magii. Jak to w ogóle możliwe? Czy jeśli zacznę trenować zaklęcia, to przejdzie?

W oczach cioci zobaczyłam troskę i współczucie.

– Usiądź koło mnie, kochanie – poprosiła łagodnie, wyciągając w moją stronę rękę. – No chodź. Obiecuję, że nie będę na ciebie krzyczeć.

Jasne, jakbym to tego właśnie się bała.

Usiadłam w końcu posłusznie, opierając się ciężko plecami o oparcie ławki. Zmrużyłam oczy, gdy zachodzące powoli słońce wyjrzało zza gałęzi drzew i zaświeciło mi prosto w twarz. Dzieciaki na pobliskim boisku właśnie kończyły mecz i zbierały się do domu, co przypomniało mi, że ja też nie mam dużo czasu. Byłam umówiona z Theo, a nie miałam nawet jego numeru telefonu, żeby zadzwonić i przełożyć spotkanie.

Ale rozmowa z ciotką była priorytetem, prawda?

– Nie jestem pewna, czy dobrze cię zrozumiałam – powiedziała, kiedy już usiadłam. – Chcesz powiedzieć, że nie panujesz nad swoją magią? I czarujesz przypadkiem? I boisz się, że przez ciebie komuś coś się stanie, a dodatkowo że Theo Thorne znalazł się w domu Marshallów za twoją sprawą?

Spojrzałam na nią ponuro.

– Chyba jednak świetnie mnie rozumiałaś.

– Nie powiem „A nie mówiłam”, chociaż ostrzegaliśmy cię, że coś takiego może nastąpić – westchnęła.

Przewróciłam oczami.

– Zawsze byłam w tym beznadziejna! W czarowaniu i w ogóle. Myślałam, że mówicie tak, bo jestem wam solą w oku, a nie że faktycznie coś takiego może się zdarzyć. Nigdy nie umiałam rzucić nawet najprostszego zaklęcia!

– To chyba nie było do końca tak. – Ciocia Georgia z zafasowaniem zmarszczyła brwi. – Zawsze podejrzewałyśmy, że masz problem z zaklęciami nie ze względu na brak talentu, a raczej ze względu na swoją... nazwijmy to: przeszłość.

Chyba nie podobało mi się to, co sugerowała.

– Twoja babcia uznała, że wpadłaś w coś w rodzaju... zaprzeczenia – dodała ciotka, uważnie dobierając słowa. – Że przez to, co się stało z twoją mamą, podświadomie po prostu nie chcesz używać magii, dlatego nie wychodziły ci żadne zaklęcia. Myślałyśmy nad zabraniem cię do psychologa, ale wątpiliśmy, czy pomogłby na tak specyficzne problemy czarownic, więc postanowiłyśmy poczekać i sprawdzić, czy zmienisz zdanie.

– Ale nie zmieniałam. – Problem w tym, że ciocie i babcia nie wiedziały wszystkiego na temat wypadku mamy. Nie wiedziały, że problem był głębszy, bo wszystko widziałam na własne oczy. – Zamiast tego całkiem odrzuciłam magię.

– I teraz możesz mieć z tego powodu problemy – dokończyła. – Masz w sobie mnóstwo energii, Margo, która musi znaleźć gdzieś ujście. Nie jesteś beznadziejną czarownicą, jak myślałaś. Po prostu... zablokowałaś w sobie magię, a im dłużej tam jest, tym bardziej chce się wydostać. Zostać użyta. Magia nie znosi stagnacji.

– Więc co mam zrobić? – zapytałam bezradnie. Ciocia uśmiechnęła się do mnie z otuchą.

– Wierzę, że wystarczy trochę poćwiczyć zaklęcia. Nie musisz się tym martwić. Ale powinniśmy zacząć od zaraz.

Od zaraz. Moja randka z Theo oddalała się w tempie ekspresowym.

– No dobrze, a co z Theo? – przypominałam sobie. – Co z tym zaklęciem, którego nie mogłam rzucić, bo nie istnieje?

– To jest dyskusyjne – odpowiedziała ciocia ostrożnie. – Twoja mama wymyślała zaklęcia. Większość osób w naszej rodzinie ma dodatkowo jakieś specjalne zdolności, a twoja mama właśnie to umiała. I była w tym naprawdę dobra. Wiele razy myślałyśmy, że odziedziczyłaś po niej tę umiejętność. Zwykle jednak objawia się wcześniej i zastanawialiśmy się już, czy się nie pomyliłyśmy, skoro nie przejawiałaś żadnych nietypowych oznak. Mogło być jednak tak, że ponieważ wyparłaś się magii, po prostu to przegapiłyśmy. Uważam, że to niemożliwe, żebyś wyczarowała kogokolwiek za pomocą kilku przypadkowych zdań. Ale jeżeli rzeczywiście odziedziczyłaś po mamie umiejętność tworzenia zaklęć, to może zrobiłaś coś innego, co go tu sprowadziło. Może jeśli spiszesz, co dokładnie wtedy zrobiłaś, zdołam ustalić coś więcej.

Trochę mnie pocieszyła tymi słowami.

– Swoją drogą to okropnie nieodpowiedzialne z twojej strony, Margo – dodała po chwili. – Nie dość, że bawisz się magią, chociaż najlepiej powinnaś wiedzieć, żeby tego nie robić, to jeszcze ukrywasz to przed nami tyle czasu! Na co właściwie czekałaś? Aż komuś rzeczywiście stanie się krzywda? Zachowujesz się po prostu skandalicznie. Czy tego chcesz, czy nie, jesteś częścią tej rodziny i płynie w tobie krew czarownicy. Rozumiem, że nie masz dobrych wspomnień związanych z magią, ale to nie znaczy, że możesz się jej wyprzeć. Powinnaś zacząć treningi z ciotką Avą.

Ciotka Ava uczyła magii całe nasze młodsze pokolenie. Wyszkoliła Willow, obecnie kończyła trening Skye i powoli przymierzała się do nauki własnej córki, dziesięcioletniej Blair. Ja jednak nie chciałam się na to godzić.

– Nie, proszę... – jęknęłam. – Żadnych treningów z ciotką Avą.

– Niby dlaczego?

Skrzywiłam się. Pamiętałam te kilka lekcji czarów z ciotką Avą, tuż po wypadku mamy, i nie wspominałam ich dobrze. Wiedziałam, że ciotka Ava jest surową nauczycielką, ale jej metody były trudne dla dziecka, które bało się magii i nie chciało jej używać. Chyba nadal to we mnie tkwiło.

– Obiecałaś, że nikomu o niczym nie powiesz, ciociu – przypominałam jej. – Wolałabym, żebyś ty mnie trenowała. Może to wystarczy. Dowiesz się, jak załatwić sprawę Theo i co w moim zaklęciu mogło być prawdziwe. Nikt inny na razie nie musi wiedzieć.

Widziałam po jej minie, że nie jest zadowolona z takiego rozwiązania.

– Nigdy nie uczyłam nikogo magii, Margo...

– Jestem pewna, że sobie poradzisz – przerwałam jej. – Proszę. Obiecałaś, że im nie powiesz. Sama to zrobię, tylko najpierw pozwól mi trochę ogarnąć ten burdel. Zapanujemy nad moją magią i dowiemy się, skąd wziął się tutaj Theo. Potem im powiem. Przysięgam.

Ciotka Georgia westchnęła, wstała z ławki i ponagliła mnie, żebym zrobiła to samo. Posłałam jej pytające spojrzenie.

– Dobrze, chodźmy – mruknęła, ruszając alejką w stronę wyjścia z parku. – Nie mamy czasu do stracenia.

– Ale... teraz? – zająknęłam się, przystając w pół kroku.

Ciotka obejrzała się na mnie, unosząc brew.

– A kiedy?

– Powinam się chyba jakoś... przygotować...

– Przygotuję cię po drodze – weszła mi w słowo. – To nie budowa wahadłowca. Dasz sobie radę. Musimy zacząć jak najszybciej, póki nikomu nic się nie stało. Nie widzisz, że jesteś jak tykająca bomba zegarowa?

To w żadnym stopniu nie było pocieszające.

– Ale... – zawahałam się.

Chyba nie powinnam jej mówić, że za jakieś pół godziny pod moim domem ma się pojawić Theo, prawda?

Ciotka przestąpiła niecierpliwie z nogi na nogę.

– Ale co?

Źle się z tym czułam, jednak doszłam do wniosku, że muszę wystawić Theo. Mogłam go w ten sposób do siebie zrazić, ale przynajmniej nie ryzykowałam, że go skrzywdzę. Gdybym miała jego numer telefonu, zadzwoniłabym, żeby się wytłumaczyć. Ale nie miałam.

Ciężko przyszło mi zrezygnować z tej randki, jednak tak chyba było lepiej, skoro mogłam być niebezpieczna, prawda?

– Nic – mruknęłam w końcu i podążyłam za nią do zaparkowanego przy jednej z bocznych uliczek vauxhalla.

Ciotka usiadła za kierownicą i przez chwilę trwała w bezruchu, a ja cierpliwie czekałam.

– To kompletna bzdura – mruknęła w końcu. – Dlaczego się zgodziłam? Twoje ciotki nie dadzą mi spokoju, kiedy już o wszystkim się dowiedzą. Nie powinnyśmy tej sprawy załatwiać w ten sposób!

Hmm, chyba musiałam być ostrożna. Wyglądało na to, że była bliska wycofania się z naszej umowy.

– Dlaczego nie? – zapytałam. – Przecież nie robimy nic złego. Nauczysz mnie paru zaklęć i wszystko wróci do normy. Zobaczysz, będzie dobrze.

Czy ja naprawdę w to wierzyłam? Biorąc pod uwagę, że za Theo ciągnęła się kłątwa, a moja mama dostawała ataku na samą myśl o domu Marshallów?

Ciotka Georgia wściekłaby się, gdyby wiedziała, co przed nią ukrywam. Ale wtedy już na pewno by mi nie pomogła.

– Mam wątpliwości, czy z twoją magią pójdzie tak łatwo – odpowiedziała niepewnie. – I jestem zła, że mnie do tego zmuszasz. Powinnas pójść do Avy i powiedzieć o wszystkim twojej babci.

Posłałam jej pokrzepiający uśmiech.

– Pójdę, obiecuję. Ale najpierw musisz mi pomóc.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego się zgodziłam – westchnęła, odpalając w końcu silnik. – Będę tego żałować.

* * *

– Chcesz mnie zabić czy co? Co ty właściwie robisz, Margo?!

To miało być proste zaklęcie. Przynajmniej według ciotki Georgii, której wszystko przychodziło bez trudu. Miałam tylko podnieść z podłogi kubek z wodą i jej nie wylać.

Chyba nie mogło mi pójść gorzej.

To znaczy zawsze jeszcze mogłam trafić ciotkę w głowę, zanim zdążyłaby się uchylić. Więc teoretycznie nie był to najgorszy możliwy rezultat, nawet jeśli zaowocował roztrzaskaniem kubka na świeżo malowanej szarej ścianie salonu ciotki.

Dobrze, że w kubku była tylko czysta woda.

– Nie wiem – jęknęłam, próbując rozruszać palce. To na pewno z nimi było coś nie tak! – Robię wszystko tak, jak mi pokazałaś. To nie moja wina, że nie działa!

Ciocia Georgia machnęła ręką, wymamrotała jakieś słowa, a skorupy kubka złożyły się z powrotem w całość. Kolejne zaklęcie wysuszyło ścianę w ciągu sekundy, aż nie pozostał na niej żaden ślad po mojej ostatniej porażce.

– Nie wkładasz w to odpowiedniej siły – odpowiedziała z irytacją, po czym popchnęła w moją stronę kubek. – Woda ci niepotrzebna, skoro i tak nie umiesz go podnieść. Spróbuj jeszcze raz.

Posłałam jej niepewne spojrzenie.

– Myślisz, że to dobry pomysł? A jeśli w końcu ci coś zrobię?

– O mnie się nie martw, umiem się obronić. – Ciotka oparła się o ścianę obok okna i skrzyżowała ręce na piersi. – Skup się na zaklęciu. Musisz poczuć energię w sobie i ją skumulować. Potrafisz to zrobić?

Posłałam jej bezmyślne spojrzenie. Nie miałam pojęcia, o czym mówiła, poza tym, że czasami rzeczywiście czułam w sobie tę energię. Zazwyczaj krótko przed tym, zanim coś niszczyłam albo przypadkiem kogoś napadałam.

Ciocia Georgia mieszkała ze swoim narzeczonym w niedużym domku poza centrum Inverness,

na Kinmylies Way, na wzgórzu, skąd rozciągał się piękny widok na leżące w dolinie, przytulone do pobliskich wzgórz miasto. Miejsce było spokojne, a okolica cicha i przytulna.

Na szczęście Grega, narzeczonego ciotki Georgii, nie było w domu, inaczej byłby narażony na ataki lewitujących kubków. Miałam nadzieję, że nie uszkodzę niczego trwale w salonie ciotki, bo był urządzony ze smakiem – cały błękitno-szaro-biały, z motywami marynistycznymi, miał być, jak ciotka wielokrotnie podkreślała, jej oazą spokoju. Którą właśnie bezcześciłam.

Wpatrzyłam się z frustracją w kubek i przypominając sobie odpowiednie słowa, spróbowałam go znowu podnieść. Ostrożnie, McKenzie, upomniałam się w myślach, gdy kubek drgnął, ale nawet nie ruszył się z miejsca. Spokojnie. Delikatnie. To nie jest...

Zanim zdążyłam dokończyć tę myśl, kubek poderwał się nagle z podłogi, poszybował do góry i roztrzaskał o śnieżnobiały sufit.

Ciotka Georgia jęknęła.

– Dziecko drogie, siedzisz tu od godziny. To tylko jedno proste zaklęcie! Jak trudne to może być?!

– Naprawdę jesteś beznadziejną nauczycielką – mruknęłam.

– To trzeba było iść do Avy – prychnęła, doskonale wiedząc, że prędzej dałabym sobie uciąć rękę, niż zwróciła się z tym problemem do ciotki Avy. – Margo, proszę, skup się. Musisz sięgnąć w głąb siebie i znaleźć tę energię. Ujarzmić ją.

Pokręciłam głową, zamykając oczy. Nie miałam pojęcia, o czym mówiła. Ani razu mi się to nie udało.

– Może jednak jestem tak beznadziejna w czarowaniu, jak mówiła ciotka Ava.

– Ava nigdy tak nie mówiła – zaprotestowała ciotka Georgia. – Po prostu denerwowała się, że nie robiłaś żadnych postępów. Powoli zaczynam ją rozumieć. Problem nie leży w braku magii, Margo, bo wyraźnie ją masz. Daj mi pomyśleć.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na nią. Ciotka Georgia się zamyśliła, a po chwili zapytała:

– Powiedziałaś, że zdarzyło ci się przypadkiem użyć magii. Czy za którymś razem zrobiłaś to celowo?

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową. Aż za dobrze pamiętałam mały wypadek Willow.

– Przypomnij to sobie – poleciła mi. – Jak to zrobiłaś? Co wtedy czułaś? Powiedziałaś coś, zareagowałaś jakoś inaczej? Jak ci się to udało?

– Nic nie mówiłam – przypominałam sobie ze zdziwieniem. – Ani nie ruszałam rękami. Po prostu o tym pomyślałam i się stało.

W oczach ciotki Georgii błysnęło zainteresowanie. Zaklęciem ponownie poskładała kubek w całość.

– Dobrze, więc spróbujmy w ten sposób. Podnieś kubek, nic nie mów, nie ruszaj się, po prostu pomyśl i to zrób.

Wpatrzyłam się w kubek uporczywie, próbując przywołać w sobie to uczucie, które towarzyszyło mi, gdy złamałam obcas Willow. Po prostu pomyśl o tym i to zrób, powtórzyłam w myślach. Zrób to. Zrób to, Margo!

Prawie krzyknęłam ze zdziwienia, kiedy kubek nagle podniósł się o kilka cali znad podłogi i zawisł w powietrzu. Spanikowana, nie odważyłam się nawet spojrzeć na ciotkę, cały czas nie spuszczać wzroku z kubka. Cholera! Naprawdę to zrobiłam!

– Możesz go już postawić z powrotem, Margo.

Kubek z lekkim stukotem upadł na panele, gdy spojrzałam na ciotkę. Zainteresowanie na jej twarzy było jeszcze wyraźniejsze, gdy zwróciła się do mnie:

– To interesujące. Nie używasz magii w tradycyjny sposób, nie potrzebujesz zaklęcia, żeby czarować. Wiesz, kto tak robił? Komu wystarczyła siła umysłu, żeby rzucić zaklęcie?

Pokręciłam głową, a ciocia uśmiechnęła się lekko.

– Twoja mama, Margo – powiedziała, a po chwili dodała z namysłem: – To zapewne miało jakiś związek z faktem, że potrafiła wymyślać zaklęcia. A skoro ona to umiała... to pewnie i ty umiesz.



15. Jak dać się wystraszyć na śmierć

Kiedy tego samego dnia wróciłam do domu, w głowie wciąż rozbrzmiewały mi słowa ciotki Georgii.

Opowiedziałam jej dokładnie o zaklęciu, którym prawdopodobnie sprowadziłam do Inverness Theo, a ona obiecała w tej sprawie poszperać; wykonałam też jeszcze kilka eksperymentów poza kubkiem – również zakończonych sukcesem, co ostatecznie utwierdziło ciotkę w przekonaniu, że miała rację. Ale fakt, że miałabym potrafić wymyślać zaklęcia jak moja matka, bynajmniej nie podniósł mnie na duchu.

– To po prostu coś, co często idzie w parze – wyjaśniła po zakończeniu ćwiczeń. – Wymyślanie zaklęć i ich niewerbalne rzucanie. Twoja mama była w tym świetna. Może to w ogóle z tego wynikał problem, a nie z twojej traumy? Może Ava źle zaczęła szkolenie z tobą, niepotrzebnie ucząc cię tradycyjnych zaklęć?

Pokręciłam głową.

– Nie sądzę, chyba próbowała też zmusić mnie do rzucenia czegoś niewerbalnie – przypomniałam sobie. – Byłam tak zniechęcona, że nawet nie chciało mi się o tym myśleć. Może byłam za młoda? A może jednak to była jakaś trauma? Nie wiem.

Ciotka Georgia pokazała mi też, w jaki sposób mam pilnować swojej magii. Szło mi to średnio, ale wierzyłam, że z czasem nabiorę wprawy. Odetchnęłam z ulgą na myśl, że może jednak nie jestem tykającą bombą i wszystko ze mną w porządku.

Ale równocześnie byłam też zaniepokojona, bo wyglądało na to, że jestem bardziej podobna do mojej mamy, niż sądziłam. A przecież mama nie skończyła dobrze i nie miałam ochoty podzielić jej losu. Spędzić połowy życia jako warzywo w zakładzie zamkniętym po rzuceniu zaklęcia, które miało ożywić ukochaną osobę.

Nie myśl o tym, poleciłam sobie, gdy ciotka zaparkowała vauxhalla pod moim domem. Rozejrzałam się dookoła, ale noc zdążyła opatulić Inverness miękką kołdrą mroku, a na Argyle Street było pusto i nigdzie w pobliżu nie widziałam zaparkowanego motocykla.

Z jednej strony ucieszyłam się, że Theo nie było, bo inaczej musiałabym grubo tłumaczyć się ciotce. A z drugiej czułam się źle z tym, że musiałam go wystawić. Ciekawe, czy zamierzał po tym jeszcze w ogóle się do mnie odezwać.

– Zobaczmy się znowu jutro po pracy, tak? – zapytała ciotka, a gdy z roztargnieniem pokiwałam głową, dodała: – Dobrze zrobiłaś, że mi o tym powiedziałaś, Margo. Musimy zapanować nad twoją magią, zanim tobie albo komuś innemu stanie się coś złego.

– Mama panowała nad swoją magią i co? I tak nie skończyła dobrze – mruknęłam.

W świetle latarni bursztynowe oczy cioci zaśniły dziwnie.

– Wiem, ale to zupełnie inny przypadek. Twoja mama przesadziła z magią, czego ty nigdy nie powinnaś robić. Twoja mama... Zaklęcie, które chciała rzucić, musiało być naprawdę potężne. To nie było byle unoszenie szklanki w powietrzu. To musiało być coś... czego nie powinna była robić. Dlatego tobie to nie grozi, nie obawiaj się.

Och, wiedziałam doskonale, że mama nie powinna była tego robić. Granice magii były szerokie, ale nie aż tak szerokie, by pomieścić w sobie ożywianie ludzi. Ci, którzy nie żyli, powinni pozostać

martwi. Na zawsze.

Pożegnałam się z cicią, wysiadłam z auta i pobiegłam w stronę swojego pogrążonego w mroku domu, by stwierdzić, że coś bieli się w drzwiach wejściowych. To była wciśnięta między skrzydło a futrynę złożona na pół kartka papieru.

Domyśliłam się od kogo jest liścik, jeszcze zanim po niego sięgnęłam. Usłyszałam za sobą warkot silnika, zgmiotłam kartkę w ręce i otworzyłam drzwi. Włączyłam światło w przedpokoju, spojrzałam kontrolnie na kocia miskę – była pełna suchego żarcia – zabrałam ją i ruszyłam do kuchni, rozkładając kartkę.

Chandler pojawił się jakby znikąd, miauczając i łasząc mi się do nóg. Wyjęłam z lodówki puszkę tuńczyka i wyłożyłam mu na talerzyk.

– Przysięgam, kocie, przestanę ci kupować suchą karmę – mruknęłam, zanosząc miskę na miejsce. – Doskonale wiem, że wyjadasz tylko te, które mają nadzienie w środku.

Chandler rzucił mi znad talerzyka pogardliwe spojrzenie, po czym wrócił do pałaszowania tuńczyka. Włączyłam lampę w salonie i rzuciłam się na kanapę, żeby w spokoju przeczytać liścik od Theo.

Liczyłam, że nie zwyzywa mnie w nim od idiotek i nie zerwie znajomości.

Margo,

mam nadzieję, że nie ukrywasz się przede mną w domu, bo nie zamierzam wywazać drzwi. Zakładam, że gdybyś nie miała ochoty na spotkanie ze mną, powiedziałabyś mi to prosto w twarz, zostaje mi więc podejrzenie, że wypadło Ci coś ważnego. Odezwij się, żebyśmy mógł dać Ci swój numer telefonu i nie musiał więcej wystawać pod Twoim domem jak dureń. To znacznie ułatwi nam kontakty. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

T.

Dobrze, a więc wyglądało na to, że nie obraził się tak ostatecznie, nawet jeśli uznał, że zrobiłam z niego durnia. Sukces.

Następnym sukcesem miało być już tylko łóżko, bo nie miałam siły zastanawiać się nad Theo, mamą czy swoim talentem do rzucania niewerbalnych zaklęć. Pomyślę o tym jutro.

* * *

Ze snu wybudził mnie chyba syk Chandlera. Po twarzy przesunął mi się jego miękki ogon, poczułam kocie łapy na brzuchu i wymamrotałam przekleństwo, odganiając się. Zaraz potem syknął ponownie i miauknął przeciągle, jakby coś mu się nie spodobało.

– Kocie, ja cię kiedyś zamorduję – jęknęłam i otworzyłam oczy.

Krzyknęłam i podniosłam się na łóżku, kuląc się przy zagłówku. Chandler, niezadowolony z mojej nagłej zmiany pozycji, miauknął z irytacją i uciekł pod łóżko. Nie zwracałam już na to jednak uwagi, zbyt zajęta pochylającą się nade mną ciemną postacią.

Wpatrzyłam się w nią w przerażeniu. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, gdy zobaczyłam utkwione we mnie szklane jasnobrązowe oczy.

Ktoś stał nad moim łóżkiem w środku nocy, gdy spałam!

Zmarszczyłam brwi, przyglądając się postaci uważnie, bo nie wyglądało na to, żeby miała się ruszyć czy na przykład na mnie rzucić. Hmm. Kiedy mój wzrok przyzwyczyił się do ciemności, doszłam do wniosku, że wiem kto to. Niewysoka, szczupła dziewczyna z szopą rudych kręconych włosów.

– Blair? – szepnęłam niepewnie. – Blair, to ty? Co ty tu, u diabła, robisz?

Postać gwałtownie podniosła głowę, na co odruchowo przytuliłam się do zagłówka, dzięki temu jednak upewniłam się, że to ona. Blair, dziesięcioletnia córka ciotki Avy. Moja ulubiona kuzynka, przynajmniej dopóki nie znalazła się w środku nocy nad moim łóżkiem.

Jej oczy były dziwne, szkliste, jakby w ogóle mnie nie widziała. Nie patrzyła już zresztą na mnie; przy akompaniamencie dochodzącego spod łóżka wściekłego syku Chandlera gapiała się na uchylone drzwi do sypialni. Na ślepo pomacałam pod poduszką w poszukiwaniu komórki, a kiedy ją znalazłam, zaryzykowałam szybkie spojrzenie na wyświetlacz.

Przeczekałam pięć sygnałów, zanim ciotka odebrała. Nic dziwnego, w końcu był środek nocy.

– Margo, to ty? – Jej głos był zaspany i zachrypnięty. – Co się stało? Czemu dzwonisz w środku nocy?

– Obudź Blair, ciociu – wymamrotałam do słuchawki.

Przez moment po drugiej stronie panowała cisza.

– Co takiego? – jęknęła w końcu.

Westchnęłam niecierpliwie.

– Twoja córka właśnie stoi nad moim łóżkiem i gapi się przed siebie bezmyślnie. Chyba nie ma jej tu naprawdę, nie?

Sądząc po odgłosach, ciotka wreszcie wygramoliła się z łóżka.

– Poczekaj.

Może i nie znałam się za dobrze na magii, ale nie byłam idiotką. Dziesięcioletnia córka ciotki Avy nie mogła znaleźć się w moim mieszkaniu. Nawet gdyby lunatykowała, nie przeszłaby pieszo tych kilku mil dzielących nasze domy.

Wpatrywałam się w nią, gdy powoli podniosła rękę i wskazała palcem na coś, na czym cały czas miała zawieszony wzrok. Chyba były to drzwi do sypialni, ale nie miałam dość odwagi, by oderwać od niej spojrzenie i tam zerknąć. Po co miałaby to robić, jeśli nie po to, żeby odwrócić moją uwagę?

Szarpnęłam za włącznik światła przy lampce nocnej, na moment odrywając wzrok od stojącej nade mną Blair. Kiedy z powrotem na nią spojrzałam, miejsce przy łóżku było puste.

– Obudziłam ją – odezwała się w słuchawce ciotka Ava. – Co się dzieje, Margo?

– Zniknęła – odetchnęłam z ulgą. – Przysięgłam, ciociu, była tu, stała nad moim łóżkiem.

Tymi słowami udało mi się ją zaskoczyć.

– Zaraz, Margo, chcesz powiedzieć...

– Twoja córka jest pieprzoną podróżniczką – przerwałam jej z irytacją, bo czy ciotka nie mogła dowiedzieć się tego w inny sposób niż poprzez wystraszenie mnie niemalże na śmierć?! – Nic wcześniej nie zauważyliście? Że kiedy śpi, to może i fizycznie leży w swoim łóżku, ale mentalnie już nie bardzo?!

W słuchawce przez moment panowała cisza. Kiedy ciocia Ava wreszcie się odezwała, była już nie tylko całkiem rozbudzona, ale też dumna i wyraźnie wzruszona.

– Moja córka podróżniczką – powtórzyła z niedowierzaniem. – Nie było żadnego podróżnika w naszej rodzinie od trzech pokoleń! To naprawdę niesamowite... Dziękuję, Margo, że zadzwoniłaś. Musimy się koniecznie spotkać na obiedzie i to uczić! Hmm, tylko najpierw muszę się zastanowić, jak to przekazać Johnowi.

O mało nie parsknęłam śmiechem. Fakt, informacja, że jego jedyne dziecko podczas snu opuszcza ciało i podróżuje psychicznie w inne miejsca, zapewne nie znajdowała się na szczycie marzeń wujka Johna.

– Przekazuj to, jak tylko chcesz, ciociu – odpowiedziałam, ziewając. – Ale proszę, możesz powiedzieć Blair, żeby więcej nie odwiedzała mnie w ten sposób? O mało nie narobiłam pod siebie, jak się obudziłam i zobaczyłam ją pochyloną nad łóżkiem.

– Margo! – ofuknęła mnie.

– Możesz na mnie krzyknąć do woli jutro, ciociu. A na razie idę spać, bo muszę rano wstać do pracy. Pozdrów ode mnie Blair.

Rozłączyłam się, nie czekając na jej odpowiedź, odłożyłam komórkę i rozejrzałam się ostrożnie po oświetlonej światłem lampki nocnej sypialni. Chociaż wiedziałam już, kto mnie nawiedził i dlaczego Chandler zachowywał się jak przed wizytą u weterynarza – swoją drogą ciągle siedział pod łóżkiem i prychał – nadal czułam się nieswojo i miałam gęsią skórę.

Spojrzałam na zegarek i jęknęłam. Trzecia dwadzieścia? Wyglądało na to, że rano naprawdę będę niewyspana. Po takich rewelacjach pewnie już nie zasnę.

Wątpliwe zalety należenia do rodziny czarownic.

* * *

– Zaraz. WYSZŁA Z CIAŁA? Chcesz powiedzieć, że coś takiego jest możliwe?!

Odebrałam książki od jakiejś dziewczyny i odwróciłam się, by odłożyć je na wózek, jednocześnie kiwając głową. Eddie podążył za mną, wpatrując się we mnie z niedowierzaniem, a potem zdjął okulary i zaczął je machinalnie przecierać o rąbek T-shirtu z Iron Manem.

– Nie patrz już tak na mnie – poprosiłam. – W mojej rodzinie to nikogo nie dziwi.

– Ale może ja nie dosłyszałam – zaprotestował, wkładając okulary z powrotem na nos. – Miałaś na myśli, że co? Że lunatykowała...

– Nie, Eddie, nie to miałam na myśli – weszłam mu w słowo z rozbawieniem. – Miałam na myśli, że usnęła i we śnie wyszła ze swojego ciała. Ciotka Elsie pewnie nazwałaby to astralną formą albo jakąś inną bzdurą. Słyszałam o tym, gdy byłam mała. Tata kiedyś opowiedział mi historię jakiejś mojej praprababci, która umiała coś podobnego, a potem mama zrobiła mu awanturę, bo bałam się usnąć w nocy i przyszłam do nich do łóżka. Przez tydzień chodziłam niewyspana.

Uśmiechnęłam się do własnych wspomnień, nawet jeśli jak zwykle pozostawiły po sobie nie tylko słodki, ale i gorzki smak. Nawet po wielu latach tęskniłam za tym.

Eddie tymczasem pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Astralna forma – powtórzył bezmyślnie. – To chyba za dużo jak dla mnie. Mogłaś mi tego nie mówić...

– Daj spokój, przecież to zabawne – prychnęłam. – Chociaż o mało nie dostałam zawału, jak obudziłam się w nocy i zobaczyłam ją nad sobą! Myślałam, że to jakiś duch czy coś.

– W pewnym sensie tak – wymamrotał. – A dlaczego właściwie przyszła do ciebie?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Lubimy się z Blair, to moja najnormalniejsza kuzynka i ona chyba też tak o mnie myśli. To znaczy chyba jest za mała, żeby uznać, że Willow i Skye nie są normalne, ale po prostu to mnie najbardziej lubi, bo okazują jej jakiegokolwiek zainteresowanie. – Willow generalnie nie lubiła dzieci, a Skye była zbyt zajęta sobą. – Może to dlatego przyszła akurat do mnie.

Zamilkliśmy na chwilę, gdy Eddie obsłużył kolejnego opuszczającego czytelnikę gościa, a potem podjął:

– Myślisz, że zrobiła to celowo? Mówiła coś?

– Nie, nic nie mówiła. – Zmarszczyłam brwi, przypominając sobie, jak Blair wskazała palcem na drzwi. Może sugerowała, że chce wrócić do domu? Postanowiłam zapytać ją o to przy najbliższej okazji. – I nie sądzę, żeby zrobiła to celowo, ale będę musiała z nią o tym pogadać. Wolałabym nie powtórzyć tego doświadczenia.

Wolałam też się nie przyznawać, jak bardzo wystraszyła mnie wizyta Blair. Jeszcze Eddie zacząłby się ze mnie nabijać.

Miałam dwadzieścia pięć lat, żeby przywyknąć do faktu dorastania w rodzinie czarownic, a jednak ciągle coś mnie w niej zaskakiwało.

– Przecież to brzmi jak scena z horroru. – Eddie wyraźnie nie chciał przejść nad moimi rewelacjami do porządku dziennego. – Budzisz się, a nad tobą coś stoi! Nie mów, że się nie bałaś!

– Bałam się – przyznałam. – A jeszcze bardziej bał się Chandler, który dotąd nie wyszedł spod łóżka. Musiałam mu tam zanieść tuńczyka!

– Nic dziwnego, na pewno pchlarz dostał traumy – odpowiedział Eddie.

Już zamierzałam na niego nakrzyczeć za „pchlarza”, bo przecież mój kot regularnie odwiedzał Rossa i nie miał żadnych pcheł, ale w tej samej chwili do czytelnikę wszedł mężczyzna, którego zupełnie się w tamtej chwili nie spodziewałam.

I na pewno nie byłam gotowa na spotkanie z nim!

Zareagowałam odruchowo, zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi i się odwrócić. Nogi same się pode mną ugięły, wystarczyło zamortyzować upadek i już po chwili siedziałam bezpiecznie skulona za kontuarem czytelnikę. Eddie zamrugał, otworzył bezmyślnie usta i spojrzał na mnie pytająco. Pokręciłam głową i przejechałam sobie palcem po gardle, sugerując, co mu zrobić, jeśli mnie wyda.

– Cześć... Eddie, tak? – Usłyszałam nad sobą głęboki, lekko zachrypnięty głos Theo.

Mocniej objęłam kolana rękami, próbując udawać, że nie robiło na mnie wrażenia, że Theo zapamiętał imię Eddiego, chociaż widział go tylko raz w życiu. W dodatku kiedy Eddie spławił go dla mnie.

– Eee... tak – odezwał się Eddie tak niepewnie, aż się przechyliłam i pacnęłam go w łydkę. – W czym mogę pomóc?

– Szukam Margo. Pracuje dzisiaj?

– Musiała, eee... wyjść wcześniej. – Rany, Eddie był w tym beznadziejny. Jeszcze moment i Theo się domyśli, że kłamie! – Do domu. Jakieś rodzinne spotkanie czy coś. – Zdążyłam opowiedzieć mu o zaplanowanym obiedzie z rodziną i musiał sobie o tym przypomnieć w ostatniej chwili, skoro użył takiej wymówki.

Theo milczał przez chwilę, a kiedy usłyszałam skrobanie, zrozumiałam, że coś pisze. Robiło się coraz bardziej interesująco.

– Możesz jej to przekazać, kiedy wróci, proszę? – zapytał w końcu. Aż mnie skręciło z ciekawości. Znowu pisał do mnie list? – Powiedz, że prosiłem, żeby zadzwoniła.

No jasne, numer telefonu! Czemu nie potrafiłam przy nim myśleć?

– Pewnie – mruknął Eddie, kopiąc mnie pod kontuarem w łydkę. Z trudem zdusiłam jęk. Co mu znowu odbiło?! – Na pewno przekażę.

Czekając, aż Theo się pożegna i odejdzie, wyzywałam się w myślach od idiotek. Coś ze mną było mocno nie tak. Dlaczego zawsze musiałam się zachowywać jak tchórz?

– Możesz już wyjść – dobiegł mnie rozbawiony głos Eddiego. – Na horyzoncie czysto.

Wyczołgałam się spod kontuaru i wyprostowałam, starając się zachować resztki godności. Następnie obciągnęłam koszulę i poprawiłam włosy, udając, że drwiący uśmiezek Eddiego nie robi na mnie wrażenia.

– Co ci znowu odbiło, co? – zapytał uprzejmie, przesuwając po blacie w moją stronę karteczkę z nabazgranym numerem telefonu.

Zerknęłam na nią. Theo miał okropny charakter pisma. Chyba jednak nie był ideałem.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Wyciągnęłam telefon i szybko wpisałam numer. Znając siebie, kartkę mogłabym zgubić.

– Nie udawaj głupszej, niż jesteś! – zaśmiał się Eddie. – Ten facet ciągle za tobą biega. Który raz tu już był, trzeci? A ty cały czas go zbywasz. A to, co przed chwilą odwaliłaś? Co to w ogóle miało być?

Skrzywiłam się i schowałam komórkę do kieszeni dzinsów.

– Mam swoje powody – mruknęłam. – Niekoniecznie musisz je znać. Pogódź się z tym.

– Jasne, jeśli tylko nie będziesz mi kazała więcej odstawiać takich cyrków.

– O rany, zachowujesz się tak, jakbym ci kazała kogoś zabić – prychnęłam, po czym uznałam, że ucieczka z czytelnicy jest dobrym pomysłem. Jakieś książki na zapleczu pewnie czekają na skatalogowanie. – Czy to moja wina, że nie potrafisz nawet obcemu facetowi wcisnąć kitu? Spaliłabym się ze wstydu, gdyby zauważył, że mnie kryłeś!

– A co poradzę, że się denerwuję, jak mam kłamać? – Eddie się wkurzył. Rzadki widok. – Nie lubię kłamać. I nie podoba mi się, że mnie do tego zmusiłaś.

– Strasznie cię przepraszam, biedny, poszkodowany człowieku. – Wyszłam zza kontuaru i skierowałam się w stronę głównych drzwi. – I dzięki za pomoc. Nie chciałam teraz się z nim konfrontować.

– To chociaż docień moje poświęcenie i powiedz dlaczego!

– Bo umówiłam się z nim na randkę, a potem nie przyszłam i nie dałam mu znać – wyrzuciłam z siebie. – Jest mi głupio i tyle. Nie mogę mu się wytłumaczyć, bo to miało związek z moją rodziną, a nie chcę kłamać ani wychodzić na tajemniczą. Po prostu... Nie wiem, co mu powiedzieć, okej?

Eddie rzucił mi zaintrygowane spojrzenie.

– Na randkę? Naprawdę? Dlaczego od razu nie mówiłaś?!

– Nie było o czym – mruknęłam. – W końcu na nią nie poszłam.

Uciekłam z czytelnicy, zanim zdążył zadać jeszcze jakieś pytania. Nie wiedziałam, co robić. Dzwonić do Theo czy nie? Przepraszać czy nie?

I dlaczego, na litość boską, schowałam się pod tym pieprzonym kontuarem?!



16. Jak przeżyć rodzinne spotkanie

Na rodzinną kolację pojechałam razem z ciotką Georgią, od razu po kolejnej lekcji, która tym razem odbyła się u mnie w domu.

– Myślałam trochę o całej tej sytuacji – powiedziała ciotka, gdy kluczyłyśmy wąskimi uliczkami Inverness, kierując się w stronę wyjazdu z miasta. Ciotka jak zwykle prowadziła. – O tobie, twojej magii i Theo Thornie.

Zerknęłam na nią, gdy zamilkła. Nie znosiłam, kiedy to robiła. Czy nie mogła wszystkiego powiedzieć od razu?

– I co? – ponagliłam ją.

Westchnęła.

– To jest naprawdę twardy orzech do zgryzienia, Margo. Mam wątpliwości, czy jestem wystarczająco wykwalifikowana, żeby się tobą zajmować. Sposób, w jaki czarujesz... Nie wiem, czy potrafię nauczyć cię to kontrolować i czy to dobry pomysł, żeby zostawiać twoje ciotki i babcię w nieświadomości. To może się źle skończyć.

Euforia wywołana udaną lekcją trochę ze mnie uleciała. A po raz pierwszy miałam po niej wrażenie, że czarowałam świadomie, a nie przypadkiem!

– Dlaczego? – zapytałam z frustracją. – Przecież dobrze mi idzie.

– Właśnie. Za dobrze ci idzie – mruknęła. – Przez tyle lat w ogóle nie używałaś magii, a teraz nagle to? Dziwi cię, że jestem zaniepokojona? Nie wiem, jak przebiegał trening twojej mamy i czy wyglądało to podobnie, bo nawet nie było mnie wtedy na świecie. Nie wiem, czy to normalne, że niektóre zaklęcia przychodzą ci tak łatwo. Powinnas o tym porozmawiać z ciotkami, Margo. I jeszcze ten Theo. Fakt, że wprowadził się do domu obłożonego klątwą, jest wystarczającą komplikacją. Nie wiedząc, że możesz mieć z tym coś wspólnego, twoje ciotki mogą popełnić błąd, gdy będą próbowały mu pomóc.

Ciotka Georgia miała sporo racji. Jako najmłodsza z ciotek czuła solidarność na równi ze mną jak ze swoimi siostrami i kuzynkami, ale równocześnie była też najmniej pewna siebie w kwestii magii, bo miała najmniej wiedzy.

– Co więc sugerujesz zrobić z Theo?

– Ktoś powinien z nim otwarcie porozmawiać – odparła. – Skoro Theo zamierza tu mieszkać, prędzej czy później i tak się dowie, że jesteśmy czarownicami. Z początku to może być dla niego szok, ale moim zdaniem tak byłoby najlepiej i najuczciwiej wobec niego.

– Ja mogę to zrobić – zaoferowałam się.

Ciocia posłała mi zaskoczone spojrzenie.

– Ty? Dlaczego... Margo. – Pokręciła głową, jakby nagle zrozumiała. – Spotykasz się z nim, tak? Zachnęłam się.

– Skąd ci to przyszło do głowy?!

– Przyznaj się, spotykasz się z nim!

– Nie spotykam się z Theo! – krzyknęłam, ale wiedziałam, że to marne kłamstwo.

Ciotka skręciła gwałtownie w Culloden Road i mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy.

– Może i czary idą ci nieźle, ale kłamstwa beznadziejnie, moja droga. Nie powiedziałaś mi wszystkiego, prawda?

– Przysięgam, że nie spotykam się z Theo – powtórzyłam nieco pewniejszym tonem. – Umówiłam się z nim na randkę, to prawda. Na wczoraj. Olałam go, żeby iść z tobą. Więc nie, nie mogę powiedzieć, że się spotykamy. Fakt, Theo od początku wyraźnie mnie podrywa. A ja nie mam nic przeciwko. Ale pilnuję się, żeby nie wejść więcej do jego domu.

– To jest... skrajnie nieodpowiedzialne, Margo! – Chyba ją wkurzyłam. – Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?!

– Właśnie dlatego. – Wycelowałam w nią palec.

– Oczywiście, najlepiej narobić kłopotów, a potem się do tego nie przyznać w obawie przed słusznymi pretensjami! Ile ty masz lat?

– On sam do mnie przyszedł – powtórzyłam uparcie. – I to nie raz, chociaż na początku próbowałam go spławiać.

– To tylko pokazuje, że rzeczywiście ma jakiś związek z twoim zaklęciem. – Skrzywiłam się na jej słowa. – Przepraszam, Margo, nie chciałam powiedzieć, że Theo nie mógłby się tobą zainteresować bez pomocy magii. Ale skoro jest taki natrętny, to może nie bez powodu?

Może. Chociaż było mi z tym źle, bo nie chciałam, żeby on interesował się mną przez magię.

Tak bardzo tego nie chciałam.

– Tym bardziej to ja powinnam z nim porozmawiać – uparłam się. – Chociaż nie wiem, jak to powinno wyglądać. „Cześć, Theo, chciałam ci powiedzieć, że jestem czarownicą, i to, co do mnie czujesz, nie jest prawdziwe, to tylko moje zaklęcie. A tak poza tym mieszkasz w domu, na który inna czarownica rzuciła klątwę, może jednak się wyprowadzisz?” Tak?

– Nie wiesz, czy jego uczucia nie są prawdziwe.

– Właśnie to zasugerowałam.

Ciotka westchnęła.

– Po pierwsze, to tylko teoria. Po drugie, może chodzić o coś innego. Może sprowadziłaś do siebie faceta, który był ci przeznaczony?

– I tak bez pudła wiedziałam o nim tyle rzeczy, i zupełnym przypadkiem podobałoby mi się w nim wszystko? – dodałam z niedowierzaniem. – A poza tym naprawdę w to wierzysz? Że istnieje gdzieś na świecie ten jeden, przeznaczony ci człowiek? Bo ja jakoś nie.

– Wcale nie jesteś taka cyniczna, tylko udajesz, bo nie chcesz, żeby ktoś cię zranił. – Ciotka pokręciła głową. – Dobrze, więc porozmawiaj z nim. Potem powiemy o wszystkim twoim ciotkom. Zgoda?

Przytaknęłam.

– Jasne. Postaram się to zrobić jak najszybciej.

Kiedy w końcu dojechałyśmy do domu rodzinnego, ciotka Georgia była z siebie wyraźnie zadowolona. Zaczęłam mieć podejrzenia, że o taką deklarację z mojej strony chodziło jej od początku.

Przyjechałyśmy ostatnie, na szczęście jedzenie nie było jeszcze podane, bo gdyby rodzina miała na nas czekać, pewnie od wejścia usłyszałybyśmy wymówki. Przed kolacją zebraliśmy się wszyscy w salonie; usiadłam gdzieś z boku, obserwując, jak babcia rozmawia z ożywieniem z ciotką Avą, która przekazała już rodzinie wieść o talencie Blair.

Blair, sprawczyni zamieszania – niewysoka, chuda dziesięciolatka z szopą rudych włosów i twarzą usianą piegami, trochę podobna do mnie, gdy byłam w jej wieku – siedziała znudzona obok swojej mamy. Po drugiej stronie sofę zajmowała Skye, zatopiona w jakiejś książce. Wujka Johna nie było, co w sumie mnie nie dziwiło – ciotka Ava pewnie nie powiedziała mu o Blair i nie chciała go na tej kolacji.

Nie tylko wujka Johna brakowało. Nigdzie w pobliżu nie widziałam także Willow, na co odetchnęłam z ulgą.

– To musiało być straszne, jak obudziłaś się w nocy i zobaczyłaś nad sobą Blair, Margo. – Podniosłam głowę, gdy usłyszałam swoje imię.

Nawet jeśli ciotka Imogen mówiła o strachu, nie miała tego na myśli, bo uśmiechała się, jakby bawiła ją myśl o moich nocnych przygodach.

– Tak, rzeczywiście – potwierdziłam uprzejmie. – O mało się nie posikałam ze strachu.

Ciotki oburzyły się na te słowa, nawet ciotka Georgia spiorunowała mnie spojrzeniem, chociaż widziałam, że z trudem ukrywa uśmiech. Skye oderwała na moment wzrok od książki i zmarszczyła brwi, przyglądając mi się z większą uwagą niż zwykle. A potem, gdy już okrzyki oburzenia umilkły i ciotki wróciły do rozmowy, wstała ze swojego miejsca i przysiadła obok mnie na oparciu fotela ciotki Avy.

– Jak tam moja kochana siostra? Bardzo daje ci się we znaki? – zapytała.

Skye nigdy wcześniej nie zwracała na mnie uwagi. Jasne, czasem rozmawialiśmy, ale rzadko kiedy interesowała się moimi sprawami. Może to dlatego, że różniłyśmy się od siebie. Ja lubiłam książki i stare filmy, ona była na wskroś współczesną nastolatką z rodzaju tych, których nikt nigdy nie rozumie. Nie miałyśmy zbyt wiele wspólnych tematów.

– Nie bardziej niż zwykle – odparłam. – Dlaczego pytasz?

– Wiem, że wam obu podoba się ten facet z naprzeciwnika, ten z Londynu – rzuciła, na szczęście na tyle cicho, że nikt z rodziny nie usłyszał. – I wiem też, że moja siostra nie ma u niego szans. Uważaj na nią.

– Skąd to wszystko wiesz? – Zmarszczyłam brwi. – I dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo moja siostra to wredna suka – prychnęła Skye. – Nie potrzebowałam lekcji u ciotki Elsie, żeby o tym wiedzieć. Ona się z tym raczej nie kryje.

Przyjrzałam się jej uważnie. To było coś nowego.

– Bierzesz lekcje u ciotki Elsie? – zapytałam ze zdziwieniem. – Jesteś medium jak ona?

Skye uśmiechnęła się lekko.

– Dowiedziałam się niedawno – przyznała się. – Większość rodziny, w tym Willow, jeszcze nie wie. Nawet nie chcę myśleć, jak moja siostra się wścieknie, gdy w końcu o tym usłyszy. Ale na razie trzymamy to w tajemnicy z mamą, babcią i ciocią Elsie, bo wiesz... Dopiero się uczę, na razie moje wizje nie wychodzą poza te dotyczące naszej rodziny, w tym ciebie, Margo. Ciocia Elsie nie chciała, żebym z tobą o tym rozmawiała, ale co ona tam wie.

– A co widziałaś? – zaciekawiłam się.

Skye wzruszyła ramionami.

– Nic konkretnego. To, co już ci powiedziałam. Ach, no i uważaj na moją siostrę. Możliwe, że jak się wścieknie, zacznie planować rzucenie jakiegoś zaklęcia miłosnego.

– Zaklęcia miłosnego? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – To coś takiego w ogóle istnieje?

– Może nie wywołuje prawdziwej miłości, lecz owszem, istnieje. Ale Willow może to zrobić nie dlatego, że jej na nim zależy, tylko na złość tobie. Może wystarczy, jeśli wszystko sobie wyjaśnicie.

– Dzięki – mruknęłam. Nie wyobrażałam sobie wprawdzie, jak miałyby udać nam się porozmawiać z Willow bez miotania w siebie zaklęciami, ale może Skye miała rację. – Na pewno wezmę to pod uwagę.

– Słusznie. – Skinęła głową, a potem w jej zielonych oczach błysnął niepokój. – I Margo... uważaj na siebie, dobrze?

– Dlaczego?

– Po prostu... uważaj na siebie – powtórzyła. – Widzę wokół ciebie coś ciemnego... Nie wiem, co to oznacza, ale nie podoba mi się. Nie chciałabym, żeby coś ci się stało.

Coś ciemnego. Chociaż w salonie było ciepło, poczułam gęsią skórę na ramionach. „Coś ciemnego” kojarzyło mi się tylko z cieniem, który widziałam przy Theo.

Spokojnie, Margo, pocieszyłam się w myślach. To na pewno nic takiego. I na pewno nie ma nic wspólnego z Theo. Skye mogła widzieć sto różnych rzeczy, prawda?

Zanim zdążyłam jej odpowiedzieć, w salonie pojawiła się Willow. Jak zwykle nie odmówiła sobie ostentacyjnego wejścia.

– Słyszałam, że nasza mała Blair na śmierć przestraszyła Margo! Moje gratulacje, Blair!

Nie byłam pewna, czy gratuluje jej odkrytego talentu, czy raczej przestraszenia mnie, ale znając Willow, stawiałam na to drugie.

Moja kuzynka przysiadła na oparciu fotela swojej matki i wpatrzyła się we mnie szyderczo.

– Widzę, że ostatnio spotykają cię same dziwne rzeczy, Margo. Jak czuje się z tym osoba, która

wyrzekła się magii?

– Może to wreszcie uświadomi Margo, że będąc częścią takiej rodziny, nie jest w stanie wyrzec się magii – wtrąciła babcia, zanim zdążyłam odpowiedzieć coś ostrego. – Jestem pewna, że jeszcze ją namówimy do zmiany zdania. Nasza rodzina bardzo by na tym zyskała.

Spojrzałam na babcię zaskoczona, bo nigdy wcześniej czegoś takiego od niej nie słyszałam, ale ona nie patrzyła na mnie, tylko na ciotkę Georgię. Zupełnie jakby wiedziała.

Ale nie mogła wiedzieć!

Willow zeskoczyła nagle z oparcia fotela i bez słowa wyszła z salonu, nawet się na nas nie oglądając. Wymieniłam zaskoczone spojrzenia ze Skye, która tylko wzruszyła ramionami. Stan psychiczny jej siostry chyba niewiele ją obchodził.

Westchnęłam i wstałam ze swojego miejsca, chociaż wcale nie miałam na to ochoty. Powinnam zostawić Willow w spokoju. Przecież ja jej nawet nie lubiłam! Miałam jednak w głowie słowa Skye, że powinnam spróbować się z nią dogadać, więc to właśnie zamierzałam zrobić.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, gdy wyszłam z salonu do głównego holu. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi do biblioteki po drugiej stronie schodów na piętro, więc poszłam w tamtą stronę.

Biblioteka zawsze była moim ulubionym pomieszczeniem w całym domu. Składała się z części oficjalnej, w której pokolenia McKenziech zbierały najprzeróżniejsze książki, oraz tej dostępnej wyłącznie dla wtajemniczonych członków rodziny, zawierającej księgi z zaklęciami, przepisy na eliksiry i inne magiczne bzdety. W tej drugiej części byłam tylko raz, dawno temu, po którejś z nieudanych lekcji z ciotką Avą, ale tę pierwszą, gdzie regały sięgały sufitu, odwiedzałam regularnie – to prawdopodobnie dzięki temu pomieszczeniu pokochałam książki i klasykę literatury.

Willow siedziała w jednym ze skórzanych foteli w rogu pokoju, blisko wysokiego okna wychodzącego na taras za domem i pełną wrzosów łąkę. Kiedy weszłam do środka, wstała i posłała mi podirytowane spojrzenie.

– Czego tu chcesz? – mruknęła. – Prosiłam, żebyś za mną lazła?

Rany, aż chciało się z nią rozmawiać.

– Zaraz będziemy jeść – odpowiedziałam, jednocześnie obiecując sobie, że nie dam się wyprowadzić z równowagi. – Może wrócisz do jadalni?

– A co cię to obchodzi? – prychnęła. – I tak nikt nie zauważy, że mnie nie ma. Za to ty powinnaś do nich wracać, w końcu wszyscy na tym zyskają. Ciekawe, jak by zareagowali, gdybym im powiedziała, jak poważnie potraktowałaś zakaz zbliżania się do Theo, nie?

– Co jest z tobą nie tak? – zapytałam z niesmakiem. – Wiem, nigdy nie byliśmy przyjaciółkami i nigdy nie będziemy, ale ostatnio zachowujesz się, jakbyś odstawiła jakieś leki. Nie potrafisz już normalnie ze mną porozmawiać? Bo ostatnio jedynie na mnie krzyczysz, grozisz mi i mnie obrażasz! Co ja ci takiego straszego zrobiłam?

– Och, nic, oczywiście, że nic! – wykrzyknęła z irytacją. – Ty przecież nigdy nie zrobiłaś nic złego! Jesteś tą pieprzoną idealną czarownicą, nad którą trzęsie się cała rodzina!

– O czym ty mówisz? – zdziwiłam się.

Willow roześmiała się gniewnie.

– Błagam, nie udawaj naiwnej! Wiesz doskonale. Całe życie słyszę to samo! Dlaczego Margo nie chce się uczyć magii, przecież byłaby taką świetną czarownicą. Kiedy objawi się jej talent, przecież z pewnością odziedziczyła go po matce. Gdyby tylko Margo nie była taka uparta i zgodziła się na trening... Gdyby tylko jako dziecko nie zraziła się do magii... Bla, bla, bla! Każdego dnia robię wszystko, żeby być najlepsza. Ukończyłam pełne szkolenie przed czasem i potrafię rzucać wszystkie najtrudniejsze zaklęcia! Ty nie robisz nic, a i tak ciągle mówią tylko o tobie. Nawet gdy powiedziałam im o tym złamanym obcasie. Były zachwycone, bo to przecież dowód, że rzucasz niewerbalne zaklęcia! Że prędzej czy później przyjdiesz z tym do nich i zaczniesz wreszcie to pieprzone szkolenie! Że będziesz jak twoja głupia matka! Masz ten cholerny talent, prawda? A nic z nim nie robisz, odrzucasz go i w ogóle go nie chcesz! Dlaczego to musiało trafić właśnie na ciebie?!

Przyglądałam się jej bez słowa. Nigdy nie przypuszczałam, że Willow może myśleć w ten sposób. Nie miałam pojęcia, co jej odpowiedzieć.

– Willow, ale przecież ja... Ja nie chciałam...

– Tak, właśnie, ty nigdy niczego nie chciałaś! – przerwała mi histerycznie. – Dlaczego to o tobie wszyscy mają takie zdanie i o ciebie wszyscy tak się troszczą, skoro ty tego nawet nie chcesz? Kompletnie tego nie doceniasz! To ja... Ja powinnam mieć ten talent. A teraz jeszcze się okazuje, że Blair jest podróżniczką? Pieprzoną podróżniczką! I moja młodsza siostra będzie medium jak ciotka Elsie!

– Skąd o tym wiesz? – zdziwiłam się.

Willow prychnęła.

– Błagam, nie jestem idiotką, przecież widzę, co się kroi. Skye ma treningi z ciotką Elsie? Może i nie powiedzieli mi nic wprost, ale nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić! Wszystkie macie coś wyjątkowego. A ja? Ja pewnie będę trenować innych jak ciotka Ava. Jestem najlepsza z was wszystkich, a równocześnie nie mam nic, co by mnie wyróżniało. To ja na to zasłużyłam! To ja powinnam mieć ten pieprzony talent! Dlaczego znowu musiało paść na kogoś innego?

Nie wspomniałam, że chętnie bym jej go oddała, bo najwyraźniej z jakiegoś powodu to wkurzało Willow. Chyba bardziej irytowało ją to, że nie chcę swojego „talentu”, niż że w ogóle go mam.

– Przecież JESTES najzdolniejsza z nas wszystkich – odpowiedziałam. – I nie możesz mieć pretensji do swojej siostry czy do Blair, bo one nie mają wpływu na to, że dostały jakieś dodatkowe umiejętności. To nie jest...

– Nie masz prawa mnie pouczać, Margo! – przerwała mi znowu. – Wiecznie stajesz mi na drodze. Rodzina, magia, we wszystkim musisz być pierwsza. Ale to ci nie wystarczyło, prawda? Musiałaś mieć też Theo, chociaż to ja pierwsza go poznałam! Mówiłam ci, żebyś trzymała się od niego z daleka, ale jego też chcesz mi zabrać. Zawsze tak robiłaś. A wiesz, co jest najgorsze? Że nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy i ciągle myślisz, że to nie twoja wina!

Willow zachowywała się jak małe dziecko, któremu zabrano zabawkę. Chyba jednak nie potrafiłam z nią rozmawiać.

– Wiesz co, Willow? Przystań się nad sobą użalać i weź się wreszcie w garść – powiedziałam, nie mogąc się powstrzymać. – Zachowujesz się irracjonalnie i masz pretensje do wszystkich, tylko nie do siebie. Spójrz może czasami na to, jak sama się zachowujesz, zanim zaczniesz szkalować innych. Bo najprościej jest zwalić całą winę na mnie!

Po tych słowach odwróciłam się na pięcie i wyszłam z biblioteki, trzaskając za sobą drzwiami.

Rodzina właśnie się zbierała, by przejść do jadalni, kiedy niepostrzeżenie pojawiłam się z powrotem w salonie. Spojrzałam na Skye, która miała w przyszłości zostać naszym rodzinnym medium, na radosną i dumną z siebie Blair, potem przez moment pomyślałam o sobie i doszłam do wniosku, że ambitna Willow rzeczywiście może czuć się źle z brakiem dodatkowych umiejętności, które my wszystkie miałyśmy. Nic dziwnego, że mi zazdrościła i była wściekła, że dostałam coś, czego wcale nie chciałam. W końcu ona chciała aż za bardzo.

Ale to przecież nie była moja wina. Dlaczego wyładowywała swoją złość i frustrację właśnie na mnie?

W drodze do jadalni dołączyła do mnie Blair. Uśmiechnęłam się i złapałam ją za rękę, którą do mnie wyciągnęła. Spojrzała na mnie zaskakująco poważnie.

– Widziałaś, prawda? – zapytała rezolutnie.

Zmarszczyłam brwi.

– Ale co, kochanie?

– No, tę kobietę. Nie podobała mi się.

Zatrzymałam się w pół kroku, a Blair stanęła obok mnie. Jej jasne spojrzenie zdawało się przewiercać mnie na wylot.

– Jaką kobietę, Blair? – podjęłam.

– No przecież ci pokazywałam! – Tupnęła nogą. – Nawet nie spojrzałaś, prawda?

Pochyliłam się i kucnęłam przy niej, dzięki czemu zielone oczy Blair znalazły się na poziomie moich. To, co mówiła, powoli przestawało być zabawne.

– Powiedz mi, gdzie i na co miałam spojrzeć. O jaką kobietę ci chodzi?

– Tę, którą widziałam, kiedy przyszedłam w nocy do twojej sypialni – wyjaśniła. – Była brzydka, ciemna i jakaś taka... ponura. Stała w drzwiach, nie ruszała się, tylko na ciebie patrzyła. Nie podobała mi się. Nie widziałas jej? Przecież dlatego ci pokazywałam.

Dopiero wtedy sobie przypomniałam. W nocy, kiedy Blair wyciągnęła rękę, palcem wskazała drzwi sypialni.

Włosy zjeżyły mi się na głowie.

Ona nie chciała odwrócić mojej uwagi. Chciała mi coś pokazać.

– Blair, o czym ty mówisz? – zapytałam słabo. – Tam nikogo nie było. Nie mogło być. Drzwi miałam zamknięte na klucz. Nikt nie mógł wejść do środka.

A wtedy Blair uśmiechnęła się beztrząsko i odpowiedziała spokojnie, jakby to było całkiem normalne:

– Nikt żywy, prawda?



17. Jak uciec przed własnymi lękami

Kiedy wieczorem wysiadłam z autobusu niedaleko Argyle Street, po czym powoli ruszyłam w stronę domu, rozglądając się dookoła w zapadłym wokół Inverness mroku, wciąż analizowałam w głowie to, o czym usłyszałam na rodzinnej kolacji.

Czułam coraz większy niepokój. Oczywiście byłam w stanie przełknąć to, co powiedziała mi Willow – jej słowa świadczyły jedynie o tym, że moja kuzynka jednak ma jakieś ludzkie uczucia – miałam natomiast dużo większy problem z Blair.

I z tym, co rzekomo widziała nocą w mojej sypialni.

Chociaż nie chciałam w to wierzyć, intuicja podpowiadała mi, że mówiła prawdę. Pomijając już fakt, że Blair była grzecznym dzieckiem i nie kłamała (zasługa wychowania przez idealną ciotkę Avy), do myślenia dawało mi też zachowanie Chandlera.

Oczywiście mógł schować się pod łóżkiem ze względu na obecność Blair. Jednak podróżnik nie powinien być zjawiskiem, którego boją się zwierzęta. To tylko projekcja astralna, jak by to powiedziała ciotka Elsie, w dodatku przyjazna. Początkujący podróżnicy często nieświadomie zjawiali się w mieszkaniach swoich bliskich, jak dowiedziałam się od podekscytowanej ciotki Avy tego wieczoru. Teoretycznie więc Chandler nie powinien zareagować na Blair aż tak ostro. Co sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie reagował na coś innego obecnego w mieszkaniu.

Na samą myśl o tym serce mi stawało i włos znów jeżył się na głowie. Sama już nie wiedziałam, czy powinnam przyspieszyć kroku, żeby jak najszybciej znaleźć się z powrotem w pustym domu, czy przeciwnie – zwolnić i jak najdłużej pozostać na ciemnej, niemalże pustej ulicy. Żadna z tych opcji nie wydawała mi się zachęcająca.

Blair widziała kogoś w mojej sypialni. Kogoś *nieżywego*, jak beztrzesko uściśliła.

Zatrzymałam się na chodniku naprzeciwko swojego domu, wpatrzona w jego puste, ciemne okna. Miałam poważne wątpliwości, czy jestem w stanie spędzić w nim samotnie kolejną noc. Może byłam tchórzem. Uważałam jednak, że po słowach Blair mam prawo się bać. Wygrzebałam z torebki komórkę i zahałam się. Do kogo miałabym zadzwonić i jak się wytłumaczyć? Nawet mojej rodzinie nie powiedziałam o słowach Blair. Przecież nie mogłam zadzwonić do Theo i poprosić: „Wiesz, chyba mam w domu ducha, może przyjechałbyś i potrzymał mnie za rączkę, żebym się nie bała?”

Nie wierzyłam, że duchy istnieją. Ja *wiedziałam*, że one istnieją. I to było gorsze. Bo nie dość, że wiązało się z doświadczeniami z dzieciństwa, to jeszcze uwiarygadniało opowieść Blair o czającej się w wejściu do mojej sypialni nieżywej kobiecie.

W końcu nie wytrzymałam. Nie mogłam spać sama w tym domu! Nienawidziłam się za tę niepopartą żadnymi dowodami paranoję, której ziarno zasiała we mnie Blair, ale nie zamierzałam ryzykować.

Odblokowałam telefon i wybrałam numer Charlie.

– No hej, McKenzie, co tam słyhać?! – Sądząc po jej tonie, była w dobrym humorze. W dodatku darła się wniebogłose, bo w tle słyhać było jakąś głośną muzykę.

– Cześć... – odpowiedziałam niepewnie. – Chciałam pogadać. Masz chwilę?

– Teraz nie bardzo... Mamy noc z muzyką na żywo, w barze jest mnóstwo ludzi! Może wpadniesz?

Noc z muzyką na żywo. W środku tygodnia. I w dodatku w barze było mnóstwo ludzi. Chyba nagle przeniosłam się do równoległego świata, w którym takie rzeczy, podobnie jak duchy w moim domu, były możliwe.

Wzdrygnęłam się, ale na samo wspomnienie słów Blair od razu podjęłam decyzję.

– Dobra, będę za jakiś kwadrans! – krzyknęłam do słuchawki, po czym rozłączyłam.

Posłałam ostatnie spojrzenie domowi naprzeciwko patrzącemu na mnie z wyrzutem ciemnymi oknami. Byłam tchórzem i wiedziałam, że to nie rozwiązuje problemu, bo po wizycie w barze Charlie i Nicka i tak będę musiała wrócić do siebie. Skoro jednak mogłam odwlec to w czasie i odwrócić uwagę od nieprzyjemnych myśli, to czemu nie?

Nawet się nad tym nie zastanawiałam, po prostu wybrałam ostatni wpisany do pamięci telefonu numer i przeczekałam dwa sygnały, zanim w słuchawce usłyszałam głęboki, lekko zachrypnięty głos Theo.

– Cześć, mówi Margo – odezwałam się, zanim straciłam odwagę. – Przepraszam, że cię wystawiłam, wypadło mi coś ważnego. Masz teraz czas, żebym ci to wynagrodziła?

Tylko przez moment w słuchawce panowała cisza. Zaraz potem Theo odpowiedział:

– Myślałem, że już nigdy nie zadzwonisz.

* * *

W barze Charlie i Nicka rzeczywiście było tłoczno.

Z trudem przedostałam się przed drzwi wejściowe, gdzie stało kilka osób, paląc papierosy, po czym trafiłam do baru, przy którym nie było ani jednego wolnego miejsca. Charlie stała za nim, szeroko uśmiechnięta, podrygując w takt piosenek wygrywanych przez stojący na podwyższeniu po drugiej stronie sali zespół. Obejrzałam się w tamtą stronę: wokalista, perkusista, dwóch gitarzystów... i gość grający na skrzypcach. Piosenka, na którą akurat trafiłam, skoczna, żywa, jakby pomieszanie lekkiego rocka ze szkocką muzyką, zaskakująco mi się spodobała. Wszyscy w barze wydawali się dobrze bawić.

– Hej! – Przewiesiłam się nad blatem, by znaleźć się bliżej Charlie. – Rany, jak tu głośno! I tłoczno!

To chyba nie było dobre miejsce na pierwszą randkę. A równocześnie nie mogłam sobie wyobrazić lepszego.

– Zespół to jacyś znajomi Nicka! – odkrzyknęła Charlie. – Nie spodziewaliśmy się, że przyjdzie aż tylu ludzi!

– Nie dziwię się, grają obłędnie! – Skoczny rytm sprawiał, że sama zaczynałam tupać stopą. – Zapraszajcie ich częściej!

– Co się stało, że wpadłaś w środku tygodnia? – podjęła moja przyjaciółka, kasując gościa obok mnie za dwa piwa. – Zazwyczaj przychodzisz tylko w weekendy...

– Umówiłam się z Theo – weszłam jej w słowo, postanawiając nie wspominać o potencjalnych duchach w moim domu. Po co miałam psuć nastrój. – Powinien tu zaraz być.

Charlie uśmiechnęła się szeroko.

– No coś takiego! Czyżbyś jednak się zdecydowała?

– Nie ciesz się tak, w piątek jestem umówiona z Rossem – westchnęłam, a gdy Charlie spojrzała na mnie z niedowierzaniem, dodałam: – No co? Przecież byłaś przy tym, jak się z nim umawiałam! Myślałaś, że zadzwoniłam do Theo, a zaraz potem oświadczyłam Rossowi, że chcę zerwać z nim wszelkie kontakty?

– Może tak byłoby lepiej, biorąc pod uwagę moje szklanki – wymamrotała.

Znowu poczułam wyrzuty sumienia.

– Mówiłam ci, że je odkupię.

– A ja mówiłam ci, że nie potrzebuję. Nie mogłabyś się zdecydować? To takie nie w twoim stylu!

– O, miejsce się zwolniło – rzuciłam, patrząc w stronę sali, gdzie od jednego ze stolików w rogu właśnie odchodziła jakaś para, kierując się ku wyjściu. – Dasz mi, proszę, whiskey z colą?

– Profanacja! Whiskey pije się z lodem – usłyszałam obok niezadowolony głos Nicka.

Posłałam mu swój najpiękniejszy uśmiech i uciekłam od baru.

Mimo konieczności przeciskania się między ludźmi zdążyłam zająć stolik. Zespół w przeciwnym rogu właśnie skończył grać kolejny, nieco melancholijny utwór i zaczął następny, dużo bardziej skoczny i żywy. Po chwili obok mnie pojawiła się Charlie, którą Nick chwilowo zmienił za barem.

– Powiedziałaś ciotce Georgii – uprzedziłam ją, nie mając ochoty słuchać kolejnych wymówek. – O Theo i o moich problemach z magią. To już się nie powinno powtórzyć.

– Problemy z magią czy Theo? – Uniosła brew.

Roześmiałam się.

– Oczywiście, że problemy z magią! Co do Theo... Porozmawiam z nim otwarcie, powiem, że jestem czarownicą, i o klątwie domu Marshallów też wspomnę. Zobaczymy, jak zareaguje.

– Tutaj? To chyba nie jest najlepsze miejsce. – Charlie krytycznie rozejrzała się dookoła.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, nie tutaj. Coś wymyślę.

W następnej chwili nasza rozmowa się urwała, bo drzwi lokalu się otworzyły i w progu stanął Theo.

Od razu zauważyłam zmianę na jego twarzy. Chyba zaskoczył go widok szkockiego zespołu i wianuszka słuchaczy. Nie było tu zbyt kameralnie.

Wyciągnęłam rękę i pomachałam do niego, na co uśmiechnął się pięknie i zaczął lawirować między stolikami, próbując się do nas dostać. W skórzanej kurtce i wytartych dżinsach wyglądał jak zwykle nieporządnie, zwłaszcza że znowu się nie ogolił. Szedł przez bar z pewnością siebie i nonszalancją, które ściągały na niego spojrzenia innych. Moje też.

– Cześć. – Stał przy stoliku, a na blacie położył pojedynczą czerwoną różę. – Cieszę się, że zadzwoniłaś. Uratowałaś mnie od nudnego wieczoru pełnego żmudnej renowacji mebli.

Odruchowo wzięłam do ręki różę i też się uśmiechnęłam. Cieszyłam się, że rzucił renowację mebli, żeby się ze mną spotkać.

– Nie mogę obiecać, że ze mną nie będziesz się nudził – odparłam. – Dziękuję za różę.

– Z pewnością nie będę się z tobą nudził. – Jego spojrzenie sprawiło, że wzduł kręgosłupa przebiegł mi dreszcz.

– Dobra, dzieci, muszę wracać do pracy – odezwała się Charlie, o której obecności zdążyłam całkiem zapomnieć. – Theo, napijesz się czegoś? Może jakieś piwo?

– Bezalkoholowe, ale podejść do baru. – Po tych słowach odwrócił się do mojej przyjaciółki i do niej też się uśmiechnął. – Przepraszam, Charlie, nawet się z tobą nie przywitałem. Nie zauważyłem cię.

Charlie posłała mi wymowne spojrzenie. *Bo był wpatrzony w ciebie.*

– Całkowicie zrozumiałe. – Na szczęście ulitowała się i odpowiedziała tylko tyle.

Jeszcze raz zerknęła na mnie ostrzegawczo i sobie poszła.

Kiedy Theo – już z bezalkoholowym piwem w ręce – usiadł wreszcie naprzeciwko mnie, moje serce znowu zaczęło szaleć. Z jakiegoś powodu randka z nim nie była taka sama jak wszystkie inne. Zespół zrobił sobie akurat chwilę przerwy, więc mogliśmy porozmawiać.

– Dlaczego akurat tutaj? – Theo rozejrzał się ciekawie dookoła. – Dlatego że pracuje tu Charlie i masz nadzieję na ratunek z jej strony, gdyby była taka potrzeba?

Roześmiałam się ze skрэpowaniem.

– Nie, nie sądzę, żebym potrzebowała ratunku – odpowiedziałam. – Za to ty chciałeś zobaczyć Inverness. Bar Nicka i Charlie to kwintesencja tego miejsca. Jest typowo szkocki, zwłaszcza dzisiaj, gdy grają tu koncert. Jeśli chcesz się wpasować w okolicę, powinieneś znać takie miejsca.

– Więc będziesz moim przewodnikiem? – Oczy mu rozbłyły.

Pokiwałam głową.

– Jeśli tylko chcesz, nie widzę przeszkód. Bywałeś w takich barach w Londynie?

– To raczej nie są moje klimaty. – Zaśmiał się. – Rzadko kiedy miałem czas na bary, prędeż umawiałem się z klientami w restauracjach hotelowych. Albo w modnych klubach. Smutne życie wziętego architekta.

Rzeczywiście brzmiało bardzo smutno.

– Dlaczego smutne? – zapytałam. – Nie lubisz takich miejsc?

– Do pewnego momentu w ogóle do nich nie chodziłem. – Zmarszczył brwi, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Ja nawet nie jestem z miasta, wiesz? Mój ojciec mieszka kilkadziesiąt mil od Londynu. Ale chciałem tam rozkręcić karierę. Po jakimś czasie wszystko w tym mieście zaczęło mnie irytować, jednak wtedy miałem już zobowiązania służbowe i nie mogłem tak po prostu uciec.

Podniosłam na niego wzrok, przyglądając mu się uważnie. Czy Theo opowiadający o swojej przeszłości i rodzinie mógł być nierzeczywistym, wyczarowanym Theo?

– Przecież sam wybrałeś sobie takie życie.

– Zawsze chciałem być architektem – westchnął. – Odkąd pamiętam, miałem dryg do rysunków i interesowałem się zwłaszcza dużymi budynkami. Mój ojciec jest stolarzem, więc próbował skierować moje zainteresowania w bardziej praktyczną stronę. Sporo się od niego nauczyłem, ale potem i tak poszedłem własną ścieżką. Chciałem studiować architekturę i robić karierę.

– A teraz już nie chcesz?

– Wiesz już, że był u mnie Ross Shepard. – Theo przewrócił oczami. – Nie wiem, co ci nagadał, ale jestem pewny, że wspomniał coś o tym, że zostawiłem całe życie w Londynie i że na pewno będę chciał tam wrócić. To nieprawda, Margo, nie chcę wracać do Londynu.

– Więc co, chcesz zostać tutaj? – Podniosłam brew.

– Wiem tyle, że miałem serdecznie dość życia w Londynie. Kiedy znalazłem w internecie ogłoszenie o sprzedaży tego domu, nie wahałem się ani chwili. Miałem poczucie, że to jest to, co powinienem zrobić, wiesz?

Zrobiło mi się nieswojo po tych słowach, bo nie byłam pewna, czy nie maczałam w tym palców. Czy to przeze mnie Theo odczuł potrzebę opuszczenia Londynu i kupienia domu w Inverness?

Upiłam łyk swojego drinka.

– I co, zamierzasz być tutaj stolarzem? – zapytałam kpiąco.

Roześmiał się.

– Nie wiem, może? Na pewno w Inverness jest zapotrzebowanie na architektów i stolarzy. Na razie zajmę się renowacją domu. Potem zobaczymy.

Wreszcie mówił mi o sobie coś więcej. Z każdym słowem byłam go coraz bardziej ciekawa.

– A ty? – podjął po chwili. – Całe życie mieszkasz w Inverness?

– Nie, właściwie to studiowałam w Anglii – przyznałam się.

– I nie chciałaś tam zostać?

– Myślałam o tym. – Zamieszkanie na stałe w Londynie z pewnością byłoby prostszym rozwiązaniem dla kogoś takiego jak ja. Ale nie chciałam udawać kogoś, kim nie byłam. Tam nie mogłabym tak otwarcie mówić o swojej rodzinie. – Ale potem doszłam do wniosku, że za bardzo tęsknię za bliskimi. I za tym miastem.

– Czyli jednak twoja rodzina nie może być taka zła, skoro za nimi tęskniłaś.

Pokręciłam głową, uśmiechając się lekko.

– To, jak cię potraktowali...

– Daj spokój, Margo, rozumiem, dlaczego to zrobili – przerwał mi spokojnie. – Jestem obcy. W dodatku nawet nie ze Szkocji i to po mnie słyhać. – W odróżnieniu od miejscowych Theo miał miękki akcent, przez co jego głos wydawał się łagodniejszy. – Wprowadziłem się nagle i nie wiadomo, czy równie nagle nie postanowię stąd wyjechać. To jasne, że twoje ciotki uznały, iż nie stanowię dla ciebie najlepszego towarzystwa.

Wgapiłam się w niego bezmyślnie, zastanawiając się, czy powiedzieć mu prawdę. Czy to był ten moment?

Zanim jednak zdążyłam się zdecydować, zespół wrócił na podest i już po chwili bar znowu wypełniły dźwięki jakiejś rytmicznej, skocznej melodii. Gitara i lekko zachrypnięty głos wokalisty fajnie komponowały się ze skrzypcami. Zerknęłam na nich, a kiedy ponownie spojrzałam na Theo, ten z łobuzerskim uśmiechem wyciągnął do mnie rękę.

– Zatańczymy?

Raz jeszcze obejrzałam się na zespół.

– Ale... nikt inny nie tańczy – zaprotestowałam słabo.

Wzruszył ramionami.

– To będziemy pierwsi. No chodź, fajnie grają. Pokaż mi, jak się to robi w Szkocji.

Jeśli chciał mnie sprowokować – a byłam prawie pewna, że tak – to mu się udało. Zmrużyłam oczy i wpatrzyłam się w niego, rozważając propozycję przez całe dwie sekundy. W sumie dlaczego nie?

Wstałam pierwsza, chwyciłam go za rękę i pociągnęłam pod podest. Było tam trochę wolnego miejsca, z każdą chwilą jednak coraz więcej ludzi wstawało od stolików, by posłuchać zespołu. Puściłam rękę Theo, prześlizgnęłam się między grupką ludzi i odwróciłam do niego, by posłać mu psotny uśmiech.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, jak się tańczy w Inverness?

Nie czekając na jego odpowiedź, zaczęłam podskakiwać w rytm muzyki; to nie miał być żaden tradycyjny szkocki taniec, po prostu ruszałam się tak, jak akurat miałam ochotę. Theo się uśmiechnął i poszedł w moje ślady, chociaż ruszał się tak nieskoordynowanie, że wyglądało to jak taniec świętego Wita. Roześmiałam się i pociągnęłam go bliżej sceny, dochodząc do wniosku, że mój Pan Idealny jednak nie jest taki idealny – kompletnie nie potrafił się ruszać!

Nawet nie zauważyłam, kiedy część ludzi wokół poszła w nasze ślady i też zaczęła tańczyć, tak bardzo byłam skupiona na ciemnowłosym mężczyźnie przede mną i skocznym rytmie wygrywanym przez zespół. Zorientowałam się dopiero, gdy do moich uszu dotarł stukot butów o drewnianą podłogę.

Piosenka się nie kończyła, zespół był wyraźnie zadowolony z naszej reakcji, skakałam wokół Theo jak oszalała, aż poczułam jego ramiona oplatające mnie w pasie. Po chwili przyciągnął mnie do siebie, bardzo blisko, aż położyłam mu dłonie na torsie, żeby na niego nie wpaść. Spojrzałam w jego niebieskie oczy i na moment utonęłam. Po chwili ktoś tańczący obok uderzył mnie w ramię i wróciłam do rzeczywistości, ale Theo już nie puściłam.

Obawiałam się, że będzie mi deptał po palcach, ale tak się nie stało. Theo radził sobie w tańcu zdecydowanie lepiej, gdy trzymał mnie w ramionach, niż gdy musiał skakać po parkiecie. Szybko przejął prowadzenie i nie dał mi nawet sekundy odpoczynku. Już po chwili od licznych obrotów zakręciło mi się w głowie, a od szybkiego tempa, które narzucił, brakło tchu. Byłam spocona i z pewnością rozczochrana.

Postanowiłam jednak się tym nie przejmować, tym bardziej że roziskrzony wzrok Theo podpowiadał mi, że podoba mu się to, co widzi.

Spędziliśmy na parkiecie kilkanaście minut, tańcząc do kolejnych piosenek. W końcu wokół nas zrobiło się tak tłoczno, że nie mogliśmy się ruszyć, i wtedy postanowiliśmy się wycofać. Najpierw do stolika, by chwilę odpocząć i ochłonać.

– Ta ostatnia piosenka nie była po angielsku, prawda? – zapytał Theo, mówiąc mi to prosto do ucha, żebym mogła usłyszeć.

Ze śmiechem pokręciłam głową.

– Nie, oczywiście, że nie. To był gaelicki.

– Szkocki? – Z jakiegoś powodu bawiło mnie jego zdziwienie. – Znasz go?

– Znam – przyznałam z uśmiechem. – Moje ciotki pod pewnymi względami są dość... tradycyjne. Uważały, że nauka języka to nasz patriotyczny obowiązek.

– A potem wyjechałaś na studia do Anglii, co? – Posłał mi drwiący uśmiech.

– No, wyjechałam. Ciotki chyba tego nie rozumiały, ale przynajmniej się z tym pogodziły.

– Wychowują cię od dziecka?

Zawahałam się, niepewna, ile powinnam mu wyznać.

– Właściwie tak – odpowiedziałam powoli. – Mój ojciec zginął w wypadku samochodowym, gdy byłam dzieckiem. Mama... całkowicie się przez to załamała. – Rozejrzałam się dookoła, szukając pretekstu do zmiany tematu. – Zagramy w rzutki? W tamtym kącie jest nieco luźniej.

Theo zrobił głupią minę, a ja parsknęłam śmiechem.

– Nie mów, że nigdy nie grałeś w rzutki!

– Nie, że nigdy, ale może raz, góra dwa – mruknął. – Jakoś się nie składało. Na studiach byłem raczej... kujonem.

– To chodź, zobaczysz, jak to jest dostać cięgi od dziewczyny. – Mrugnęłam do niego, po czym

podniosłam się od stolika.

– Jasne, pod warunkiem że jakoś wynagrodzisz mi potem nadszarpnięcie mojej dumy.

Obiecałam to bez wahania. Byłam gotowa na wiele, byle tylko na chwilę zapomnieć o potencjalnym niebezpieczeństwie czyhającym na mnie w domu.

Oczywiście to mógł być tylko wymysł mojej wybujałej wyobraźni.

No cóż.

Nie zamierzałam ryzykować.



18. Jak zrazić do siebie faceta

Podczas gry w rzutki zastosowałam swoją standardową taktykę z gier z Charlie, kiedy miałyśmy dużo do obgadania: kto zdobył więcej punktów w danej rundzie, miał prawo do zadania jednego pytania. W praktyce oznaczało to, że tylko ja pytałam, a Theo odpowiadał. Byłam dla niego dosyć bezlitosna.

– Dałabyś mi wygrać choćby jedną rundę! – Zaśmiał się, kiedy trafiłam w potrójnie punktowane pole. Theo nie miał szans tego przebić. – Myślałam, że tylko się zgrywałaś z tymi cięgami...

– Ja nigdy się nie zgrywam. – Posłałam mu poważne spojrzenie, po czym wróciłam wzrokiem do tarczy, wycelowałam i rzuciłam drugi raz. Chyba za bardzo mnie rozproszył, bo trafiłam tylko za osiemnaście. Ale i tak miałam więcej punktów. – Nie mówiłam, że nie umiem grać, wręcz przeciwnie, a teraz próbujesz się wymigać. Nic z tego. Jakie zwierzęta lubisz?

– Każde. – Chwycił lotki i wpatrzył się w tarczę tak, jakby zamierzał ją zahipnotyzować, żeby pokazywała lepsze wyniki. – Wolę psy, ale koty też mi nie przeszkadzają, zwłaszcza tak sympatyczne jak twój. – Zabawne, on chyba jeszcze nie poznał Chandlera. Nazwałabym go różnymi epitetami, ale na pewno nie powiedziałabym o moim kocie, że jest „sympatyczny”. Wkurzający, egoistyczny, kapryśny, męczący, jasne. Ale sympatyczny? – Wychowywałem się na wsi. Miałem do czynienia z końmi i nawet z krowami. Nie przeszkadzają mi.

Zamilkł na chwilę, gdy celował. Bardzo słabo, jak się zaraz okazało. Z dwóch rzutów miał ledwie dwanaście punktów. Mogłabym zadawać mu pytania do śmierci. Rzuciłam ponownie, za każdym razem trafiając w dziewiętnastkę.

Theo prychnął.

– Jesteś robotem czy jak?

– Po prostu mam dobre oko. – Uśmiechnęłam się do niego słodko. – Dlaczego motocykl, a nie samochód?

– Kiedy ja będę mógł cię o coś zapytać?

Oddałam mu rzutki.

– Kiedy tylko zdobędziesz więcej punktów.

– Jesteś bezlitosna – mruknął, ale poddał się bez większych protestów. – No dobrze. Mam też samochód. Terenówkę. To nią tu przyjechałem, bo motocykl na tak daleką podróż nie byłby najmądrzejszym wyborem. Dostarczono mi go później. A wolę go chyba dlatego, że dzięki niemu mam lepsze widoki. – Uśmiechnął się czarująco. – Nie czuję się jak zamknięty w puszcze.

– Za to jak wystawiony na każde potencjalne niebezpieczeństwo?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli coś ma mi się stać, to równie dobrze może się stać w samochodzie. Dach nad głową nie jest gwarantem bezpieczeństwa, Margo.

Gdy usłyszałam w jego głosie lekkie pobłażanie, myśl, żeby może dać mu wygrać jedną rundę, natychmiast wywietrzała mi z głowy. Oddałam mu rzutki i odsunęłam się, trzymając za niego kciuki. Theo ponownie nie zawiódł moich oczekiwań – jedną z rzutek nie trafił nawet w tarczę, a drugą osiągnął jakiś mierny wynik. Naprawdę nie musiałam się przy nim obawiać o wygraną.

– Chyba powinnam z tobą częściej grać – rzuciłam, przygotowując się do swojej kolejki. – Podnosisz mi samoocenę swoją nieudolnością.

– Nieudolnością! – powtórzył z niedowierzaniem. – To ty mnie tu dzisiaj zaprosiłaś. Mogłabyś się zachowywać nieco bardziej przyjaźnie, wiesz?

– Jasne, jak tylko z tobą wygram. – Przymknęłam jedno oko, wycelowałam i rzuciłam raz. A potem drugi. Dwa potrójne pola. Odwróciłam się do Theo z szerokim uśmiechem. – Jakie masz hobby poza architekturą?

Westchnął i podszedł do tarczy, żeby wyciągnąć rzutki.

– Rysowanie – odpowiedział, gdy wrócił. – Uwielbiałem rysować, jeszcze zanim usłyszałem o architekturze. Miałem na to mniej czasu, kiedy pracowałem w Londynie, ale odkąd jestem w Inverness, staram się do tego wrócić. Może będziesz chciała kiedyś obejrzyć moje szkice?

Domyśliłam się, że obejrzenie jego szkiców równałoby się wejściu do domu Marshallów, dlatego posłałam mu oszczędny uśmiech i odparłam krótko:

– Może. Co rysujesz?

– Wszystko. – Wzruszył ramionami. – Co tylko mi się spodoba. Ludzi, budynki, przyrodę, krajobrazy. Nie bardzo umiem to robić z pamięci, poza tym zdążyłem wyjść z wprawy, ale chyba nie jest źle.

– Czyli kiedy pracowałeś w Londynie, w ogóle nie rysowałeś dla przyjemności? – zdziwiłam się.

– Właściwie nie. Poza jednym projektem. Od dawna poświęcam mu czas, bo chcę zaprojektować swój wymarzony dom. Wiesz, taki, w którym wszystko wyglądałoby dokładnie tak, jak bym chciał. Stworzony od podstaw, przeze mnie i dla mnie. Marzę o tym od dziecka.

Cóż, niektóre dzieci chciały zostać astronautami, inne prezydentami, a mały Theo najwyraźniej marzył o zbudowaniu domu.

– Masz gdzieś te plany? – zainteresowałam się.

Skinął głową, ustawiając się do rzutu.

– Też w domu. Tym bardziej zapraszam. Może je też ci pokażę, jeśli będziesz grzeczna.

Przecież ja rzadko bywałam grzeczna i nie sądziłam, żeby Theo to przeszkadzało.

– Nie chcę już w to grać – zaczął marudzić, kiedy przegrał jeszcze jedną kolejkę. – I jestem pewien, że skończyły ci się pytania. Teraz wiesz o mnie więcej od mojego ojca. Chcesz się stąd urwać?

Serce zabiło mi mocniej i miało to niewiele wspólnego z jego propozycją i oszałamiającym uśmiechem. Więcej z czekającym na mnie pustym domem, do którego nie mogłam przecież nie wrócić. W środku był Chandler, a ignorowanie problemu przecież go nie rozwiąże.

Dzielnie skinęłam jednak głową.

Zabrałam ze stolika różę, pomachałam na pożegnanie stojącej za barem Charlie, która za plecami Theo uśmiechnęła się szeroko i podniosła oba kciuki, po czym wyszliśmy na ulicę. Zespół akurat kończył grać, jeszcze na zewnątrz słyszałam finalne takty ostatniej piosenki. Uderzyło we mnie chłodne powietrze, lekki wiatr niośł ze sobą kilka zbrązowiałych liści, bawiąc się nimi na chodniku. W powoli zapadającym zmroku oświetlona światłem latarni ulica wydawała mi się dziwnie ponura. Zadrżałam.

– Zimno ci? – zapytał Theo i zrobił taki ruch, jakby chciał zdjąć tę swoją skórzaną kurtkę. Czym prędzej zaprzeczyłam.

– Nie, to nic takiego. – Rozejrzałam się dookoła, próbując zmienić temat. – Gdzie masz motocykl?

– Tutaj, niedaleko. – Skinął głową w odpowiednim kierunku, uśmiechając się do mnie uroczo. – Możesz mi pokazać jakąś ciekawą trasę, jak będziemy jechać do ciebie.

– Jasne – odpowiedziałam. – Akurat tutaj nie jest zbyt ciekawie, ale możemy przejechać się trochę dłuższą trasą, wzdłuż rzeki.

Schowałam ręce do kieszeni kurtki i ruszyłam przed siebie, w kierunku, który wskazał mi Theo. Do zaparkowanego między samochodami motocykla był tylko kawałek, ale mimo wszystko na każdym kroku w czającej się ciemności wypatrywałam potencjalnego niebezpieczeństwa. Nie tylko ze względu na strach przed własnym domem, ale także dlatego, że nadal byłam świadoma obecności mężczyzny obok mnie – i jego cienia, który nie wyglądał dobrze. Właściwie to miałam wrażenie, że wyglądał coraz gorzej.

Powinnaś mu powiedzieć, że ten dom jest przeklęty, zabrzmiał irytujący głosik w mojej głowie,

gdy dotarliśmy do motocykla. Dookoła było pusto, co tylko potęgowało mój zapewne irracjonalny niepokój. *Inaczej może mu się stać coś złego i to będzie twoja wina. Nie twoich ciotek ani jego.*

To ja sprowadziłam go do Inverness. Może to znaczyło, że i ja powinnam go odesłać?

Problem w tym, że ta perspektywa tak bardzo mi się nie podobała. I tak bardzo bolało mnie serce na myśl, że miałyby wyjechać.

Dopiero w drodze trochę się odprężyłam. Przytulona do pleców Theo czułam się dużo bezpieczniej. Nie jechał zbyt szybko, bo chociaż ruch na drogach był nieduży, najwyraźniej nie zamierzał przekraczać prędkości w środku miasta. Oświetlona latarniami Castle Road wyglądała tego wieczoru bardzo ładnie; światło odbijało się od tafli rzeki biegnącej wzdłuż drogi. Oświetlony na kolorowo zamek górował nad okolicą.

Nie rozmawialiśmy, ograniczyłam się jedynie do wykrzykiwania nazw miejsc, które mijaliśmy. W miarę jednak, jak przybliżaliśmy się do mojego domu, traciłam humor, a poczucie bezpieczeństwa się ze mnie ulatniało.

Kiedy w końcu dotarliśmy do Argyle Street, niepokój i strach o to, co zastanę w środku i jak spędzę najbliższą noc, na nowo się we mnie rozszalały. Ale nawet gdybym nie musiała tu wracać, i tak zrobiłabym to ze względu na Chandlera. Nie mogłam go przecież zostawić samego.

Theo zatrzymał motocykl na chodniku pod moim domem. Zeskoczyłam z siedziska, tym razem zachowując nieco więcej godności, po czym zdjęłam kask i mu go oddałam. Wpatrywał się we mnie roziskrzonym wzrokiem.

– Więc dlaczego kazałaś mi ostatnio sterczeć pod twoim domem jak ostatniemu idiocie?

Nie spodziewałam się tego pytania, choć w sumie było logiczne.

Odwróciłam wzrok i uśmiechnęłam się ze skrzepowaniem, wkładając ręce do kieszeni kurtki.

– Już ci mówiłam przez telefon... Miałam ważne sprawy rodzinne – mruknęłam. – Przepraszam, że tak wyszło.

– Hej, to nie tak, że mam do ciebie pretensje. – Zaśmiał się, zsiadając z motocykla. – Okej, byłam wtedy trochę wkurzony, ale szybko mi przeszło. Uznałem, że musiało ci wypaść coś ważnego.

– Bo wypadło.

– I bardzo nie chcesz mi powiedzieć co?

– Czemu miałabym ci mówić? – prychnęłam. – Nie znamy się aż tak dobrze.

– A dlaczego schowałaś się pod biurko w czytelni? Bo nie wiedziałaś, co mi powiedzieć?

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. Na ustach Theo błąkał się bezczelny uśmiešek.

– Zaraz, moment... Widziałeś mnie?!

– No jasne, że cię widziałem. – Wzruszył ramionami, przysuwając się do mnie bliżej, żeby przepuścić jakiegoś przechodnia. – Nie jestem ślepy, Margo, nie było trudno dostrzec od wejścia, jak nurkujesz pod stół. Ale uznałem, że nie zrobię ci wstydu przy innych.

Ludzki pan.

– No wiesz! – rzuciłam z zakłopotaniem. – A ja się tak denerwowałam, siedząc pod tym kontuarem.

– I dobrze – odpowiedział bezlitośnie. – Może będziesz miała nauczkę, żeby konfrontować się z ludźmi, zamiast ich unikać. Bo wyraźnie to próbujesz robić ze mną. Tym bardziej zaskoczyło mnie twoje dzisiejsze zaproszenie.

Mnie też. Zupełnie tego nie planowałam. Poczułam wyrzuty sumienia na myśl, że w zasadzie nie byłam bezinteresowna. Gdyby nie lęk przed własnym domem, pewnie nie zadzwoniłabym do niego w ciągu najbliższego dziesięciolecia.

– Przepraszam – westchnęłam. – Wiem, że zachowałam się głupio. Nie mogę obiecać, że to się nie powtórzy, ale postaram się nad sobą pracować.

– Świetnie – mruknął. – Jeśli chcesz, mogę to osobiście nadzorować.

Cóż mogłam poradzić, że na te słowa serce szybciej mi zabiło?

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała jedno – dodał łagodniejszym tonem. – Nie musisz robić takich rzeczy. Możesz mi powiedzieć wprost, dlaczego mnie wtedy wystawiłaś. Obiecuję, że się nie obrażę. Wolałbym jedynie, żebyś ze mną rozmawiała, zamiast przede mną uciekać.

Z roztargnieniem pokiwałam głową, nie byłam jednak pewna, czy potrafiłabym być wobec niego tak szczerą, jak tego oczekiwał. Dla niego to pewnie było dużo prostsze, bo nie miał w rodzinie czarownic ani kłopotów z żadnymi klątwami.

Zatrzymałam się przed furtką, po czym zaczęłam szukać kluczy w torebce. Zerknęłam na niego spod rzęs.

– Wejdiesz na tę herbatę, której ostatnio nie wypijeś?

– Jeśli doprowadzi nas do tego co ostatnio, minus Shepard, to pewnie. – Obdarzył mnie olśniewającym uśmiechem, od którego zadrżały mi ręce, aż klucze upadły z powrotem na dno torebki.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, co ja właściwie najlepszego zrobiłam.

Chodziło mi przecież o to, żeby nie spać w domu samotnie tej nocy. Czyli co, zamierzałam poprosić Theo o towarzystwo?!

– Hej, zmieniłaś zdanie? – Theo skrzyżował ręce na klatce piersiowej i spojrzał na mnie wyzywająco, unosząc jedną brew.

Musiałam wyglądać jak idiotka, stojąc tak bez słowa z rękami w torebce. Weź się w garść!

Odblokowałam się w końcu, wyjęłam klucze i niemalże swobodnie uśmiechnęłam się do Theo, otwierając drzwi.

– Nie tak łatwo mnie przestraszyć. – Gestem zaprosiłam go do środka. – Musisz się bardziej postarać.

Gdy tylko weszłam do mieszkania i pstryknęłam włącznikiem światła, przy moich nogach zmaterializował się Chandler. Zaczął się łaścić i miauczeć, a potem syknął z niezadowolaniem, gdy zbliżył się do nas mój gość.

– Mój kot chyba za tobą nie przepada – mruknęłam.

Theo wyminął nas i wszedł do salonu.

– Po prostu jest zazdrosny – zawyrokował.

Pochyliłam się, wzięłam kota na ręce i przeszłam z nim do kuchni, gdzie postawiłam go na blacie. Obok położyłam różę, która cudem przetrwała podróż na motocyklu.

Theo posłał mi z salonu krytyczne spojrzenie.

– Po swoim jedzeniu też pozwalasz mu chodzić?

Spojrzałam na niego spod rzęs. Włączył stojącą w kącie lampę, po czym odwrócił się do mnie. W panującym w pomieszczeniu półmroku wyglądał ekscytująco. Dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie w tym samym momencie, gdy Chandler miauknął i zeskoczył z blatu.

– Coś ci się nie podoba? – odparłam wyzywająco.

Theo włożył ręce do kieszeni dżinsów i zaśmiał się.

– Hej, spokojnie, nie musisz tak bronić swojego terytorium. Tylko zapytałem.

Wstawiłam wodę na herbatę i nakarmiłam kota, co Theo cierpliwie przeczekał. Już z pełnymi kubkami przeszłam do salonu, usiadłam na kanapie i postawiłam kubki na stoliku.

– Waniliowa. – Uśmiechnęłam się lekko, gdy zajął miejsce obok mnie. – Theo, muszę...

Urwałam, kiedy poczułam na sobie jego szorstkie dłonie. Objął moje policzki i przyciągnął do siebie. Wstrzymałam oddech i położyłam mu ręce na ramionach, choć nie byłam pewna, czy chcę go odepchnąć. Theo nie pozwolił mi się nad tym zastanowić, bo już w następnej chwili mnie pocałował.

Jego usta były gorące i natarczywe. I wywołały we mnie dreszcz. Objęłam go za szyję i przywarłam do niego, oddech mi przyspieszył, gdy poczułam jego dłoń na plecach. Drugą zacisnęła na moich włosach i odchylił mi głowę, oczekując, że mu się poddam. Rozchyliłam wargi i wpuściłam jego język do środka.

Nasze przyspieszone oddechy wymieszały się, gdy Theo pogłębił pocałunek, aż zapomniałam, o czym chciałam z nim rozmawiać. Miałam wrażenie, że składałam się z samych zakończeń nerwowych, drżałam pod jego dotykiem, liczyły się tylko jego gorące usta i dłonie.

W końcu z trudem przerwałam pocałunek, odsuwając się od niego odrobinę. Próbowaliśmy zebrać siły, by zwiększyć dystans, ale wpatrujące się we mnie natarczywie ciemne, błyszczące oczy wcale mi tego nie ułatwiały.

– Naprawdę się cieszę, że zadzwoniłaś – odezwał się zachrypniętym głosem.

Łagodnie, ale stanowczo wyswobodziłam się z jego uścisku i odsunęłam trochę na kanapie. Przeczesałam dłonią włosy, próbując się uspokoić, chociaż usta nadal mnie piekły od jego pocałunku.

– Przestań tak do mnie mówić – poprosiłam.

Theo się zaśmiał.

– Jak?

Jakby właśnie wyszedł z mojego łóżka.

– Nie rozpraszaaj mnie, dobrze? – Wstałam i spojrzałam na niego z góry. – Właściwie to... chciałam z tobą porozmawiać.

– Okej, rozmawiajmy. – Znowu się uśmiechnął.

Chyba robił to specjalnie, żeby mnie rozproszyć, postanowiłam więc postawić sprawę jasno.

– Powinieneś się wyprowadzić z domu Marshallów.

Theo zamrugnął, kręcąc głową w wyrazie niezrozumienia.

– Żartujesz sobie, tak?

– Nie, absolutnie nie. Czy wyglądam, jakbym żartowała?

Chwila ciszy. Czekałam jak na szpilkach na jego odpowiedź i denerwowałam się coraz bardziej, nie wiedząc, co sobie myśli. Miał mnie już za wariatkę czy jeszcze nie? Powinnam dodać coś więcej, żeby go od siebie odstraszyć, czy tyle wystarczyło?

Zwykle wystarczało.

– Dobrze, porozmawiajmy spokojnie. – To była niezła propozycja. Wątpiłam tylko, czy to się uda. – Dlaczego miałbym się wyprowadzić? Nie chcesz mnie w sąsiedztwie swojej rodziny? Masz na myśli tylko ten dom czy Inverness w ogóle?

– Oczywiście, że nie mam na myśli Inverness! – zdenerwowałam się. – Posłuchaj, wiem, że to będzie trudne do zrozumienia, ale przysięgam, że mówię poważnie. Pamiętasz, jak moje ciotki wyciągnęły mnie od ciebie z domu? Nie zrobiły tak dlatego, że cię nie lubią, bo jesteś z Londynu czy coś. W ogóle nie chodziło o ciebie... Chodziło o ten dom.

– A co z nim jest nie tak? – zapytał Theo, pomijając milczeniem fakt, że go wcześniej okłamałam.

– Cięży nad nim klątwa.

Theo podniósł brwi i posłał mi protekcyjnalne spojrzenie.

– Niby się nie śmiejiesz, a jednak wciąż mam wrażenie, że to żart.

– Theo, mówiłam, że nie żartuję – odpowiedziałam niecierpliwie. – Wiem, brzmi niedorzecznie. Dla zwykłych ludzi takich jak ty to nie do pomyślenia. Ale tutaj, w Inverness, żyjemy trochę inaczej i wierzymy w inne rzeczy...

– Wiem, słyszałam na przykład o waszych obchodach równonocy jesiennej – wszedł mi w słowo z rozbawieniem. – Rozumiem, że w to wierzycie. Co nie znaczy, że to prawda.

– To jest prawda – zaprotestowałam z rosnącą irytacją. – I jesteś w niebezpieczeństwie, bo ta klątwa jest... groźna. Dlatego dom ma taką bogatą historię, sam ją przecież widziałeś! Dlatego tyle razy coś przytrafiało się jego lokatorom. Ty też źle skończysz, jeśli tam zostaniesz, a bardzo bym tego nie chciała. Proszę...

– To dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? – zapytał spokojnie. – Dlaczego pozwoliłaś, żebym mieszkał w tym... przeklętym domu?

– Moje ciotki miały się tym zająć – mruknęłam. – Ale... one najwidoczniej nie mają zamiaru nic z tym zrobić, a ja nie mogę pozwolić, żeby coś ci się stało przeze mnie...

– Daj spokój, Margo – przerwał mi znowu i może dobrze, bo z pewnością powiedziałabym za dużo. Skrzywiłam się, kiedy usłyszałam jego ton. To pobłażanie, które pojawiało się zawsze, ilekroć próbowałam się otworzyć przed jakimś facetem. Jakby nagle uznał, że jestem niespełna rozumu, i zamierzał postępować ze mną ostrożnie. Przerabiałam to tyle pieprzonych razy. – Jeśli po prostu mnie tutaj nie chcesz, możesz powiedzieć prawdę, zamiast mydlić mi oczy jakimiś bzdurami. Wprawdzie nie rozumiem, dlaczego miałabyś to robić, ale...

– Theo, ja mówię poważnie – weszłam mu w słowo, bo nie mogłam już tego słuchać. – To nie jest żaden mój wymysł ani wymówka. Wręcz przeciwnie, chcę, żebyś został w Inverness, ale martwię się o ciebie, bo ten dom może być niebezpieczny. Sam to widziałeś. Te historie; to, ilu jego lokatorów

spotkała krzywda!

– Zbieg okoliczności. – Wzruszył ramionami. – A ty nie musisz się o mnie martwić. Jestem dużym chłopcem, poradzę sobie. Nie musisz wierzyć w każdą bujdę, którą usłyszysz.

– To nie jest żadna bujda! – Znowu się zdenerwowałam. – To prawda! I jeśli tego nie zrozumiesz, w końcu i tobie stanie się coś złego!

Theo wstał z kanapy, podszedł do mnie i chwycił mnie za ramiona.

– Chyba powinienem już iść – powiedział ku mojemu zdziwieniu. – Jesteś zdenerwowana. Oboje powinniśmy się uspokoić. To wyraźnie nie jest dobry moment na tę rozmowę.

Pocałował mnie w policzek i odsunął się, chcąc odejść. Przecież nie mogłam go puścić!

– Theo, poczekaj – poprosiłam, a on spojrzał na mnie pytająco. – Proszę, nie wracaj tam. – Nie chodziło nawet o to, żebym nie została sama; w tamtej chwili myślałam tylko o nim. – To niebezpieczne. Uwierz mi. Mówię prawdę.

Spojrzał na mnie poważnie, po czym odparł:

– Wierzę, że ty w to wierzysz, Margo. To nie jest równoznaczne z prawdą. Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze?

A potem po prostu odwrócił się na pięcie i odszedł.

Dlaczego tak łatwo dał się wypłoszyć? Dlaczego nie próbował się choćby ze mną kłócić?!

Ze złością usiadłam na sofie, przyznając sobie w duchu order za speprzenie tego po całej linii.

Dopiero potem zdałam sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy.

Zostałam sama w domu na noc.



19. Jak usnąć we własnym domu

– No dobrze, więc co takiego się stało, że dzwoniisz do mnie w środku nocy?

Charlie wpakowała mi się do domu, nie czekając, aż jej otworzę. Stała na środku salonu i rozejrzała się dookoła, jakby się spodziewała, że ktoś wyskoczy na nią zza najbliższego rogu. Nadal miałam irracjonalne wrażenie, że to wcale nie jest niemożliwe.

Przeczesałam palcami kręcące mi się wokół twarzy włosy i westchnęłam, robiąc jej miejsce obok siebie na sofie.

– Zjebałam – powiedziałam wprost.

Charlie podniosła brwi i posłusznie usiadła, a ja podciągnęłam nogi pod siebie, rozglądając się za Chandlerem. Po chwili czarny kocur wskoczył na oparcie kanapy, a potem umościł mi się wygodnie na kolanach. Pogłaskałam go odruchowo.

– To dlatego nie zamknęłaś drzwi na klucz? – podsunęła.

Przewróciłam oczami. Miałam większe problemy na głowie niż niezamknięte drzwi. Bałam się tego, co może się czaić w środku, a nie na zewnątrz!

– Zostaniesz ze mną na noc? – zapytałam żałośnie.

Charlie uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Kochanie, przecież powiedziałam, że tak. Nick jakoś to przeżyje, i tak rzadko u ciebie bywam. Więc o co chodzi? Czy o to, że nie widzę tu Theo, chociaż wyszłaś z nim z baru?

– Zjebałam – powtórzyłam, bo wciąż nie wymyśliłam lepszego określenia na to, co się stało. – Przeprowadziłam go tu, a potem powiedziałam mu o kłątwie.

– No dobrze. I co? Dlatego wyszedł?

– Tak – potwierdziłam z westchnieniem. – Powiedział, że coś sobie ubzdurałam i że to bujda. A potem sobie poszedł.

– Zaraz, moment. Powiedziałaś mu, że jesteś czarownicą?

– Nie zdążyłam. Obawiałam się, że jeśli zacznę od tego, ucieknie, jak tylko mu powiem. Tak bywało z moimi byłymi facetami. Theo jest uparty, ale mam wątpliwości, czy aż tak, żeby to wszystko wytrzymał. A bardziej zależało mi na tym, żeby się dowiedział, że jest w niebezpieczeństwie.

– To dlatego się z nim dzisiaj umówiłaś? Bo chciałaś wyciągnąć go z domu Marshallów?

Raczej zaciągnąć do swojego.

– Chciałam, żeby mnie wysłuchał – westchnęłam. – Chciałam, żeby wreszcie poznał prawdę. I chciałam zobaczyć, czy ma to cholerne znamię. Mam dość trwania w niepewności i ukrywania przed nim wszystkiego. To nie jest w porządku.

Charlie pokiwała głową.

– Wreszcie mówisz sensownie – przyznała. – Dobra, skoro już mam tutaj nocować, to przynajmniej umilmy sobie tę noc. Masz jakiś alkohol?

Uśmiechnęłam się do niej i wskazałam odpowiednią szafkę, bo sama nie chciałam ruszać śpiącego na moich kolanach Chandlera.

Charlie szybko zaopatrzyła nas w trunki.

– Więc dlaczego właściwie tutaj jestem? – zapytała po chwili. – Tylko dlatego, że zjebałaś, Theo cię zostawił i jest ci przykro? Czy może chodzi o coś więcej, a ty po prostu boisz się mi powiedzieć?

Czasami przerażało mnie, z jaką łatwością we mnie czyta.

– Jest coś jeszcze. Tylko musisz obiecać, że nie uciekniesz, jak ci powiem – odparłam nieco żałośnie, upijając łyk wina.

Moja przyjaciółka pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Kochanie, czy kiedykolwiek uciekłam? Przecież wiesz, że zawsze będę cię wspierać. Po prostu powiedz mi, o co chodzi.

A więc opowiedziałam jej o wszystkim – o Blair w moim domu i o tym, co później mi powiedziała, i o niechęci, by spać samej tej nocy.

Charlie słuchała mnie uważnie, cały czas kręcąc swoim kieliszkiem.

– To dlatego zaprosiłaś Theo akurat dzisiaj? – zapytała, gdy skończyłam. – Miałaś nadzieję, że to on zostanie z tobą na noc?

Zarumieniłam się. Nikt tak jak ona nie potrafił sprawić, że robiło mi się głupio.

– Nooo... trochę tak – przyznałam niechętnie, czym doprowadziłam przyjaciółkę do niekontrolowanego chichotu. Nie widziałam w tym nic zabawnego! – Weź, nie rozumiem, dlaczego się ze mnie śmiesz. Jest coś śmiesznego w tym, że chciałam iść z nim do łóżka?

– Raczej w tym, że zdecydowałaś się na to tylko dlatego, że boisz się spać sama – prychnęła. – Poza tym jeśli naprawdę tego chciałaś, nie trzeba było mu mówić o kłątwie. Mogłaś to zrobić rano.

Z namysłem pokręciłam głową, głaszcząc Chandlera po miękkim, czarnym futerku. Odpowiedział uroczym mrużeniem.

– Nie pójdę z nim do łóżka, zanim wszystkiego mu o sobie nie powiem. To nie byłoby w porządku.

Po minie Charlie widziałam, że rozumiała. Miałam wrażenie, że zupełnie nie przejęła się moją kuzynką podróżniczką i możliwością spotkania w moim mieszkaniu ducha albo innego bytu, ale nie zdziwiło mnie to. Bardziej od takich abstrakcyjnych rzeczy interesował ją mój romans z Theo.

– Nie martw się, twoje mieszkanie na pewno jest czyste – zapewniła mnie uspokajająco. – Blair to tylko mała dziewczynka. Pewnie coś jej się przywidziało i wymyśliła do tego jakąś niestworzoną historię. Dlaczego w ogóle tak się tym przejmujesz?

– Bo w mojej rodzinie nadnaturalne zjawiska to normalka – mruknęłam.

Nie wspominałam jej, że wiem o istnieniu duchów. Nie mogłam być sceptyczna, bo swego czasu sama je poczułam i widziałam.

Oczywiście wiedziałam, że żaden z nich nie mógł przedostać się do mojego mieszkania. Nie bez powodu na co dzień ich nie widzieliśmy. To przez to, co zrobiła wtedy mama. To dlatego wtedy je poczułam.

Ale mimo wszystko na samo wspomnienie tamtego dnia moje ciało pokrywało się gęsią skórką. I chyba to sprawiało, że czułam jeszcze większy niepokój na wspomnienie słów Blair – i że w ogóle w nie uwierzyłam. Nie miałam miłych doświadczeń związanych z duchami.

Nie chciałam znowu czuć się tak jak wtedy, gdy mama zrobiła ten jeden krok za daleko, wezwała coś, czego nie powinna była ruszać. Do tej pory na wspomnienie tamtych chwil dostawałam dreszczy.

– Wszystko w porządku, Margo? – zapytała Charlie z troską.

Nie bez wysiłku wróciłam do rzeczywistości, uśmiechnęłam się blado i skinęłam głową, po czym dopiłam resztę wina.

– Jasne. Pijemy jeszcze czy idziemy spać?

* * *

Obudziło mnie przeraźliwe miauczenie, które dosłownie postawiło mi włosy na głowie. Zaplątałam się w kołdrę, próbując się podnieść, runęłam jak długa z powrotem na łóżko i wtedy sypialnię zalało jasne światło lamp. Mrużąc oczy, obejrzałam się, by stwierdzić, że całkowicie przytomna Charlie zdążyła już wstać z łóżka i założyć szlafrok.

– Co ten cholerny kot tam wyprawia? – mruknęła, idąc do drzwi.

Szarpnęłam się w kołdrze i wreszcie wyswobodziłam nogi, po czym zeskoczyłam z łóżka.

– Zaczekaj – powiedziałam, odruchowo ścisząc głos. – Nie idź sama.

Charlie obejrzała się na mnie z rozbawieniem w oczach.

– Bo co? Kogo spodziewasz się tam zastać? Seryjnego mordercę?

Zawahałam się. Znowu czułam ten sam irracjonalny strach, który towarzyszył mi od momentu rozmowy z Blair. Chyba coś było ze mną nie tak.

– Nie wiem, ale wołę dmuchać na zimne – odpowiedziałam stanowczo, po czym podeszłam do niej i chwyciłam ją za rękę. – Chodź.

Ostrożnie wyszliśmy z sypialni do tonącego w mroku salonu. Pstryknęłam włącznik światła, po czym rozejrzałam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu sprawy całego zamieszania.

Wymknęło mi się bardzo brzydkie przekleństwo, kiedy zobaczyłam mojego kota idiotę siedzącego w pozie sfinksa przed pustą miską. Patrzył na mnie z pretensją i oczekiwaniem, a końcówka ogona drgała mu w wyraźnej irytacji.

– No chyba sobie żartujesz – powiedziałam, Chandler jednak nie zmienił pozycji ani o cal, niewzruszenie nadal się we mnie wpatrując.

– Twój kot to debil – zawyrokowała Charlie. – Nakarm go albo zabij, twój wybór. Ja idę spać.

Westchnęłam i poczłapałam do lodówki, żeby wyciągnąć temu kociemu terroryście coś do jedzenia. Padło na puszkę z tuńczykiem, którą wypatrzyłam jako pierwszą.

Niestety, najwyraźniej tej nocy nie było mi dane się wyspać. Ledwo nakarmiłam kota i półprzytomna wróciłam do sypialni, rozdzwoniła się moja komórka.

Zerknęłam na wyświetlacz, a widząc obcy numer, w pierwszej chwili miałam ochotę w ogóle nie odbierać. Był środek nocy, na litość boską, kto mógł do mnie dzwonić o takiej porze? Ale... jeśli to było coś ważnego?

– Odbierz ten cholerny telefon albo go wyłącz – dobiegł mnie niezadowolony pomruk Charlie.

Przewróciłam oczami i posłusznie odebrałam.

– Pani Margo McKenzie? – usłyszałam obcy kobiecy głos po drugiej stronie. – Przepraszam, że niepokoję o takiej godzinie... Dzwonię z New Craigs. Bardzo mi przykro, ale pani matka źle się poczuła. Wezwaliśmy już karetkę i wkrótce trafi do szpitala.

Ugięły się pode mną kolana, więc czym prędzej usiadłam na skraju łóżka. Potrzebowałam chwili, żeby pozbiierać myśli.

– Co to znaczy „źle się poczuła”? – zapytałam w końcu. – Co jej jest?

– Pielęgniarka, który zauważył u niej objawy, podejrzewa udar mózgu – odpowiedziała spokojnie kobieta, pewnie jakaś pielęgniarka. – Ale oczywiście to lekarz musi postawić diagnozę. Proszę się nie obawiać, karetka zaraz zawiezie pani matkę do szpitala...

– Raigmore Hospital? – przerwałam jej obcesowo, skacząc na równe nogi.

Gwałtownym ruchem otworzyłam szafę, nie zwracając uwagi na kroki gdzieś za sobą; pewnie to Charlie też wstała.

– Tak – potwierdziła. – Jeśli mogę w czymś jeszcze pomóc...

– Nie, bardzo dziękuję za informację – znowu weszłam jej w słowo. – Dobrze, że pani zadzwoniła.

Do Raigmore Hospital położonego przy Old Perth Road miałam dwa razy krótszą drogę niż z New Craigs. Oznaczało to, że jeśli się pospieszę, mam szansę trafić na miejsce przed karetką z mamą.

Serce zabiło mi niespokojnie, gdy o tym pomyślałam. Udar mózgu. To nie było nic dobrego. Jasne, przez ostatnich piętnaście lat właściwie nie miałam kontaktu z matką, ale mimo wszystko żyła. Niepokój zawiązał mi żołądek w supeł.

– Wszystko w porządku? – zapytała Charlie zza moich pleców.

Wyszarpnęłam z szafy dzinsy i bluzę, po czym odwróciłam się do niej.

– Moja mama prawdopodobnie miała udar, właśnie jedzie karetką do szpitala. – Posłałam jej pełne desperacji spojrzenie. – Zawiozłabyś mnie?

Charlie nie wahała się ani chwili. Natychmiast zaczęła się ubierać. Byłam jej za to naprawdę wdzięczna. I dziękowałam losowi, że trafiła mi się przyjaciółka, która potrafi zostawić narzeczonego na noc, by spędzić ją ze znerwicowaną czarownicą, a potem jeszcze zawieźć ją do szpitala.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła mnie łagodnie, kiedy już obie zmierzałyśmy w stronę

wyjścia. Chandler zmierzył mnie obojętnym spojrzeniem znad miski z tuńczykiem. – Zobaczysz, to na pewno nic poważnego.

Szalałam z niepokoju. Czulałam się tak, jakbym miała za chwilę zwymiotować własne serce. Jasne, nie lubiłam odwiedzać mamy i źle się czulałam w jej towarzystwie, ale to było co innego. Teraz chodziło o jej życie.

A to ciągle był jedyny rodzic, jaki mi został.

Całą drogę do szpitala przebyłyśmy w milczeniu. Ze zdenerwowania miałam zbyt mocno zaciśnięte szczęki, by cokolwiek wycedzić. Droga przez miasto była niemalże pusta; mroczne ulice zalane jedynie słabym światłem latarni sprawiały ponure wrażenie. Zrobiło mi się jeszcze bardziej niedobrze, gdy w końcu dostrzegłam górujący nad okolicą, kilkupiętrowy, nieco klockowaty budynek szpitala. Mimo że cały jego teren był jasno oświetlony, to miejsce również wydało mi się ponure.

Może to dlatego, że miałam z nim związane same złe wspomnienia – to w końcu tam trafiłam, gdy zakłęcie mamy się nie udało. Zanim ciotki się zorientowały, co się dzieje, sąsiedzi zadzwonili na policję i pogotowie, zaalarmowani dziwnymi odgłosami dobiegającymi z naszego domu. To było pierwsze miejsce, w którym zobaczyłam ją taką, jaka potem była przez lata. Nieobecna. Pustą. Pozbawioną życia.

Poza tym to tam po wypadku zmarł mój tata.

Przed wejściem minęłam karetkę pogotowia, co tylko wzmogło mój niepokój. Przypieszyłam kroku i przez przeszkłone drzwi wpadłam do holu. Przeszłam kawałek wykafelkowanym korytarzem, aż dotarłam do izby przyjęć. Już z daleka dostrzegłam ratownika medycznego stojącego obok noszy, który referował sytuację lekarzowi w kitlu. Serce zabiło mi mocniej. To była ona czy nie? Dotarła przede mną?

– Dobry wieczór, przepraszam, mogę w czymś pani pomóc? – Kobięcy głos zatrzymał mnie w miejscu, gdy byłam już blisko tamtej grupki.

Odwróciłam się, by stanąć twarzą w twarz z niewysoką ciemnoskórą lekarką.

– Katherine McKenzie – wypaliłam zupełnie bez sensu. Zaraz jednak pozbierałam się trochę. – To moja matka. Pogotowie miało ją tu przywieźć z New Craigs.

– Tak, podejrzenie udaru. – Lekarka skinęła ręką w stronę ratownika z noszami.

Serce o mało nie wyskoczyło mi przetykiem; zostawiłam lekarkę samą i podbiegłam do grupki. Przepchnęłam się między ratownikiem a lekarzem, zupełnie nie zwracając uwagi na pełne oburzenia krzyki.

Była przytomna; już to mnie zaskoczyło. Od razu jednak można było dostrzec, że coś jest z nią nie tak. Twarz miała nienaturalnie wykrzywioną, prawy kącik ust opuszczony; mrugała, jakby miała problem ze wzrokiem. Złapałam ją za rękę, pozwalając przygnieść się wyrzutom sumienia, że nie odwiedzałam jej częściej.

– Mamo... – powiedziałam drżącym głosem. – Mamo, to ja, Margo. Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Jedynie, co przyszło mi do głowy, to powtórzenie słów, które przed wyjściem usłyszałam od Charlie. Mama tymczasem zamrugała znowu, a potem jednym okiem spojrzała na mnie całkiem wyraźnie, równocześnie przymykając drugie. Otworzyła usta i wymamrotała coś, czego nie byłam w stanie zrozumieć.

– Musimy zabrać panią na tomografię – dobiegł mnie zza pleców czyjś głos, chyba lekarza.

Zignorowałam go.

– Co mówiłaś?

Pochyliłam się, żeby lepiej ją usłyszeć, a wtedy mama wymruczała, ledwie poruszając ustami:

– Drzewo wisielców.

Odsunęłam się, spoglądając na nią ze zdumieniem. Co to miało znaczyć?

– O czym ty mówisz? – drążyłam. – O co chodzi?

Wiedziałam, że nie doczekam się odpowiedzi, ale i tak pytałam. Bez sensu. Mama powtórzyła jeszcze raz to samo – nie miałam już wątpliwości, że faktycznie powiedziała „drzewo wisielców” – a potem lekarz wraz z kolejnym pielęgniarką odsunęli mnie stanowczo, przejmując nosze od ratownika medycznego. Zanim zdążyłam się zorientować, co się stało, ciemnoskóra lekarka już prowadziła mnie

do poczekalni.

– Musimy zabrać pani matkę na tomografię, by zobaczyć obszar mózgu dotknięty wylewem i ocenić jego rodzaj – wyjaśniła mi łagodnym tonem, gdy już usiadłam na jednym z niewygodnych, plastikowych krzesełek. – Następnie albo podejmiemy leczenie farmakologiczne, albo skierujemy pani matkę na salę operacyjną. To może potrwać, najlepiej będzie, jeśli zostawi pani swój numer kontaktowy i wróci do domu. Zadzwonimy, gdy tylko coś się wyjaśni.

– Nie, nie ma takiej opcji – zaprotestowałam. – Zostanę tutaj. Muszę wiedzieć na bieżąco, co się z nią dzieje.

– W leczeniu wylewów najważniejszy jest czas reakcji – wyjaśniła. – Jeśli pani matka trafiła do szpitala zaraz po wystąpieniu pierwszych objawów...

Po tych słowach przestałam jej słuchać. Skąd niby miałam wiedzieć, jak długo mama miała objawy, póki jakiś pielęgniarz nie zauważył, że coś jest nie tak? Przecież była noc. Na pewno nikt nie zaglądał do niej co pięć minut.

W wejściu do poczekalni zauważyłam Charlie. Usiadła obok i spojrzała na mnie pytająco, ale nic nie powiedziała.

– Na razie nic nie wiadomo – westchnęłam. – Jedź do domu, ja tu zostanę. Muszę wiedzieć, czy zabiorą mamę na operację.

– Coś ty, nie zostawię cię tu samej! – zbulwersowała się. – Zostanę z tobą.

– Charlie, daj spokój – jęknęłam. – To moja matka, nie twoja. Jedź do domu. Jeśli to poprawi ci samopoczucie, zadzwonię do ciotek. Któraś na pewno przyjdzie, żeby dotrzymać mi towarzystwa.

Przekonałam ją dopiero wtedy, gdy wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam do ciotki Georgii. Charlie w tym czasie przyniosła mi kawę z pobliskiego automatu.

Kiedy tego wieczoru telefonowałam do Theo, wyobrażałam sobie sto sposobów, na jakie może się skończyć ten dzień, ale na pewno nie to. Nie potrafiłabym nawet wymyślić tego niepokoju i strachu, przez które czułam się tak, jakby mój żołądek sam się trawił.

Pół godziny później dowiedziałam się, że mama została zabrana na operację. Podobno badania potwierdziły udar krwotoczny mózgu, co brzmiało poważnie. A potem przyjechały ciotki Georgia i Ava. I chociaż czasami się ze sobą kłóciłyśmy i często się nie zgadzałyśmy, poczułam ogromną ulgę.

Nie mogły jej pomóc, co nie mieściło mi się w głowie, bo przecież były dobrymi czarownicami. Ciotka Ava powiedziała zaskakująco łagodnie, że na niektóre choroby nawet one nie mają wpływu. Niewiele zapamiętałam z jej wypowiedzi, wpatrzona w nią ze zdziwieniem – chyba pierwszy raz w życiu widziałam ciotkę Avę bez perfekcyjnego makijażu i uczesania, z włosami spiętymi w byle jaki kok i podkrążonymi z niewyspania oczami.

A ciotka Georgia? Gdy przyszła, po prostu mnie przytuliła. Mocno.

I wtedy już wiedziałam, że cokolwiek by się stało, dam sobie radę.

Bo ciągle miałam rodzinę, która mnie kocha i się o mnie troszczy. Ciotki, które zerwały się z łóżek w środku nocy, by trzymać mnie za rękę, gdy mama była operowana.

Chyba powinnam to uznać za wystarczające szczęście.



20. Jak wziąć się w garść

Do domu wróciłam dopiero późnym rankiem. Zadzwoiłam do pracy, żeby uprzedzić, że mnie nie będzie, a potem w ubraniach rzuciłam się na sofę, nie mając nawet siły, żeby doczołgać się do sypialni. Byłam wykończona fizycznie i psychicznie i chciałam jedynie przykryć się kocem i już nigdy spod niego nie wychodzić.

Stan mamy był poważny. Zajmujący się nią lekarz stwierdził, że operacja się udała, wylew był jednak na tyle rozległy, że mama na razie się nie obudziła. Pozostała nieprzytomna, a doktor Cavanaugh wyjaśnił nam, że tak się zdarza. Niekiedy pacjent potrzebuje czasu, żeby się obudzić, a niekiedy...

Niekiedy nie budzi się wcale.

Ciocia Georgia odwiozła mnie do domu. Była wyraźnie zatroskana moim stanem, bo przez całą drogę nie odezwałam się do niej ani słowem. Nie potrafiłam i nie chciałam z nią o tym rozmawiać, a ona z jakiegoś powodu próbowała coś ze mnie wyciągnąć, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

A potem, gdy już leżałam na sofie w swoim salonie, poryczałam się jak małe dziecko.

Nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego tak zareagowałam. Przecież to nie tak, że miałam z mamą świetny kontakt. Prawie jej nie znałam i nie miałam ochoty jej odwiedzać, gdy robiły to ciotki. Miałam do niej pretensje o to, co wtedy stało się w naszym domu. Nigdy wcześniej nie zaobserwowałam u siebie jakichś głębszych uczuć do niej – oczywiście, nadal kochałam tę mamę, którą pamiętałam z dzieciństwa, ale dla mnie to nie była ta sama kobieta, która potem przez lata nawet mnie nie poznawała.

A jednak popłakałam się jak idiotka, kiedy nikt nie mógł tego zobaczyć. Chandler wskoczył na kanapę i przytulił się, ocierając zimnym nosem o mój policzek, jakby chciał mnie pocieszyć, co było tak bardzo nie w jego stylu, że tylko rozkleiłam się jeszcze bardziej. Głaskając go odruchowo i słuchając jego mruczenia, powoli się uspokajałam. Próbowałam sobie wmówić, że to żadna różnica, bo przecież i tak od lat nie miałam matki.

Nie działało.

Dopiero gdy około południa wpadła do mnie Charlie, by zobaczyć, jak się trzymam, udało mi się odzyskać odrobinę równowagi umysłowej i przypomniałam sobie, co usłyszałam od matki, zanim lekarze zabrali ją na salę operacyjną.

„Drzewo wisielców”.

Nie miałam pojęcia, co miała przez to na myśli i dlaczego uznała, że w tamtym momencie jest to takie istotne. Ponieważ jednak ostatnio nie zdarzało jej się mówić do mnie sensownie, te słowa skojarzyły mi się z naszym poprzednim spotkaniem.

Wydawało mi się dziwne, że mama odzyskała przytomność po raz drugi, by przekazać mi coś, co dla niej zapewne było ważne. Czy te dwie sprawy mogły być powiązane? Tylko jak?

Oczywiście nie doszłam do żadnych sensownych wniosków, postanowiłam więc porzucić ten temat, pozwalając Charlie wybrać jakiś głupi program w telewizji, żeby mnie rozchmurzyć.

Godzinę później wpadła ciotka Lauren z zakupami, oznajmiając, że zrobi obiad.

Nie zamierzałam protestować.

Kiedy po południu zadzwonił mój telefon, w pierwszej chwili miałam ochotę nie odbierać. Potem przypomniałam sobie, że Theo miał do mnie dzwonić, i to zmobilizowało mnie do spojrzenia na wyświetlacz. A potem zorientowałam się, że dzwonił Ross.

Randka. Umówiłam się z nim przecież na randkę w piątek. Po prostu świetnie.

– Chcesz, żebym odebrała za ciebie? – odezwała się z troską Charlie.

Westchnęłam.

– Nie, dzięki. Sama muszę sobie z tym poradzić.

Odebrałam w końcu, bo gdybym myślała nad tym dłużej, pewnie nigdy bym się nie zdecydowała.

Ross nie dał mi dojść do słowa, natychmiast przejmując inicjatywę.

– Cześć, Margo, chciałem pogadać o naszej jutrzejszej randce i poruszyć jeszcze jeden temat.

Tylko nie denerwuj się na mnie, dobrze? Bo chodzi o Theo Thorne'a.

Boże, miałam tego tak bardzo dość. Przewróciłam oczami, dochodząc do wniosku, że nie pozwolę mu pleść od rzeczy.

– Nawet dobrze, że dzwonicz – wtrąciłam, kiedy zamilkł na moment, żeby zaczerpnąć oddechu. –

Nie mogę jutro się z tobą spotkać, bardzo przepraszam.

Przez chwilę w słuchawce panowała pełna konsternacji cisza.

– Ale... byliśmy umówieni – stwierdził w końcu Ross. – Chodzi o niego? Znowu coś ci o mnie nagadał?

Prychnęłam z niedowierzaniem.

– Znowu? – powtórzyłam. – Przecież to ty jesteś jedyną osobą, która cokolwiek gadała mi o Theo. To nigdy nie działało w drugą stronę.

– To nie tak, Margo...

– Poza tym nie dlatego odwołuję spotkanie – nie pozwoliłam mu dojść do słowa. – Moja mama jest w szpitalu, miała w nocy udar. Powinnam być przy niej i na pewno nie będę teraz w stanie skupić się na randce. Przepraszam.

– O rany... Nie, to ja przepraszam, nie wiedziałem – sapnął. – Nie powinienem był sugerować, że ktoś cię namówił do rezygnacji ze spotkania. Przepraszam, teraz mi głupio.

Ton jego głosu sugerował, że nie kłamie, dlatego postanowiłam mu nieco odpuścić.

– Ross, to nic takiego. Nie wiedziałeś.

– Ale mam nadzieję, że wszystko z nią w porządku? I że wyjdzie z tego?

– Nie wiem. – Potrząsnęłam głową. – Mam nadzieję, że tak. Na razie jest w sypialni.

– Naprawdę mi przykro, Margo. Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie, raczej nie, sama muszę sobie z tym poradzić, ale dziękuję. I przepraszam, że znowu muszę zmienić nasze plany.

– Nie przepraszaj, to nie twoja wina – zapewnił. – Jestem pewien, że wszystko będzie w porządku. Posłuchaj... Tym bardziej mi głupio, że chcę teraz poruszyć ten temat, ale uważam, że powinnaś o tym wiedzieć.

Westchnęłam.

– Ross, jeśli znowu chcesz szkalować Theo...

– Nie, nie chodzi mi o szkalowanie – przerwał mi pośpiesznie. – Widziałem się... to w zasadzie był przypadek... wpadłem na Danę. Nie wiem, czy się orientujesz, ale Dana jest agentem nieruchomości. Zapytałem ją o Theo i dom Marshallów.

– Po co? – Zmarszczyłam brwi.

Nie podobało mi się samo wspomnienie Dany, nie podobało mi się też, że Ross wściubia nos w nie swoje sprawy. Ale równocześnie nie potrafiłam się zmusić, żeby nie słuchać go dalej. Hipokrytka.

– Mówiłem ci już, że coś w tym facecie mi nie gra – odpowiedział z rozdrażnieniem. – Posłuchaj, Margo, Dana powiedziała mi, że w ostatnim czasie nie było żadnego ogłoszenia o sprzedaży domu Marshallów. Owszem, jej agencja zajmowała się nim cały czas, ale tak długo stał pusty i nikt się nim nie interesował, że ściągnęli nawet ogłoszenie ze strony internetowej. Tymczasem Thorne, gdy zadzwonił do ich agencji, doskonale wiedział, czego chce. Nie wydaje ci się to dziwne? Skąd niby się orientował, że ten dom jest na sprzedaż?

Poczułam nagły niepokój, który skręcił mi wnętrzności. Ale to przecież nie musiało niczego oznaczać, prawda? To nie musiał być dowód, że sama sprowadziłam Theo do Inverness. Na pewno istniało jakieś inne, racjonalne wyjaśnienie!

Rzuciłam pospieszne spojrzenie Charlie i ciotce Lauren, które krzątały się przy kuchni, a potem odpowiedziałam, starannie dobierając słowa:

– Czyli co, zapytał dokładnie o to miejsce?

– Tak. Jakby to właśnie ten dom go interesował. – Zrobiło mi się niedobrze po jego słowach. – Margo, nie mówię ci tego, żeby dyskredytować rywala. Po prostu nie chcę, żeby cię skrzywdził. Boję się, że ten facet nie ma względem ciebie uczciwych zamiarów, a ty tego nie widzisz. Przecież ja... ja chcę dla ciebie jak najlepiej. Naprawdę się o ciebie martwię.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Wierzyłam mu. Wierzyłam, że wszystko to robi z troski o mnie. Równocześnie jednak wierzyłam, że ponieważ nie przepada za Theo, nie próbuje szukać wyjaśnienia i ogranicza się do siania podejrzeń. Ja nie zamierzałam tak robić.

Tym bardziej że widziałam wyjaśnienie. Nie chciałam go tylko przyjąć do wiadomości.

– Dziękuję, że mi powiedziałeś – rzuciłam. – Zajmę się tym.

– „Zajmę się tym”? – powtórzył z niedowierzaniem. – Co to znaczy?

– Że sama to wyjaśnię. Nie musisz się kłopotać.

– Oszalałaś? – Rany, ten facet coraz bardziej mnie denerwował. – Sama to wyjaśnisz? Więc co, zapytasz go o to i łykniesz każdą głupią wymówkę, którą ci sprzeda, tak? Margo, pomyśl przez chwilę. Ta znajomość naprawdę przyniesie ci więcej złego niż...

– Ross, proszę, przestań – przerwałam mu. – To moja sprawa i nie musisz się wtrącać. Gwarantuję, że mam swój rozum i nie dam się nikomu omamić. Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś próbuje mnie okłamać. Jestem ci wdzięczna za informacje, ale dalej poradzę sobie sama.

Ostatnie zdanie wypowiedziałam tak ostro, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko ustąpić.

Kiedy wreszcie z westchnieniem odkładałam słuchawkę, żałowałam, że w ogóle odebrałam ten telefon. Nie tylko dlatego, że znowu prawie na niego nawrzeszczałam, bo do tego zdążyłam się już przyzwyczaić. Bardziej dlatego, że dostałam kolejny dowód na to, iż z Theo jest coś nie tak. Jak długo mogłam to ignorować? Jak długo zamierzałam udawać, że wszystko jest w porządku?

Spojrzałam w stronę kuchni, w której Charlie rozmawiała cicho z ciotką. Nie wiedziałam, czy cokolwiek im zdradzać.

W następnej chwili usłyszałam głos mojej przyjaciółki:

– Ross dzwonił?

– Tak. Musiałam odwołać jutrzejszą randkę. – Ścisnęłam palcami nasadę nosa, czując nadchodzący ból głowy. – Nie był zachwycony.

– Nie dziwię się, w końcu cały czas coś staje wam na drodze – prychnęła. – A to Dana, a to...

Posłałam jej twarde spojrzenie, które na szczęście odpowiednio odczytała i nie dokończyła zdania. Ciotka Lauren, podobnie jak większość moich ciotek, nie wiedziała przecież, że spotykam się z Theo. Znowu zalały mnie wyrzuty sumienia. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam wreszcie im o wszystkim powiedzieć, ale ciągle uważałam, że to nie jest właściwy moment. No i dobra, po prostu się bałam.

– Powinnyście coś zjeść – oświadczyła ciotka Lauren. – Obiad za chwilę będzie gotowy.

– Chciałabym potem odwiedzić mamę – oświadczyłam.

Ciocia posłała mi zatroskane spojrzenie.

– Kochanie, przecież wiesz, że zadzwonią ze szpitala, jeśli jej stan się zmieni. Skoro nie dzwonią, to na pewno znaczy, że ciągle się nie wybudziła.

Skrzywiłam się.

– Nieważne. I tak chcę ją zobaczyć. Nie musicie ze mną jechać.

– Oszalałaś? – prychnęła Charlie. – To jasne, że nie puszcę cię samej. Co, może jeszcze pojedziesz autobusem?

– Charlie, daj spokój – westchnęłam. – Masz swoje życie. Nie musisz mnie niańczyć.

– Ale chcę! Bo chciałabym, żebyś ty zrobiła dla mnie to samo, jeśli znajdę się w takiej sytuacji!

– Ja tu będę – wtrąciła ciocia Lauren. – Mogę też dzisiaj zostać na noc, jeżeli dzięki temu poczujesz się lepiej.

Ponieważ nadal nie chciałam spać we własnym domu samotnie, uśmiechnęłam się do niej

z wdzięcznością. Może to było z mojej strony egoistyczne oczekiwać, że ciocia będzie nocowała w cudzym domu z powodu moich urojeń, ale nie potrafiłam sobie tego odmówić.

– Pościelę ci w sypialni, a sama będę spać na kanapie – zdecydowałam. – Dziękuję, ciociu.

Ciocia Lauren uśmiechnęła się do mnie ciepło.

– Daj spokój, kochanie. Od tego masz rodzinę, żeby pomagała ci w takich sytuacjach. Przecież wiesz, że nie zostawiłybyśmy cię samej.

Odwróciłam wzrok. Moja rodzina miała swoje wady, ale zawsze mogłam na nią liczyć. Ciotki stały za mną murem. Tym gorzej czułam się z tym, że nadal je okłamuję.

* * *

Obudziło mnie przeraźliwe miauczenie.

Tym razem się nim nie przejęłam, tylko zirytowałam. Nie dość, że nie mogłam zasnąć, zastanawiając się nad stanem mamy, to jeszcze ten debil, mój kot, znowu budził mnie w środku nocy, bo chciał mu się jeść. Albo się nudził. Albo coś.

Często nie rozumiałam Chandlera.

Sięgnęłam do włącznika lampy stojącej przy kanapie w salonie i zmrużyłam oczy, gdy pomieszczenie zalało żółte światło. Wyplątałam nogi z kołdry, znowu słysząc ten irytujący dźwięk dochodzący z okolic przejścia do kuchni.

A potem zamarłam i moje ciało pokryła gęsia skórka, gdy usłyszałam, jak w ciągu sekundy miauczenie zmieniło się w okropne rżenie, a później w przeraźliwy pisk.

– Chandler! – krzyknęłam, zeskakując z kanapy. – Chandler, co się dzieje?!

To było idiotyczne, zupełnie jakby mój kot miał odpowiedzieć. Nawet gdyby potrafił, pewnie by tego nie zrobił, bo po chwili pisk urwał się gwałtownie, do moich uszu dobiegł dziwny chrzęst i nagle wszystko umilkło.

Poślizgnęłam się na zwisającym z kanapy kawałku kołdry, z trudem odzyskałam równowagę, chwytając kurczowo lampę, a potem pobiegłam tam, skąd wcześniej dobiegało miauczenie. Serce biło mi szaleńczo, gdy wzrokiem przeszukiwałam podłogę, z każdą chwilą czując coraz większy niepokój. Zawołałam Chandlera jeszcze raz czy dwa, ale nie dawał znaku życia. Żołądek zawiązał mi się w supeł, a potem zrobiło mi się niedobrze, kiedy go wreszcie znalazłam. Padłam na kolana, czując się tak, jakby serce miało mi zaraz wyskoczyć z piersi. Przez moment w gardle czułam ucisk, który nie pozwalał mi powiedzieć ani słowa, a potem pokonałam go i zaczęłam krzyczeć.

Wołałam ciocię, która spała w sypialni. Kogokolwiek.

Chandler leżał na boku, drżąc w konwulsjach. Kocie oczy były we mnie wpatrzone błagalnie, a całe nieduże ciało wykrzywione pod dziwnym kątem. Z otwartego pyszczka kapąła krew. Dotknęłam go drżącymi rękami, zaczęłam głaskać i uspokajać, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Gdy za sobą usłyszałam kroki, powiedziałam bez namysłu:

– Ciociu, na stoliku jest moja komórka. Dzwoń do Rossa, coś jest nie tak z Chandlerem...

Dopiero potem przypomniałam sobie, że ciocia przecież jest czarownicą. Na szczęście ona miała więcej rozsądku, bo zamiast zrobić, o co prosiłam, uklękła obok mnie i odsunęła moje ręce, po czym delikatnie zaczęła badać kota.

– Tu już nic nie da się zrobić – powiedziała ze smutkiem. – Kochanie, to jest agonia...

– Nie... – Poczulałam, że do oczu napłynęły mi łzy. Tym razem to ja ją odsunęłam, nachyliłam się do Chandlera, objęłam go, jedną dłoń kładąc mu na łebku, a drugą znowu go głaszcząc. Ręce drżały mi coraz bardziej, nie mogłam uspokoić oddechu, ale nie potrafiłam się od niego odsunąć. – Nie, proszę, musisz coś zrobić. Cokolwiek. On nie może... Przecież był całkiem zdrowy! Chandler...

Kot miauknął cicho, jakby próbował mi odpowiedzieć, a potem jego ciałkiem wstrząsnął dreszcz i oczy mu zmętniały. Łzy popłynęły mi po policzkach, kiedy zwiotczał w moich ramionach i zastygł. Chwycałam go mocniej, ale wiedziałam, że to nie może mu pomóc, że nie zdołam go zatrzymać, bo już go ze mną nie ma.

Nie.

To nie było możliwe...

– Już, kochanie, spokojnie – usłyszałam za sobą cichy głos, a potem poczułam, jak ciocia uspokajająco gładzi mnie po plecach. – Już go nie ma. Odszedł. Spokojnie...

Rozryczałam się, nie chcąc go puścić. Ciocia musiała odciągnąć mnie siłą, bo się opierałam. Nie chciałam oderwać palców od jego miękkiego futerka, nie chciałam zostawiać go samego.

– Jesteś czarownicą czy nie?! Zrób coś! – wydarłam się, kiedy przyciągnęła mnie do siebie, zamykając w mocnym uścisku. – Pomóż mu!

– Kochanie, nawet czarownice nie mogą ingerować w pewne rzeczy – wyjaśniła ze smutkiem. – On już nie żyje, nie mogłam nic na to poradzić.

– Cała ta wasza magia jest do dupy, jeśli nie potrafi nawet tego! – Wyszarpnęłam się, chociaż próbowała mnie zatrzymać. Załzawionymi oczami spojrzałam na leżącego spokojnie na podłodze Chandlera, walcząc z okropnym uciskiem w gardle i klatce piersiowej. – Jak to się mogło stać? Przecież nic mu nie dolegało... Tyle co krzyczałam na niego, że go zabiję, jeśli będzie mnie budził w nocy... Jak to jest możliwe...

– Wygląda, jakby miał skręcony kark – odpowiedziała ciocia trzeźwo. Nic dziwnego, że była spokojniejsza ode mnie. To nie ona straciła kota, którego wychowywała od półtora roku. To nie z nią mieszkał, nie do niej się łąsił, miauczał, nie na jej kolanach mrucał, gdy zasypiał! – To dziwne, bo przecież cały czas był w domu. Kiedy się obudziłaś, był już w takim stanie?

– Tak strasznie miauczał... – zaszlochałam. – Przestraszyłam się, że coś mu się stało... Ale nie myślałam... Jezu...

Raz jeszcze dotknęłam czarnego futerka Chandlera, chociaż wiedziałam, że nie mogę mu już pomóc. Załkałam jeszcze gwałtowniej, gdy przypomniałam sobie, jak pierwszy raz przyniosłam go do domu, tuż po moim powrocie do Inverness, tę małą czarną kulkę, która bała się wszystkiego dookoła, w tym mnie. Pamiętałam, jak wybierałam dłuższą drogę do domu, by wejść do sklepu, w którym sprzedawali jego ulubione przysmaki; jak próbowałam oduczyć go wspinania się po zasłonach w sypialni; jak walczyłam o każdy cal prześcieradła, na którym rozwalał się w nocy, nie bacząc na to, że marznę. Pamiętałam dokładnie te wszystkie razy, gdy krzyczałam, że go zamorduję, a on nic sobie z tego nie robił, bo nawet jeśli rozumiał, to wiedział też, że i tak go kocham.

Ze złością otarłam łzy. Chandler był moim przyjacielem. Moim domownikiem. Dlaczego musiałam go stracić?!

– Margo, wiem, że to dla ciebie trudne, ale musisz się na chwilę skupić. – Stanowczy głos cioci przywołał mnie do rzeczywistości. – Chandler był w takim stanie, kiedy go znalazłaś? Widziałaś, co mu się stało?

– Nie... – jęknęłam. – Nie widziałam. Bardzo miauczał, a kiedy go znalazłam, leżał już tak... Słyszałam coś, ale nie wiem, co to było.

Czy to mogło być chrupnięcie kociego kręgosłupa? Jeśli tak, oznaczałoby to, że cokolwiek się wydarzyło, stało się to chwilę przed tym, zanim go znalazłam...

Co oznaczało, że może gdybym szybciej wygramoliła się spod koldry, byłabym w stanie go uratować.

Ponownie wytarłam łzy, z bólem serca przyglądając się leżącemu bez ruchu zwierzakowi. I jeszcze patrzył na mnie tak, jakby chciał, żebym mu pomogła.

Cholera jasna!

– Margo, wiem, że ci go szkoda, naprawdę to rozumiem – odezwała się znowu ciocia – ale myślę, że powinnaś zadzwonić do tego swojego weterynarza. Niech zbada, co było przyczyną śmierci. Bo obawiam się, że mogła nie być naturalna.

Z trudem oderwałam wzrok od Chandlera i przez łzy spojrzałam na ciocię. Nie rozumiałam, o co jej chodzi, ale może to dlatego, że myślami nadal byłam gdzieś daleko.

– On już nie żyje – powiedziałam zachrypniętym od płaczu głosem. – Ross mu nie pomoże. Co to za różnica, dlaczego tak się stało? Stało się i tyle. Powinnam była... powinnam była go lepiej pilnować...

– Przecież to nie twoja wina – zaprotestowała ciocia stanowczo, znowu mnie do siebie przyciągając. Tym razem przytuliłam się chętnie, bo miałam wrażenie, że z każdą sekundą patrzenia na

nieruchome ciało mojego kota serce pęka mi coraz bardziej. – Nie mogłaś nic zrobić. Słyszysz? Nie mogłaś mu pomóc...

Przez chwilę ciocia nie odzywała się ani słowem, po prostu mnie trzymając, aż w końcu spróbowałam wziąć się w garść. Owszem, to był mój kot i go kochałam. Wolno mi było z jego powodu wyć z rozpacz. Ale na razie musiałam być rozsądna.

– Zadzwoń do Rossa – obiecałam, podnosząc się na nogi, chociaż wciąż były miękkie w kolanach. – Tylko... właściwie po co?

– Chandler był tutaj z tobą cały czas, a jednak stało się coś takiego – odparła ciocia ostrożnie. – Przecież nie przejechał go żaden samochód ani nic.

Zamrugałam, próbując odgonić łzy.

– Więc co podejrzewasz?

Spojrzała na mnie poważnie, a potem odparła:

– Że jego śmierć mogła mieć magiczną przyczynę.



21. Jak wyznać całą prawdę

O dziewiątej rano w moim domu było już pełno ludzi. Przybyły ciotki i babcia, która w innych okolicznościach nie postawiłaby nogi za progiem. Przyjechały jednak wszystkie, z trudem mieszcząc się w salonie, a potem rozpoczęły naradę.

Zacznijmy jednak od początku.

O świcie w odpowiedzi na mój rozpaczliwy telefon pojawił się u mnie Ross. Postanowiliśmy z ciotką do jego przybycia nie ruszać Chandlera, mógł więc go zobaczyć w takim stanie, w jakim był w chwili śmierci.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie.

– Bardzo mi przykro, Margo – powiedział, ledwie klęknął przy Chandlerze. Włożył rękawiczki i zaczął go delikatnie badać. – Wygląda to na złamany kręgosłup. Zdaje się, że kości miednicy też są pogruchotane. Chandler nie miał szans na przeżycie.

– Ale... w ogóle nie rozumiem, jak to się mogło stać – jęknęłam. – Wszystko było z nim dobrze, kiedy się kładłam. Drzwi i okna były zamknięte, nie mógł wyjść na zewnątrz. To musiało się stać tutaj...

– Nie mam dla ciebie racjonalnego wyjaśnienia, Margo. – Ross wstał i popatrzył na mnie z żalem. – Takie obrażenia zwykle widzę u zwierząt po wypadkach samochodowych. Jeśli twierdzisz, że cały czas był w domu... Naprawdę nie wiem, co mogłoby tutaj spowodować coś podobnego. Mogę wziąć go do lecznicy i zrobić dodatkowe badania, jeśli chcesz. Na przykład prześwietlenie, żeby się dowiedzieć, czy moje podejrzenia są słuszne.

Do oczu znowu napłynęły mi łzy, więc czym prędzej się odwróciłam, żeby tego nie widział. Robić prześwietlenie martwemu kotu? Co to za różnica, dlaczego umarł, skoro nie żyje i nic nie może go wskrzesić?

– Nie, nie chcę – odpowiedziałam zachrypniętym głosem. – Chcę tylko... W zasadzie to sama nie wiem, czego chcę.

– Mam go zabrać i skremować? – Głos Rossa był łagodny, gdy ten zdjął lateksowe rękawiczki i zbliżył się do mnie.

Gwałtownie pokiwałam głową.

– Tak, proszę. Przepraszam, że musiałeś tu przyjechać o takiej godzinie...

– Margo, to przecież nic takiego. Nie przejmuj się mną. – O mało znowu się nie rozplakałam, kiedy podszedł jeszcze bliżej i przytulił mnie delikatnie. Odruchowo go objęłam i położyłam mu głowę na ramieniu. – Strasznie mi przykro. Wiem, że kochałaś Chandlera.

Bardzo. Jak przyjaciela. Albo członka rodziny. Nie powiedziałam tego jednak, bo gardło znowu miałam ściśnięte.

W następnej chwili z mojej sypialni wyszła ciocia Lauren, w przeciwieństwie do mnie już ubrana – sama miałam na sobie dresy i podkoszulek, w których spałam. Ciocia spojrzała na nas, zawahała się, co spostrzegłam ponad ramieniem Rossa, a potem powiedziała:

– Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale mamy mało czasu. Dzwoniłam do Avy, będą tutaj za jakieś pół godziny. Panie Shepard, prosiłabym, żeby jednak zrobić te badania.

Po tych słowach oderwałam się od Rossa i spojrzałam na ciotkę.

– Po co? – zdziwiłam się.

Posłała Rossowi niepewne spojrzenie, co zrozumiałam od razu: sprawy rodzinne.

– Dobrze wiesz, że to nie była naturalna śmierć, Margo – odpowiedziała niechętnie. – Musimy dowiedzieć się jak najwięcej, zanim podejmiemy kolejne kroki.

Włosy na karku podniosły mi się ostrzegawczo. Miałam wrażenie, że coś mi umyka, i nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć co. A potem przypomniałam sobie słowa cioci i zrobiło mi się niedobrze.

Jeśli przyczyna śmierci Chandlera miała jakiś związek z magią, co to mogło oznaczać?

– Kolejne kroki? Jakie kolejne kroki? – zapytałam, odsuwając się o krok od Rossa. – Co dokładnie zamierzacie zrobić i czemu jadą tu wszystkie moje ciotki?

– Twoja babcia też – dodała ciocia Lauren, co wcale mnie nie uspokoiło. – Może przesadzam i niepotrzebnie sięję panikę, ale wolę to niż zignorowanie problemu, który może się okazać dużym zagrożeniem. Jeśli Chandlera zabiła magia, a nie była ani moja, ani twoja, to jak myślisz czyja?

Poczułam ciarki na skórze i odruchowo objęłam się ramionami. Przypomniałam sobie słowa Blair.

„Nie podobała mi się”. Tak wyraziła się o kobiecie, którą podobno widziała w wejściu do mojej sypialni.

– Nie wiem – mruknęłam. – Czyja jeszcze mogłaby być?

– Właśnie to musimy ustalić. Zwłaszcza że twój dom jest chroniony kilkoma standardowymi zaklęciami – dodała ku mojemu zdumieniu. – Nic takiego nie powinno się przydarzyć, więc może przesadzam, może to nie była żadna cudza magia... Ale ostrożności nigdy za wiele...

– Zaraz, moment – przerwałam jej. – Zaklęciami? Mój dom jest chroniony zaklęciami?!

– A co, myślałaś, że skoro sama nie chcesz ćwiczyć magii i wyprowadziłaś się od rodziny, nie będziemy cię chronić? – prychnęła ciocia, a ja obejrzałam się na Rossa, który przyglądał się nam lekko zszokowany. – Normalnie rzuciłaby je twoja babcia, ale ponieważ nawet nie chciała się zbliżyć do tego miejsca, zaklęciami zajmowała się Ava. Ją trzeba zapytać, co dokładnie rzuciła i jakie jest prawdopodobieństwo, że czyjaś magia się przez to przedostała. Tak czy inaczej moim zdaniem trzeba wzmocnić zaklęcia.

Nie byłam w stanie nic na to odpowiedzieć i nie potrafiłam o tym dyskutować. Nie kiedy na podłodze ciągle leżało ciało mojego kota. Wobec tego odwróciłam się do Rossa, który na szczęście nie skomentował wyводу cioci, i zaproponowałam, że pomogę mu przetransportować Chandlera do samochodu.

To nie było przyjemne zadanie. Ross chciał użyć worka na śmieci, ale stanowczo się temu sprzeciwiłam. Ostatecznie przyniosłam z sypialni jeden z kocyków Chandlera, na których nigdy nie chciał spać, bo na moim łóżku było wygodniej. Ostrożnie go zawinęłam, przytuliłam do siebie i wyszłam za Rossem na zewnątrz, udając się do jego zaparkowanego tuż przed wejściem samochodu.

Ranek był chłodny i rześki, a ja nadal miałam na sobie tylko podkoszulek, dresy i lekki szlafrok, natychmiast dostałam więc gęsiej skórki. Nie zwracałam jednak na to uwagi, gdy ostrożnie układałam zawiniątko w bagażniku. Spod koca wystawał kawałek kociego noska; patrzyłam na niego tęsknie, a serce pękało mi na myśl, że nigdy więcej go nie zobaczę.

– Chcesz jechać ze mną? – zapytał Ross.

Z żalem potrząsnęłam głową.

– Nie mogę. Sam słyszałeś, że ciotka zarządziła jakąś rodzinną naradę. Za chwilę będą tu wszyscy. Przepraszam, że sprawiam taki kłopot...

– To żaden kłopot, Margo.

– ...ale zajmij się nim, dobrze? – Głos znowu mi się załamał.

Ross przytulił mnie raz jeszcze.

– Oczywiście. Poradzisz sobie?

Jego twarz była za blisko, kiedy ponownie na niego spojrzałam. Powoli wyswobodziłam się z jego ramion, chociaż wcale tego nie chciałam. Chciałam, żeby ktoś mnie obejmował, pocieszał i po prostu ze mną był.

– Pewnie – potwierdziłam. – I nie bierz sobie do serca tego, co mówiła moja ciotka. One czasami brzmią...

– Niepokojąco? Przerażająco? – dokończył za mnie. – Rozumiem, ale mimo że nie znam się na magii, myślę, że mogła mieć trochę racji. Jestem raczej racjonalnym człowiekiem, jednak Chandler... On wyglądał tak, jakby ktoś chciał cię nastraszyć. Albo skrzywdzić. Dlatego po prostu... uważaj na siebie, dobrze? Zadzwoń, jak tylko będę wiedział, czy badania coś wykazały, w porządku?

Pokiwałam głową i uśmiechnęłam się blado, ale jemu najwyraźniej to wystarczyło. Posłał mi ostatni pełen otuchy uśmiech, a potem odjechał.

Zostałam sama.

Bez wiecznie zrzędzącego mi nad uchem kota. Bez mojego Chandlera.

Kiedy wróciłam do mieszkania, rozcierając ramiona, bo chłód jesiennego poranka przeniknął mnie do szpiku kości, ciocia Lauren myła podłogę. Zatrzymałam się w pół kroku, gdy uświadomiłam sobie, że zmywa z paneli kocią krew. Na myśl o tym znowu zrobiło mi się niedobrze.

Weź się wreszcie w garść, McKenzie! To tylko kot. Tylko głupi, niewdzięczny, uparty, kochający cię kot!

– Zrobię nam herbaty, dobrze? – zaproponowałam, jako że droga do salonu i tak była zablokowana. Jak automat skręciłam do kuchni. – Najlepiej cały dzbanek. Ciocie pewnie też się napiją, jak przyjadą.

Zaczęłam krzątać się po kuchni, bo to przynajmniej mogło odwrócić moją uwagę od nieprzyjemnych myśli. Obserwowałam ciocię kątem oka, próbując uspokoić dudniące w piersi serce.

– Więc... są jakieś standardowe zaklęcia, które rzucacie na domy? – zagaiłam po chwili.

Ciocia Lauren włożyła mop do wiadra, po czym odwróciła się do mnie.

– Każda z nas rzuca, co uzna za stosowne – odpowiedziała. – Mnie się jeszcze nie zdarzyło. Całe życie mieszkam przy Culloden Road, a tam zaklęcia zawsze rzucała twoja babcia. Ale uczyłam się o nich i wiem, że istnieją. Sprawiają, że dom staje się niedostępny dla złych bytów albo że złodzieje omijają go szerokim łukiem. Różnie.

„Dla złych bytów”. Bardzo nie podobał mi się ten zwrot, aż znowu dostałam gęsiej skórki.

– Myślisz, że mój dom jest chroniony przed takimi... złymi bytami? – Z trudem przeszło mi to przez gardło.

Kolejne spojrzenie cioci Lauren było pełne troski.

– Kochanie, pewnie się boisz, że to, co się stało Chandlerowi, nie było naturalne. Ale nie musisz. Jeśli coś ci grozi, zajmiemy się tym. Nie pozwolimy, żeby ktoś cię skrzywdził, Margo, wiesz o tym, prawda?

Tak samo jak nie pozwoliły, by coś się stało mojej mamie?

– Jasne – mruknęłam, odwracając wzrok, żeby przygotować dzbanek na herbatę. – Po prostu zastanawiam się, o co w tym chodzi. Dlaczego Chandler zginął... – Nic nie mogłam poradzić na to, że przy ostatnim zdaniu załamano mi się głos.

Ciocia weszła do kuchni i zabrała mi dzbanek, pewnie dlatego, że widziała, jak trzęsą mi się ręce.

– Naprawdę mi przykro z powodu tego, co spotkało twojego kota. Ale ważne, że tobie nic się nie stało. Tego musimy się trzymać i nie pozwolić, żeby ten stan rzeczy się zmienił.

Rozumiałam, że ciocia Lauren myślała pragmatycznie. Problem w tym, że ja tak nie potrafiłam.

Kiedy jakieś pół godziny później przyjechały ciotki, udało mi się już trochę uspokoić. Jako pierwsza pojawiła się poważna ciocia Ava, która nawet wybudzona wczesnym rankiem ze snu wyglądała perfekcyjnie. Wkrótce potem znowu zabrzmiał dzwonek i w progu pojawiła się ciocia Georgia.

– Strasznie mi przykro, kochanie. – Przytuliła mnie mocno na samym wejściu, a mnie łzy znowu napłynęły do oczu. – Przyjechałam najszybciej, jak się dało. Ktoś jeszcze jest?

Ciocia Georgia, w przeciwieństwie do cioci Avy, miała na sobie dres i byle jaki T-shirt, była nieumalowana i bardzo nieporządnie uczesana. To zapewne oznaczało, że bardzo się spieszyła, żeby się u mnie pojawić, bo przecież mogła użyć magii do ogarnięcia się przed wyjściem.

Ze zmarszczonymi brwiami stanęła w korytarzu tuż za wejściem do kuchni i wpatrzyła się w podłogę, jakby coś miało stamtąd na nią wyskoczyć. Znowu poczułam niepokój, bo wiedziałam, co znajdowało się w tamtym miejscu. Jeszcze czterdzieści minut wcześniej leżał tam mój martwy kot, o czym ciocia nie mogła wiedzieć. O Chandlerze tak, ale nie o dokładnym miejscu jego śmierci.

– Na razie ciocia Lauren i ciocia Ava – wyjaśniłam. – Babcia powinna być za chwilę z ciocią Imogen i ciocią Elsie. Chociaż nie rozumiem, po co ściągacie tu wszystkie. Ciociu... Dobrze się czujesz?

Dopiero po tym pytaniu ciocia Georgia oderwała wzrok od podłogi i spojrzała na mnie półprzyciemnie. Czy wiedziała, że to tam umarł Chandler? Ale jakim cudem?

– Pamiętasz, jak któregoś dnia podwoziłam cię do pracy i będąc tu, zapytałam, czy odwiedzałaś ostatnio swoją mamę? – zapytała niespodziewanie.

Teraz to ja zmarszczyłam brwi.

– Pamiętam. Powiedziałaś ci wtedy, że nie. Dlaczego pytasz?

– Wiesz, że wiele czarownic ma różne dodatkowe umiejętności. Twoja mama tworzyła zaklęcia, ciocia Elsie jest medium, Blair podróżniczką i tak dalej. – Nie rozumiałam, do czego zmierza jej przemowa, ale wolałam jej nie przerywać. – Ja też mam coś podobnego. Potrafię... wyczuć magię.

– Wyczuć magię? – powtórzyłam. – Co to znaczy „wyczuć magię”? Wiesz, kiedy ktoś rzuca zaklęcia, czy jak?

– W pewnym sensie – westchnęła. – Widzisz, Margo, magia zawsze pozostawia po sobie pewien ślad... jak osad na dnie filiżanki. Czarownice, które są na to wyczulone, mogą wyczuć, że w danym miejscu ktoś używał magii, jeśli nie minęło dużo czasu. Każda jest inna, bo każda czarownica jest inna. Potrafię rozpoznawać tę należącą do naszej rodziny, bo wyczuwałam ją tysiące razy. Wiem, kiedy dane zaklęcie zostało rzucone przez Avę, a kiedy przez Lauren. Rozumiesz, co mam na myśli?

Powoli pokiwałam głową.

– Chyba tak – odparłam niepewnie.

Ciocia Georgia rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na podłogę, gdzie nie tak dawno leżał Chandler.

– Dlatego wtedy zapytałam, czy widziałaś się z mamą. Wyczuwałam magię, która kojarzyła mi się z nią, i przypuszczałam, że to przez to. Teraz rozumiem, że pewnie sama rzucałaś jakieś zaklęcie, a z uwagi na to, że tak jak ona tworzysz zaklęcia, wasza magia może wyglądać podobnie. – Przypomniałam sobie, że tamta wizyta ciotki Georgii odbyła się tuż po moim wieczorze z Charlie, w wyniku którego Theo przyjechał do Inverness. Więc to rzeczywiście miało sens. – Wyczułam to już wtedy.

Niepokój piknął mi w sercu na te słowa.

– A teraz? – zapytałam. – Teraz co wyczuwasz? Też moją magię?

– Nie, Margo. – Ciocia Georgia potrząsnęła głową. – Jeśli martwisz się, czy to przez ciebie umarł Chandler, to nie musisz się tym przejmować, to nie była twoja wina. Wyczuwam tutaj coś dziwnego, ale to nie jest twoja magia.

– Więc co? – drażylałam.

Ciocia posłała mi niepewne spojrzenie.

– Chyba powinnyśmy to omówić z twoimi ciotkami...

– Po prostu mi powiedz – przerwałam jej stanowczo. – Niezależnie od tego, o co chodzi, dam sobie z tym radę.

– Nie wiem, co to jest ani czyją magię wyczuwam – odpowiedziała w końcu niechętnie. – Ale znam ją. Czuję ją już kiedyś i wtedy też nie wiedziałam, skąd się wzięła.

Gdy ciocia znowu zamilkła, myślałam, że się uduszę. Wstrzymywałam oddech, po jej minie spodziewając się czegoś złego. Wyglądała na niepewną i z troską, jakby sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Więc? – ponagliłam ją, kiedy nadal nie chciała dokończyć. Czy naprawdę musiałam wyciągać z niej informacje po kawałku? – Kiedy to było?

– Dawno temu, kiedy byłaś dzieckiem – wyjaśniła w końcu. – Kiedy twoja mama rzuciła to zaklęcie... I wylądowała w szpitalu... Gdy dotarliśmy do waszego domu, czułam w nim coś bardzo podobnego.

Zmroziło mnie. Przez chwilę zbierałam myśli, przyglądając się rozmawiającym w salonie ciotce Avie i ciotce Lauren. Na szczęście nie zwracały na nas uwagi.

– Myślisz, że... – zawahałam się – ...to może być jakoś ze sobą powiązane?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Ale jak? Co jedno z drugim mogłoby mieć wspólnego?

– Mama była w domu Marshallów – wyrzuciłam z siebie, zanim zdążyłam się powstrzymać. –

Kiedy jeszcze byłam mała, zanim umarł tata. Willow powiedziała mi, że kiedyś widziała, jak mama tam wchodziła. Ja też tam byłam.

– Myślisz, że to może mieć jakiś związek? – Ciocia Georgia spojrzała na mnie ze zdziwieniem, ale i z niepokojem. – Kłątwa domu Marshallów...

– Nie wiem, czy chodzi tylko o klątwę. A co, jeśli w tym domu jest coś więcej?

Po tych słowach znowu zapadła cisza. A potem ciocia Georgia oświadczyła stanowczo:

– Najwyższy czas, żeby twoje ciotki i babcia się o tym dowiedziały. To już nie są żarty, Margo. Westchnęłam. Niestety miała rację.

* * *

Kiedy o dziewiątej rano moje ciotki i babcia dowiedziały się wszystkiego od ciotki Georgii, która litościwie zdecydowała się przekazać im to za mnie i zebrać przynajmniej część cięgów za potajemne uczenie mnie magii, w moim domu rozpętało się piekło.

Oczywiście spodziewałam się tego i wytrzymałam wszystko bez protestów, bo wiedziałam, że na to zasłużyłam. To była moja wina, że ukryłam tyle rzeczy przed swoją rodziną, i przez to pewne sprawy się skomplikowały. Ponieważ jednak teraz to ja byłam ofiarą, która straciła kota, rodzina i tak potraktowała mnie ulgowo.

– Coś ty sobie właściwie myślała, Margo! – krzyczała ciotka Ava, zupełnie nie w swoim stylu tracąc nad sobą panowanie. – I jeszcze lekcje z Georgią? Co, ja nie byłam wystarczająco zaufaną osobą, żeby się do mnie zwrócić?!

– Powinnaś była powiedzieć nam o wszystkim, kochanie – westchnęła ciotka Lauren, wyraźnie zawiedziona. – Przecież byśmy ci pomogły...

– Wiedziałam, że ona w końcu wykręci jakiś numer – mamrotała ciotka Imogen. – Z taką czarną owcą w rodzinie trzeba uważać...

– Uspokójcie się wszystkie – próbowała przywołać je do porządku babcia. – Nie czas na wylewanie żali. Trzeba się zastanowić, jak rozwiązać tę sytuację. Pretensje do Margo możecie zgłaszać później.

Tylko ciotka Georgia dość nieudolnie próbowała mnie bronić, a ciotka Elsie milczała. W końcu jednak babci udało się przywrócić spokój. Następnie to ona jak zwykle przejęła dowodzenie, wypyując mnie o szczegóły.

Powiedziałam im wszystko.

O tym, że ciocia Georgia uczyła mnie magii, bo zdarzyło mi się kilka „wypadków”.

O tym, że prawdopodobnie Theo znalazł się w Inverness przeze mnie.

O tym, że mama wchodziła do domu Marshallów i zdawała się mnie przed nim ostrzegać, gdy ją odwiedziłam.

O tym, że Blair widziała w mojej sypialni coś dziwnego podczas swojej nocnej wycieczki.

– I co o tym sądzicie? – zwróciła się do ciotek babcia, kiedy wreszcie skończyła mnie wypytywać.

Siedziałam na oparciu fotela cioci Georgii jak na szpilkach, słuchając kolejnych zarzutów pod swoim adresem.

– Margo powinna była powiedzieć nam o tym wszystkim wcześniej – odezwała się kwaśno ciotka Imogen. – To wszystko może być oczywiście zbiegiem okoliczności, ale nie wydaje mi się. Gdybyśmy wiedziały wcześniej, mogłybyśmy urwać łeb tej hydrze, zanim się rozrosła...

– Przecież nie wiedziałam, że to coś niebezpiecznego! – wtrąciłam. – Nadal bym nie wiedziała, gdyby nie Chandler... Blair mogło się tylko wydawać, że widziała kogoś w mojej sypialni. Mama nigdy nie mówiła do mnie przytomnie, więc to też nie musiało niczego oznaczać. Nie byłam pewna...

– Ale miałaś wątpliwości, więc powinnaś była przyjść z tym do nas – przerwała mi łagodnie ciocia Lauren. – Przykro mi, Margo, ale wyjątkowo zgadzam się z moją siostrą. Georgia powiedziała, że śmierć twojego kota miała coś wspólnego z magią. Byłaś w tym czasie w tym samym pomieszczeniu! A gdyby coś stało się tobie?

Nie mogłam nie przyznać jej racji. Skinęłam głową, a w następnej chwili babcia zmieniła nieco

kierunek rozmowy.

– Zaklęcia ochronne, Ava. Zakładam, że rzuciłaś jakieś podstawowe?

– Oczywiście, standardowo, jak w każdym domu – potwierdziła ciotka Ava. – Głównie do ochrony przed ludźmi i zabłąkanymi bytami. Rozumiem, że chciałybyś wzmocnić ochronę?

– W tej sytuacji to raczej konieczne. – Babcia rzuciła mi zatroskane spojrzenie. – Nie przejmuj się, Margo, wszystko będzie dobrze. Bardzo mi przykro z powodu twojego kota, ale pomyśl, że gdyby nie on, nadal nie wiedziałybyśmy, że dzieje się coś złego.

– I nadal nie wiemy, co się dzieje – odparłam uparcie.

Ciotki popatrzyły po sobie.

– Margo, powiedziałam ci już, jaką magię tu wyczułam – powiedziała ciocia Georgia tonem, jakiego używa się wobec małego dziecka. – Rozumiem, że nie chcesz w to wierzyć, ale... obawiam się, że te sprawy mogą być połączone. Twoja i twojej mamy.

– Ale... mama trafiła do zakładu zamkniętego, bo przesadziła z zaklęciem – odparłam stanowczo. – Nie dlatego, że maczał w tym palce jakiś... zły byt!

Ciotki znowu wymieniły spojrzenia, a potem ciocia Georgia zapytała:

– Jesteś tego absolutnie pewna?



22. Jak poznać swoje korzenie

Znalezienie zaawansowanych zaklęć ochronnych, które ciotki mogłyby rzucić na mój dom, nie było takie łatwe. Ciotka Ava musiała w tym celu pojechać z babcią do domu na Culloden Road po księgi z zaklęciami. Zgłosiłam się na ochotnika, by wybrać się tam z nimi.

Drogę do domu rodzinnego odbyliśmy w milczeniu. Babcia była pogrążona we własnych myślach, a ciotka Ava wyraźnie na mnie obrażona, co manifestowała ostentacyjnym ignorowaniem mnie i moich pytań. W związku z tym w końcu i ja zamilkłam.

– Zadzwoń tylko szybko, dobrze? – rzuciłam do idących przede mną babci i ciotki, gdy weszliśmy do domu. – Idźcie, dogonię was w bibliotece.

Skręciłam do salonu, nie czekając na ich odpowiedź i wyciągając komórkę. Theo miał zadzwonić po tym, jak uciekł z mojego mieszkania, i oczywiście tego nie zrobił. Wobec tego ja postanowiłam się odezwać. Niestety kiedy przeczekałam kilka sygnałów, włączyła się poczta głosowa. Może on po prostu nie chciał ze mną rozmawiać.

– Zadzwoń do mnie, proszę, jak tylko to odsłuchasz – powiedziałam. – To naprawdę ważne. Dzięki.

Schowałam komórkę do kieszeni dresów i ruszyłam za ciotką i babcią do biblioteki. Obawiałam się o Theo. Jeśli coś z jego domu było w stanie zabić mi kota, on też mógł być w niebezpieczeństwie. Musiał o tym wiedzieć, nawet jeśli nie uwierzy. Może trzeba mu było udowodnić, że magia istnieje.

Dla ciotek to ja byłam priorytetem. Ja jednak wolałam martwić się o Theo.

Kiedy weszłam w końcu do biblioteki, ciotka Ava cicho klóciła się z babcią w kącie. Babcia jak zwykle była spokojna, ale ciotka wyglądała na wyprowadzoną z równowagi, co rzadko jej się zdarzało. Nie słyszałam nic z ich wymiany zdań, ale wyraz twarzy ciotki Avy i sposób, w jaki gestykulowała, były niepokojące.

– Margo, dobrze, że już jesteś. – Pierwsza zauważyła mnie babcia. Ciotka Ava zamilkła gwałtownie, gdy do nich podeszłam. – Chodźmy, nie mamy całego dnia.

Odwróciła się i ruszyła przodem, prosto do drzwi ukrytych między regałami, za które nie wolno mi było zaglądać.

Ciotka Ava pokręciła głową i wyminęła mnie bez słowa.

– Dlaczego babcia może być spokojna, a ty musisz się na mnie złościć, ciotciu? – zapytałam nagle. – Wiem, że spieprzyłam. Mój martwy kot uświadomił mi to bardzo dosadnie! Naprawdę musisz mi jeszcze dokładać?!

Wiedziałam, że mi się dostanie, ale musiałam to powiedzieć.

– Widocznie muszę – odparła. – Od dawna mówiliśmy ci, że powinnaś się podjąć szkolenia. Że bez tego możesz stać się niebezpieczna dla siebie i dla otoczenia. Miałyśmy rację, ale ty z oślim uporem to ignorowałaś, bo tak było ci wygodniej. Okłamywałaś nas i w dodatku wciągnęłaś w to Georgię! A gdybyś niechcący zrobiła jej krzywdę podczas waszego szkolenia? Jak wtedy byś się czuła? Prosiłyśmy cię, żebyś nie wchodziła do domu Marshallów, ale to też zignorowałaś, bo wiedziałaś lepiej. Bardzo się na tobie zawiodłam, Margo.

Zasługiwałam na każde jej słowo. Ale czy naprawdę wszystko było moją winą?

– To nie moja wina, że w domu Marshallów siedzi coś złego – odpowiedziałam ze złością. –

Gdybyście od początku powiedziały mi o tym wprost, zamiast rzucać głupimi zakazami, na pewno bym się do niego nie zbliżyła.

– Gdybyś od początku zgodziła się na szkolenie w zakresie magii, wtajemniczyłybyśmy cię we wszystko w odpowiednim czasie.

– Czyli to miał być jakiś rodzaj kary? – zapytałam zirytowana. – Nie chcesz uczyć się magii, więc nie powiemy ci o niczym, co dotyczy twojej rodziny? Naprawdę uznaliście, że to będzie najlepsze wyjście?

– Nigdy nie przejawiałaś tym żadnego zainteresowania.

– Bo mnie do niczego nie dopuszczaliście! – W końcu podniosłam głos. – Utrzymujecie mnie w niewiedzy, a potem macie pretensje, że robię coś nie po waszej myśli! A ty, ciociu? Jestem pewna, że w głębi duszy jesteś na mnie zła głównie o to, że poprosiłam o lekcje ciocię Georgię, a nie ciebie. Bo to przecież ty szkolisz wszystkie czarownice w tej rodzinie!

Ciocia Ava z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Uważasz, że zawsze myślimy tylko o sobie, tak jak ty? – prychnęła, a mnie zrobiło się głupio. – To nie w porządku, Margo. Zawsze chciałyśmy ci tylko pomóc. To nie ja tu jestem niewdzięczna.

Odwróciła się i zostawiła mnie samą. Powlekłam się za nią, z żalem myśląc, że ciocia ma rację.

Druga biblioteka była chroniona czarami przed wzrokiem nieproszonych gości. Oprócz książek na sięgających sufitu regałach stały także różne składniki w pojemniczkach, słoikach i fiolkach. Ciocia Lauren używała ich do przyrządzania wywarów. W pomieszczeniu nie było żadnego okna, a całość rozświetlały nowoczesne światła punktowe umieszczone w rogach pokoju.

Na środku pomieszczenia stał duży stół, obecnie wysprzątnany i pusty. Ustawiono wokół niego cztery fotele. Nad stołem zwisała dodatkowa lampa. Biblioteka wydawała mi się mniejsza, niż zapamiętałam to z mojej jedynej wizyty w dzieciństwie. Pewnie dlatego, że wtedy wszystko robiło na mnie większe wrażenie.

Babcia stała już przy jednym z regałów i wybierała odpowiednie książki. Potem przesunęła się do drugiego i z niego również coś zdjęła. Ponieważ nie zamierzałam już odzywać się do ciotki Avy, stałyśmy obok siebie w milczeniu, póki do nas nie podeszła.

– Zaklęcia ochronne – powiedziała, wręczając ciotce kilka opasłych ksiąg, w tym dwie bardzo zakurzone i najwyraźniej stare. – Razem znajdziemy coś, co będzie nadawało się do rzucenia na dom Margo i na nią samą.

– Na mnie? – wyrwało mi się.

Babcia utkwiała we mnie wzrok, po czym wręczyła mi ostatnią książkę.

– Oczywiście, że tak. Czymkolwiek jest ta magia, którą wykryła u ciebie Georgia, jest powiązana z tobą. Chcemy, żebyś była bezpieczna nie tylko w swoim domu, ale także poza nim.

Może udałoby mi się je namówić, żeby rzuciły podobne zaklęcia na Theo?

– Przejrzyj to – poleciła mi babcia, wskazując głową książkę. – To odpowiedni tom historii naszej rodziny. Obejmuje te lata, w których czarownica rzuciła klątwę na dom Marshallów. Przydaj się do czegoś, zobacz, co dokładnie jest tam na ten temat napisane. Może dowiemy się czegoś więcej.

Spuściłam wzrok na książkę. Chciałam się do czegoś przydać.

Kolejne pół godziny spędziłam w jednym z foteli, zapoznając się z historią moich przodków. Szło mi opornie, bo była napisana po gaelicku, którego rzadko używałam, w dodatku nie do końca współczesnym.

W końcu zamknęłam książkę z westchnieniem. Wstałam z fotela i podeszłam do ciotki i babci, zaglądając tej pierwszej przez ramię.

– Znalazłyście coś ciekawego? – zagadnęłam.

Babcia skinęła głową.

– Tak sądzimy. A ty?

– Mary Talbot – powiedziałam. – Tak nazywała się ta czarownica, która rzuciła klątwę na dom Marshallów. W osiemnastym wieku Alistair Marshall wybudował go dla swojej świeżo poślubionej żony. Nie wiedział albo zignorował fakt, że złamał tym samym serce czarownicy. Mary Talbot postanowiła się zemścić i dlatego rzuciła klątwę.

– Z tego, co pamiętam, żona Marshalla umarła wkrótce przy porodzie – wtrąciła babcia.

Skinęłam głowę.

– Tak, ale wtedy nikt nie uważał tego za nienaturalne. Dopiero potem się zaczęło. Jakieś wypadki, dziwne zdarzenia na terenie domu. W dodatku Mary nadal miała obsesję na punkcie Marshalla, a kiedy umarła jego żona, ta jeszcze się pogorszyła. W końcu nawet mieszkańcy Inverness zorientowali się, co się dzieje. Wszyscy wiedzieli, że jest czarownicą. Oskarżyli ją o zabicie żony Marshalla, a czarę goryczy przelał wypadek jego syna, w którym dzieciak o mało nie zginął. Uznano, że całe zło, które spadło na tę rodzinę, było jej sprawką. Doszło do samosądu. Uczestniczyły w nim również członkinie naszej rodziny.

– Owszem – potwierdziła babcia. – Tę część historii przekazujemy sobie ustnie od lat, z pokolenia na pokolenie, żeby była dla McKenziech ostrzeżeniem. To może ci się wydawać niesprawiedliwe, Margo, ale tak należało postąpić. Nasza rodzina nie mogła pozwolić, żeby mieszkańcy Inverness zaczęli się bać i nienawidzić wszystkich czarownic, a czyny Mary właśnie do tego mogły doprowadzić. Nie bez powodu żyjemy z sąsiadami w zgodzie i w razie konieczności proponujemy pomoc. Pamiętaj, że kiedyś w całej Europie polowano na czarownice i palono je na stosach. Pokojowa koegzystencja z ludźmi to dla nas podstawa. Jeśli ktoś ją narusza, musimy interweniować.

Pokiwałam głowę, bo o tym wcześniej nie pomyślałam. Tu, gdzie mieszkaliśmy, czarownice mogły żyć spokojnie, zwłaszcza gdy wtapiały się w tłum jak moja rodzina i ja – ale przecież nie zawsze i nie wszędzie tak było. Rozumiałam babcie, która przekazywała rodzinie wskazówki, co robić, by nie doprowadzić do paniki zakończonej polowaniem na czarownice. Jasne, świat szedł do przodu i kolejna inkwizycja nam nie groziła, ale nawet w dwudziestym pierwszym wieku ludzie bali się tego, czego nie rozumieli, a wtedy często reagowali agresją.

– Więc nasze przodkinie uznały, że najlepszym wyjściem będzie likwidacja zagrożenia? – podsumowałam cierpko.

– To zabrnęło za daleko. Kiedy na Mary odbył się samosąd, niewiele już dało się zrobić. Można było tylko minimalizować straty. Gdyby czarownice z naszej rodziny się nie wtrąciły, schwywanie Mary nie byłoby takie proste. Dzięki nim przynajmniej nikt poza Mary nie zginął.

– Ale ona zginęła. Powiesili ją. – Zrobiło mi się niedobrze na myśl o tamtym ustępie książki. – Nie spalili na stosie, ale właśnie powiesili. A potem wywieźli ciało za miasto i pochowali w niepoświęconej ziemi.

– O tym wszystkim słyszałam od mojej mamy – potwierdziła babcia. – Ale czy jest tam coś jeszcze? Coś, co sugerowałoby, że poza kłutwą w domu Marshallów może się znajdować coś złego?

Zawahałam się.

– Niewiele poza tym – mruknęłam. – Podobno zanim ją powiesili, Mary Talbot odgrażała się, że kiedyś powróci i zemści się na wszystkich.

Babcia wymieniła znaczące spojrzenia z ciotką. Potem zapytała:

– A jakieś szczegóły dotyczące jej śmierci? Gdzie to się odbyło?

– Nic poza tą informacją o pochowaniu jej. I... – zawahałam się znowu. – Nasza przodkini, która spisywała tę historię, przyznała w niej, że to ona założyła Mary pętlę na szyję. Enid McKenzie.

– Enid McKenzie – powtórzyła babcia. – Wiesz, że to twoja prababka? Nie pamiętam, ile pokoleń wstecz, ale to na pewno nasza przodkini, nie żadna boczna odnoga rodu. I z tego, co pamiętam, ostatnia czarownica przed twoją matką, która potrafiła tworzyć zaklęcia.

– Co to właściwie oznacza? – Rozłożyłam bezradnie ręce. – Co spodziewałaś się znaleźć w tej historii, babciu? Jestem pewna, że masz jakieś swoje podejrzenia.

– Oczywiście, że mam – potwierdziła z westchnieniem. – Ale opowieść Enid McKenzie wcale ich nie potwierdziła ani nie rozwiała. Szkoda, że nie opisała wszystkiego dokładniej. Widzisz, Margo, teoretycznie jest możliwe, że dusza Mary Talbot została na ziemi, kiedy czarownica zginęła. Mogła przycześć się do miejsca, w którym umarła, by czekać tam na odpowiedni moment.

– Odpowiedni moment? – Zmarszczyłam brwi. – To znaczy jaki?

– Trudno powiedzieć – odpowiedziała z namysłem. – Zważ jednak na to, co przeczytałaś w książce. Mary Talbot odgrażała się, że powróci i dokona zemsty. Tymczasem pojawiłaś się ty, bezpośrednia potomkini Enid McKenzie, w dodatku z takimi samymi umiejętnościami jak ona. Weszłaś

na teren domu Marshallów, podobnie jak twoja matka. Jeżeli rzeczywiście jest tak, jak myślę, jeśli tamta czarownica przyczepiła się do domu Marshallów i coś z niej w nim pozostało, powinniśmy pospieszyć się z zaklęciami ochronnymi.

Czułam, jak cała krew odpływa mi z twarzy.

– Sądziś, że ona może chcieć mnie zabić? – wykrztusiłam. – Za tamtą McKenzie, która zabiła ją?

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – wtrąciła się pospiesznie ciotka Ava, najwyraźniej nie chcąc mnie straszyć bardziej, niż już zrobiły to babcia i moja własna wyobraźnia. – Tak naprawdę wciąż nie wiemy, co się dzieje. Jedyne, co jest pewne, to że na wszelki wypadek powinniśmy rzucić te zaklęcia.

– Nie wiemy? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Czy to nie jest oczywiste? Blair widziała kobietę w drzwiach mojej sypialni. Słyszałam, jak ktoś mówi do mnie w domu Marshallów. Naprawdę macie jeszcze wątpliwości? Ta czarownica jakimś cudem tam siedzi i wyraźnie czegoś ode mnie chce. Pewnie mnie zabić, tak jak zabiła mojego kota!

– Nie panikuj, Margo, proszę. – Dopiero po słowach babci uświadomiłam sobie, jak bardzo podniosłam głos. – Odwiedziłaś dom Marshallów jakiś czas temu. Gdyby była w stanie, już dawno by cię zabiła, zakładając, że rzeczywiście tam jest i tego chce. Ale to tylko podejrzenia. Potrzebujemy więcej informacji, zanim podejmiemy kolejne kroki, a na razie musimy zapewnić ci bezpieczeństwo. Nie pozwolimy, żeby stało ci się coś złego, obiecuję.

Tymi słowami babci udało się mnie odrobinę uspokoić.

– Zbierzemy wszystkie potrzebne składniki i wrócimy teraz do twojego domu, żeby rzucić zaklęcia – dodała ciocia Ava. – Możesz nas na chwilę zostawić? Poczekaj na nas w holu.

Pokiwałam głową i odwróciłam się na pięcie. Skoro nie chciały mnie przy tej rozmowie, chociaż z pewnością mnie dotyczyła, to nie mogło oznaczać nic dobrego. Wymaszerowałam z biblioteki, po drodze odkładając na stół książkę o historii McKenziech.

W holu napotkałam na schodzącą po schodach Willow. Ścisnęła w ręce komórkę i była wyraźnie wściekła, a na mój widok zasznurowała usta w wąską kreskę.

– Rozmawiałam właśnie z moją matką – rzuciła na przywitanie. – Wszystko mi powiedziała.

Nie miałam siły ani ochoty się z nią konfrontować.

– Możesz dać mi spokój, Willow? Nie mam teraz głowy do zajmowania się bzdurami.

– Zrobiłaś ze mnie idiotkę – syknęła. – Wyczarowałaś go? Zaprosiłam go do nas na pieprzoną kolację, a ty nawet się nie zająknęłaś, że go wyczarowałaś? To jest w ogóle możliwe?!

– Nie wiem, Willow. Sama ciągle próbuję to zrozumieć.

– Dlaczego ty zawsze to robisz? – warknęła, nadal ignorując moje słowa. Jej nie zależało na rozmowie, ale na tym, żeby się wykrzyzczyć. – Zabierasz mi wszystko! Nawet on... Teraz rozumiem, dlaczego na mnie nie spojrzysz, skoro wyczarowałaś go dla siebie! I znowu wszyscy muszą się tobą zajmować, ratować cię i ci pomagać. Dlaczego ty zawsze musisz robić dookoła siebie tyle szumu?

– Nie rozumiesz, że nie robiłam tego specjalnie? – Tym zarzutem mnie wkurzyła. – Myślisz, że tego chciałam? Żeby mój kot zginął, a moja mama trafiła do szpitala?! Żeby jakikolwiek facet interesował się mną tylko dlatego, że go wyczarowałam?!

– To jedyny sposób, żeby jakikolwiek facet się tobą zainteresował! – odparowała natychmiast. – Powinnaś się cieszyć, że dostałaś chociaż tyle! Wiesz, Margo, jesteś naprawdę żalonna. I najwyraźniej zdesperowana!

– Och, zamknij się – mruknęłam.

– Nie rozumiem, po co w ogóle dostałaś te umiejętności – dodała z wściekłością. – Nie wiesz, jak się nimi posługiwać, nic nie umiesz, możesz jedynie rzucać przypadkiem jakieś bzdurne zaklęcia. Nawet twoja głupia matka potrafiła więcej!

– Willow, ostrzegam cię ostatni raz – powiedziałam złowieszczo spokojnie – żebyś nie wspominała o mojej matce.

– Niby dlaczego? Przecież mam rację! – krzyknęła. – Twoja matka była nieudacniczką zupełnie jak ty, ale przynajmniej przeszła szkolenie. Co i tak w niczym jej nie pomogło, bo była beznadziejna. A skoro jesteś taka sama jak ona, pewnie skończysz jeszcze gorzej! Trzymam kciuki, żebyś wysadziła

się w powietrze przy którejś próbie rzucenia zaklęcia!

– Czy ty jesteś całkiem normalna? – zapytałam z ledwie hamowaną wściekłością. – Dlaczego się na mnie wkurzasz? W czym ja ci zawiniłam, a tym bardziej moja mama? To nie moja wina, że nie dostałaś żadnych dodatkowych umiejętności... Może nie bez powodu, wiesz? Może to ty jesteś tu największą nieudaczniczką?

Nie zauważyłam, kiedy Willow złożyła ręce do zaklęcia i wyszeptała jakieś słowo – poczułam tylko uderzenie, które wycisnęło mi powietrze z płuc i rzuciło mną z impetem o ścianę. Moje żebra odpowiedziały ostrym bólem. Oszołomiona, przez chwilę nie rozumiałam, co się stało. Osunęłam się na podłogę, gdy zrobiło mi się ciemno przed oczami, ale do rzeczywistości przywrócił mnie ból klatki piersiowej.

– Willow! Co ty robisz, na litość boską?! – dobiegł mnie pełen niedowierzania okrzyk ciotki Avy.

Jęknęłam, próbując pozbierać się z podłogi. Willow tymczasem podeszła bliżej, co rozpoznałam po stukocie jej szpilek, po czym powiedziała:

– Nigdy więcej nie sugeruj, że jestem nieudaczniczką, jasne? Sama widzisz, że potrafię dużo więcej od ciebie.

Po czym odeszła, chociaż ciotka krzyczała za nią, że pożałuje. Jasne. Jak znałam ciotkę Imogen, z pewnością przekona wszystkich, że to była moja wina.

– Nic ci się nie stało, Margo? – Ciotka Ava uklękła przy mnie i pomogła mi usiąść. – Nie przejmuj się Willow. Zajmiemy się nią później i nie pozwolimy, żeby uszło jej to na sucho. Czy ona całkiem zwariowała...

– Chyba tak jakby ją sprowokowałam. – Uśmiechnęłam się krzywo. – Ale wołałabym, żeby to się nie powtórzyło. Lubię swoje żebra w całości. Jeśli już ktoś ma mnie zabić, niech to będzie obca czarownica, a nie moja własna rodzina.

– Przestań tak mówić – ofuknęła mnie ciotka, ale widziałam, że kąciki jej ust podniosły się nieznacznie. – Wszystko w porządku? Jesteś w stanie iść? Musimy jak najszybciej zająć się tymi zaklęciami.

– To już nie jesteś na mnie zła? – mruknęłam, chwiejnie stając na nogach. Na szczęście chyba nie stało mi się nic poważnego.

– Miałaś trochę racji – westchnęła w odpowiedzi. – Rzeczywiście miałam do ciebie pretensje o to, że poprosiłaś o lekcje Georgię zamiast mnie. Zabolalo mnie, że nie masz do mnie zaufania, Margo, rozumiesz?

Skinęłam głową.

– Oczywiście, że rozumiem. Przepraszam, ciociu. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

Ciocia uśmiechnęła się do mnie z otuchą, a potem ruszyłyśmy w drogę.

Miałyśmy sporo zaklęć do rzucenia.



23. Jak ochronić dom przed złem

– Że co mam zrobić?

Nigdy wcześniej nikt nie rzucał zaklęć bezpośrednio na mnie, a teraz ciotki były całkowicie skupione na mojej osobie. To było takie dziwne. Już wolałabym, żeby najpierw zajęły się domem.

– Wypić to – powtórzyła cierpliwie ciotka Lauren, podając mi kubek z czymś dziwnym w środku.

Zajrzałam do niego i powąchałam zawartość. O Jezu.

– Co to jest? – zapytałam nieufnie.

Ciocia Lauren westchnęła.

– Uwierz mi, nie chcesz wiedzieć. Po prostu to wypij.

Ciocia Ava kredą rysowała na panelach w przedpokoju jakieś dziwne znaki, czemu przyglądałam się z niepokojem i nadzieją, że będzie się to potem dało zmyć. Skrzywiłam się, zatykając nos. Wypiłam duszkiem wywar, nie dając sobie czasu na zastanowienie się nad jego smakiem. Mimo wszystko poczułam, że był paskudny. Odłożyłam kubek na kuchenny bar i popatrzyłam z pretensją na ciocię Lauren.

– To kara za okłamywanie was czy to paskudztwo naprawdę ma przynieść jakiś efekt?

– No wiesz! – prychnęła ciocia z oburzeniem. – Skoro już wypijaś, to mogę ci powiedzieć, że ten gorzki smak to pewnie przez piołun. Poza tym nie było w nim nic niebezpiecznego. To wywar na wzmocnienie. Dzięki niemu zaklęcia powinny lepiej zadziałać, bo będziesz silniejsza.

– Nie czuję się silniejsza – mruknęłam.

– Nie musisz się czuć. Ważne, że twoja aura taka będzie.

Wzruszyłam ramionami, bo nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. I chyba nie chciałam wiedzieć.

– A to? – Kiwnęłam głową w stronę ciotki Avy. – To też ma mnie wzmocnić?

– Zadajesz za dużo pytań – zauważyła ciotka Georgia, po czym chwyciła mnie za ramię i ustawiła pośrodku wyrysowanych przez ciotkę Avę wzorów. – Nie ruszaj się stąd, jasne?

Nawet gdybym nie usłyszała tego polecenia, pewnie i tak bym się nie ruszyła, za bardzo zainteresowały mnie same rysunki. Spojrzałam pod nogi, dochodząc do wniosku, że są podobne do tych, które pamiętałam z dzieciństwa, z tamtego dnia, gdy mama postradała zmysły. Nie takie same, ale w podobnym stylu. Nic dziwnego, skoro ciotki korzystały z tej samej magii co moja mama.

Przez kolejne minuty ciotki stały wokół mnie, mamrocząc różne słowa po gaelicku. Czulałam ich magię w całym pomieszczeniu niczym wyładowania elektrostatyczne. Podniosła mi nawet włoski na przedramionach.

A potem nagle poczułam się inaczej. Dziwnie. Jakby coś we mnie wtłoczono, jakby nagle w moich wnętrznościach zrobiło się mniej miejsca. Skuliłam się, zrobiło mi się niedobrze i straciłam grunt pod nogami. Upadłam na podłogę, objając sobie boleśnie kolana. Złapałam się za brzuch. Głowa chciała mi pęknąć, aż z oczu polały się łzy.

– Margo, wszystko w porządku? – zawołała zaniepokojona ciotka Lauren.

Ciotka Ava natychmiast ją ofuknęła.

– Nic jej nie jest, uspokój się! Jak ty byś się poczuła, gdyby sześć czarownic naraz wtłaczało

w ciebie zaklęcia?

Po chwili szum w uszach sprawił, że przestałam słyszeć cokolwiek, nawet wymianę zdań między ciotkami. Zamrugałam, próbując pozbyć się łez, i nagle poczułam coś ciepłego na twarzy; gdy przyłożyłam do tego miejsca dłoń, ze zdziwieniem stwierdziłam, że została na niej krew. Najwyraźniej sączyła mi się z nosa.

A potem wszystko ustąpiło tak nagle, jak się pojawiło; kątem oka zauważyłam, że ciotka Ava przesunęła butem po znaku na podłodze, rozmazując część kredy, a ciotka Georgia rzuciła się, by pomóc mi wstać. Nogi miałam jak z waty, gdy posadziły mnie na sofie w salonie, i jeszcze przez chwilę kręciło mi się w głowie. Ciocia Lauren podała mi chusteczki, za które podziękowałam słabym uśmiechem.

– To po to był ten wywar – wymamrotałam.

Ciocia Lauren skinęła głową.

– Ava wybrała silne zaklęcia. Obawialiśmy się, że możesz na nie źle zareagować...

– Nie było tak źle – przerwała jej ciocia Ava z pobłażaniem. – Kiedy ja próbowałam tego zaklęcia pierwszy raz na Georgii, zemdląca. A wtedy rzucałam je sama.

– Chyba celowo tak, żebym straciła przytomność – wytknęła jej ciocia Georgia, gdy zajęłam się ścieraniem krwi z twarzy.

Zanim ciotki zdążyły się pokłócić, do rozmowy wtrąciła się babcia.

– Pozostała jeszcze kwestia rzucenia zaklęć na dom. Elsie, zostań, proszę, z Margo. Wołaj nas, gdyby coś się działo.

Ciotki się rozbiegły. Najwyraźniej wiedziały, co robić. Śledziłam je wzrokiem; babcia z ciotką Avą wyszły na zewnątrz (jeśli zobaczy je mój sąsiad, uzna mnie za świruskę, przemknęło mi przez głowę), a reszta została w środku, rzucając zaklęcia przy każdym oknie. Ciotka Lauren zaczęła palić jakieś zioła. Miałam nadzieję, że nie puszcza mi domu z dymem.

– Wszystko w porządku, Margo? – zapytała w pewnym momencie ciocia Elsie.

– Tak, w porządku. To nic takiego, zaraz mi przejdzie.

– Nie o to pytałam. – Oczy cioci błysnęły zza szkielek okularów. – Chodzi mi o to, że nie mogę nic z ciebie wyczytać.

– Nic ze mnie wyczytać? – powtórzyłam, marszcząc brwi. – Masz na myśli, że nie potrafisz przepowiedzieć mi przyszłości, ciociu?

– Zupełnie nie. – Ze smutkiem potrząsnęła głową. – Odkąd twoja babcia zorientowała się, że odziedziczyłaś zdolności po swojej mamie, próbuję się do ciebie dostać. Zawsze jednak mam przed oczami pustkę. Obawiam się, że to nie jest naturalne... Że ktoś albo coś może blokować moje obrazy.

– Mówiłaś o tym babci?

– Wspominałam – przyznała. – Uważa, że mamy teraz większe problemy na głowie. Nigdy wcześniej jednak nie spotkałam się z czymś takim i mnie to zaniepokoiło. Nie wiem, ile trzeba mieć mocy, by uniemożliwić medium wizje. Nie podoba mi się to, dlatego zapytałam, czy wszystko w porządku.

Powoli pokiwałam głową. Czy istniała jakaś prawidłowa reakcja na tę informację?

– Nie mam pojęcia, co mogłoby blokować twoje wizje, ciociu, zakładając, że to możliwe. – Zamyśliłam się, a potem dodałam: – Czytałam ten tom historii McKenziech, który opowiadał o śmierci Mary Talbot. Kojarzysz, ciociu?

– Oczywiście – przytaknęła. – Każda kobieta w rodzinie zna tę historię. To przestroga przed tym, co dzieje się z czarownicami, gdy nie potrafią żyć w zgodzie z lokalnym społeczeństwem.

– Enid McKenzie wspominała w tej historii, że Mary Talbot została powieszona – kontynuowałam. – Nie było jednak napisane, gdzie to się stało.

– Znam tylko tę wersję historii, która była nam przekazywana ustnie. – Ciocia zamyśliła się na chwilę. – Mam jednak wrażenie, że chodziło o drzewo na terenie należącym do domu Marshallów. Dlaczego o to pytasz?

– Drzewo wisielców! – przypomniałam sobie. – Usłyszałam to od mamy, zanim zabrali ją na operację. Już wtedy wydawało mi się dziwne, że powiedziała to tak... przytomnie. A teraz słyszę, że tamtą czarownicę powieszono na jakimś drzewie. Myślisz, że to może mieć związek? Że mama odnosiła

się do tego wydarzenia? Skoro to, co się z nią działo, i to, co dzieje się teraz ze mną, jest jakoś połączone, może o to chodzi? O tę czarownicę? Jeśli zginęła niedaleko domu Marshallów, może jej duch, byt, jakkolwiek to nazwać, rzeczywiście dalej tam siedzi? Może to chciała mi wtedy przekazać mama?

Ciocia Elsie przez chwilę przyglądała mi się bez słowa.

– Właśnie tego się obawiamy – przyznała w końcu niespiesznie. – Że to jakiś rodzaj energii, która przyczepiła się do tego domu po śmierci czarownicy. Ale potrzebujemy czasu, żeby to zweryfikować.

– A co przez ten czas będzie się działo z Theo? – zapytałam, nieco zirytowana. – Mam pozwolić mu tam umrzeć?

– Skoro przeżył tyle czasu, pewnie nie zginie tak szybko – zauważyła rozsądnie, co jednak wcale mnie nie uspokoiło. – Poza tym masz rację. Powinno się go zmusić do opuszczenia domu, choćby na jakiś czas. Skoro to coś potrafiło zabić ci kota, jest niebezpieczne.

Tyle to i ja wiedziałam. Gdybym wiedziała jeszcze, co to dokładnie było, jak z tym walczyć – i jak to zabić – moja wiedza byłaby kompletna.

Komórka w mojej kieszeni rozdzwoniła się, zanim zdążyłam coś odpowiedzieć cioci. Na wyświetlaczu zobaczyłam imię Theo. Przeprosiłam pospiesznie i uciekłam do sypialni, w której obecnie nie przebywała żadna z moich ciotek.

– Cześć, Margo. Właśnie odsluchiałem twoją wiadomość. – Theo brzmiał poważnie. – Przepraszam, że dopiero teraz oddzwaniam.

– Nic się nie stało – zapewniłam go pospiesznie.

– Obiecałem, że zadzwonię wczoraj, i tego nie zrobiłem. Wybacz. Musiałem sobie to wszystko poukładać w głowie.

– I poukładałeś? – zapytałam ostrożnie, gdy zamilkł na chwilę.

Theo westchnął.

– Chciałem to sam sprawdzić i... wydaje mi się, że z tym domem rzeczywiście jest coś nie tak. Ale nic z tego nie rozumiem i miałem nadzieję, że może mi wytłumaczysz... Chciałem się z tobą spotkać.

Tym razem to ja westchnęłam, z ulgą. Cieszyłam się, że przyjął to w ten sposób i doszedł do logicznych wniosków.

– To dobrze. Mogę oddzwonić później, żeby ustalić szczegóły? – poprosiłam, bo wolałam zrobić to, kiedy moich ciotek nie będzie w pobliżu. – Wymyślę coś...

– Może tym razem ja cię gdzieś zabiorę? – wszedł mi w słowo. – Wiem, że Inverness to twoje miasto, ale daj mi na nie spojrzeć oczami Anglika turysty. Jestem pewien, że znajdę coś ciekawego.

– No dobrze. – Zaśmiałam się. – Czwartą?

– W takim razie jesteśmy umówieni. Podjadę po ciebie – oświadczył, na co dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie.

Pożegnałam się z nim, niepewna, czy cieszyć się na to spotkanie, czy wręcz przeciwnie. Przyda mi się oderwanie uwagi od wszystkich złych rzeczy, które ostatnio się wydarzyły, ale obawiałam się, że Theo może mnie nie posłuchać, nawet jeśli brzmiał na otwartego na moje wyjaśnienia.

Gdy tylko się rozłączyłam, spostrzegłam, że podczas naszej rozmowy próbował się ze mną skontaktować Ross. Od razu oddzwoniłam.

– Cześć, Margo. Przepraszam, że tyle to trwało – powiedział na przywitanie. – Zrobiłem badania Chandlerowi. Tak jak myślałem, miał strzaskany kręgosłup i miednicę, pęknięty pęcherz i wątrobę. Nie potrafię wyjaśnić, w jaki sposób mógł się nabawić takich obrażeń w domu. Podobne widuję u kotów po wypadkach i niestety zawsze kończą się śmiercią zwierzaka. Takich obrażeń nikt nie byłby w stanie wyleczyć.

Nawet moje ciotki, które znały się na magii. Mój dobry humor po rozmowie z Theo ulotnił się natychmiast. Usiadłam ciężko na łóżku, trawiając słowa Rossa. Moje przedłużające się milczenie musiało mu dać do myślenia, bo po chwili zapytał z niepokojem:

– Margo, wszystko w porządku? Naprawdę mi przykro, że to mu się przytrafiło... Twój kot był takim kochanym zwierzakiem.

– Tak, był. – Odruchowo przetarłam oczy, ale były suche, chociaż w swoim głosie słyszałam

chrypkę, jakbym miała się rozplakać. – Dziękuję... za wszystko, Ross. Dziękuję, że go zbadałeś. Czy możesz też...

– Go skremować? – wszedł mi w słowo. – Oczywiście. Jest w dobrych rękach. Bardziej niepokoję się o ciebie. Nie znam się na magii tak jak ty, ale twoja ciotka sugerowała, że śmierć Chandlera mogła mieć z nią coś wspólnego...

– To jeszcze nic potwierdzonego – zaprzeczyłam pospiesznie. – Niczego nie wiemy na pewno.

– Tym bardziej się martwię – powtórzył uparcie. – Nie chciałbym, żeby zagroziło ci to coś, co zabiło Chandlera. Jeśli mógłbym...

– Nie musisz się o to martwić – przerwałam mu. – Moje ciotki już się tym zajmują.

– Ale...

– Mówię poważnie, Ross. Będzie lepiej, jeśli postarasz się trzymać od tego z daleka. Potrafię o siebie zadbać i moja rodzina mi w tym pomoże. Nie chcę, żeby przeze mnie coś złego stało się komuś jeszcze... Nauczka w postaci Chandlera mi wystarczy.

– Jeśli chcesz mi przez to powiedzieć, że powinienem trzymać się od ciebie z daleka, to ostrzegam, że to nie przyniesie rezultatów.

– Ale dlaczego, Ross? – zapytałam z frustracją. – Między nami nic nie ma. Nie masz żadnego obowiązku, żeby się o mnie troszczyć czy tkwić przy mnie, kiedy dzieje się coś złego. Przeciwnie, nie chcę tego, bo boję się, że tobie też mogłaby stać się krzywda! Dlaczego nie potrafisz tego zrozumieć i mnie posłuchać?

– Bo jestem pewny, że Theo Thorne tego nie robi – usłyszałam w odpowiedzi.

W myślach powoli policzyłam od dziesięciu do zera, wyobrażając sobie, że jestem kwiatem lotosu. Nie chciałam znowu niczego przypadkiem stłuc ani zepsuć, a podczas rozmowy z Rossem mogło się zdarzyć wszystko. Ale to jego wina, skoro mnie wkurzał.

– Więc o to chodzi? O jakąś pieprzoną męską rywalizację? – syknęłam. – To nie jest odpowiedni moment, Ross. Moja mama jest w szpitalu, mój kot nie żyje, a moje ciotki właśnie rzucają zaklęcia na mój dom!

– Dobrze, może źle się wyraziłem – powiedział uspokajająco. – Zamierzam być przy tobie, bo chcę ci pomóc, Margo. Chcę ci wspierać, żebyś mogła się do mnie zwrócić, jeśli znowu będziesz mieć problem. Nie chcę natomiast, żebyś szła z tym do niego.

Nie rozumiałam, jakim cudem ten człowiek mógł równocześnie tak bardzo mnie wkurzać i rozczulać. Ross był wytrwały i uparty. Nie wiedziałam, czy się na niego wściekać, czy podziękować i pozwolić mu robić, co chce.

Ale skąd miałam wiedzieć, że gdybym go od siebie odsunęła, byłby bezpieczny? Może w ten sposób pozbawiałam go ochrony, którą mogłabym mu dać?

– Dziękuję ci za badania i zajęcie się Chandlerem, Ross – ucięłam w końcu rozmowę. – To dużo dla mnie znaczy, że przyjechałeś tak wcześnie, żeby mnie pocieszyć.

– To nic takiego – zapewnił mnie ciepło. – Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń. A ja odezwę się za jakiś czas, kiedy już wszystko się uspokoi. Żeby się z tobą umówić.

Uśmiechnęłam się słabo. Mogłam się domyślić, że Ross nie odpuści.

– Dobrze – odpowiedziałam, bo nie miałam ochoty więcej się z nim kłócić. – Jesteś bardzo wytrwały.

– Zawsze jestem wytrwały, gdy na czymś mi zależy, Margo.

Pożegnałam się z nim, po czym westchnęłam. Dlaczego on musiał mi tak mieszać w głowie?

Obawiałam się, że kiedy wrócę do salonu, zastanę swój dom pogrążony w kłębach dymu, ale nic takiego nie nastąpiło. Wręcz przeciwnie: ciotki pootwierały okna i w pokoju zrobiło się chłodno i przyjemnie. Wciągnęłam głęboko w płuca świeże powietrze.

– I co, już? – zapytałam, rozglądając się dookoła.

Ciotka Georgia, ciotka Lauren, ciotka Elsie i ciotka Imogen krzątały się, sprzątając pozostałości po rzucaniu zaklęć. Ciotka Georgia obejrzała się na mnie, marszcząc brwi; dopiero wtedy się zorientowałam, że nerwowo obracam trzymaną w ręce komórkę.

– Twoja babcia i Ava kończą jeszcze na zewnątrz – powiedziała. – Teraz powinnaś być

bezpieczna. Jakiś nieprzyjemny telefon?

– Dzwonił Ross – odparłam, nienawidząc się za to, że znowu je okłamuję. Byłam jednak pewna, że gdybym wspomniała o planowanym spotkaniu z Theo, zabroniłyby mi iść. A nie mogłam go przecież zostawić bez pomocy. – Zrobił badania Chandlerowi. Miał połamaną większość kości.

– Naprawdę mi przykro, Margo. – Ciocia podeszła bliżej i położyła mi rękę na ramieniu. – Nie miej do siebie pretensji. Nikt z nas nie mógł wiedzieć, że to się tak skończy.

Uśmiechnęła się do mnie pokrzepiająco, pokiwałam więc głową, chociaż nie było mi łatwo pozbyć się wyrzutów sumienia.

Po chwili podeszła do nas ciotka Imogen.

– Mogę zamienić parę słów sam na sam z Margo? – zapytała.

Wymieniłam zaskoczone spojrzenia z ciotką Georgią, ale skinęłam głową i zaprosiłam ciotkę Imogen do swojej sypialni. Kiedy tylko zamknęłam drzwi, ciotka powiedziała dziwnie łagodnym tonem, jaki słyszałam z jej ust naprawdę rzadko:

– Dzwoniła do mnie Willow. Wiem, co między wami zaszło w domu. Jest jej bardzo głupio i chciała cię przeprosić.

Ach, więc o to chodziło. Podniosłam brew.

– Przeprosić? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Willow ma mój numer telefonu. Może do mnie zadzwonił osobiście.

– Na pewno to robi – zapewniła ciotka. – Spróbuj ją zrozumieć, Margo, proszę. Wiem, że zachowała się karygodnie, ale na Willow ciąży duża presja i ona czasami sobie z tym nie radzi. Jest taką zdolną czarownicą i wydaje jej się niesprawiedliwe, że komuś innemu dostają się dodatkowe umiejętności. Willow szuka swojego miejsca w życiu i jest trochę zagubiona. Reaguje agresją, jest ambitna i się boi. Ma poczucie, że zawiodła mnie tym, że nie robi nic poza świetnym rzucaniem zaklęć, wiesz?

Pokręciłam głową. Może i ciocia mówiła prawdę, ale to nie oznaczało, że mam się godzić na bycie workiem treningowym dla swojej kuzynki.

– A dlaczego powinno mnie to obchodzić? – prychnęłam. – Willow zachowuje się względem mnie skandalicznie i nie ma usprawiedliwienia dla tego, co robi.

– Wiem – zgodziła się ciotka ku mojemu zdziwieniu. – I na pewno cię przeprosi, już ja tego dopilnuję. Proszę tylko, żebyś nie oceniała jej zbyt surowo. Jest po prostu trochę... pogubiona.

– Na pewno nie zrobię jej awantury, jeśli zdecyduje się przeprosić – obiecałam. – Nie zamierzam jednak udawać, że ją rozumiem, ciociu. Willow powinna dorosnąć. To chyba najwyższy czas.

Po tych słowach odwróciłam się i wyszłam z sypialni, bo nie miałam ochoty dłużej tego słuchać. Chyba łatwiej było mi postrzegać Willow jako czarny charakter, niż zastanawiać się, jakie problemy stoją za jej absurdalnym zachowaniem.

Chwilę później do domu wróciły babcia i ciocia Ava. Obie były zadowolone, co zapewne oznaczało, że rzucanie zaklęć poszło pomyślnie.

– Teraz już powinnaś być całkiem bezpieczna, Margo – zapewniła babcia.

Zawahałam się. Byłam im wdzięczna i wierzyłam w ich umiejętności, co nie znaczyło, że nie bałam się spać tu sama. Ciocia Georgia musiała to dostrzec, bo dodała pospiesznie:

– Ale jeśli chcesz, mogę dzisiaj zostać z tobą na noc. Tak na wszelki wypadek.

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością. I chociaż babcia zaczęła narzekać, że ich zaklęcia są niezawodne i że nie powinnam mieć żadnych wątpliwości, nie zwracałam na to większej uwagi. Ciocia Georgia mrugnęła do mnie porozumiewawczo i to mi wystarczyło.

Nie bez powodu uważałam, że to ona ze wszystkich ciotek rozumie mnie najlepiej.



24. Jak uświadomić mężczyznę

Ciotce Georgii jako jedynej powiedziałam prawdę o swoim spotkaniu z Theo. Komuś musiałam. Nie ucieszyła się, że znowu zmuszam ją do zatajania czegoś przed rodziną, ale wiedziałam, że ona jedna zrozumie.

– Dzwon, gdyby tylko coś się działo – poprosiła. – I nie rób niczego głupiego, proszę. Nie chciałam się potem przez ciebie tłumaczyć przed rodziną.

Zapewniłam ją, że będę ostrożna, i na tym temat się urwał.

Kiedy ciotki i babcia sobie poszły, wzięłam się za sprzątanie mieszkania. Musiałam doprowadzić je do porządku przed wizytą Theo, zwłaszcza że dookoła leżały resztki palonych przez ciotkę ziół, a na panelach widoczne były fragmenty symboli rysowanych kredą.

Kiedy w końcu usłyszałam dzwonek u drzwi, byłam gotowa: po kąpielach, z włosami ułożonymi tak dobrze, jak tylko się dało bez użycia magii, lekko umalowana. W mieszkaniu było czysto i świeżo, nic nie wskazywało na to, że jeszcze kilka godzin temu moje ciotki uprawiały tu czary.

W granatowych przecieranych džinsach i motocyklowce, spod której wystawał ciemnoszary T-shirt, Theo wyglądał seksownie. Dalej był nieogolony, a jego ciemna czupryna była coraz dłuższa – chyba powinien w końcu odwiedzić fryzjera – to jednak tylko dodawało mu uroku. Uśmiechał się do mnie łobuzersko.

Na jego widok serce jak zwykle podskoczyło mi do gardła. Przez chwilę patrzyłam na niego w milczeniu, walcząc o oddech, aż w końcu zapytałam całkiem spokojnie:

– Wejdiesz na chwilę?

– To chyba nie jest dobry pomysł. – Zaśmiał się, dłonią przeczesując włosy w pełnym zakłopotaniu geście. – Zwłaszcza jeśli chcesz rozmawiać.

Zdradziecki rumieniec wypełził mi na policzki.

– Z tego, co pamiętam, to ty ostatnio uciekłeś – wypomniałam mu bezlitośnie. – Wybacz więc, jeśli nie wierzę w te czcze deklaracje.

Theo spojrzał mi prosto w oczy, a ja poczułam zawroty głowy. Co ten facet ze mną robił?

– Masz rację, biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Ale poza tym twój kot chyba mnie nie lubi, więc postaram się chwilowo nie wkraczać na jego terytorium. – Mrugnął, a mnie momentalnie zrzędała mina. Theo spoważniał. – Wszystko w porządku, Margo?

Postanowiłam na razie mu nie mówić. Było tyle innych tematów, które powinnam najpierw z nim poruszyć. Nic już nie mogłam zrobić dla Chandlera, ale dla Theo tak.

– Tak, wszystko okej – odpowiedziałam z trudem. – Dobrze, chodźmy.

Chociaż jeszcze rano było chłodno i rześko, popołudnie zrobiło się słoneczne; taką piękną, pogodną jesień lubiłam. Theo jak zwykle zaparkował motocykl pod moim domem.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam.

Uśmiechnął się tajemniczo i podał mi kask.

– Polecono mi jedno miejsce. Pozwól, że chociaż raz zrobię ci niespodziankę. O wiele pewniej czułbym się, gdybyś to ty przyjechała do mnie do Londynu, bo wtedy ja mógłbym cię oprowadzać, a nie na odwrót.

Szowinista. Zmrużyłam oczy, przyjmując od niego kask.

– Ach tak? Czyli co, nie bawisz się dobrze, kiedy to kobieta oprowadza cię po miejscu, którego nie znasz?

– Z tobą zawsze bawię się dobrze, Margo. – Posłał mi ostatni bezczelny uśmiech, po czym sam włożył kask i zrobił mi miejsce na motocyklu za sobą.

Westchnęłam. Już nie mogłam się wycofać.

Jeśli Theo spodziewał się, że zrobi mi niespodziankę, to bardzo się mylił. Zorientowałam się, dokąd jedziemy, gdy tylko minęliśmy centrum miasta i wyjechaliśmy na wąską, jednopasmową drogę prowadzącą na południowy zachód, wzdłuż brzegu Loch Ness. Uwielbiałam tę trasę, widziałam w niej kwintesencję Szkocji – z prawej strony pochylające się nad drogą wzgórza, porośnięte trawą i licznymi drzewami, z lewej zaś ciągnąca się na południe wąska wstęga jeziora, w którego tafli odbijała się ściana lasu wyznaczająca przeciwległy brzeg. Gdybym myślała o wycieczce za miasto z Theo, wybrałabym ten sam cel – Urquhart Castle.

Co oznaczało, że czeka mnie ponad dziesięć mil podróży na tym warczącym potworze w pozycji przyklejonej do pleców Theo i ze zdrętwiałymi nogami. Ale mogłam to przeboleć. Warto było.

Kiedy w końcu dojechaliśmy, byłam już nieco spokojniejsza. Z ulgą zsiadłam z motocykla i oddałam kask, po czym rozejrzałam się dookoła. Mimo że Urquhart Castle leżało niedaleko Inverness, nie byłam tu od lat. Na nowo chłonełam widoki, przypominając sobie, dlaczego tak lubiłam to miejsce. Moja nieco romantyczna dusza bez trudu wyobrażała sobie, jak wieki temu tymi samymi podwórzami przechadzali się ubrani w tradycyjne kilty Szkoci.

Ruiny zamku, do których prowadził kamienny most, zwracały się prosto ku Loch Ness, dzięki czemu był z nich doskonały widok na jezioro. Zbudowany na samym brzegu, na wcinającym się w wodę cyplu, zamek składał się już tylko z resztek murów, wieży i kamiennych fundamentów, między którymi wiły się wydeptane przez turystów ścieżki. Chociaż zniszczony, jak dla mnie i tak wyglądał pięknie i majestatycznie na tle ciemnoniebieskiego, czystego nieba, oświetlony promieniami popołudniowego jesiennego słońca.

Mimo ładnej pogody i dogodnej pory dnia widziałam jedynie kilkoro ludzi przechadzających się otwartymi dziedzińcami. Nie przeszkadzało mi to.

– Wcale nie jesteś zdziwiona – odezwał się Theo, wrywając mnie z zamyślenia. – Przyznaj się, wiedziałaś, że tu przyjeździemy?

Wzruszyłam ramionami.

– Zorientowałam się, gdy wyjechałeś z miasta. Ta droga miejscowym kojarzy się głównie z ruinami zamku. Dalej nie ma nic interesującego aż do Fort William.

– Często tu przyjeżdżasz?

– Już dawno tu nie byłam. Ale bardzo lubię to miejsce, więc fajnie, że mnie tu zabrałeś. Te ruiny są takie... majestatyczne. Smutne, że tylko tyle z nich zostało.

Zostawiliśmy motocykl na parkingu i ruszyliśmy w stronę prowadzącego do ruin mostu.

– No właśnie, to smutne – przyznał Theo. – Zawsze się zastanawiam, jak to się dzieje, że takie miejsca obracają się w ruinę.

– O, to akurat jest stara historia. – Uśmiechnęłam się lekko. – Zamek wpadł w ręce Anglików, kiedy wybuchło powstanie jakobickie. Bronili się w nim, gdy jakobici zaczęli oblężenie, a następnie częściowo wysadzili zamek, żeby wrogowie nie mogli z niego skorzystać. Od tamtej pory już tylko niszczał.

Przeszliśmy kamiennym mostem na cypel, na którym resztki murów obronnych i fundamentów tworzyły malowniczy obraz. Theo przez moment rozglądał się dookoła, a potem pociągnął mnie głębiej.

– Chyba sporo wiesz o historii Szkocji?

– Nie tylko Szkocji – przyznałam. – Wiesz, ja zawsze miałam... lekkiego fioła na punkcie literatury. Siłą rzeczy lubiłam też historię, chociaż trochę za bardzo ją romantyzuję. Ale lubię o tym wszystkim czytać.

Przeszliśmy przez dziedziniec, żeby dotrzeć do punktu widokowego, z którego był najlepszy widok na Loch Ness. Theo posłał mi ukradkowe spojrzenie.

– I to nie ma nic wspólnego z faktem, że Szkoci są przewrażliwieni na punkcie swojej historii?

– Przewrażliwieni? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Chyba nie bardziej niż Anglicy na punkcie swojego przekonania o byciu cholernym imperium i swojej niechęci do Francuzów.

– No jasne, Szkoci za to całkiem lubili się z Francuzami, nie? Na przykład w czasie tego powstania, o którym wspominałaś.

Prychnęłam i zatrzymałam się, spoglądając na Theo z uwagą. Zmrużyłam oczy, ale po jego minie domyśliłam się, że żartował, a nie próbował się ze mną pokłócić. Nie odpowiedziałam więc, dochodząc do wniosku, że nie dam się sprowokować.

Rozejrzałam się dookoła, by znaleźć najlepsze miejsce na odpoczynek. Niedaleko, między fragmentami muru znajdował się spory kawałek trawnika, z którego był idealny widok na Loch Ness. Podeszłam tam, kiwnęłam ręką na swojego towarzysza i usiadłam po turecku na ziemi. Przymknęłam oczy, gdy włosy zburzył mi lekki powiew wiatru, a po chwili z powrotem je otworzyłam, by spojrzeć na Theo.

– Stąd jest najładniejszy widok – wyjaśniłam, gdy usiadł obok mnie, a potem zerknęłam na jezioro. – Zobacz, jak woda się marszczy pod wpływem wiatru. Jak drzewa przeglądają się w jeziorze. I zobacz, jakie piękne złote rozbłyski w wodzie dają promienie zachodzącego słońca.

Chciałam go zmotywować do patrzenia na całą scenę moimi oczami, ale chyba mi się nie udało, bo Theo przeniósł wzrok na mnie.

Zmieszałam się nieco.

– No co? – mruknęłam. – Wiem, nie powinnam gadać głupot...

– Nie, po prostu wołę patrzeć na ciebie – odparł.

Westchnęłam.

– Więc po co tu przyjechaliśmy?

– Miałem nadzieję, że stąd mi nie uciekniesz. – Uśmiechnął się rozbajajaco. – Za daleko do domu. Będziesz musiała ze mną wrócić.

W zasadzie miałby rację, gdyby nie jeden drobny szkopuł.

– Powtórzę to po raz kolejny: ostatnio to ty ode mnie uciekłeś – zauważyłam cierpko. – Nie wiem, dlaczego zakładasz, że mogłoby być na odwrót.

– Bo czasami mam wrażenie, że wystarczy jedno słowo, żeby cię spłoszyć. – No dobrze, może miał rację, ale cóż mogłam poradzić, że nie należałam do tych przebojowych dziewczyn w typie Charlie, które robią z facetami, co chcą. – Posłuchaj, Margo, przemyślałam sobie wszystko. Wiem, że nie powinienem był tak wtedy wychodzić, ale nie mogłem w to wszystko uwierzyć i musiałem sam sprawdzić...

– Wiem, że to brzmi niedorzecznie – przerwałam mu pospiesznie. – Ale to prawda... I nie chodzi tylko o klątwę...

– Nie, to nie tak – wszedł mi w słowo. – Od początku zdawałem sobie sprawę, że ty i twoja rodzina jesteście...

Dziwni.

– ...oryginalni – dokończył ku mojemu zdziwieniu. I uldze. – Słyszałem też różne historie, jakie krążą o was w Inverness. Oczywiście nie we wszystko wierzyłem.

Na przykład w to, że jesteście czarownicami?

– Od początku zdawałem sobie jednak sprawę, że jesteście dosyć nietypową rodziną – kontynuował. – Nasza relacja też nie jest do końca normalna, prawda? Ale nadal nie rozumiem, dlaczego miałybyś zrobić coś takiego.

– Coś takiego? – Zmarszczyłam brwi. – Ale *co* takiego?

– Mówisz, że dom Marshallów jest obłożony klątwą. – Theo wzruszył ramionami, jakby to kompletnie go nie ruszało. – Zakładając, że tak jest, dlaczego chciałaś, żebym go kupił?

Zamrugłam, wpatrując się w niego z niezrozumieniem. O czym on mówił?

– Nie rozumiem – odpowiedziałam powoli. – O czym ty mówisz? Przecież kiedy się poznaliśmy, już tu mieszkałeś. Kupiłeś ten dom, zanim cię poznałam.

Nie rozumiałam lekkiego zniecierpliwienia, które przemknęło przez jego twarz. Poczułam ukłucie niepokoju. Miałam wrażenie, że Theo wie o czymś, co mi się nie spodoba.

– Margo, dajmy już sobie z tym spokój. Ja wiem, że to dziwne, nie chciałem od początku o tym mówić, bo sama też nic nie wspominałaś, ale ja wiem. Pamiętam.

Niepokój zwinął mi żołądek w supeł.

– Pamiętasz... co? – zapytałam czujnie.

– Przecież chciałaś, żebym kupił dom Marshallów. To ty mnie tu sprowadziłaś.

Przez moment trwałam w bezruchu, wpatrując się w niego bez słowa, jakby z nadzieją, że za chwilę z tego zażartuje i powie, że jakimś cudem dowiedział się od Charlie o zaklęciu i postanowił mnie nabrać. Kiedy jednak nic takiego nie nastąpiło, poderwałam się z ziemi tak gwałtownie, że aż zakreśliło mi się w głowie.

– Margo, uspokój się! – Zaśmiał się, wstając za mną, i wyciągnął do mnie rękę. – Wiem, że to dziwne, przez długi czas nie miałem pojęcia, co o tym myśleć, ale przecież...

– Nie. – Odsunęłam się o krok i z trudem przełknęłam ślinę. – Cokolwiek chcesz powiedzieć, nie mów tego. To jakaś bzdura. To nie jest prawda...

– Hej, o co chodzi? Pamiętasz przecież...

– Pamiętam, że cię wyczarowałam! – krzyknęłam nieco histerycznie, aż jacyś turyści przechodzący ścieżką nieopodal obejrzel się na mnie. – To nie miało być żadne prawdziwe zaklęcie, tylko cholerna zabawa! Ja nawet nie umiem czarować! To nie jest... Nie. Nie zgadzam się, żeby to była prawda. A nawet gdyby była, ty nie powinieneś zdawać sobie z tego sprawy! I ja... nie zgadzam się, żebyś nie był prawdziwy!

– O czym ty mówisz? – Theo znalazł się przy mnie w dwóch krokach i chwycił mnie za ramiona. – Dlaczego niby miałbym być nieprawdziwy? Co to za bzdury?

– Jestem czarownicą – wyrzuciłam z siebie na wydechu. – Tak, bałam się ci powiedzieć, bo połowa ludzi mi nie wierzy, a druga połowa uważa mnie za wariatkę. Rzucam zaklęcia, rzadko, ale mi się zdarza, czasami nawet przypadkiem. I to było jedno z nich. – Wskazałam go z frustracją. – Miałam wyczarować sobie faceta idealnego. To była tylko głupia zabawa! Ty nie miałeś prawa się pojawić...

Musiałam brzmieć jak wariatka. Jeśli chciałam go stopniowo uświadomić w temacie, nie mogło mi pójść gorzej.

Theo spojrzał na mnie zmieszany. Przez chwilę nie odpowiadał, a ja w napięciu czekałam na jego reakcję. Chyba znowu dałam plamę. Wpadłam w histerię, zamiast normalnie to wyjaśnić, i teraz on uzna, że jestem wariatką.

– Pominę chwilowo fakt, że najwyraźniej uznałaś mnie za swojego faceta idealnego – powiedział w końcu powoli, z pewnym rozbawieniem. – Ale nie rozumiem całej reszty. O czym ty mówisz? Jakie zaklęcia...

– A o czym ty mówisz?

– Śniłaś mi się. – Ręką z frustracją przejechał po ciemnych włosach. – Wielokrotnie. To było... irytujące. Widziałem cię tak wyraźnie, miałem cię na wyciągnięcie ręki, a równocześnie nie byłaś prawdziwa. A potem, za którymś razem, pokazałaś mi ten dom. Wiedziałem, że muszę go kupić i przyjechać do Inverness... To było głupie. Rzuciłem wszystko, żeby ścigać coś, co nie mogło istnieć. – Wskazał mnie ręką. – A jednak istniejesz. Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Otworzyłam usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nie wiedziałam co. Theo tymczasem chwycił mnie mocniej i przyciągnął bliżej, jakby się bał, że mu ucieknę. Nogi miałam tak sztywne, że wątpiłam, żeby to mogło być możliwe.

– Myślałem, że wiesz – dodał, uważnie mi się przyglądając, jakby próbował coś wyczytać z mojej twarzy. – Że to ty chciałaś, żebym kupił ten dom. Byłaś taka prawdziwa. Sądziłem, że jakimś cudem to nie jest tylko sen, że to naprawdę ty. Tym bardziej, że potem Willow powiedziała mi, że zawsze chciałaś tam mieszkać. Tyle czasu mnie prześladowałaś! Mówiłem o tym nawet mojemu ojcu, ale myślał, że oszalałem. Jednak kiedy cię zobaczyłem, byłem przekonany, że ty wiesz... Miałaś taki błysk w oku, jakbyś mnie rozpoznała. Jakby to wszystko było prawdą.

– Zaraz, moment. – W końcu odzyskałam głos. Znowu spróbowałam się od niego odsunąć, ale mi nie pozwolił. – Jak to: śniłeś o mnie? Jak długo?

– Od kilku lat. – Wzruszył ramionami, na co szerzej otworzyłam oczy. – Nie patrz tak na mnie, nie zmyślam tego. Śniłaś mi się. Myślałem, że o tym wiesz, tylko z jakiegoś powodu nie chcesz nic mówić... Że może też nie byłaś pewna? A kiedy powiedziałaś mi o kłątwie, uznałem, że coś tu jest nie tak. Dlaczego chciałaś, żebym sprowadził się do tego domu, skoro, jak twierdzisz, jest niebezpieczny dla lokatorów?

Nie, to był jakiś obłąd.

O co w tym wszystkim chodziło?

– Nie chciałam, żebyś sprowadzał się do domu Marshallów – zaprotestowałam. – Ja tylko powiedziałam, że chciałabym, żebyś spełniał moje marzenia. To w ogóle nie miało być tak... To nawet nie miało być prawdziwe zaklęcie! O domu Marshallów też dowiedziałam się dopiero wtedy, gdy się sprowadziłeś... Daj mi pomyśleć.

Ścisnęłam palcami nasadę nosa, czując zbliżający się ból głowy. Zakładając, że Theo mówił prawdę i rzeczywiście śnił o mnie, co to mogło oznaczać? To z pewnością brzmiało jak coś mającego magiczną podstawę, ale przecież nie mogło chodzić o moje zaklęcie, jeśli działa się od tak dawna.

Więc o co?

– Ja o tobie nie śniłam – oświadczyłam.

Theo zmarszczył brwi.

– To skąd wiesz, że jestem twoim idealnym facetem?

– Tak sobie ciebie wyobraziłam. – Wzruszyłam ramionami. – Dlatego mówię, że być może nie jesteś prawdziwy.

– Margo, proszę – prychnął. – To niedorzeczne. Przecież wiem, kim jestem. Mam swoje życie, rodzinę, znajomych, zdjęcia z dzieciństwa, wspomnienia, wszystko. Nieważne, kim jesteś, nie byłabyś w stanie mnie wymyślić, nie rozumiesz tego? Jestem prawdziwy.

– Więc skąd mogę to wszystko wiedzieć? – Machnęłam na niego ręką. – Opisałam cię. Dostyc dokładnie...

– Może jednak ty też o mnie śniłaś?

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, że pamiętałabym – ale potem pomyślałam, że przecież ja nigdy nie pamiętam swoich snów. Często bywało tak, że budziłam się w nocy, zdając sobie sprawę, że coś mi się śniło, ale nie miałam pojęcia co. Nigdy nie zwracałam na to większej uwagi.

A jeśli rzeczywiście o nim śniłam, tylko tego nie pamiętałam? Jeśli moja podświadomość zapamiętała coś z tego, co widziałam, i dlatego opisałam go właśnie tak?

Theo od początku wydawał mi się znajomy. A jeśli to dlatego? Jeśli miał rację i rzeczywiście jakimś cudem – zapewne z pomocą magii, chociaż nadal nie rozumiałam jak – spotkaliśmy się we śnie, czy mogłam go potem opisać i do siebie wezwać?

Czy to mogło znaczyć, że on rzeczywiście jest prawdziwy?

– To jest... kompletnie bez sensu – bąknęłam w końcu.

Theo uśmiechnął się zawadiacko.

– A co w twoim życiu jest sensowne, Margo?

Skoro myślał, że to ja sprowadziłam go do Inverness, musiał się też domyślać, że coś jest ze mną nie tak. Może nie wiedział, że jestem czarownicą, ale z pewnością coś podejrzewał. A mimo to nie uciekł, nie bał się zapraszać mnie na randki i zaczepiać, kiedy próbowałam go unikać. To było dla mnie coś nowego.

– Dlaczego właściwie tak na to reagujesz? – zapytałam. – Nie boisz się, nie dziwisz, nie twierdzisz, że to tylko jakieś urojenia? Powiedziałam ci właśnie, że jestem czarownicą.

– Co tłumaczyłoby całe to zamieszanie, chociaż nadal nie wiem dokładnie, co masz przez to na myśli – odpowiedział spokojnie. – Zdażyłem przywyknąć, Margo. Tych kilka lat, kiedy mi się śniłaś, było naprawdę dziwnych. Przyjmę już chyba każde wytłumaczenie, choćby najbardziej nieprawdopodobne. I na pewno nie zamierzam uciekać.

Coś takiego.

Szalejący we mnie niepokój trochę osłabł, a supeł na żołądku wreszcie się rozluźnił. Może powiedzenie mu prawdy wcale nie było takim złym pomysłem?

Wiatr znad Loch Ness zawiął ze wzmożoną siłą, mierzwiąc mi włosy. Robiło się coraz później, a wokół nas powoli zapadał półmrok. Gdy rozejrzałam się dookoła, stwierdziłam, że ruiny zdążyły opustoszeć.

– Nie wiem już, w co mam wierzyć – mruknęłam. – Wiem jedno: na pewno jestem czarownicą i na pewno rzuciłam to zaklęcie. I naprawdę nie chciałabym, żebyś nie był prawdziwy.

Theo się roześmiał i przyciągnął mnie do siebie, aż oparłam dłoń na jego klatce piersiowej.

– Ja też bym tego bardzo nie chciał, Margo.

Nie wyglądało jednak na to, żeby specjalnie się tym przejmował. Przekrzywiłam głowę, przyglądając mu się uważnie.

– Znamię! – zawołałam nagle.

Posłał mi zaskoczone spojrzenie.

– Słucham?

– Znamię. Na lewym ramieniu – uściśliłam. – Masz je? Jeśli tak, to chcę je zobaczyć.

Jego zawadiacki uśmiech sprawił, że żołądek fiknął mi koziółka.

– Jasne – oznajmił Theo. – Ale w tym celu musimy przenieść się w bardziej ustronne miejsce.



25. Jak dać się przyłapać rodzinie

„Bardziej ustronnym miejscem” okazało się oczywiście moje mieszkanie.

Drogę powrotną do Inverness przebyliśmy w milczeniu, bo motocykl nie ułatwiał konwersacji. Już pod moim mieszkaniem przemknęła mi przez głowę straszna myśl, czy Theo w ogóle będzie w stanie wejść do domu. Z niepokoju żołądek znów ścisnął mi się w supeł. Założyłam przecież, że nie ma wobec mnie złych zamiarów. Jednak ciotki rzuciły mnóstwo zaklęć na mój dom, a Theo od tego czasu jeszcze w nim nie był. Nie wszedł nawet przed zabranieniem mnie do Urquhart Castle.

Ale to przecież nic nie musiało znaczyć.

Obserwowałam go uważnie, gdy otworzyłam drzwi i się zatrzymałam. Oczywiście przepuścił mnie w wejściu. Już w przedpokoju włączyłam światło i obejrzałam się na niego.

Theo właśnie zamykał za nami drzwi. Wypuściłam z płuc wstrzymywane powietrze, a razem z nim opuściła mnie przynajmniej część napięcia.

– Wszystko w porządku? – Theo posłał mi uważne spojrzenie.

Z trudem skinęłam głową.

– Tak, oczywiście. Chodź do salonu.

Chwycił mnie za rękę, gdy się od niego odwróciłam, i poczułam jego zaskakująco uspokajającą obecność tuż za plecami. Nie miałam pojęcia, jak ten facet to robił, że wzbudzał we mnie tak sprzeczne uczucia.

– Gdzie twój kot? Nie wyskoczy na mnie nagle z jakiegoś kąta? – zażartował.

Obejrzałam się na niego. Przez moment nie byłam w stanie odpowiedzieć.

– Chandler nie żyje – wykrztusiłam w końcu.

Przeszłam do salonu, ciągnąc go za sobą. Zanim usiadłam na kanapie, Theo się odblokował.

– Nie żyje? Jak to? Co się stało? – zapytał. – Tak mi przykro, Margo...

– Nie musimy o tym rozmawiać – uciełam, gdy zajął miejsce obok mnie, ramię kładąc na oparciu za moimi plecami. – To tylko kot.

– Tylko kot? – powtórzył z niedowierzaniem. – To był twój przyjaciel, Margo. Domownik. To jasne, że musisz być rozbita.

Jeśli chciał mnie sprowokować do płaczu, był na dobrej drodze. Musiałam to przerwać, bo inaczej za chwilę przestałabym panować nad emocjami.

– Tak, ale nie chcę o tym rozmawiać – odpowiedziałam tonem, który zamknął mu usta. – I to... nie jest w tej chwili ważne, Theo. Nie dlatego chciałam z tobą porozmawiać.

Dopiero po tych ostatnich słowach podniosłam na niego wzrok, chociaż nadal nie byłam pewna, czy się nie rozplaczę. Było mi już jednak wszystko jedno. Miałam nadzieję, że Theo zmieni temat, a on zrobił dokładnie to, czego od niego oczekiwałam.

– Więc dlaczego chciałaś ze mną porozmawiać, Margo?

Westchnęłam drżąc.

– Mam dość ukrywania różnych rzeczy przed bliskimi mi osobami. Rodzinie już przyznałam się do wszystkiego, ale to ty ciągle nie dajesz mi spokoju. Bo to ty mieszkasz w domu Marshallów, nie oni.

– Znowu ten dom Marshallów. – Theo zmarszczył brwi, przysuwając się do mnie o cal. – O co właściwie z nim chodzi?

– Mówiłam ci. Na tym domu ciąży klątwa.

– Tak, a ja nadal nie rozumiem, co miałaś na myśli.

Nerwowym gestem przeczesalam włosy.

– Kobiety w mojej rodzinie są czarownicami. Zajmujemy się zaklęciami od pokoleń. To znaczy ja przez lata się od tego separowałam, ale to nie było dla mnie zdrowe. Tak czy inaczej... Magia jest prawdziwa. Moje ciotki są w niej naprawdę dobre. Gdy poznałeś je wtedy przed swoim domem, ciotka rzuciła zaklęcie, które odepchnęło cię do tyłu. To nie była twoja wyobraźnia. Jedna z tych czarownic, nie z mojej rodziny, dawno temu rzuciła klątwę na dom Marshallów. Dlatego wszystkim jego lokatorom przydarza się coś złego. I dlatego nie chciałam, żebyś tam został. Dlatego się o ciebie martwię. To wszystko jest ze sobą powiązane.

– Czyli ty też jesteś czarownicą. – W jego niebieskich oczach błysnęło zaniepokojenie.

Zawahałam się.

– Nie, ja...

– Nie możesz mi pokazać niczego, co to potwierdzi? – przerwał mi z lekką drwiną. – Daj spokój, Margo. Chyba nie oczekujesz, że uwierzę ci na słowo.

Spojrzałam na niego bezradnie. Co niby miałam mu pokazać, skoro kontrolowanie magii nadal mi nie wychodziło?

Rozejrzałam się, aż mój wzrok spoczął na dwóch świeczkach zapachowych stojących na stoliku, przy którym siedzieliśmy. Warto było spróbować.

Wpatrzyłam się w świeczki, wyobrażając sobie płomień. Próbowałam przypomnieć sobie towarzyszące mu odczucia – ciepło, oslepiającą oczy jasność, jeśli patrzyło się w niego zbyt długo.

Zapał się, pomyślałam.

Byłam chyba nie mniej zaskoczona niż Theo, gdy po chwili oba knoty zapaliły się mocnym, równym płomieniem. Coś takiego! Magia naprawdę krążyła w moich żyłach i to było zaskakująco uzależniające uczucie – jak zastrzyk adrenaliny. Po raz pierwszy nie towarzyszył temu strach, niezrozumienie ani frustracja. I może dlatego tak mi się spodobało.

Czy to z tego powodu ciotki nie chciały rezygnować z magii?

– Wow! – zawołał Theo. Przez chwilę nie mógł oderwać wzroku od świeczek, a potem ze zmieszanym spojrzeniem na mnie. – Jak to zrobiłaś?

– Mówiłam ci. Magia. – Nonszalancko wzruszyłam ramionami.

Staralam się, by nie dostrzegł mojego podekscytowania. Nie chciałam sprawiać wrażenia niedoświadczonej nowicjuszki.

– Magia – powtórzył z niedowierzaniem, przenosząc wzrok ze mnie na świeczki i z powrotem, jakby oglądał mecz tenisa. – To niesamowite. Cała twoja rodzina tak potrafi?

– Tak? – Wskazałam głową świeczki. – Nie tylko. To zwykła sztuczka, Theo, nic specjalnego. Jestem w tym słaba, bo nigdy nie uczyłam się rzucania zaklęć. Moje ciotki umieją o wiele więcej. Jedna z nich jest nawet medium. Mam niezwykłą... i odrobinę przerażającą rodzinę. Nie chciałbyś być naszym wrogiem.

Theo się zaśmiał. Najwyraźniej wziął to za żart, chociaż mówiłam poważnie. Nie zamierzałam go wyprowadzać z błędu, ale gdy zauważył, że ja się nie śmieję, spoważniał.

– Na szczęście mi to nie grozi – odpowiedział, szukając kontaktu wzrokowego. Czulałam się tak, jakby pieścił mnie samym spojrzeniem. – To wszystko brzmi naprawdę fascynująco. Czy mogłabyś...

– Zaraz, moment. Nie boisz się? – zapytałam zdziwiona. – Nie próbujesz mnie przekonać, że jestem wariatką?

– Niby dlaczego miałbym próbować? Przecież widziałem, co zrobiłaś.

– Więc nie uważasz, że to jakaś mistyfikacja? Że próbuję ci coś wkręcić? – kontynuowałam z niedowierzaniem. – Dlaczego nie zachowujesz się jak racjonalny, wychowany w kulcie logiki, współczesny mężczyzna?

Theo zaśmiał się chrapliwie, wysyłając tym dreszcz wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Chciałabyś, żebym taki był, Margo? – Rany, nie znosiłam, gdy zwracał się do mnie po imieniu, bo traciłam przez to resztki rozsądku. – Logiczny, poukładany, nudny?

Przybliżył się do mnie o kolejny cal i wyciągnął rękę, by chwycić moją dłoń. Nie odsunęłam się, chociaż żołądek zwinął mi się w supeł.

– Wszyscy faceci dotąd tak na mnie reagowali – wydusiłam, kiedy jego kciuk zaczął pieścić wewnętrzną część mojej dłoni. – Albo uciekali, gdzie pieprz rośnie, albo mi nie wierzyli. Chyba się do tego przyzwyczaiłam.

– Nie jestem jak wszyscy faceci, Margo – mruknął w odpowiedzi. Byłam skłonna mu uwierzyć. – A skoro od ciebie uciekali, to znaczy, że byli kompletnymi idiotami. Ja nigdy bym tego nie zrobił.

Weź się w garść, McKenzie, pomyślałam, gdy poczułam, jak robi mi się ciepłej na sercu. Nie mogłam dać się rozproszyć!

– Dlaczego? – zapytałam mimo woli.

– Bo jesteś cudowna. – Przybliżył się jeszcze bardziej i wolną dłoń wsunął mi we włosy, przytrzymując równocześnie mój policzek. – Urocza, inteligentna, zabawna i dobra. Śniłem o tobie tak długo i wreszcie tu jesteś. Ze mną.

– Więc nie przeszkadza ci, że jestem czarownicą? – Zmarszczyłam brwi, na co się zaśmiał.

– Przeszkadza? To część tego, kim jesteś, Margo. Jestem zaskoczony, oczywiście, nadal nie do końca to rozumiem, ale to część ciebie. Nie będę miał z tym problemu.

Chciałam mu uwierzyć. Tak bardzo chciałam. Ale przecież miałam różne kiepskie doświadczenia z moimi byłymi chłopakami.

Theo jednak nie czekał na potwierdzenie, że mu wierzyłam. Przysunął się jeszcze bliżej, aż poczułam jego ciepły oddech na policzku, pochylił się i mnie pocałował.

Jak za każdym razem, gdy dotykałam ustami jego ciepłych, miękkich warg, poczułam się tak, jakby ktoś obudził mnie do życia. Jęknęłam i odpowiedziałam na pocałunek praktycznie nieświadomie. Wtuliłam się w niego, zarzucając mu ramiona na szyję. Dopiero gdy ramię Theo objęło moją talię, a jego język wślizgnął mi się do ust, zdałam sobie sprawę, w jakim kierunku to wszystko zmierza.

– Zaczekaj... Ja nie... nie mogę – wydyszałam, wrywając się.

Theo puścił mnie niechętnie, w jego oczach widziałam niezadane pytanie. Odsunęłam go na odległość ramion, chociaż miałam ochotę zostać w jego uścisku jak najdłużej.

– Margo...

– Nie skończyliśmy rozmowy – przerwałam mu.

Jego seksowny uśmiech jak zwykle wyprowadził mnie z równowagi.

– Możemy skończyć później.

– Nie! – Poderwałam się z kanapy, chociaż natychmiast zaczęło mi brakować dotyku jego rąk. Byłam masochistką. – Posłuchaj... Nie chcę, żeby to tak wyglądało.

– Jak? – W oczach Theo widziałam niezrozumienie.

Westchnęłam.

– Dlaczego właściwie to robisz? Dlaczego ja?

– Chyba już ci to wyjaśniłem.

Prychnęłam.

– Nie, Theo, to tylko puste słowa. Właściwie wcale mnie nie znasz. Opierasz się na tym, co widziałeś... gdzieś w swoich snach...

– Nie mów o nich tak, jakby to nie była prawda! – wszedł mi w słowo ze szczerym oburzeniem. – Ja ci uwierzyłem, tak? Więc dlaczego ty nie potrafisz zrobić tego samego?

– Dobrze, nawet zakładając, że to była prawda – podjęłam, krzyżując ręce na piersi – to nie chcę tego robić w ten sposób, Theo. Dlaczego ci na mnie zależy? Bo widziałeś mnie w swoich snach? Nie znasz mnie. Nie zależy ci na mnie ze względu na mnie, ale ze względu na to, co sobie wyśniłeś. To nie byłam ja.

– Oczywiście, że byłaś – zaprotestował natychmiast, również podnosząc się z kanapy. – Może tego nie pamiętasz, ale to byłaś ty. Jestem tego pewien. Słuchaj, to nie tak, że zobaczyłem cię we śnie i tylko dlatego teraz za tobą biegam...

– No trochę tak to wygląda. Poza tym... te sny też musiały się skądś wziąć. I obawiam się, że magia może mieć z tym coś wspólnego.

– Czy musimy się nad tym zastanawiać właśnie teraz? – Wyglądał na lekko zirytowanego. – Obiecuję ci, że rozgryziemy to wszystko, Margo. Skąd się wzięły moje sny. Co takiego znajduje się w domu Marshallów. I dlaczego nie mogę oderwać od ciebie wzroku, odkąd zjawiłem się w domu twojej babci. Po prostu wyluzuj.

Spojrzałam na niego z pretensją. Jak mogłam wyluzować, kiedy mówił takie rzeczy?!

– Masz jakieś podejrzenie, skąd się to mogło wziąć? Te sny? – zapytałam, kiedy już nieco ochłonęłam.

Theo pokręcił głową i podszedł do mnie ostrożnie jak do dzikiej zwierzyny. Przyglądałam mu się czujnie, ale nie cofnęłam się, gdy chwycił mnie za rękę, a potem pociągnął za sobą z powrotem na kanapę.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że były cholernie prawdziwe i skończyły się, gdy przyjechałem do Inverness. Wiem, że powinienem był o wszystkim powiedzieć ci od razu, Margo, ale chyba sama rozumiesz. Nie wiedziałem, czy ty też o mnie śniłaś... Nie chciałem wyjść na idiotę, gdyby się okazało, że nie. Wydawało mi się, że mnie rozpoznałaś, gdy się pierwszy raz zobaczyliśmy, ale nie miałem pewności. Bałem się, że cię spłoszę.

Skinęłam głową.

– Wierzę ci – zapewniłam. – I nie ma teraz znaczenia, czy nie pamiętam tych snów, czy ich nie miałam. Ważne, żebyś wyniósł się z domu Marshallów.

– Tak, ta klątwa mnie ciekawi – przyznał z namysłem. Usiadł na kanapie bardzo blisko mnie, kolanem dotykając mojego. – Może opowiesz mi od początku, o co w tym wszystkim chodzi?

Przekazałam mu całą historię, którą poznałam z dzienników Enid McKenzie i od babci. Cały czas przy tym obserwowałam go uważnie, zastanawiając się, kiedy spanikuje i ucieknie, Theo jednak nie zrobił nic takiego. Słuchał mnie, kiwając niekiedy głową, i w ogóle mi nie przerywał. Jego uważność pozytywnie mnie zaskoczyła.

W dodatku nie wyglądał ani na specjalnie zszokowanego, ani na niedowierzającego. Nadal nie mieściło mi się w głowie, że tak łatwo przełknął wszystkie moje rewelacje związane z magią. To wydawało się aż zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

– Myślę, że twoja rodzina może przesadzać – zawyrokował w końcu.

Wkurzyłam się. Nie takich słów się spodziewałam.

– Nie wiesz, o czym mówisz – zaprotestowałam. – Zdarzyło się dużo złych rzeczy, które mogą być z tym powiązane. Moja mama... – zawahałam się, bo do tej pory nie wspomniałam mu o mamie i na razie nie zamierzałam – ...przechodziła przez coś podobnego. Ona też weszła do domu Marshallów, a w dodatku miała podobne do moich umiejętności. A właściwie to ja mam takie umiejętności jak ona.

– To znaczy jakie?

– Mogę wymyślać zaklęcia – wyjaśniłam. – Myślisz, że jak inaczej bym cię tu ściągnęła? Takie zaklęcie nie istnieje, przynajmniej z tego, co wiem. Moja mama to umiała i ja też podobno umiem. I może to jest jeden z powodów, dla których coś z tego domu uwzięło się na nas. Enid McKenzie miała te same umiejętności.

Theo zmarszczył brwi i oparł się o tył kanapy, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Dlaczego więc nie porozmawiasz o tym ze swoją mamą? – zaproponował, a mnie od razu zrobiło się niedobrze. – Ona na pewno wie, co robić. Nie chcę wyprowadzać się z domu, który dopiero co kupiłem. Nie można jakoś... inaczej tego załatwić?

– Nie wiemy, co dokładnie się tam znajduje ani dlaczego tam jest – zaprotestowałam. – Moja mama też tego nie wie. I nie wciągaj jej w to, proszę... Ona już wystarczająco dużo przeszła, nie będzie się w to mieszać.

– Jak to: nie będzie się w to mieszać? – zdziwił się. – Z tego, co mówisz, wynika, że ty też jesteś w jakiegoś rodzaju niebezpieczeństwie. Cokolwiek jest w tym domu, chce się zemścić na tobie za to, co wydarzyło się lata temu. I za udział Enid McKenzie w tym wszystkim. Nie sądzisz, że pomoc twojej mamy by się przydała?

– Nie będziemy w to mieszać mojej mamy – powtórzyłam stanowczo. – Mam ciotki i babcię, które trzymają rękę na pulsie. Wszystko będzie w porządku.

– Mam wrażenie, że nadal nie mówisz mi wszystkiego – westchnął. – To się nie trzyma kupy.

Posłałam mu zirytowane spojrzenie.

– Wybacz, Theo, że trudno mi w jeden wieczór wyjaśnić ci magię, którą moi bliscy zajmują się od lat. Uwierz, nie tak łatwo zrozumieć zasady, które rządzą moją rodziną, bo moja rodzina różni się od innych. Chcę, żebyś wiedział jak najwięcej, bo wierzę, że tobie też może w tym domu coś grozić, to wszystko. Przyglądałeś się ostatnio swojemu cieniowi?

Pokręcił głową.

– Co jest nie tak z moim cieniem?

Przygryzłam wargę. A więc nie wiedział. Ciekawe tylko, czy nie zauważył, czy po prostu nie był w stanie zauważyć. Chociaż odkąd wszedł do mojego domu, nie widziałam w jego cieniu niczego niepokojącego. Zupełnie tak, jakby...

Jakby cokolwiek się do niego przyczepiło, zostało na zewnątrz. Na przykład ze względu na zakłęcia ochronne ciotek.

– Nie wiem, może to tylko moje wymysły – mruknęłam. – Po prostu... Proszę, Theo, wyprowadź się z domu Marshallów. Możesz nadal nadzorować remont. Sądzę, że ekipie budowlanej nie powinno stać się nic złego, biorąc pod uwagę, że tam nie mieszkają. Ale nie chcę, żebyś tam był, bo będę się denerwować, że stanie ci się coś złego. Proszę.

Theo przez chwilę nie odpowiadał, przyglądając mi się z zaskakująco zadowolonym uśmiechem. Czasami kompletnie nie rozumiałam tego faceta.

– Podoba mi się, kiedy mnie prosisz – powiedział w końcu tonem, od którego zrobiło mi się gorąco. – Zrób to jeszcze raz.

– Ani mi się śni – prychnęłam. – Jeśli chcesz, zostań w tym domu. Możesz nawet skrócić sobie kark na tych cholernych schodach.

– Jesteś naprawdę słodka, wiesz? – Zaśmiał się i przysunął bliżej mnie. Oczy załśniły mu podejrzenie i już wiedziałam, że coś knuje. – A zanim zdecydujemy, co zrobić z moim adresem, może chciałabyś zobaczyć to, co miałem ci pokazać? W końcu po to tu przyjechaliśmy.

Potrzebowałam chwili, żeby sobie przypomnieć. Ten facet robił mi z mózgu papkę.

– Znamię – rzuciłam. – Tak, chciałam je zobaczyć.

– I nadal chcesz? – zapytał w taki sposób, jakby kusił mnie do złego. Bardzo chciałam zostać skuszona.

– Oczywiście – potwierdziłam. – Miejmy to za sobą.

Theo podniósł się nieco i bez słowa chwycił za krańce T-shirtu. Zaschło mi w gardle, gdy ściągnął go jednym zwinnym ruchem.

Naprawdę nie chciałam się gapić. Nie byłam jednak przygotowana na tak nagły zwrot akcji. Zrobiło mi się gorąco i krew napłynęła mi do twarzy, gdy mój wzrok padł na opaloną, nagą klatkę piersiową Theo, w dodatku znajdującą się tak blisko mnie, że gdybym wyciągnęła rękę, mogłabym jej dotknąć. Poczuć pod palcami ciepłą skórę, odnaleźć miejsce, w którym biło jego serce. Dotykać. Głaskać. Pieścić.

Weź się w garść, McKenzie, nie jesteś napaloną małolatą! – przemknęło mi przez myśl, ale było już za późno. Theo podchwycił moje spojrzenie, a sądząc po jego zadowolonym uśmiechu, natychmiast się domyślił, co mi chodzi po głowie. Wcale nie wyglądał na skrupowanego, ale czemu się dziwić, skoro był tak zbudowany!

Zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, chwycił mnie za ramię i przyciągnął do siebie, aż instynktownie wyciągnęłam dłoń. I owszem, położyłam ją na jego nagiej klatce piersiowej. Jego skóra zdawała się parzyć, była tak gorąca. Chociaż odruchowo chciałam się odsunąć, zmusiłam się, by pozostać w bezruchu, gdy Theo wyciągnął przed siebie lewe ramię, dając mi możliwość oględzin.

Natychmiast skupiłam się na tym miejscu, gdzie na opalonych skórze odznaczało się ciemne, niemalże czarne, nieduże znamię w kształcie półksiężyca. Naprawdę tam było, na bicepsie, blisko ramienia. Miało ledwie kilka cali i normalnie pewnie nie zwróciłabym na nie uwagi. Ponieważ jednak sytuacja nie była normalna, dotknęłam palcami znamienia, przyglądając mu się uważnie.

– Naprawdę tu jest – szepnęłam z niedowierzaniem. – Ja sobie to wszystko... wymyśliłam...

– Już ci mówiłem, że to niemożliwe – zapewnił mnie Theo nieco protekcyjnie. – Mam to znamię od urodzenia. To tylko znaczy, że widziałas je we śnie. Tak naprawdę to nie dowodzi niczego poza jednym.

– Poza czym? – zapytałam, podnosząc na niego wzrok, gdy zamilkł na chwilę.

Uśmiechnął się bezczelnie.

– Poza tym, że ewidentnie na mnie lecis.

Przywarłam do niego cała, gdy tylko znowu mnie pocałował. Czując pod palcami nagą skórę na jego ramionach, na karku i plecach, miałam wrażenie, że jest wszędzie wokół mnie i że nie będę już w stanie się od niego uwolnić. Zresztą po co miałabym to robić?

Theo całował mnie zachłannie, głęboko, jakby chciał się na zawsze wryć w moją pamięć. Jego dłonie błądziły po moich plecach pod koszulką, potem jedną z nich wplótł mi we włosy i zaczął pieścić kark. Gdy wciągnął mnie sobie na kolana, wiedziałam już, że tym razem go nie odepchnę...

Trzask drzwi wejściowych podziałał na mnie niczym kubeł zimnej wody. Po chwili usłyszałam wesół głos cioci Georgii:

– Już jestem, dzieciaku! Przyniosłam sobie rzeczy do spania i ubrania na jutro. Jesteś gotowa na nocne rozmowy? Bo ja... Ups.

Odskoczyłam gwałtownie od Theo, ale on nadal był bez koszulki, gdy ciocia w końcu wkroczyła do salonu. Obejrzałam się na nią – z papierową torbą pełną zakupów stała w przejściu do kuchni, wpatrując się w nas nietaktownie. Dopiero po chwili się odwróciła, żeby wejść dalej i postawić zakupy na blacie.

– Hmm, tego się nie spodziewałam – mruknęła. – Myślałam, że macie się spotkać na mieście.

– Byliśmy poza domem, a potem wróciliśmy. – Naprawdę nie rozumiałam, dlaczego się usprawiedliwiałam. Rzuciłam Theo miażdżące spojrzenie, pod wpływem którego bez słowa sięgnął po koszulkę, i wstałam czym prędzej z sofy, bo jego bliskość nadal mnie rozpraszała, a usta wciąż piekły od jego pocałunku. – Theo tylko... chciał mi pokazać znamię.

– Znamię, jasne. – Ciocia Georgia wyjrzała znad torby z zakupami, a gdy stwierdziła, że Theo jest już przyzwoicie ubrany, wychynęła zza niej cała. – To jak pokazywanie kolekcji płyt, tylko w wersji dla czarownic?

– Ciociu! – Znowu poczułam wypełzający na policzki rumieniec.

Na szczęście w następnej chwili rezon odzyskał Theo. Uśmiechnął się do cioci, przywitał z nią i nawet zdobył się na jakiś żart odnośnie do całej sytuacji. Potem zaś oznajmił, że będzie się zbierał, a ciocia nie zrobiła nic poza zapewnieniem go, że tak będzie najlepiej. Czułam się jak nastolatka przyłapana przez rodziców na obściskiwaniu się ze swoim pierwszym chłopakiem.

Gdy odprowadzałam go do drzwi, posłałam mu błagalne spojrzenie.

– Theo, proszę cię, weź na poważnie to, co mówiłam o domu Marshallów. Musisz się stamtąd wyprowadzić.

– Nie przejmuj się, słyszałem cię za pierwszym razem. – Po czym mrugnął do mnie, serio. Wydawał się być w niezłym humorze. – Wszystkim się zajmę, Margo.

Na pożegnanie pocałował mnie w policzek – czemu w policzek?! – po czym sobie poszedł.

Z westchnieniem zamknęłam za nim drzwi i oparłam się o nie, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że ta rozmowa i to spotkanie nie przebiegły dokładnie tak, jak planowałam.

A potem niechętnie wróciłam do czekającej na wyjaśnienia ciotki Georgii.



26. Jak zacząć znowu śnić

– Wiesz, w pewnym sensie rozumiem, co w nim widzisz.

Posłałam ciotce Georgii miażdżące spojrzenie, którym kompletnie się nie przejęła. Od pocałunków Theo nadal piekł mnie wargi, stanowiąc drwiące przypomnienie, jak niewiele brakowało, żebyśmy tym razem poszli na całość.

Czy jednak powinnam sobie na to pozwolić, wiedząc, że cała moja rodzina może w każdej chwili bez pukania wtargnąć do mojego domu? Przecież nie miałam przy nich nawet odrobiny prywatności, mimo że mieszkałam sama!

– Naprawdę? – zapytałam sceptycznie. – A myślałam, że jednak wcieliś w życie swoją groźbę...

– Jaką groźbę?

– No wiesz. „Jeśli ten facet jeszcze kiedyś się do ciebie zbliży, rzucę na niego takie zaklęcie, że przy tobie nigdy mu nie stanie” – przypomniałam jej złośliwie.

Ku mojej uciechu ciotka Georgia lekko się zarumieniła.

– Chyba rozumiesz, dlaczego to powiedziałam.

– Bo chciałaś iść na łatwiznę – odparłam bez namysłu. – Łatwiej jest zwalczyć objaw niż przyczynę problemu, prawda? Ale ostrzegam, że wam na to nie pozwolę.

– Zamierzamy raczej walczyć zarówno z objawami, jak i z przyczyną – westchnęła. – Zawsze tak było. Po prostu się o ciebie martwimy, Margo.

– Nie musicie, jestem dorosłą dziewczynką, dam sobie radę. – Prawdę mówiąc, nie wierzyłam we własne słowa, dlatego nie dziwiłam się sceptycznemu spojrzeniu ciotki. – Więc dlaczego rozumiesz, co w nim widzę?

Ciotka posłała mi kpiący uśmiech i zajęła się rozpakowywaniem zakupów.

– Jakimś cudem jest dokładnie taki, jak chciałaś, prawda? – rzuciła lekko, zabierając się za robienie kolacji. Podeszłam bliżej i stanęłam po drugiej stronie baru, żeby jej pomóc. – I szaleje za tobą, chociaż chyba nadal słabo się znacie.

– Theo powiedział, że mu się śniłam – wyrwało mi się, zanim zdążyłam zdecydować, czy powinnam jej o tym mówić.

Ciotkę oczywiście bardzo zainteresowały moje słowa, musiałam więc powtórzyć wszystko, co powiedział mi Theo. Z każdą chwilą była coraz bardziej zdziwiona i na dowód tego kręciła z niedowierzaniem głową.

– To... naprawdę dziwne – przyznała w końcu.

Prychnęłam.

– No co ty nie powiesz, ciociu.

– Nie chodzi mi o to, że jestem sceptyczna wobec tego, co powiedział Theo – sprostowała natychmiast. – Wręcz przeciwnie... Wiem, że to możliwe.

Wybałuszyłam oczy.

– Serio?!

– Oj, Margo, sama wiedziałabyś to doskonale, gdybyś uczyła się magii – stwierdziła, a ja jęknęłam w duchu. Ileż razy mogły to powtarzać? – Właśnie to jest dziwne. Istnieje takie zaklęcie, ale

kto miałby je rzucić?

– To znaczy jakie dokładnie zaklęcie?

Ciocia westchnęła na moje pytanie.

– Nie pamiętam dokładnie, ale ono istnieje – uparła się. – Jest trudne do rzucenia i może mieć bardzo... złe konsekwencje, jeśli coś pójdzie nie tak. Generalnie chodzi w nim o odkrycie swojej prawdziwej miłości.

– Prawdziwej miłości? – Zmarszczyłam brwi.

Brzmiało... nieprawdopodobnie. Jak jakiś tekst wyciągnięty z bajki Disneya.

– Ty możesz w to nie wierzyć, ale czarownice uważają, że dla każdego z nas istnieje na świecie jeden przeznaczony partner – odparła ciocia, zupełnie niezrażona moim sceptycyzmem. – No wiesz, jak te... dwie połówki pomarańczy czy coś tam.

– Jabłka – odpowiedziałam, na co wzruszyła ramionami.

– Może być i jabłka. Tak czy inaczej istnieje zaklęcie, dzięki któremu ta przeznaczona sobie para może widzieć się w snach. Ale to niebezpieczne. Ty, jako czarownica, mogłaś go do siebie sprowadzić, ale nie każda z nas ma taką umiejętność. Poza tym nigdy nie wiesz, na kogo się trafi i jak dokładnie tego kogoś znaleźć. W naszych księgach opisane są przypadki ludzi, którzy dostawali świra, gdy rzucono na nich to zaklęcie. Chcieli mieć to, co widzieli w snach, a kiedy nie mogli tego dostać, życie powoli przestawało ich cieszyć. Żadne inne związki ich nie interesowały. W końcu nigdy nie wiadomo, co stanie się z tym twoim przeznaczonym partnerem. Może znajdować się po drugiej stronie globu, mieć już żonę albo być martwy. Sama widzisz, że to trochę... ryzykowne.

– No dobrze. – Przez chwilę trawiłam jej słowa, próbując dojść z tym wszystkim do ładu. – Dlaczego więc mnie nic się nie śniło?

– Nie wiem, Margo. – Ciocia Georgia wzruszyła ramionami. – Sama mówiłaś, że tobie nigdy nic się nie śni. To może być wystarczający powód. Może w jakiś sposób blokujesz sny. A może po prostu, to bardziej prozaiczne wyjaśnienie, jesteś jedną z tych osób, które nigdy nie pamiętają swoich snów, choćby bardzo się starały. I to się zdarza.

– Ale kto miałby rzucić takie zaklęcie? – drażyłam. – Przecież Theo to tylko zwykły człowiek. Niemożliwe, żeby ktoś po naszej stronie...

– To wydaje się najbardziej prawdopodobne, nie uważasz? – przerwała mi. – Że twoja mama zrobiła coś takiego, chociaż nawet tego nie pamiętasz. Wiesz, że pod koniec nie była... całkiem zdrowa na umyśle.

Nie, nie była. Była oszalała z bólu po śmierci taty.

– Nie zrobiłaby tego – zaprotestowałam stanowczo. – Sama pomyśl. Przypomnij sobie, jak się czuła, kiedy zginął mój ojciec. Nie naraziłaby mnie na podobny ból.

– Ale jeśli nie ona, to kto? – zamyśliła się ciocia. – Może niewłaściwie do tego podchodzimy.

– To znaczy?

– Zakładamy, że to zaklęcie musiał rzucić ktoś z naszej rodziny, bo to najprostsze wyjaśnienie. Ale niby kto i po co? Może zamiast tego powinnaś się dowiedzieć, jak brzmi panięńskie nazwisko matki Theo.

– Co?

Ciocia uśmiechnęła się z wyższością.

– Może to matka Theo rzuciła na niego to zaklęcie i dlatego to on mocniej przeżywał te sny niż ty? Może była czarownicą?

Wpatrywałam się w nią ze zdziwieniem, podczas gdy ciocia zręcznie poszatkowała marchewki i jednym gestem zapaliła palnik pod patelnię z oliwą. Reszta warzyw obrała się sama, gdy rzuciła odpowiednie zaklęcie, w niczym nie była jej potrzebna moja pomoc.

– Myślałam, że czarownice mają tylko córki – stwierdziłam, bo ciocia, zajęta pracą, nie kwapiła się, by udzielić dodatkowych wyjaśnień. – U nas zawsze tak było. Żeńska linia...

– Tak, w większości przypadków tak jest – przyznała. – Ale zdarzają się czasami... czarne owce w rodzinie.

– Czarne owce? Myślałam, że to ja nią jestem – przypomniałam jej złośliwie.

Ciocia się zaśmiała.

– Nie, ty jesteś wybrykiem natury, bo nie chciałaś się uczyć magii. Ale powód tego nie jest wrodzony, to coś, co wydarzyło się przez twoją traumę z dzieciństwa. – Zerknęła na mnie. – Mężczyzna w klanie czarownic natomiast... No, to już zupełnie inny temat. W dodatku bardzo rzadki. Na przestrzeni kilkuset lat historii naszej rodziny takie przypadki zdarzyły się dwa czy trzy razy.

Tym wreszcie mnie zaintrygowała. Pochyliłam się do przodu, siadając na stołku barowym i opierając łokcie na blacie.

– Więc to jest możliwe, żeby czarownica urodziła chłopca, tak? – zapytałam z lekkim niedowierzaniem, bo klóciło się to z moją wiedzą na temat czarownic.

Ciocia Georgia z namysłem pokiwała głową.

– To bardzo rzadkie przypadki, ale owszem, zdarzają się.

– Czy ci mężczy potomkowie też mają jakąś magię?

Ciocia się zawahała.

– Zazwyczaj nie – odparła ostrożnie. – W dawnych czasach... Mam na myśli średniowiecze, Margo... urodzenie chłopca przez czarownicę było uznawane za zły omen. Czarownice bały się tych męskich potomków i zazwyczaj zabijano je tuż po narodzinach.

– Co? – powtórzyłam w szoku. – Zabijano niewinne dzieci?!

– Takie były czasy.

– Ale były po temu jakieś podstawy? Dlaczego czarownice bały się tych dzieci?

– Pokutowało wtedy przekonanie, że takie dzieci mogą mieć silne, bardzo destrukcyjne moce magiczne.

– Ale... to prawda? – pytałam dalej, coraz bardziej zszokowana. – No wiesz, że w ten sposób rodzi się... czarownicy czy coś?

– Margo, nie wierz we wszystkie bajki przekazywane od pokoleń! – zaśmiała się zniecierpliwiona ciocia. – Oczywiście, że nie. Nie ma żadnego dowodu na to, że którekolwiek takie dziecko rzeczywiście miało moce magiczne. Mężczyźni nie mają w sobie magii. Ale takie dzieci były na tyle rzadkim widokiem, że już ze względu na to śmiertelnie się ich bano i dorabiano do tego różne historie. To było średniowiecze, czasy głupich przesądów i wiary w gusła.

Niby rozumiałam, zawsze jednak wydawało mi się, że nawet wtedy czarownice patrzyły na świat trzeźwiej niż zwykli ludzie. A jednak dowadywałam się, że także im barbarzyńskie przesady nie były obce. To coś nowego.

Zaczęłam przypominać sobie wszystkie spotkania z Theo. Czy w jego zachowaniu było cokolwiek, co mogłoby sugerować, że on również włada magią? I z jakiegoś powodu to przede mną ukrywa?

– Margo, spokojnie, Theo na pewno nie jest żadnym... czarownikiem – zaśmiała się ciocia. – Mężczyźni naprawdę nie mają takich mocy. Dlatego w rodach czarownic zazwyczaj rodzą się dziewczynki, mają silniejsze geny, wzmocnione magią. Mężczyźni to... taki wypadek przy pracy.

– Wypadek przy pracy – powtórzyłam z namysłem. – Że niby Theo jest wypadkiem?

– Chodzi mi tylko o to, że to bardzo rzadkie, ale nie niemożliwe. Jeśli matka Theo była czarownicą, to ona mogła rzucić na niego zaklęcie. Co wiesz o jego rodzicach?

Zamyśliłam się, przypominając sobie wspomniane przez Theo szczegóły.

– Wiem, że Theo wychowywał się poza miastem i że jego ojciec jest stolarzem – powiedziałam w końcu. – Ale nie pamiętam, czy wspominał coś o matce.

– A gdzie poza miastem?

Wzruszyłam ramionami.

– Kilkadziesiąt mil od Londynu, tylko tyle wiem.

– Nie wiesz, gdzie się wychowywał, nie wiesz, kim jest jego matka, ale wiesz wystarczająco, żeby się z nim obściskać na sofie? – Ciocia podniosła brew.

Zrobiło mi się głupio.

– Czy ja mam szesnaście lat? – próbowałam się bronić. – Mogę chodzić do łóżka, z kim tylko chcę, nawet jeśli nie znam jego nazwiska!

– Oczywiście, że możesz. Ale nie powiem, żeby to było specjalne mądre – odpowiedziała ciocia, mieszając warzywa na patelni i posyłając mi psotne spojrzenie. – Miałam cię za rozsądniejszą dziewczynę.

– Rozsądek nie ma z tym nic wspólnego. – Przewróciłam oczami. – Nie muszę znać metryczki faceta, żeby się z nim przespać. Wiem, kim jest Theo.

– Jesteś pewna? Przed chwilą się zastanawiałaś, czy aby na pewno nie jest niebezpiecznym czarownikiem.

– To twoja wina – oskarżyłam ją. – Tak czy inaczej... Zapytam o wszystko Theo, kiedy znowu się zobaczymy. Jak nazywa się jego matka i gdzie się wychował. Zadowolona?

– To tylko teoria, Margo – zapewniła mnie ciotka uspokajająco. – Równie dobrze może chodzić o coś zupełnie innego. Warto to jednak wziąć pod uwagę i wykluczyć.

– Jeśli podam wam nazwisko, będziecie w stanie stwierdzić, czy dana osoba pochodzi z rodziny czarownic?

– O ile nie zmieniła nazwiska, to tak. Znamy wszystkie rody czarownic z Wyp.

– Macie listę?

– Mamy drzewa genealogiczne, owszem – odparła ku mojemu zdumieniu. – I znowu: wiedziałabyś o tym wszystkim, Margo, gdybyś tylko nie odmówiła szkolenia. Swoją drogą, biorąc pod uwagę zagrożenie, z którym musimy sobie poradzić, powinnyśmy kontynuować twoje lekcje.

Pewnie powinnyśmy.

– Tak, pomyślę o tym jutro – obiecałam z roztargnieniem.

Ciocia Georgia odwróciła się, by wyjąć z szafki talerze.

– Kwestia waszych snów to mniejszy problem. Przede wszystkim musimy się upewnić, że Theo opuści dom Marshallów.

– Obiecał mi to.

– No i co zamierzasz zrobić z nim i z Rossem? – Zaśmiała się ciotka. – Wszystko już jasne, jeśli chodzi o Theo. Nadal chcesz trzymać ich obu na haczyku?

– Ja wcale nie... – zaczęłam, ale spojrzała na mnie tak, że natychmiast zamilkłam.

Dobrze, może i miała rację. Nie powinnam była tego robić. Z westchnieniem zwlekłam się ze stołka, chwyciłam leżącą na stoliku komórkę i wybrałam numer Rossa. Kiedy nie odebrał, najpierw poczułam ulgę, a potem nagrałam mu się na pocztę głosową, prosząc o kontakt i spotkanie.

Ciocia przez cały ten czas patrzyła na mnie z zadowoleniem.

– Jestem z ciebie dumna, Margo – oświadczyła, kiedy już się rozłączyłam. – Chociaż nasza rodzina pewnie wolałaby, żebyś była z Rossem. To taki porządny, przewidywalny młody człowiek.

Nie mogąc się powstrzymać, parsknęłam śmiechem.

Ciotka rzuciła mi figlarne spojrzenie.

– Nie przejmuj się, ja zawsze będę stała po twojej stronie. – Wyłączyła gaz, po czym dodała: – Weź sztuce, zjemy kolację. Musisz mieć siły, żeby zająć się wszystkim!

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością i posłusznie przygotowałam nakrycia.

Dobrze, że mogłam liczyć na ciotkę Georgię.

* * *

Poręcz schodów była śliska, zimna i nieprzyjemna w dotyku. Włosy unosiły mi się wokół głowy, jakby naładowane elektrycznością. Zbiegłam na dół, czując pod bosymi stopami dywan okrywający stopnie. Nie powinno mnie tu być. Powinnam była zostać w swoim pokoju.

Bałam się. Serce waliło mi jak oszalałe, bo nawet z perspektywy pierwszego piętra wiedziałam, że w domu dzieje się coś niedobrego. Wyjrzałam zza poręczy schodów do salonu, skąd przez otwarte drzwi nisko nad podłogą kłębił się dym... albo bardzo gęsta mgła.

Nie idź tam, podpowiedział mi jakiś głos w głowie.

Ale nie mogłam jej zostawić, chociaż w głębi duszy wiedziałam, że nie mogę też jej pomóc.

Przywarłam do ściany oddzielającej hol od salonu. Zimna, dziwnie wilgotna mgła otarła się o moje gołe nogi. Miałam na sobie tylko podkoszulek i krótkie spodenki, w których spałam, i czułam gęsią skórę wypełzającą na każdy odkryty kawałek skóry. Bezskutecznie próbowałam opanować

dreszcze.

Siedziała tam, na podłodze, na środku salonu, z białkami oczu na wierzchu. Z rudymi włosami unoszącymi się wokół głowy, z mgłą otaczającą całą jej postać niczym ramiona zazdrosnego kochanka. Jej ręce drżały, rozrzucone na boki, a mgła płynęła wokół niej, jakby żyła. Nie słyszałam wypowiedanego zaklęcia, ale widziałam na podłodze rozpalony pentagram, w środku którego się znajdowała. Moja mama.

Gdy jej oczy wróciły na swoje miejsce, jednak puste, pozbawione wyrazu i patrzące przed siebie bez celu, przemówiła, a jej głos nie brzmiał ludzko – był kilkukrotnie spotężniony, jakby oprócz niej równocześnie mówiło jeszcze kilka osób. Krzyknęłam i zasłoniłam sobie uszy dłońmi.

Miałam wrażenie, że mgła usłyszała mój krzyk, bo dosłownie się na mnie rzuciła. W jednej chwili byłam cała nią oblepiona, nie mogłam oddychać, nie mogłam się ruszyć; poczułam na nodze śliski, wilgotny dotyk czyichś palców i krzyknęłam jeszcze raz, kuląc się na podłodze przy drzwiach. Po chwili ręce były już wszędzie, dotykały mnie całej, ciągnęły, szarpały za włosy, jakiś obcy szept próbował wedrzeć mi się do uszu. Dygotałam z zimna i strachu, wołałam mamę, bałam się poruszyć w obawie, że jeśli to zrobię, ręce mnie porwą i zabiorą gdzieś daleko. Przez przyciśnięte do głowy dłonie usłyszałam łomot, jakby coś upadło na deski w salonie; ponad mgłą wyjrzałam tam i zobaczyłam mamę leżącą na podłodze. Wstrząsały ją potężne drgawki, a oczy znowu uciekły w głąb czaszki.

Krzyczałam. Krzyczałam raz za razem, próbując pozbyć się obślizgłego dotyku dłoni, próbując głębiej odetchnąć przez zalepiony mgłą nos, zobaczyć coś poza strzębami cieni przemykających we mgle. Zdawało mi się też, że słyszałam jakiś głos.

Nie bój się, Margo.

– Margo, obudź się! Margo!

Poderwałam się z łóżka ze szlochem, po omacku wyciągając ręce w ciemności, pragnąc uciec od mgły, głosów i wstrząsanej drgawkami matki. W mroku natrafiłam na coś miękkiego, a potem złapały mnie czyjeś ręce, stanowczo, ale delikatnie. Do moich nozdrzy dotarł znajomy zapach konwalii i napięcie trochę ze mnie opadło, pozostawiając mnie drżącą i wytrąconą z równowagi.

– Już, cicho, spokojnie... – Łagodny szept cici Georgii płynął do moich uszu, rozpraszając resztki tamtego strasznego, nieludzkiego głosu.

Przywarłam do niej całym ciałem, a ona przytuliła mnie mocno, kładąc sobie moją głowę na ramieniu. Przez moment, zanim mój zamroczony umysł wreszcie wszystko pojął, miałam wrażenie, że to mama próbuje mnie uspokoić i pocieszyć. Dopiero potem wszystko do mnie dotarło.

Mama była w szpitalu, ciągle nieprzytomna po wylewie. Zresztą nawet przed nim nie mogłaby mnie pocieszyć po koszmarze, bo dawno już postradała zmysły.

– To tylko zły sen – powiedziała ciocia Georgia tonem, jakiego używa się wobec małego dziecka. – Koszmar. Nic ci nie grozi, jesteś bezpieczna. Wszystko w porządku, Margo?

Jęknęłam, odsuwając się od niej. Mama leżała w szpitalu po wylewie. Mój kot został zamordowany. Facet, na którym mi zależało, mieszkał w domu, w którym załęgło się coś złego, co wyraźnie chciało mnie skrzywdzić.

Jasne, wszystko było w porządku.

– Która... która godzina? – zapytałam z drżeniem, nienawidząc się za słabość, jaką czułam nie tylko w swoim głosie, ale także w całym ciele.

Ciocia też się odsunęła, ale nie zabrała ręki z mojego ramienia.

– Parę minut po czwartej – odparła. – Może spróbujesz się jeszcze położyć i zasnąć?

Doskonale wiedziałam, że już nie zmruję oka. Byłam zbyt roztrzęsiona, a poza tym cała lepiłam się od potu. Potrzebowałam prysznica.

– Pamiętam – powiedziałam nagle.

W mroku oczy cici błyszczały niesamowicie.

– Co pamiętasz?

– Sen. – Zmarszczyłam brwi, ze zdziwieniem przypominając sobie każdy szczegół. – Pamiętam wszystko. Śniła mi się... mama.

– Mówiłaś, że zazwyczaj nie pamiętasz swoich snów.

– Nigdy! – poprawiłam ciocię z mocą. – Nigdy wcześniej nie pamiętałam, co mi się śniło. Bywało, że budziłam się z kołącym sercem, przerażona, ale nigdy nie wiedziałam dlaczego. Tym razem było inaczej.

– I o czym dokładnie śniłaś? Co cię tak przeraziło?

Zawahałam się. Na moment zupełnie zapomniałam, że nie powiedziałam ciotkom o jednym ważnym szczególe – że widziałam mamę, gdy rzucała tamto zaklęcie, i zdawałam sobie sprawę, co próbowała zrobić.

Całe dwie sekundy rozważałam zatajenie przed ciotką prawdy. Zaraz potem uznałam, że mam tego dość. Tych wszystkich sekretów, udawania przed rodziną, że wszystko jest w porządku.

Koniec z tym.

– Widziałam, co się stało z mamą. Wtedy, zanim trafiła do szpitala. – Dobrze, że było ciemno i nie widziałam wyrazu twarzy cioci. – Byłam wtedy na dole, w holu. Zabroniła mi schodzić, ale i tak to zrobiłam. Wszystko widziałam.

Przez chwilę po moich słowach ciocia milczała.

– Mój Boże, Margo – odezwała się w końcu. – Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym od razu? Przecież...

– To niczego nie zmienia.

– Ależ oczywiście, że zmienia! Skoro wszystko widziałaś, nic dziwnego, że nie chciałaś potem uczyć się magii. Przecież to musiało być dla ciebie traumatyczne przeżycie, byłaś tylko dzieckiem! A nikt nawet nie mógł ci pomóc, bo nikomu do niczego się nie przyznałaś! Boże, Margo, tak bardzo mi przykro. Powinniśmy byli się domyślić... Jakoś cię wesprzeć... A nie pozwolić ci przechodzić przez to wszystko samej i całkiem wycofać się z magii!

– Hej, to nie jest wasza wina! Sama podjęłam taką decyzję.

– Ale dlaczego? – zawołała ciocia z rozżaleniem. – Dlaczego nam nie powiedziałaś?

Westchnęłam i przyznałam się do całej reszty. Jakie zaklęcie mama próbowała wtedy rzucić i jak bardzo obawiałam się reakcji rodziny. Spodziewałam się gniewu cioci albo niedowierzania, ale na pewno nie troski.

– Boże, Margo... I trzymałaś to w tajemnicy przez tyle lat? Po to, żebyśmy nie myślały źle o Katherine? Naprawdę sądziłaś, że mogłybyśmy... Przecież my chciałyśmy tylko twojego dobra. Powinniśmy byli wiedzieć, choćby po to, żeby odpowiednio cię traktować. Twoja mama... Rozumiem, że bardzo tęskniła za twoim tatą. Nie zamierzam jej potępiać. I na pewno nikt z naszej rodziny nie będzie. Powinnaś była nam powiedzieć prawdę...

Ciocia znowu mnie przytuliła, a ja poczułam wzbierające w oczach łzy.

– Myślałam, że... Skoro mama zrobiła coś takiego...

– Nie mówię, że to było słuszne albo dobre, bo nie było – przerwała mi zduszonym głosem. – Ale twoja mama była wtedy w naprawdę złym stanie psychicznym i jeśli miałabym szukać winnych, Margo, to byłymi nimi my. Jej rodzina, która nie pomogła jej na czas, nie zorientowała się, jak bardzo jest źle. Rozumiesz? Powinniśmy byli jej pomóc. To nasza wina.

Gorące łzy spłynęły mi po policzkach, zanim zdążyłam je zatrzymać. Płakałam trochę z żalu, a trochę z ulgi, bo tłamsiłam to wszystko w sobie tyle lat, że wyrzucenie z siebie prawdy było jak zdjęcie z barków ogromnego ciężaru. A reakcja cioci mnie uspokoiła.

Tak jak myślałam, nie byłam już w stanie zasnąć. Ciocia na szczęście też nie, dzięki czemu mogłyśmy rozmawiać aż do świtu. Opowiedziałam jej o koszmarze, o tym, co wtedy widziałam, dokładnie, nie pomijając niczego. Obserwując jej reakcję, zastanawiałam się, dlaczego nie zrobiłam tego wcześniej.

W gruncie rzeczy jednak wiedziałam. Póki do Inverness nie przyjechał Theo, póki całe moje życie się nie skomplikowało, nigdy nie szukałam pomocy u swojej rodziny. Nie próbowałam nadmiernie się do niej zbliżać. Może więc jednak to wszystko – dom Marshallów, śmierć Chandlera, pobyt mamy w szpitalu – miało przynieść choć jeden pozytywny skutek.

Z rodziną byłam dużo silniejsza niż bez niej.

I wierzyłam, że z jej pomocą wszystko dobrze się skończy.



27. Jak pozbyć się konkurencji

Następnego dnia, akurat gdy odwiedzałam mamę w szpitalu, oddzwonił do mnie Ross.

– Chciałabym się z tobą spotkać – oznajmiłam bez zbędnych wstępów. – Najlepiej jak najszybciej.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza. Jeśli nawet Ross się domyślił, że to nie oznacza niczego dobrego, nie dał tego po sobie poznać.

– Coś się stało? – zapytał spokojnie.

– Nie... Po prostu chcę pogadać.

Kolejna chwila ciszy. Ciekawe, czy teraz zasugeruje, że ma czas dopiero w przyszłym miesiącu.

– Dobra – zdecydował wreszcie. – Mam czas dzisiaj po południu. Wpadnę do ciebie po pracy, około siódmej, w porządku?

Nie chciałam krzywdzić Rossa, ale prawda była taka, że już dawno podjęłam decyzję. Tyle że gdzieś głęboko we mnie pokutowało wpojone mi przez rodzinę przekonanie, że powinnam sobie znaleźć bezpiecznego, pewnego faceta. Kogoś, na kim będę mogła polegać.

Ale jeśli miałam w ten sposób przeżyć życie, to równie dobrze już teraz mogłam się położyć do trumny.

Kiedy potwierdzałam nasze spotkanie, cały czas nie odrywałam wzroku od leżącej na szpitalnym łóżku mamy. Aparatura obok niej piszcziała miarowo, co trochę mnie uspokajało, jakby słyszalny rytm jej serca mógł mi jakkolwiek pomóc. Jakby miał zagłuszyć wyrzuty sumienia. Patrzyłam, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada w równym tempie. Zaintubowana nie przypominała tej mamy, którą wcześniej tak niechętnie odwiedzałam.

To wcale nie musiała być moja wina, a jednak tak właśnie się czułam. Jak przyczyna całego zła, które dzieje się wokół mnie. I chociaż bardzo chciałam to naprawić, zdawałam sobie sprawę, że powinnam oddać wszystko w ręce ciotek. Nie mogły już pomóc ani mamie, ani mojemu kotu, ale może były w stanie unieszkodliwić to coś, co ich skrzywdziło.

Ponieważ źle spałam w nocy, nic dziwnego, że po jakimś czasie siedzenia w fotelu przy łóżku mamy nie zdołałam utrzymać otwartych oczu. Nie miałam pojęcia, jak długo drzemałam, ale obudził mnie delikatny dotyk na ramieniu. Wzdrygnęłam się i natychmiast wróciłam do rzeczywistości.

Doktor Cavanaugh. Poznałam go od razu, gdy tylko się nade mną pochylił. Wysoki, chudy jak tyczka lekarz o szpakowatych włosach i zapadniętych policzkach.

– Dzień dobry. Właśnie kończę nocny dyżur, ale pomyślałem, że zajrzę jeszcze do pacjentki – powiedział, wskazując mamę głową.

Zmarszczyłam brwi i zerknęłam na zegarek. Było po dziesiątej.

– Nocny dyżur?

– Tak, wiem, powinienem już dawno być w domu. – Skrzywił się. – Pielęgniarka powiedziała mi, że pani matka ma gorączkę.

Przetarłam twarz dłonią i wyprostowałam się w fotelu.

– Jeśli tak, to musiałam spać, kiedy tu była.

– Owszem, nie chciała pani budzić. – Doktor Cavanaugh zajrzał do karty mamy i pokręcił głową. – Będziemy musieli podać leki zbijające gorączkę. Wykonamy też dodatkowe badania krwi, żeby

się upewnić, że to nic poważniejszego.

– Na przykład co? – Serce zabiło mi mocniej z niepokoju.

Lekarz zerknął na mnie znad karty.

– Przy intubacji częstym powikłaniem jest zapalenie płuc – wyjaśnił. – Ale gorączka jest równie powszechna sama w sobie, więc to jeszcze o niczym nie świadczy. Proszę się nie martwić, wykonamy wszystkie niezbędne badania.

Proszę się nie martwić. Jasne.

– Kiedy ona może się obudzić? – zapytałam.

Doktor Cavanaugh rozłożył ręce.

– Trudno w tej chwili wyrokować – odparł ostrożnie. – Być może dzisiaj albo jutro. Może w przyszłym tygodniu albo miesiącu. A może...

– ...nigdy – dokończyłam za niego gorzko. – Naprawdę nie wiecie?

– Pacjenci najczęściej wybudzają się w ciągu pierwszych czterech tygodni. Jeśli nie odzyskują przytomności, to potem zwykle przechodzą w stan wegetatywny. Oddychają samodzielnie, ale po prostu... nie budzą się. Może pani do niej mówić – dodał łagodnie. – Pacjenci, którzy wychodzą ze śpiączki, niekiedy pamiętają, że ktoś z nimi rozmawiał. Czasami to pomaga.

A czasami nie.

Nie zatrzymywałam go dłużej, gdy powiedział, że przekaże stosowne zalecenia pielęgniarkom. Nic więcej nie mógł zrobić.

Czułam się tak kompletnie bezradna jak wtedy, gdy trzymałam w ramionach konającego Chandlera. A to z kolei sprawiało, że ogarnęła mnie wściekłość.

Ktokolwiek za tym wszystkim stał, lepiej, żeby dobrze się ukrył. Bo nie zamierzałam dać się odsunąć ciotkom na boczny tor. Zamierzałam zrobić wszystko, żeby winowajca cierpiał.

Nawet jeśli na razie to ja sama cierpiałam.

* * *

Za dziesięć siódma byłam już gotowa na przyjęcie gościa.

Nie chciałam bynajmniej przyjmować go w swoim mieszkaniu. Za każdym razem, gdy patrzyłam na sofę w salonie, widziałam na niej Theo, a za każdym razem, gdy spoglądałam w stronę kuchni, przypominałam sobie, jak mnie tam pocałował.

To nie był dobry pomysł, żeby zapraszać tu Rossa.

Kiedy usiadłam na kanapie w oczekiwaniu na gościa, poczułam się tak, jakbym niemalże mogła dotknąć ciszy i pustki wokół siebie. Chociaż ciocia Georgia, wyraźnie zaniepokojona moim stanem psychicznym, bardzo chciała zostać na kolejną noc, wygoniłam ją do domu. Nie mogłam w nieskończoność pozwalać się komuś niańczyć. Musiałam sama o siebie zadbać.

Nie zmieniało to jednak faktu, że w mieszkaniu bez ciotek i Chandlera było smutno i pusto. Aż za bardzo.

Wyjęłam z biblioteczki jakąś książkę i włączyłam muzykę, po czym spróbowałam skupić się na tekście; litery tańczyły mi jednak przed oczami, a ja nie wiedziałam, co właściwie czytam. Zamknęłam w końcu książkę z westchnieniem, a gdy zerknęłam na zegarek, stwierdziłam, że zrobiło się już piętnaście po siódmej.

Zmarszczyłam brwi. Ross nigdy się nie spóźniał.

Chwyciłam leżącą na stoliku torebkę i wygrzebałam z niej komórkę. Żadnych powiadomień. Właśnie do mnie jedzie i dlatego nie dzwoni, pomyślałam optymistycznie. Ross był przecież odpowiedzialnym facetem i na pewno nie rozmawiał w trakcie jazdy.

Kolejne kilkanaście minut przesiadywałam jak na szpilkach, zanim w końcu zdecydowałam się sama do niego zadzwonić. Pół godziny spóźnienia bez żadnych wyjaśnień to nie było coś, do czego Ross by mnie przyzwyczaił. Zaczęłam się martwić, czy wszystko z nim w porządku, tym bardziej że po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa.

Przygryzłam wargę, z frustracją wpatrując się w milczącą komórkę. Miałam nadzieję, że w ten sposób zmuszę ją do zadzwonienia, nic takiego jednak nie nastąpiło.

Kolejny raz zatelefonowałam za piętnaście ósma. I jeszcze raz o ósmej. Do tamtej pory zdążyłam już dosyć poważnie się zmartwić i zaniepokoić, bo nie wyobrażałam sobie, co takiego mogło się stać, że Ross nie daje znaku życia.

A potem, gdy zadzwoniłam kolejny raz, telefon wreszcie odebrano. Ale w słuchawce nie odezwał się Ross. To był kobiecy, lekko zachrypnięty głos.

– Słucham.

Tylko tyle. Jakby to było normalne, że telefon Rossa odbiera jakaś kobieta.

Na moment straciłam wątek.

– Dobry wieczór... Czy mogłabym rozmawiać z Rossem?

– Nie – padła odpowiedź, a ja stwierdziłam, że coraz mniej mi się to podoba. – Nie możesz, McKenzie.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie rozumiem, chciałabym tylko...

– Rzeczywiście nie rozumiesz. – Głos podniósł się lekko, a ja wreszcie pojęłam, że kobieta po drugiej stronie jest zdenerwowana. I chyba nie chodziło o to, że zadzwoniłam. – Wiedziałam, że to zły pomysł. Prosiłam go. Ale był jak zaślepiony... Jestem pewna, że przez ciebie!

– Dana? – Wreszcie zaskoczyłam.

Prychnęła w słuchawkę.

– Nie dzwoń do niego więcej.

– Dana, zaczekaj! – Nie mogłam tego tak zostawić, a najwyraźniej zamierzała się rozłączyć. – Co się stało?

– Co się stało? Jeszcze masz czelność o to pytać? – Płakała. To dlatego miała zachrypnięty głos, od płaczu. – Ross jest w szpitalu i to wszystko twoja wina!

Rozłączyła się, zanim zdążyłam zadać kolejne pytanie. Czułam się tak, jakby ktoś walnął mnie obuchem w głowę. Przez chwilę tępo wpatrywałam się w komórkę, jakby miała nagle ożyć i udzielić mi wyjaśnień. Kiedy się wreszcie otrząsnęłam, wybrałam kolejny numer i zadzwoniłam po taksówkę, prosząc o zawiezenie mnie do Raigmore Hospital. Po raz drugi tego samego dnia.

Nie potrzebowałam nazwy szpitala, żeby wiedzieć, że to tam musiał trafić Ross. To był jedyny szpital w Inverness z oddziałem ratunkowym – bo przecież cokolwiek się stało, nie mogło mieć naturalnej przyczyny. Musiałam wiedzieć, w jakim jest stanie. Dlatego pomimo oskarżeń Dany nie mogłam do niego nie pojechać.

Kiedy taksówkarz wiozł mnie przez ciche, ciemne ulice Inverness, myślałam tylko o tym, jak bardzo to jest nierealne. Jeszcze kilka godzin wcześniej rozmawiałam z Rossem przez telefon. Wszystko wtedy było dobrze. A teraz... Teraz nie miałam pojęcia, co się dzieje, i czułam jedynie kłujący niepokój. Nadal się o niego martwiłam, nawet jeśli chciałam go poprosić, żebyśmy przestali się spotykać.

Może jednak Dana przesadza. Może spanikowała i próbowała mnie odstraszyć. Może nic takiego się nie stało. Może...

Możliwością było naprawdę wiele i nerwowy niepokój ściskający moją klatkę piersiową na pewno nie miał ustąpić, póki nie dowiem się prawdy.

Przez całą drogę nerwowo bawiłam się komórką. Dlaczego to właśnie Dana znalazła się w szpitalu? Czyżby Ross nadal miał ją zapisaną jako kontakt w razie nagłego wypadku? To było prawdopodobne. W końcu rozstali się niedawno.

Na odpowiedni oddział w szpitalu trafiłam bez problemu. Poczułam déjà vu, kiedy zobaczyłam Danę w poczekalni. Sama niedawno siedziałam w podobnej pozycji, oczekując nerwowo na wynik operacji. Znałam ten ból. I chyba właśnie poczucie solidarności sprawiło, że bez wahania podeszłam bliżej.

– Co ty tu robisz? – zapytała Dana ze złością, podnosząc na mnie wzrok; tusz do rzęs miała rozmazany od płaczu. – Mówiłam ci, żebyś się tu nie pokazywała!

– Musiałam się dowiedzieć, co się stało – zaprotestowałam. – Byłam... Miałam się dzisiaj z nim spotkać.

– Tak, wiem. – W jej błyszczących oczach zobaczyłam ból. Danie nadal na nim zależało. –

Myślisz, że dlaczego powiedziałam, że to twoja wina?

Czułam się okropnie i miałam wyrzuty sumienia. Chciałam spotkać się z Rossem, żeby ostatecznie z nim zerwać. Wyglądało to tak, jakbym bawiła się uczuciami ich obojga. Nie zmusiłam Rossa, żeby się rozstali, musieli mieć swoje powody, mimo to gdy patrzyłam na Danę, czułam, że to ona powinna z nim być. To ona go kochała, nie ja.

– Co się stało? – powtórzyłam, siadając obok niej. – Gdzie jest Ross?

– Na operacji – odpowiedziała słabo. Wyglądała, jakby uciekła z niej wola walki. – Ross miał wypadek samochodowy jakieś dwie godziny temu. Przewieźli go do szpitala i zabrali prosto na salę operacyjną, a ja nie wiem nawet, w jakim jest stanie. Nikt nie chciał mi powiedzieć niczego konkretnego.

– Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku. – Sama słyszałam, jak słabo zabrzmiały te słowa. – Może nie stało się nic poważnego...

Dana pokręciła głową.

– Widziałam spojrzenia pielęgniarek, gdy mnie tu prowadziły. Znam ten wyraz twarzy. Kiedy w szpitalu umierała moja mama, personel patrzył na mnie tak samo.

Z trudem przełknęłam ślinę. Czułam strach na samą myśl o tym, że Rossowi mogłoby stać się coś poważnego.

– Ale przekażą ci wszystkie informacje, prawda? Chciałabym...

– Tak, przekażą, Ross dawno temu wskazał mnie jako osobę upoważnioną – przerwała mi lekko protekcyjnym tonem. – Ale na razie sami niewiele wiedzą. Rozmawiałam z policją, zanim tu dotarłam. Auto jest praktycznie skasowane, potrzebna była straż pożarna, żeby wyciągnąć z niego Rossa.

Nie mieściło mi się to w głowie. Wypadek samochodowy, akurat w takim momencie... Niepokój lodowatą falą rozpląwał się po moich wnętrznościach. Ross jechał wtedy do mnie. Ale co właściwie się stało? I czy to na pewno był wypadek?

– Co dokładnie powiedziała ci policja? – drążyłam, chociaż domyślałam się, że Dana chciała, by zostawiono ją w spokoju. – Co się stało? Ktoś w niego wjechał?

– Nikt nie wie, co dokładnie się stało – odparła. – Ross jechał Old Perth Road, wiesz, tam jest raczej pusto i po obu stronach drogi rosną drzewa. Nie było ślisko. Ross musiał stracić kontrolę nad autem, bo to zjechało na pobocze, uderzyło w drzewo i przekoziolkowało kilka razy. Policja stwierdziła, że sądząc po stanie samochodu, musiał jechać dosyć szybko. Ale to bezpieczna droga, z chodnikiem, nie było jeszcze ciemno... Nie wiem, dlaczego...

Dlaczego stracił kontrolę nad autem.

Zmarszczyłam brwi.

– Sama mówiłaś, że okolica jest zalesiona. Może coś wyskoczyło mu na drogę? Lis, sarna, cokolwiek?

– Tak jak twojemu ojcu, tak?

Zmroziło mnie, gdy to powiedziała. Przez moment nie byłam w stanie wykrztusić z siebie słowa.

Dana przyglądała mi się z drwiącym uśmiechem.

– Tak, wiem o twoim ojcu, całe Inverness wie – przypomniała mi. – Pamiętam, jakie było zamieszanie, gdy zginął. Wypadek samochodowy, żadnych śladów hamowania, auto wbite w latarnię, jakby twój ojciec próbował coś ominąć. Tyle że nikogo ani niczego tam nie było, potwierdził to jakiś facet, który widział zajście z okna swojego domu. Nawet bym ci współczuła, bo wiem, co to znaczy stracić rodzica, Margo. Tylko że nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że ta sytuacja z Rossem jest zdumiewająco podobna.

Była. Nie tylko Dana miała takie wrażenie. Dłonie zaczęły mi się trząść, więc zwinęłam je w pięści, próbując nad nimi zapanować. Lęk, który nagle poczułam, nie chciał jednak tak łatwo odejść. Dana zauważyła coś, co mnie pewnie nawet nie przyszyłoby do głowy.

– Ross też jechał sam, wieczorem, pustą drogą – kontynuowała bezlitośnie. – Też zjechał na pobocze i też w coś uderzył. Zupełnie tak, jakby chciał coś ominąć. Ale niczego tam nie było, prawda? Policja jak dotąd nie znalazła żadnych śladów. Wiem, że cokolwiek mu się stało, to nie był zwykły wypadek. Tak samo jak w przypadku twojego ojca.

Zrobiło mi się niedobrze. Nadal nie byłam w stanie wydusić słowa, wpatrywałam się w nią

w napięciu, błagając w myślach, żeby przestała.

Pogodziłam się z tym. Pogodziłam się dawno temu, że tata nie żyje, i obiecałam sobie, że w przeciwieństwie do mamy nie popadnę w obsesję. Minęło już tyle lat. Nie chciałam tego słuchać. Nie chciałam do tego wracać.

Nie mogłam. A jednak Dana wcale nie zamierzała skończyć.

– Nie wiem, co się stało Rossowi czy twojemu ojcu – powiedziała ze złością. – Ale jestem pewna, że to nie był zwykły wypadek. Bo zawsze w takich sytuacjach czarownice kręcą się w pobliżu. Ludzie mogą gadać, że jesteście nieszkodliwe, ale ja wiem swoje. Cięży nad wami jakieś fatum. Wasi faceci zawsze mają pecha, nie?

– Dana, to nie tak... – zaczęłam, ale nie dała mi dojść do słowa.

– Nie obchodzi mnie to. Jest mi naprawdę przykro z waszego powodu, wiesz? Ale nie pozwolę, żeby Ross znowu przez ciebie cierpiał. Chcę, żebyś trzymała się od niego z daleka. Rozumiesz?

Wpatrywałam się w nią bezradnie. Dana chyba nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo bolały mnie jej słowa. Przecież ja zawsze chciałam być normalna. Nie prosiłam o to, żeby urodzić się w rodzinie pełnej czarownic, nie prosiłam o sekrety, tajemnicze śmierci i czyhające za rogiem niebezpieczeństwa. A już na pewno nie chciałam stanowić zagrożenia dla faceta, na którym mi zależało.

Nie mogłam jednak ignorować tego, co powiedziała. Wypadek Rossa rzeczywiście był podobny do wypadku mojego ojca. I może to nie był zwykły zbieg okoliczności.

– Dana, ja nie chciałam – wydusiłam z siebie. – Musisz mi uwierzyć. Nawet jeśli mam z tym cokolwiek wspólnego... a nie wiem, czy tak jest... nigdy nie chciałam, żeby Rossowi stało się coś złego.

– Wiem. – Jej spojrzenie na moment złagodniało. – Wiem też, że nie jesteś złym człowiekiem, inaczej Ross by się tobą nie zainteresował. I przykro mi, że cię ranię. Ale sama musisz widzieć, że powinnaś trzymać się od niego z daleka.

Łzy zapiekły mnie w gardle, ale obiecałam sobie, że się nie rozplaczę. Nie przy niej, nie przy ludziach. Nie zamierzałam okazywać słabości.

Ale czułam się tak żałośnie, a wyrzuty sumienia zjadały mnie od środka. Byłam taką idiotką. Idiotką, która myślała, że ma życie pod kontrolą i nie potrzebuje niczyjej pomocy.

Tymczasem wszystko waliło się po trochu, aż do tego momentu, w którym byłam przekonana, że więcej już nie zniosę.

– Tak, masz rację – przyznałam zachrypniętym głosem. – Nie czuj się źle z tym, że powiedziałaś mi prawdę, Dana. Sama jestem sobie winna. Nie chcę narażać Rossa na żadne niebezpieczeństwo, dlatego obiecuję, że więcej się do niego nie zbliżę. Wiem, za późno... Ale uwierz, że naprawdę nie chciałam...

– Wierzę – przerwała mi.

Spojrzałam w sufit, próbując odgonić gorące łzy.

– Daj mi tylko, proszę, znać, jak już będziesz wiedzieć, w jakim on jest stanie. I gdybym kiedykolwiek mogła zrobić coś dla ciebie albo dla niego... – Nie byłam w stanie skończyć zdania.

Na szczęście Dana skinęła głową i odpowiedziała:

– Tak, na pewno się odezwę.

Nie pamiętałam, jak wydostałam się ze szpitala ani jak doszłam na pobliski postój taksówek. Nie czułam zimna na skórze, chociaż wieczór zdążył zamienić się w październikową, chłodną noc, a ja miałam na sobie tylko bluzkę z krótkim rękawem. Nie czułam nawet łez na policzkach, póki taksówkarz, do którego auta wsiadłam, nie zapytał mnie, czy wszystko w porządku.

Nic nie było w porządku.

Świadomość tego wbijała się w moje serce ostro niczym sztylet, w miarę jak zbliżałam się do domu. Nic z tego wszystkiego nie rozumiałam i miałam mętlik w głowie, ale jedno było dla mnie jasne. I to bolało jeszcze bardziej.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób ani dlaczego, ale wypadki mojego ojca i Rossa najwyraźniej były ze sobą powiązane.



28. Jak połączyć fakty

– Uspokój się i powiedz, co się stało.

Pierwszą osobą, po którą zadzwoniłam po powrocie do domu, była ciotka Georgia. Zanim do mnie przyjechała, zdążyłam już się wypłakać i obecnie, choć oczy miałam zaczerwienione i podpuchnięte, oładnęły mnie inne uczucia. Byłam wściekła. Żądna krwi.

A także zdezorientowana.

– Ross Shepard miał wypadek. Jest w szpitalu.

– Bardzo mi przykro, kochanie – odpowiedziała ciocia ostrożnie, sięgając po moją rękę, żeby zatrzymać mnie w miejscu. Była rozczochrana i ubrana byle jak, jakbym wyciągnęła ją swoim telefonem z łóżka, ale pomimo to w ogóle nie robiła mi wymówek. – Dlatego chciałaś, żebym przyjechała? Martwisz się o niego? Mogę zostać, jeśli chcesz...

– Miał wypadek – powtórzyłam, przerywając jej. – Zjechał z pustej drogi i uderzył w drzewo. Dachował. Z czymś ci się to kojarzy?

Po chwili zagubienie w oczach cioci zostało wyparte przez niedowierzanie.

– Chyba nie myślisz, Margo...

– Nie wiem już, co myśleć – znowu weszłam jej w słowo. – Może to zwykły przypadek, może w coś uderzył... w sarnę albo w lisa. Ale tak naprawdę wcale w to nie wierzę.

– To by oznaczało, że śmierć twojego ojca...

– ...nie była przypadkiem – dokończyłam za ciocię, kiwając głową. – Tak. I że cokolwiek dręczyło moją mamę, teraz zamierza dręczyć też mnie.

Ręce mi się trzęsły, kiedy to powiedziałam. Może tak naprawdę nie miałam pojęcia, co się wydarzyło te kilkanaście lat temu, może wszystko, w co wierzyłam, było kłamstwem.

Nie miałam wprawdzie pojęcia, jak to możliwe, ale zamierzałam zrobić wszystko, by znaleźć w tym sens.

– Usiądź, Margo, proszę – powiedziała ciocia, a gdy posłusznie opadłam na fotel naprzeciwko niej, dodała: – Przede wszystkim nie panikuj. Cokolwiek to jest, poradzimy sobie.

Posłałam jej sfrustrowane spojrzenie.

– Od samego początku tak mówicie. Odkąd tylko Theo wprowadził się do domu Marshallów, słyszę, że coś z tym zrobicie, a tak naprawdę nie robicie nic! Ten dom... – Zamilkłam nagle, przypominając sobie ostatnią wizytę Rossa w moim mieszkaniu. Sapnęłam z niedowierzaniem. – Ross tam był!

– Gdzie był?

– Ross był w domu Marshallów – wyjaśniłam. – Poszedł tam, żeby porozmawiać z Theo. A co, jeśli coś z tego domu naprawdę może przyczepić się do ludzi, którzy go odwiedzają? Mogłoby przyczepić się do Rossa. Mogłoby w jakiś sposób spowodować... ten wypadek. – Ciocia próbowała protestować, ale nie dopuściłam jej do głosu, nakręcając się coraz bardziej. – Mama też w nim była, więc bardzo prawdopodobne, że tata również. Te wypadki mogą być ze sobą powiązane i to jest wspólny mianownik, nie widzisz? Nie ja, nie mama, nie czarownice. Ten dom.

– Ale dlaczego? – udało jej się wtrącić, kiedy na chwilę zamilkłam, żeby zaczerpnąć powietrza. – W domu Marshallów pracuje cała ekipa budowlana. Jakoś nie słyszałam, żeby komukolwiek stamtąd

stała się krzywda.

Ukryłam twarz w dłoniach. Myśl, Margo, poleciłam sobie stanowczo. Nie, to musiało mieć związek z moją rodziną. Nie chodziło tylko o dom.

– Nie mamy dowodów na to, że w tym domu zagnieździło się cokolwiek złego poza klątwą – podjęłam w końcu. – Ale jeśli przyjmiemy na moment, że coś faktycznie tam jest... Duch. Demon. Cokolwiek. Jeżeli chodzi o tę czarownicę, którą tam wtedy powieszono... To ona może nie wybierać pierwszych z brzegu ludzi, którzy trafili do domu Marshallów. Może im chodzić o mnie, o naszą rodzinę. Chciała się zemścić, prawda?

– Dobrze, założmy przez moment, że rzeczywiście tak jest – zgodziła się ciocia. – Że to Mary Talbot mści się na McKenziach za to, co się z nią stało. Dlaczego nie zaatakowała ciebie? Byłaś w tym domu. Jeśli założyć, że to ona stała za śmiercią Chandlera, oznaczałoby to, że mogła cię skrzywdzić.

Wzruszyłam ramionami.

– Może nie o to jej chodzi? Może chce najpierw... Zabić bliskie mi osoby albo... – Wzdrygnęłam się na tę myśl i nie byłam w stanie dokończyć zdania.

Ciocia się zamyśliła.

– Nie uważasz, że to dziwna kolejność, gdyby tylko o to chodziło? – zapytała po chwili, a gdy posłałam jej pytające spojrzenie, wyjaśniła: – Sama pomyśl, najpierw twoja mama, zakładając, że i w tym maczała palce, chociaż to dziwne, bo Katherine latami żyła w spokoju w New Craigs. Potem Chandler, no dobrze, kochałaś go, ale to jednak tylko kot, a w tym samym czasie w twoim mieszkaniu znajdowała się choćby Lauren. A teraz Ross, i to jedno w zasadzie ma sens. Tylko dlaczego dopiero teraz? I dlaczego najpierw nie zabrała się za Theo?

– Dlatego, że Theo jest jedyną osobą, która może zwabić mnie do domu Marshallów? – podsunęłam.

Ciocia pokiwała głową.

– No tak, ale po co miałyby to robić, skoro już tam byłaś?

Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie, wzruszyłam więc ramionami.

– Myślę, że nie do końca o to chodzi. To zbyt bezmyślne, zbyt chaotyczne. Tu musi być jakieś inne wytłumaczenie. Może gdybyśmy dowiedziały się dokładnie, z czym walczymy, toby nam pomogło. Powinniśmy porozmawiać o tym z rodziną.

– Wiem. – Od początku zdawałam sobie sprawę, że ciotki i babcia muszą się dowiedzieć. – Ale dzisiaj jest już późno, dlatego zadzwoniłam tylko do ciebie. Poza tym potrzebowałam pocieszenia, a nie kolejnych wymówek.

– Kochanie... Przecież wiesz, że nikt nie ma do ciebie pretensji. Zdaję sobie sprawę, przez co musiałaś przejść i jak się to na tobie odbiło. Musiałabym być głupia, uznając, że to twoja wina.

– Ale to jest moja wina! – zaprzeczyłam ze złością. – Powinnam była zrozumieć, że to nie jest coś, z czym mogę się mierzyć sama, powinnam była powiedzieć wam prawdę! Może wtedy... może wtedy nic złego by się nie stało. Może mama... Chandler... i Ross...

– Przestań tak mówić, Margo, proszę – przerwała mi, zanim zdążyłam się nad sobą porządnie poużalać. – Nie możesz wiedzieć, co by się zdarzyło, gdybyś postąpiła inaczej, i musisz przestać się tym zdręzczać. Każda nasza decyzja generuje konsekwencje, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Nie obwiniaj się o to.

Łatwo powiedzieć. I tak miałam wrażenie, że wylew mamy, śmierć Chandlera i wypadek Rossa były moją winą.

– Nie znam się na magii ani całym tym... świecie – dokończyłam kulawo. – Masz dużo większe doświadczenie ode mnie, więc co to może być według ciebie? Znasz jakąś... istotę, która mogłaby działać w ten sposób?

Ciocia przez chwilę przyglądała mi się bez słowa. W końcu odezwała się ostrożnie:

– Trudno stwierdzić, gdy wszystko wydaje się takie przypadkowe. No i jest jeszcze kwestia klątwy. Skoro Mary Talbot rzuciła ją przed śmiercią, a potem zginęła na tej samej ziemi, to może być ze sobą powiązane. Klątwa mogła sprawić, że jej duch powrócił i niejako przyczepił się do tego miejsca. Już za życia podobno była mściwą suką, więc co dopiero po śmierci. – Ciocia wzdrygnęła się

odruchowo. – Może nawet o to jej chodziło. Żeby klątwa związała ją z tym domem po śmierci.

Poczułam wilgotne ciarki strachu pełzające mi wzdłuż kręgosłupa. Jeśli ciocia chciała mnie nastraszyć, świetnie jej szło.

– Ale po co? – zapytałam. – Tylko po to, żeby zemścić się na McKenziech? Ryzykować w takim celu wieczne tułanie się po jednym głupim domu, który nawet nie był jej? Przecież to bez sensu.

– Owszem, bez sensu – przytaknęła ciocia. – Więc może ma jeszcze inny cel.

Przez moment milczyliśmy, każda pogrążona we własnych myślach. Nie miałam pojęcia, jak wyglądały wnioski cioci, ale moje były bardzo proste. Nie musiałam wiedzieć, po co jakaś stara czarownica postanowiła związać się z domem faceta, na którego była taka wściekła. Ważne było, co ja mogłam z nią zrobić.

– Zakładając więc, że to rzeczywiście jakiś... nieprzyjazny byt – odezwałam się po chwili – wiesz, jak się go pozbyć? Jest na to jakiś sposób?

– Nikt tego nie robił od lat – westchnęła ciotka. – Ale na pewno jest na to jakieś zaklęcie. W którejś książce w naszej bibliotece. Musimy wrócić do domu, żeby to sprawdzić.

Wrócić do domu. To znaczyło odwiedziny na Culloden Road i ponowne wyjaśnienia należące się mojej rodzinie. Skrzywiłam się, nie zamierzałam jednak dłużej chować głowy w piasek.

– Dobrze, wybierzmy się rano do babci – zgodziłam się. – A dzisiaj... Mogłabyś zostać ze mną na noc?

* * *

Rano, jeszcze zanim zdążyliśmy pojechać na Culloden Road, zadzwonił mój telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer Rossa. Nie zdziwiło mnie, gdy w słuchawce usłyszałam głos Dany.

– Ross żyje – oznajmiła zdawkowo, gdy tylko odebrałam. – Operacja się udała. Powinien się wkrótce wybudzić.

Odetchnęłam z ulgą.

– Dzięki za informację. – Czułam, jak schodzi ze mnie część napięcia. Nie wiedziałam nawet, jak bardzo cały czas byłam spięta i jak bardzo denerwowałam się losem Rossa. Byłam wdzięczna, że Dana do mnie zadzwoniła. – Wiesz już, co mu było?

– Miał krwotok wewnętrzny... Połamane żebra, jedno z nich przebiło płuco. Poza tym wstrząśnienie mózgu, ale to było najmniej groźne. Spędził kilka godzin na sali operacyjnej, na razie położyli go na OIOM-ie.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłam, próbując brzmieć optymistycznie. – Ross jest silny, poradzi sobie.

– Dzięki. – Przez chwilę obie milczyliśmy, aż wreszcie Dana dodała: – Zadzwoniłam, bo uznałam, że powinnaś wiedzieć, żeby trochę ci ulżyło. Wiem, że nie miałaś złych intencji i że ci na nim zależy, Margo. Mimo to podtrzymuję swoje wczorajsze słowa.

A ja nadal uważałam, że miała rację.

– Nie zamierzam się do niego zbliżać, Dana. – Może kiedyś go przeproszę, ale na razie przebywanie w mojej obecności mogło być dla niego niebezpieczne. – Przepraszam, że tak wyszło... naprawdę nie chciałam.

Kiedy skończyłyśmy rozmawiać, doszłam do wniosku, że Dana wcale nie jest taka zła. Nigdy nie znałam jej za dobrze i zawsze widziałam w niej tylko zazdrosną dziewczynę mężczyzny, który mi się podobał, i przyjaciółkę kuzynki, która najczęściej mnie irtowała. Nie mogłam jednak mieć do niej pretensji o to, że broniła swojego faceta, nawet jeśli byłego, na którym nadal jej zależało.

– Wszystko w porządku? – zapytała z troską ciotka Georgia, wychodząc z łazienki. Podniosłam na nią zamyślony wzrok i skinęłam głową.

– Na tyle, na ile może być. Dzwoniła Dana. Ross jest już po operacji, podobno wszystko się udało. Będzie żył.

Ciocia uśmiechnęła się do mnie pokrzepiająco i lekko ścisnęła moje ramię. Zdenerwowanie, które nie opuszczało mnie od poprzedniego wieczoru i nie pozwoliło spać w nocy, nie zniknęło całkiem, ale trochę zelżało. Pozwoliłam sobie na optymistyczną myśl, że może jednak wszystko jeszcze się ułoży.

Ale najpierw musiałam przeżyć kolejne spotkanie z rodziną.

Na Culloden Road pojechałyśmy zaraz po śniadaniu. Wsiadając pod siedzibą naprzeciwko domu Marshallów, przypomniałam sobie, że zapomniałam zadzwonić do Theo i zapytać o przeprowadzkę. Ciekawiło mnie, czy znalazł już jakiś lokal zastępczy i czy zdążył wynieść się z tej ponurej rudery.

Dom Marshallów zdecydowanie przestał mi się podobać.

Zaczęłam jednak powątpiewać, gdy na podjeździe zauważyłam motocykl Theo. Nigdzie wprawdzie nie widziałam furgonetki ekipy remontowej, motocykl sugerował jednak, że Theo się nie wyniósł. Co jeszcze tam robił? Musiałam do niego zadzwonić.

W domu zastałyśmy jedynie babcię, ciotkę Imogen, ciotkę Lauren i ciotkę Elsie; ponieważ jednak ciotka Elsie źle się czuła – męczyła ją migrena i od poprzedniego dnia nie wychodziła z sypialni, gdzie zasłoniła wszystkie okna – nie było jej teraz w salonie.

Z pomocą ciotki Georgii streściłam wszystkim obecnym wypadki ostatniego dnia. Ciotka Lauren kręciła z z troskaniem głową, ciotka Imogen cmokała z niezadowoleniem i tylko babcia pozostawała niewzruszona, w żaden sposób nie reagując na nasze rewelacje; żadna jednak nie przerywała nam, póki nie skończyłyśmy. Pocąc się pod ostrzałem spojrzeń trzech czarownic, doceniałam, że mam po swojej stronie ciotkę Georgię.

– Nie mamy żadnego dowodu na to, że jakiś zły byt mógłby pozostać w domu Marshallów – zaprotestowała ciotka Imogen.

Westchnęłam.

– Ale nie widzicie, że to jest najbardziej prawdopodobne? To coś więcej niż tylko klątwa. Klątwa mogła zniszczyć życie ludziom, którzy tam mieszkali, pewnie. Ale coś takiego? Przecież to nie jest ingerencja jakiejś bezmyślnej pułapki pełnej mocy!

– A od kiedy to tak się na tym znasz? – zainteresowała się ciotka Imogen, a w tym samym momencie babcia wtrąciła:

– Masz na myśli ducha.

– Ducha, zły byt, zjawę, nazwijcie to, jak tylko chcecie! – potwierdziłam. – Nie znam się na tym, nie mam pojęcia, czy to możliwe i jakie są ograniczenia...

– To możliwe, że taki zły byt, jak to określiłaś, przyczepia się do osoby, która odwiedziła miejsce, do którego jest przywiązany – przerwała mi babcia. – Ale pozostaje jedna kwestia. Duch jest niematerialny i w związku z tym nie ma własnej mocy. Nie mógłby nikomu fizycznie wyrządzić krzywdy. Przynajmniej poza domem Marshallów, bo na jego terytorium wszystko jest możliwe, zwłaszcza że mówimy o naprawdę silnej czarownicy.

Zawahałam się.

– Wypadki Rossa i taty mogły być dokładnie tym... wypadkami – stwierdziłam w końcu z namysłem. – Wystarczyło, że ukazała im się na środku ulicy. Tyle chyba ten duch może zrobić? W końcu w moim domu Blair też ją widziała.

– Tak, to bardzo prawdopodobne – przyznała babcia. – Ale co z Chandlerem?

Wzruszyłam ramionami.

– To wy tu jesteście wykwalifikowanymi czarownicami...

– To w zasadzie nie byłoby niemożliwe – wtrąciła się ciotka Lauren, jakby nagle na coś wpadła. – Zjawy mogłaby coś takiego zrobić, gdyby czerpała z jakiegoś źródła mocy.

– Źródła mocy? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Czyli z czego?

– Wszystko, co ma moc, jest równocześnie jej źródłem – wyjaśniła ciocia. – Jednym z lepszych są oczywiście czarownice, ale nie tak łatwo pobrać moc od czarownic, bo one szybko się orientują. Nawet ty byś się zorientowała.

– Więc skąd...

– Twoja mama – weszła mi w słowo. – Była wcześniej w domu Marshallów. Stanowiła łatwy cel. Nie byłaby w stanie się bronić.

– Za to mogłaby skończyć z wylewem – podpowiedziałam z rosnącym przerażeniem.

Ciotki popatrzyły po sobie, w jednej chwili poważniejąc.

Babcia pokiwała głową.

– Tak, taki skutek uboczny byłby możliwy, gdyby zabrano za dużo mocy. Ale przecież saleę chroniły zaklęcia...

– Podobnie jak mój dom, wtedy gdy Blair do mnie przysła? – podsunęłam. – Dostała się do środka mimo zabezpieczeń. Może mogła to zrobić, bo się do nas przyczepiła.

– Nie wiemy, czy Blair rzeczywiście coś tam widziała – prychnęła Imogen, na co babcia spojrzała na nią z pobłażaniem.

– Naprawdę sądzisz, że to mógłby być przypadek?

Z satysfakcją obserwowałam, jak ktoś zgasił ciotkę Imogen. Więcej już się nie odezwała.

– Ale dlaczego miałyby to robić akurat teraz? – wtrąciła ciotka Georgia. – Przecież Katherine znajdowała się... w tym stanie... tyle lat. Mogła wcześniej...

– Może czekała na właściwy moment i nie chciała, żebyśmy się o niej dowiedziały. Może wcześniej nie potrzebowała mocy.

– Ale dlaczego? – drażyła ciotka Georgia.

Poruszyłam się niespokojnie w fotelu.

– Bo wcześniej nie było mnie w domu Marshallów.

Ciotki i babcia na mnie spojrzały. Więc wracałyśmy do punktu wyjścia – chodzi o mnie. Wszystko powoli nabierało sensu, ale nadal walczyłam z mnóstwem niewiadomych. Wylew mamy mógł być skutkiem ubocznym zabrania jej magii. Chandler – wprawką albo po prostu irytującym elementem, którego należało się pozbyć. Ross...

Przypomniałam sobie tamtą rozmowę Rossa z Theo. Ross chciał, żebym trzymała się z dala od Theo. I siłą rzeczy z dala od domu Marshallów. Dlatego Theo nadal nic się nie stało, a Ross leżał w szpitalu.

– Ona chce, żebym tam wróciła – doszłam do wniosku. – Do domu Marshallów.

Mogła mnie zabić już wtedy, w moim mieszkaniu, gdy zabiła Chandlera. Ale tego nie zrobiła. Chodziło o coś innego... Nie byłam tylko pewna, czy chcę wiedzieć o co.

Kiedy ciotki zapytały, jaki miałyby być cel takiego powrotu, rozłożyłam bezradnie ręce. Na to nie miałam wytłumaczenia. Zły byt, który kiedyś był równie złą czarownicą, najwyraźniej chciał mnie żywej. Ale po co? Gdyby chodziło tylko o zemstę na McKenziech, już dawno byłabym martwa albo leżała w szpitalu jak mama i Ross. Nie, musiało chodzić o coś innego.

– Oczywiście to dla ciebie jasne, że nie wolno ci tam wchodzić, tak, Margo? – zapytała twardo ciotka Georgia.

Wszystkie porozumiały się wzrokiem. Czasami miałam wrażenie, że ciotki i babcia posługują się telepatią.

Niechętnie pokiwałam głową.

– Oczywiście, że tak. Ale jak się upewnimy, że mamy rację...

– Nie będziemy się upewniać. – Tym razem to babcia weszła mi w słowo. – Po prostu ją wypędzimy.

Podniosłam brwi.

– Wypędzimy? – powtórzyłam. – A jak dokładnie się to odbywa?

– Nie jestem pewna – przyznała niechętnie. – Za mojego życia nigdy tego nie robiłyśmy. Ale mamy na ten temat książkę w naszej bibliotece. Zaraz wszystkiego się dowiemy... I jeśli rzeczywiście w domu Marshallów jest jakaś zła zjawa, pozbedziemy się jej raz na zawsze.

Kiedy ruszyłam za babcią i ciotkami do tajnej części rodzinnej biblioteki, czułam się nieco podniesiona na duchu. Miałam wprawdzie wątpliwości, czy powinnyśmy działać, nie znając motywacji tej zjawy, ale babcia była pewna siebie. I to musiało mi wystarczyć.

Wkrótce po przeszukaniu regałów do wszystkich dotarła jednak bolesna prawda, która sprawiła, że żołądek z niepokoju znowu zwinął mi się w supeł.

Tej jednej pozycji, która nas interesowała, a która traktowała o odpędzaniu złych bytów, brakowało – zamiast niej na regale ziała pusta dziura. Co więcej, żadna z moich ciotek nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy książka zniknęła.

Wyglądało na to, że moje kłopoty nie miały się jednak tak szybko zakończyć.



29. Jak dać sobie wywróżyć przyszłość

W ciągu jednego przedpołudnia zdążyłyśmy przeryć bibliotekę wzdłuż i wszerz. Początkowe nieśmiałe sugestie cioci Lauren, że może ktoś po prostu przełożył książkę, szybko okazały się fałszywe, a nasze nadzieje na odnalezienie zguby z każdą chwilą malały.

Babcia wypytała o nią resztę domowników, nikt jednak nie kojarzył tytułu. Potem zapadła decyzja o rzuceniu zaklęcia lokalizującego, co uczyniono dosyć niechętnie. Nie rozumiałam tego, póki ciocia Georgia mi nie wytłumaczyła:

– To prawdopodobnie i tak nie zadziała. Czarownice na wszystkie ważne przedmioty rzucają własne zaklęcia. Często po to, żeby nie znalazły ich niepowołane osoby. Cała biblioteka McKenziech jest w ten sposób pilnowana. To ciocia rzucała te pierwsze zaklęcia, więc ma nadzieję, że kolejnym rozproszy poprzednie. Moim zdaniem jednak się to nie uda.

Ciocia Georgia niestety miała rację. Chociaż babcia zabrała się do czarowania z wielkim skupieniem i pomagała jej ciotka Imogen, zaklęcie nie wypaliło. Wszystkie znaki nakreślono prawidłowo, a magia aż trzaskała w powietrzu, ale bez efektu. Nie licząc gęszej skórki, którą wywołało we mnie wymruczane przez babcię i ciotkę w gaelickim zaklęciu.

– To bez sensu – orzekła babcia. – Nie mogę złamać własnych zaklęć. Szkoda, że wiedziałam, co robiłam, gdy je rzucałam. Musimy znaleźć inny sposób.

– Może komuś ją pożyczycie? – zasugerowałam nieśmiało. – Może...

– Nie prowadzimy tu wypożyczalni, Margo – odparła z irytacją ciotka Imogen. – Niby kto miałby pożyczać od nas książki o zaawansowanych zaklęciach?!

– Ciotka Agnes – wyrwało mi się.

Babcia spojrzała na mnie z zadumą.

– Na pewno nie... Ale to dobry pomysł, Agnes może mieć swój egzemplarz książki o widmach. Zadzwoń do niej.

Ciotka Agnes była jedyną czarownicą w rodzinie, do której nikt nie miał pretensji, że nie mieszka w Inverness. Wiele lat temu, wyjechawszy za mężem, osiadła w Londynie i tam już została. Chociaż nikt nie był z tego powodu szczęśliwy, nikt też nie robił jej o to wymówek. W przeciwieństwie do mnie.

Wróciłyśmy do salonu, a babcia wyszła do gabinetu, by porozmawiać z ciotką Agnes. Ciotka Georgia i ciotka Lauren zastanawiały się, jak najszybciej można zorganizować transport książki do Szkocji; ciotka Lauren sugerowała kuriera, póki ciotka Georgia nie zauważyła logicznie, że wystarczy przecież zrobić skan odpowiednich stron i przesłać go mailowo.

A potem wróciła babcia ze złymi nowinami.

– Agnes wraz z Jenny są do końca miesiąca we Francji, u rodziny Thierry'ego – oznajmiła z niezadowoleniem, ledwie weszła do salonu. Jenny była jedyną córką ciotki Agnes, a do rodziny jej zmarłego męża we Francji obie jeździły regularnie. – W Londynie została tylko ich sąsiadka, która wpada podlewać kwiaty, a ona nie może się tym zająć. Nie każemy postronnej osobie grzebać w księgach pełnych zaklęć.

Ciotki posłały babci pełne frustracji spojrzenie.

– Co w związku z tym robimy? – zapytała ciocia Georgia.

– To trzeba wyjaśnić – powiedziała babcia. – Muszę się zastanowić. Szukajcie dalej. Ta książka

musi gdzieś być... Z pewnością nie zabierał jej nikt obcy. Zresztą komu mogłaby być potrzebna?

Babcia namówiła ciocię Georgię i mnie, żebyśmy zostały na obiad, a chociaż zupełnie nie miałam do tego nastroju, zgodziłam się, żeby nie siedzieć samej w mieszkaniu. Wzięłam sobie z domowej biblioteczeki szczytanego Conan Doyle'a – wiedziałam, że to książki jeszcze z czasów młodości mamy, która zaraziła mnie upodobaniem do kryminałów – i ukryłam się w fotelu w kącie salonu, próbując choć na chwilę oderwać się od ponurych myśli. Kryminał wyjątkowo nie spełniał moich oczekiwań.

W większości wypadków im dziwniejsza wydaje się sprawa, tym banalniejsze rozwiązanie.

Zastygłam na chwilę nad tymi słowami. Moje życie obecnie przypominało zagadkę kryminalną, a jednak słowa pisarza nie pasowały. Moje problemy nie były przyziemne – były nadnaturalne, co oznaczało, że rozwiązanie wcale nie musiało być banalne. A skoro całe życie twardo stąpałam po ziemi, jak teraz mogłam je znaleźć?

Westchnęłam i zatrzasnęłam książkę, moszcząc się wygodniej w fotelu. Załóżmy więc, że mam rację i że pozostałość po Mary Talbot grasuje w domu Marshallów. Przyczepia się do każdego, kto spędzi w nim trochę czasu, i dzięki temu może ukazywać się poza posesją. Załóżmy, że zjawa ukradła magię mamy, doprowadzając ją samą do wylewu, a następnie zabiła mojego kota, bo... dlaczego właściwie? Bo Chandler reagował na nią tak jak wtedy, gdy przyszła do mnie Blair? Wyczuwał, że w domu jest coś złego?

No i Ross. Do tego nie trzeba już było magii. Wystarczyło pokazać się na środku drogi i śmiertelnie go wystraszyć, podobnie jak z moim ojcem. Ross miał jedynie więcej szczęścia od taty, który w tamtym wypadku zginął na miejscu.

I co dalej? Nie mogło chodzić wyłącznie o ranienie przypadkowych bliskich mi osób. W tym musiał być jakiś głębszy cel. Zjawa musiała do czegoś dążyć. Zakładając, że zachowała świadomość Mary Talbot, z pewnością jest inteligentna.

Może ciotki i babcia uważały, że wystarczy się jej pozbyć. Ja jednak byłam zdania, że najpierw powinnam spróbować się dowiedzieć, czego ona chce. Może to pomogłoby ułożyć odpowiedni plan?

Może wtedy wiedziałabym, jak ochronić kolejne osoby przed podzieleniem losu Rossa?

Wiedziałam jednak, jak ochronić przynajmniej jedną. Sięgnęłam do komórki w tylnej kieszeni dzinsów i przez chwilę przyglądałam się w zamyśleniu wyświetlaczowi. Nie miałam żadnych powiadomień. Nie widziałam się z Theo od prawie dwóch dni, a on nadal nie zadzwonił. Pokręciłam głową. Już chyba nie miało znaczenia, kto zrobi to pierwszy...

Wybrałam numer i odczekałam dwa sygnały. Zaraz potem poczułam rozlewające się po wnętrzościach ciepło na dźwięk głębokiego głosu Theo.

– Dzień dobry, Margó. Przepraszam, że sam nie zadzwoniłem.

Skoro facet zaczynał rozmowę od przeprosin, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko mu wybaczyć. W końcu byłam łaskawa.

– Spodziewałam się usłyszeć, że właśnie miałeś to zrobić – odgryzłam się, nie mogąc się powstrzymać.

– Miałem to powiedzieć, ale wiedziałem, że i tak mi nie uwierzysz. – Zaśmiał się. – Wszystko w porządku?

Zapowietrzyłam się na moment. Nawet nie masz pojęcia, pomyślałam.

– Jak tam twoja wycieczka z domu Marshallów?

– Po to dzwonicz? – zdziwił się. – Miałem nadzieję, że zaproponujesz, żebyśmy się spotkali.

– Jeszcze nie masz dość zwiedzania Inverness?

– No nie wiem, twojej sofie w salonie na pewno nie zwiedziłem dość dokładnie.

Dobrze, że nikt mnie w tamtej chwili nie widział, bo na pewno się zaczerwieniłam.

Cóż jednak mogłam poradzić na to, że natychmiast przypomniałam sobie, co ostatnim razem robiliśmy na mojej sofie.

– To dobrze, bo przestałyby być tajemnicza i już nie byłbyś jej taki ciekawy – odpowiedziałam. – A pytam o dom Marshallów tylko dlatego, że się o ciebie martwię, Theo, przecież wiesz o tym.

– Wcale nie jestem tego taki pewien – zaproponował. – Ostatnim razem sugerowałaś, że mogę spaść ze schodów i się połamać. Nie jestem nawet pewien, czy to przypadkiem nie był jakiś wiedźmi

urok.

Wiedzmi urok. Naprawdę był uroczy.

– Czy możesz przez moment być poważny, proszę? – Sama starałam się zachować powagę. –

Powiedz mi po prostu, kiedy się stamtąd wynosisz.

– A skąd wiesz, że jeszcze tego nie zrobiłem?

Zamknęłam oczy i westchnęłam.

– Bo jestem u babci i widziałam motocykl przed domem. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby to wydedukować.

– O, to może do was wpadnę? – zaproponował niewinnie.

Przewróciłam oczami.

– Chyba na głowę upadłeś. Ciotki za próg by cię nie wpuściły. Wyprowadź się, to wtedy pogadamy.

– Obdzwoniłem hotele. Mają pełne obłożenie do końca tygodnia. Będę kombinował w poniedziałek.

W poniedziałek?! Przecież ten facet był niepoważny! Czy on nie rozumiał, że groziło mu niebezpieczeństwo?

– Theo, proszę...

– Nic nie poradzę – wszedł mi w słowo. – Chyba że chcesz mnie przygarnąć do siebie...

– Ross jest w szpitalu – wyrwało mi się, zanim zdążyłam zdecydować, że to zły pomysł. A skoro już to powiedziałam, uznałam, że nie zaszkodzi jeszcze bardziej go wystraszyć. – Akurat jechał do mnie, kiedy miał wypadek. Przynajmniej policja twierdzi, że to był wypadek, bo ja jestem pewna, że nie. Proszę cię, potraktuj to poważnie, Theo. Naprawdę nie chcę, żeby coś ci się stało.

Czekałam kilka sekund, zanim odpowiedział:

– Dobrze, postaram się zrobić, co w mojej mocy.

Nie wierzyłam mu ani przez chwilę.

– Jeśli naprawdę nie masz gdzie przenocować, przyjedź do mnie – wyrwało mi się.

Theo zaśmiał się w słuchawkę.

– Nie sądzę, żeby twoje ciotki były zadowolone.

– Pieprzyć ciotki – odparłam bez namysłu. – W przeciwieństwie do ciebie im nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Potraktuj to poważnie, proszę.

– Może zobaczymy się dzisiaj wieczorem? Mogłabyś mnie przekonać, jak bardzo to dla ciebie ważne.

Zdawałam sobie sprawę z tego, co oznaczałaby zgoda. Było niemalże pewne, że wtedy Theo zostałaby u mnie na noc.

Czy na pewno byłam na to gotowa?

– Ja...

– Margo, jesteś tutaj? – Od drzwi dobiegł mnie głos ciotki Georgii.

Drgnęłam w fotelu i przykryłam mikrofon dłonią.

– Jestem, ciociu! – odkrzyknęłam. – Ja...

– Skoro już tu jesteśmy, skorzystamy z salki do nauki McKenziech i podszkolimy cię trochę – zaproponowała z entuzjazmem. – Niech z tego całego zamieszania wyjdzie coś dobrego.

Zawahałam się, a potem wróciłam do rozmowy z Theo.

– Zadzwoń do ciebie później, dobrze? Teraz coś mi... wypadło. I weź pod uwagę, co mówiłam, proszę.

Już dawno podczas jednej rozmowy nie wypowiedziałam tyle razy słowa „proszę”.

Gdy wyszliśmy z ciotką do holu, stwierdziłam, że babcia i ciocia Lauren gdzieś się wybierają. Na nasz widok odłożyły walizki.

– Wybaczcie, obiadu dzisiaj nie będzie – oświadczyła babcia. – Doszliśmy z Lauren do wniosku, że pojedziemy do Londynu i same odbierzemy księgę od Agnes.

Zamrugłam z niedowierzaniem.

– Przecież to jakieś dziesięć godzin jazdy...

– Dziewięć i pół – sprostowała natychmiast ciocia Lauren. – A poza tym pojedziemy najpierw na lotnisko, może znajdziemy jakiś lot na ostatnią chwilę.

Miałam wątpliwości.

– Naprawdę sądzicie, że to konieczne? Nie wiemy na pewno...

– Nie zamierzam dłużej siedzieć bezczynnie i czekać, aż komuś znowu coś się stanie – weszła mi w słowo babcia. – Potrzebujemy tej książki, więc po nią pojedziemy. Koniec dyskusji.

Podziwiałam ją: miała siedemdziesiąt pięć lat i chciało jej się wybierać w takie podróże.

Zawahałam się.

– Może ciocia Ava powinna...

– Ava wyjechała na weekend z Johnem i Blair do Edynburga. – Babcia wzruszyła ramionami, chwytając do ręki swój nieodłączny czarny parasol. Chyba był dla niej substytutem miotły. – Nie chcemy jej niepokoić.

– To może ja...

– Nie, ty zostaniesz tutaj, pod okiem Georgii, tak będzie dla ciebie bezpieczniej – zaprotestowała natychmiast, znowu nie pozwalając mi dokończyć zdania. – Może i jestem stara, ale nie traktuj mnie jak zniechęconą. Podróż dobrze mi robi.

Uniosłam ręce w geście poddania, uznając, że nie ma sensu się kłócić.

– Ach, zapomniałam – dodała ciotka Lauren, wkładając kurtkę. – Elsie prosiła, żebyś do niej zajrzała, Margo.

Zmarszczyłam brwi. Ciotka Elsie chciała mnie widzieć? To nie mogło oznaczać niczego dobrego.

Pożegnałam się z babcią i ciocią, dziękując za pomoc, życząc im udanej drogi i prosząc, by zadzwoniły natychmiast, gdy tylko czegoś się dowiedzą, po czym przeprosiłam ciocię Georgię i pobiegłam na górę, do pokoju cioci Elsie.

Pokój mieścił się w tym samym korytarzu, w którym niegdyś mój. Kiedy weszłam na piętro, przypomniałam sobie te wszystkie lata, gdy wychowywałam się w tym domu, biegałam po korytarzach i kłóciłam się z mieszkającą naprzeciwko Willow. Już wtedy za mną nie przepadała, ale okazywała to w nieco mniej nieprzyjemny sposób. Zerknęłam w stronę odpowiednich drzwi; Willow nadal tu mieszkała.

Pokój cioci Elsie znajdował się na końcu korytarza; jako pomieszczenie narożne miał zaletę w postaci dwóch okien w dwóch sąsiadujących ze sobą ścianach. Co nie miało znaczenia, bo gdy zapukałam i weszłam do środka, okazało się, że panuje w nim półmrok, a zasłony w obu oknach są szczelnie zaciągnięte.

To pewnie przez migrenę. Dziwne, że w takim stanie ciocia chciała ze mną rozmawiać.

– Ciociu? – odezwałam się niepewnie. Potrzebowałam chwili, zanim mój wzrok przyzwyczaił się do półmroku, stanęłam więc w progu, rozglądając się dookoła. – Ciociu Elsie...

– Tutaj jestem, chodź bliżej. – Głos cioci dobiegł mnie z fotela ustawionego przy kominku.

Westchnęłam i spróbowałam dojść na miejsce bez wpadania po drodze na wszystkie przedmioty. Niestety nie uniknęłam bliskiego spotkania mojego kolana z kantem stolika kawowego. Z trudem zmełam między zębami soczyste przekleństwo.

– Na litość, Margo – westchnęła ciotka. – Czemu po prostu nie włączysz światła?

Zamarłam na moment. No właśnie, czemu?

– Bo na zewnątrz jest całkiem jasno, ciociu – odpowiedziałam. – Może lepiej odsunę zasłony?

– Słońce razi mnie w oczy i głowa boli od tego jeszcze bardziej.

Aha, no właśnie, dlatego.

– Więc przypuszczam, że sztuczne światło dałoby ten sam efekt. – W końcu jakoś doczłapałam do kominka i zajęłam miejsce w drugim fotelu, naprzeciwko tego, w którym zanurzona była ciotka Elsie. – Dzień dobry. Podobno chciałaś się ze mną widzieć, ciociu.

Ciocia Elsie skinęła głową, ale przez chwilę nie odpowiadała, wpatrzona w wygasły kominek. Gdyby chciała, mogłaby w nim napalić magią, ale widocznie nie czuła takiej potrzeby.

– Chciałam z tobą porozmawiać, moje dziecko.

Wypuściłam z płuc wstrzymywane powietrze. Dobrze, bo już się obawiałam, że ciotka

zamierzała znowu wróżyć mi z fusów albo z ptasich wnętrzności. Nie znosiłam przepowiedni ciotki Elsie, bo nigdy nie wiedziałam, co z nimi robić i jak się wobec nich zachować. No bo jeśli ciotka mówiła „Nie wsiadaj do samolotu”, skąd mogłam wiedzieć, jaki samolot ma na myśli i w jakim czasie mam się go wystrzeżać? A jeśli chodziło o najbliższy lot, to czy wystarczy przebukować bilet na inny, czy może całkiem zrezygnować? Takie właśnie miałam dylematy po wysłuchaniu przepowiedni ciotki Elsie.

– Jak się czujesz, ciociu? – zapytałam.

Ciocia machnęła lekceważąco ręką.

– To tylko migrena, przejdzie mi. Ważniejsze jest to, co widzę wokół ciebie. – Zamilkła na moment, jakby potrzebowała czasu, by przyjrzeć się mojej aurze, czy co tam chciała zobaczyć. – Otacza cię ciemność i nie podoba mi się to. Kiedy próbuję zajrzeć w twoją przyszłość, widzę tylko to. Mrok, którego nie potrafię przebić wzrokiem.

– Co to znaczy? – zaniepokoiłam się. – Że nie mam przyszłości? Umrę?

– Każdy z nas ma jakąś przyszłość – zaprotestowała. – Choćby oznaczała najbliższe pół godziny. U ciebie jednak nie potrafię nawet zobaczyć, co zrobisz po wyjściu z mojego pokoju.

– A zazwyczaj to widzisz?

– Zazwyczaj. – Ciotka wzruszyła ramionami. – To zależy od człowieka. W rodzinie czyta mi się zdecydowanie łatwiej. A ty nigdy nie stawiałaś w umyśle żadnych barier, bo nie wiedziałaś jak, więc zawsze widziałam cię dosyć wyraźnie. Teraz nie widzę.

– To kwestia magii? – poddałam. – Skoro zaczęłam ją ćwiczyć... Może nieświadomie zbudowałam jakąś, eee... barierę...

– To zupełnie inne uczucie. – Ciocia pokręciła głową. – Nie, nie chodzi o bronienie twojego umysłu przede mną. Chodzi o to, że ktokolwiek to robi, celowo zaciemnia obraz. Ktoś nie chce, żebym zobaczyła, co ma się z tobą dziać. Na szczęście są jeszcze alternatywne wyjścia.

Stłumiłam kolejne westchnienie, gdy wyciągnęła rękę po moją dłoń. Ciocia spanikowała i postanowiła spróbować jakiejś innej metody przepowiadania.

Nie bardzo wierzyłam, że cokolwiek z tego wyjdzie. Ciotki zawsze tłukły mi do głowy, że nasze dodatkowe umiejętności, choć oczywiście mogą być wyćwiczone, pojawiają się zniemacka jako talent i nie można ich sztucznie nabyć. Nie wierzyłam też więc za bardzo, że ciotka mogłaby wróżyć z czegokolwiek poza własnymi wizjami. Niewykluczone jednak, że się myliłam – ostatecznie magia działała lepiej, jeśli regularnie ćwiczyło się rzucanie zaklęć. Być może więc i inne tego typu umiejętności można było wyćwiczyć?

Podaliśmy ciotce dłoń, a już w następnej chwili, ku mojemu zaskoczeniu, w kominku zapłonął niewielki ogień. Nie dawał wiele światła, ale sprawił, że na ścianach pokoju zatańczyły cienie. Ten widok był dość niepokojący, aż spróbowałam wyszarpnąć rękę, ale ciocia trzymała mnie mocno. Przybliżyła ją do ognia i zaczęła uważnie oglądać jej wewnętrzną część.

– Wróżenie z dłoni jest możliwe? – zapytałam drżąc.

Ciocia uśmiechnęła się z roztargnieniem.

– To zależy, co chce się wywróżyc – odpowiedziała enigmatycznie. – Z pewnością nie jest to najpewniejszy ani najdokładniejszy sposób. Ale też nie o to mi chodzi.

Sięgnęła do trzymanego na kolanach płóciennego woreczka i sypnęła czymś na moją rękę, aż zakręciło mi się w nosie. Zanim zdążyłam kichnąć, ciocia zaczęła mamrotać jakieś słowa po gaelicku.

Przez moment miałam wrażenie, że nic się nie dzieje: ciocia zamknęła oczy, a ja wstrzymałam oddech, irracjonalnie obawiając się, że jeśli za głośno odetchnę, w jakiś sposób ją spłoszę. A potem nagle, nie otwierając oczu, powiedziała:

– Śmierć za tobą podąża, Margo.

Wzdrygnęłam się. To nie był dobry początek wizji.

– Czai się w ciemności, gdzie nie możesz jej zobaczyć... Ale cały czas jest przy tobie. Jest w murach przeklętego domu. W dotyku mężczyzny, na którym ci zależy.

Zrobiło mi się niedobrze. Znowu chciałam wyszarpnąć dłoń, ale ciotka trzymała ją mocno, nie pozwalając mi się wycofać.

– Otuli cię szczelnie niczym płaszcz, gdy ponownie przestąpisz próg przeklętego domu.

Otwarłam usta, żeby odpowiedzieć, że nie zamierzam wchodzić więcej do domu Marshallów, ale zrezygnowałam. Ciocia nie wyglądała, jakby była w stanie przyjąć jakikolwiek komunikat ze świata zewnętrznego.

– Ale nie obawiaj się, Margo. Wszystko dobrze się skończy, gdy dzień ponownie zrówna się z nocą.

Nagle puściła moją rękę.

Wpatrywałam się w ciocię ze zdumieniem. Więc po to było to wszystko? Wróżyła na temat śmierci, nie podawała jednak żadnych konkretów, ani jednego szczegółu, który mógłby mi pomóc uchronić się przed krzywdą. Przecież nie zamierzałam wchodzić ponownie do domu Marshallów. Dlaczego więc mówiła coś takiego?

– To wszystko? – zapytałam, nie mogąc powstrzymać goryczy w głosie. – Miałam nadzieję, że chociaż powiesz mi, gdzie szukać naszego egzemplarza książki, żeby wypędzić ten cały zły byt z domu Marshallów.

Ciocia spędziła cały dzień w swoim pokoju, całkowicie odseparowana od reszty rodziny. Nie było jej podczas naszej rozmowy ani przy poszukiwaniach w bibliotece, nie mogła więc wiedzieć, o jaką księgę mi chodzi. A jednak gdy zamrugnęła, jakby próbując obudzić się z transu, po czym spojrzała na mnie jeszcze nie do końca przytomnie, odparła:

– Sama powinnaś to wiedzieć najlepiej, Margo.



30. Jak odnaleźć zgubę

– Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

Kiedy wieczorem wpadła do mnie Charlie, byłam jej wdzięczna za gotowość spędzenia kolejnej nocy w moim domu. Jej narzeczony był aniołem, a ja miałam wyrzuty sumienia, że znowu ją wykorzystuję. Charlie jednak zbyła je machnięciem ręki, stwierdzając, że od tego są przyjaciele i mam się nie wygłupiać, a w ogóle to przywozła wino.

Nie mogłam sobie wymarzyć lepszej przyjaciółki.

– A jak myślisz? – westchnęłam. – Wszystko, co się stało... To moja wina. Gdybym nie sprowadziła Theo do Inverness...

– Przecież nie mogłaś wiedzieć – przerwała mi stanowczo, rzucając się na moją sofę. – Serio, nie powinnaś się obwiniać. Nie ty jedna okłamujesz bliskich. No i nie miałaś złych intencji. To nie twoja wina.

Powoli usiadłam obok niej.

– To, że nie miałam złych intencji, nie znaczy jeszcze, że to nie moja wina – odparłam, wzruszając ramionami. – Nic z tego by się nie stało, gdybym nauczyła się korzystać z magii. Nie bawiłabym się wtedy jak idiotka mocą w równonoc jesienną. Wiedziałabym, jak bardzo to może być niebezpieczne... Że ja mogę być niebezpieczna.

– Nie jesteś niebezpieczna...

– Przeze mnie Ross jest w szpitalu, rozumiesz? – Zamilkłam na moment, żeby pozbyć się hysterii z głosu, a potem dodałam nieco spokojniej: – Tak jak mój ojciec. To nie mógł być przypadek. Ktoś... albo coś... za tym stoi. I robi to przeze mnie. Powinnam była wiedzieć... Powinnam była powiedzieć Rossowi, żeby się do mnie nie zbliżał.

– Próbowалаś go splawić – prychnęła Charlie. – Nie dał się. Może to jednak nie takie ciepłe kluchy, jak myślałam.

– Charlie, proszę – jęknęłam. – Nie pogarszaj sytuacji. Nie wiem, co mam teraz robić.

– Nic. Zostaw działanie ciotkom, one cię z tego wyciągną. A tu jesteś bezpieczna.

– Ale Theo nie jest bezpieczny – zaprotestowałam. – Powinien był już dawno się wyprowadzić!

Dlaczego tego nie robi?!

Charlie posłała mi niepewne spojrzenie, które mnie zaniepokoiło. Oznaczało, że chce powiedzieć coś, co miało mi się nie spodobać.

– No co?

– To nic takiego, Margo...

– Więc tym bardziej wyduś to z siebie – zniecierpliwiłam się. – Jeśli to nic takiego, to się nie przejmę, nie?

– No dobra. – Przewróciła oczami. – Nie myślałaś o tym, że może Theo... Że może on nie działa... całkowicie samodzielnie?

Zawładnęła mną fala niepokoju. Niby nie powiedziała nic takiego, ale werbalizowała moje myśli z ostatnich godzin. A skoro nie tylko ja tak myślałam...

Może to miało jakiś sens.

– Co masz na myśli? – zapytałam jednak ostrożnie.

– Każdy normalny człowiek na jego miejscu już dawno wyprowadziłby się z tego domu. Wątpię też, żeby normalny facet tak łatwo przyjął informację, że jesteś czarownicą. Zastanawiam się po prostu, czy on aby na pewno jest taki... normalny. Coś jest w tym domu i on z tym czymś obcuje na co dzień. A co, jeśli... to w jakiś sposób go zmieniło? Jeśli jakoś go kontroluje? Na przykład nie wypuszczając na zewnątrz? Może chce, żebyś tam po niego poszła. Może jest mu na rękę, że Theo cały czas mieszka w domu Marshallów.

Wpatrzyłam się w nią bez słowa, podciągając kolana pod brodę. Nie chciałam w to wierzyć. Nie chciałam o tym myśleć. A jednak Charlie mogła mieć rację, chociaż uświadamiając sobie to, czułam się, jakby ktoś łamał mi serce na pół.

Spokojnie, Margo, upomniałam samą siebie. To tylko przypuszczenia. Tak wcale nie musi być. Może te dwie randki, na których byliśmy, były inicjatywą prawdziwego Theo. Może naprawdę mu na mnie zależało. Nawet ja zasługiwałam na kogoś, kto pokochałby mnie mimo moich dziwactw i całego bagażu. Niby dlaczego tym kimś nie miałby być Theo?

– To rzeczywiście... dziwne, że nadal tam siedzi – mruknęłam. – Miałam nadzieję, że już dawno się wyprowadził.

– Jest mi przykro, bo sama namawiałam cię do tej znajomości – westchnęła. – Ale może powinnaś zrobić krok w tył i przyjrzeć się temu z większym dystansem, Margo.

Potrząsnęłam głową.

– Wszedł do mnie do domu – przypominałam sobie. – Wszedł tutaj, chociaż ciotki obłożyły budynek różnymi zakłęciami. Gdyby coś było z nim nie tak, nie dałby rady. Gdyby coś go kontrolowało... W środku nie mogłoby tego robić. A on mimo wszystko mnie pocałował i zachowywał się zupełnie, jakby... Jakby mu na mnie zależało.

– Przecież nie sugeruję, że tak jest cały czas – prychnęła. – To oczywiste, że mu na tobie zależy. Ale skąd wiesz, co się z nim dzieje, gdy siedzi w tym domu? Już dawno powinno go tam nie być, więc czemu ciągle zwleka z wyprowadzką?

– Twierdził, że nie było miejsc w żadnym hotelu.

– Och, błagam! Gdyby mnie zagrażał mściwy zły byt, poszłabym nocować choćby pod most! Powinien był skorzystać z okazji i wprosić się do ciebie! Na pewno byś mu nie odmówiła, gdyby zrobił to wystarczająco stanowczo!

W ogóle bym mu nie odmówiła.

– Widzę twoją minę, Margo – dodała Charlie, pozwalając sobie na psotny uśmiech. – Doskonale wiem, o czym myślisz. Dlaczego więc tego nie zrobił? Dlaczego natychmiast się nie wyprowadził? Widzę tylko jedno rozwiązanie... I ono ci się nie spodoba. Bo coś chce, żeby tam został jak najdłużej. Bo wie, że trzymanie go tam zmusi cię, żebyś się tam wybrała. Nie widzisz tego?

Charlie niestety mogła mieć rację. Już wcześniej kołatało mi się to w głowie, ale nie chciałam o tym myśleć. Nie wiedziałam, co robić, i nie miałam pojęcia, czy powinnam podejmować jakieś działania, gdy przez weekend większości ciotek nie było w Inverness.

Nie mogłam tam przecież pójść. A równocześnie nie chciałam, żeby Theo stał się czwartym punktem na liście. Nie mogłam dopuścić, by ktoś znowu został skrzywdzony.

– Tym bardziej nie mogę zostawić tego tematu w spokoju – powiedziałam. – Nie mogę pozwolić ciotkom działać, bo gwarantuję, że najmniej będzie im zależało właśnie na Theo. Nie lubią go... I niespecjalnie by się przejęły, gdyby coś mu się stało.

Charlie posłała mi współczujące spojrzenie.

– I co zamierzasz zrobić? Przecież nie możesz tam wejść i wytargać go za uszy.

Przez chwilę przyglądałam się jej bez słowa, a potem sięgnęłam po komórkę i wybrałam numer Theo. Obiecałam mu przecież, że oddzwonię. A gdyby zdecydował się zanoć u mnie, asysta Charlie nie byłaby mi już potrzebna.

Charlie wykrzywiła się złośliwie i dodała:

– Chcesz, żebym tu została, jeśli zaprosisz go na noc? Mogłabym robić za twoją przyzwoitkę. Zostałabym z tobą w sypialni, a Theo musiałby się cisnąć na kanapie.

– Za kogo ty mnie masz? – zaprotestowałam. – Na pewno nie namawiałabym Theo, żeby opuścił

kanapę...

– Taaa, jasne. – Charlie zawsze potrafiła mnie przejrzeć. – Słuchaj, ja nawet wierzę, że sobie to wmawiasz. Ale obie dobrze wiemy, że Theo w życiu nie spałby na kanapie.

Przewróciłam oczami.

– Cała ta dyskusja i tak jest bezprzedmiotowa, bo Theo nie odbiera. – Rzuciłam komórkę z powrotem na stół, z każdą chwilą czując coraz większy niepokój. Dlaczego nie odbierał? Mogło być tysiąc powodów, ale ja miałam w głowie tylko ten, że stało się coś złego. – Skończmy już ten temat. Nie chcę cię zamęczyć swoimi problemami. A skoro już tu jesteś, zróbmy coś fajnego.

„Coś fajnego” oznaczało puszczenie jakiegoś głupiego filmu, tym razem z zombie w roli głównej. Próbowaliśmy się przy nim rozluźnić, ale kiepsko mi szło.

– A jak się ma twoja mama? – zapytała w pewnym momencie Charlie.

Ten film był śmiertelnie nudny. Z westchnieniem sięgnęłam po pilota i wyłączyłam telewizor, po czym odwróciłam się do przyjaciółki.

– Bez zmian. Cały czas nie odzyskała przytomności. I chociaż lekarze są dobrej myśli, ja jakoś nie potrafię – wyznałam z przygnębieniem. – Strasznie mnie to dobija, wiesz? Siedzenie i czekanie, aż coś się zadzieje.

– Wiem, ale musisz na siebie uważać. Nie chcesz skończyć jak twoja mama.

Coś jeszcze mówiła, ale przestałam jej słuchać. W głowie błysnęła mi pewna myśl i to na niej się skupiłam.

– Chodź, Charlie, jedziemy! – oświadczyłam, podrywając się z miejsca.

Rzuciła mi zdziwione spojrzenie.

– Ale jak to, teraz? Dokąd?

– Na Culloden Road.

Charlie prychnęła.

– Przecież dopiero co o tym rozmawialiśmy! Nie będziesz się plątać po domu Marshallów, nie ma mowy, Margo!

– Nie chcę jechać do Theo – odparłam niecierpliwie, szukając butów. Znalazłam je pod sofą. – Musimy jechać do domu mojej babci. Już wiem, co się stało z tą książką, która zginęła z domowej biblioteki.

* * *

Kiedy wszystko jej wreszcie wyjaśniłam, Charlie przestała jęczeć i chętnie zawiozła mnie do domu rodzinnego.

Było już późno, kiedy stanęliśmy pod drzwiami. Otworzyła nam Willow – zaspana i wkurzona, bez grama makijażu i rozczochrana, dzięki czemu nie wyglądała tak idealnie jak zwykle. Na nasz widok skrzywiła się, ale odsunęła o krok, by wpuścić nas do środka.

– A ty co? Wprowadzasz się z powrotem? – syknęła, obdarzając mnie niezyczliwym spojrzeniem. – A tak tu było spokojnie bez ciebie.

– Nie mam na to czasu, Willow. Kiedy indziej się ze mnie ponabijasz, okej? – rzuciłam, ciągnąc za sobą Charlie przez korytarz. – Nie musisz się mną zajmować, sama dam sobie radę, mam tu coś do załatwienia!

– Zajmować się! Oszalałaś? Ja miałabym się tobą zajmować?! – usłyszałam jeszcze jej pełen niedowierzania krzyk, a potem uciekłam na piętro i jej głos ucichł.

Odruchowo zwolniłam kroku, gdy znalazłyśmy się na cichym, ciemnym piętrze domu. Wiedziałam, dokąd idę i po co, a jednak czułam irracjonalny niepokój, ten sam, który nie opuszczał mnie od dłuższego czasu.

– To gdzie tutaj? – odezwała się Charlie przyciszonym głosem, jakby udzielił się jej mój nastrój. – Wiesz dokładnie, czego szukasz?

– Jasne – potwierdziłam, starając się brzmieć beztrudnie, po czym wypatrzyłam w suficie klapę na strych. Pociągnęłam za nią i po chwili zjechała ku nam składana drabina. – Sama razem z babcią je tam chowałam. Chodź.

Potrzebowałam towarzystwa. Nic dziwnego, że po ostatnich wydarzeniach obawiałam się chodzić po takich miejscach sama, nawet jeśli było to pomieszczenie w moim domu rodzinnym.

Wspięłam się po drabinie na strych i już po chwili szukałam włącznika nad sobą. Kiedy wreszcie go znalazłam i pociągnęłam, strych zalało żółte światło zawieszzonej pod skośnym sufitem żarówki, a ja mogłam rozejrzeć się dookoła.

Charlie stanęła obok mnie.

– Trochę nam to zajmie, nie?

Strych był pełen różności – starych mebli, pudeł, walizek, koszy, wszystkiego. Dla rodziny McKenziech tradycja była bardzo istotna, a z tradycją według moich ciotek w parze szło gromadzenie wszystkiego, co kiedyś mogło się jeszcze przydać albo miało wartość sentymentalną. Mało kto w mojej rodzinie cokolwiek wyrzucał, dlatego strych był koszmarnie zagracony. Równocześnie jednak na podłodze nie było kurzu, a powietrze pozostawało świeże, co oznaczało, że ktoś z domowników dbał o to pomieszczenie, regularnie je sprzątał i wietrzył.

I porządkował te wszystkie poupychane w każdym kącie rzeczy, czego się domyśliłam, gdy nie znalazłam pudeł tam, gdzie dawno temu je zostawiłam.

Westchnęłam i podrapałam się w głowę.

– Musimy szukać tych z napisem „K.M.” – wyjaśniłam. – Kiedyś stały tutaj, na lewo od wejścia. Ktoś musiał je przestawić, pewnie ciotki chciały zrobić więcej miejsca. Gdzieś na pewno tu są, w mojej rodzinie niczego się nie wyrzuca, zwłaszcza gratów... przepraszam, pamiątek po jej członkach.

– To jak długo stoją tu te pudła? – zapytała Charlie, rozglądając się dookoła.

Ruszyłam pod najbliższą ścianę, gdzie znajdowała się część kartonowych pudeł, po czym zaczęłam przeglądać napisy na nich. Pochodziły z różnych okresów i z różnych miejsc, ale nigdzie nie widziałam tych, o które mi chodziło.

– Długo – odpowiedziałam zdawkowo. – Kiedy mama trafiła do szpitala, babcia zabrała mnie tutaj, na Culloden Road. Przez pewien czas wszyscy mieli nadzieję, że sytuacja kiedyś wróci do normy... Ciotki próbowały pomóc mamie także magicznie, ale nic nie skutkowało. Długo nikt nie chciał niczego robić z naszym domem, więc stał pusty, z wszystkimi rzeczami w środku. W końcu ciotki zrozumiały, że mama... nigdy nie odzyska sprawności umysłu. – Wzruszyłam ramionami, jakby to mnie nie obchodziło, chociaż opowiadanie o tamtych chwilach wciąż wywoływało tępy, uporczywy ból w mojej klatce piersiowej. – Chyba wtedy doszły do wniosku, że należy opróżnić dom i go sprzedać. Byłam jeszcze mała i nie chciałam tam wracać... Bałam się. Dlatego zobaczyłam te wszystkie pudła, dopiero gdy trafiły na strych.

W oczach Charlie zalśniło współczucie, nic jednak nie odpowiedziała, za co byłam jej wdzięczna.

– Mam! – zawołała w pewnej chwili, a gdy podniosłam się z klęczek i przedostałam do niej na drugą stronę strychu, spytała: – To chyba to, nie?

Przyjrzałam się kilku pudłom, na których czarnym flamastrem napisano „K.M.”. Pamiętałam ten napis. Widziałam, jak ciotka Ava umieszczała go na kartonach. Głęboko w sobie wciąż czułam rozpacz i żal, które towarzyszyły mi tamtego dnia, gdy ciotki usunęły wszystkie ślady mojego życia z mamą. Gdy upchnęły je na zawsze w rupieciarni na strychu i zamknęły za nimi drzwi, tak samo jak ja powinnam była zamknąć drzwi za przeszłością i o niej zapomnieć.

Jakbym kiedykolwiek mogła to zrobić.

– Tak, to te. – Odkasznęłam, bo mój głos nagle wydał mi się za bardzo zachrypnięty. Usiadłam na podłodze przy pierwszym z pudeł i ostrożnie uniosłam wieko. – W którymś z nich powinny znajdować się książki. Zakładałam, że nikt ich nawet nie przejrzał, gdy wszystko ładowało w pudłach. Ciotki chciały to tylko... zakończyć.

– Na pewno chcesz to zrobić? – Coś musiało się odbić w mojej twarzy, bo Charlie znowu patrzyła na mnie z troską. – Te pudła...

– To nieważne, Charlie – przerwałam jej stanowczo. – Muszę tylko znaleźć tę cholerną książkę. I na pewno nie pozwolę, żeby przeszłością mi w tym wspomnienia sprzed wielu lat. Nie jestem już małą dziewczynką.

Stanowczo sięgnęłam do pudła i wyciągnęłam ze środka jakieś rzeczy. Stary sweter mamy, a po

nim kolejne ubrania. Przez tyle lat nadal zachowała się w nich nuta zapachu jej perfum – tych samych, które znałam jako dziecko i które kojarzyły mi się z mamą. Zaciśnęłam szczęki.

– To nie to pudło – oświadczyłam, kiedy już byłam w stanie coś z siebie wykrzytusić. – Daj następne.

Wspólnie przejrzałyśmy ich kilka, przedzierając się przez kolejne ubrania mamy, których nikt nigdy nie oddał dla biednych, przez jej rzeczy prywatne, jakąś biżuterię, wreszcie przez albumy ze zdjęciami. Obok tych ostatnich nie mogłam przejść obojętnie, chociaż bardzo się starałam. Kiedy otworzyłam pierwszy z nich, w oczy rzuciło mi się zdjęcie naszej trójki – roześmiani rodzice i ja między nimi, malutka, ledwie kilkuletnia, wyciągająca ręce do mamy. Z rudymi włosami mamy doskonale komponowały się czerwono-brązowe liście na drzewach. Rozpoznałam miejsce, w którym zrobiono to zdjęcie: to był Bught Park.

Dotknęłam śliskiej powierzchni fotografii, nadaremnie starając się przywołać wspomnienie tamtego dnia. Byłam za mała, nie pamiętałam zabawy w parku z rodzicami. W ogóle słabo pamiętałam ojca; w domu rodzinnym nie trzymano jego zdjęć, a nie wiedziałam nawet, że wszystkie z domu mamy trafiły na strych. Skupiłam więc wzrok na tacie, na jego wysokiej, szczupłej sylwetce, na radości, jaką widziałam w jego oczach, gdy patrzył na mamę i na mnie. Nie byłam do niego specjalnie podobna – miał bardziej kwadratową twarz, ciemniejsze włosy, a także okulary, które sugerowały wadę wzroku. Tata wyglądał na typ intelektualisty albo mola książkowego – może więc byłam do niego podobna z charakteru, jeśli nie z wyglądu.

– Czemu te zdjęcia są tutaj? – zdziwiła się Charlie, wyciągając kolejne albumy. – Czemu nie na dole razem z resztą twoich rodzinnych fotografii?

Wzruszyłam ramionami, stanowczym gestem zatrzaskując album. Nie po to przyszłam na strych, żeby zatapiać się we wspomnieniach i płakać za rodzicami. Musiałam wziąć się w garść i dokończyć poszukiwania.

– Ciotki mają na dole zdjęcia mamy. I moje. Ale te... to wszystko zdjęcia z ojcem. Nigdy go nie lubiły i zdaje się, że obwiniły go o to, co spotkało mamę. Zdawały sobie sprawę, jak na nią wpłynęła jego śmierć. Wiem, że to głupie mieć pretensje do kogoś o to, że umarł... Ale one od początku ją ostrzegały. Od kiedy tylko mama oświadczyła, że wychodzi za męża. Związki w mojej rodzinie nigdy nie są proste i rzadko kiedy dobrze się kończą.

Wiele na ten temat nie wiedziałam, bo nie wszystkim rodzina chciała się ze mną podzielić. Nie miałam więc pojęcia, z czego wynikała ta niechęć i dlaczego ciotki tak się zachowały. Trudno się z nimi rozmawiało na takie tematy.

– Ale dlaczego? To...

– Możesz mi podać tamto pudło? – przerwałam Charlie, wskazując na kolejny karton. – Pamiętaj, że szukamy książek.

Charlie przesunęła karton w moją stronę po podłodze; kiedy go ujęłam, po ciężarze domyśliłam się, że to może być właściwe pudło. Zajrzałam do środka i rzeczywiście, okazało się, że są tam książki. Zaczęłam wyjmować kolejne pozycje i układać je w piramidkę na podłodze obok siebie.

– To skąd dokładnie ta książka wzięła się u twojej mamy? – podjęła moja przyjaciółka, pomagając mi wyciągać kolejne tomy.

– Cały czas podejrzewamy, że mama zetknęła się z tym samym... czymś, z czym my teraz – odpowiedziałam, spoglądając na okładki. Książki w większości były stare i podniszczone. – Cioście stwierdziły, że nikt obcy nie mógł zabrać tej książki z biblioteki. A skoro to był ktoś z nas... to dlaczego nie mama, która musiała się domyślić, z czym miała do czynienia? To sensowne, że idziemy tą samą drogą co ona. Też szukamy rozwiązania. Musiała zabrać tę książkę i schować ją między inne w domu. A potem, kiedy ciotki pakowały jej rzeczy, nie zwróciły uwagi, jakie dokładnie pozycje znajdują się na regale. To by potwierdziło naszą teorię, że rzeczywiście walczyła z tym samym, z czym walczymy my... I że ten sam zły byt mógł doprowadzić do śmierci taty i wypadku Rossa.

Musiało tak być. Wierzyłam w to od samego początku.

A potem wpadł mi w ręce dowód.

Między dwiema kolejnymi książkami zauważyłam niepozorny, cienki tomik z wysłużoną,

wystrzępioną twardą okładką. Na grzbiecie nie miał nawet żadnego napisu, dlatego łatwo go było przeoczyć, gdy się nie wiedziało, czego się szuka. Przekartkowałam książeczkę pospiesznie, a gdy zauważyłam jakieś zaklęcia wypisane po gaelicku, rysunki ziół i różnych dziwnych znaków, a także ręczne dopiski, ledwie widoczne obok drukowanego tekstu, zrozumiałam, że mam w ręce to, czego wszystkie szukałyśmy.

– Jest... – powiedziałam z niedowierzaniem. – Mama naprawdę go miała. Naprawdę chciała pokonać ten zły byt...

Podniosłam się z podłogi, zastanawiając się, co to może oznaczać. Czy to miało jakiś związek z zaklęciem wskrzeszającym, które próbowała rzucić?

– Muszę zadzwonić do babci – powiedziałam, idąc w stronę klapy. – Trzeba im wyjaśnić, że nie muszą jechać do Londynu po tę książkę. Mam nadzieję, że nie zdążyły odjechać daleko...

Zeszłam po drabinie i zeskoczyłam na podłogę w korytarzu, a potem poczekałam, aż Charlie zejdzie za mną. Wyglądała na lekko podekscytowaną.

– Czy to znaczy, że teraz już wszystko będzie dobrze? – zapytała. – Że będziecie mogły odesłać to coś, co zaległo się w domu Marshallów?

Taką miałam nadzieję. Ale do tego potrzebowałam ciotek.

Zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, rozdzwoniła się moja ukryta w tylnej kieszeni dżinsów komórka. Nie zdziwiłam się, gdy na wyświetlaczu zobaczyłam imię Theo. W końcu wcześniej sama do niego dzwoniłam.

Niepokój poczułam dopiero wtedy, gdy po drugiej stronie nie rozległ się jego głos.

Zamiast tego usłyszałam jakieś zamieszanie – trzaski, jakiś hurgot, potem czyjeś krzyki gdzieś w oddali, z których jednak nie umiałam poskładać sensownych zdań. Raz i drugi zawołałam Theo po imieniu, ale w żaden sposób nie odpowiedział. Tymczasem wrzaski w tle przybrały na sile i zrozumiałam, że w domu Marshallów dzieje się coś złego. Brzmiało to tak, jakby była tam więcej niż jedna osoba. Ekipa remontowa? Tak późno?

– Margo! – usłyszałam w końcu przerażony głos Theo. – Margo, pomocy!

– Co się dzieje?! – krzyknęłam, biegnąc korytarzem ku schodom na parter. Słyszałam za sobą kroki Charlie. – Theo, co się dzieje?!

– Pomóż mi... jestem... w domu...

Kolejne słowa były przerywane trzaskami, aż w końcu połączenie się urwało i w słuchawce zapanowała cisza. Cisza, która sprawiła, że przez moje żyły zaczęła płynąć czysta adrenalina.

Theo był w niebezpieczeństwie!

Zbiegłam na dół, nie wahając się ani chwili. Musiałam mu pomóc.

A żeby to zrobić, musiałam wejść do domu Marshallów.



31. Jak nawiązać kontakt z duchem

– Margo, nie! Nie możesz!

Wybiegłam na ulicę, gdzie zdążyło się już zrobić całkiem ciemno, i obejrzałam się na Charlie, która podążyła za mną, domyślając się chyba, co zamierzam.

Wskazałam ją palcem.

– Wracaj do domu, Charlie! Nie możesz tam ze mną iść. Wracaj, poradzę sobie sama!

– Nie możesz tego zrobić! Zapomniałaś już, że to niebezpieczne?! – wydarła się. – Nie idź tam, Margo, proszę! – W jej oczach błyszczał niepokój.

– Muszę pomóc Theo! – zawołałam rozpaczliwie. – Nie rozumiesz? Jest w niebezpieczeństwie!

Cofnęłam się do niej kilka kroków i oddałam jej swoją komórkę i znaną na strychu książkę.

– Wracaj do domu i zawiadom moje ciotki, proszę! – krzyknęłam, odsuwając się od niej, zanim przyszło jej do głowy, by próbować mnie powstrzymać siłą. – W komórce jest numer do ciotki Georgii, zadzwoń do niej, przyjedzie tu. I do mojej babci... Mamy książkę, więc może wracać. Ja muszę... muszę sprawdzić, co z Theo. Wróć tak szybko, jak to będzie możliwe!

– Zaczekaj! – Rozpaczliwy ton głosu Charlie sprawił, że się zatrzymałam. – Rozmawialiśmy o tym, Margo. Nie możesz tam wchodzić! A co, jeśli to pułapka? Jeśli tak naprawdę nic mu nie jest?!

Spojrzałam na nią z rozpaczą. Jasne, że brałam taką możliwość pod uwagę. Cokolwiek znajdowało się w domu Marshallów, nie było głupie. Nie mogłam jednak założyć, że Theo nic nie będzie, i zignorować niepokojącą wiadomość od niego.

– Nie wchodźcie na posesję, zaczekajcie, aż sami wyjdziemy – odpowiedziałam. – Nie chcę, żeby przeze mnie komuś jeszcze stała się krzywda. Proszę, Charlie, dopilnuj tego.

Odwróciłam się i pobiegłam przez jezdnię ku domowi Marshallów, nie oglądając się więcej na przyjaciółkę. Ani przez chwilę nie miałam wątpliwości, nawet mimo jej ostatnich słów. Do przodu pchał mnie jedynie strach o Theo. Cokolwiek działo się w domu Marshallów, nie mogłam zostawić go samego. Nie mogłam stracić i jego. Nie mogłam pozwolić, żeby coś mu się stało przeze mnie. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła!

Wpadłam na posesję niczym burza i nie oglądając się na boki, pognałam do głównego wejścia. Wokół mnie było cicho i spokojnie, miałam wrażenie, że z każdym kolejnym krokiem coraz słabiej docierają do mnie dźwięki świata zewnętrznego. Warkot samochodów, szum liści na wietrze, śpiew ptaków, nawet nieco histeryczny głos rozmawiającej przez komórkę, zapewne z moją ciotką, Charlie – to wszystko przycichło, jakbym nagle znalazła się za grubą taflą szkła. Gdy to sobie uświadomiłam, rozejrzałam się dookoła, już z nogą na pierwszym stopniu schodów na werandę. Okolica jednak wyglądała tak samo jak zwykle, bez trudu dostrzegłam przechadzającą się nerwowo chodnikiem po drugiej stronie ulicy Charlie.

Pokręciłam głową i odwróciłam się z powrotem do drzwi. Szarpnęłam za nie, zanim zdążyłam się jeszcze bardziej nastraszyć i przekonać samą siebie, że to zły pomysł.

Nie mogłam się już wycofać.

– Theo? – zawołałam, wchodząc do środka. Nawet przez moment nie próbowałam zachować ciszy. Jeśli mogłam w ten sposób coś spłoszyć, zamierzałam to zrobić. – Theo, jesteś tu?!

Usłyszałam tupanie na schodach; na wszelki wypadek zostawiłam za sobą otwarte drzwi

i weszłam głębiej, wciągając w płuca zapach tynku i kurzu ciągle unoszący się w powietrzu. Po kilku krokach zatrzymałam się, zaskoczona panującą w domu ciszą.

To nie była zwykła cisza. Nie miałam pojęcia, skąd to wiedziałam, ale coś było nie tak, jakby coś w tym domu wstrzymywało oddech, niecierpliwie czekając na rozwój sytuacji. Rozejrzałam się dookoła: nie dostrzegłam niczego podejrzanego w pustych ścianach rozległego holu, a jednak cały czas to czułam. Coś, co skręcało mi wnętrzności z niepokoju, chociaż wszystko dookoła wyglądało normalnie.

– Margo? – Z góry schodów rozbrzmiał zdziwiony głos Theo. – Co ty tutaj robisz? – Nie wydawał się w żaden sposób wystraszony.

Zawahałam się, ale zrobiłam kilka kroków w jego stronę, zadzierając głowę.

Wyglądał całkiem normalnie, pomijając fakt, że miał na sobie byle jakie dresy i rozciągniętą koszulkę; zapewne szkoda mu było lepszych ciuchów na przebywanie w takim miejscu. Błękitne oczy patrzyły na mnie z mieszaniną zdziwienia i niepokoju. Ten drugi sprawił, że pomyślałam, iż może rzeczywiście coś się stało; zaraz potem dotarła do mnie jednak prawda.

Theo martwił się o mnie, nie o siebie. Nie rozumiał, dlaczego pojawiałam się w jego domu. Najwyraźniej Charlie miała rację. Ale przecież, chociaż sama to podejrzewałam, nie mogłam go tak zostawić. Nie mogłam nie odpowiedzieć na jego prośbę o pomoc.

– Dzwoniłeś do mnie – powiedziałam cicho.

Zmarszczył brwi i zszedł po schodach, by znaleźć się tuż przy mnie.

– Nie, nie dzwoniłem do ciebie. Nawet gdybym to zrobił... Dlaczego miałabyś tu przyjść? Przecież mówiłaś, że to niebezpieczne.

– Ale prosiłeś mnie o pomoc. – Rozejrzałam się bezradnie, po czym chwyciłam go za rękę. – Musimy stąd wyjść. Jak najszybciej. Proszę...

– Mówiłem ci, że nie znalazłem miejsca w żadnym hotelu...

– Więc pojedziemy do mnie – odparłam. Pomimo jego lekkiego uśmiechu nie pozwoliłam sobie nawet na jedną dwuznaczną myśl. – Theo, proszę. Kilka minut temu odebrałam od ciebie telefon z wołaniem o pomoc. To z pewnością był twój głos, więc jeśli to nie ty dzwoniłeś... To znaczy, że ktoś chciał mnie tutaj zwać.

Theo spoważniał. Przez chwilę przyglądał mi się z napięciem.

– Albo coś – dodał niechętnie, z niepokojem. Chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę wyjścia, zanim zdążyłam zareagować. – Masz rację, powinniśmy stąd wyjść. Jak najszybciej.

Gdybym nie była tak przejęta, pewnie cieszyłabym się, że wreszcie wziął mnie na poważnie.

Ruszyliśmy razem w stronę drzwi wyjściowych. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że Theo zachowuje się tak, jakby próbował zasłonić mnie własnym ciałem przed ewentualnym atakiem. Przecież to ja byłam czarownicą i prędzej mogłam uratować jego.

Drzwi wejściowe nadal były uchylone, tak jak je zostawiłam, gdy wchodziłam; kiedy zrobiliśmy kilka kroków w ich stronę, nagle zatrzasnęły się gwałtownie, chociaż w pomieszczeniu nie było przeciągu. Nie poczułam nawet najłżejszego powiewu wiatru, a jednak miałam wrażenie, jakby coś przepłynęło obok mnie; odskoczyłam, pociągając za sobą Theo, a potem wcisnęłam się w jego ramiona, zeszywniała ze strachu. Coś było z nami w holu.

Theo najwyraźniej nie wyczuł niczego niepokojącego, bo bez słowa pociągnął mnie ku drzwiom. Nawet jeśli zdziwiło go ich nagłe zamknięcie, nie okazał tego po sobie, przynajmniej dopóki nie nacisnął na klamkę, by stwierdzić, że drzwi nie da się otworzyć.

– Co, do cholery... – mruknął, szarpiąc kilkukrotnie.

Chwyciłam go za ramię.

– Pewnie są zamknięte na klucz, nie otworzysz ich.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Przecież przed chwilą były otwarte. Niemożliwe...

– Theo. – Coś w tonie mojego głosu kazało mu przerwać i na mnie spojrzeć. – Nie wiem, czy nawet znalezienie kluczy tu pomoże. Coś chce nas zatrzymać w tym domu. Proponuję znaleźć inne wyjście.

Przez sekundę mierzył się ze mną spojrzeniem, jakby chciał się upewnić, czy mówię poważnie.

W końcu skinął głową, chwycił mnie znowu za rękę i pociągnął z powrotem przez hol w kierunku niepozornego korytarza stanowiącego przejście kuchenne. Pomimo całego niepokoju i sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, przypomniało mi się nagle, jak poprzednim razem mnie tamtędy oprowadzał. Jego pytanie w kuchni, które tak mnie wtedy zaskoczyło...

Szybko odsunęłam od siebie wspomnienia, pozwalając Theo prowadzić się wąskim korytarzem. W przejściu służbowym dalej pachniało stęchlizną i kurzem, widocznie ta część domu nie była priorytetem dla ekipy remontowej.

Zatrzymałam się w pół kroku, gdy światło nad sufitem nagle zamrugało, po czym zgasło. Theo też się zatrzymał i ścisnął moją dłoń jeszcze mocniej. W ciemnościach w ślepych korytarzu słyszałam tylko nasze przyspieszone oddechy, gdy próbowałam przyzwyczaić wzrok do tego mroku. Odruchowo przysunęłam się do niego bliżej, nie wiedząc, czy robię to bardziej z uwagi na konieczność obrony jego, czy siebie. Kiedy drugą ręką chwyciłam go za ramię, światło znowu zaczęło mrugać jak oszalałe.

– Scena jak z horroru – szepnęłam. – Takiego, no wiesz... typowego horroru.

– Sugerujesz, że coś celowo usiłuje nas przestraszyć? – odpowiedział opanowanym tonem Theo. Cieszyłam się, że w mig załapał, co miałam na myśli.

Wyminęłam go i ruszyłam przed siebie, ciągnąc go za rękę. Nie zamierzałam dać się wystraszyć jakimś bytowi stosującemu sztuczki jak z tanich filmów klasy B.

Korytarz kończył się sporych rozmiarów przedsionkiem, obecnie całkiem pustym i mocno zakurzonym. Pojedyncze okienko umieszczone pod sufitem wpuszczało do pomieszczenia trochę blasku z zewnątrz. W tej odrobinie światła zauważyłam, że w wiekowych, wykonanych z ciemnego drewna drzwiach tkwi staromodny mosiężny klucz.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, zanim zdążyliśmy do nich dojść. Odskokczyłam odruchowo, wpadając na idącego za mną Theo, a skrzydło z jękiem uderzyło o ścianę, po czym wróciło i trzasnęło o futrynę. A potem jeszcze raz. I jeszcze.

– Tanie sztuczki – mruknęłam bez przekonania, czując, jak ramię Theo zaciska się na mojej talii, gdy chciałam podejść do drzwi. – Theo... Naprawdę musimy się stąd wydostać. Ja nie...

Krzyknęłam, kiedy nagle jakaś siła wyrwała mnie z jego ramion i rzuciła przez pomieszczenie, aż z uderzeniem, które wycisnęło mi powietrze z płuc, wylądowałam pod najbliższą ścianą. Upadłam na brudną podłogę, czując obezwładniający ból w plecach. Spróbowałam się podnieść, ale ręce odmówiły mi posłuszeństwa. Jak z zaświatów usłyszałam krzyk Theo. Chciałam jakoś się pozbierać, żeby mu pomóc, ale w następnej chwili poczułam na sobie jego ręce. Ukląkł przy mnie, chwycił mnie pod ramiona i pomógł mi się podnieść do pozycji siedzącej, chociaż ta zmiana wywołała grymas bólu na mojej twarzy. Cholera, wszystko mnie bolało przy każdym oddechu. Miałam nadzieję, że niczego sobie nie zламаłam.

– Nic ci nie jest? – W jego głosie słyszałam panikę, której nie był w stanie ukryć, chociaż chyba wciąż starał się zachować spokój. – Mój Boże, co to było...

– Nie wiem. – Nie miałam czasu niczego tłumaczyć. – Musimy się stąd wydostać... – Moje spojrzenie padło na otwarte drzwi, które przestały już się bujać w tę i z powrotem, i reszta zdania utknęła mi w gardle.

W drzwiach ktoś stał.

Albo raczej... coś?

Na zewnątrz było całkiem ciemno, w przedsionku również nie świeciło się światło, przez co rozpoznanie postaci tkwiącej w progu było niemożliwe. Na pewno jednak nie był to człowiek, to wiedziałam od razu po sposobie, w jaki zachowywały się światło i mrok wokół. Ciemność gęstniała tam, gdzie powinno znajdować się ciało; światło jakby rozpraszało się dookoła, utrzymując to miejsce w jeszcze większym mroku. A równocześnie ta ciemność zdawała się... żyć, kłębić, jakby czekała niespokojnie na okazję do ataku.

Wiedziałam, że powinniśmy uciekać, jednak nie miałam siły się ruszyć. Jęknęłam, gdy Theo zmusił mnie do tego. Nogi mi się plątały, a w plecach i klatce piersiowej ciągle czułam ostry ból. Złapałam się go kurczowo, ponad jego ramieniem zerkając nerwowo na postać w drzwiach. Chociaż się nie poruszyła, miałam wrażenie, że znajduje się jakby odrobinę bliżej.

Żołądek podszedł mi do gardła, gdy Theo nagle chwycił mnie na ręce, jakbym nic nie ważyła.

Nie zaprotestowałam ani słowem, chwytając go za szyję, dopóki nie ruszył w stronę otwartych drzwi wyjściowych. Dopiero wtedy krzyknęłam:

– Co ty robisz?!

– Jak to co? Wydostaję nas stąd – odparł zdumiony.

Przeniosłam wzrok z niego na postać z ciemności. Chociaż jej twarz była samym mrokiem i nie widziałam żadnych rysów, czułam jej oczekiwanie. I zniecierpliwienie.

– Nie tędy – szepnęłam. – Nie widzisz tego?

Theo podążył wzrokiem za moim, a potem rozejrzał się bezradnie po ciemnym przedsionku. Nie widzi tego, przemknęło mi nagle przez głowę. On naprawdę tego nie widzi!

Serce zabiło mi szybciej. Czy postać celowo ukazała się właśnie mnie? Czy była tu zawsze, Theo mijał ją nieskończoną ilość razy, nie zdając sobie z tego sprawy, a tylko ja mogłam ją zobaczyć, bo byłam czarownicą? Na myśl o Theo mieszkającym w domu, w którym w ciemności czyhała na niego postać utkana z mroku, robiło mi się niedobrze. I znowu ogarniała mnie panika.

Margo, usłyszałam nagle w głowie jakiś obcy, dziwny głos. *Nie bój się. Nie zamierzam cię skrzywdzić.*

– Uciekajmy stąd – poprosiłam desperacko. – Nie tędy... Otwórzmy jakieś okno...

– Parter jest za wysoko – zaprotestował natychmiast Theo. – Do domu prowadzi kilka schodów, jest podpiwniczony...

– Jakoś sobie poradzimy – przerwałam mu.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Margo, drzwi prowadzące na zewnątrz są tuż przed nami...

– Po prostu chociaż raz mnie posłuchaj, dobrze?! – podniosłam głos, spanikowana. – Gdybyś zrobił to dawno temu i się stąd wyniósł, nie byłoby nas teraz tutaj!

Przez chwilę myślałam, że zamierza mi się sprzeciwić – albo się obrazić – ale chyba sam w końcu doszedł do wniosku, że mam rację. Odwrócił się i bez słowa zagłębił z powrotem w ciemny korytarz, a ja cały czas ponad jego ramieniem patrzyłam na drzwi, w których falowała utkana z ciemności postać. W pewnym momencie, gdy mrugnęłam, zniknęła, ale za bardzo się bałam, by kazać Theo zawrócić. Skąd miałam wiedzieć, czy ciągle nie ma jej gdzieś za nami?

I czym właściwie, do cholery, była?!

Theo w ogóle nie zdradzał oznak, że mój ciężar w jakiś sposób mu przeszkadza. Poruszał się ciemnym korytarzem sprawnie, chociaż niezbyt szybko, ostrożnie, ale bez większych problemów. Trzymałam go za szyję i choć ze względu na sytuację próbowałam ignorować jego bliskość, średnio mi to szło. Przymknęłam na moment oczy, żeby spróbować się uspokoić, i właśnie wtedy znowu ją usłyszałam.

Nie chcę cię skrzywdzić, Margo.

Serio? – pomyślałam. Nadal bolą mnie żebra i plecy po tym uderzeniu.

Musiałam jakoś zatrzymać cię w domu, usłyszałam ku swojemu zdziwieniu. *Przepraszam za to. Potrzebuję twojej pomocy.*

Ona siedzi w mojej głowie, stwierdziłam z przestachem. Przypomniałam sobie, jak na jednej z lekcji ciotka Georgia uczyła mnie, jak ustawić zaporę przeciwko cudzym myślom. Niektóre czarownice to umiały – wdzierać się do ludzkiego mózgu, zostawiać w nim obce myśli, czasami nawet zmuszać do rzeczy, których ich ofiary nie chciały robić. Miałam jednak dopiero parę lekcji i nie wiedziałam, czy umiem taką zaporę postawić. Zwłaszcza jeśli moim przeciwnikiem rzeczywiście była osoba, o której myślałam. Silna czarownica, która została w domu Marshallów pomimo własnej śmierci.

Zanim zdążyłam podjąć jakąś decyzję lub próbę działania, znaleźliśmy się z powrotem w głównym holu. Pomimo rozdzierającego bólu w plecach wyswobodziłam się z uścisku Theo i spojrzałam na niego. Był nieco blady, ale nie wyglądał na przestraszonego, raczej na pobudzonego.

Nic dziwnego, on nie rozmawiał w myślach z jakimś złym bytem.

– Pisak – powiedziałam tylko.

Podniósł brwi.

– Co?

– Czarny pisak – powtórzyłam stanowczo. – Jest mi potrzebny. Na wszelki wypadek.

– Czy możemy po prostu znaleźć stąd jakieś wyjście? – jęknął. – Nie czujesz się dobrze. Jak najszybciej powinien obejrzeć cię lekarz...

– Nic mi nie będzie – zapewniłam go. – Po prostu znajdź mi coś do pisania. A potem poszukajmy wyjścia.

Na szczęście Theo nie musiał szukać daleko. Na stosie pudeł w kącie holu leżała jego torba, a w niej jakieś papiery i czarny flamaster, dokładnie taki, jakiego potrzebowałam. Włożyłam go do tylnej kieszeni dżinsów i pociągnęłam mojego towarzysza w stronę prowadzących na trawnik przed domem okien, zdecydowana, by wydostać się z domu Marshallów jak najszybciej.

Najbliższe okno eksplodowało i obsypało nas odłamkami szkła, gdy tylko do niego podeszliśmy. Theo odruchowo chwycił mnie w pasie, przyciągnął do siebie i zasłonił własnym ciałem, ale i tak poczułam ostry ból. Sięgnęłam ręką do policzka i rozmazałam sobie po skórze krew.

– To tylko draśnięcie – zapewnił, spoglądając na mnie z lękiem. – Nic ci nie będzie.

– To coś się z nami bawi – oceniłam. – Nie pozwoli nam opuścić domu. Musimy... musimy coś wymyślić.

Zachwiałam się, a Theo mnie podtrzymał, gdy znowu usłyszałam w głowie ten kobiecy głos. Zrobiło mi się ciemno przed oczami i chwyciłam się jego ramion.

Nie odchodź, musisz mi pomóc.

– Ja nic nie muszę! – wydarłam się w końcu. – Wypuść nas stąd w tej chwili!

Theo patrzył na mnie z niepokojem, ale nie odezwał się ani słowem. Z trudem oderwałam od niego wzrok i rozejrzałam się dookoła, aż znowu ją spostrzegłam. Tę postać stworzoną z ciemności, czającą się na podeście schodów, powoli spływającą do nas w dół. Odruchowo się cofnęłam, pociągając za sobą Theo.

Zwisający z sufitu zniszczony kryształowy żyrandol urwał się nagle i spadł z trzaskiem na posadzkę tuż przed naszymi stopami. Odskokczyliśmy w stronę schodów i wtedy zrozumiałam. Zaganiała nas na górę. Chciała, żebyśmy tam weszli. Żebyśmy stracili jedyną drogę ucieczki.

Postać z ciemności drgnęła raptownie i w tej samej chwili Theo zacharczał, chwytając się za szyję. Spojrzył na mnie z przerażeniem, a potem osunął się na podłogę, nadaremnie próbując złapać oddech. Uklękłam przy nim i chwyciłam go za ramiona, ale nie wiedziałam, co robić. Dusił się. Musiałam jakoś mu pomóc, musiałam działać!

– Zostaw go! – krzyknęłam w desperacji. – Puść go, do cholery!

Theo musi umrzeć, zabrzmiała spokojna odpowiedź w mojej głowie. Sprowadził cię tu i to wystarczy. Teraz umrze, a potem będziesz mogła mu pomóc.

Po moim trupie!

– Nie pozwolę ci umrzeć! – zapewniłam go, po czym wyciągnęłam z kieszeni czarny pisak.

Ręce mi się trzęsły, gdy rysowałam wokół nas okrąg, który następnie gorączkowo zaczęłam pokrywać odpowiednimi znakami. Nie miałam pojęcia, czy to zadziała, ale modliłam się żarliwie, żeby tak było. Próbowалам przypomnieć sobie wszystko, co pokazały mi ciotki, i chociaż moje znaki były koślawe, musiały zadziałać. Musiały!

Nie potrafiłam powstrzymać drżenia rąk, słysząc za plecami coraz słabsze rżenie. Jeszcze chwila i go stracę, pomyślałam, zagęszczając ruchy. Wreszcie narysowałam na okręgu ostatni znak i cofnęłam się do środka, na czworakach podchodząc do Theo.

Leżał zwinięty w kłębek i desperackimi haustami łykał powietrze, na co niemalże rozplakałam się z ulgi. Chwyciłam go za ramiona i przyciągnęłam do siebie, chowając twarz w zagłębieniu jego szyi. Poczułam gorące łzy spływające mi po twarzy.

– Przepraszam... – zaskomlałam, przytulając się do niego mocno. – Przepraszam... Nie chciałam, żeby stała ci się krzywda...

– Nic mi nie jest, Margo – odpowiedział zachrypniętym głosem i bardzo delikatnie pogładził moje ramiona. – Nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

W głowie usłyszałam pełen wściekłości wrzask i wiedziałam, że nie będzie. Nie uratowałam go. Zamknęłam nas po prostu w kręgu, w którym zły byt nie mógł nas dostać.

To było coś podobnego do zaklęć, którymi ciotki zabezpieczyły mój dom, tylko na mniejszą skalę. Krąg, który miał zatrzymać na zewnątrz wszelkie złe duchy. Niestety oznaczało to, że musimy pozostać w jego wnętrzu, żeby być bezpieczni.

To z kolei oznaczało, że jesteśmy tu uwięzieni.

Theo podniósł się i usiadł na podłodze, oddychając ciężko, z trudem, jakby nadał bolało go gardło. Przycupnęłam obok, opierając się o niego mocno w irracjonalnej obawie, że znowu coś mu się stanie.

– Nie wychodź poza krąg – poprosiłam, znowu chwytając go za ramię. – Mogłaby nas znów zaatakować. Tylko tu jesteśmy bezpieczni.

Theo odwzajemnił mój uścisk i było to dziwnie pocieszające.

– Więc jak zamierzamy wydostać się z domu?

Dobre pytanie. Nad odpowiedzią ciągle jeszcze pracowałam.

Najważniejsze, że chwilowo byliśmy bezpieczni... Dopiero w takiej sytuacji mogłam się martwić, co robić dalej.

Otwórz przejście, Margo, usłyszałam znowu ten irytujący głos. Najwyraźniej ochronny krąg działał tylko na bezpośrednie ataki. Wiesz, że nie masz innego wyjścia. Będziesz się musiała ze mną zmierzyć, jeśli chcesz się stąd wydostać.

Ja tak, pomyślałam buntowniczo. Ale na pewno nie Theo.

Theo musi umrzeć, brzmiała beznamiętna odpowiedź. Tylko jego śmierć zmotywuje cię wystarczająco, żeby mi pomóc.

Właśnie wtedy zrozumiałam jedną rzecz.

Ten zły byt, czegokolwiek chciał, najwyraźniej postanowił w końcu zabić Theo. Może chodziło o to, by zrobić to na moich oczach albo by przed jego śmiercią zwać mnie do domu Marshallów – to w tamtej chwili nie było istotne. Istotne było, że najwyraźniej nie zamierzał zabić mnie, bo byłam mu do czegoś potrzebna. Co oznaczało, że jeśli wymuszę na Theo przyrzeczenie, że za nic nie opuści kręgu, nawet jeśli miałaby mi się dziać krzywda, ja mogłabym to zrobić bez obawy o własne życie.

Nie mogłam tego jednak powiedzieć o moim zdrowiu, o czym przypominała mi wciąż boląca klatka piersiowa. Nie byłam pewna, czy czuję się gotowa, żeby ryzykować.

– Czego ty ode mnie chcesz?! – wykrzyknęłam ze złością. – Nie zamierzam ci pozwolić nikogo zabić, rozumiesz?! Nikogo!

Przez hol przetoczył się czyjś śmiech, sprawiając, że włosy na głowie stanęły mi dęba. Sądząc po minie Theo, on również to słyszał.

Jakbyś miała na to jakikolwiek wpływ, Margo, brzmiała pełna rozbawienia odpowiedź. Jeśli nie chcesz, by sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, po prostu mi pomóż.

Więc to tak, pomyślałam. Byt w domu Marshallów nie zamierzał cofnąć się przed niczym, by otrzymać moją pomoc. Te słowa były groźbą.

Drzwi wejściowe otworzyły się nagle, po czym z łomotem uderzyły w ścianę. Przez chwilę myślałam, że to kolejna sztuczka próbującego wykurzyć nas z ochronnego kręgu bytu, ale potem zobaczyłam, kto stoi w wejściu.

I zamarłam.

Ciemnoblond włosy mojej kuzynki zafalowały, gdy dziewczyna zrobiła krok do przodu, prosto do domu Marshallów. W jej bursztynowych oczach czaiła się furia.

– Nie waż się ich skrzywdzić – powiedziała Willow spokojnie, ale wyjątkowo twardo. – I wypuść ich w tej chwili, dziwko, albo zobaczysz, co to znaczy zadzierać z rodziną McKenzie.



32. Jak uciec z nawiedzonego domu

Przez chwilę w holu panowała cisza, w trakcie której Willow rozglądała się uważnie na boki, zapewne z każdej strony spodziewając się ataku. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, zrobiła kolejne dwa kroki do środka i zerknęła na nas.

– Nie wychodźcie poza krąg, Margo. – Spojrzeniem ogarnęła sytuację i już wiedziała, że się chowamy. Zazwyczaj nie znosiłam Willow, ale w tamtej chwili byłam wdzięczna losowi, że moja kuzynka lepiej ode mnie zna się na magii. – Nie ruszajcie się, póki nie powiem wam, że jest bezpiecznie.

A może to ona powinna zginąć? – usłyszałam znowu w głowie ten głos, który sprawiał, że miałam ciarki na skórze. *Płyń w was ta sama krew... To z pewnością byłby dla ciebie bolesny cios.*

Otworzyłam usta, żeby ostrzec kuzynkę, ale nie zdążyłam tego zrobić. W następnej chwili jakaś siła zwała ją z nóg i rzuciła nią o najbliższą ścianę. Willow krzyknęła, gdy z jej płuc uszło całe powietrze, szybko jednak się pozbierała i zaczęła mamrotać pod nosem zaklęcia po gaelicku. Przyglądałam się z fascynacją ruchom jej rąk, domyślając się, że próbuje zabezpieczyć się przed kolejnymi atakami. Rzadko oglądałam magię w tak czystej, ofensywnej postaci.

– Ona chce cię zabić, Willow – ostrzegłam ją odruchowo.

Spojrzała na mnie przenikliwie, wypowiedziała ostatnie słowa zaklęcia i w końcu nieco się odprężyła.

– Ona? Zabić mnie? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Czymkolwiek to jest, weszło ci do głowy. Musisz to stamtąd wyrzucić. Nie pozwól, żeby ci szeptało do ucha, rozumiesz? Wyrzuć to!

Och, mam tego dość, zabrzmiało znowu w mojej głowie.

Niby jak Willow sobie wyobrażała, że pozbędę się tego głosu?!

Nie zdążyłam jej ostrzec, ale nie musiałam. Tym razem Willow była przygotowana. Gdy nastąpił kolejny atak, cały swój impet wytracił na niewidzialnej barierze, którą moja kuzynka ustawiła wokół siebie magią. Jedyne o kilka cali przesunęła się po podłodze, gdy byt przypuścił jeszcze jedno natarcie. Usłyszałam w głowie gniewny krzyk.

Tymczasem Willow przystąpiła do kontrataku; kilka prostych słów i jeden ruch ręką wystarczyły, by hol zalało światło tak jaskrawe, że aż musiałam zmrużyć oczy. Nie miałam pojęcia, skąd pochodziło, skoro w pomieszczeniu brakowało nawet działających żyrandoli; ważne jednak, że hol rozświetlił się jak muśnięty snopem światła latarni morskiej, a wszystkie naturalne cienie zniknęły.

Zostało tylko to, co zdecydowanie nie było naturalne.

Od razu to dostrzegłam. Utkaną z ciemności postać, przemykającą pod schodami. Na jej widok zjeżyły mi się włosy na głowie. Nie była cielesna, ale nie była też niematerialna; wyraźnie widoczne kształty sugerowały coś pomiędzy, coś składającego się z mroku, ale w fizycznej formie. Poruszało się przed siebie niezbyt płynnie, drżąc, jakby światło mu przeszkadzało. Falowało dziwnie niczym rozmazany obraz.

Willow też natychmiast to dostrzegła i pchnęła w tamtą stronę zaklęcie, roztrzaskując fragment drewnianej balustrady za cienistą głową. Wyglądało na to, że fizyczny atak nie mógł temu czemuś wyrządzić żadnej szkody.

Ja na jej miejscu pewnie już bym panikowała, Willow jednak nie traciła głowy, dzięki czemu wreszcie mogłam zobaczyć w niej tę utalentowaną czarownicę, jaką podobno była od lat. Podczas gdy

ja kuliłam się na podłodze, ona kroczyła przed siebie, uderzając cień kolejnymi falami zaklęć. Dopiero po chwili zrozumiałam, że nie chce w ten sposób pozbyć się napastnika. Zdażyła się zorientować, że zaklęcia nie robią bytowi żadnej większej krzywdy.

Nie. Ona zaganiała go do kąta.

Potrzebowałam minuty, by zorientować się po co. Chciała go uwięzić, próbowała zatrzymać go w jednym miejscu, z dala od Theo i ode mnie, z dala od wyjścia. Willow nie myślała ani o sobie, ani o tym przerażającym bycie czającym się z nami w holu; myślała o mnie, o Theo i o tym, żebyśmy zdołali uciec z tego przeklętego domu.

Pozwoliłam sobie tylko na sekundę zdumienia; nigdy wcześniej nie widziałam Willow w takiej roli. Zazwyczaj jawiła mi się jako wiecznie wściekła, zadzierająca nosa, zazdrosna o wszystkich wkoło czarownica. Nie sądziłam, że będzie gotowa na ryzykowanie dla mnie własnym życiem, niezależnie od tego, ile czasu mogłaby się tym chełpić po naszej ucieczce.

Po sekundzie odepchnęłam od siebie te myśli, uznając, że będzie na nie lepszy czas, po czym chwyciłam Theo mocno za rękę. Chciałam być gotowa, ale nic nie powiedziałam, nawet jeśli spojrzał na mnie pytająco pełnymi niepokoju niebieskimi oczami.

Nie możesz mi go zabrać, rozbrzmiało znowu w mojej głowie, zupełnie jakby to coś, co próbowała powstrzymać Willow, znało moje myśli. *Ross miał być twoją ofiarą, ale przeżył... Nie mogę na to pozwolić drugi raz.*

Zjeżyły mi się włosy na głowie, ale nie odpowiedziałam na te słowa. Z każdą chwilą rozumiałam coraz więcej – i coraz bardziej mnie to przerażało.

Theo, Ross, jego wypadek. Tata.

I zaklęcie mamy.

– Przygotuj się, Margo – usłyszałam wycedzone przez szczelnie zaciśnięte zęby słowa Willow. – Kiedy tylko krzyknę.

Wiedziałam, co ma na myśli, ale obawiałam się, że przyparty do muru byt również to wie.

Wkrótce się okazało, że miałam rację.

W jednej sekundzie wszystko było w porządku, a w kolejnej światło wokół nas błysnęło gwałtownie jak dogasający zimny ogień, coś trzasnęło i w holu zapadła złowroga ciemność. Zamrugłam, usiłując przyzwyczaić wzrok do mroku, a moje serce podskoczyło z przerażenia. Mocniej chwyciłam dłoń Theo, który odwzajemnił mój uścisk.

– Willow...? – zawołałam w ciemność, nienawidząc się za to, jak niepewnie brzmi mój głos w ciszy zrujnowanego domu. – Wszystko w porządku?!

– Nie wychodźcie z kręgu! – usłyszałam w odpowiedzi i już wiedziałam, że nic jej się nie stało. Odetchnęłam z ulgą. – Cokolwiek to jest, zneutralizowało moje zaklęcie. Nie ruszajcie się, muszę coś wykombinować i je znaleźć...

Byłam cykorem, nie zamierzałam się stamtąd ruszać. Theo przyciągnął mnie do swojego boku, jakby chciał się upewnić, że jestem bezpieczna.

Zaiskrzyło raz, a potem światło znowu zastąpił mrok; wyglądało to trochę jak zapalka, nagle zapalona i równie nagle zgasła. Dosłownie przez sekundę widziałam Willow, w której dłoniach zapłonął ten drobny płomyk, a chociaż otaczała ją ciemność, podobnie jak nas, wydało mi się nagle, że coś jest z nią nie tak.

Wstrzymałam oddech, ale nie odezwałam się, póki Willow nie spróbowała ponownie. Na ułamek sekundy światło rozświetliło postać mojej kuzynki i jej najbliższe otoczenie, a potem znowu zgasło. Tym razem jednak widziałam wyraźnie.

Coś czało się wokół niej, korzystając z nagle zapadłych ciemności. Mrok dookoła falował, jakby chciał ją pożreć, pochłonać, rozszarpać na kawałki.

Dosłownie zamarłam z przerażenia. To tylko mózg płata mi figle, spróbowałam sobie wmówić. Wiedziałam jednak, że tak nie jest. Gdy ponownie zapadła ciemność, usłyszałam zduszony krzyk Willow, a potem dziwny odgłos przypominający bulgot. Zrobiłam krok, jakbym chciała wyjść z kręgu, ale Theo przyciągnął mnie do siebie bliżej i objął mocno, żebym nie próbowała uciec. Nie chciałam uciekać, nie chciałam go zostawiać, ale przecież nie mogłam patrzeć, jak mojej kuzynce dzieje się

krzywda, niezależnie od tego, jak jej nie lubiłam!

Nagle blade światło znowu przedarło się przez mrok w formie nieregularnej kuli skupionej nad Willow. Przez jedno uderzenie serca wydawało mi się, że wszystko jest okej.

A potem zauważyłam, co się stało. Mrok już nie czaił się wokół mojej kuzynki. On oplatał ją całą: niczym twarde, elastyczne liny dociskał ręce do tułowia, pokrywał całą klatkę piersiową, wsączał się do środka przez jej zakneblowane usta, a po chwili także przez oczy.

– Nie! – wydarłam się i rzuciłam do przodu, ale Theo znów chwycił mnie wpół, nie bawiąc się w subtelności, i brutalnie mnie do siebie przyciągnął.

– Co ty robisz, Margo?!

– Muszę jej pomóc! – wrzasnęłam histerycznie, próbując mu się wyrwać. Trzymał mnie jednak zaskakująco mocno. – Puść mnie, słyszysz?!

– Kazała ci nie wychodzić poza krąg!

Chodź do mnie, Margo, to może jeszcze ją uratujesz.

– Nie! – krzyknęła Willow. Brzmiała tak, jakby znajdowała się gdzieś daleko, a nie na wyciągnięcie dłoni. – Nie możesz... pomóc. Uciekajcie, proszę, Margo...

– Nie zostawię cię! – zaprotestowałam natychmiast, ponownie wyrrywając się Theo. Wiłam się jak piskorz, aż w końcu udało mi się wyslizgnąć pod jego ramieniem; zrobiłam krok poza krąg, a on rzucił się za mną, chwytając mnie za ramię. – Theo, muszę...

Uderzenie wycisnęło ze mnie resztę zdania wraz z oddechem; walnęłam ciężko plecami o podłogę i prześlizgnęłam się po niej do tyłu, w stronę wyjścia. Dopiero po chwili odkryłam, że to sprawka Willow, która na chwilę uwolniła jedną rękę i odsunęła nas od siebie.

Willow nie chciała, żeby jej pomagać.

– Zabierz ją... stąd. – Tym razem nie zwracała się do mnie, tylko do Theo. – Zabierz ją, bo mi nie pomoże... tylko zginie. Ja muszę to zrobić.

Cień coraz agresywniej wsączał się w jej usta i oczy. Nie miałam zamiaru jej zostawić; plecy bolały mnie jak cholera, gdy wstałam chwiejnie na nogi i ruszyłam z powrotem w jej stronę. Drzwi prowadzące na zewnątrz były tuż-tuż, wciąż otwarte po wejściu Willow, ja jednak nie potrafiłam myśleć o ucieczce. Nie, gdy życie mojej kuzynki wisiało na włosku.

– Przepraszam, ale kazała mi cię zabrać – usłyszałam za sobą głos i już w następnej chwili Theo znowu zamknął mnie w uścisku swoich silnych ramion.

Wystarczyła mu sekunda, by wytoczyć się ze mną za próg. Darłam się na niego, szarpałam się, ale on kompletnie nic sobie z tego nie robił. Chciał tylko utrzymać mnie przy życiu.

Próbowałam przywołać swoją magię, ale jak zwykle nie potrafiłam zrobić nic, gdy po prostu tego chciałam. I chociaż ze wszystkich sił starałam się uwolnić, nagle się okazało, że Theo ma więcej siły, niż przypuszczałam. Trzymając mnie w kleszczowym uścisku, ściągnął po schodach, chociaż cały czas się szarpałam. Nie myślałam w tamtej chwili trzeźwo, chciałam jedynie wrócić do Willow.

Drzwi zatrzasnęły się za nami, gdy tylko wytoczyliśmy się na podjazd. Zaraz potem poczułam na swoim ciele kolejne ręce i zobaczyłam nad sobą zaniepokojoną twarz Charlie. Mogłam się domyślić, że to ona wezwała Willow.

– Twoje ciotki są w drodze – powiedziała drżąco. – Co tu się dzieje?

– Pomóż mi ją stąd zabrać – sapnął Theo. – Odbiło jej!

– Nie możemy jej zostawić! – krzyknęłam z nadzieją, że przynajmniej Charlie mnie zrozumie. – Charlie, błagam! Po co w ogóle mówiłaś Willow, żeby tam poszła?! Ona nie może tam zostać!

– Willow sobie poradzi, na litość boską – zapewnił mnie Theo, słyszałam jednak w jego głosie niepokój.

– A co miałam robić?! – wykrzyknęła Charlie, ciągnąc mnie poza teren działki. – Bałam się, że coś ci się stanie, a Willow była pod ręką! Kazałaś mi dzwonić do twoich ciotek, zamiast zwrócić się do kogoś, kto jest na miejscu! Aua, Margo, oszalałaś?!

Drapałam ją po ręce, żeby zostawiła mnie w spokoju, ale żadne z nich nie chciało mnie puścić. W końcu znaleźliśmy się na ulicy, a kiedy się odwróciłam, by spojrzeć na budynek za sobą, niepokój walczył we mnie o lepsze z nadzieją. Okna domu Marshallów były całkiem ciemne i nie wyglądało na

to, by w środku świeciło się jakiegokolwiek światło. Bałam się myśleć, co to może oznaczać.

– Willow chciała, żebym cię stamtąd wyprowadził – odezwał się za moimi plecami Theo, chociaż pragnęłam już tylko, żeby się zamknął. – Ona sobie poradzi.

Jasne. Jakoś nie wyglądało na to, żeby sobie radziła, kiedy mnie stamtąd wyciągał. Nie powiedziałam tego na głos, może dlatego, że miałam zbyt ściśniętą krtani.

Objęłam się ramionami i wpatrzyłam bez nadziei w dom Marshallów, drżąc na całym ciele. Wszystko mnie bolało i byłam pewna, że nabawię się siniaków w miejscach, gdzie trzymał mnie Theo, nie miało to jednak teraz większego znaczenia. Po raz pierwszy w życiu tak bardzo martwiłam się o Willow.

Nie próbowałam już jednak wrócić. Bałam się.

Czekałam na chodniku, cały czas czując tłącą się we mnie nadzieję, że Willow za chwilę wyjdzie z domu Marshallów i z triumfującym uśmiechem oznajmi, że już po kłopotcie. Potem jednak zaciskałam mocno oczy, a pod powiekami widziałam wsączający się w nią mrok – i wiedziałam, że nic nie będzie w porządku. Wątpiłam, żebym kiedykolwiek mogła pozbyć się z pamięci tego widoku.

Theo trzymał mnie mocno za ramię, jakby się obawiał, że pobiegnę tam z powrotem, jeśli tylko mnie puści. W zasadzie dobrze, bo mogłam się na nim oprzeć.

Odwrociłam się, gdy na ulicy z piskiem opon zahamował samochód. Ze środka wyskoczyła ciotka Georgia – blada, rozczochrana, ubrana w jakieś dresy i podkoszulek. Nie wiedziałam, co powiedziała jej przez telefon Charlie, ale musiała brzmieć przekonująco.

– Margo! – wykrzyknęła na nasz widok, robiąc krok w moją stronę. – Nic ci nie jest?! Charlie dzwoniła, że weszłaś...

– Willow została w środku – przerwałam jej dziwnie płaskim głosem, który w moich uszach brzmiał obco.

Ciotka Georgia zamrugnęła.

– Willow...?

– Pobiegłam po nią, nie wiedziałam, co robić – pospieszyła z wyjaśnieniem Charlie. – Weszła tam, potem Margo i Theo uciekli, a ona nadal jest w środku.

– Ile to już trwa? – Przez twarz ciotki Georgii przemknęła panika, na widok której ścisnęło mi się serce.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Na szczęście wyręczyła mnie Charlie.

– Góra kilka minut. Nie wiedzieliśmy, co robić.

– Dobrze, że stamtąd wyszliście. – Ciotka wyraźnie biła się z myślami, wpatrując się z napięciem w ciemny dom Marshallów. – I dobrze, że tam nie wróciliście. Idę po nią.

– Pozwól mi też iść. – Zrobiłam krok do przodu i spojrzałam na nią błagalnie; Theo ruszył za mną, nadal nie puszczając mojego ramienia. – To moja wina. Gdybym tam nie pobiegła, Willow nie musiałyby za mną wchodzić. Chciałam tylko pomóc Theo...

– Margo, nikt nie ma o to do ciebie pretensji – przerwała mi stanowczo, chociaż nie mogła przecież znać pełnej historii. Byłam pewna, że Charlie nie traciłaby na nią czasu. – Ale w środku będziesz dla mnie tylko ciężarem i do niczego się nie przydasz. Muszę tam iść, bo niezależnie od tego, co myśli Willow, sama sobie nie poradzi. Proszę, nie chcę marnować więcej czasu.

Skinęłam słabo głową i odsunęłam się od niej, chociaż moje ciało sprzeciwiało się temu z całej siły. Ciotka miała rację, nie było czasu do stracenia; nie powinnam jej zatrzymywać, kiedy miała pomóc Willow. I z pewnością nie powinnam jej obarczać dodatkowo odpowiedzialnością za mnie. Nie wszystko musiało się kręcić wokół mnie.

Ciotka zrobiła krok w stronę trawnika i właśnie wtedy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem.

Zamarliśmy odruchowo, czekając, co stanie się dalej. Bezwładne ciało z impetem wyleciało za próg, przeturlało się po trawniku i zamarło całkiem niedaleko nas, ciche i nieruchome. Ciemnoblond włosy rozsypały się wokół głowy niczym aureola.

Ciotka Georgia wydała z siebie zduszony krzyk, mnie głos uwiązał w skurczonyj nagle krtani. Rzuciłam się do przodu, zanim ktokolwiek zdołał mnie powstrzymać, pokonałam tych kilka kroków dzielących nas od Willow i padłam przy niej na kolana, drżącymi rękami szukając czegokolwiek –

oddechu, pulsu, oznak życia.

Nie znalazłam nic.

Ciało mojej kuzynki było ciepłe i miękkie, ale kiedy podniosłam jej dłoń, stwierdziłam też, że jest zaskakująco ciężkie – martwy ciężar, przemknęło mi przez głowę. Serce biło mi tak gwałtownie, że powinno chyba w końcu przedrzeć się przez klatkę piersiową i wydostać na zewnątrz. Nie słyszałam głosów wokół siebie, w uszach miałam tylko szum; nie czułam na sobie próbujących mnie podnieść rąk. Spojrzałam bezrozumnie w twarz pochylonej nade mną ciotki Georgii i stwierdziłam, że chyba coś krzyczy, kompletnie jednak nie słyszałam słów.

W głowie miałam tylko jedno.

Proszę, nie.

Ona nie mogła umrzeć!

* * *

Kiedy później, z dystansu, analizowałam te chwile po odnalezieniu ciała Willow, doszłam do wniosku, że nie tak wyobrażałam sobie reakcję na szok.

Nie zalałam się łzami jak ciotka Georgia, nie krzyczałam jak Charlie, nie próbowałam ratować swojej kuzynki jak Theo. Byłam całkowicie bezwolna i kompletnie pozbawiona życia, nie czułam nic poza potworną pustką. Kiedy już szum w uszach ustąpił, zaczęłam zauważać szczegóły dookoła siebie, na które normalnie nie zwróciłabym uwagi. Mówi się, że czasami pod wpływem szoku mózg człowieka się wyłącza i odcina od złych wspomnień – ze mną było odwrotnie.

Pamiętałam bardzo dokładnie dotyk ciepłej, miękkiej, ciężkiej ręki Willow na swojej; pamiętałam wyraz jej pustych, szklanych oczu, obojętnie spoglądających na ciemne niebo nad nami; pamiętałam nienaturalną pozycję, w jakiej leżało na trawniku jej powykręcane ciało, a nawet to, że przemknęła mi wtedy przez głowę całkowicie idiotyczna myśl – że Willow wygląda jak ofiara zderzenia z ciężarówką. Czułam delikatny powiew wieczornego wiatru, dotyk rąk Theo, który próbował mnie odsunąć od ciała, słyszałam wyraźnie krzyki Charlie domagającej się wezwania pogotowia. Pamiętałam doskonale głos, który rozbrzmiał mi w głowie, gdy zrozumiałam w końcu, że dla mojej kuzynki nic nie da się już zrobić.

To ostatnie ostrzeżenie, Margo. Następnym razem nie wysługuj się innymi, tylko przyjdź do mnie sama.

Gdy nogi nie chciały mnie już dłużej utrzymać w pionie, przytłoczona ciężarem wyrzutów sumienia, usiadłam ciężko na skraju chodnika, odwracając się od pozbawionej życia Willow, i wpatrzyłam tępo przed siebie, w swój dom rodzinny.

To niesprawiedliwe, że ja dalej żyję, a ona już nigdy nie wejdzie do tego domu, przemknęło mi przez głowę.

Gdybym tylko nie poszła do domu Marshallów...

Gdybym tylko wcześniej na poważnie zainteresowała się magią...

Gdybym tylko nie sprowadziła do Inverness Theo...

Głowa pękała mi od takich myśli, ale nie mogłam ich powstrzymać. Alternatywą było myślenie o leżącej za mną martwej kuzynce.

Karetka przyjechała niemalże równo z policją, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że dla Willow nie ma już ratunku. Pierwszy raz widziałam ciotkę Georgię w stanie takiego szoku jak wtedy, gdy rozmawiała z ratownikami medycznymi i oficerem policji.

Tak, w takim stanie ją zastaliśmy.

Nie, nie mamy pojęcia, co się stało.

Nie, nikogo z nas nie było w pobliżu.

Tak, to z pewnością musiał być jakiś straszny wypadek, ale nikt z nas tego nie widział.

Policjanci wiedzieli, kim jesteśmy z ciotką. W Inverness było głośno o czarownicach z rodu McKenzie. Patrzyli na nas podejrzliwie i zadawali dużo pytań, i chcieli nas zabrać na komendę. Przypuszczałam, że nie kupili naszych wyjaśnień, zdając sobie sprawę, że w naszej rodzinie zdarzały się już różne nietypowe sytuacje, których nie dało się racjonalnie wyjaśnić.

Ostatecznie jednak sprawę załatwiła babcia, która przybyła, gdy zwłoki Willow pakowano już do

ambulansu.

Usłyszałam go z daleka i ten jeden dźwięk przeciął moje serce na pół – pełen rozpaczy, niedowierzania i bólu wrzask, który stopniowo przeszedł w upiorne zawodzenie. Gdy spojrzałam w tamtą stronę, zobaczyłam ciotkę Imogen wczepioną w bluzkę Willow, trzymającą ją tak mocno, że aż pobiełały jej knykcie. Dopiero na ten widok poczułam piekące pod powiekami łzy.

Nigdy wcześniej nie widziałam ciotki Imogen w takim stanie. I nie wyobrażałam sobie, że jest zdolna do takiego zachowania. Patrząc, jak szlocha nad martwym ciałem swojej córki, zapragnęłam nagle zamienić się z Willow.

To ja powinnam była tam umrzeć. Moi rodzice nie byliby w stanie mnie opłakiwać, więc nikt nie cierpiałby po mnie tak bardzo, jak ciotka Imogen po Willow.

Babcia, która jako jedyna zachowała trzeźwość umysłu – mimo że właśnie straciła jedną ze swoich wnuczek – jakimś sposobem załatwiła sprawę z policjantami. Nagle dodatkowe wyjaśnienia nie były już potrzebne.

Jeśli było coś, czego nie pamiętałam z tamtego wieczoru, to to, jak znalazłam się z powrotem w domu rodzinnym, w dodatku z Theo i Charlie przy boku. Wokół mnie działo się tyle rzeczy, które zwyczajnie nie mieściły się w głowie, że ta jedna normalna czynność, jaką było przejście przez podjazd, kompletnie nie zapadła mi w pamięć. Ocknęłam się na kanapie w salonie, z podkulonymi nogami, zdziwiona, że nie słyszę już szlochu ciotki Imogen – później powiedziano mi, że pojechała karetką razem z ciałem Willow. Ciotka Georgia ruszyła za nimi samochodem, żeby nie zostawiać ciotki Imogen samej.

Babcia usiadła obok mnie i zaskakująco łagodnym tonem poprosiła, bym o wszystkim jej opowiedziała. Nie potrafiłam jednak wydobyć z siebie głosu, więc większość historii opowiedzieli za mnie Charlie i Theo. Chociaż w oczach babci widziałam ból i rozpacz, z samej jej twarzy nie dało się nic wyczytać. Przez cały czas trzymała mnie za rękę, chociaż z pewnością równie dobrze jak ja wiedziała, że to moja wina.

Kiedy tylko zamknęłam oczy, widziałam powykręcane ciało Willow i zawodzącą nad nim ciotkę Imogen. Nie potrafiłam skupić się na niczym innym.

Willow nie żyła.

Nie żyła.

Bo przybiegła mi pomóc.

Puste oczy patrzą w ciemne niebo nad nami. Sanitariusze podnoszą ciało z ziemi; wygląda jak worek kości. Wydaje się, że wszystko, co tylko można było w niej złamać, zostało złamane. Przez sekundę zastanawiałam się, co Willow musiała czuć w tamtej chwili. Czy wiedziała, że umiera?

A ja ją zostawiłam. Zostawiłam ją samą z tym, co ją zabiło.

Musiałam zająć umysł czymś innym. Czymkolwiek.

– Już wiem, dlaczego to zrobiła – odezwał się, przerywając komuś, chyba Charlie.

Wszyscy odwrócili się do mnie ze zdziwieniem.

– Kto, Margo? Willow? – zapytała babcia łagodnie.

Pokręciłam głową.

– Nie, moja mama. Już wiem, dlaczego trafiła na oddział zamknięty.



33. Jak poradzić sobie ze stratą

Przez wiele lat nosiłam w sobie tajemnicę swojej mamy, nie mówiąc nikomu o tym, co zrobiła tamtego dnia, gdy trafiła do szpitala psychiatrycznego. Chroniłam ją, ale równocześnie nie znosiłam jej odwiedzając, i to nie tylko dlatego, że te wizyty były dla mnie trudne.

Nigdy do końca jej nie wybaczyłam, że mnie zostawiła.

Widziałam coś w rodzaju zdrady w tym, że wtedy zdecydowała się na rzucenie tamtego zaklęcia, które wpędziło ją niemalże w stan katatonii. Bo wybrała mojego ojca ponad mnie. Umarłych ponad żywych.

Dopiero pod wpływem głosu w domu Marshallów pomyślałam, że może mama wcale wtedy nie wybrała.

– Myślałam, że... myślałam, że próbowała ożywić mojego ojca po tym, jak zginął – podjęłam, gdy wszyscy obecni w salonie wpatrzyli się we mnie pytająco. Wolałam mówić o czymkolwiek, niż milczeć i raz po raz odtwarzać w głowie śmierć Willow. – Myślałam, że to był jej pomysł. A co, jeśli wcale tak nie było?

– Co masz na myśli, Margo? – podjęła babcia, kiedy na chwilę zamilkłam, by pozbiierać rozproszone myśli. – Sądzisz, że tego właśnie chce być z domu Marshallów?

– Dlatego próbowała zabić Rossa. – Drżałam na całym ciele, ale i tak się wzdrygnęłam, gdy Theo objął mnie ramieniem. – To samo zrobiła z moim ojcem. Może kilkanaście lat temu samochody były bardziej zawodne i łatwiej było go zabić? Ross jednak nie zginął. Potrzebowała więc innej ofiary.

– Nadal nie bardzo rozumiem – wyznała babcia.

– Ona jakoś się zorientowała, jaki dar miała mama. I że go po niej odziedziczyłam. Doszła do wniosku, że możemy zrobić coś, na co inne czarownice nigdy nie stworzyły zaklęcia. Chciała, żeby mama ją ożywiła, ale mama pewnie nie była chętna do współpracy.

– Zabicie twojego ojca raczej by jej nie przekonało – odpowiedziała niepewnie Charlie.

– Oczywiście, że przekonało. Wiem, co mi powiedziała, i wiem, czego chce. – Przypomniałam sobie jej słowa w mojej głowie. *Theo musi umrzeć. Tylko jego śmierć zmotywuje cię wystarczająco, żeby mi pomóc.* – Dlatego próbowała zabić Rossa i dlatego zabiła Willow, i dlatego chciała zatrzymać Theo w domu Marshallów. Ona chce, żebym najpierw wypróbowała zaklęcie na kimś innym, na wszelki wypadek. Moja mama miała próbować na tacie. Domyślam się, że pewnie zagroziła jej, że inaczej kolejne osoby będą ginąć... To musiała być tylko dodatkowa zachęta. Wiem, jak wtedy czuła się mama. Nie tylko straciła męża, ale też miała świadomość, że to stało się przez nią. Pewnie się zgodziła... Dlatego spróbowała wskrzesić ojca, w ramach ćwiczeń. Żeby potem móc ożywić ją.

Przez tyle lat nie mogłam wybaczyć mamie jej wyborów; nosiłam w sobie żal i poczucie odrzucenia, udając, że wszystko jest w porządku. Zatwardziała w swoich pretensjach, nigdy nie pomyślałam, że może ona została do tego zmuszona. Może wcale nie chciała mnie porzucić dla ojca. Może było wręcz przeciwnie.

Może próbowała go ożywić, żeby mnie chronić. W końcu jeśli Mary Talbot zabiła mojego ojca, co stało jej na przeszkodzie, żeby zabić i mnie, gdyby mama nie ugięła się do jej woli?

Dlatego miała tę książkę, przemknęło mi przez głowę. Szukała innego rozwiązania, ale z jakiegoś powodu ostatecznie uznała, że nie ma lepszego wyjścia. A potem zaklęcie się nie udało i mama

wylądowała w zakładzie zamkniętym.

Jak złą byłą córką, że wpadłam na to dopiero po tylu latach i dopiero wtedy, gdy mnie samej przytrafiło się coś podobnego? Powinnam była mieć w nią więcej wiary!

– Czekał, twierdzisz, że dlatego twój ojciec zginął? – pisnęła Charlie. – Że to coś z domu Marshallów zabiło go, by zmusić twoją mamę do współpracy? Żeby najpierw ożywiła jego, a potem to coś?! I że ty masz zrobić to samo?!

Spojrzałam na nią smutno.

– Dobrze to ujęłaś – przyznałam. – Jestem najgorszą córką na świecie. Powinnam była dawno się zorientować, że zrobiła to, bo musiała. Że nie ryzykowałaby z własnej woli, wiedząc, że jeśli coś pójdzie nie tak, zostanę sierotą.

Jakbym nie dość jeszcze miała wyrzutów sumienia. Chociaż próbowałam sobie wmawiać, że nic z tego nie jest moją winą, trudno było nie myśleć, że gdyby nie tamto zaklęcie, którym sprowadziłam Theo do Inverness, wiele z tych wypadków w ogóle by się nie zdarzyło. Chandler by nie zginął. Moja mama nie tkwiłaby w stanie, w jakim się obecnie znajdowała. Ross nie byłby w szpitalu.

A Willow nadal by żyła.

– Nie obwiniaj się. – Babcia potrząsnęła głową. – Nie mogłaś wiedzieć. Założyłaś coś, co według ciebie było najbardziej logiczne. Ale to... niestety brzmi prawdopodobnie.

– Nie rozumiem tego – westchnęłam. – Przecież ożywianie ludzi jest niemożliwe. I jakim cudem jakiś byt w domu Marshallów...

– Nie wiem, jak to dokładnie działa – przerwała mi. – Nikt nigdy wcześniej tego nie próbował, Margo. Ale ten byt... na potrzeby tej rozmowy powiedzmy, że to rzeczywiście Mary Talbot... widocznie wie coś, czego my nie wiemy. Skoro czarownice jak twoja matka i ty mogą tworzyć zaklęcia, to może również takie. Pewnie dlatego chce je najpierw wypróbować, żeby się upewnić, że jej świadomość podczas tego procesu nie zginie. Skąd w ogóle przyszło ci to do głowy?

Zawahałam się, ale w końcu uznałam, że to nie czas na zatajanie prawdy.

– Powiedziała mi – wyznałam. – Słyszałam jej głos w swojej głowie. Wiem, że należał do kobiety, i nie pytaj mnie skąd, ale wiem, że to Mary Talbot. Ona chce odzyskać życie, które straciła tyle lat temu. I z jakiegoś powodu jest przekonana, że mogę jej w tym pomóc.

Nie byłam w stanie dłużej usiedzieć w miejscu. Zerwałam się z sofy i zaczęłam krążyć po salonie. Czułam na sobie zatroskany, pełen bólu wzrok babci. Miałam ochotę na nią nakrzyczeć, że przyjmuje wszystko z takim spokojem. Wolałabym już, żeby ktoś zrobił mi awanturę. To przeze mnie Willow nie żyła i cały czas czekałam, aż ktoś mi to wreszcie wygarnie. Oni wszyscy jednak milczeli.

Nie znaczyło to, że nie rozumiem ich argumentów. Trudno było jednak dyskutować z pękniętym na pół sercem, które podpowiadało mi, że gdybym tego wieczora nie odebrała telefonu od Theo, Willow nadal by żyła. Gdybym okazała więcej przytomności umysłu i zadzwoniła po ciotkę, zamiast samej lecieć do domu Marshallów, nikomu nic by się nie stało. Jak oni mogli myśleć, że to nie jest moja wina?!

W głowie miałam kompletny mętlik i to pewnie dlatego zajęłam się najpierw sprawą zaklęcia mamy. Na tym przynajmniej mogłam się skupić.

– Margo, nie możesz tego robić – powiedziała babcia zaskakująco stanowczo. – Nie możesz wpuszczać jej do głowy! Może ci w niej namieszać, jak zrobiła to z Rossem. Jesteś czarownicą, jesteś od niego silniejsza i możesz się od niej odciąć. Musisz się tylko bardzo postarać i nie szukać jej!

– Fajnie, tylko nie mam pojęcia jak. – Zatrzymałam się i spojrzałam na nią. – Poza tym nie w tym rzecz. Potrzebuję informacji i tylko w ten sposób mogę je zdobyć. Zapytać ją.

– I trzymać kciuki za to, że powie prawdę! – krzyknęła babcia, a ja musiałam przyznać jej rację. – Takie układy nigdy nikomu nie wyszły na dobre, Margo. Cokolwiek masz w planach, musisz ją wyrzucić. To niebezpieczne, mieć połączenie z kimś takim. Pokażę ci, jak to zrobić, a potem wspólnie rzucimy też zaklęcie na Theo.

Sądząc po spanikowanej minie wspomnianego, nie zamierzał skakać z radości. Ja jednak rozumiałam, dlaczego babcia chce to zrobić. I on też powinien zrozumieć po tym, co przeżyliśmy w domu Marshallów.

Miałam jednak wrażenie, że Theo po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, czuje się naprawdę

przyłoczony. Patrząc na niego, dochodziłam do wniosku, że niewiele brakuje, żebym go straciła. Nie winiłabym go za to.

– Więc co mam robić? – zapytałam. – Nie możemy tego tak zostawić. Willow nie żyje, na litość boską! Musimy coś zrobić!

– I zrobimy, możesz być spokojna – zapewniła babcia stanowczo. – To dla nas wszystkich wielka tragedia, Margo. Nie myśl, że tylko ty oplakujesz Willow i że tylko ty chcesz pomścić jej śmierć. Na tym właśnie musimy się teraz skupić. Skorzystamy z książki, którą znalazłaś, i pozbedziemy się wreszcie tego czegoś z domu Marshallów.

W jej głosie słyszałam jakiś niebezpieczny ton. Pomyślałam, że nie chciałabym być wrogiem babci.

– Mama miała tę książkę – mruknęłam. – Ona też próbowała to zrobić... A jednak się jej nie udało.

– Twoja matka nie uznała za stosowne wtajemniczyć we wszystko rodziny, podobnie jak na początku ty – stwierdziła babcia, a ja wzdrygnęłam się na te słowa; za bardzo przypominały wymówkę, a ja odruchowo chciałam bronić mamy. – Była sama. Ty masz za sobą całą rodzinę, Margo. Nie pozwolimy, żeby sytuacja sprzed lat się powtórzyła.

Znowu poczułam łzy w oczach, odwróciłam więc wzrok, żeby nikt się nie domyślił, że próbuję się nie popłakać.

– Przepraszam – wykrztusiłam w końcu, pokonana. Odkaslnęłam, bo mój głos był dziwnie chrapliwy. – Naprawdę nie chciałam, żeby to się tak skończyło. Nie sądziłam... Mama na pewno też nie przypuszczała. I Willow... Ja nie...

Theo zerwał się z sofy i w sekundę był przy mnie, a mnie przemknęło przez głowę, że może jednak wcale nie chce ode mnie uciec. Zacisnęłam mocno oczy, gdy przytulił mnie, przyciągając do siebie blisko. Oparłam się o niego, położyłam mu dłonie na plecach, myśląc, że fajnie jest czasami tak po prostu kogoś objąć i na chwilę pozwolić mu przejąć kontrolę.

Theo nic nie powiedział, najwidoczniej zdając sobie sprawę, że tego nie potrzebuję; po prostu trzymał mnie mocno, a ja mogłam oprzeć policzek na jego klatce piersiowej. Nie obchodziło mnie, co myślą o tym babcia i Charlie. Chciałam po prostu zostać w jego ramionach. Pachniał dziwnie znajomo, trochę korzennie, a trochę cytrusowo, i chociaż nadal miałam pod powiekami martwe spojrzenie Willow, moje serce odrobinę się uspokoiło.

– Nie ma sensu oglądać się za siebie – powiedziała tymczasem szorstko babcia. Odsunęłam się od Theo, żeby na nią spojrzeć. Przyglądała się nam z dezaprobatą. – Obwinianie się nie pomoże nam rozwiązać problemu. Jeśli jest tak, jak mówisz, Margo, bytowi z domu Marshallów zależy właśnie na tobie. Najpierw musimy przerwać wasze połączenie, a potem ją wypędzimy. Ale potrzebujemy do tego pomocy drugiej czarownicy, najlepiej Georgii albo Avy. Poczekamy, aż twoje ciotki wrócą... – Po tych słowach jej też głos lekko się załamał. – Imogen nie będzie w stanie nam pomóc, ale Georgia powinna.

Rozumiałam, co ma na myśli – widziałam przecież, w jakim stanie była ciotka Imogen, gdy odjeżdżała karetką z ciałem Willow. Była całkowicie rozbita.

– Musimy jeszcze porozmawiać o tym, co oficjalnie powiemy policji. Potem powinniście spróbować się przespać – dodała babcia, jak zawsze zachowując chłodny umysł. – Margo może zająć swój stary pokój, a ty, Theo, gościnnie. Spróbujcie odpocząć... chociaż trochę. Rano zajmiemy się resztą.

* * *

– Nie martw się, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Musisz zostać na górze, dobrze? Obiecuję, że zostaniesz na górze.

Czułam jej znajomy zapach, delikatny dotyk jej dłoni na ramionach, widziałam ciepły, pokrępiający uśmiech, a jednak byłam pewna, że coś jest nie tak. Miałam łzy w oczach, kiedy kiwałam głową.

A potem zeszłam na dół, chociaż prosiła mnie, żebym tego nie robiła. Do wilgotnej mgły, która oblepiała mnie całą, do pełnego magii holu, gdzie włosy uniosły mi się dookoła głowy, jakby żyły własnym życiem. Z przerażeniem wpatrywałam się w kobietę w salonie – w mamę o pustych,

pozbawionych wyrazu oczach i drżącym ciele, siedzącą w magicznym kręgu, niezdolną do wydania z siebie dźwięku, bo za bardzo się bała, że otaczająca ją jakby żywa mgła dosięgnie i mnie.

Wtedy usłyszałam jej głos, nieludzki, potężny, i krzyknęłam, i zacisnęłam mocno powieki, i zasłoniłam uszy dłońmi. Mgła mnie porwała, zaczęła szarpać, krzyczałam więc jeszcze głośniejszym głosem, a przez moje własne krzyki słyszałam kobiecy głos.

Nie bój się, Margo. Chcę wam tylko pomóc.

Kiedy otworzyłam oczy, przed sobą zobaczyłam utkaną z mgły postać. Falowała, długie widmowe włosy otaczały jej głowę niczym wodorosty. Twarz miała niewyraźną, nie mogłam rozpoznać rysów, ale wydawała się młoda. To ona do mnie mówiła.

Obudziłam się nagle, nadal z krzykiem na ustach. Serce podeszło mi do gardła, gdy w mroku zobaczyłam ciemny kształt na łóżku obok siebie. Drgnęłam i spróbowałam się odsunąć. Kiedy postać się przybliżyła, dotarł do mnie znajomy, korzenno-cytrusowy zapach i nieco się uspokoiłam.

– Margo, to tylko ja – usłyszałam w ciemności szept Theo. – Mam pokój przez ścianę, słyszałam, jak krzyczysz. Wszystko w porządku?

Odetchnęłam drżąc i przytuliłam się do niego, ciesząc się, że w pokoju jest ciemno. Chwilę zajęło mi uspokojenie się w jego ramionach; Theo gładził mnie delikatnie po plecach, nie odzywając się ani słowem. Zaraz potem przypomniałam sobie, dlaczego znajduję się w domu rodzinnym i dlaczego jest tu Theo. Nie pomógł też fakt, że gdy tylko zamknęłam oczy, znowu zobaczyłam pod powiekami powykęcane ciało Willow.

– Nic nie jest w porządku... – jęknęłam, a potem się rozplakałam.

Próbowałam się odsunąć, żeby nie zamoczyć mu T-shirtu, jednak Theo chwycił mnie mocniej i przyciągnął do siebie. I choć sprawiło to, że poczułam wszystkie swoje siniaki, uczepliłam się go kurczowo i szlochałam przez chwilę w jego klatkę piersiową. Drżałam na całym ciele. A on po prostu tu był – nie uciekał z krzykiem, nie próbował mnie uspokajać, tylko trzymał mnie mocno i nie puszczał.

– To twoja wina... – wyszlochałam. – Mówiłam ci, żebyś się wyprowadził z tego przeklętego domu! Dlaczego nie mogłeś po prostu stamtąd wyjść? Mówiłam... że to ważne!

– Wiem, Margo, wiem – odpowiedział uspokajająco.

Ból w moim sercu przerodził się w furję, a jedyną osobą w pobliżu, przeciwko której mogłam ją skierować, był on. Odepchnęłam go z całej siły i odnalazłam w ciemności jego niebieskie oczy.

– Nic nie wiesz! – krzyknęłam. – Nic nie rozumiesz! Miałeś tylko jedno zadanie: opuścić ten cholerny dom! Do czego w ogóle się nadajesz, skoro nie potrafiłeś zrobić nawet tego? To ona mnie tam zwabiła, nie rozumiesz? Bo TY tam byłeś! Gdyby cię tam nie było, Willow nadal by żyła! A gdybyś mnie stamtąd nie wyciągnął, może mogłabym jej pomóc!

Zamachnęłam się i uderzyłam go z całej siły w tors. Raz, drugi, trzeci; uderzałam coraz mocniej. Theo w ogóle się nie bronił, nie próbował mnie powstrzymać, po prostu znosił wszystko w milczeniu, co jeszcze bardziej mnie rozwścieczało. Biłam go bez opamiętania, a z oczu płynęły mi łzy, aż wreszcie zabrakło mi sił i gdy w końcu mnie złapał, pozwoliłam mu ponownie się przytulić, związując się w kłębek.

Jeszcze przez chwilę płakałam, aż w końcu zabrakło mi łez i mogłam już tylko skulić się przy nim, nadaremnie próbując odzyskać równowagę umysłu.

Po chwili Theo się wychylił i podał mi szklankę z jakimś napojem.

– Wypij to. Do dna – polecił zachrypniętym głosem.

Nie pytałam, co to takiego, nie próbowałam protestować. Zrobiłam, co mi kazał, i wypijałam wszystko duszkiem, chociaż napój był gorzkosłony. Theo odebrał ode mnie pustą szklankę i odstawił ją na stolik obok łóżka.

– Przepraszam, Margo – powiedział łagodnie, gładząc mnie po ramieniu. – Przepraszam. Ale przecież wiesz, że nie mogłem cię tam z nią zostawić, musiałem cię wyciągnąć na zewnątrz, choćbyś miała mnie za to zniechęcić. Tego właśnie chciała Willow. I wiem, że powinienem był dawno się wyprowadzić. Chociaż to wszystko, co mówiłaś, brzmiało tak nieprawdopodobnie, wiedziałem, że coś jest nie tak z tym domem. Wiedziałem to od samego początku.

– Jak to? Skąd? – zapytałam ze zdziwieniem.

– Nie mam pojęcia. Ale coś czułem. Coś było nie tak z atmosferą w tym domu.

– Więc dlaczego... zostałeś?

– Tego też nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Chciałem się wyprowadzić. Chciałem cię posłuchać i stamtąd uciec. A jednak za każdym razem, kiedy podejmowałem taką decyzję, coś mówiło mi, że powinienem zostać... I słuchałem. Przepraszam. Nie powinienem był...

– Nie. To nie twoja wina – westchnęłam. Nie mogłam zrzucić na niego całej odpowiedzialności. – To ja przepraszam. Powinłam była się domyślić... Ona nie chciała cię wypuścić. Potrzebowała cię tam. Chciała, żebym do ciebie przyszła. Namieszała ci w głowie. To wszystko... moja wina...

– Przystań tak mówić – przerwał mi stanowczo. – Przystań wreszcie i nigdy do tego nie wracaj. Nie mogłaś wiedzieć, że to się tak skończy! Nie mogłaś tego przewidzieć. Miałaś dobre intencje, nie chciałaś nikogo skrzywdzić, Margo. Jesteś dobrym człowiekiem, któremu po prostu... przydarzyły się bardzo złe rzeczy. Nie jesteś niczemu winna. I nie chcę nigdy więcej o tym słyszeć, rozumiesz?

Pokiwałam słabo głową, opierając się na nim ciężko. Pociągnęłam nosem i wytarłam oczy, uspokajając się trochę. Częściowo dlatego, że zwyczajnie wyczerpałam siły, częściowo dzięki słowom Theo, a częściowo...

– Co ja właściwie wypiłam? – zapytałam zachrypniętym od płaczu głosem.

Theo zaśmiał się bez wesołości.

– Twoja babcia zostawiła tutaj jakiś wywar na uspokojenie. Przewidziała, że możesz czegoś takiego potrzebować.

Świetnie, a więc mnie odurzili. Jak znałam swoją rodzinę, pewnie była to jakaś wzmocniona zakłębiona herbatka z głogu albo dziurawca czy coś w tym stylu. A może waleriana? Smak by nawet pasował.

Nie chciało mi się spać, ale nienaturalny spokój opadał na mnie niczym ciężki koc. Cały czas czułam na sobie spojrzenie Theo.

– Jak się czujesz? – zapytał w końcu.

Prychnęłam.

– Lepiej niż Willow.

Serce ścisnęło mi się boleśnie, gdy wypowiedziałam jej imię, poza tym jednak pozostałam spokojna. Herbatka działała.

– Pytam poważnie, Margo. – Zupełnie jakbym ja nie odpowiedziała poważnie. – Widziałaś śmierć bliskiej ci osoby, a w dodatku się o to obwiniasz. I to nie jest pierwszy taki przypadek, prawda?

– Rozmawiałaś z babcią? – domyśliłam się. Pokręcił głową.

– Rozmawiałem z Charlie, zanim pojechała do domu. Powinnaś była o wszystkim mi powiedzieć. Nie zamierzam odchodzić, Margo. Będę przy tobie, niezależnie od tego, co się stanie.

Te słowa były jak lek na moje złamane serce, ale wiedziałam, że nie mogę się zgodzić.

– Powinieneś wrócić do Londynu – powiedziałam.

– Oszalałaś? Nigdzie się stąd nie ruszam, chyba że pojedziesz ze mną!

– Theo, ona chce mnie. To ja muszę ją pokonać – wyjaśniłam. – A ona zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby się do mnie dostać. Spróbuje cię zabić, nie rozumiesz? Jeśli zostaniesz przy mnie, będzie ci grozić niebezpieczeństwo.

– A jesteś pewna, że w Londynie nie będzie?

Zamilkłam. Nie miałam pojęcia, jaki zasięg mają czary Mary Talbot. Sądziłam, że Theo byłby bezpieczny w Londynie – ale jaką miałam gwarancję?

– Sądzę, że prędzej dorwie cię tu, w Inverness, niż w Londynie.

– Więc niczego nie wiesz na pewno – zawyrokował ze złością. – Przykro mi, Margo, ale nie, nie wyjadę. Nie zostawię cię tu samej. To też moja wina, że to wszystko się stało, prawda? Gdybym wcześniej opuścił dom Marshallów, tak jak mnie prosiłaś, nic z tego by się nie wydarzyło. Wiedziałem, że twoja rodzina jest... magiczna, mogłem się domyślić, że coś trzyma mnie w tym domu! Przecież zdawałem sobie sprawę, że coś jest z nim nie tak. Poradzimy sobie z tym razem.

Bardzo podobała mi się ta liczba mnoga w jego wypowiedzi. Nie sądziłam, że pogodzi się z tą

stroną magii, nie wspominając już o siedzeniu ze mną na łóżku w środku nocy i przekonywaniu, że jest w to wplątany tak samo jak ja. Nasza relacja była raczej niezobowiązująca, a Theo do tej pory wydawał mi się dość beztroskim facetem; ta jego nowa odsłona niezwykle mi się podobała. Może naprawdę mu na mnie zależało.

Zamknęłam oczy i tym razem pod powiekami zobaczyłam wyłącznie pustkę. Herbatka naprawdę działała.

– Zostań ze mną – poprosiłam.

Ponownie uniosłam powieki i poszukałam w mroku jego spojrzenia. Dłonie na moich ramionach zacisnęły się mocniej.

– Jesteś pewna? Nie chciałbym...

– Na litość boską, chcę tylko spać z tobą w jednym łóżku – przerwałam mu nieco spanikowana. – Nie proponuję ci seksu. Po prostu chcę, żeby mnie ktoś przytulił i nie puszczał.

– Na to zawsze możesz liczyć – zapewnił, a potem schylił się i pocałował mnie w policzek.

Nie byłam zawiedziona, bo nie liczyłam na więcej. To nie był odpowiedni czas ani miejsce, a ja, częściowo odurzona zaklęciami ciotek, nie nadawałam się na romanse. Kiedy mnie pocałował, zrobiło mi się więc po prostu ciepłej na sercu.

Pociągnęłam go za sobą na posłanie i pozwoliłam mu przytulić się do moich pleców. Theo objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie, tak że leżeliśmy na łyżeczkę, a potem odgarnął mi włosy z szyi i pocałował mnie w kark. Zadrżałam mimowolnie.

– Śpij – polecił mi. – Teraz już nic ci się nie przyśni, bo jestem z tobą.

Wątpiłam, ale nie powiedziałam mu tego. Wtuliłam się w niego, zamknęłam oczy i pozwoliłam, by spłynął na mnie ten nienaturalny spokój, który krążył mi w żyłach wraz ze specyfikami z herbatki.

Wkrótce potem już spałam.

I tym razem rzeczywiście nic mi się nie śniło.



34. Jak oszukać policję

– Gdzie ona jest?! To wszystko jej wina!

Strząsając z brzucha jakiś ciężar, usiadłam na łóżku, gwałtownie rozbudzona. Przetarłam oczy i przez jedną cenną sekundę rozglądałam się dookoła nieprzytomnie, próbując przypomnieć sobie, gdzie jestem.

Dopiero po chwili zaskoczyłam. Moja dawna sypialnia w domu na Culloden Road.

A ciężarem, który z siebie zrzuciłam, była ręka śpiącego obok mnie Theo.

Poderwałam się z łóżka, słysząc przybliżające się korytarzem głosy. Temu najgłośniejszemu, pełnemu złości i rozpacz, który doskonale znałam, towarzyszył drugi, nieco cichszy i spokojniejszy; nie był jednak w stanie uciszyć ciotki Imogen.

Chwyliłam za szlafrok którejś z ciotek, usłużnie pozostawiony mi wieczorem przez babcię. Ledwie zdążyłam się nim okutać, drzwi otworzyły się z rozmachem i w progu stanęła ciotka Imogen.

Jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Miała zapuchniętą od płaczu twarz, zaczerwienione oczy, zmierzwiłone włosy i coś takiego w spojrzeniu, co sprawiło, że cofnęłam się o krok.

– Tutaj jesteś. – Zatrzymała się na moment na widok gramolącego się bezładnie z łóżka Theo, a potem wściekłość eksplodowała w niej ze wzmożoną siłą. – Jesteś z siebie zadowolona? Śpisz sobie tutaj bez troski z tym... z tym łajdakiem, przez którego to wszystko się stało! To przez was moja córka nie żyje, a was to w ogóle nie obchodzi!

– Uspokój się. – Za ciotką Imogen do pokoju wkroczyła ciotka Georgia. Ona też wyglądała trochę jak zjawa, blada i z podkrążonymi oczami. Przypuszczałam, że obie nie spały przez większość nocy. – To tragedia dla nas wszystkich...

– Tragedia?! – powtórzyła ciotka Imogen histerycznie. Theo tymczasem przelazł przez łóżko i stanął tuż za mną, kładąc mi dłonie na ramionach. – Tragedia jest wtedy, kiedy ktoś ginie w wypadku. A to? To było morderstwo! I to wy ją zamordowaliście! Jak ty w ogóle możesz ze sobą żyć, Margo?!

Ciotka Georgia weszła między nas, kiedy ciotka Imogen ruszyła w moim kierunku. I dobrze, bo nogi wrosły mi w podłogę i pewnie nie byłabym w stanie nawet jej uciec.

– Przestań tak mówić, przecież wiem, że w to nie wierzysz. Margo nie chciała...

– Nie obchodzi mnie, czego ona chciała! – przerwała jej znowu ciotka Imogen. Jej rozszalały wzrok krążył między mną a Theo. – Zabiła moją córkę! Gdyby nie wasza dwójka, Willow nadal by żyła! Śpicie sobie tutaj spokojnie, podczas gdy ona marznie... w kostnicy...

Po tych słowach ciotka Imogen się rozszlochała i ciotka Georgia musiała ją podtrzymać, inaczej pewnie straciłaby równowagę. Chociaż każde jej kolejne słowo wbijało się w moje serce niczym ostrze sztyletu, wiedziałam, że naprawdę tak nie uważa. Przemawiały przez nią ból i rozpacz, które znałam aż zbyt dobrze – w końcu w podobny sposób krzyczałam na Theo ostatniej nocy.

Podobnie jak on, tak i ja nie reagowałam na zarzuty ciotki, także dlatego, że całkowicie zmartwiałam i nie byłam w stanie. Nawet jeśli ciotka nie miała racji i wykrzykiwała to, co podpowiadało jej oszalałe z bólu serce, i tak trafiało to do mnie aż za bardzo. A jeszcze bardziej od jej wymówek zabolalo mnie jej późniejsze zawrodozenie.

– Jest jej zimno... – wyjęczała. – W kostnicy jest tak bardzo zimno... Nie możemy jej stamtąd zabrać...?

Zatoczyłam się do tyłu. Dobrze, że stał tam Theo, o którego mogłam się oprzeć, bo inaczej pewnie straciłabym równowagę. Chciałam coś zrobić, cokolwiek, ale ciotka Georgia tylko pokręciła głową i zaczęła szeptać do ciotki Imogen. Wiedziałam, że nie mogę w żaden sposób jej pomóc, a jednak pragnęłam jakoś ulżyć jej w cierpieniu.

Ciotka Imogen więcej się nie odezwała, a ciotka Georgia wyprowadziła ją na korytarz, na odchodnym rzucając mi przepraszające spojrzenie. Jakby którakolwiek z nich miała za co przepraszać.

To raczej ja powinnam. Tylko co by to dało?

– Wszystko w porządku? – usłyszałam za sobą zachrypnięty głos Theo.

Miałam ochotę znowu się do niego przytulić i na zawsze już zostać w jego ramionach, zapomnieć o tym wszystkim, co działo się poza ścianami sypialni, wiedziałam jednak, że nie ucieknę od odpowiedzialności.

– Tak – odparłam nieszczerze przekonująco. – Dziękuję, że ze mną zostałeś. Pójdę wziąć prysznic, dobrze?

Chciałam odejść, ale chwycił mnie za rękę i z powrotem do siebie przyciągnął. Odwróciłam się do niego i serce drgnęło mi na widok jego rozczochranej czupryny i zarostu na szczęce.

– Powiedz mi, jeżeli mogę coś dla ciebie zrobić, Margo – poprosił, na co znowu o mało się nie rozplakałam.

Spróbowałam wziąć się w garść.

– Nie wiem, czy możesz zrobić cokolwiek – wydusiłam przez ściśnięte gardło. – Chyba wystarczy, że tu jesteś, że ode mnie nie uciekłeś. Każdy normalny facet na twoim miejscu by to zrobił.

Pochylił się nade mną i przez moment myślałam, że mnie pocałuje, ale on przycisnął wargi do mojego czoła, co było słodkie. Pozwoliłam sobie na trwanie w tej pozycji przez chwilę, chociaż nawet na tyle nie zasługiwałam.

– Widocznie nie jestem normalny – podsumował. – Nie wyobrażam sobie, że miałbym cię zostawić w takim momencie. Ile byłbym wart jako facet, gdybym uciekał od ciebie w chwili, gdy zrobiło się trudno?

– Jest różnica między „trudno” normalnych ludzi a moim – zauważyłam łagodnie. – Większość facetów nie ucieka z obłożonego kłatwą, nawiedzonego domu, w którym jakiś zły byt dąży do powrotu między żywych. Nie winałabym cię, gdybyś zostawił mnie i wyjechał.

Jakaś część mnie chciała, żeby to zrobił, bo zwyczajnie się o niego bałam. Niestety była też ta – i wygrywała z tą pierwszą w przedbiegach – która nie chciała go stracić.

Byłam cholerną egoistką.

– No cóż, przykro mi, ale nie zamierzam tego zrobić – zapewnił. – To będzie dla nas dobry sprawdzian. Jeśli przetrwamy razem ducha, który próbuje mnie zabić, przetrwamy wszystko.

„Dla nas”. Jak to dobrze brzmiało.

Poszłam pod prysznic, obiecując sobie, że zrobię, co trzeba, żeby nic mu się nie stało. Miałam nadzieję, że zmyję z siebie wszystko, co złe, włącznie z wyrzutami sumienia, ale to chyba tak nie działało.

Kiedy wreszcie zeszliśmy do kuchni, mimo wczesnej pory – nie było jeszcze siódmej – babcia już się po niej krzątała. Długie siwe włosy związała w bardzo porządnym kok na czubku głowy, na nosie miała okulary, które sprawiały, że wyglądała jak surowa nauczycielka na emeryturze. Mimo że ruchy miała wyważone i stanowcze jak zwykle, zauważyłam w niej jakąś nerwowość – i to wyprowadziło mnie z równowagi.

– Już wstaliście? – Wcale nie zdziwił jej nasz widok, chociaż spodziewałam się pytań, dlaczego zeszliśmy razem. – Mam nadzieję, że spaliście chociaż trochę.

Pokiwałam głową, siadając przy stole. Było coś swojskiego w oglądaniu babcinej krzątaniny, dlatego przez moment nie kwapiłam się z odpowiedzią. Theo zaproponował pomoc, a kiedy babcia odmówiła, usiadł naprzeciwko mnie.

– Tak, odpoczęliśmy odrobinę, dziękuję – odparłam w końcu. Przypuszczałam, że jakimś cudem babcia wiedziała, gdzie Theo spędził noc: nigdy nie umykały jej żadne szczegóły. – Pomogę ci ze śniadaniem.

– Siedź, potrzebuję czymś zająć ręce – powiedziała stanowczo. – Widzieliście się z Imogen?

– Tak. – Z trudem przełknęłam ślinę. – Wpadła do mojej sypialni, ale ciocia Georgia szybko ją zabrała. Nie wyglądała najlepiej.

– Lauren przygotowała jej już zioła na uspokojenie – odparła babcia łagodnie. – Nie powinnaś za bardzo przejmować się tym, co usłyszałaś. Imogen naprawdę tak nie myśli, przemawiał przez nią ból.

– Dlaczego? Przecież miała rację – prychnęłam. Babcia odwróciła się do mnie, ale nie dopuściłam jej do głosu. – Tak, zdaję sobie sprawę, że nie mogłam o niczym wiedzieć. Nie mogłam przewidzieć, że to wszystko tak się skończy, i nie miałam złych intencji. Ale to ja przeżyłam, a Willow nie. Bo poszła mnie ratować, chociaż wcale nie musiała, bo znowu zrobiłam coś głupiego. Nie wiem, czy to w porządku.

– Zostanie w domu Marshallów było decyzją Willow – oznajmiła babcia, opierając się o kuchenną szafkę i przewiercając mnie spojrzeniem. – Zmusiła cię, żebyś stamtąd wyszła, chociaż wcale nie chciałaś jej zostawić. Willow była dorosła, podejmowała samodzielne decyzje i wiedziała, na co się pisze, Margo. Wszyscy rozpaczamy z jej powodu i to straszna tragedia, co się stało, na pewno tego tak nie zostawimy, ale nie powinnaś mieć wyrzutów sumienia. Willow po prostu zrobiła to, co uznała za słuszne.

Wiedziałam, że babcia ma rację, a jednak trudno było mi tak na to spojrzeć.

Theo chwycił mnie przez stół za ręce i posłał mi pokrzepiające spojrzenie.

– Twoja babcia ma rację – przyznał. – Przecież wcale nie chciałaś jej zostawiać. To ja cię stamtąd wyciągnąłem, pamiętasz? Jeśli chcesz, możesz mieć o to do mnie pretensje, ale ona właśnie tego chciała. A ja, cóż, nazwij mnie egoistą, ale chciałem, żebyś przeżyła.

Nie potrafiłam nazwać go egoistą. Nie potrafiłam zrobić niczego poza wpatrywaniem się w nich w milczeniu i dziękowaniem im w duchu.

– Co ze Skye? Już wie? – zapytałam w końcu, próbując dość nieudolnie zmienić temat.

Babcia skinęła głową.

– Wstała jeszcze przed tobą. Mam wrażenie, że już wiedziała. – Biorąc pod uwagę jej umiejętności, nie zdziwiłoby mnie to. – A potem zamknęła się w pokoju i nie chce tam nikogo wpuścić. Postanowiliśmy dać jej trochę czasu. Może nie była z Willow w najlepszych stosunkach, ale to nadal... jej siostra.

W żaden sposób nie skomentowałam tego, że babci łamał się głos. Pomyślałam, że może powinnam zajrzeć do mojej kuzynki, upewnić się, że niczego nie potrzebuje, nie zdążyłam jednak wstać od stołu, bo w następnej chwili w domu rozbrzmiał dzwonek do drzwi.

A moment później babcia wprowadziła do kuchni detektywa inspektora Gordona Brodiego z miejscowej policji.

* * *

Gordon Brodie miał czterdziestkę na karku, potężną posturę i zakola większe niż kilkanaście lat wcześniej, gdy widziałam go ostatnim razem. Pamiętałam go doskonale z tamtej nocy, gdy moja mama straciła rozum, bo był pierwszym policjantem, wtedy jeszcze zwykłym konstabłem, który po zajściu zawitał w naszym domu.

Brodie przyprował ze sobą drugiego policjanta, którego nie znałam. Jego towarzysz był dużo młodszy, błydy i tyczkowaty, o rozbieganych oczach, którymi lustrował uważnie otoczenie. Podejrzewałam, że obaj dobrze wiedzieli, w którym domu się znaleźli – Brodie przez cały czas był dziwnie czujny, jego towarzysz zaś czuł się wyraźnie nie na miejscu. Sądząc po spojrzeniu, jakim na wejściu obrzucił nas inspektor, od razu mnie poznał.

– Wygodniej będzie panom w salonie – zauważyła babcia. – Może zrobię coś do picia...

– Proszę się nie kłopotać – przerwał jej Brodie, a jego głos brzmiał dziwnie oficjalnie i sucho. – Nie zajmujemy dużo czasu, wiemy, że nadal przeżywają panie śmierć krewnej. Chcielibyśmy jednak porozmawiać z każdą z osób, która ostatniej nocy była obecna na ulicy podczas przyjazdu policji. Możemy zacząć od pani?

To mówiąc, odwrócił się od babci i spojrzał prosto na mnie. Uścisk Theo na mojej dłoni

wzmocnił się, gdy otworzyłam usta, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Margo McKenzie, prawda? – dodał Brodie, dowodząc tym swojej dobrej pamięci. – Pamiętam panią jako małą dziewczynkę. Bardzo pani od tamtego czasu wyrosła.

Dlaczego pod jego ostrym spojrzeniem czułam się tak, jakby to mnie obwinił o śmierć Willow? Czy to dlatego, że sama miałam wyrzuty sumienia i tak mi się tylko wydawało?

Nie mógł przecież o niczym wiedzieć.

Skinęłam sztywno głową, a on spojrzał w kierunku przejścia do salonu.

– Oprowdzi mnie pani? – zapytał takim tonem, jakby znalazł się na przyjacielskiej wizycie. Potem zwrócił się do swojego towarzysza: – Zostań w kuchni z panią McKenzie, na pewno chętnie napijesz się herbaty.

Podniosłam się z krzesła i odprowadzana niespokojnym spojrzeniem Theo, zaprowadziłam detektywa inspektora do salonu. Rozsiadł się w jednym z foteli, jakby bywał tu codziennie, a ja przycupnęłam na brzeżku kanapy. Środki uspokajające chyba nadal działały, bo byłam dziwnie wyciszona, co Brodie natychmiast zauważył.

– Dobrze pani znosi śmierć kuzynki.

Drgnęłam, jakby wymierzył mi policzek.

– Środki farmaceutyczne trochę pomagają. – Nie zamierzałam wyjaśniać, o jakie dokładnie środki chodzi. – Czy teraz mogę się dowiedzieć, dlaczego chciał pan rozmawiać najpierw akurat ze mną?

– Między innymi to pani znalazła ciało. – Wzruszył ramionami, po czym oparł łokcie na kolanach i nachylił się do mnie. – Poza tym pani nazwisko pojawiało się już w policyjnych raportach. Chyba nic dziwnego, że chciałem zacząć od pani, nieprawdaż?

Zjeżyłam się.

– Nie bardzo rozumiem, co mają do tego jakieś raporty.

– Teoretycznie nic, ale jeśli podsumować wszystkie dziwne rzeczy, które dzieją się w tej rodzinie... – Na moment zawiesił głos, jakby się wahając, a potem dokończył: – Jedną z moich pierwszych spraw dotyczyła pani matki. Szybko ją umorzono, bo przecież nie doszło do żadnego wykroczenia, może poza tym, że niestabilna psychicznie kobieta opiekowała się małym dzieckiem. – Na te słowa odruchowo zacisnęłam dłoń w pięści. – Wiem, przez co pani matka znalazła się w takim stanie. Tamten wypadek, w którym zginął pani ojciec, podejrzenie przypominał wypadek Rossa Sheparda, prawda?

– A o tym skąd pan niby wie? – prychnęłam. – I co jakiś raport powiedział panu na temat mojej znajomości z Rossem?

– Po wypadku rozmawialiśmy z narzeczoną pana Sheparda, Daną Williams. Mogła wspomnieć o tym zaskakującym podobieństwie, jak i o fakcie, że spotykała się pani z Rossem Shepardem.

Westchnęłam.

– Tak, spotykałam się z nim, ale Dana nie była wtedy jego narzeczoną. – Poczulałam nagłą potrzebę, żeby to wyjaśnić. – I nadal nie wiem, co to wszystko ma wspólnego z Willow. Wypadek Rossa był właśnie tylko tym, wypadkiem.

– Wiem, sprawdziliśmy to dosyć dokładnie – wtrącił.

– Podobnie jak śmierć mojego ojca – dodałam. – Nic nie poradzę na to, że wokół mnie dzieją się takie rzeczy. Czy możemy wreszcie przejść do konkretów? Przecież i tak wiem, że chciał mnie pan zapytać o Willow.

– Nie tylko pani kuzynka mnie interesuje – przyznał niechętnie. – Cała pani rodzina także. Wszystko to, co robicie dziwnego i niezgodnego z naturą. Może nie zdajecie sobie sprawy, ale jestem pewien, że to przyczyna złego, które się wokół was dzieje. Pomyślała pani kiedyś o tym?

Spojrzałam na niego gniewnie. Oczywiście powinnam była po prostu pozbyć się magii. Albo udawać, że ta nie istnieje. Jakby wszystkie moje kłopoty nie zaczęły się właśnie od tego.

– Z pewnością jest pan ekspertem w tej dziedzinie – wysyczałam. – Chętnie posłucham, jeśli zamierza się pan podzielić ze mną swoim doświadczeniem.

– Och, proszę się nie unosić. – Brodie posłał mi protekcyjnalne spojrzenie. – Przecież doskonale pani wie, co mówi się w mieście o pani rodzinie. Widziałem na własne oczy, do jakiego stanu

doprowadziła się pani matka, i myśli pani, że nikt nie wie, co było tego przyczyną?

– Taki racjonalny mężczyzna – szydziłam – a wierzy w plotki.

– Wiem, co widziałem. – Jego spojrzenie stwardniało, a ja zacisnęłam dłonie na kolanach, żeby mu nie przyłożyć. Nie miałam pojęcia, co próbuje ugrać, ale jeśli chciał doprowadzić do mojego aresztowania za napaść na funkcjonariusza policji na służbie, był na najlepszej drodze. – I mam swój rozum – dodał. – Wiem, że te wszystkie dziwne rzeczy, które się wokół was dzieją, są związane z tą rodziną. Z magią. – To ostatnie słowo wypłynęło, jakby paliło go w język. – Tak było z pani ojcem i tak było z Rossem Shepardem. Nawet jeśli nie mogę tego udowodnić, to nie znaczy, że to nie jest prawda. Może więc powie mi pani, co rzeczywiście stało się Willow McKenzie?

– Nie mam pojęcia, o co panu chodzi – skłamałam. – Mówiłam już, co stało się Willow. A raczej co podejrzewamy. Nikt z nas tego nie widział. Znalazłam ją w takim stanie... na trawniku. – Głos mi się załamał i przez moment miałam wrażenie, że w oczach Brodiego dostrzegłam coś w rodzaju współczucia. Zaraz potem jednak jego spojrzenie na powrót stwardniało.

– Dlaczego akurat pani?

– Bo tu nie mieszkam – odpowiedziałam bez namysłu. – Na Culloden Road mieszka moja rodzina: babcia, ciotki i kuzynki. Odwiedzałam je, a potem wyszłam, żeby wrócić do domu. Wtedy ją znalazłam.

– Nie była pani sama?

– Nie, była ze mną moja przyjaciółka, Charlie Barnes – sprostowałam gładko. – Przyjechaliśmy jej samochodem.

– A skąd wziął się tam pan Theodore Thorne? I pani ciotka, Georgia McKenzie?

– Wszyscy wracaliśmy do domu. Ciocia Georgia też przyjechała samochodem. Theo z kolei jest przyjacielem rodziny – odpowiedziałam zgodnie z instrukcją babci. – Mieszka naprzeciwko, też był zaproszony, wracał właśnie do siebie.

– Nie wygląda na to, żeby tam dotarł – zauważył Brodie.

Dlaczego ten facet cały czas zachowywał się, jakbym była o coś podejrzana?

– To już nie jest pańska sprawa – odparłam stanowczo. – Theo został ze względu na mnie.

– Och, domyśliłem się. – Kolejne protekcyjne spojrzenie. Naprawdę miałam ochotę mu przywalić. – Można więc powiedzieć, że wszyscy razem ją znaleźliście, tak?

– Tak, w zasadzie tak. – Nie zamierzałam prostować, że ciotki Georgii wtedy z nami nie było. Ta wersja, ustalona z rodziną, miała więcej sensu. – Wtedy ją tam zobaczyliśmy.

– Która to była godzina?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem, koło jedenastej? Nie patrzyłam na zegarek.

– I nic pani nie widziała? – powtórzył z niedowierzaniem. – Nie ma pani żadnego podejrzenia, co mogło się wydarzyć? Nie wyglądało to na wypadek samochodowy, ekipa nie znalazła żadnych śladów opon na trawniku. Wygodny jest też fakt, że inne domy są położone od domu pani babci w pewnej odległości. Pusta ulica, brak sąsiadów, nikt niczego nie widział...

– Tak, to rzeczywiście wygodne – prychnęłam. – Moje przodkinie na pewno o tym myślały, kiedy budowały ten dom dwieście lat temu.

– Jak pani sądzi, na co zmarła pani kuzynka? – zapytał Brodie, nie podejmując zaczepki.

– Skąd mam wiedzieć? Nie jestem patologiem, może to jego powinien pan spytać? Podobno to on orzekł śmierć Willow. Pewnie wie też, co takiego się stało, że zginęła.

Brodie przyjrzał mi się z namysłem. Ciekawiło mnie, czy oznacza to, że tak dobrze kłamię, czy że tak źle.

– Patolog wstępnie orzekł, że Willow McKenzie zginęła na skutek krwotoku wewnętrznego do jamy otrzewnej – powiedział i po raz pierwszy jego głos trochę złagodniał. – Wygląda na to, że został wywołany uszkodzeniami organów wewnętrznych, chociaż śmiertelny był również uraz czaszki. Pewności nabierzemy po sekcji zwłok, która zaplanowana była na dzisiaj rano.

Zwróciłam uwagę na czas przeszły. Nie rozumiałam jednak, co ma na myśli, i nie zdążyłam wejść mu w słowo, bo zaraz potem Brodie zapytał:

– Była pani kiedyś świadkiem wypadku samochodowego, w którym pieszy miałby aż takie obrażenia?

Posłałam mu chłodne spojrzenie.

– Nigdy nie byłam świadkiem żadnego wypadku. Dlatego trudno mi wyrokować w tej kwestii. Poza tym to nie ja pracuję w policji.

– Ma pani rację – przyznał z namysłem. – To ja pracuję w policji. I pierwszy raz widzę takie obrażenia u ofiary, która tak po prostu... leżała sobie na trawniku. Wokół nie było żadnych śladów gwałtownego hamowania albo choćby zwykłych śladów opon, niczego. Nie było tam skąd spaść, więc upadek z wysokości też nie wchodzi w grę. Nie wiem, co innego mogłoby doprowadzić pani kuzynkę do takiego stanu. A przynajmniej nic... naturalnego.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że od początku do tego właśnie dąży. Że dlatego zachowuje się w tak napastliwy sposób – bo jest przekonany, że miałyśmy coś wspólnego ze śmiercią Willow. Ale to nie było w porządku. Nie miał żadnego racjonalnego powodu, by traktować mnie jak podejrzaną.

– Nie miałam nic wspólnego ze śmiercią Willow – zaprotestowałam ze złością. – Była moją kuzynką, na litość boską! Może nie byłyśmy w najlepszych stosunkach, ale nigdy nie życzyłam jej śmierci! Czuję po jej odejściu taki sam ból, jak cała reszta mojej rodziny!

Mój wybuch nie zrobił na Brodiem żadnego wrażenia. Nadal przyglądał mi się uważnie, bez słowa, jakby czekał na choćby jeden niewłaściwy ruch. A potem, ku mojemu zdumieniu, skinął głową i odparł:

– Oczywiście, proszę mi wybaczyć. – Tym dziwniejszy był fakt, że zdawał się mówić szczerze. – Próbuję po prostu ustalić, co dokładnie stało się z pani kuzynką.

– Sekcja zwłok z pewnością pomoże coś wyjaśnić – zauważyłam.

Po jego minie poznałam, że to nie były właściwe słowa.

– Ciekawe, że pani to mówi – odparł. – Jestem tu z powodu, o którym jeszcze pani nie powiedziałem. Dziś rano ciało Willow McKenzie zniknęło z kostnicy.



35. Jak ukraść ciało

Przez chwilę nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa, wpatrując się w Brodiego z niedowierzaniem.

– Jak to: zniknęło? – wydusiłam w końcu. – Willow nie żyje. Sam pan powiedział, że patolog stwierdził zgon...

– Owszem, tak było jeszcze wczoraj w nocy – przerwał mi. – A dzisiaj rano ciało zniknęło. Ktoś, kto zabrał je z kostnicy, potrafił manipulować kamerami ochrony, bo wszystkie wysiadły w tym samym momencie. Nie wiemy, kto, jak ani dlaczego to zrobił. Sama pani przyzna, że wygląda to na... niezbyt naturalne.

Rosła we mnie panika, którą z trudem stłumiłam. Myśl o zmartwychwstającej Willow przyprawiała mnie o ciarki i sprawiła, że mój mózg oblepił się ochronnym kokonem. Nie chciałam o tym myśleć.

Nie MOGŁAM o tym myśleć.

Spokojnie, McKenzie, upomniałam się. Ktoś musiał wynieść ciało, nawet jeśli naprawdę nikt nie przychodził mi do głowy. Cała ta sytuacja nie oznaczała, że z ciałem Willow musiało się stać coś nienaturalnego.

A potem dotarło do mnie, co próbował osiągnąć Brodie. Po co zjawił się w domu babci i dlaczego podczas przesłuchania czułam się jak oskarżona.

On myślał, że to nasza sprawka.

– Chyba pan nie sądzi, że mam z tym coś wspólnego?! – Podniosłam głos. – Co to za niedorzeczne bzdury! Całą noc spędziłam tutaj, w tym domu, mam na to mnóstwo świadków! A poza tym po co miałabym robić coś takiego?!

– Proszę się uspokoić – polecił, posyłając mi niezadowolone spojrzenie. – Jeszcze o nic pani nie oskarżam.

Jeszcze?!

– Poza tym nie sądzę, że pani to zrobiła. Przynajmniej nie sama – dodał po namyśle. – Mam jednak pewną teorię. Może pani mnie wysłuchać, by zdecydować, jak bliska jest prawdy. Pani kuzynka zginęła, bo stało się coś nienaturalnego, związanego z waszą nienormalną rodziną. Chciałyście to ukryć, więc wspólnie zabrałyście ciało z kostnicy. Bałyście się, że sekcja zwłok wykryje coś, co mogłoby rzucić podejrzenia na McKenziech.

Poderwałam się z fotela, nie mogąc dłużej słuchać tych bredni. Brodie musiał coś zobaczyć w moich oczach, bo zmarszczył brwi i cofnął się, lądując głębiej na sofie.

– Myślę, że na pana już pora – zdecydowałam z zaskakującą dla siebie samej stanowczością.

Brodie posłał mi zdumione spojrzenie.

– Nie może mnie pani wyrzucić.

– Ależ oczywiście, że może.

Odwróciłam się w stronę wejścia, gdzie obok drugiego policjanta do salonu przepychał się właśnie wyraźnie zdenerwowany Theo. Po chwili podszedł bliżej, stanął za mną i położył mi dłonie na ramionach, a ja nagle poczułam się dziwnie. Od początku afery z przeklętym domem to ja próbowałam chronić jego, nie on mnie. Gdy te role nagle się odwróciły, zupełnie nie wiedziałam, jak się zachować.

– To teren prywatny, a panowie nie mają nakazu. Jeśli chcecie kontynuować to przesłuchanie, proszę wysłać oficjalne wezwanie.

Brodie gniewnie zacisnął szczęki, po czym podniósł się z sofy. Był wyższy i potężniejszy od mojego towarzysza, ale Theo nie cofnął się nawet o krok, wzmocnił tylko uścisk na moich ramionach.

– Zawsze mogę was też zamknąć dla przykładu. Cele w areszcie ostatnio świecą pustkami.

A potem do salonu weszła także babcia i atmosfera momentalnie się zmieniła.

– Wiesz, Gordon, pamiętam jeszcze, jak byłeś małym chłopcem – powiedziała, podchodząc do nas. Na jej ustach igrał uśmiech, który jednak nie obejmował oczu. Te pozostały czujne i poważne. – Twoja biedna matka miała z tobą niezłe utrapienie. Co trochę wzywali ją do szkoły, bo znęcałeś się nad mniejszymi dziećmi. Miło widzieć, że w tym ciągle zmieniającym się świecie pewne rzeczy pozostają stałe.

Mięsień na jego twarzy zadrżał, gdy Brodie odwrócił się w stronę babci. Ona tymczasem podeszła bliżej, a chociaż sięgała policjantowi czubkiem głowy ledwie do brody, wcale nie wyglądała na zastraszoną. Wręcz przeciwnie – to on rozejrzał się dookoła niepewnie, jakby szukając drogi ucieczki.

– Pamiętam też, jak w podstawówce próbowałeś jeść plastelinę, co kazało mi wierzyć, że nigdy nie grzeszyłeś inteligencją – dodała babcia, stając obok mnie i Theo. – To też najwidoczniej się nie zmieniło, skoro bierzesz pod uwagę takie bzdurne teorie. Gdybyśmy chcieli ukryć śmierć mojej wnuczki, czy wzywalibyśmy karetkę i policję? Sami was do siebie zaprosiliśmy! To wręcz obrzydliwe, że przychodzisz do mojego domu, insynuujesz takie rzeczy i przesłuchujesz moją wnuczkę, jakby była kryminalistką. Twoja matka, świeć, Panie, nad jej duszą, wstydziłaby się za ciebie.

Rzadko słyszałam z ust babci jakiegokolwiek wzmianki na temat religii – kiedy zaś je czyniła, zazwyczaj robiła to bardziej dla efektu niż z powodu wiary. Zawsze jednak te słowa brzmiały w jej ustach dziwnie i obco. Jakby zupełnie tam nie pasowały.

– Proszę się liczyć ze słowami... – zaczął Brodie, ale babcia mu przerwała:

– Mam nadzieję, że przemyślisz swoje kolejne słowa, Gordonie. Nie chciałabym cię wypraszać z mojego domu z większym hukiem, niż to absolutnie konieczne.

Kiedy chciała, babcia potrafiła być naprawdę przerażająca. Jej ton głosu i wyraz twarzy przyprawiały o ciarki nawet mnie, a co dopiero nieustraszonego policjanta, który bardzo śmiało rozmawiał tylko ze mną.

Brodie zaczął się żegnać, starając się zachować twarz i nie sprawiać wrażenia, jakby uciekał; babcia tymczasem przyglądała się temu z wyraźną satysfakcją. Przed wyjściem inspektor oznajmił jeszcze, że najprawdopodobniej wszyscy dostaniemy wezwanie do stawienia się w komendzie celem złożenia wyjaśnień, a w sprawie zaginięcia zwłok Willow trzeba będzie wszcząć śledztwo. Potem wraz z drugim policjantem pospiesznie opuścił dom babci.

– Zapamiętajcie to sobie. Tak się ich załatwia – oświadczyła babcia twardo po ich wyjściu.

Z niedowierzaniem pokręciłam głową.

– Skąd znałaś jego matkę?

– Och, oczywiście, że jej nie znałam – prychnęła. – Ale słyszałam to i owo od znajomych, tyle wystarczyło. A teraz, skoro już się ich pozbyliśmy, zastanówmy się nad prawdziwym problemem.

– Willow? – Głos mi zadrżał, kiedy wypowiedziałam to imię, i Theo przyciągnął mnie do siebie bliżej. Odruchowo przywarłam do niego plecami. – Słyszałaś, o czym mówił?

– Trudno było nie usłyszeć. Chcieliśmy interweniować wcześniej, ale ten drugi policjant próbował nas zatrzymać. – Poczulałam, jak Theo wzrusza ramionami. – Brodie chyba wyczuł w tobie najsłabsze ogniwo.

Potrząsnęłam głową.

– Nie mam pojęcia, o czym on mówił...

– Obawiam się, że ja mam – przerwała mi babcia stanowczo. – I jeśli mam rację, powinniśmy się pośpieszyć. Musimy jechać do kostnicy.

Zadrżałam na te słowa. To wcale nie brzmiało dobrze.

* * *

Zatrzymałam się już na zewnątrz, na chodniku przy ulicy, wpatrując się w dom Marshallów.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, co mi w nim nie pasuje. Babcia, Theo i ciocia Georgia minęli mnie, nie zauważając mojego stuporu, i dopiero po chwili Theo się do mnie odwrócił.

– Wszystko w porządku?

Zmarszczyłam brwi.

– Czy tylko mnie się wydaje, że coś jest nie tak?

Spojrzeni w stronę domu Marshallów; Theo wzdrygnął się, ciocia Georgia przekrzywiła głowę, a babcia westchnęła. No dobra, ale wiedzieli, o co mi chodziło, czy nie?

– Nie tylko tobie – odparła ciotka Georgia powoli, uważnie przyglądając się budynkowi. – Coś jakby się zmieniło, ale nie wiem co.

– Ja tam nic nie widzę – odparł Theo, wzruszając ramionami. – Od wczoraj naprawdę obawiam się tego domu.

Przesunęłam się i chwyciłam jego dłoń, chociaż miałam nadzieję, że uzna raczej, iż to ja potrzebuję pocieszenia, a nie on. Nie miałam zamiaru urazić męskiej dumy.

A potem powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy:

– Wygląda, jakby był pusty. Jakby nic tam nie było. Niby wcześniej też nie miał lokatorów, a jednak... wrażenie było inne. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczyłam go dzisiaj. Jakby cokolwiek w nim było, opuściło go.

– Bardzo dobrze – stwierdziła z niejakim zdziwieniem babcia. Chyba się spodziewała, że wpadnie na to ktoś inny. – Też to czuję. Jakby dom przez noc opustoszał i jakby zniknęła ta obecność, z której wcześniej nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, bo obcowaliśmy z nią od zawsze.

Theo zrobił krok do przodu, zanim go powstrzymałam.

– Jeśli jest tam pusto, to może pójdę po swoje rzeczy? Zostałem w jednych dżinsach i T-shircie. I są tam moje plany!

Zaparłam się nogami i nie puściłam go dalej, nawet jeśli ciekawiły mnie te plany.

Babcia wydała z siebie gniewny pomruk.

– Nie wiemy, co to dokładnie oznacza – wyjaśniła niechętnie. – Nie wiemy, czy to coś, co zamieszkiwało ten dom, odeszło na zawsze, ukryło się, czekając na dogodniejszy moment, czy może nadal tam jest, tylko tego nie wyczuwamy. Wchodzenie na posesję byłoby niepotrzebnym ryzykiem.

– A dwa kroki po trawniku? – Theo obejrzał się tęsknie w stronę swojego motocykla.

Zaparłam się jeszcze mocniej, aż przyciągnęłam go z powrotem do siebie.

– Naprawdę uważasz, że warto? – wymamrotałam. – Willow oddała życie, żebyśmy mogli stamtąd uciec. Serio chcesz tam teraz wracać?

Spojrzał na mnie ze zmieszaniem w niebieskich oczach, pogładził mnie po policzku, aż drgnęłam z zaskoczenia, po czym pokręcił głową.

– Nie, nie chciałbym do tego wracać.

Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością. Oni wszyscy mogli sobie spekulować, co oznaczają zmiany w atmosferze panującej w domu Marshallów. Ja nie musiałam.

Wiedziałam, co to oznacza. Duch Mary Talbot odszedł.

Nie wiedziałam tylko jeszcze dokąd.

I z pewnością nie oznaczało to, że zamierzam pozwolić Theo wejść na teren posesji. Nie chciałam ryzykować. Nie miałam pojęcia, gdzie byt się podziewał i czy nie planuje wrócić. Nie miałam wątpliwości, że pusty dom Marshallów nie równa się końcowi kłopotów.

– Co o tym myślisz, Margo? – zapytała w zamyśleniu babcia.

– O domu Marshallów? Moim zdaniem złego bytu już tam nie ma. Mary Talbot się wyniosła.

– Ale przecież nie mogła tego zrobić – zaprotestowała rozsądnie ciocia Georgia. – Była przywiązana do tego domu.

– Może znalazła jakiś sposób. – Wzruszyłam ramionami. – Wiem tylko, co w tej chwili czuję na widok tego domu. Jakby był opustoszały, jakby już nic się w nim nie czało. Cokolwiek tam było, zniknęło. Wątpię, czy na dobre, na pewno gdzieś tu jest... Ale nie w tym domu.

To nie była pocieszająca myśl. Gdy sobie uświadomiłam, że duch Mary Talbot może być

wszędzie, siejąc zniszczenie i próbując pozbawić życia moich bliskich, zrobiło mi się niedobrze. Uścisk dłoni Theo wzmacnił się na mojej, jakby wiedział, o czym pomyślałam.

Ale jak to zrobiła? I czy to miało coś wspólnego z Willow?

– Jedźmy już – ponagliła nas babcia. – Kiedy wrócimy z kostnicy, zastanowimy się, co dalej.

* * *

Kostnica w Inverness działała przy Raigmore Hospital, którego w ostatnim czasie miałam serdecznie dosyć. Ciemne korytarze znajdującej się w jednym ze starszych skrzydeł budynku kostnicy, w suterenie, sprawiały naprawdę przygnębiające wrażenie. Gdyby nie obecność babci, ciotki i ciepły uścisk dłoni Theo, który nie puszczał mnie ani na chwilę, prawdopodobnie uciekłabym stamtąd z krzykiem. Obiektywnie rzecz biorąc, w kostnicy pewnie nie było nic niepokojącego, to tylko ja, pod wpływem ostatnich wydarzeń, wyobrażałam sobie nie wiadomo co. I bałam się każdego ciemnego kąta, do którego nie docierało światło świetlówek.

– Dlaczego właściwie tu jesteśmy? – zapytałam nieco nerwowo, kiedy wreszcie stanęliśmy przy kontuarze broniącym nam dostępu do pomieszczeń kostnicy. Za kontuarem, oddzielnym od nas wysoką szybą, chwilowo było pusto, ale ani babci, ani cioci nie przyszło nawet do głowy szukać przejścia. Jedna z nich zadzwoniła dzwonkiem, a potem obie obejrzały się na mnie. – Skoro jej ciało zniknęło, co zamierzacie tu znaleźć?

– Wskazówki – wyjaśniła babcia takim tonem, jakby to było oczywiste. – Musimy się dowiedzieć, co się stało, i to oczywiste, że powinniśmy zacząć tutaj.

Zawahałam się.

– Ale... jak myślicie, co się mogło wydarzyć?

Babcia z ciocią wymieniły spojrzenia, w których widziałam ból. Nawet jeśli tego po sobie nie pokazywały, były zdruzgotane tym, co spotkało Willow.

– Willow nie żyje, Margo – odezwała się w końcu babcia ostrożnie, jakby to miało być dla mnie coś nowego. – Cokolwiek stało się z jej ciałem, nie myśl, że to może oznaczać, że jest inaczej. Byłyśmy tam, pod domem Marshallów... To jedno wiemy na pewno.

– Ale... nie miałyście z tym nic wspólnego?

Ciocia Georgia pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie. Powiedziałybyśmy ci, gdybyśmy coś planowały, żebyś wiedziała, czego się spodziewać.

No tak, tylko moja rodzina mogła argumentować to w taki sposób. Oczywiście, że nie porwały ciała Willow, bo gdyby to zrobiły, z pewnością by mnie uprzedziły!

Nie wiedziałam, czy powinnam się po tych słowach roześmiać, czy rozplakać. Na szczęście już w następnej chwili nadszedł recepcjonista i nie musiałam robić żadnej z tych rzeczy.

– W czym mogę państwu pomóc?

Mężczyzna natychmiast zmienił ton, kiedy tylko dowiedział się, że jesteśmy rodziną Willow McKenzie. Nie dlatego, że znał nasze nazwisko i kojarzył je z klanem niebezpiecznych czarownic. Raczej dlatego, że był świadkiem afery tego ranka, kiedy okazało się, że ciało Willow wyparowało z kostnicy.

Babcia nie musiała nawet pokazywać swojej strasznej twarzy. Recepcjonista bez wahania zaprowadził nas do odpowiedniej sali i pokazał miejsce, gdzie do niedawna znajdowało się ciało Willow. Na samą myśl o mojej kuzynce leżącej bez życia w tej stalowej lodówce zrobiło mi się niedobrze.

Babcia cały czas ukradkiem zerknęła na ciocię Georgię. Dopiero po chwili zrozumiałam dlaczego. No tak, ciocia przecież wyczuwała – czy też widziała – magię. Pewnie szukały więc właśnie tego – śladów magii.

– Naprawdę nie wiemy, jak to się stało – kajał się recepcjonista, gestykulując żywo nad pustą szufladą na ciało. – Na nocnej zmianie zazwyczaj jest dwóch ochroniarzy. Nie patrolują wszystkich korytarzy, bo przecież tutaj nikogo nie ma... poza umarłymi. – Zabrzmiało to tak złowieszczo, że aż się wzdrygnęłam. – Ale wszędzie mamy kamery, a jeden z ochroniarzy ogląda obrazy na monitorach w stróżówce, podczas gdy drugi pilnuje głównego wejścia. To zawsze wystarczało. Dzisiaj jednak

kamery zaczęły szwankować.

– I nikt się tym nie zainteresował? – wtrąciłam się. – Ochroniarz nie poszedł sprawdzić, dlaczego monitoring nie działa?

– Oczywiście, że poszedł. – Recepcjonista wydawał się oburzony oskarżeniem o niekompetencję. – Sprawdził kolejno korytarze, a kiedy dotarł do kostnicy, szuflada była już otwarta, a ciała brakowało. Nie wiemy, którędy... zostało wyniesione.

Kulawe zakończenie tej wypowiedzi zdradzało, że mężczyzna nie potrafi sobie wyobrazić, co mogło się stać z ciałem mojej kuzynki, a jeśli już, nie czuje się z tym wyobrażeniem zbyt komfortowo.

– Macie tutaj jakieś tylne wyjście? – zapytała ciocia Georgia.

Recepcjonista pokiwał głową.

– Tak, ale było zamknięte na głucho. Otwarte zostało jedynie okno w jednym z gabinetów, ale zbyt wysoko, żeby ktokolwiek mógł wynieść tamtędy ciało.

Ciocia Georgia wymieniła znaczące spojrzenie z babcią, po czym skinęła głową.

– Możemy zobaczyć ten gabinet? – zapytała babcia.

Nasz rozmówca się skrzywił.

– W zasadzie nie powinienem...

– Nalegam. – Głos babci stwardniał, na co brodaczk skulił się nieznacznie, chociaż była od niego niższa o pół głowy. – Sam pan chyba rozumie, że zależy nam na rozwiązaniu tej sprawy... Zwłaszcza że pracownicy kostnicy wykazali się rażąco niekompetencją.

Teraz już zbladł, po czym pospiesznie poprowadził nas korytarzem w stronę wspomnianego gabinetu. Po drodze wyrzucał z siebie kolejne słowa z prędkością karabinu maszynowego. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że niedopatrzenie ze strony pracowników kostnicy było niedopuszczalne. Że Willow była bliską nam osobą i powinniśmy móc skupić się na żałobie, zamiast się zastanawiać, co się dzieje z jej ciałem. Słuchałam go jednym uchem.

Do gabinetu nie było daleko; przez całą drogę ciocia Georgia szła ze zmarszczonymi brwiami, wpatrując się w coś przed sobą, co dla reszty z nas było niewidoczne. Z pewnością szła śladem magii. Ciekawe tylko czyjej.

Kiedy dotarliśmy do gabinetu, stało się dla nas jasne, dlaczego pracownicy kostnicy uznali, że ciało Willow nie mogło opuścić budynku przez otwarte okno.

Rzeczywiście było nieduże i znajdowało się bardzo wysoko, pod sufitem, jako że ta część kostnicy mieściła się w suterenie. Na zewnątrz okienko wychodziło niemalże na poziom gruntu, ze środka jednak nie było tak łatwo się do niego dostać – zwłaszcza komuś, kto niósłby ze sobą zwłoki dorosłej kobiety.

Nie było możliwości, żeby ktoś wyniósł tędy Willow.

– Chcielibyśmy jeszcze zobaczyć to miejsce od drugiej strony – poleciła babcia, gdy tylko we dwie z ciocią dokładnie obejrzały cały gabinet. – Od zewnątrz. Zaprowadzi nas pan czy możemy tam sami trafić?

Recepcjonista odetchnął z ulgą, kiedy się okazało, że okienko wychodzi na niewielki parking z tyłu kostnicy, na który z odpowiednimi wskazówkami mogliśmy dostać się sami. Odprowadził nas do wyjścia i wyjaśnił, jak dojść do interesującego nas miejsca, po czym bardzo chętnie wrócił na swoje stanowisko.

Wyminęliśmy stojącego w drzwiach ochroniarza i po chwili znowu znaleźliśmy się na świeżym powietrzu.

Teren wokół Raigmore Hospital był płaski. Ze wszystkich stron otaczały nas parkingi i dodatkowe, oddalone od głównego kompleksu budynki, całość zaś ustawiono w szczerym polu, na nieużytkach z daleka od centrum Inverness. Z autopsji wiedziałam, że w nocy teren jest kiepsko oświetlony, a równocześnie zawsze kręci się po nim trochę ludzi, przez co zlokalizowanie porywacza zwłok mogło nie być takie proste.

Ale oczywiście stawało się dużo prostsze, kiedy dysponowało się ciotką o magicznych mocach.

– To na pewno stało się tam – oświadczyła ciocia Georgia, kiedy tylko wyszliśmy na zewnątrz. Opatuliłam się kurtką, bo jesienny wiatr zmierzwił mi włosy i wdarł się pod przerzucony przez szyję

szalik. – Poczulałam magię już za progiem kostnicy, a potem prowadziła jak po sznurku do gabinetu. Znam tę magię. Widziałam tę samą w domu Margo tamtego dnia, kiedy zginął Chandler.

Zatrzymałam się w pół kroku, zmuszając tym resztę, żeby też stanęli w miejscu.

– To znaczy... To ona, tak? – podjęłam. – Mary Talbot. To ona zabiła mojego kota i to ona zabrała ciało Willow. Ale po co?!

Ciocia z babcią znowu wymieniły spojrzenia, co powoli zaczynało mnie już frustrować. Miałam serdecznie dość trzymania mnie w niewiedzy, bo wychodziły z tego same problemy. Nie ściągnęłabym na nas nawet połowy z nich, gdybym od początku wiedziała, w co się pakuję.

– Właśnie tego chcemy się dowiedzieć – odpowiedziała ciocia Georgia łagodnie. – Chodź, musimy to sprawdzić. A jeśli nie chcesz iść, niech Theo zostanie z tobą, pójdziemy we dwie.

Niedoczekanie!

Natychmiast ruszyłam z miejsca. Nie miałam zamiaru pozwolić im działać samym.

Za budynkiem kostnicy zgodnie ze wskazówkami recepcjonisty znajdował się kolejny, mniejszy parking, obecnie w połowie pusty. Jego granice wyznaczały niewielkie krzewy ogrodowe i żywopłot, który jednak niezbyt dobrze się przyjął na szkockiej ziemi. W rezultacie było w nim więcej dziur niż gałęzi z liśćmi.

Bez trudu dotarliśmy do odpowiedniego okna. Od niego ruszyliśmy dalej, w poprzek parkingu, a potem pod ścianą kolejnego budynku, który zapewniał skuteczną osłonę przed ciekawskimi spojrzeniami. Ciocia Georgia prowadziła nas jak po sznurku śladem magii. Za budynkiem pas zieleni przecinała wąska asfaltowa droga, a za nią rozciągały się łąki. Na horyzoncie majaczyło też zielone pasmo lasu.

Idealne miejsce do brawurowej ucieczki.

– Uciekła prosto w nieużytki – powiedziała ciocia, stając na skraju asfaltowej szosy i odwracając się do nas. – Ma nad nami kilka godzin przewagi, ale musimy tropić dalej. Myślę, że najlepiej byłoby, gdyby Margo i Theo wrócili do domu.

Wymieniłam z Theo zaskoczone spojrzenia, a potem wróciłam wzrokiem do ciotki i buntowniczo oznajmiłam:

– Nigdzie nie idę, nie ma mowy!

– Nie rozumiesz. – Potrząsnęła z troską głową. – Na Culloden Road będziesz bezpieczna. W domu są Lauren i Imogen, gdyby stało się coś... nieprzewidzianego. Na otwartej przestrzeni trudno nam będzie was upilnować, zwłaszcza jeśli chcemy przeczesać nieużytki. Nie chcę cię narażać, Margo.

– A czy ktoś mógłby mi łaskawie powiedzieć, na co właściwie miałabym być narażona? – prychnęłam. – Znowu czuję się jak dziecko we mgle, które nie zostało w coś wtajemniczone, bo to dorośli podejmują decyzje.

– Margo, może nie powinnaś... – zaczął Theo, ale w tej samej chwili przerwała mu babcia:

– Nie, Margo ma rację. Chcemy cię chronić, ale rozumiem, dlaczego tak reagujesz. Zaslugujesz na prawdę, jednak ona może być trudna. Georgia wyczuła magię tego samego bytu, który zabił twojego kota, możemy więc założyć, że jest to byt z domu Marshallów... Mary Talbot, niech ci będzie. – Zamilkła na chwilę, a potem dodała: – A recepcjonista miał rację, mówiąc, że ciała Willow nikt nie mógł wynieść przez to okno. I ty też miałaś rację, twierdząc, że dom Marshallów jest pusty. Rozumiesz już?

Przez sekundę trybiki obracały się w moim mózgu zdecydowanie za wolno.

A potem wreszcie zrozumiałam.

Nikt nie ukradł z kostnicy ciała Willow. Ona sama stamtąd wyszła, martwa – z duchem Mary Talbot w środku.



36. Jak wypędzić złego ducha

Wyobraziłam sobie pogruchotane, pozbawione życia ciało Willow snujące się korytarzami kostnicy aż do gabinetu, którym uciekło na zewnątrz – i znowu zrobiło mi się niedobrze. Nogi się pod mną ugięły. Na szczęście Theo stał tuż obok i mógł mnie podtrzymać.

– To znaczy... twierdzi pani, że Willow... – urwał na chwilę, jakby te słowa nie chciały mu przejść przez gardło – ...że jej ciało biega tu gdzieś, opętane przez złego ducha?

Skrzywiłam się na ton jego głosu. Theo wytrzymał naprawdę wiele i zastanawiało mnie, gdzie leży granica, po przekroczeniu której zechce od nas uciec.

– Może tak być. – Babcia znowu wymieniła spojrzenia z ciotką Georgią. – Nie możemy tego wykluczyć. To najrozsądniejsze wytłumaczenie.

– Najrozsądniejsze? – powtórzył Theo takim tonem, jakby uważał, że brakuje nam piątej klepki.

W zasadzie mu się nie dziwiłam.

– Witaj w rodzinie czarownic – mruknęłam.

– Tak czy inaczej będzie najbezpieczniej, jeśli wrócicie na Culloden Road – powtórzyła babcia. – My zajmujemy się tropieniem ciała Willow, a wy będziecie tam bezpieczniejsi.

Zmrużyłam oczy.

– Nie chcę siedzieć bezczynnie...

– Nie będziesz – przerwała mi babcia. – Dostajecie zadanie domowe. Razem z Lauren przejrzyjcie książkę, w której znajduje się zaklęcie odesłania złego ducha. Chcę, żebyście zgromadzili wszystkie potrzebne składniki. Zajmiemy się tym, gdy tylko zlokalizujemy ciało Willow.

Pragnęłam, żeby przestała już mówić „ciało Willow”. Nie odważyłam się jednak powiedzieć tego na głos.

Wiedziałam, że walka z babcią nie ma sensu, dlatego w końcu się zgodziłam. Chociaż bolało mnie, że miałam porzucić poszukiwania i wrócić do domu z podkulonym ogonem, rozumiałam, że właśnie to ma najwięcej sensu. Theo również nie protestował, bo godził się z moją decyzją.

Wezwaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do domu.

* * *

– To trudne zaklęcie – orzekła ciotka Lauren, kiedy w salonie wspólnie pochyliliśmy się nad znaną przeze mnie na strychu książeczką. – Potrzeba dużo mocy, żeby je rzucić. Sugerowałabym przynajmniej trzy czarownice.

Mieliśmy ich aż nadto. Wystarczyłyby babcia, ciocia Georgia i ciocia Lauren.

– Większość potrzebnych składników znajdziemy w naszych zapasach. – Przebiegła wzrokiem kolejne linijki, poprawiając na nosie okulary do czytania. – Musimy tylko... Hmm... – Przerwała nagle, a jej ton nie wróżył niczego dobrego. Przesunęłam się w jej stronę na sofie i zajrzałam jej przez ramię do książki.

– Co tam znalazłaś, ciociu?

– „Konieczne dla odpędzenia złego ducha jest użycie kości z ciała, z którego powstał” – przeczytała. – No cóż... Możemy sobie życzyć powodzenia.

Siedzący w fotelu naprzeciwko Theo posłał nam zdeorientowane spojrzenie.

– To znaczy... Czyjej dokładnie kości potrzebujemy?

Nadal używał liczby mnogiej. A mnie za każdym razem to rozczułało.

– Mary Talbot? – zasugerowałam pytająco, na co ciocia Lauren z zafrasowaniem pokiwała głową. – Chyba już wszyscy uwierzyliśmy, że to jej duch mnie ściga. Więc to jej kości potrzebujemy. W czym problem? Wiemy przecież, gdzie ją powieszono.

– Ale nie wiemy, gdzie ją pochowano – zauważyła ciocia, zatrzymując książkę. – Jedyna wzmianka, jaka pojawia się w naszych księgach, mówi o tym, że miało to miejsce „gdzieś za miastem”. To bardzo mało precyzyjna lokalizacja, Margo.

Chyba mieliśmy problem.

– I nie wiecie tego? – dopytałam, a gdy ciocia pokręciła głową, stwierdziłam: – Na pewno są jakieś inne przekazy. Gdzieś musimy uzyskać tę informację...

– Z pewnością – zapewniła, wstając z sofy. Ja i Theo poszliśmy w jej ślady. – Dlatego wychodzę. Przejadę się do biblioteki i zobaczę, co się kryje w tamtejszych archiwach. Być może znajdę jakieś dokładniejsze wspomnienia z tamtych czasów. Ktoś na pewno dokumentował wszystko, co działo się w Inverness. Dowiem się, gdzie pochowano Mary, i wtedy większą grupą wybierzemy się na jej grób. Tam z pewnością będzie niebezpiecznie, więc przyda się nam przewaga liczebna.

Och, świetnie. Robiło się coraz trudniej.

Ruszyliśmy za ciocią do holu, gdzie zaczęła się zbierać do wyjścia. Przez chwilę patrzyłam, jak się ubiera, aż w końcu zapytałam:

– Mogę jechać z tobą?

– Wiesz, że nie, Margo. – Ciocia potrząsnęła głową. – Nie chcę cię narażać. Zostańcie tutaj i skompletujcie resztę składników potrzebnych do zaklęcia. Znajdziecie wszystko w naszych zapasach w bibliotece albo w spiżarni. Kiedy już zdobędziemy kość Mary, trzeba będzie działać szybko. Ona prawdopodobnie zorientuje się, co robimy, skoro sama była czarownicą, i spróbuje nam przeszkodzić.

Cała ta akcja zapowiadała się coraz mniej optymistycznie.

W końcu pozwoliłam cioci opuścić dom i zostałam sama z Theo. Oprócz nas gdzieś na górze znajdowały się jedynie pogrążone w żałobie ciocia Imogen i Skye, a także niedysponowana ciocia Elsie. Mieliśmy spokój i mogliśmy do woli buszować po rodzinnej bibliotece. W innych okolicznościach cieszyłoby mnie to. Dzisiaj oddałabym wszystko za to, żeby Willow nam przeszkodziła i miotnęła we mnie jakimś zaklęciem.

Nie, nie mogłam o tym myśleć, bo znowu się rozplaczę.

Poszliśmy do biblioteki, gdzie bardzo szybko skompletowaliśmy wszystko, co było nam potrzebne. Pracowaliśmy z Theo ramię w ramię, rozumiejąc się bez słów, i już jakieś pół godziny później wszystko było przyszykowane w salonie. Opadałam z sił głównie z powodu nerwów, co Theo natychmiast zauważył.

– Idź odpocząć – zaproponował. – Kiedy twoje ciotki wrócą, na pewno się odezwą.

Wahałam się przez chwilę, bo wydawało mi się nie w porządku odpoczywać w takim momencie. W końcu jednak skapitulowałam.

– Dobrze. – Chwycałam go za rękę. – Pod warunkiem, że pójdziesz ze mną.

Minutę później znaleźliśmy się w moim dawnym pokoju. Łóżko wciąż było rozkopane po tym, jak wczesnym rankiem ze snu wyrwała nas ciocia Imogen. Ułożyliśmy się na materacu, a Theo przytulił mnie mocno. Kiedy tak leżałam w jego objęciach, z zamkniętymi oczami, wdychając jego znajomy zapach, prawie byłam w stanie udawać, że wszystko jest w porządku. To było naprawdę miłe.

– Opowiedz mi o swoim wymarzonym domu – poprosiłam.

Theo westchnął, a jego ciepły oddech owionął moją skroń.

– Byłby piętrowy, z salonem i kuchnią na dole oraz sypialniami na górze – zaczął. – Z tyłu na obu piętrach biegłby szeroki taras, z którego można by podziwiać wschody słońca. Z przodu znajdowałaby się półokrągła lukarna. Byłaby umieszczona na półpiętrze, gdzie zaaranżowałbym kącik do czytania na wygodnym, szerokim parapecie. Dom miałby dużo okien i białą fasadę z drewnianymi akcentami w stylu rustykalnym. Byłby ciepły i pełen śmiechu. Idealny.

Przytuliłam się do niego mocniej, nosem dotykając jego szyi. Theo odruchowo głaskał mnie po

plecach.

– Brzmi cudownie – przyznałam. – Założę się, że to byłby też mój wymarzony dom.

– Może taki być – powiedział.

Otworzyłam oczy i odsunęłam się nieco, by na niego spojrzeć. Był poważny i nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Co masz na myśli? – zapytałam ze zmieszaniem.

– Kiedy już to wszystko się skończy – podjął – kiedy pozbędziemy się wszystkich nieprzyjaznych duchów, złych czarownic i paskudnych klątw, możemy znaleźć dla siebie inny dom. Taki, który będzie naszym wymarzonym.

Jezu. Czy on naprawdę miał na myśli to co ja?

– Theo – jęknęłam. – To chyba za wcześnie...

– Wiem, przepraszam – przerwał mi pospiesznie. – Ale... Tyle czasu widywałem cię w swoich snach. Zdażyłem przywiązać się do ciebie na długo przed tym, zanim zobaczyłem cię na jawie. Potem moje uczucia jedynie się pogłębiły. Zależy mi na tobie, Margo. Zawsze mi zależało.

Wstrzymałam na chwilę oddech.

Czy on mówił poważnie?

Nikt nigdy nie wyznawał mi uczuć w taki sposób. Jakby te słowa były najważniejszymi, jakie w życiu powiedział. To było oszałamiające i nieprawdopodobne zarazem. I chociaż istniała jakaś część mnie, która nie chciała uwierzyć, że mogłoby mi się przytrafić coś tak dobrego, inna pragnęła tego jak szalona.

Ta druga część mnie wygrała.

Pochyliłam się i pocałowałam go, zanim zdażyłam przekonać samą siebie, że to zły pomysł. Objęłam go za szyję, a Theo wciągnął mnie na siebie, aż usiadłam na nim okrakiem. Odpowiedział na pocałunek, wsunął mi język między wargi i pogłębił pieszczotę, aż dreszcz przebiegł przez mój kręgosłup.

Po chwili powędrował ustami w dół, do szyi i dekoltu. Wsunął dłonie pod brzeg mojej koszulki i odchylił nieco głowę, by spojrzeć na mnie błyszczącymi od pożądania oczami.

– Mogę? – zapytał zachrypniętym głosem.

Ponieważ nagle straciłam umiejętność mowy, tylko pokiwałam głową. Theo jednym ruchem ściągnął ze mnie koszulkę, a potem wrócił do całowania mnie, podczas gdy jego ręka wsunęła się pod miseczkę biustonosza. Zacisnęłam palce na jego włosach i poruszyłam biodrami, gdy zamknął dłoń na mojej piersi, palcami bawiąc się sutkiem.

Drugą dłonią zawędrował na moje plecy i zręcznie odpiął haftki. Zanim zdażyłam się obejrzeć, mój stanik leżał już na materacu obok koszulki. Theo przez chwilę patrzył na mnie zachłannie, a potem schylił głowę. Jęknęłam, kiedy zaczął całować zagłębienie między moimi piersiami.

Jego dotyk był pełen czci. Theo wielbił mnie każdym pocałunkiem, każdą pieszczotą, każdym muśnięciem palców. Pod jego dotykiem zamieniałam się w płynne pożądanie. Chciałam więcej, mocniej, intensywniej. Kiedy był tak blisko, nic innego nie miało znaczenia.

Przesunęłam się na nim niecierpliwie, bo podczas gdy on poznawał każdy cal mojego ciała, ja pragnęłam więcej i więcej. Theo odpowiedział, chwytając mnie mocno za biodra i przytrzymując w miejscu. Ustami zakrył mój sutek, wciągnął go między wargi i zaczął pieścić, wyrывая tym ze mnie kolejny jęk.

Och, tak...

Potem jednak podniósł głowę i na mnie spojrział.

– Czego chcesz, Margo? – zapytał zachrypniętym z podniecenia głosem. – Powiedz mi, czego pragniesz.

– Ciebie – wyrwało mi się. – Ciebie całego.

Pożądanie znowu zapaliło się w jego oczach.

– Nie musimy iść na całość – przypomniał mi. – Niczego nie musimy. Jeśli to nie jest odpowiedni moment...

– A kiedy będzie odpowiedni? – przerwałam mu. – Ciągle coś nam stoi na przeszkodzie. Za

chwilę pójdziemy wykopywać zwłoki czarownicy i nie wiadomo, jak to się skończy. Więc teraz przez chwilę... chociaż przez chwilę... chcę mieć cię tylko dla siebie. I myśleć tylko o nas.

Pokiwał głową, a potem znowu pocałował mnie żarliwie. Jego gorące, miękkie wargi przesuwały się po moim ciele, gdy odszukałam brzeg jego koszulki i podciągnęłam ją w górę. Theo sprawnie pomógł mi ją zdjąć. Poznawałam go całego dłońmi, a on pieścił mnie ustami. Nasze oddechy się mieszały, rozpaleni dążyliśmy ślepo przed siebie. W pewnym momencie chwycił mnie za biodra i jednym ruchem przewrócił na plecy, po czym nakrył mnie swoim ciałem. Ponownie mnie pocałował, a jego dłonie zsunęły się do zapięcia moich dżinsów.

Już po chwili leżałam pod nim całkiem naga. Rozłożyłam nogi, a on zaczął mnie pieścić palcami. Wcisnęłam głowę w poduszkę i przygryzłam wargi, żeby nie krzyczeć, gdy napięcie u zbiegu ud zaczęło się kumulować, a rozkosz rozlała się po mnie falą. Z trudem, drżącymi rękami, rozpięłam mu spodnie.

– Zabezpieczam się – mruknęłam, nie wspominając, że nie chodzi o tradycyjne tabletki, tylko jeden ze specyfików ciotki Lauren. Były bardziej niezawodne niż leki z apteki. – I jestem zdrowa. Ale jeśli wolisz...

– Ja też jestem zdrowy. Badam się regularnie – wszedł mi w słowo. – Jeśli chcesz bez gumki, to ja też, zwłaszcza że żadnej przy sobie nie mam.

Parsknęłam śmiechem. Theo w odpowiedzi się uśmiechnął i znowu mnie pocałował.

Pospiesznie rozebrałam go do końca, ciągle nie dowierzając, że to się dzieje naprawdę. Nagi Theo leżał na mnie, a przy swoim wejściu czułam jego twardą męskość. Kolanem jeszcze bardziej rozszerzył mi nogi; zgięłam je i wyrzuciłam biodra do góry, nie mogąc się doczekać. Theo podniósł głowę, by spojrzeć mi w oczy, i uśmiechnął się czule.

– Chcę, żebyś zapamiętała ten moment do końca życia, Margo – powiedział miękko. – Już na zawsze.

Wszedł we mnie jednym pchnięciem, a lekki dyskomfort szybko przerodził się w czystą rozkosz. Objęłam go udami i przyciągnęłam do siebie jeszcze bliżej, gdy zaczął się poruszać. Pocałował mnie zachłannie, zwiększając tempo.

Och, tak... tak, proszę... Chwycił mnie za udo i przycisnął mi nogę do piersi, otwierając mnie szerzej i dając sobie lepszy dostęp. Przyspieszył pchnięcia, a ja wyszłam mu naprzeciw, poruszając biodrami i zaciskając się na nim.

– Jestem... blisko... – wydyszałam, gdy na chwilę uwolnił moje usta.

Jego gorące wargi zsunęły się na moją szyję. Całował każdy skrawek mojej skóry, każde miejsce, którego mógł dosięgnąć. Na moje słowa spojrzał mi znowu w oczy.

– Dobrze – wymruczał. – Chcę na ciebie patrzeć, jak dochodzisz, Margo.

Właśnie wtedy orgazm zalał mnie niczym fala tsunami. Z trudem stłumiłam krzyk, gdy spełnienie przetaczało się przeze mnie z mocą, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Theo wykonał jeszcze kilka szybkich ruchów i też doszedł we mnie. Widziałam, jak jego oczy straciły ostrość, gdy przesłoniła je mgiełka rozkoszy.

Jak ten facet pięknie wyglądał, gdy szczytował.

Po wszystkim leżałam przez chwilę bez ruchu, niezdolna do poruszenia żadną kończyną. Theo wyszedł ze mnie ostrożnie, pocałował mnie ostatni raz, a potem stoczył się z łóżka. Na szafce nocnej stało opakowanie chusteczek, z których skorzystał, żeby doprowadzić do porządku najpierw siebie, a potem mnie.

Następnie położył się z powrotem, nakrył nas oboje kołdrą i odwrócił mnie, żeby przytulić się do moich pleców. Ponieważ nadal byłam kompletnie bezwolna, pozwoliłam mu na to. Przerzucił ramię przez moją talię i oparł mnie o swoją klatkę piersiową. Pocałował mnie w kark, a ja pochyliłam nieco głowę, żeby dać mu lepszy dostęp.

– Dziękuję – wymamrotał.

Zaśmiałam się słabo.

– To ja powinnam dziękować tobie – zaprotestowałam. – Dałeś mi taki orgazm, że nadal nie pamiętam, jak się nazywam.

Theo przesunął spoczywającą na moim brzuchu dłoń nieco w górę, zamykając w niej jedną

z piersi.

– Należy ci się sto razy więcej, kochanie – oznajmił.

Serce podskoczyło mi do góry na to czułe słówko. Powiedział je lekko, jakby niewiele znaczyło, ale dla mnie było wręcz przeciwnie.

– Nie będę protestować – odpowiedziałam po chwili leniwie. – Theo... przepraszam.

– Za co? – zapytał z konsternacją.

Westchnęłam.

– Za to, że nie pamiętam cię ze swoich snów. I za to, że sprowadziłam cię do domu obłożonego klątwą. Za to, że spotykałam się z Rossem, chociaż byłeś tutaj. Za to, że wplątałam cię w sprawy czarownic...

– Margo – przerwał mi w końcu. – Przestań, proszę. Nic z tego nie ma znaczenia. Nie teraz, gdy jesteś tu przy mnie, gdy mogę cię trzymać w objęciach i obmacywać, kiedy jesteś naga.

Te ostatnie słowa wypowiedział z rozbawieniem, aż musiałam się uśmiechnąć. Raz jeszcze pocałował mnie w kark, a potem przeniósł usta na szyję.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli czas na powtórkę, prawda?

W tej samej chwili zadzwoniła moja komórka. Zanim zdążył mnie zatrzymać, wyslizgnęłam się z jego objęć i na miękkich nogach rzuciłam się do spodni, w których kieszeni została. Na wyświetlaczu zobaczyłam imię ciotki Georgii.

– Gdzie jesteście? – zapytała, gdy odebrałam. – Właśnie wróciłyśmy z twoją babcią do domu. Powinniście tu na nas czekać...

– Jesteśmy na górze, w moim pokoju – odpowiedziałam, po czym dodałam pospiesznie: – Zaraz do was zejdziemy.

Ciotka zamilkła na chwilę, a potem mruknęła coś potwierdzająco. Byłam pewna, że domyśliła się, co takiego robiliśmy na górze.

Nie zapytałam, czy ciocia Lauren jest z nimi. Rozłączyłam się, po czym sięgnęłam po nasze ciuchy i rzuciłam Theo te należące do niego. Oparł się na łokciu, przyglądając mi się pytająco, a ja na moment się zatrzymałam. Jezu, wyglądał tak dobrze z tym kilkudniowym zarostem, leniwym spojrzeniem zaspokojonego faceta i rozczochranymi włosami. Szkoda, że nie mogłam zatrzymać tej chwili na zawsze.

– Musimy się zbierać – oświadczyłam, próbując wziąć się w garść. – Babcia i ciocia Georgia wróciły. Powiedziałam, że zejdziemy do nich.

Theo westchnął cierpiętniczo.

– Czasami wolałbym, żebyś nie miała takiej dużej rodziny, kochanie.



37. Jak wykopać kości

Kiedy zeszedliśmy na dół, dowiedzieliśmy się, że babcia z ciotką tropiły Mary Talbot aż do domu Marshallów. Najwyraźniej nawet po przejściu ciała Mary potrafiła jedynie ponownie zaszyć się w tej ruderze.

– To w zasadzie zrozumiałe – oświadczyła ciotka Georgia, gdy już posłała Theo i mnie potępiające spojrzenia. Sądząc po tym, jak oboje byliśmy rozczochrani i zaczerwienieni, na pewno się domyśliła, że nie piliśmy na pięttrze herbaty. – To jedyne miejsce, w którym może się ukryć. Jeśli planuje jakiś atak, nastąpi on właśnie stamtąd.

Czyli jednak dobrze, że Theo nie poszedł po swoje rzeczy.

– Ciotka Lauren do was dzwoniła? – zapytałam, zajmując miejsce w fotelu. Theo przysiadł obok mnie na podłokietniku i położył mi dłoń na karku. – Pojechała do biblioteki.

– Tak – przytaknęła ciotka Georgia. – Ava właśnie wróciła do Inverness i pojechała pomóc jej w poszukiwaniach. Mam nadzieję, że lada chwila coś odkryją.

Ja też miałam taką nadzieję.

– Musimy potem wrócić z kośćmi tutaj? – zapytałam.

Babcia pokiwała głową, nie odrywając wzroku od książki z zaklęciem.

– Musimy jak najbardziej zbliżyć się do ciała Willow – wyjaśniła. – Prawdopodobnie wystarczy rzucić zaklęcie przed domem Marshallów.

Podniosłam brwi.

– Prawdopodobnie?

– To nie tak, że rzucamy podobne zaklęcia codziennie, Margo – powiedziała ostro, spoglądając na mnie znad księgi. – Nie wszystko jest opisane krok po kroku w przekazach rodzinnych.

Pokiwałam głową.

– Rozumiem. Ale... jak to zrobimy? – Gdy ciotka i babcia posłały mi pytające spojrzenia, dodałam: – Jak wykopimy kości?

– Łopatą – oświadczyła babcia takim tonem, jakby to było oczywiste.

Skrzywiłam się.

– Nie możecie użyć jakiegoś czaru?

– Treść zaklęcia mówi wyraźnie, że mamy je wykopać – wytłumaczyła ciotka Georgia łagodnie. – Musimy bardzo dokładnie trzymać się tego, co jest w nim napisane. Nie bez powodu zostały w nim użyte pewne sformułowania. Chociaż rozumiem, dlaczego to może nie być miła perspektywa, musimy to zrobić tradycyjnie. Więc tak, łopatą.

Świetnie. Po prostu świetnie.

* * *

Ciotka Lauren i ciotka Ava zadzwoniły jakieś pół godziny później. Okazało się jednak, że to, co odkryły, stanowi kolejny problem.

– Kopce Clava? – powtórzyła babcia z niedowierzaniem, gdy włączyła ciotkę Lauren na głośnomówiący. – Jesteście pewne, że to właśnie tam?

– Historyczne przekazy mówią jasno – odpowiedziała ciotka Lauren stanowczo. – Podają nawet

dokładne miejsce.

Theo posłał mi pytające spojrzenie, ale zignorowałam je.

– Jaka jest szansa, że kości ciągle tam są? – wtrąciłam się. – W Balnuaran of Clava prowadzono wykopaliska.

– Raczej nie tak daleko od komory grobowej – zaproponowała ciocia Lauren. – To było pogańskie miejsce pochówku i z tego powodu zakopano tam ciało Mary Talbot. Uważano to za lepsze rozwiązanie niż zostawienie jej po prostu w niepoświęconej ziemi. Mamy wskazówki, jak dotrzeć na miejsce, ale w tym celu musimy dostać się pod sam kopiec i od niego odliczać kroki w konkretnym kierunku świata. Nie zrobimy tego teraz.

– Dlaczego? – zapytał Theo, który jako jedyny nie miał pojęcia, o jakim miejscu mówimy.

– Kopce Clava to podziemne miejsca pochówku z epoki brązu – wyjaśniła mu babcia. – Te w Balnuaran of Clava można zobaczyć, ale tylko w towarzystwie przewodnika. O tej porze roku kręci się tam sporo turystów.

– Świetnie – mruknął Theo. – To daleko stąd?

– Ledwie kilka mil – odpowiedziała ciocia Georgia. – Za wrzosowiskami Culloden. Wystarczająco blisko, by zakopać tam zwłoki po powieszeniu Mary Talbot pod domem Marshallów.

– To tam, gdzie pokonaliśmy jakobitów w trakcie powstania w osiemnastym wieku? – ożywił się Theo.

Nie powinien był tego mówić.

Babcia spojrzała na niego przeciągle wzrokiem, który mógłby zabić. Brawa dla Theo, że nawet nie drgnął, bo gdyby to na mnie w ten sposób skupiła uwagę, pewnie chowałabym się już za fotelem.

– Pokonaliśmy? – powtórzyła uprzejmie.

Theo otworzył usta, ale nic nie odpowiedział. Nie dziwiłam się mu.

Babcia przeniosła spojrzenie na mnie, a ja wzruszyłam ramionami. Cóż mogłam poradzić na to, że spotykam się akurat z Anglikiem?

– Dobra, to teraz nieważne, że przodkowie chłopaka Margo zabijali naszych przodków pod Culloden – wtrąciła ciocia Georgia, na co babcia zrobiła taką minę, jakby absolutnie się z nią nie zgadzała. Zanim jednak zdążyła coś odpowiedzieć, ciocia dodała: – Lauren, Ava, wracajcie tutaj. Musimy poczekać, aż się ściemni, i dopiero wtedy pojedziemy do kopców.

– Dlaczego wtedy? – odezwał się Theo.

Babcia spojrzała na niego jak na idiotę, najwyraźniej nadal nieprzychylnie do niego nastawiona, więc to ciocia Georgia musiała mu odpowiedzieć.

– Bo wtedy nie będzie tam ludzi – wyjaśniła. – Włamiemy się na teren zamknięty i bez świadków wykopimy kości Mary Talbot. Czy to nie jest oczywiste?

Theo zerknął na mnie.

– To powinno być dla mnie oczywiste, Margo? – zapytał cicho.

Wzruszyłam ramionami.

– Jeśli chcesz ze mną być, to musisz stać się częścią rodziny McKenzie. A dla McKenziech to oczywiste, owszem.

– Przecież nie pójdziemy tam za dnia i nie zaczniemy kopać przy turystach – zdenerwowała się babcia. – Musimy to zrobić nocą. Po cichu dostaniemy się do środka, rozkopujemy grób Mary Talbot i zabierzemy kości, których potrzebujemy. Proste.

Sądząc po minie Theo, wcale nie uważał tego za proste. Zapewne też zastanawiał się, w którym momencie wpadł do tej króliczej nory.

Nie dziwiłam mu się. Tylko dla mojej rodziny rozkopywanie grobu pod osłoną nocy, żeby zabrać z niego kości, mogło być normalne.

– A czy jesteście pewne, że te kości przetrwały tyle czasu? – przyszło mi nagle do głowy. – Jeśli nic z nich nie zostało...

– Nawet jeśli nie znajdziemy całego szkieletu, to fragmenty kości mogą przetrwać do kilkuset lat – odpowiedziała uspokajająco babcia. – Poradzimy sobie. Lauren, Ava, czekamy na was. Gdy wrócicie, ustalimy konkretny plan.

Uspokajająco ścisnęłam dłoń Theo. Miałam nadzieję, że po tych wszystkich rewelacjach nie postanowi jednak ode mnie uciec, bo naprawdę mi na nim zależało.

Odpowiedział równie mocnym uściskiem, dzięki czemu mój niepokój chwilowo zniknął.

* * *

Pojechaliśmy dwoma samochodami: jeden prowadziła ciotka Ava, a drugi ciotka Georgia.

Razem było nas sześcioro. Babcie martwiło, że to za duża grupa i że może to zwiększyć ryzyko zauważenia nas, ale kiedy próbowała namówić kogoś, żeby został w domu, wszyscy się sprzeciwili. W pierwszym odruchu chciała oczywiście wyłączyć z eskapady Theo – i nawet nie miałabym mu za złe, gdyby się zgodził – on jednak się uparł, że pojedzie ze mną, i nic nie mogło go odwieść do tej decyzji.

Zaparkowaliśmy w pewnej odległości od głównego wejścia, żeby w razie czego nikt nie powiązał naszych samochodów z tym, co miało się stać w środku. Droga, którą ruszyliśmy w kierunku kopców, była całkowicie nieoświetlona. Otuliłam się szczelniej kurtką – częściowo z zimna, a częściowo dlatego, że z niepokojem dostałam dreszczy. Theo objął mnie ramieniem, gdy zauważył, co się ze mną dzieje.

Włączyliśmy latarki i podeszliśmy do głównej bramy oddzielającej ulicę od terenu dostępnego dla zwiedzających. Budynek z kasą był ciemny i zamknięty na głucho, a wokół było niepokojąco cicho, gdzieś w oddali słyszałam jedynie pohukiwanie sowy. Ciotki i babcia milczały, co tylko dodatkowo potęgowało moje zdenerwowanie. W każdym cieniu tańczącym poza zasięgiem światła latarek dopatrywałam się tamtej postaci, która zabiła Willow, albo powykręcane, opętanego ciała mojej kuzynki.

Brama była zamknięta na kłódkę. Ciocia Ava przesunęła nad nią dłonią i wypowiedziała cicho tylko jedno słowo:

– *Fosgail.*

Kłódka opadła, a brama stanęła przed nami otworem. Weszliśmy do środka. Chyba tylko ja oglądałam się za siebie; ciocie i babcia dążyły bez słowa tam, skąd mieliśmy zacząć poszukiwania miejsca pochówku.

Kamienny okrągły kopiec wznosił się ponad ziemię otoczony drzewami. Ciotki bez słów, porozumiewając się chyba telepatycznie, ustaliły kierunki świata i odnalazły wschód. Dopiero wtedy ciocia Lauren wyjęła komórkę, gdzie miała zapisane zdjęcia przekazu z informacjami o miejscu pochówku Mary Talbot.

– Dwa razy po pięćset kroków od wschodniego czubka kopca – poinformowała nas po chwili.

Zerknęliśmy przed siebie, gdzie wznosiła się ponura ściana drzew.

– Serio? Mamy liczyć tysiąc kroków przez las? – zapytała z niezadowoleniem ciotka Georgia.

Ciocia Lauren wzruszyła ramionami.

– Tak zrobili miejscowi, kiedy chowali Mary Talbot. Masz lepszy pomysł?

– Tysiąc kroków w linii prostej powinno nas zaprowadzić na miejsce – dodała ciotka Ava uspokajającym tonem. – Nie są to najtrudniejsze wskazówki, o jakich słyszałam.

To prawda. Byłabym gotowa się założyć, że musiały w życiu odszyfrowywać dużo trudniejsze zakłęcia.

– Dość gadania, idziemy – oznajmiła babcia. – Ja prowadzę.

Nikt nie ośmielił się jej sprzeciwić, chociaż przypuszczałam, że któraś z moich ciotek poradziłaby sobie nocą między drzewami lepiej od siedemdziesięciopięciolatki. Sądząc po spojrzeniach, jakie wymieniły między sobą ciocie, one też tak uważały. Ale żadna z nich nie zamierzała powiedzieć tego babci.

Ruszyliśmy między drzewami przed siebie, uważnie licząc kolejne kroki. Światło latarek wydobywało z mroku gałęzie drzew i okazałe korzenie, a ja z każdą chwilą czułam coraz większy niepokój. Powinniśmy chyba słyszeć jakieś zwierzęta albo ptaki, prawda? Nawet nocą się nie zamykały. Tymczasem tutaj było cicho jak makiem zasiał. Aż włoski na karku stawały mi dęba.

Uszłyśmy może połowę dystansu, kiedy ciocia Georgia zatrzymała się nagle. Spojrzeliśmy na nią pytająco.

– Czuję coś – powiedziała, rozglądając się dookoła.

Babcia zmarszczyła brwi.

– Co dokładnie?

– Magię. Tę samą obcą magię, którą czułam w szpitalu i w domu Margo. Ale jak to możliwe?

Miałam naprawdę złe przeczucia i chyba dlatego zrobiłam to, co zrobiłam. Wyminęłam ciotki i nie licząc kroków, ruszyłam przed siebie, świecąc sobie pod nogi latarką. Ktoś coś za mną krzychał, ale nie zwracałam na to uwagi. Zignorowałam nawet Theo, który dobiegł do mnie i ruszył dalej przy moim boku, w opiekuńczym geście położywszy mi dłoń na plecach. Pytał chyba, co się dzieje, ale nie odpowiedziałam.

Chwilę później światło latarki napotkało coś, czego nie powinno być w tym lesie. Zatrzymałam się jak wryta, wściekła na siebie, że moje złe podejrzenia się potwierdziły.

W ziemi ziała podłużna, dosyć głęboka, pusta dziura.

– Co to jest? – zapytał zmieszany Theo.

Nie odwróciłam się do niego, wciąż wgąpią przed siebie.

– To był grób – poinformowałam go. – Spóźniliśmy się.

Właśnie wtedy dotarli do mnie ciotki i babcia. Na początku zaczęły mnie strofować za samowolne odłączenie się od grupy, ale potem ich wzrok padł na miejsce, które wskazywałam latarką, i stopniowo ich głosy zamarły.

– Cholera – wyrwało się ciotce Georgii.

– Czy ktoś może mi to wyjaśnić? – zdenerwował się Theo.

Babcia kiwnęła głową na ciotkę Georgię, która podeszła bliżej i zaczęła badać dziurę. Potem wytłumaczyła:

– Ktoś był tutaj przed nami. Rozkopał grób i zabrał kości Mary Talbot.

– Chyba nie ulega wątpliwości, kto to był – dodałam drżącym głosem. – Mary opętała ciało Willow, żeby się tu dostać i zabrać swoje kości. Musiała opuścić dom Marshallów, gdy czekaliśmy na zmierzch.

– Ale po co to zrobiła? – Theo nadal nie nadażał.

Ciotka Ava westchnęła.

– Mary Talbot była utalentowaną czarownicą – poinformowała go. – Doskonale знаła mnóstwo zaklęć, zapewne także to. Wiedziała, że będziemy potrzebowały jej kości, by ją wypędzić. Dlatego dotarła tu przed nami i je ukryła.

– Zostawiła ślad – dodała ciotka Georgia. – Możemy za nim iść...

– Zapewne zabrała kości do domu Marshallów – przerwała jej stanowczo babcia. – To jej jedyna kryjówka. Nie zaryzykowałyby zostawienia ich w innym miejscu. Musimy ją tam dopaść... Wszystko sprowadzi się więc do tej jednej konfrontacji.

Zrobiło mi się niedobrze na samą myśl o powrocie do domu Marshallów.

– Ona jest tam naprawdę silna – zaoponowałam. – Widziałam, co zrobiła z Willow...

– Z całym szacunkiem dla mojej wnuczki, my mamy większe doświadczenie w czarach – weszła mi w słowo babcia. – Poza tym jest nas więcej. Poradzimy sobie.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem między drzewami w stronę kopców. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko pójść za nią.

Przez całą drogę powrotną widziałam przed oczami rozkopany, ponury i pusty grób Mary Talbot.

* * *

Culloden Road była ciemna i pełna cieni, gdy ciocia Georgia zatrzymała samochód pod naszym domem rodzinnym.

Szarpnęłam za klamkę i wyskoczyłam na zewnątrz, a gdy spojrzałam w stronę domu Marshallów, zmartwiałam.

Ukryta w cieniu postać stała nieruchomo na środku podjazdu, uporczywie w nas wpatrzona. Wyglądała dziwnie nieludzko, zupełnie jakby miała nienaturalnie pokrzywione członki. W sekundę zrozumiałam dlaczego i zrobiło mi się niedobrze.

Ciało Willow było połamane. Istota, która w niej siedziała, mogła zyskać nad nim kontrolę, ale

nie mogła go wyleczyć. To, co stało na podjeździe domu Marshallów, korzystało więc z pogruchotanej powłoki, z rąk i nóg ze zmiażdżonymi kośćmi. Gdy postać podeszła o krok w naszym kierunku, zrobiła to dziwnie, jakby członki poruszały się w nieskoordynowany sposób. Albo z powodu stanu ciała, albo po prostu zły byt nie radził sobie do końca z jego przejściem.

– Eee... babciu? – zapytałam, odruchowo cofając się o krok.

Wpadłam na Theo, który przytrzymał mnie, a potem stanowczym ruchem odsunął za siebie, chroniąc mnie własnym ciałem, jakby to miało w czymkolwiek pomóc. Przez chwilę byłam kompletnie sparaliżowana, nie mogłam nawet zaprotestować, tylko przyglądałam się reakcji moich ciotek i babci na to, co stało po drugiej stronie ulicy.

Nie tracąc zimnej krwi, babcia skinęła na ciotkę Lauren, która razem z ciotką Georgią stanęła przy nas, zapewne zamierzając nas chronić, podczas gdy babcia postąpiła do przodu wraz z zabezpieczającą ją ciotką Avą. To niesamowite, jak potrafiły w mgnieniu oka organizować się bez słów.

– Czymkolwiek jesteś, siło nieczyste – powiedziała babcia opanowanym, pewnym siebie głosem, za który ją podziwiałam – żądam, żebyś oddała ciało, które nie należy do ciebie.

Z gardła Willow wydobył się suchy śmiech, który postawił mi włoski na karku.

– Wiemy, że to ty, Mary – kontynuowała spokojnie babcia. – Myślisz, że ukrycie przed nami twoich kości coś ci da? Właśnie tym jesteś. Smętną kupką kości, o których nikt już dzisiaj nie pamięta.

Właśnie wtedy w mojej głowie rozległ się ten znajomy głos.

Podдай się, Margo, a oszczędzę twoją rodzinę, nawet tę staruchę, która mnie znieważa.

Drgnęłam, a babcia zerknęła na mnie, jakby wiedząc, że czarownica kontaktuje się ze mną w myślach.

– Wyrzuc ją – poleciła mi, po czym z powrotem się odwróciła. – Myślisz, że to ci coś da? Moja córka nie była w stanie przywrócić nikogo do życia, chociaż trenowała tworzenie zaklęć latami. Moja wnuczka nie ma o tym pojęcia. Nie masz szans.

Jeszcze zobaczymy, rozległ się znowu głos.

Nagle ciocia Georgia chwyciła mnie za rękę, a w mojej głowie zaczęło się formować coś na kształt muru. Cegła po cegle w moich myślach wznosiła się zaporą, która odgrodziła mnie od głosu Mary Talbot. I chociaż wiedziałam, że mogę ją zburzyć, w jednej chwili pojęłam też, jak postawić ją ponownie. To było proste. Trzeba było tylko *wyczuć* jak.

Ciałem Willow wstrząsnął dreszcz, a z jej gardła wydobył się pełen wściekłości krzyk. Najwyraźniej nie spodobało jej się odcięcie ode mnie.

A potem zaatakowała.



38. Jak stoczyć magiczną bitwę

Ciocia Georgia była celem ataku, ale to babcia zneutralizowała pierwsze zaklęcie. Rzuciła własne, które odepchnęło ciało Willow kilka kroków w tył. Istota znowu wydała z siebie ten przerażający krzyk i natarła na nas.

Poruszała się w nieludzki sposób, ale zaskakująco szybko. Ledwie nadażałam za nią wzrokiem ze swojego miejsca w bezpiecznej odległości od pola walki. Nawet gdy puściłam dłoń cioci Georgii, by stanąć obok Theo i nie pozwolić mu dłużej mnie zasłaniać, zapora w moim umyśle nie zniknęła. Wciąż tam była, wysoka i mocna jak ściana.

To chyba jeszcze bardziej rozwścieczyło istotę, bo nagle stanęła w bezruchu i spojrzała prosto na mnie. Zdażyła na tyle zbliżyć się do ulicy, by oświetliły ją latarnie, i wzdrygnęłam się na ten widok.

Ciało Willow przybrało niezdrowy, zielonkawy odcień. Oczy były całkowicie białe, a na usta wypłynął nienaturalny, przerażający uśmiech. Powykrzywiane nogi z trudem utrzymywały ją w pozycji pionowej. Wyglądała...

Jezu.

Jak z najgorszych koszmarów.

A potem nagle ciało zaczęło drgać, oczy się zamknęły i po chwili całkowicie bez życia upadło na ziemię. Ciotki wymieniły między sobą spojrzenia, jednak nie zmniejszyły czujności. Wręcz przeciwnie, jeszcze się do siebie przybliżyły, jakby spodziewały się ataku z każdej strony.

Słusznie.

Najpierw zgasły latarnie. Zamrugały, a potem pograżyły ulicę w ciemności rozjaśnianej jedynie światłem reflektorów samochodów moich ciotek. Potem nagle reflektory również się wyłączyły, a my zostaliśmy w kompletnym mroku.

Dopiero gdy spłótłam palce z palcami Theo, uświadomiłam sobie, że szukałam jego dotyku. Byłam przerażona, a pierwszych kilka sekund było najgorsze; potem wzrok stopniowo zaczął się przyzwyczajać do ciemności. Któraś z ciotek rzuciła zaklęcie i zawisła nad nami drżąca kula światła, rozpraszając nieco mrok. Odruchowo zbiliśmy się w grupkę, nie chcąc wychodzić poza zasięg kuli.

Chyba dostrzegłam to pierwsza. Coś przemykało na granicy między światłem a ciemnością, kłębiąc się i wyciągając w naszą stronę widmowe macki. Wiedziałam, co to jest. Widziałam to już w domu Marshallów. Duch Mary Talbot opuścił ciało Willow i znowu stał się niematerialny, jak wtedy, gdy zabił moją kuzynkę.

Nadal miał moc. Dużą moc, biorąc pod uwagę to wszystko, co robił. Może wyczerpał Willow, zanim ją zabił. Choć nie miał ciała, widmowe macki mogły zrobić nam krzywdę. To kiedyś już się wydarzyło.

Dotknęłam ramienia babci i wskazałam odpowiedni kierunek. Kiwnęła głową, więc już zapewne wcześniej się zorientowała, że widmowa postać nas otacza, próbując przedostać się przez światło. Nie powiedziała ani słowa, ale widziałam, że zarówno ona, jak i ciotki są gotowe do walki.

A potem kula światła zamigotała i również zgasła.

– Chronicie Margo! – wykrzyknęła babcia.

W powietrzu zatrzeszczały wyładowania kolejnych zaklęć, ale w tej samej chwili poczułam, jak mocne uderzenie zwała mnie z nóg. Chwyciłam się Theo, jednak zostałam wyszarpięta z jego ramion,

a gdy straciłam równowagę i upadłam na ziemię, coś pociągnęło mnie z dala od ciotek i babci.

Wydarłam się, próbując wyszarpnąć z uścisku tego czegoś, jednak kiedy udawało mi się uwolnić jedną rękę, druga była już opleciona czarnymi mackami niczym szlamem. Słyszałam krzyki ciotek, kolejne zaklęcia rozrywały ciemność wokół nas, ale ja ciągle pozostawałam w mroku. Nie wiedziałam już, czy jest naturalny, czy to ta mroczna postać kłębi się wokół mnie.

Serce waliło mi jak szalone, a gdy otworzyłam usta do kolejnego krzyku, coś wtoczyło się do nich i zakneblowało mnie. Sięgałam dłońmi do twarzy, ale nie czułam tam nic materialnego, co mogłabym wyciągnąć. Panika zalała mi umysł, gdy przypomniałam sobie, jak skończyła Willow – z ciemnością sączącą się w nią, któredy tylko dała radę.

A potem nagle poczułam na skórze czyjś jak najbardziej materialny dotyk.

– Margo? – To był głos Theo. – Jestem tu, chwyć się mnie!

Zrobiłam, co kazał, trzymając się go mocno, kurczowo. Jakimś cudem wydarł mnie z uścisku Mary Talbot, a potem odciągnął w tył, równocześnie krzycząc coś do moich ciotek. Łapałam gwałtownie powietrze, gdy zaklęcie przecięło ciemność tuż obok i wybuchło serią jasnych iskier, odgradzając nas od naszego przeciwnika.

Dostrzegłam, jak uformowana w ludzką postać, kłębiąca się ciemność przebiła się przez iskry, sięgając prosto po mnie. Theo zdążył jedynie zasłonić mnie własnym ciałem. Macki chwyciły go i pociągnęły za sobą, zanim zdążyłam go złapać, a z moich ust wyrwał się bolesny krzyk.

Czasami bywa tak, że godziny upływają w mgnieniu oka, zwłaszcza gdy robimy coś ciekawego albo jesteśmy zajęci. A czasami sekundy zdają się ciągnąć jak guma, trwać w nieskończoność, każąc nam wciąż i wciąż przeżywać to samo przerażenie i tę samą bezsilność.

W tamtym momencie poczułam się tak jak w tym drugim przypadku. Miałam poczucie, że w nieskończoność przyglądam się, jak Theo, ciągnięty przez widmowe macki ciemności, wystrzeliwuje w górę. Jak mocuje się z mrokiem, a Mary Talbot unosi go coraz wyżej i wyżej. Jak zacieśnia się uścisk wokół jego gardła. Krzyczałam, aż całkowicie ochryłam. Ciotki rzucały zaklęcia, szybko jednak zrozumiały, że prędzej skrzywdzą w ten sposób Theo niż ten niematerialny byt. Wiedziałam, co za chwilę się stanie, i w akcie desperacji zburzyłam mentalny mur, który w mojej głowie postawiła ciocia Georgia.

To musi się stać, natychmiast usłyszałam ten głos. *Tylko w ten sposób mi pomożesz.*

– Nie! – wrzasnęłam, rzucając się do przodu, ale było już za późno.

Ciemność zawirowała wokół Theo, puszczając go. Słyszałam jego krzyk i wrzaski ciotek, które próbowały przechwycić go w powietrzu. Macki wokół Theo odbijały jednak wszystkie zaklęcia, pozwalając mu runąć ciężko w dół, aż z całym impetem uderzył w asfalt na ulicy.

Na sekundę moje serce stanęło. To nie mogło się dziać naprawdę. To nie mogło...

Wyminęłam ciotkę Georgię i popędziłam do niego, chociaż próbowała mnie powstrzymać. Macki ciemności wycofały się, gdy dopadłam do Theo i uderzyłam kolanami w asfalt, wyciągając do niego drżące ręce.

Był przytomny i miał otwarte oczy, którymi wpatrywał się we mnie, nie do końca ogniskując wzrok. Odkaszlnął, a z jego ust popłynęła krew.

Nie. To nie mogła być prawda. To musiał być jakiś koszmarny sen!

– Margo... – wychrypiął.

Szukał mojej ręki, więc ścisnęłam go mocno, nie wiedząc, co robić. W następnej chwili latarnie znowu rozbłysły, a ciocie znalazły się wokół nas. Może i nie lubiły Theo, ale w tamtym momencie zrobiły wszystko, co mogły, żeby mu pomóc. Ciotka Lauren popędziła do domu po jakieś specyfiki, których używała w lecznictwie, babcia z ciotką Avą zaczęły mamrotać nad Theo zaklęcia, a ciocia Georgia dzwoniła na pogotowie, równocześnie zabezpieczając nas przed kolejnym atakiem.

Ja jednak wiedziałam, że Mary Talbot odeszła. Chwilowo dostała to, czego chciała.

Poczułam coś mokrego na policzku. Po twarzy płynęły mi łzy, chociaż nawet nie wiedziałam, kiedy zaczęłam płakać.

– Zostań ze mną, Theo – poprosiłam drżącym głosem. – Wszystko będzie dobrze. Ciotki zaraz cię poskładają...

Ciotka Ava odsłoniła jego klatkę piersiową i zaczęła go badać. Po jej minie widziałam, że nie jest dobrze. Theo ścisnął moją rękę.

– Nie rób tego... czego ona od ciebie chce – wydusił. – Nie narażaj się, Margo.

Spojrzałam na ciotkę i babcie.

– Zróbcie coś! – wykrzyknęłam. – Pomóżcie mu... przecież on nie może...

Babcia tylko potrząsnęła głową, nie przestając powtarzać słów zaklęcia po gaelicku. Widziałam, że robi, co w jej mocy, ale to było za mało.

– Kocham cię, Margo – powiedział Theo.

A potem jego ciałem wstrząsnął dreszcz, zaś jego oczy stały się dziwnie szkliste. Nadal się we mnie wpatrywał, ale już mnie nie widział. On...

Odszedł.

Nie. To niemożliwe. To nie mogło się tak skończyć!

– Masaż serca – nakazała babcia stanowczo.

Ciotka Ava natychmiast przystąpiła do pracy. Odepchnęła mnie, aż usiadłam ciężko na asfalcie, nie będąc w stanie się poruszyć. Szumiało mi w uszach, gdy patrzyłam, jak ciotka próbuje podtrzymać Theo przy życiu, jak babcia odlicza liczbę uciśnień klatki piersiowej, jak ciotka Georgia nerwowo krąży nad nimi, wykrzykując coś do telefonu.

Potem w szum wdarł się sygnał nadjeżdżającej karetki. I chociaż cały czas miałam nadzieję, że uda im się mu pomóc, że Theo się obudzi, że wszystko będzie dobrze, w głębi duszy wiedziałam.

Nie było już powrotu do tego, co przedtem.

* * *

Prawie nie pamiętam kolejnych godzin.

Na pewno ratownicy medyczni stwierdzili śmierć Theo, na pewno wróciłam do domu rodzinnego, na pewno przesłuchiwała nas policja. Noc zdążyła zamienić się w ranek, a ja nadal byłam w szoku i nie potrafiłam się otrząsnąć. Po głowie kołatało mi tylko jedno.

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć na wyznanie miłości.

Policja oczywiście bardzo chciała nas oskarżyć o śmierć Theo, ale na razie mogli jedynie zebrać nasze zeznania. Nie byli w stanie wymyślić, w jaki sposób miałybyśmy doprowadzić do takich obrażeń, więc musieli się tym zająć specjaliści. Kiedy w końcu zostawili nas same, ciotka Lauren dała mi coś do picia. Dopiero po gorzkim smaku zorientowałam się, że był to jeden z jej uspokajających środków o działaniu nasennym.

Spałam na sofie w salonie, przykryta kocem. Kiedy się obudziłam, czułam się pusta w środku. Przez chwilę nie rozumiałam, co jest powodem tępego pulsowania w okolicy serca, a potem wszystko do mnie wróciło.

Theo leżący na ziemi z pogruchotanymi kośćmi. Jego szkliste oczy wpatrujące się we mnie. Jego wyznanie miłości tuż przed tym, zanim wydał ostatnie tchnienie.

Nie. To musiał być zły sen. To wszystko się zaraz wyjaśni, prawda?

Gdzieś niedaleko ktoś rozmawiał przyciszonym głosem. Usłyszałam coś o ataku na dom Marshallów, zanim nie przerwałam tej konspiracji.

– Gdzie jest Theo?

Rozejrzałam się po salonie, w którym siedziały ciotki i babcia. Słyszając moje pytanie, zamilkły i wymieniły spojrzenia, a potem ciocia Georgia podniosła się i usiadła obok mnie na sofie.

– Jego ciało zabrano do kostnicy, Margo – wyjaśniła łagodnie.

Usiadłam, czując rosnącą panikę. Coś sztucznie ją hamowało, jakby lekarstwo ciotki Lauren ciągle było w mocy, a jednak strach kłębił mi się pod skórą.

– Nie – zaprotestowałam. – To niemożliwe. On musi gdzieś tu być.

– Miał liczne obrażenia wewnętrzne – dodała ciotka Georgia, gładząc mnie po włosach. – Nawet gdyby od razu otrzymał pomoc medyczną, nie dowieziono by go do szpitala.

Nie. O czym ona w ogóle mówiła?

– To niemożliwe – powtórzyłam. – On mnie kocha.

– Kochanie...

– Nie zdążyłam mu powiedzieć, że ja też go kocham! – przerwałam jej z rozpaczą. – Nie zdążyłam. Nic nie powiedziałam. Nawet go nie poprosiłam, żeby mnie nie zostawiał. Gdybym poprosiła...

– Och, Margo... – Ciocia przytuliła mnie mocno, a ja uczepliłam się jej jak rozbitek koła ratunkowego. Zaczął mną wstrząsać szloch.

– Dlaczego nie powiedziałam mu, że go kocham? – zapytałam żałośnie. – Gdyby wiedział...

– Wiedział, kochanie – zapewniła mnie stanowczo ciocia. – Nie mogłyśmy mu pomóc. Przepraszam, że nie zdołałyśmy mu pomóc.

Rozryczałam się na dobre. Przez dłuższą chwilę nie potrafiłam się uspokoić, czując się tak, jakby coś rozrywało mnie na pół. Nie było go. Odszedł. Powiedział, że mnie kocha, i odszedł.

Jak to się mogło stać? Jak to było możliwe? Przecież mieliśmy być razem. Dopiero co się kochaliśmy. Theo nie mógł być martwy!

A jednak był. A jego ciało leżało teraz w kostnicy i na pewno był tam bardzo samotny.

Musiałam zawiadomić jego tatę. Tylko jak, skoro nie znałam nawet jego numeru?

– Co robicie? – zapytałam, kiedy wreszcie zabrakło mi łez.

Ciocia Georgia wymieniła spojrzenia z resztą ciotek i babcią.

– Nie powinnaś się tym teraz zajmować...

– Słyszałam coś o ataku na dom Marshallów – weszłam jej w słowo. – Nie możecie tego zrobić. Nie będziecie tam bezpieczne, a nie zniosę, jeśli ktoś jeszcze przeze mnie zginie!

– To nie twoja wina, Margo – zapewniła mnie ciotka Georgia. – I musimy tam pójść. Prawdopodobnie to tam Mary Talbot ukryła swoje kości. Musimy je zdobyć i ją wypędzić. Spokojnie, nie pójdziemy tam nocą, szykujemy atak dopiero na jutro rano. Chcemy się dobrze przygotować właśnie po to, żeby nikomu więcej nic się nie stało.

Nie. One nic nie rozumiały.

Wszystko to, co się wydarzyło, było moją winą. Strata Chandlera, wylew mamy, wypadek Rossa, śmierć Willow i... Theo. To przeze mnie. Nie mogłam pozwolić, żeby znowu się za mnie narażały.

Uspokoiliam się nieco i spoglądałam na nie. Były zatroskane, zmartwione, ale zdeterminowane. Wiedziałam, że nie dadzą sobie nic wytłumaczyć ani odwieść się od tego pomysłu. Nie mogłam na to pozwolić.

Podniosłam się z sofy.

– Potrzebuję zostać na trochę sama – oświadczyłam. – Nie będę wam przeszkadzać.

Ciocia Georgia próbowała mnie zatrzymać, ale nie zwracałam na nią uwagi. Po drodze zgarnęłam książeczkę mamy o wypędzaniu złych duchów. Ciotki znały już to zaklęcie na pamięć, i tak nie była im potrzebna.

Odruchowo skierowałam się do biblioteki. Przeszłam przez oficjalną część do tej pełnej zaklęć i usiadłam ciężko w jednym z foteli przy stole. Rzuciłam książkę na blat, a wtedy spomiędzy kartek wysunęła się jakaś luźna strona.

Przyjrzałam się jej ze zmarszczonymi brwiami. Ktoś odręcznie sporządził notatki na temat okręgu kumulującego moc. Przesunęłam palcami po znakach, bo wydały mi się dziwnie znajome. Gdzieś już je widziałam. Tylko gdzie?

Szybko się zorientowałam. Na podłodze naszego salonu, gdy mama rzuciła tamto zaklęcie.

Zrobiło mi się niedobrze. To były jej notatki, jej zaklęcia. Przyjrzałam się kartce uważniej, zauważając dodatkowe detale poza kręgiem. Nie chodziło tylko o to. To było zaklęcie, które miało wskrzeszać zmarłych. To samo, które na polecenie Mary Talbot mama rzuciła wtedy, by sprawdzić, czy zadziała.

Adrenalina popłynęła przez moje żyły; nagle wiedziałam już, co robić. Wstałam z fotela i podeszłam do regałów, szukając odpowiednich pozycji. Wyjęłam kilka książek, znalazłam czystą kartkę papieru i długopis, po czym zaczęłam robić notatki.

To było szalone. Istniało jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans, że się nie uda. Nie znałam się na tworzeniu własnych zaklęć tak jak mama, a nawet ona skończyła źle. Ja zamierzałam

zrobić coś... jeszcze gorszego. Wiedziałam jednak, że nie pozwolę, żeby ktokolwiek więcej się przeze mnie narażał. Wolałam zrobić to sama.

Musiałam jedynie wyprzedzić ciotki.

Zabrałam się do pracy.

* * *

Była druga w nocy, gdy wymknęłam się ze swojej sypialni i po cichu zesłam schodami do holu.

Poruszałam się bezszelestnie, mimo że nie włączyłam światła. Omijałam skrzypiące stopnie i uważałam na meble, na które mogłabym wpaść. W ciemnych ubraniach nie rzucałam się w oczy. Z dłonią zaciśniętą kurczowo na pasku torby kierowałam się właśnie do drzwi, gdy gdzieś za mną zapaliło się światło.

– Wiedziałam, że spróbujesz zrobić coś takiego.

Odwróciłam się. W progu salonu stała ciotka Georgia i patrzyła na mnie potępiająco.

Cholera.

– Idź spać, ciociu – poleciłam jej.

– Nigdzie nie idę – zaprotestowała ostro. – Dokąd się wybierasz?

Nie odpowiedziałam, bo obie doskonale wiedziałyśmy, dokąd się wybieram.

Ciotka Georgia prychnęła z niedowierzaniem.

– Margo, Theo oddał życie, żebyś była bezpieczna. Nie możesz teraz tak po prostu wejść do domu Marshallów. I co potem? Spróbujesz rzucić to samo zaklęcie, które prawie zabiło twoją matkę? Nie masz jej doświadczenia. Nie masz jej wyczucia w czarowaniu. To może się skończyć tylko jeszcze gorzej! Naprawdę nie potrafisz uszanować tego, że wszyscy próbujemy zachować cię przy życiu?!

– To moja wina – powiedziałam stanowczo. – Możecie mi wmawiać, że to nieprawda, ale gdyby nie ja, nic z tego by się nie wydarzyło. Więc ja muszę to zakończyć. Nikt nie podzieli przeze mnie losu Theo.

Odwróciłam się do wyjścia, ale natrafiłam na niewidzialną barierę. Spojrzałam z irytacją na ciotkę, która utrzymywała zaklęcie, kreśląc dłonią skomplikowane znaki w powietrzu.

– Nie wyjdiesz z tego domu, Margo.

– Właśnie że wyjdę – warknęłam. – Przepuść mnie!

– Przepuść ją – dobiegł nagle głos od strony schodów.

Obie zaskoczone spojrzałyśmy w tamtą stronę. Ciocia Elsie schodziła na dół, ubrana w szlafrok w kwiaty i puchate kapcie.

Zamrugalam zaskoczona.

– Zobaczyłaś coś? – zapytała ciocia Georgia. – Mówiłaś, że nie widzisz przyszłości Margo.

– Bo nie widzę – potwierdziła ciocia Elsie, a potem spojrzała na mnie. – Ale wiem, co zrobisz. Wszystko dobrze się skończy, gdy dzień ponownie zrówna się z nocą – przypomniała mi swoją niedawną wróżbę. – Rozumiesz, prawda?

Skinęłam głową. Wtedy ciocia Elsie przeniosła wzrok na ciotkę Georgię i powtórzyła:

– Przepuść ją. To jedyny sposób.

Ciocia Georgia jeszcze przez chwilę wyglądała tak, jakby zamierzała protestować, ale w końcu poczułam, że zaklęcie blokujące przejście zelżało.

Spojrzałam na nie ostatni raz.

– Gdybym nie wróciła... Powiedzcie wszystkim, że was kocham.

A potem odwróciłam się i wysłam na zewnątrz, prosto w noc.

Do domu Marshallów.



39. Jak pokonać złą czarownicę

Dom Marshallów był ciemny, pusty i cichy. Kiedy kroczyłam podjazdem w stronę głównego wejścia, opuściłam swoje mentalne bariery.

Wygrałaś, powiedziałam do niej w myślach. *Jestem tu, żeby zrobić, czego chcesz.*

Ledwie postawiłam stopę na pierwszym stopniu prowadzącym na werandę, drzwi wejściowe uchylły się ze skrzypieniem. Świetnie. Wcale się nie czułam, jakbym weszła na plan jakiegoś horroru.

Ale to wszystko było prawdziwe. Ból w klatce piersiowej, który niemal rozrywał mnie na pół, był prawdziwy. Wspomnienie Theo umierającego w moich ramionach było prawdziwe.

Musiałam to naprawić.

Byłam przerażona. Spędziłam nad tym zaklęciem kilka godzin i nie miałam lat przygotowania mojej mamy, gdy próbowała wskrzesić tatę i poległa. Istniało duże prawdopodobieństwo, że nie wyjdę stąd żywa i cały wysiłek, jaki włożyli w utrzymanie mnie przy życiu wszyscy moi bliscy – w tym ci, którzy oddali za mnie życie – pójdzie na marne.

Wciąż miałam jednak w głowie słowa ciotki Elsie. „Wszystko dobrze się skończy, gdy dzień ponownie zrówna się z nocą”. Wiedziałam, dlaczego to powiedziała, a ona miała swoje powody, żeby mnie puścić. To dodało mi nieco pewności siebie, gdy w końcu wkroczyłam do domu Marshallów.

W holu było ciemno i cicho, sięgnęłam więc po latarkę i oświetliłam sobie drogę. Zatrzymałam się na środku pomieszczenia, dostrzegając resztki nieporządnego kręgu ochronnego, który narysowałam, będąc tu ostatnim razem. I co z tego? To i tak nic nie dało. Theo nie żył.

Ale mogłam to naprawić.

Wiedziałam, że mogę.

Wiesz, czego od ciebie chcę? – w mojej głowie rozbrzmiał znajomy głos.

Odwróciłam się w stronę schodów, u których stóp stało spuchnięte, połamane ciało Willow. Białka oczu wpatrywały się prosto we mnie, gdy oświetliłam je światłem latarki. Wzdrygnęłam się.

W zamieszaniu, gdy próbowałyśmy ratować Theo, nie zauważyłam, kiedy Mary Talbot zniknęła razem z ciałem Willow. Ale znowu była w niej. Na myśl o tym poczułam rosnącą wściekłość.

– Mów do mnie normalnie, skoro używasz ciała mojej kuzynki – powiedziałam na głos. – Wiem, czego chcesz, Mary. Zaklęcia wskrzeszającego.

Z trudem otworzyła usta, a potem odparła niewyraźnie, jakby dopiero uczyła się mówić:

– Wypróbujesz je na swoim ukochanym. Jeśli zadziała, przywrócisz do życia mnie.

Biorąc pod uwagę, jak to się skończyło w przypadku mojej mamy, nie widziałam w tym planie słabych stron.

– I co potem? – zapytałam. – Co zamierzasz zrobić? Terroryzować Inverness czarami? Skończysz tak samo marnie jak wtedy, kiedy cię powieszono.

Przez twarz Willow przemknął grymas irytacji.

– Zapłacą za to, co mi zrobili – wyszeptwała Mary. – Potomkowie Marshallów i twoja rodzina. Rób swoje, jeśli nie chcesz, żeby zginęli wszyscy.

Zacisnęłam wargi, bo dyskusowanie z żadnym zemsty duchem nie miało sensu. Dostanie, na co zasłużyła.

– Dobrze – powiedziałam. – Zrobię, czego żadasz. Tylko nie krzywdź nikogo więcej.

Przymknęłam oczy i odetchnęłam głęboko kilka razy, żeby nieco się uspokoić, a potem powoli, cegła po cegle, odbudowałam swoją mentalną barierę w głowie. Nie chciałam ryzykować, że Mary za wcześnie się zorientuje, co planuję. Nie mogła mi przeszkodzić. Miałam tylko jedną szansę.

Teraz albo nigdy.

Wyjęłam z torby kredeę, przykucnęłam i zaczęłam kreślić znaki, których zdążyłam nauczyć się na pamięć. Wychodziły koślawe, ale nie zamierzałam się tym przejmować. Ważne, żeby zadziałały.

Ręka mi się trzęsła, gdy powoli zamykałam krąg. W głowie huczało mi od gaelickich słów, których zamierzałam użyć, a przed moimi oczami ciągle przewijały się sceny, które najchętniej wymazałabym z pamięci. Martwy Chandler. Połamane ciało Willow leżące na trawniku przed domem. Uderzający w asfalt Theo.

Nie pozwolę, żeby ta kreatura skrzywdziła kogokolwiek więcej.

W końcu zamknęłam krąg. Nagle uderzyła we mnie fala magii, wtłaczając się do mojego ciała i napierając ze wszystkich stron. Zachwiałam się i o mało nie upadłam na tyłek, całkowicie oszołomiona tym, co się stało. Czułam ją wszędzie. Elektryzowała powietrze i unosiła mi włosy. Wyjęłam z torby świece, ustawiłam w odpowiednich miejscach i zapaliłam je. Wyłączyłam latarkę. Przy krawędzi okręgu rozsypałam zioła, które ze sobą przyniosłam. Wyjęłam nóż i rozciąłam nim wewnętrzną część dłoni. Tylko trochę się skrzywiłam, gdy krew kapała na zioła i okrąg. W moich żyłach krążyło za dużo adrenaliny, żebym w ogóle czuła ból.

A potem zaczęłam wypowiadać zaklęcie.

Było proste, składało się tylko z kilku słów. Nie odważyłam się napisać nic bardziej skomplikowanego w obawie o to, że się pomylę i zrobię sobie krzywdę, zamiast je rzucić. Te słowa były jednak dosyć znamienne. Wystarczyła chwila, by Mary Talbot zrozumiała, co zamierzałam zrobić.

Dom Marshallów był pełen jej magii. Zapewne nie udałoby mi się rzucić tego zaklęcia gdziekolwiek indziej, dlatego to musiało być tutaj. Ponieważ tutaj była też Mary, mój krąg nie tylko wzmacniał magię, ale też chronił mnie przed jej atakami. Zaplanowałam to w ciągu tych kilku godzin spędzonych w bibliotece babci, bo wiedziałam, że gdy tylko czarownica w ciele Willow zorientuje się, co robię, spróbuje mi przeszkodzić.

Wydarła się, ruszając w moim kierunku. Próbowała rzucić jakieś zaklęcie, ale zatrzymało się na niewidzialnej barierze ochronnej. Stała tuż przed nią.

– Co ty robisz?! – wyrzeszczała nieludzkim głosem, a do moich nozdrzy dotarł nieswieży zapach zepsutego ciała. – NATYCHMIAST PRZESTAN!

Zignorowałam ją, dalej wypowiadając zaklęcie. W kółko te same kilka słów.

Tilleadh. Càirich. An t-Sultain.

Liczyłam przy tym, ile razy je wypowiadam.

Mary Talbot była coraz bardziej wściekła. Czułam, jak jej magia zbiera się wokół mojej, próbując mnie powstrzymać. A potem wykrzyczałam te słowa ostatni raz i było już za późno.

– Co ty zrobiłaś...? – wyszeptwała.

Nagły powiew wiatru zdmuchnął wszystkie świece, aż obie zostałyśmy w kompletnych ciemnościach. Coś na mnie napierało. Szum w uszach i rosące ciśnienie stały się nie do zniesienia. Upadłam na kolana, gdy moja magia wybuchła i oświetliła pomieszczenie oślepiającym światłem. Podniosłam głowę i spod zmrużonych powiek spojrzałam na stojące nade mną ciało Willow.

– Przegrałaś – powiedziałam, ocierając krew, która sączyła mi się z nosa. – Nigdy cię nie wskreszę. Za to dopilnuję, żeby to wszystko się skończyło, zanim się zaczęło.

Potem moja magia implodowała, uderzając prosto we mnie, i zrobiło mi się ciemno przed oczami. Ostatnim, co przemknęło mi przez głowę, były wspomnienia ostatnich tygodni, które tak bardzo wryły mi się w pamięć. Wyznający mi miłość Theo. Płacząca ciotka Imogen. Martwa Willow wpatrująca się pustymi oczami w ciemne niebo. Krzycząca na mnie Dana. Pozbawione życia ciało Chandlera na podłodze w mojej kuchni. Mama w szpitalu. Willow przedstawiająca mi Theo. Zaklęcie rzucone z Charlie w równonoc jesienną.

Potem straciłam przytomność.

* * *

Otworzyłam oczy i usiadłam gwałtownie, przypadkowo strącając z piersi Chandlera. Miauknął z niezadowoleniem i uciekł pod łóżko.

Zdezorientowana rozejrzałam się dookoła. Leżałam w swoim łóżku, w swojej sypialni, w swoim domu przy Argyle Street.

Drżącymi rękami poszukałam pod poduszką komórki. Tak bardzo pociły mi się dłonie, że potrzebowałam trzech podejść, zanim udało mi się przeczytać linie papilarne i odblokować telefon. Zerknęłam na datę.

Piątek, dwudziesty drugi września.

Jezu. Udało mi się.

Naprawdę mi się udało!

Wyskoczyłam z łóżka i drżącymi palcami wybrałam numer babci. Równocześnie szukałam dla siebie czegoś do ubrania. Nie miałam chwili do stracenia. Może i udało mi się cofnąć w czasie, ale to nie oznaczało, że Mary Talbot nie wie, że to zrobiłam. Obie byłyśmy w domu Marshallów, gdy rzuciłam zaklęcie. Musiałam zablokować wszystko, co mogła zrobić.

Nie miała zbyt wielu opcji. Dwudziestego drugiego września Theo nie było jeszcze w Inverness. Dopiero dzisiaj miałam rzucić zaklęcie, które go tu sprowadzi. Ja sama nie weszłam jeszcze do domu Marshallów. Ale było jedno, co mogła zrobić – i musiałam się upewnić, że nie zdąży.

– Dzień dobry, Margo – odezwała się babcia. – Wszystko w porządku?

Nie dziwiłam się, że jest zaskoczona. Rzadko do niej dzwoniłam.

– Musicie coś zrobić. I nie pytajcie mnie, dlaczego o to proszę – powiedziałam pośpiesznie. – Wyjaśnię wszystko, kiedy do was przyjadę, ale nie możemy czekać tak długo. Wzmocnijcie zaklęcia ochronne wokół mojej mamy. Dobrze?

– Ale, Margo, dlaczego...

– Po prostu to zróbcie – przerwałam jej. – Jak najszybciej. Za godzinę będę na Culloden Street i wszystko wam wyjaśnię. Poproś ciocię Avę i ciocię Georgię, żeby przyjechały.

Babcia chyba usłyszała w moim głosie coś, przez co postanowiła nie dyskutować, bo zgodziła się i zakończyła rozmowę.

Rzuciłam komórkę na łóżko, a potem padłam na kolana i wyciągnęłam prychającego Chandlera. Opierał się tylko odrobinę, kiedy przytuliłam go mocno, czując, jak pod powiekami pieką mnie łzy.

Chandler żył. Willow żyła. Dostałam drugą szansę.

Teraz musiałam tylko tego nie spieprzyć.

* * *

– Co takiego? – zapytała z niedowierzaniem ciotka Ava.

Chodziłam nerwowo po salonie, a ciotki i babcia przyglądały mi się tak, jakby wyrosła mi druga głowa. Brakowało tylko ciotki Elsie, wyszła gdzieś wcześniej rano i nie było z nią kontaktu, ale nie chciałam czekać.

– Przeniosłam się w czasie – powtórzyłam uparcie. – Wiem, co się stanie, i chcę, żebyśmy temu zapobiegły.

– Podróże w czasie nie są możliwe – prychnęła ciotka Imogen. – Coś sobie uroiłaś.

Przewróciłam oczami.

– No dobra, więc cofnęłam czas – poprawiłam się. – Zwał jak zwał. Sama jestem zaskoczona, że mi się udało, ale byłam bardzo zmotywowana. Musimy powstrzymać to coś, co czai się w domu Marshallów.

Ciotki spojrzwały po sobie.

– Moment – wtrąciła się babcia. – Nie istnieje zaklęcie cofające czas. Nie mogłabyś tego zrobić, nawet gdybyś studiowała magię od dziecka, czego nie robiłaś.

– Nie istniało, ale je wymyśliłam. Mam te same umiejętności co mama. I mogę udowodnić, że to prawda. Wiem o rzeczach, które jeszcze się nie wydarzyły albo o których nie powinnam jeszcze wiedzieć.

Ciotka Imogen roześmiała się sucho.

– No, ciekawe, jakie to rzeczy. Oświeć nas.

– Wiem, że na dom Marshallów została rzucona klątwa – zaczęłam. – Wiem też, czego wy jeszcze nie wiecie, że poza nią w tym domu przyczaił się duch Mary Talbot, który lata temu zmusił moją mamę do rzucenia zaklęcia wskrzeszającego. To przez nią zginął mój ojciec. Ale jeśli chcecie dowodów, że to prawda, proszę bardzo. – Przeniosłam wzrok na babcie. – Wiem, że Skye odbywa szkolenie z ciotką Elsie, bo pojawiły się u niej zdolności przepowiadania przeszłości. Wiem też, że Blair jest podróżniczką. Za kilka dni odwiedzi mnie we śnie i śmiertelnie mnie tym przerazi.

Ciocia Ava i ciocia Georgia spojrzały pytająco na ciotkę Imogen, której nagle zrzęda mina.

– To o Skye to prawda?

– Prawda – przyznała ciotka Imogen. – Skye ci powiedziała, tak?

– Nikt niczego mi nie powiedział – prychnęłam. – Mówię prawdę. Cofnęłam czas. Wiem, jak pozbyć się ducha Mary Talbot z domu Marshallów. Książka z odpowiednim zaklęciem znajduje się na strychu wśród rzeczy po mamie, bo ona też próbowała ją wypędzić, zanim zdecydowała się na zaklęcie wskrzeszające. Zaklęcie wymaga użycia kości czarownicy, ale wiem też, gdzie jest pochowana. Zanim cofnęłam czas, próbowałyśmy je zdobyć, jednak ona nas uprzedziła i przeniosła ciało. Teraz tego nie robi, bo wciąż jest przywiązana do domu Marshallów. Proszę, musicie mi uwierzyć. Musimy działać szybko, zanim wymyśli coś innego!

Po tych słowach w salonie przez chwilę panowała cisza. Znowu miałam wrażenie, że ciotki i babcia porozumiewają się telepatycznie, a ja nie jestem włączona w tę dyskusję.

Właśnie wtedy trzasnęły drzwi wejściowe i w holu rozbrzmiały kroki. Po chwili w salonie pojawiła się ciotka Elsie. Na mój widok uśmiechnęła się szeroko.

– Udało ci się – powiedziała. – Cofnęłaś się. Poczułam to, gdy tylko się obudziłam. Pobiegłam cię znaleźć, ale nie było cię w domu.

Musiałymy się minąć.

Przeniosłam wzrok na ciotki i babcie. Jeśli słowa ciotki Elsie ich nie przekonają, to chyba nic tego nie zrobi. Wyglądały na zszokowane, ale w końcu wszystkie powoli pokiwały głowami.

– Dobrze, zróbmy to – oznajmiła babcia.

* * *

Ciotki zgodnie z moimi wskazówkami pojechały po kości Mary Talbot, a ja wróciłam na chwilę do swojego domu. Zadzwoniłam do Charlie i poprosiłam o spotkanie. Nakarmiłam Chandlera, zapakowałam go w transporter i poczekałam, aż moja przyjaciółka się zjawi.

– Za dwie godziny muszę być z powrotem w pubie – oznajmiła, gdy jej otworzyłam. – O co chodzi? Przez telefon brzmiałś bardzo tajemniczo.

Przytuliłam ją mocno, co przyjęła z pewnym zdziwieniem. Ze śmiechem odpowiedziała na uścisk, komentując, że zrobiłam się sentymentalna. Może to i prawda, bo znowu miałam łzy w oczach.

– Mam do ciebie prośbę – oświadczyłam następnie, prowadząc ją do salonu. – Muszę odwołać nasze dzisiejsze spotkanie. Zajmiesz się Chandlerem? Trzeba go zabrać do weterynarza, a potem mógłby przenocować u ciebie i Nicka.

Charlie przysiadła na kanapie i spojrzała na mnie pytająco.

– Jasne, mogę, ale... czemu? Lubisz chodzić do weterynarza. Wzdychasz do Rossa od miesięcy. O co chodzi?

– Ross rozstał się z Daną – wyjaśniłam. Charlie zrobiła wielkie oczy, ale nie dałam jej dojść do słowa. – Moim zdaniem to błąd. On ją kocha. Jeśli dzisiaj pójdę do niego z Chandlerem, zaprosi mnie na randkę, a ja nie będę w stanie mu odmówić. Nie chcę tego robić.

– Okej, musisz mi dać coś więcej, bo nic z tego nie rozumiem – odpowiedziała powoli. – Skąd to wszystko wiesz? Elsie ci powiedziała? I dlaczego nie możemy się spotkać wieczorem? Idziesz jednak na ten sabat?

Pokiwałam głową, a potem opowiedziałam jej wszystko od samego początku. Charlie nie była tak sceptyczna jak moje ciotki, bo nie znała ograniczeń magii – według niej czarownice mogły wszystko.

Była totalnie zaskoczona, ale uwierzyła w każde moje słowo. Wkręciła się w tę historię i natychmiast zażądała dodatkowych wyjaśnień.

– W porządku, rozumiem, że wolisz Theo od Rossa – podsumowała na koniec, na co kiwnęłam głową. – Dowiedziałas się, dlaczego o sobie śniliście?

Wzruszyłam ramionami.

– Może kiedyś spróbuję się tego dowiedzieć, chociaż nie było to moim priorytetem.

– No dobra, ale... – Zamyśliła się na chwilę, po czym dodała: – Jeśli pójdziesz dzisiaj na sabat, zamiast się ze mną zobaczyć, nie rzucisz tego przypadkowego zaklęcia. Theo nie kupi domu Marshallów i nie przyjedzie do Inverness. Nie spotkacie się.

To była ta najtrudniejsza część.

– Tak – przytaknęłam.

– Dlaczego?

– Nawet jeśli wypędzimy ducha Mary Talbot, dom Marshallów nadal będzie przeklęty – wyjaśniłam. – Nie chcę, żeby Theo go kupował. Nie mogę dopuścić do tego, żeby zginął po raz drugi.

– Ale... nie spotkasz go. Nie poznacie się.

Przez głowę przemknęło mi kilka wspomnień sytuacji, które się nie wydarzyły. Łobuzerskie uśmiechy Theo. Nasz taniec w pubie Charlie i Nicka. Podróż motocyklem do Urquhart Castle. Pocałunki na kanapie. Chwile spędzone razem w moim pokoju na Culloden Street. Jego wyznanie miłości.

Te wspomnienia zostaną ze mną na zawsze, ale będą tylko moje. Theo nie będzie tego pamiętał. Nie zakocha się we mnie i nie powie mi o tym tuż przed swoją śmiercią. Tak będzie lepiej.

Nawet jeśli moje serce po raz kolejny pękało na pół.

– Tak – przytaknęłam. – Nie poznamy się.

* * *

W drodze taksówką pod dom Marshallów nie wytrzymałam i się zламаłam.

Musiałam wiedzieć, czy wszystko z nim w porządku. Nadal nosiłam w sobie żalobę po tym, jak umarł w moich ramionach, i nie tak łatwo było mi przekonać samą siebie, że wszystko jest okej. Wyciągnęłam więc komórkę i szybko znalazłam w wyszukiwarce stronę londyńskiego biura architektonicznego, w którym pracował. Serce biło mi jak szalone, gdy dzwoniłam pod podany w zakładce „kontakt” numer i gdy poprosiłam miłą panią recepcjonistkę o połączenie z Theo Thorne’em. A potem usłyszałam w słuchawce jego znajomy, lekko zachrypnięty, niski głos.

– Theodore Thorne, słucham. – Przez chwilę milczał, po czym dodał: – Halo?

Rozłączyłam się, ocierając z policzków kilka nieposłusznych łez. On naprawdę żył. Był w Londynie i miał się dobrze.

To musiało mi wystarczyć.

Kiedy zajechałam na Culloden Road, ciotki i babcia były już gotowe. Zgromadziły wszystko, czego wymagało zaklęcie, a w osobnej torbie trzymały wykopane z ziemi kości Mary Talbot. Od cioci Georgii usłyszałam, że nie było łatwo dostać się do nich w trakcie godzin zwiedzania kopców Clava, ale z pomocą magii im się udało.

Wolałam nie pytać o szczegóły.

Wśród czekających na mnie osób dostrzegłam też nieco znudzoną Willow. Bez namysłu podeszłam do niej i objęłam ją mocno, na co zareagowała pełnym zaskoczenia okrzykiem:

– Jezu, Margo, uderzyłaś się w głowę?! Co ci odubiło?!

Urocza jak zawsze.

– Przepraszam – powiedziałam cicho. – Bardzo cię przepraszam.

Prychnęła z rozbawieniem.

– Spoko, fajnie, ale właściwie za co?

– Nieważne. – Odsunęłam się i spojrzałam na nią, mrugając gwałtownie. – Po prostu cieszę się, że nic ci nie jest.

Nie powiedziałam rodzinie, że Willow zginęła, broniąc Theo i mnie. Sądząc jednak po spojrzeniach, jakie ciotki wymieniły z babcią, czegoś się domyślały. Nic dziwnego, normalnie się tak nie

zachowywałam.

W końcu moja rodzina zabrała się do rzucania zaklęcia, każąc mi uprzednio trzymać się z daleka. Nie sprzeciwiałam się, bo wiedziałam, że mogę im tylko przeszkodzić. Stałam z boku i bez słowa przyglądałam się, jak w magicznie utworzonym ogniu spalają wszystkie składniki, równocześnie intonując zaklęcie. Na koniec wrzuciły w płomień kości Mary Talbot.

Biorąc pod uwagę wszystko to, co przeszłam, żeby doprowadzić do tego momentu, spodziewałam się jakiegoś spektakularnego efektu. Fajerwerków, krzyków agonii złej czarownicy, otwartych wrót piekieł, czegokolwiek. Tymczasem nie dostałam nic takiego. Kiedy kości wpadły w płomień, te urosły gwałtownie, a potem równie nagle się zapadły, aż ogień całkiem zgasł, pozostawiając po sobie kupkę popiołu. Ciotki zebrały ją dokładnie, po czym rozrzuciły na cztery strony świata.

To wszystko.

Byłam nieco zdezorientowana i obawiałam się, że ciotki uznają, iż jednak się zgrywałam. Właśnie dlatego zapytałam:

– I co? Udało się?

Babcia wskazała na dom Marshallów.

– Sama spójrz.

Posłusznie zerknęłam i zmarszczyłam brwi. Znowu zaszła jakaś zmiana w aurze domu. Zupełnie jak wtedy, gdy Mary Talbot opętała ciało Willow i zniknęła ze swojej kryjówki. Dom był... pusty.

Tym razem na zawsze.

– Coś na pewno z niego zniknęło – stwierdziła ciotka Ava stanowczo, po czym przeniosła na mnie badawcze spojrzenie. – A ty dokonałaś czegoś, czego żadna czarownica nie powinna była dokonać. Drzemie w tobie silna moc, Margo. Nie bez powodu dostałaś imię po założycielce naszego rodu...

– Pierwszej czarownicy na terenie Zjednoczonego Królestwa, tak, wiem – dokończyłam za nią zniecierpliwiona.

Ciotki wymieniły rozbawione spojrzenia.

– Czy to oznacza, że wreszcie pogodziłaś się z tym, kim jesteś? – dodała ciotka Ava. – Pójdiesz z nami na sabat i podejmiesz szkolenie?

Popatrzyłam na nie wszystkie: moją mądrą babcię, ciocię Avę, ciocię Georgię, ciocię Lauren, ciocię Elsie, ciocię Imogen i nawet na Willow. Przypomniałam sobie o moich kuzynkach Skye i Blair, które zostały w swoich domach. Przez tyle czasu próbowałam się od nich odciąć, żyć jak „normalny” człowiek, zamiast przyjąć swoje dziedzictwo, bo bałam się tego, co magia zrobiła z moją mamą. Ale przy okazji oddalałam się też od nich – najbliższych mi osób, które zrobiłyby dla mnie wszystko. Poświęciłyby za mnie życie, o czym wielokrotnie przekonałam się w ciągu ostatnich tygodni.

To była moja rodzina. Kobiety, które kochałam najmocniej na świecie. I nadszedł czas, żeby dać im coś od siebie. Odwdzińczyć się za całą dobroć, której od nich zaznałam. Stać się wreszcie prawdziwą członkinią McKenziech, magiczną i silną.

Bo nasza rodzina razem była silniejsza od każdej klątwy.

– Tak – odpowiedziałam. – Jestem gotowa.

Epilog

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Jazgot ulicy wdzierał mi się do uszu i sprawiał, że byłam rozdrażniona. Smog dusił i nie pozwalał normalnie oddychać. Z trudem wymijałam kolejnych przechodniów, szukając odpowiedniego adresu. Mimo że kiedyś myślałam o zamieszkaniu w Londynie, teraz marzyłam jedynie o powrocie do swojego spokojnego Inverness. Czułam się tu jak w cyrku.

Raz jeszcze zerknęłam na Google Maps, które prowadziły mnie do celu mojej podróży. To powinno być gdzieś tutaj. Zerknęłam w górę, na wysoki przeszklony budynek stojący na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych ulic. Wyglądał jak gigantyczne akwarium. Obok wejścia były wypisane nazwy firm mieszczących się w środku, a wśród nich znalazłam tę, która mnie interesowała.

Już po chwili jechałam windą razem z kilkoma innymi osobami. Denerwowałam się tak bardzo, że pocily mi się ręce. Nie miałam pojęcia, czy podjęłam słuszną decyzję, ale nie mogłam udawać, że wszystko jest w porządku. Od miesiąca moje złamane serce nie chciało się zagoić i wiedziałam, że tylko jedno może mu pomóc.

On i tak śnił o mnie. I tak chciał mnie poznać. Mogłam cofnąć czas, ale tego nie byłam w stanie wymazać. Więc jaki sens miało trzymanie się od niego z daleka?

Wysiadłam na odpowiednim piętrze i skierowałam się prosto do eleganckiej recepcji. Za biurkiem siedziała młoda, ładna blondynka, która na mój widok uśmiechnęła się życzliwie.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, nazywam się Margo McKenzie – przedstawiłam się. – Byłam umówiona na dziesiątą z panem Theo Thorne’em.

– Oczywiście. – Blondynka sprawdziła coś w swoim komputerze, po czym skinęła głową i przeniosła wzrok na mnie. – Proszę za mną. Zaprowadzę panią do biura pana Thorne’a.

Ruszyłam za nią szerokim korytarzem, gdzie po obu stronach znajdowały się drzwi do przeszklonych gabinetów. Minęłyśmy kilka, aż wreszcie blondynka – według plakietki miała na imię Beverly – stanęła przed jednymi z nich, zapukała, po czym zajrzała do środka.

– Pani McKenzie przyszła – powiedziała i wpuściła mnie do środka.

Trzęsły mi się nogi, gdy wchodziłam do gabinetu. Gdy ostatnio go widziałam, nie żył. Rozpacziałam nad jego zwłokami i rozpamiętywałam wyznanie miłości, na które nie odpowiedziałam. Teraz jednak byłam tutaj i on również tu był. Mogliśmy zacząć od nowa.

Skoro już raz się we mnie zakochał, mógł to zrobić ponownie.

Mimo że przygotowywałam się na tę chwilę, i tak stanęłam jak wryta na środku gabinetu, gdy go zobaczyłam. Theo wstawał właśnie od biurka, zapinając marynarkę i posyłając mi uprzejmy uśmiech. W dopasowanym garniturze, starannie uczesany i ogolony wyglądał obłudnie i choć wołałam go w nieco bardziej nieformalnym wydaniu, moje serce i tak się do niego wyrzywało.

Zmarszczył brwi, a potem jego uśmiech zniknął. Przez chwilę przyglądał mi się intensywnie, ja zaś podziękowałam sobie w duchu, że dziś rano poświęciłam chwilę na ułożenie włosów – lokówką, nadal nie odważyłam się używać do tego magii, żeby ich przypadkiem nie spalić – i wybranie porządnych ubrań. Rozpoznał mnie. Rozpoznał mnie ze swoich snów.

Potem jego uśmiech powrócił i Theo zrobił kolejny krok w moją stronę.

– Czy my się już gdzieś nie spotkaliśmy, panno McKenzie? – zapytał lekko.

– Raczej bym pamiętała, panie Thorne. – Wyciągnęłam do niego rękę. – Miło mi poznać.

Podał mi dłoń, a ja poczułam się tak, jakby przepłynął przeze mnie prąd. Przypomniałam sobie jego czułe słówka. Jego słowa o mieszkającym na wsi ojcu. O tym, jak chciał opuścić Londyn. Jego pocałunki w mojej kuchni.

Mogłam znowu mieć to wszystko.

Byłam tego pewna.

– Zapraszam. – Theo odsunął się po chwili i wskazał mi krzesło przed biurkiem, zanim sam wrócił na swoje miejsce. – Co panią do mnie sprowadza?

Usiadłam, a potem zebrałam całą swoją odwagę i odpowiedziałam:

– Marzę o domu. Miałam nadzieję, że pomoże mi pan spełnić to marzenie.

– Oczywiście. – Znowu się do mnie uśmiechnął. – Jaki to miałby być dom?

– Piętrowy, z salonem i kuchnią na dole oraz sypialniami na górze – wyjaśniłam. – Z tarasem wychodzącym na wschód. Z półokrągłą lukarną z przodu, za którą na półpiętrze znalazłby się kącik do czytania. Z fasadą w stylu rustykalnym.

Coś zabłysło w jego oczach. Jakby cień rozpoznania. Moje serce gwałtownie przyspieszyło. Chciałam, żeby się zorientował.

– To da się zrobić, Margo – oznajmił miękko.

I już wiedziałam, że uda mi się sprawić, żeby znowu był mój.

Tym razem na zawsze.

KONIEC

Katowice, styczeń 2023